



3 1761 07320444 8

Digitized by the Internet Archive
in 2011 with funding from
University of Toronto

<http://www.archive.org/details/ksigapamiatkowak02fink>

KSIEGA PAMIĄTKOWA

II.



KSIĘGA PAMIĄTKOWA

KU UCZCZENIU 250-TEJ ROCZNICY ZAŁOŻENIA
UNIwersytetu lwowskiego PRZEZ KRÓLA
JANA KAZIMIERZA R. 1661

WYDANA PRZEZ
CZŁONKÓW UNIwersytetu

TOM II

LWÓW
NAKŁADEM UNIwersytetu lwowskiego
1912.



LF
1449

.5
K75

t.2

SPIS RZECZY.

	Str.
Piniński Leon , Pod wrażeniem »Rozmyślań« Marka Aurelego . . .	1—58
Popielski Leon , O rozpowszechnieniu wazodilatory w świecie zwierzęcym . . .	1—5
Porembowicz Édouard , Nouvelle interprétation du vers de la Divine Comédie: »Quei due che seggon lassù più felici«. Par. XXXII, 118 . . .	1—23
Prus Jan , O pomyślnych wynikach zastosowania mojej metody przywracania życia	1—13
Puzyna Józef , Metoda wyprowadzania całek logarytmicznych równania różniczkowego $\frac{dy}{dx} = \frac{ax + by + \dots}{a'x + b'y + \dots}$	1—8
Roszkowski Gustaw , O unii interparlamentarnej	1—75
Schorr Mojżesz , Ruch handlowy w starożytnej Babilonii (okres Chamurapiego ± 2060—1760 przed Chr.)	1—21
Semkowicz Władysław , Przyczynki dyplomatyczne z wieków średnich	1—60
Sierpiński Wacław , Przyczynek do teorii mnogości	1—3
Sinko Tadeusz , Trzej poeci polsko-łacińscy z XIX wieku	1—28
Smoluchowski Marian , O pewnem zagadnieniu kinetycznej teorii roztworów	1—8
Stebelski Piotr , Sądy przysięgłych i sądy ławnicze	1—28
Teisseyre Wawrzyniec , Szkic moich badań w Karpatach, o ile one dotyczą płaszczowin fliszu	1—22
Twardowski Kazimierz , O czynnościach i wytworach. Kilka uwag z pogranicza psychologii, gramatyki i logiki	1—33
Ks. Wais Kazimierz , Początek życia	1—53
Witwicki Władysław , W sprawie przedmiotu i podziału psychologii	1—16
Wojciechowski Konstanty , Budowa pierwszych powieści polskich	1—9
Ks. Wysocki Stanisław , O sędziach polubownych w prawie kościelnem	1—18
Zakrzewski Stanisław , Bolesław Szczodry. Próba portretu	1—34
Zuber Rudolf , Sposstrzeżenia geologiczne z zachodniej Afryki (z 6 ilustracyami)	1—22
Ks. Żukowski Jan , Objawienie jako jednolity system	1—21

SPROSTOWANIE.

W rozprawie R. Zubera, Spostrzeżenia geologiczne z zachodniej Afryki, na str. 19 między wierszami 12 i 13 od dołu po wyrazie »kontynentu« i przed wyrazem »Najbliższą« opuszczono ustęp następujący: Obecność resztek starej formacji czerwonego piaskowca o typie wybitnie kontynentalnym i pustyniowym w niektórych partyach wybrzeża gwinejskiego niewątpliwie świadczy, że podczas tworzenia się tej formacji (palaeozoicum?) miejsca te były wnętrzem rozległego kontynentu.



POD WRAŻENIEM „ROZMYŚLAŃ“
MARKA AURELEGO

napisał

LEON PINIŃSKI



I. Znaczenie i treść nauki Marka Aurelego.

Nie zamierzam tu podać naukowego studyum o »Rozmyślaniach« Marka Aurelego, brak mi do tego należytych propedeutycznych warunków tak historycznych i filologicznych jak i filozoficznych nawet. Luźne uwagi, które mi się nasuwają pod pióro, są jedynie objawem wrażeń i myśli wywołanych pod wpływem lektury. Nie idzie mi wcale o rozświecenie naukowe pracy M. A., lecz tylko o podniesienie jej piękności. Jeżeli moje słowa zachęcą czytelnika do tego, by także wziął do ręki samo dzieło cesarskiego autora i z uwagą je przeczytał, to już ten skutek mnie zadowolni. Nie wątpię bowiem, że każdy rozumny czytelnik znajdzie w nim wiele nauki a może i pociechy.

Mało jest dzieł na świecie traktujących o najgłębszych problematach życiowych ze stanowiska oderwanego, filozoficznego, które tak silnie trafiają do serca jak »rozmyślania« M. A. Tematem ich jest przedewszystkiem Etyka życiowa, co myśleć o zadaniach życia i jak żyć, jak wyrabiać sobie charakter, jak zapatrywać się na stosunek nasz do bliźnich i społeczeństwa. Kwestye te bez względu na epokę, w której żyjemy, są w gruncie wiecznie te same i niezmiennie. Powinny one zajmować ciągle umysł każdego, który wyszedł przynajmniej poza tę fazę, że żyć nie wolno dla siebie wyłącznie i dla chwilowego egoistycznego użycia.

Zaczerpnąć ze źródła takiego, jak medytacje M. A. wiadomość, jak jeden z najznakomitszych mężów dawnego pogańskiego świata zapatruje się na te zadania, może i musi być po wszystkie czasy, a więc i w naszej epoce z pożytkiem. Nie potrzeba do tego być ani filozofem z zawodu ani lingwistą, by główny tok myśli M. A. i podobnych mu mistrzów sztuki życia świata starożytnego ująć i zrozumieć. Trudno zresztą wymagać, by tylko tym, co połknęli niemal całą literaturę historyczno-filozoficzną, wolno było zastana-

wiać się nad najprostszymi regułami etyki życiowej, rozmyślać nad tem, jak je pojmowali i na czem oparli wielcy mężowie przeszłości i jak je dziś dla naszego użytku uzasadnić mamy.

Niestety o wiele za mało ludzie dziś o tem myślą, co jest ich regułą życia, jakie jej źródło i jak mają prawo rozgraniczyć w życiu rozrywkę i przyjemność od obowiązku. Domenę uzasadnienia kardynalnych zasad naszej praktycznej etyki życiowej nie możemy odstąpić, tak jak »akt«, do którego załatwienia nie czujemy się sami kompetentni, teologom lub filozofom z zawodu. Wolno nam i powinniśmy zasięgnąć u innych rad i wskazówek, ale odpowiedź na życiowy nasz problemat moralny musimy znaleźć w nas samych, bo idzie tu o normy, według których my sami żyć mamy; a nie kto inny za nas.

A jednak, jak trudno byłoby uzyskać od każdego człowieka odpowiedź na pytanie, jakie są przepisy jego egzystencji moralnej i skąd je czerpie? Gdyby umiano i chciano dać nam na to szczerą odpowiedź, fantastyczne zaiste nieraz uzyskalibyśmy rezultaty.

Moralne reguły życia są u niektórych, i to powinno być normalnem, wynikiem zapatrywań religijnych. Lecz jakąż jest ta religia? często tylko zbiorem bałamutnych, pełnych sprzeczności przesądów i zabobonów bez najnniejszej znajomości źródeł, na których wiara ma i może się opierać. Bezmyślna praktyka czczych ceremonii jest dla wielu, rzekomo religijnie usposobionych osób ważniejszą od najdonioślejszych obowiązków etyki altruistycznej.

U innych reguły moralne życia opierają się już tylko na resztach półzapomnianej religii, której ich uczono za młodu i na jakichś strzempkach filozofii tu lub owdzie pochwyconych a zwykle mylnie lub mętnie pojętych.

U innych wreszcie reguły życia nie zasadzają się na żadnej podstawie metafizycznej, lecz tylko na pewnej tradycyjnej praktyce otoczenia, wśród którego wzrosli i żyją. Praktyka zaś ta jest często wynikiem tylko przesądów kastowych, uprzedzeń konwencyonalnych pozbawionych logiki i użyteczności a podlegających zmiennym kaprysom mody, którym nie daje to większej wagi i wartości, że się je niekiedy zwie pretensjonalnem mianem »honoru«.

Na takich to kruchych i zmiennych podstawach opiera się to co ludzie w życiu uważają za »moralny obowiązek«. Czyż dziwić się możemy, że wobec tego u wielu nie ma dostatecznej siły, by oprzeć się rozmaitym antietycznym teoryom, które bądź prokla-

mują negacyę wszelkiej apriorystycznej podstawy moralności (nagi materyalizm), lub zwalniają jednostki rzekomo wyższe od potrzeby oglądania się na konwencyonalne reguły etyki (np. zapatrywania Nitzsche'go), lub wreszcie zniżają zasady moralne do źródła utilitaryzmu, równając je tem samem np. z regułami higieny, względami praktyczności gospodarskiej i t. p., co jest wprawdzie najłagodniejszą formą, ale przecież w gruncie zaprzeczeniem istoty etyki.

O tyle większą powinno mieć dla nas wartość zastanawianie się nad myślami takimi, jak je nam dał w spuściznie M. A., gdzie mimo braku wszelkiej podwaliny w wierze, spotykamy się z najszczytniejszem podniesieniem moralnego poziomu człowieka i pełnem przekonania uzasadnieniem obowiązków społecznych.

Jeszcze inny wzgląd podnosi niezmiernie interes, który budzą myśli M. A., a tym jest rola, jaką odegrał autor w dziejach świata. Uwagi o celu i zadaniach życia pisane przez jakiegoś myśliciela, który przepędził życie gdzieś w zaciszu domowem, lub którego biografia wogóle nie budzi wybitnego interesu, nie mogą ani w części mieć tego znaczenia, co wyznania złożone nam przez władcę świata, cesarza olbrzymiego państwa sięgającego od Gibraltaru po Eufrat i od gór Szkocyi po puszcę libijską a nadto panującego, który wspaniale umiał spełnić niezmiernie trudne zadanie przez los nań włożone. Co tego rodzaju wielka postać historyczna myśli o zadaniach życia, czy i o ile stara się zastosować swe teorye praktycznie w ogromie skomplikowanych przypadkach jej w udziale obowiązków, to jest nierównie ważniejszem i bardziej interesującym, niż uwagi pierwszego lepszego prywatnego człowieka ułożone w cichej pracowni, zdala od świata, jego walk i zawikłań. Podnieśmy tylko jeden szczegół: Jeżeli np. lekceważenie sławy, potęgi i zaszczytów wypowiada ktoś, co nawet nadziei mieć nie mógł, by dojść do nich, to mniej nas to przejmuję i mniej też wierzymy w szczerść tych słów, niż jeżeli to spotykamy w ustach męża, przed którym korzył się świat cały. Tam jest to może tylko czczym fraze-sem, tu imponującym dowodem niezwyklej wyżyny moralnej.

Jeden wreszcie szczegół podnosi niezmiernie wartość dzieła. M. A. pisał uwagi swe li tylko jako notatkę dla siebie samego. Były to reguły i przepisy, które układał w chwilach skupienia, by go krzepiły i wzmacniały na wypadek zwątpienia lub pokusy. Przykład piękny i rzadki, bo szcżytne zasady układa się zwykle dla innych, a nie dla siebie samego.

Uwag tych nie zamierzał M. A. nigdy podać do wiadomości publicznej. Nie chciał nimi ani uczyć innych, ani przed nimi za-błysnąć. To jedna więcej gwarancya ich najzupełniejszej szczerości.

Marcus Aurelius Antoninus¹ był ostatnim rzymskim cesarzem z wielkiej epoki Antoninów, owego najświetniejszego okresu cesarstwa. Szereg znakomitych mężów w czasie od r. 96 do 180 po Chr. dzierży tron cesarstwa rzymskiego. Była to epoka rozkwitu nauk i sztuk, wolna stosunkowo od zawikłań wewnętrznych i rewolucyi wojskowych lub pałacowych. *Via facti* wytworzył się ten system następstwa w rządach, iż każdorazowy cesarz wybierał swego następcę, zlewając nań przez akt adopcyi swe prawa na wypadek śmierci. System to możliwy jedynie w czasie państwowego rozkwitu i spokoju, mogący wydać doskonałe owoce, ale pod warunkiem, że ludzie osobiście wybitni i mogący zrobić co do następstwa szczęśliwy wybór, zasiadają na tronie. Jeden wybór chybiony unicestwia dodatnie skutki systemu i czyni go nadal niemożliwym. Błąd ten popełnił właśnie M. A., kiedy, uniesiony zapewne przywiązaniem rodzinnem naznaczył niegodnego swego syna, Commodusa na następcę, z którego objęciem rządów serya wielkich cesarzów się kończy.

M. A. sam został przeznaczony i wybrany na następcę w rządach przez wuja swego Antonina Piusa i to jeszcze za życia poprzedniego władcy Hadryana. Wychowanie M. A. było jak najstaranniejsze, w szczególności zaś nauki filozoficzne i surowe praktyki stoickiego życia przyczyniły się już za młodu do znakomitego wykształcenia umysłu i wyrobienia charakteru późniejszego władcy. W pierwszych rozdziałach swych Rozmyślań² wspomina on z głęboką, szlachetnie odczutą wdzięcznością o dobrych wpływach oddziałujących nań już od pierwszej młodości, dziękując równie gorąco swej rodzinie jak i licznyim nauczycielom i mistrzom, nie zapominając przytem złożyć podzięk i bogom³, którzy wyznaczyli mu los tak pomyślny. Najbardziej entuzjastyczny ustęp poświęca on swemu bezpośredniemu poprzednikowi Antoninowi Piusowi⁴, którego sławi jako ideał człowieka i panującego.

Cnoty M. A., które poznajemy z jego »myśli« jak i rządów,

¹ Urodził się w r. 121 po Chr.; panował od r. 161 do 180. Przez pierwszych ośm lat dzielił rządy z Lucjusem Verusen.

² Tym uwagom poświęcona jest niemal cała pierwsza księga.

³ Zob. szczególnie I. 17.

⁴ I. 16.

istotnie w znacznej części zapewne wszczepione mu zostały przez jego równie znakomitego a szczęśliwszego, bo mniej zewnętrznymi przeciwnościami nękanego poprzednika.

»Rozmyślania« M. A. są to luźne uwagi o porządku świata i zadaniach życia. Pisane są w języku greckim i rozpadają się na 12 ksiąg czy też rozdziałów, z których każdy zawiera pewną ilość oderwanych, nie powiązanych ze sobą ustępów. Niektóre z nich są dłuższe, inne znów zawierają krótkie aforystycznie sformułowane uwagi. M. A. zostawił pracę swą bez tytułu. Po śmierci jego dopiero dano jej tytuł: *Τὰ εἰς ἑαυτοῦ*, co można przełożyć słowami: »Nad sobą samym«.

Kiedy myśli swe zaczął spisywać, to można z pewnem przybliżeniem oznaczyć. W każdym razie dopiero w wieku dojrzałym¹ po objęciu rządów. Z wzmianek zawartych w pierwszej i drugiej księdze widać, że je pisał w czasie wypraw wojennych przeciw Quadom i Markomanom (w dzisiejszych krajach austriackich nad Dunajem i na północ od Dunaju). Od tego czasu, jak się zdaje, miał zwyczaj notować swe myśli aż do końca życia, bo ustępy końcowe ostatniej księgi brzmią tak, iż wysnuć z nich można przewidywanie rychłego skonu.

Systemu w uwagach M. A. nie ma zupełnie. Nie ma też silenia się na styl piękny i wytworny. Myśl przeskakuje niekiedy bez wypracowanego połączenia z jednego przedmiotu na drugi. Znać często, że autorowi idzie o pobieżne schwycenie jej raczej niż o przeprowadzenie logiczne. Jeżeli jednak czytanie nie daje systematycznego poglądu na całość, to o tyle silniej zachwycić nas musi w szczegółach sformułowanie myśli tu i owdzie niezmiernie szczęśliwe, ustępy tchnące głęboką szczerością, liczne porównania nader trafne a często głębokie lub prawdziwie poetyczne.

Sprzeczności w uwagach nie spotykamy, tylko tam, gdzie autor waha się między przyjęciem dwóch rozmaitych alternatyw jako hipotetycznie możliwych, myśl jego skłania się czasem raz w jedną stronę silniej, raz w drugą. Znamiennem jest szczególnie to, iż natura przyciąga autora raczej ku pesymistycznemu sposobowi myślenia, podczas gdy siłą woli stara on się wmówić w siebie pewien optymizm.

Cytaty z innych autorów spotykamy dość często, z których

¹ Już w II. 2 nazywa się sam »starym«, czem jednak istotnie nie był.

widać czytanie wielkie w literaturze greckiej poetyckiej i filozoficznej. Z greckich dawniejszych filozofów przytacza często Sokratesa i Platona, z nowszych widocznie najsilniej na niego oddziałał Epiktet. Rzymskich filozofów nie uwzględnia i nie cytuje nawet tak bardzo zbliżonego zapatrywaniem, najznakomitszego rzymskiego stoika, Senekę.

Pomimo luźnego zestawienia tworzą poglądy autora na świat i życie pewną zamkniętą w sobie, logicznie ściśle obmyślaną całość. Ażeby je bliżej poznać, należy je więc zestawić w pewien systematyczny związek. Staram się to uczynić poniżej, podając w jak najkrótszej formie ich streszczenie systematycznie ułożone. Sądzę, że w tej formie występuje myśl przewodnia autora silniej i z większą plastyką.

Streszczenie nauki Marka Aurelego:

Człowiek rodzi się z przeznaczeniem, by być istotą społeczną, pożyteczną dla innych. Obdarzony umysłem, ma w sobie coś z wyższej, boskiej natury i ten przymiot duchowy powinien w sobie rozwijać i kształcić, za tym głosem szlachetniejszym w życiu iść.

Ma tedy gardzić zmysłowem użyciem, nie przywiązywać wagi do dóbr doczesnych, wyrabiać w sobie hart ciała i duszy oraz samodzielność. W stosunku do bliźnich ma być sprawiedliwym i dobroczynnym a w obęjsiu się z nimi szczerym, skromnym i uprzejmym. Ma pamiętać zawsze o obowiązkach wobec całego społeczeństwa i na stanowisku, na którym go los postawił, pracować pilnie i wytrwale, bez zawiści, zadowolony z roli przypadłej mu w udziale.

Niech pamięta przytem zawsze o znikomości życia a to głównie w tym celu, by z każdej chwili korzystać, jak gdyby ona była ostatnią dla pożytecznego działania. Nagrody wszakże za to wymagać nie powinien i nie ma prawa, a jeżeli go spotyka od innych niewdzięczność, krzywda lub nawet prześladowanie, powinien to znosić ze spokojem, pogodą i pobłażaniem dla tych, którzy są gorsi, umysłowo i moralnie od niego niżsi.

Niech też nie uważa za nagrodę godną wysileni ani rozgłosu i poklasku za życia, ani też sławy pośmiertnej, wszystko to bowiem jest bez wartości. Nagrodę jedyną i zadowolenie znajdzie w poczuciu wypełnienia obowiązku, w świadomości swej moralnej wyższości.

Czy go spotka indywidualnie nagroda po śmierci? na to pytanie odpowiedzi brak. Lecz jeżeli jest istota wyższa, rządząca swia-

tem, dbająca o nas i zapewniająca nam przyszłą egzystencję, to po takim życiu możemy być spokojni o przyszłe nasze losy. Jeżeli zaś istoty takiej niema i niema też przyszłego życia, to brak wszelkiego uczucia i sensacji, nicosć zupełna jest lepszą niż życie na świecie, którym nie kieruje ręka opatrności.

Tak myśląc i czując będzie człowiek spokojnym i zadowolonym z przeznaczonego losu i nie potrzebuje ani szukać śmierci, ani też niema powodu jej się lękać.

Oto mniej więcej streszczenie nauk moralnych M. A. Główną ich podstawą jest filozofia stoicka, lecz obok zasad właściwych i innym pisarzom tego filozoficznego kierunku ma nauka M. A. silne indywidualne piętno. Przedewszystkiem jest pełną prostoty, niezupełnie wprawdzie wolną od właściwego stoikom samochwalstwa, lecz bez zbytej zarożumiałości i dumnej pozy. Nadto ujmuje nas tem, że wyklucza o ile możności wszelkie abstrakcyjne wywody i polemiki. Filozofem w zwykłym rozumieniu jest M. A. jak najmniej, dogmatykiem metafizycznym wcale nie, stara się być przede wszystkim tylko sterownikiem w praktycznym moralnym życiu.

II. Stosunek duszy naszej do porządku wszechświata.

Przechodzę teraz do szczegółów i pragnę nieco dokładniej omówić poszczególne donioślejsze kwestye nauki moralnej M. A. Nie chcąc przytem zbyt wiele nagromadzać cytatów *in extenso*, staram się ograniczyć do najważniejszych.

M. A. uznaje w nas samych pewną wrodzoną skłonność do moralnego wyrabiania się i doskonalenia będącą własnością naszej duszy. Dusza zdolna do moralnej wyższości jest darem nieba w nas i powinna być nam w życiu gwiazdą przewodnią, zasadą rządzącą życiem naszym¹.

»Żyj z bogami«, mówi autor (V. 27). »Ten zaś żyje z bogami, co ciągle okazuje im, że dusza jego zadowolona jest z tego, co mu jest przeznaczonem i czyni to wszystko, czego życzy sobie nasz demon, którego Zeus jako cząstkę swej istoty dał każdemu człowiekowi, by mu był stróżem i kierownikiem. Jest zaś nim każdego człowieka myśl i rozum (νοῦς καὶ λόγος)«.

¹ Τὸ ἡγεμονικόν, jest to wyraz ulubiony M. A., którego używa bardzo często, np. II. 2 i w licznych innych ustępach.

Czyż mamy na to dowody, że bogowie istnieją? pyta w innem miejscu (XII. 28). Można by powiedzieć, że ich widzimy niemal własnymi oczyma codziennie w istnieniu świata. Lecz, jeżeli nawet przyjmujemy, że ich nie dostrzegamy, toć wszakże nie widzimy i duszy własnej, a jednak cenimy ją i szanujemy. To co czujemy przez ciągłe doświadczenie jako wpływ boski na nas samych, to nam daje możność poznania ich istnienia i czczenia ich.

Owa »boska część«, która jest w nas¹, jest tak silną, że mamy niekiedy wrażenie »nawoływania, rzechy można, wprost instrukcyi« (I. 17) ze strony bogów w nas samych.

Czując tedy w nas samych siłę moralną, możność doskonalenia się i ładu, o tyle łatwiej nam w to wierzyć, że woła rozumna kieruje także wszechświatem.

W rezonowaniu tem zdaje się być pewien *circulus vitiosus*. Dobra nasza strona moralna ma być darem rozumnej, kierującej światem opatrności a zarazem egzystencya tej dobrej duchownej strony w człowieku ma być dowodem a przynajmniej podstawą prawdopodobieństwa, że owa opatrność sama istnieje.

Nie zapominajmy jednak o tem, że w każdym rozumowaniu, nie opierającem się na objawieniu z zewnątrz, punkt wyjścia jest z reguły czemś subiektywnem. *Cogito ergo sum* mówi Descartes i uważa to za punkt wyjścia poglądu na świat. U innych tym punktem wyjścia jest znów nasze subiektywne uczucie. Zdaniem M. A. człowiek czuje w sobie pierwiastek dobra, który mu pozwala a nawet każe być dobrym i pożytecznym, a więc chce wierzyć, że jest zarazem istota wyższa, rozumna i dobrotliwa, która pierwiastek ten w nas wszczepiła.

Dlatego mówi on (IV. 27): »Albo mamy do czynienia z dobrze urządzonym wszechświatem, albo też wszystko jest tylko chaosem przypadkowym... Ale czyż może w tobie samym istnieć ład i porządek, a nieład we wszystkim zresztą?«

O owej drugiej hipotezie bardziej pesymistycznej, iż opatrności rządzącej światem niema wcale, mówi M. A. niejednokrotnie. I tak w prześlicznym ustępie:

II. 11: »Skoro to możliwe, że w każdej chwili masz się rozstać z życiem, urządz zgodnie z tem każdą twoją myśl i czyn. Porzucić świat i ludzi, jeżeli są bogowie, nie jest rzeczą, której lękać

¹ Zob. n. p. III. 5 i 6.

się miałbyć powód, bo bogowie nie mogą chcieć twego nieszczęścia; lecz jeżeli bogów niema, lub nie dbają o losy ludzkie, to jakąż to może mieć wartość dla mnie żyć w świecie pozbawionym bogów i opatrności?»

Przeważa jednak u autora myśl pierwsza i mówi w dalszym ciągu: »Lecz bogowie w istocie istnieją i dbają o ludzkie sprawy i dali nam siłę i potrzebne środki dla uniknięcia złego«.

Podobny tok myśli spotykamy w VI. 10: »Wszechświat jest albo zamieszaniem, wzajemnem płataniem się wszystkich rzeczy i rozprasaniem; albo też jednością, porządkiem i opatrnością. Jeżeli tedy pierwsze ma miejsce, dlaczegożbym miał życzyć sobie pozostawać dłużej w tem przypadkowem zmieszaniu wszystkich rzeczy i nieporządku? dlaczegożbym miał dbać o cokolwiek innego, jak tylko o to, by wreszcie napowrót w proch się obrócić? i dlaczegoż mam się niepokoić, skoro rozprószenie elementów, z których się składam, nastąpi, cokolwiekbym czynił? Ale jeżeli tamta druga supozycja jest prawdziwą, w takim razie jestem silny, czczę tego co rządzi światem i ufam mu«.

Przytoczę jeszcze jeden ustęp wielce znamienity dla sposobu myślenia M. A., gdzie myśl o śmierci i hipotezy co do przyszłości zagrobowej łączą się z poczuciem znikomości i pewnem pesymistycznym lekceważeniem wysiłku ludzkich:

III. 3: »Hippocrates po wyleczeniu wielu chorób sam zasłabł i umarł. Chaldejczycy przepowiadali śmierć wielu innym, aż następnie sami ulegli przeznaczeniu. Alexander i Pompeius i Caius Caesar, którzy tak często wyniszczali miasta całe i dziesiątki tysięcy konnicy i piechoty w bitwach dali wysiec, sami wreszcie rozstali się z życiem. Heraclitus po tylu spekulacjach nad składem wszechświata zmarł rozdęty wodą wewnątrz a zewnątrz kałem zbrukany. Wszy stoczyły Democrita; a ofiarą innego rodzaju wszy padł Socrates. Cóż to wszystko znaczy? Wsiadłeś na okręt, odbyłeś podróż, przybiłeś do celu — wysiadaj! Jeżeli to do innego życia, toć zapewne i tam bogów nie brak. Lecz jeżeli to stan bez wszelkiej sensacji, w takim razie przestaniesz przynajmniej podlegać bólom i łaknąć przyjemności i być niewolnikiem tego zewnętrznego naczynia (ciała), które cię trzyma«.

Jak z tych cytatów widać, o rzeczywistej silniejszej wierze w istnienie bóstwa i życie przyszłe nie może tu być mowy. Autor chwije się między dwoma alternatywami, światem przypadkowym,

będącym aglomeratem atomów i ślepem działaniem sił przyrody a światem rządzonym przez rozumną opatrność. Ku tej drugiej alternatywie ciągnie go serce, a ponieważ ją uważa za możliwą a nawet dość prawdopodobną, więc według tej drugiej alternatywy radzi urządzić życie, idąc za głosem szlachetniejszym naszej duchowej natury. Jest to więc sceptycyzm skłaniający się ku teizmowi ogólnemu, nieokreślonemu bliżej. Ten sceptycyzm wszakże jest już dla autora wybitną podporą jego nauki moralności. Sama możliwość istnienia bóstwa, sama możliwość wyższego nakazu jest motywem dostatecznym dla pędzenia życia dobrego i praktykowania cnoty.

O istocie wyższej wyraża się M. A. zwykle w liczbie mnogiej: »bogowie«. Nie jest to wszakże wiara w rzeczywisty politeizm a już najmniej w politeizm oficjalny ówczesnego Rzymu¹. Teizm jego nie jest określony bliżej, bo niekiedy mówi o Bogu w liczbie pojedynczej lub o opatrności albo »istocie boskiej«. Zeus, którego często wymienia i nazywa twórcą świata lub społeczeństwa² nie ma nic wspólnego z Zeusem Homerowskich poezji lub baśni Metamorfóz Owidyusza. Nie istnieje też dla niego Olimp innych bogów i deifikowanych bohaterów i władców. Niema wszakże naodwrot negacyi, niema słowa krytyki, ani oficjalnie wyznawanej religii, ani też jakiegokolwiek innego wyznania.

Uszanowanie dla religijnych zapatrywań skłania M. A. do tego, iż uznaje ogólnie bogobojność, pobożność i posłuszeństwo wobec bogów, jako sposób postępowania dobry i chwalebny, widzi w tem cnotę, którą stawia na równi z najważniejszymi cnotami altruistycznymi³. Zarazem jednak gani przesady i zabobonność⁴.

Dawny konserwatyzm rzymski i względy narodowe i państwowe są zapewne powodem, że nie występuje nigdy przeciw przyjętym zwyczajom publicznego kultu, w którym jako panujący zawsze brał udział. Modłów wszakże i ofiar wyraźnie nie zaleca i, jak się zdaje, nie wierzy w ich skuteczność. Jeżeli się jednak modlimy, to powinniśmy się, zdaniem jego, modlić z najwyższą prostotą⁵.

¹ Objawiania się nam bogów w jakiegokolwiek formie nie przyjmuje M. A., lecz w dwóch miejscach spotykamy przecież przypuszczenie możliwości snów proroczych (I. 17 i IX. 27).

² Np. IV. 23, XI. 8.

³ Zob. np. VI. 30, XI. 20, XII. 27.

⁴ Np. I. 16, VI. 30 cit. pod koniec.

⁵ Zob. V. 7.

O ile przypuszcza istnienie bóstwa jako rzecz możliwą i prawdopodobną, o tyle wyobraża sobie ową wyższą istotę jako wyposażoną w najwyższe przymioty dodatniej natury i widzi w niej źródło dobrego i podporę ludzkiej etyki. Przyznaje więc bogom rozum i dobrotliwość¹ i, co specjalnie podnieść należy, jako wyższość w stosunku do zwykłych zapatrywań religijnych, pogardę dla czezych hołdów i pochlebstw².

Nie możemy przypuścić, mówi on (VI. 44), by istota wyższa, która nas przeznaczyła na świat, pragnęła naszego nieszczęścia i cierpień, a nie możemy sobie tej boskiej istoty wyobrazić nawet nie przewidującej z góry tego, co nas spotyka. Znośmy tedy nasz los i wierzymy, że jest on czemś rozumnym i pożytecznym. Bądźmy zrezygnowani, nie skarżmy się i nie sarkajmy, nie krytykujmy też bogów, bo mianem »złego« i »dobrego« możemy nazywać te tylko rzeczy, które są w zupełności dostępne naszej myśli (VI. 41), a działanie bogów takim nie jest.

M. A. nie zapoznaje, że złym ludziom jest na świecie często nierównie lepiej niż dobrym, że szczęście nieraz bardziej sprzyja pierwszym, niż drugim³. Sarkać na to byłoby niebogobożnym. Sprawiedliwy zresztą ma regres i pociechę we własnem wewnętrznem zadowoleniu i czystem sumieniu, które wyżej cenić powinien, niż dobra zewnętrzne.

O indywidualnej nagrodzie pośmiertnej za życie dobre, pełne zasług, chociażby ono było zarazem pełnem zaparcia i nieszczęśliwem M. A. nie wspomina. Rzekłby nawet: nie żąda jej. Wystarczy mu zaspokojenie, iż po takim życiu nic złego nam się wydarzyć nie powinno. Zresztą w jego rozumieniu życie znaczne, dające świadomość spełnionego obowiązku i wyższości moralnej, daje już samo przez się, mimo niepowodzeń zewnętrznych, spokój, zadowolenie, a nawet szczęście, tak jak gdybyśmy byli »przeniesieni już za życia na wyspy wybranych« (X. 8), na których w poetyckich opowiadaniach wyobrażają sobie ludzie nagrodę po śmierci.

To niebo za życia, które ma znaczny człowiek w swem sercu nawet w niepowodzeniu, jest jedną z najwznioślejszych koncepcji, na jakie zdobyła się kiedykolwiek myśl ludzka.

¹ Np. V. 34, X. 1.

² Zob. X. 8 pod koniec.

³ Zob. np. IX. 1.

Lecz w innym, żywo wzruszającym ustępie czuć nutę zwątpienia i goryczki:

XII. 5: »Jakże to stać się mogło, że bogowie urządziwszy wszechświat mądrze i dobrotliwie dla ludzkości, tego nie usunęli, iż ludzie zaci, tacy którzy. rzec można, największą styczność mają z boskością, i wskutek czcigodnego i religijnego życia są sami do boskości zbliżeni, skoro zakończyli życie, nigdy więcej egzystować nie będą i znikną ze świata raz na zawsze?«

W tych słowach czuć bolesny wyrzut, ale i tym razem zwycięża rezygnacya, bo M. A. mówi dalej:

»Ale skoro tak jest, to bądźmy przekonani, że gdyby inaczej miało być lepiej, bogowieby tego uczynić nie zaniedbali«.

Ta rezygnacya autorowi widocznie nie przychodzi zbyt łatwo i brzmi, jak gdyby wmówiona w siebie. Znamienne zaś jego wielkoduszności jest to, iż krzywdę, jaką mu się być zdaje zejście bezpowrotne i bez nagrody sprawiedliwych ze świata, upatruje nie w osobie samego zgasłego, lecz w stracie, którą inni ludzie i społeczeństwo wskutek tej straty ponoszą.

Jak widzimy więc, elementu tego, który zowiemy religijną »wiarą« lub »przekonaniem« metafizycznym, w zapatrywaniach M. A. niema wcale. Niema też naodwrot chłodnego, pewnego siebie racjonalizmu, odepchnięcia możliwości nadludzkiego elementu w wierze, potępienia lub wyszydzania tych, co taki element przyjmują. Racjonalisci mogą w tem upatrywać pewną słabość i chwiejność w dedukcyach autora¹. Mojem zdaniem tak nie jest. Umysł który w swej spekulacyi metafizycznej nie wychodzi poza granicę przyjęcia i to tylko jako rzecz możliwą hipotezy teizmu i zagrobowego życia, nie czuje się uprawnionym potępiać tych, których przekonania religijne lub filozoficzne są na tem punkcie bardziej konkretne.

Ten sposób myślenia jest nierównie szlachetniejszy, niż fanatyzm religijny lub fanatyzm niewiary potępiający bezwzględnie jako zbrodnię lub absurd każde wyobrażenie metafizyczne, którego się samemu nie podziela. Jest to zarazem sposób myślenia głębszy, niż zarozumiałość nowoczesnych antyteistów², którzy negują możliwość rządzącego światem Boga na podstawie równie kruchych dedukcyi,

¹ Zob. np. Renan: *Marc Aurèle et la fin du monde antique*, str. 16.

² Zob. np. Schopenhauer, szczególnie w *Neue Paralipomena*. Kap. XIV: *Ueber Religion*.

jak te, na których się opierają najbardziej naiwne zapatrywania religijne.

Z hipotezą drugą, iż boga i opatrności niema a świat jest tylko chaosem i tworem przypadku, liczy się także M. A. jako z rzeczą możliwą. Myśl ta mu jest przykrą, bolesną, lecz nie mając dowodu na to, że jest niedorzeczną, pyta się, cóż w takim razie? Odpowiedź jego jest, że i w tym razie nie nas nie uprawnia do zanegowania potrzeby etyki i przejęcia się sposobem myślenia niskim i czysto zmysłowym. Oto jego rezonowanie:

IX. 28 i. f.: »Jednem słowem, jeżeli jest Bóg, to wszystko jest dobrze; jeżeli zaś przypadek rządzi, to przynajmniej ty nie daj się nim rządzić«.

XII. 14: ...»Jeżeli jest opatrność... stań się godnym pomocy boskiej. Lecz jeżeli świat jest zamętem bez kierownika, bądź w takim razie zadowolonym, że w tej burzy masz przynajmniej w sobie pewien ster we własnej inteligencji...«

A wreszcie VI. 44: ...»Jeżeli bogowie o niczem, co nas tyczy, nie postanawiają — w co przykro wierzyć... a w którym to razie ani ofiarować im, ani modlić się do nich, ani przysięgać na nich nie powinniśmy — ...w takim razie jestem przynajmniej zdolny sam o sobie stanowić i ocenić, co jest pożytecznem; to zaś jest pożytecznem każdemu, co jest zgodnem z jego ustrojem i naturą. A natura moja jest racjonalną i socyalną; mym miastem zaś i krajem, o ilem Antoninus, Rzym, a o ilem człowiekiem, świat. Co jest pożyteczne tym związkom, to, i tylko to, jest pożyteczne dla mnie«.

Co za świetny w całej swej prostocie hymn patryotyzmu i poczucia przynależności socyalnej w tych niewielu słowach! Więc nawet jeżeli mnie wszystko zawodzi, jeżeli mnie opanuje zupełne wątpienie, co do istnienia opatrności i porządku w wszechświecie, nie zwrócę się do sobkostwa i materyalizmu, lecz zwycięży we mnie utylitaryzm społeczny w swej najszlachetniejszej formie, oparty na miłości ojczyzny i ludzkości.

III. Obowiązki wobec bliźnich.

Nauka moralna M. A. jest przesiąknięta altruizmem na każdym kroku. Można nawet powiedzieć, że obowiązki wobec bliźnich i społeczeństwa wypełniają ją, skoro odrębnych obowiązków

wobec bóstwa prawie niema, a obowiązki wobec siebie samego, dążą głównie do wyrobienia w sobie właściwości pożytecznych dla życia społecznego.

Altruizm wszakże M. A. jest bez uniesień i entuzjazmu, bez skłonności do przesadnych poświęceń, wolny od optymistycznego zaufania w dobroć lub wdzięczność naszych bliźnich. Nie jest to jednakowoż naodwrot altruizm zimny, będący wpływem tylko rozumem pojętego nakazu moralnego w rodzaju np. altruizmu nauki Kanta.

Podstawą altruizmu autora jest poczucie przynależności społecznej. »Nie gniewajmy się na siebie nawzajem«, mówi on (II. 2) »nie nienawidźmy się, bośmy wszyscy wobec siebie jak para nóg, rąk lub oczu, jak górny i dolny rząd zębów. Przeciw sobie występować, nawzajem sobie szkodzić jest przeciwne naszej naturze«.

Nadto w altruizmie jego odgrywa rolę pogarda dla dogadzania sobie samemu, dla użycia fizycznego i egoizmu.

Miłość bliźniego jako przykazanie główne jest u niego, podobnie jak w Chrześcijaństwie punktem wyjścia: »słuchaj Boga, kochaj ludzkość!« (VII. 31). Lub w innem miejscu podobnie:

VI. 30: »Czczij bogów, wspomagaj ludzi!«

Dobrotliwość wobec bliźnich, będąca wynikiem tego przykazania miłości idzie nawet bardzo daleko. Każe on, podobnie jak to jest powiedziane w Nowym Testamencie, kochać także tych, co nas krzywdzą a przynajmniej czynić im dobrze i nie mścić się za doznane krzywdy.

VI. 6: »Najpiękniejszą drogą zemsty dla ciebie jest nie być takim samym, jak ten co cię krzywdzi«.

W innem zaś miejscu (VII. 36) z emfazą cytuje autor piękny aforyzm z Antistenesa tej treści: »Jest to po królewsku czynić dobrze, gdy nas lżą za to«.

Lecz w tem przebaczeniu krzywd i uraz i w odpłacaniu złego dobrem niema tej bezgranicznej myśli abnegacyi i poświęcenia, która cechuje wzniosłe słowa »Kazania na górze«, niema zapomnienia o wszelkim interesie ziemskim i własnym, niema też rozmiłowania się w cierpieniu i znoszeniu prześladowań dla uzyskania doskonałości, której życzy sobie Pan nasz w niebiosach. Zdania, jak: nadstaw lewy policzek, gdy cię uderzono w prawy, a gdy ci wzięto wiele oddaj resztę, rozdaj w ogóle wszystko między ubogich, jeżeli chcesz być doskonałym, są obce etyce M. A. Do diapazonu tak da-

leko posuniętego ducha, zaparcia się i poświęcenia nie wznosi on się i wznieść nie usiłuje.

Dobrotliwość, którą zaleca wobec bliźnich nie jest ani bezgraniczną miłością ludzkości, ani egzaltacją w przebaczeniu krzywd ponoszonych dla miłości wiary i przekonań. Ma ona granicę w społecznym pożytku. Pobłażliwość zaś wobec krzywd opiera się na poczuciu moralnej wyższości, której niesprawiedliwość innych odebrać nam nie zdoła.

Ostatnią myśl wypowiada autor kilkakrotnie a najpiękniej w następującem prawdziwie poetycznem porównaniu:

VIII. 51: ... »Przyjmij, że cię ludzie mordują, ćwiartują na kawały, lub że cię przeklinają. Czyż może to wszystko przeszkodzić temu, by twa myśl pozostała czystą, rozumną, spokojną i sprawiedliwą? Jeżeli ktoś stanie przy źródle przeczystem i lży je, źródło nie przestanie tryskać przejrzystą wodą; a nawet jeżeli wrzuci w nie nieczystości, to zostaną one natychmiast rozprószone i zmyte, źródło niemi się nie skazi«.

Szczególnie wzniosłe podnosi M. A. bezinteresowność w altruizmie. Jeżeli wyrządzamy innym dobrodziejstwa, nie żądamy żadnej zato zapłaty lub pochwały, ani tu, ani w przyszłym życiu.

VII. 73: »Jeżeliś spełnił dobry uczynek a drugi stąd odniósł korzyść, dlaczegoż jeszcze oglądasz się za czemś trzeciem ponadto, jak to głupcy czynią, chcesz zyskać rozgłos..., lub otrzymać odwzajemnienie?«

Albo w innem miejscu: V. 6: »Jeden, jeśli wyrządził komuś przysługę, zapisuje to na jego rachunek... Drugi tego nie czyni, ale przecież uważa tamtego za dłużnika i pamięta o tem. Trzeci zapomina o tem, co uczynił, i jest jak winna latorośl, która wydawszy owoc raz, stara się, skoro go zerwano, wydać nowy«.

Dobroć, łagodność i pobłażanie M. A. mają swe granice, nie dochodzą do tego, by się dać poniżać, wyzyskiwać lub dominować przez złych, niesumiennych i niesprawiedliwych. Altruizm jego nie jest abdykacją na korzyść tych, co mają mniej względów od nas¹. W łagodności niema u niego słabości. Tym co nas krzywdzą bez złej woli, zaleca zejść z drogi². Zresztą jednak należy tego, co złe działa, starać się przekonać³, ale jeżeli to jest bezskuteczne

¹ Zob. np. w VII. 66 słowa: »nie stańmy się niewolnikami cudzej głupoty«.

² Zob. V. 20.

³ IX. 11.

a sprawiedliwość tego wymaga, wystąpić stanowczo nawet w drodze przymusu przeciw jego woli¹.

Pobłażliwość na krzywdy ma zresztą u M. A. źródło także w tem przekonaniu, że ludzie często a nawet z reguły czynią złe nie tyle ze złej woli, jak z nieświadomości, braku wyrobienia moralnego, niższości umysłowej. Ten sposób pojmowania złych uczynków jako wyniku wad ludzkich jest motywem ulubionym u autora i pojawia się często. Jeden ustęp przytaczam:

VII. 22 »Jest to właściwością ludzką, że kochamy nawet tych, co złe czynią. A zdarza się to dlatego... bo czynią złe przez nieświadomość i bez złego zamiaru²; nadto pamiętajmy, że przecież my i oni wkrótce pomrzemy; przedewszystkiem zaś wpływa tu ten wzgląd, iż ten, co mi złe czyni, nie czyni mi ujmę, nie może bowiem mej kierującej własności zrobić gorszą niż była dotąd«.

Głównem mojem dobrem są przymioty duszy. Tych mi nikt nie odbierze i nie osłabi, więc dotkliwego złego wyrządzić mi nie może.

Jeżeli jednak M. A. jest pobłażliwym dla drugih, to zarazem surowym dla siebie i karci tych, którzy wymagają względów od innych a sami nie starają się usunąć własnych przywar. Występuje tu żywo podobny sposób myślenia jak w Nowym Testamencie w znanem powiedzeniu o »źdźbłę w oku bliźniego«. Śmiesznem nazywa tedy autor nasze rozumowanie³, iż z własnych błędów nie lecząc się, co jest w naszej mocy, chcemy, ażeby inni dla nas wyleczyli się ze swoich, na co wpływu nie mamy. »Bogowie znoszą złych i nieznośnych ludzi przez wieczność. a ty nie możesz przez czas tak krótki, choć sam jesteś jednym z nich«!

Daleko jednak od tego, by dobroć M. A. doprowadzała go do przeceniania ludzkości. Przeciwnie widzi on ją raczej pesymistycznie i w barwach ujemnych, czarnych nawet, nie zapoznając ani ludzkich słabości ani złości. Jest on wyrozumiały, lecz nie dlatego, by nie widział złego, lecz z tego powodu, ponieważ ogromna większość ludzi stoi za nisko pod względem umysłowym i moralnym, ażeby móżdż się wyrobić i poprawić. Trzeba ludzi brać, jakimi są, nauczyć się

¹ VI. 50.

² Zob. także II. 13. Ta myśl powtarza się zresztą w licznych innych ustępach.

³ VII. 70 i 71.

znosić ich¹, nie dlatego, żeśmy z nich zadowoleni, lecz bo ich niestety nie możemy zmienić.

Oto parę charakterystycznych przykładów:

II. 1: »Rozpoczynaj dzień mówiąc sobie co rana: spotkam ludzi natrętnych, niewdzięcznych, aroganckich, podstępnych, zazdrośnych i niesocjalnych. Lecz te właściwości ich polegają głównie na niewiadomości, co jest złem a co dobrem...«. W innym niezmiernie pięknym, lecz przesiąkniętym już prawie mizantropią dłuższym ustępie (IX. 42) każe się liczyć ze złością i przewrotnością ludzką, która nie powinna nas nigdy zadziwiać ani być nam czemś niespodzianem. Nie należy ufać innym, a czyniąc im dobrze, mimo złego o nich wyobrażenia, robić to »na przepadłe«. Nagrody za to nie żądamy, bo naturom szlachetnym jest wrodzonym robić dobrze. »Czyż oko żąda za to zapłaty, że patrzy a nogi, że nas dźwigają? Złość, przewrotność i niezdolność innych mają zresztą tę dobrą stronę, że znosząc te przywary w innych ćwiczymy się w naszych dodatnich przymiotach, które są niejako »antidotum wad cudzych« jak: wyrozumiałość, cierpliwość, bezinteresowność i t. p.

Myśl swą ilustruje w innym ustępie (V. 28) następującem oryginalnem porównaniem: Wszakżeż nie mamy prawa gniewać się na kogoś za to, że ma oddech cuchnący lub że pot jego czuć. Przywary moralne nie są niczem innem.

Wyższość moralna, którą w sobie czuje, objawia się w charakterystyczny sposób w zapatrywaniu, iż powinniśmy się uczyć od innych, lecz przedewszystkiem uczyć na złych przykładach². Skoro widzimy u innych próżność, niecierpliwość, gniew, starajmy się w podobnej sytuacji być wyższymi od nich i nie popadać w te same błędy.

Złe wyobrażenie o ludziach występuje u M. A. niekiedy w formie zjadliwej nawet krytyki. Tak, w owym wybornym aforyźmie, którego słuszność uderzy każdego, co miał sposobność poznać zakulisowe sprawy życia publicznego i polityki:

XI. 14: »Ludzie gardząc sobą nawzajem schlebiają sobie, a chcąc się wzbić jeden nad drugiego wprzód się przed sobą płaszczą«.

¹ V. 20.

² Zob. VII. 56.

Niekiedy żal do ludzi przybiera formę bolesną i brzmi jak echo gorzkich zawodów szlachetnego, zbolełego serca.

W IX. 3 mówi on, że jest to dla nas w myśli o śmierci pełną, smutną pociechą, iż nie spotykamy w życiu ludzi dzielących nasze uczucia i zasady, do którychbyśmy się mogli głębiej przywiązać.

Jeszcze boleśniej występuje ton pesymizmu w X. 36: Rozstanie się ze światem jest o tyle lżejszem, że nawet najlepszych z nas prawdziwie nie żałują i zawsze ktoś jest zabowolony, iż mu się ustępujemy.

Czy to jest pociechą istotnie? nie sędzę. Myśl taka, mojem zdaniem, zatruwa życie a nie osładza śmierci.

Pomimo jak najsilniejszego zaznaczania socyalnej natury człowieka pozostaje przecież M. A. naturą samotną w gruncie. I nie dziwnego, do wyżyn jego ducha nie łatwo się mógł ktoś zbliżyć. Ci, którzy nieskończenie górują nad innymi, tylko w samotności znaleźć mogą ukojenie i ulgę w cierpieniach. Stąd rada M. A., by w trudnych chwilach życia cofnąć się w głąb własnej duszy.

Szczególnie pięknie wypowiada to w IV. 3: »Ludzie szukają ustronia na wsi, nad morzem lub w górach. I ty tego pragniesz... Lecz jest to także w twej mocy, gdziekolwiekbyś przebywasz, samą wolą twą cofnąć się w głąb własnej duszy... Czyń to często i odnawiaj się w tem skupieniu«.

Filantropia M. A., jak z tych przykładów widzimy, ma swój odrębny charakter. Wolna jest od sentymentalizmu i wszelkich iluzji. Jest to miłość ludzkości szczerą ale miłość dla istot niższych i słabszych, miłość złączona z odcieniem »szlachetnej pogardy«.

Złe wyobrażenie o ludziach, szczególnie o tych, z którymi się człowiek bliżej styka, to jest niestety »*privilegium odiosum*« każdej natury wyższej, o ile ją sentymentalne uniesienie chwilowo nie zaślepia. U natur namiętnych, impulsywnych objawia się to bolesnym wyrzutem, u sarkastycznych szyderstwem. Znaną jest zjadliwa apokalipsa Danta potępiająca rodzinną Florencję¹, znane złośliwe wycieczki Schopenhauera przeciw Niemcom i Ruskina surowa krytyka Anglików. Dalej jeszcze idzie Byron i popada już prawie w nienawiść własnego kraju i rodaków.

Ci, co nie mają szczęścia mieć Toskanę lub Anglię za ojczy-

¹ La divina commedia, Purgatorio, canto VI v. 127 sq.

znę, muszą być dyskretniejsi, by krytyką zbyt głośną, choć zasłużoną nie wyrządzić szkody swej ziemi. Lecz gorycz wewnętrzna a nawet i ostre słowa krytyki nie powinny wykluczać przywiązania: „*Il faut se sacrifier pour le peuple tout en le méprisant*“, wypowiedział świetnie Mirabeau.

Trudną sztukę zaleconą w tej ostatniej sentencji posiadał M. A. w całej pełni. Jego łagodna natura nie pozwala mu dojść do mizantropii, chroni go nawet od zniechęcenia. Gardzi w gruncie ludźmi, lecz służy im wiernie. Widząc marnotę ludzkości nie wierzy wprawdzie ani w poprawę ani postęp, lecz chce w orkiestrze, w której tylu gra źle i fałszywie, sam przynajmniej dążyć do zespołu i harmonii. Chce się od otoczenia wyróżnić, być lepszym od innych, choć wie, że go ani nie uznają, ani naśladować nie będą.

Altruizm M. A. ma, podobnie jak u innych mędrców i moralistów świata starożytnego, źródło swe w cnocie sprawiedliwości (*δικαιοσύνη*), tej jedynej z czterech »cnót kardynalnych« świata starożytnego, która bezpośrednio odnosi się do naszego stosunku do bliźnich. Zgodnie z nauką stoików wypowiada M. A. zasadę (XI. 10), iż »wszystkie inne cnoty w sprawiedliwości mają swą podstawę«¹. Kto działa niesprawiedliwie, ten nietylko krzywdzi innych, ale i siebie samego, bo spadała swa własną naturę².

Każę nam wprawdzie być łagodnym, dobrotliwym i wspaniałomyślnym wobec innych, lecz jego miłość bliźniego mieści się zasadniczo w granicach sprawiedliwości i jest wynikiem tej ostatniej. Ta »caritas« etyki stoickiej, będąca wpływem pocucia słuszności i nie wychodząca poza nie jest tedy różną co do stopnia od »caritas« nauki chrześcijańskiej, która w ideale swym nie ma granic i pociąga za sobą poświęcenie się zupełne z zaparciem się doszczętnem własnego interesu. Jeżeli jednak niema zupełnego zapomnienia o sobie w nauce M. A. to jednak tkwi w niej wysoki stopień altruizmu, bo wspomagać cierpiących i ubogich, dzielić się z innymi w potrzebie i inne akty miłosierdzia uważa już za postulaty sprawiedliwości. Znamy nadto już wyrozumiałość dla tych co nas krzywdzą. I ich nie wyłącza M. A. z grona bliźnich, dla których mamy być dobrotliwymi:

VI. 47 i. f.: »Jedna rzecz ma prawdziwą wartość: przepędzić

¹ Zob. także np. VIII. 39, VII. 66.

² IX. 4.

życie w prawdzie i sprawiedliwości, z dobrotliwym usposobieniem wobec innych, nie wyłączając nawet tych, co sami kłamają i są niesprawiedliwi».

Pojęciem »sprawiedliwości« operuje M. A. często i śmiało, nie łamiąc sobie głowy nad tem, gdzie sprawiedliwość się kończy i jak ją w stosunkach społecznych i kolizjach obowiązków bliżej określić i stosować. Nie ma on, jak się zdaje, wielkich wątpliwości, co w praktyce możemy i powinniśmy uznać za sprawiedliwe a co nie; poczucie sprawiedliwości wydaje mu się rzeczą wrodzoną. Wszakżeż to jest zawsze w naszej mocy, mówi on (X. 12), poznać lub dowiedzieć się, co jest naszym obowiązkiem. Podobnie jak braku siły moralnej w wykonaniu obowiązku tak i braku zrozumienia w poznaniu go nie przypuszcza on prawie, skoro mówi (VIII. 32) że »naszemu działaniu według zasad sprawiedliwości nic nie może stanąć na przeszkodzie«¹.

Podobny to sposób myślenia, jaki wogóle często spotykamy w starożytności nie tylko u filozofów i moralistów, ale także, i to przede wszystkim u prawników, których zawód praktyczny nie pozwala na zagłębiania się w subtelności etyczne. Operują oni pojęciem słuszności i sprawiedliwości nie zastanawiając się nad tem bliżej, czy to jest pojęcie dość jasne i określone. Ulpian wprowadzie daje nam² pewien rodzaj definicji prawa i sprawiedliwości w l. 10 pr. § 1 D. de iust. et iure l. 1:

Justitia est constans et perpetua voluntas ius suum cuique tribuendi. Juris praecepta sunt haec: honeste vivere, alterum non laedere, suum cuique tribuere.

Któż jednak może o tem wątpić, że zastosowanie zasady „non laedere“ i „suum cuique tribuere“ jest w praktyce niezmiernie trudne i wątpliwe? Pomimo tego rzymscy juryści nie wahają się uważać pojęć „justum“ lub „bonum et aequum“ za takie, które nie wymagają bliższego komentarza i są dostateczną wskazówką do ocenienia działania w każdym poszczególnym wypadku. I nie da się zaprzeczyć, że w kwestjach specjalnych i rozmaitych subtelnościach prawa prywatnego ich pojęciu sprawiedliwości i słuszności nie

¹ Zob. także piękny ustęp X. 11 mówiący nam, czem powinna być filozofia zastosowana w życiu.

² Zob. także Inst. I. 1 pr. § 3.

są w niczem różne od naszych a nawet, powiedzmy szczerze, były dla nas nauką i wzorem.

Inaczej co do instytucji społecznych i prawnopublicznych. Tu »sprawiedliwość« jurystów i moralistów świata starożytnego zawodzi, nie wyłączając takiego mistrza etyki jakim był M. A.

Dość wspomnąć o instytucji niewolnictwa. W zasadzie przyznaje M. A. równość ludzi i potrzebę uznania tej równości wobec prawa¹, a jednak tolerował on istnienie niewolnictwa będące z tą zasadą w najskrajniejszej sprzeczności. O zniesieniu niewolnictwa nie myślał on zapewne ani na chwilę a w ustawodawstwie swem zaledwie tu i ówdzie starał się złagodzić zbyt niehumanitarne konsekwencje istniejącego stanu rzeczy².

Jest to, mojem zdaniem, w każdym razie myśl piękna i zdrowa kultury grecko-rzymskiej, że jako podstawę uregulowania stosunków społecznych przez etykę i prawo uważa się ideę sprawiedliwości nie zaś li tylko ideę utilitaryzmu i dobra publicznego. Wielu nowoczesnych pisarzy wychodząc z założenia, że pojęcie sprawiedliwości jest rzekomo »nie dość określone«, topi ideę sprawiedliwości w pojęciu ogólnego pożytku osłabiając przez to w groźny sposób podwaliny etyki i prawa³.

Zapewne, zaprzeczyć się nie da, że pojęcie sprawiedliwości podlega ewolucji, ulega modyfikacyom i zmianom w różnych epokach i bywa subiektywnie pojmowanem rozmaicie i nieraz w sposób mylny i niedorzeczny. Ale czyż nie jest tak samo z pojęciem »pożytku« lub »dobra publicznego«?

Weźmy tylko drastyczny przykład: Rozpustnica »z filantropii«, która stara się jak najwięcej przysporzyć rozkoszy rodowi męzkiemu, fanatyk religijny, który dzieci innowierców wykrada i po ochrzczeniu zabija, ażeby im niebo zapewniać, oto osoby, które subiektywnie mogą się uważać za działające jak najskuteczniej dla »dobra ludzkości«. Czy znajdziemy analogię podobnego absurdu w dziedzinie myślenia o pojmowaniu sprawiedliwości?

¹ Zob. I. 14.

² Dalej od niego idzie Epiktet, który zasadniczo potępia niewolnictwo, podnosząc duchową równość niewolnika z wolnym (zob. Arrian I. 13. 5). Nie trzeba jednak zapominać, że Epiktet był sam wyzwoleniec a więc w kwestyi tej do pewnego stopnia osobiście interesowany.

³ Zob. np. John Stuart Mill, *Utilitarianism*, szczególnie Chapter V: *On the connexion between justice and utility*.

Z innych przymiotów, którymi powinno być nacechowane nasze postępowanie wobec ludzi podnosi M. A. przede wszystkim *prawdomówność, prostotę i skromność*¹, która to ostatnia nie dochodzi wszakże u niego do granic pokory. Wstręt ma zarówno do dumy i arogancji jak do hipokryzji i wszelkiej afektacji a w subtelny sposób podnosi, że popisywanie się i przechwalanie swą skromnością jest właśnie rodzajem zarozumiałości i braku skromności najbardziej antypatycznym².

Przy całej otwartości nie radzi wszakże zbyt mocno narzucać się innym ze swem zdaniem, tem bardziej, że i tak zwykle innych nie przekonamy (VIII. 4 i IX. 11). W sędzie zresztą o innych ludziach i ich opiniach należy być wstrzemięźliwym pamiętając o tem, że bardzo wiele musimy się najprzód sami nauczyć i przeżyć, ażebyśmy mogli sądzić drugich (XI. 18). »W pisaniu i czytaniu nie będziesz nauczać innych, jeśli sam reguł nie znasz. O tyle bardziej powinno tak być w życiu« (XI. 29).

Jeżeli obok tego często M. A. mówi o pogodzie i wesołości w obchodzeniu się z ludźmi i stosunkach towarzyskich, to ma się przecież wrażenie, że to jest wesołość wmówiona. Jest on bowiem w gruncie naturą smutną i melancholijną a jeśli uśmiech kiedy igrał na jego ustach, to z pewnością nie bez odcienia goryczy. Szczypota humoru i ironii, wrażliwość silniejsza na śmieszności ludzkie, właściwości, które spotykamy u niejednego z mędrców starożytnych, byłyby mu się przydały i ułatwiłyby mu zapewne znacznie znieść życie, które przecież musiało mu niekiedy dotkliwie ciążyć.

Przy jak najsilniejszym zaznaczaniu obowiązków społecznych i nakazu miłości bliźniego ceni M. A. i uważa za wielkie szczęście niezawisłość od innych, możność obchodzenia się pod względem materyalnym i moralnym bez cudzej pomocy (II. 5 i. f.). Dziękuje też opatrności za niezawisłość daną mu w udziale (I. 17). Prawdziwie ubogim w jego oczach jest nie tyle ten, co ma nie wiele, jak ten, co potrzebuje pomocy drugich i bez niej nie może się obejść (IV. 29).

Resumé wreszcie niejako stosunku naszego do bliźnich polega w zdaniu, iż »nie należy wobec innych ludzi być nigdy ani tyranem

¹ Zob. np. XI. 1 i 15, IX. 29, VII. 66, VIII. 5, XII. 29 i inne ustępy.

² XII. 27 i. f.

ani też niewolnikiem« (IV. 31). Ironia losu chciała, że ten, co to wypowiedział, musiał przez ciąg swoich rządów być właśnie i jednym i drugim.

IV. Obowiązki wobec społeczeństwa i państwa.

Obowiązki nasze wobec ogółu zaznacza M. A. jeszcze stanowczej niż prywatny nasz stosunek do bliźnich. Jak wogóle każdy Rzymianin posiada i on w najwyższym stopniu poczucie niezbędności organizacyi społecznej i państwowej i nie umie sobie nawet rozluźnionego aglomeratu ludzi wyobrazić. Kładzie nacisk na to, iż nawet zwierzęta dla skutecznego osiągnięcia tego, co im jest potrzebnem, organizują się i pomagają sobie wzajemnie (V. 1, IX. 9).

Socyalną naturę człowieka podnosi on tak silnie, iż powiada: IX. 23: »Skoro wchodzisz w skład społecznego systemu, to niech każdy twój czyn będzie czynnikiem życia socyalnego. Czyn, który bezpośrednio lub pośrednio nie odnosi się do celów socyalnych, odciąga cię od właściwych zadań życia«.

Nie wolno nam się w życiu oddawać beczynności lub kontemplacyi, winniśmy ciągle pracować i działać mając cele ogólne na oku (IX. 16). Jeżeli rzecz jakaś jest dla nas przykrą i nieprzyjemną, to czuć tego nawet nie powinniśmy, jeżeli jest pożyteczną dla ogółu (X. 6) ¹.

X. 33... »Pamiętaj o tem, że temu, co się czuje obywatelem, żadna rzecz nie dolega, która nie dolega państwu«...

A wreszcie te słowa proste i pełne szlachetnej godności: XI. 4: »Czy zdziałiałem coś dla ogólnego pożytku? Jeśli tak, mam w tem już nagrodę«...

Te i tym podobne sentencye powtarzają się często w myślach M. A. Mają one przeważnie ten ogólnikowy charakter. Znać w nich do egzaltacyi posunięte poczucie, iż służyć trzeba krajowi i państwu, lecz trudnoby poznać, że to mówi monarcha a nie zwykły obywatel. Niekiedy występuje specjalnie zaakcentowanie patriotyzmu Rzymianina (II. 5, VI. 44) ². W jednym tylko miejscu wspomina

¹ Zob. także w VI. 54 aforyzm: »Co nie jest dobrem dla roju nie jest też dobrem dla pszczoły«.

² Zob. powyżej str. 15.

o sobie jako o panującym (III. 5), ale porównując się tylko do żołnierza na posterunku. Obowiązki społeczne traktuje on wogóle tylko jako obowiązki »obywatela« widząc widocznie także w panującym nie więcej, jak tylko służbę społeczeństwa. Wynika to także ze słów w I. 16, gdzie sławiąc przymioty swego poprzednika Antonina Piusa podnosi, iż nie uważał on się za nic więcej, jak tylko za zwykłego obywatela państwa.

Dwa dłuższe ustępy poświęcone pamięci Antoninusa Piusa¹, wzruszające prawdziwie jako świadectwo najwyższej czci i wdzięczności, wskazują nam zarazem pośrednio, co uważał za wzór i ideał panującego i jakim sam starał się być w ciągu swoich rządów. Jako regułą bowiem stawia sobie: »Czyń wszystko jako godny uczeń Antonina«!

Przedewszystkiem więc widzimy, że potępia on tyranię (»cezaryzm«, jak się wyraża), taką niezawodnie, jaka się wyrobiła pod imperatorami poprzedzającymi dynastję Antoninów. Cnoty, które zaleca, są przedewszystkiem cnotami pierwszego obywatela, świecącego najlepszym przykładem.

Spotykamy tam przymioty specjalnie u panujących trudne i rzadkie jak: uznanie dla otwartości cudzego zdania, wstręt do pochlebstw a nawet lekceważenie pochwał i pogarda dla schlebiana tłumom.

Czy czasy Antoninów były rzeczywiście tak szczęśliwe, iż atmosfera dokoła tronu mogła być tak czystą, jak to nam przedstawia M. A., czy też widzi on wszystko piękniej przez pryzmat synowskiej wdzięczności? Czy mógł istotnie Antoninus uzyskać tak ogólną miłość i uznanie »szlachetności« w najszerszych sferach nie używając »mniej szlachetnych« środków jak kłamliwej reklamy, opłacania zauszników i agitatorów, schlebiana ludowi i t. d.? Jeżeli tak, to należy podziwiać nie tylko ludzi, ale i epokę. W dzisiejszych czasach panującym i ludziom stojącym na wybitnych stanowiskach politycznych jest to, jak się zdaje, niestety niemożliwem.

W ustępie I. 14 wspominając o wpływach na swą młodość i wychowanie wypowiada M. A. przekonania jeszcze bardziej »liberalne«, w których znać nawet tradycję z czasów Rzeczypospolitej. Powołując się na powagi republikańskie jak Catona i Brutusa mówi o polityce »równości ustaw dla wszystkich«, administracyi za-

¹ I. 16 cit. i VI. 30.

zapewniającej »równość praw i równą wolność słowa« o »rządach królewskich, które przedewszystkiem szanują wolność rządzonych«.

Na podstawie teorii filozoficznych M. A. i powyżej przytoczonych politycznych jego zapatrywań możnaby się było spodziewać po nim daleko idących tendencji reformatorskich na polu społecznym i politycznym. Tymczasem, jak wiemy z dziejów jego życia i panowania, rzecz się miała odmiennie. Zapewne, należy on do »postępowych« i kulturalnych monarchów, ale śmiałą naturą reformatorską nie był on przecież wcale. Akta jego ustawodawczej i administracyjnej działalności są wprawdzie prześiąknięte humanitarnymi dążeniami, szlachetnością i łagodnością, ale niema w nich nigdzie śmiałych pomysłów, daleko idących tendencji reformatorskich, ulepszeń na szerszą zakrojonych skalę. Nie idzie on nawet tak daleko w reformatorskich zapatrywaniach, jak proponowali niektórzy z jego współwyznawców szkoły stoickiej np. Epiktet lub Seneca. O ile przewyższa innych w zalecaniu osobistej łagodności i dobrotliwości wobec bliźnich, o tyle jak najmniej wysnuwa z tego konsekwencji dla krytyki i zmiany instytucji społecznych i państwowych.

Przyjmuje on ówczesny porządek państwowy Rzymu jako instytucję bez zarzutu, mimo że stan ten według jego własnych zasad politycznych i moralnych był niezawodnie daleki od ideału. On, tak wybitny i natchniony szermierz idei wolności indywidualnej, szczerości i niezależności przekonań przyjmuje nieograniczone samodzielnictwo rzymskiego imperatora bez wszelkiej krytyki i wykonuje je nie modyfikując samej instytucji w żadnym kierunku. Ogranicza się do rady, by władzę wykonywać łagodnie i w sposób ludzki.

Niech nas to nie zadziwia. M. A. był naturą na wskrós konserwatywną. Radby być reformatorem myśli i uczuć ale nie instytucji. Nie wierzył on też może w skuteczną reformę społeczną bez naprawy obyczajów i w tem miał poniekąd słuszość.

Konserwatywny ten sposób myślenia objawia się też w jego Rozmyśleniach. Wyraża się np. (IX. 29) z lekceważeniem o idealnych mrzonkach »Republiki Platona« mówiąc natomiast, że należy być w życiu społecznym zadowolonym, »gdy każda, choćby najdrobniejsza rzecz idzie dobrze«. Przytacza za to z emfazą słowa Sokratesa z »Apologii«, iż człowiek, tam gdzie go okoliczności postawiły w przeznaczonym mu zadaniu powinien wytrwać, jak żołnierz na posterunku, gotowy na wszystko, śmierć nawet, tylko nie dezercję i zdradę.

Nie pyta się tedy bliżej M. A., czy postereunek przeznaczony komuś w państwie i społeczeństwie wyznaczono mu słusznie, czy nie, ani też, czy cała organizacja jest dobra i, czy nie wymaga przekształcenia lub naprawy.

Zbyt dobrze zresztą znał on ujemne strony ogromnej większości rodu ludzkiego i dlatego nie wątpił, że organizacja społeczna w związku państwowem musi polegać na silnej władzy, przymusie i karze a zadawałniał się tylko tem, że w praktyce sprawiedliwość, łagodność i rozumne zastosowanie przepisów szorstkość organizacji zmodyfikuje.

Ani śladu tedy u M. A. owej tendencji oparcia porządku świata i wzajemnego stosunku ludzi na zasadach miłości wzajemnej i poświęcenia, jak to głosili w dziejach świata rozmaici apostołowie religijni i społeczni a w nowszych czasach np. Tolstoj. Miłość społeczna Tolstoja jest elementem anarchistycznym, bo osłabia bliższe związki społeczne (jak: rodzina, gmina i państwo) nie zapewniając niczem przeprowadzenia idei »miłości i poświęcenia« w ludzkości. Ciemnota i złość olbrzymiej większości ludzi wyklucza wiarę w mrzonkę, że na przymiotach, do których zdolne są tylko natury wyjątkowe i wybrane, można oprzeć organizację społeczną. Opierając ją na »poświęceniu« dalibyśmy z góry przewagę tym, co poświęcać się nie będą, przeciwnie wyzyskają poświęcenie drugich. Apostołowie »poświęcenia bez granic« mogli unieść i zachwycić ludzkość pięknnością słów, szlachetnością myśli, lecz stosunki praktyczne zmusiły wszędzie i zawsze do zmodyfikowania tych pięknych teorii.

Podobnie jak w administracji, był też i w polityce zewnętrżnej M. A. wiernym sługą państwa według surowych dawnych tradycji. Wiadomo, że znaczną część rządów spędził on na wyprawach wojennych w obronie granic państwa, zagrożonych przez najazdy ludów północnych. Wojny przeciw Markomanom, Quadom a także Sarmatom należały do najprzykrzejszych i najtrudniejszych zadań, były połączone z najwyższymi niewygodami, ofiarami i wysileniem. Okazał się w nich M. A. nie tylko osobiście mężnym, lecz nadto organizatorem znakomitym a wodzem przezornym. Wiadomo, że mu lata na tych bojach przeszły i że umarł w czasie jednej z wypraw na północnych kresach państwa w Vindobonie.

W dwóch miejscach Rozmyślań jest wzmianka, że pisane

są w czasie tych wypraw uciążliwych¹. Być może, że tam w życiu obozowem, na kresach, najbardziej czuł się osamotniony, najbliższy śmierci, najskłonniejszy do medytacji.

Jest coś wielkiego i patetycznego w postaci tego szlachetnego, wysoce kulturalnego myśliciela, który, ofiara wspaniałego lecz nie-szczęsnego dlań losu, musi w dzikich okolicach walczyć z barbarzyńcami, sam jeden cywilizowany na czele najętych, krwiożerczych i chciwych rabunku legionów. Na ogromnym obszarze niecywilizowanych krajów w ciągu długoletniej tułaczki wojennej nie miał zapewne ani jednej duszy pokrewnej, zdolnej zrozumieć go. Jakiż rozdźwięk między tą duszą czystą i łagodną a twardem wojennem rzemiosłem! Inny, mniej silny, mniej przejęty poczuciem państwowego obowiązku, cisnąłby był zapewne w tych warunkach obmierzłą władzę i w jakimś spokojnem ustroniu szukał schronienia. M. A. byłby to uważał za podłą dezercję, więc wypił ten imperatorski kielich goryczy aż do dna, choć władzy i sławy nie cenił i nie dbał o tryumfy i pomniki, któremi go Rzym darzył.

Zapiski jego nie przekazały nam ani słowa skargi lub ubolewanie na ten los uciążliwy, lecz spotykamy tam jeden ustęp charakterystyczny, świadczący o niechęci, którą go napawał zawód wojenny.

X. 10: »Pająk jest dumny jak chwyci muchę, ktoś inny gdy upoluje zająca lub złapie rybę w sieć, inny gdy złowi dziką lub niedźwiedzia, inny wreszcie, jeśli pojmie Sarmatów. Czyż to wszystko nie rozbójnicy, jeśli się przypatrzysz bliżej ich sposobowi myślenia?«

Uczuciu jego jako filozofa-moralisty wojna przedstawia się więc jako rodzaj rozboju, lecz sądzi, iż ważniejszym nakazem jest tu interes ojczyzny, który mu ją prowadzić nakazuje. Więc nawet tej pociechy nie miał M. A., by widzieć w swych bojach szczytną i wysoką misję. Była ona dlań przykrym tylko ciężarem, pługiem, w który go los wprzągnął. Ciągnął go sumiennie, lecz w całej swej wielkości i sławie czuł się przecież niewolnikiem.

Widać to ze słów zawartych w III. 3, kiedy porównując życie filozofów i mocarzy przyznaje stanowcze pierwszeństwo pierwszym:

»Aleksander i Caius (Caesar) i Pompeius czemże byli w porównaniu z Diogenesem, Heraklitem i Sokratesem? ci mieli świadomość

¹ Na końcu pierwszej książki jest wzmianka: »pomiędzy Quadami nad Granuą, a na końcu drugiej słowa: »To jest Carnuntum«.

mość rzeczy i ich przyczyn, życie ich mogło odpowiadać ich przewodnim zasadom; a tamci ileż mieli trosk, iluz spraw byli niewolnikami!»

Aleksander Wielki, mimo że mu imponował Diogenes, nie chciał na los się z nim mieniać, M. A. byłby to chętnie uczynił, gdyby mógł sobie przyznać prawo wyzucia się z obowiązków mocarza świata.

V. Wyrabianie własnego charakteru.

Najwięcej stosunkowo uwag w swych zapiskach poświęca M. A. kwestyi, jakim człowiek sam być powinien, jaki wyrobić w sobie powinien charakter i sposób myślenia. O tych właśnie kwestyach mówi z najsilniejszym przekonaniem, często z emfazą, zadziwiającą u natury sceptycznej i niekiedy chłodnej. Jest on tu entuzyastycznym zwolennikiem szkoły filozoficznej, do której należy, wiadomo bowiem, że szkoła stoików przedewszystkiem kładzie nacisk na hart duszy i wyrobienie sobie niezawisłości i nieugiętości charakteru.

Obowiązki te względem własnej osoby uważają mędrcy i moralisci starożytni za punkt wyjścia w nauce etyki i sztuki życia. Z owych czterech cnót kardynalnych będących, ich zdaniem, podstawą życia dobrego i pożytecznego trzy, mianowicie fortitudo, prudentia i temperentia są regułami życia dotyczącymi się w pierwszym rzędzie nas samych, a dopiero pośrednio oddziałującymi na nasz stosunek do bliźnich. Zawierają one tedy w swej treści także dbanie o siebie samego, o własne nasze dobro i to nie tylko moralne i umysłowe, ale nawet fizyczne i materialne.

Sposób pojmowania moralistów chrześcijańskich jest nieco odmienny. Nie zaprzeczają oni wartości owym »cnotom kardynalnym«, lecz widzą w nich nie wyłącznie »cnotę«, lecz zarazem rozsądne i praktyczne reguły życia. Przenoszą też nad nie wartość trzech cnót teologicznych. Nie zapominajmy wszakże, że podstawą etyki chrześcijańskiej jest wiara i objawienie. Życie i słowa Chrystusa są owym objawionym przykładem najwyższego ideału życiowego, wskazującym nam, czem mamy być i jakim powinien się stać nasz charakter i sposób myślenia. Starożytność w swej »religii« nie znajduje wzorów moralności, bo nie są nią z pewnością bogowie Olimpu, ani też ów spuryfikowany Zeus, mglisty nieco kierow-

nik świata, o którym, podobnie jak inni filozofowie, wspomina czasem M. A. Złączenie więc ściślejsze etyki z utylitarnymi regułami życia oraz kwestią kształcenia siebie samego a nadto oddanie tych tematów pod ogólny kierunek filozofii było rzeczą naturalną u nich i konieczną.

Zastanawiając się nad tem, czemeśmy być powinni, nie zaniedbuje M. A. wzmianki o obowiązkach względem naszego ciała, lecz zbywa je krótko, napotykając tylko mimochodem. Wspomina o potrzebie piękności harmonijnej w ciele i ruchach¹, ale zarazem usilnie przestrzega przed afektacją. Więcej stosunkowo nacisku kładzie na odporność naszej natury i wytrzymałość fizyczną. Sztuka życia naszego, mówi on (VII. 61) »jest bardziej zbliżoną do szermierki, niż do kunsztu tańca ze względu na to, iż często musimy odeprzeć atak nagły i niespodziany«. Tu i owdzie znajduje się też wzmianka, zawsze rozsądna, dotycząca się higieny.

Fizyczną stroną naszego życia zajmuje się jednak M. A. głównie w tem znaczeniu, iż jak najusilniej nakazuje pędzić tryb życia surowy i nie dogadzać w niczem i nigdy zmysłowym przyjemnościom i rozkoszom². Wiadomo też, że sam od młodości pędził życie twarde, ascetycznie niemal, nietylko usuwając się od wszelkiego nadmiernego użycia zmysłowego, ale gardząc nawet komfortem i wygodą.

Niech nikt, woła on (V. 9) nie odwraca się od cnoty i obowiązku refleksyą, że coś innego jest dlań »przyjemniejszym«. To co nam się zdaje przyjemnością i rozrywką aż nadto często zawodzi, wykonywanie zaś tego, co uważamy za cnotę, doskonalenie się w przyniotach moralnych, staje się nam z czasem przyjemnością, tak jak i umysłowa wyższość, wiedza i zrozumienie świata daje nam wewnętrzne zadowolenie.

Pogardy dla dóbr doczesnych nie spotykamy wprawdzie u niego, a tem mniej zalecenia, abyśmy się z nich wyzuli i zupełnie nie dbali o nie. Nie powinniśmy się tylko zbyt do nich przywiązywać a w nabywaniu ich wystrzegać się chciwości. Myślmy też raczej z zadowoleniem o tem, co nam los dał, niż o tem, czego nam jeszcze brak (VII. 27).

Nie przeceniajmy jednak niczego i nie przywiązujmy się zbyt

¹ Zob. VII. 60.

² Zob. np. V. 5, VII. 55, VIII. 10 i 19.

do rzeczy, które posiadamy a możemy stracić, ażeby nam się nie wydawały czemś niezbędnem. Nie przywiązujemy zbyt wielkiej wagi do drobiazgów życia. Życie jest małostkowe i marne. Bierzmy w niem udział z usposobieniem pogodnem i bez dumy, lecz pamiętajmy o tem, że każdy tyle właśnie jest wart, co rzeczy, o które się troszczy i na których mu zależy (VII. 3).

Regułę życia, iż powinniśmy być wyżsi ponad rozkosze i przyjemności świata¹ zaleca M. A. niejednokrotnie i to z największym naciskiem. Surowy tryb życia, panowanie nad zmysłami i niedogadzanie im, ograniczenie się w rozrywkach i przyjemnościach, wyćpienie w sobie słabości i nałogów, to są wszystko warunki utrzymania supremacji ducha nad ciałem i wyrobienia sobie niezawisłości charakteru. Gardzenie przyjemnościami fizycznymi nie dochodzi jednak u niego aż do dręczenia ciała i zadawania sobie świadomego cierpienia i bólu², tak, jak to np. zalecają często surowi moralści chrześcijańscy.

Połączenie ciała i duszy w naszym organizmie pojmuje M. A. w podobny sposób jak nauka chrześcijańska, z tą oczywiście różnicą, że nie stawia żadnych stanowczych twierdzeń co do losów duszy po rozstaniu się z ciałem. Ciało powinniśmy zawsze uważać za niższą, gorszą i podlejszą stronę naszego jestestwa. Jest ono tylko nędzną powłoką naszej stokroć cenniejszej duchownej strony³ i staje często rozwojowi ducha na przeszkodzie, mąci go i nakłada mu pęta. Doprowadzenie do panowania ducha nad ciałem przez gardzenie przyjemnościami fizycznymi, wyrobienie w sobie wytrzymałości na niewygody a nawet bole, choroby i katusze, to są główne podstawy wyrobienia moralnego, które zgodnie z zasadami szkoły stoickiej z głębi przekonania zaleca nam autor.

Widoczne zachodzi tu zbliżenie do wyobrażeń moralistów chrześcijańskich, ale przecież dostrzegamy pewną zasadniczą różnicę. Stoicy wymagają panowania ducha nad ciałem, ujarzmnienia ciała, by było zawsze na posługi ducha; chrześcijańscy moralści idą dalej i chcą zupełnego zwyciężenia, zgniebienia natury cielesnej. Pierwsi chcą mieć ciało silnem, zahartowanem; drudzy w cielesnej stronie widzą wogóle element wrogi dla duszy, która pragnie być czystą

¹ Zob. np. II. 7, VIII. 8.

² Zob. VIII. 42: »Niema powodu, bym sobie zadawał udręczenia, skoro świadomie nie wzrządzałem ich nigdy innym«.

³ Zob. np. XII. 1 i 2.

i bez skazy. Regułą życia pierwszych wobec ciała naszego jest surowo pojęte »umiarkowanie« (temperantia); regułą drugich »umartwienie«.

Uwydatni się nam to najlepiej, jeżeli zestawimy np. rezonowania M. A. z wywodami jednego z najświetniejszych pisarzy chrześcijańskich, Tomasza a Kempisa w sławnym »Naśladowaniu Chrystusa«. Wiele ustępów o »ujarzmieniu« ciała brzmi tu bardzo podobnie do reguł życia szkoły stoickiej. Ale przecież jest to sposób pojmowania w gruncie wręcz odmienny. U M. A. jest ciało gorszą naszą częścią, ale może i powinno być podporą ducha; u autora »Naśladowania Chrystusa« jest ono zawsze tylko wrogiem ducha, możliwem źródłem upadku i grzechu. M. A. każe nasze skłonności fizyczne trzymać na wodzy, lecz żyć zgodnie z naturą; Tomasz a Kempis każe z cielesną naturą, jako czemś z gruntu złem walczyć na każdym kroku¹, zgnębienie jej zupełne jest dopiero tryumfem chrześcijańskiego ducha.

Możność o władnięcia wewnętrznem postanowieniem woli naszego całego sposobu myślenia i nadania mu przez to pewnego z góry określonego kierunku, a w konsekwencji możność opanowania naszych wrażeń i uczuć jest u M. A. podniesiona nieledwie do wysokości dogmatu. Można by prawie powiedzieć, że ta »moc nad sobą samym«, to jedyny dogmat, w który autor niezłomnie wierzy. Nikt może, nawet ze szkoły stoików, tak silnie nie zaakcentował zdolności opanowania myśli i postanowieniem naszych uczuć. Jest to niemal wręcz zanegowanie zasady, że powstające w nas uczucie jest tylko czemś biernem¹ »wywołanem« w naszej duszy zewnętrznym wpływem.

M. A. utrzymuje, że wrażenia nasze i uczucia są przedewszystkiem tylko »opinią naszą« o tem, co nas spotyka. Otóż opinia ta jest w naszej mocy, możemy nad nią panować, a przez to siłą woli uczucia zmodyfikować, osłabić, unicestwić nawet. W licznych ustępach i przykładach stara się nam to autor objaśnić i ilustrować. Zasadę samą określa on w sposób następujący:

VI. 8: »Nasza wewnętrzna przewodnia siła taką się czyni, jaką chce być, a tem samem sprawia, że wszystko, co się zdarza, przedstawia się nam tak, jak ona tego chce«.

¹ Zob. np. ks. IV. cap. LIV wymowny ustęp o przeciwstawieniu »natury«, »lascie«.

VII. 2... »O każdej rzeczy mam moc mieć taką opinię, jaką mieć powinienem«.

XII. 22: »Pamiętaj, że wszystko jest opinią, a ta jest w twojej mocy. Odrzuć ją, skoro chcesz, a tak jak żeglarz, który opłynął półwysep górzysty, znajdziesz się w spokojnej przystani«.

Przyjmuje więc M. A. w nas tak silny dar autosugestyi lub, mówiąc trywialnie, »wmawiania w siebie«, iż przeciwważy on poniekąd działanie naszych zmysłów i czyni nas panami sytuacji nawet w chwilach najsilniejszych ataków na zmysłową stronę naszej natury. W ten sposób przypisuje on nam nie tylko możliwość oparcia się wszelkiej pokusie, ale nadto przewyciężenia i zniesienia z największym spokojem wszelkich utrapień tak fizycznych jak i moralnych.

Gdybym chciał cytować wszystkie ustępy, w których M. A. mówi o potrzebie wyrobienia sobie wytrzymałości na cierpienia i wogóle siły charakteru, musiałbym przytoczyć prawie połowę tekstu jego Rozmyślań. Ta kwestya jest jednym z głównych jego przewodnich motywów. Ograniczam się tedy do kilku charakterystyczniejszych ustępów.

W V. 8 mówi on, że przeciwności przeznaczone nam przez los trzeba znosić tak jak przepisane nam przez lekarza środki lecznicze, bez oporu i szemrania, choć są nieprzyjemne, w przekonaniu, że opatrność nam je zsyła dla dobra ogólnego lub pożytku nas samych.

VII. 33: »Cierpienie, które jest nie do zniesienia zabiera nas; każde inne choć długotrwałe znieść możemy, przyczem dusza nasza zachowuje spokój przez skupienie się a kierująca nasza siła wewnętrzna nie staje się gorszą«.

X. 3: ... »Jesteś przeznaczony od natury do znoszenia wszystkiego i od twej własnej opinii zależy cierpienia uważać za znośne, pamiętając o tem, że to jest albo w twym interesie albo twoim obowiązkiem«.

VIII. 28. Cierpienia tak fizyczne jak i moralne nie powinny nam nigdy odbierać pogody myśli i spokoju, gdyż zawsze znaleźć w sobie należy tę siłę, by uznać, że one nie mogą dotknąć wyżyn naszego ducha.

VIII. 47: »Jeżeli ci coś z zewnątrz dokucza, to nie tyle dręczy cię rzecz sama, ile sąd twój o niej. A jest to w twojej mocy sąd ten

zmienić. Skoro to zaś właściwie tylko twa wewnętrzna dyspozycja ci dolega, coż ci przeszkadza zmienić twe zapatrywanie?«...

Wzniosłą regułę zawiera IV. 49: »W każdej okoliczności, gdyś skłonny czemuś się irytować zastosuj tę zasadę: myśl mniej o tem, że to co cię spotyka jest nieszczęściem, lecz raczej że móżdż znieść to w sposób godny jest szczęściem«.

Piękny też zwrot spotykamy w X. 35: Oko zdrowe znosi każdą barwę, nie wymaga, tak jak chore, tylko barwy zielonej; żołądek zdrowy trawi wszelkie potrawy; taksamo charakter silny pokonuje wszelkie przeciwności.

Podobnie w X. 31: Życie całe jest jednym ciągiem ćwiczeniem dla naszego rozumu i ducha; przez wytrzymałość pokonujemy wszystko, tak jak żołądek wytrzymały strawi nawet najgorsze pokarmy.

X. 25: Obawa, gniew, irytacja wobec obowiązków nałożonych na nas przez naturę jest buntowaniem się przeciw prawu świata, moralną dezercją.

X. 28: Człowiek irytujący się swym losem robi wrażenie świni kwiczącej i wierzgającej, gdy ją prowadzą na ofiarę.

Potrzeba surowego panowania nad sobą pociąga u M. A. nawet tę, przesadnie już ponurą konsekwencję, że gani on wszelką myśl o szczęściu i sny o niem i radzi pozbyć się z góry wszelkiej imaginacji i złudzeń¹.

Piękny, prawdziwie bohaterstwem tchnący ustęp o znoszeniu cierpień zawiera:

VII. 68: »Jest to w twojej mocy utrzymać swą swobodę i niezależność myśli i spokój duszy, choćby świat cały okrzyki przeciw tobie wznosił i choćby dzikie zwierzęta szarpały członki tej nędznej powłoki cielesnej, które cię otacza. To wszystko nie powinno odebrać ci spokoju i niezawisłego sądu«...

Czy jest w tych słowach przesada? Nie sędzę. M. A. tak zupełnie wolny zresztą od wszelkiej pozy, wierzył z pewnością w szczerść swych słów, w możność wzbudzenia w sobie takiego hartu. I istotnie, jeżeli silna wiara i nadzieja nagrody pośmiertnej mogły u męczenników wywoływać najwyższą ekstazę i cud zapomnienia o bólach, dlaczegożby kult moralnej siły nie zdołał podobny wywołać skutek? Wszakżeż historia wykazuje wspaniałe przykłady mę-

¹ Zob. VII. 17 i 29, VIII. 29, IX. 7.

czenników myśli i wiedzy. Nie są oni tak liczni, jak męczennicy wiary, lecz wielkoduszością im nie ustępują i na nie mniejszy zasługują podziw.

Dzisiejsi ludzie, w olbrzymiej większości słabi i zdegenerowani, nie są zapewne w stanie pojąć sposobu myślenia M. A. Co do mnie wyznaję, że odnoszę prawdziwie orzeźwiające wrażenie zestawiając tę potężną wiarę we własne siły z teoryami nowoczesnych dekadentów, którzy widzą w człowieku bezmyślną ofiarę wrażeń i nałogów, gardzą pracą nad sobą i nie wierzą w samoistną sprężynę samopoznania i woli nadużywając filozoficznych teorii determinizmu, aby napozór »naukowo« uzasadnić lubowanie się we własnym zniechęceniu i niechlujstwie moralnem.

Na podstawie przytoczonych już zdań nie trudno jest odpowiedzieć na interesującą kwestyę, jak się M. A. zapatruje na problemat wolnej woli? Wprost nie stawia on tego zagadnienia w tej formie, jak to czynią późniejsi, szczególnie chrześcijańscy moralisci i dzisiejsza nauka. Spotykamy u niego pewne ustępy, które nawet brzmią, jak gdyby teoria zupełnego fatalizmu. Mówi on niejednokrotnie, że to co nas spotyka jest dla nas nieodwołalnie przeznaczone od wieków¹. M. A. jest więc skłonny przyjąć pewne »przeznaczenie« co do losu, który nas spotyka, ale o tyle silniej akcentuje wolną wolę naszą, co do wyrobienia w sobie dyspozycji i siły pod względem zniesienia naszego losu. Zachowanie się zgodne z naszą wyższą naturą jest zdaniem jego zawsze w naszej mocy. Mamy tu tedy nie tylko afirmację wolnej woli, ale nawet sposób jej pojmowania bardzo szczytny i idealny.

Mówi on np. w V. 10... »Jest to w mojej mocy nie działać nigdy w sprzeczności z głosem owego boskiego demona, który tkwi we mnie: żaden człowiek nie jest w stanie do tego mnie zmusić«.

A w V. 29... »Jestem wolny, i nikt mi nie przeszkodzi robić to, com postanowił«...

Wreszcie cytat z Epikteta XI. 36 »Nikt nie jest w stanie odebrać mi mej wolnej woli«.

¹ Zob. X. 5 a także V. 8, IV. 26 i VII. 46. W tym ostatnim ustępie mówi, że »nikt nie może uniknąć swego losu«. Dodaje jednak, że tak »kobiety mówią«. Ze słów tych możnaby raczej sądzić, że on sam tej wiary nie bierze bezwzględnie na seryo, ponieważ zresztą niejednokrotnie wyraża się M. A. ujemnie i z lekceważeniem o sposobie myślenia kobiet.

Szczytem wzniosłego pojmowania owego poddania się losowi z jednej strony, z drugiej zaś dążenia do wytworzenia indywidualnej siły i odporności jest zadziwiająco piękny ustęp, w którym naucza nas, jakimi powinny być nasze modły do bogów.

Nie żądamy od bogów, mówi on (IX. 40), zmiany ich postanowień, nie módlmy się o to, by nam dali to, czego pragniemy, lub odwrócili od nas to, czego sobie nie życzymy, lecz prosimy, by nam dozwolili wytworzyć w sobie potrzebną siłę, by to, co nas spotka, znieść mężnie i wytrwale.

O ile nie idzie o modły o celach altruistycznych, ten typ modlitwy M. A. jest niezawodnie najszczytniejszy.

Ale i w modłach altruistycznych powinniśmy w podobny sposób prosić nie o odwrócenie wypadków, lecz o danie osobom drogim nam siły do mężnego zniesienia ich.

Podobnie jak inni mędrcy starożytni a specjalnie stoicy łączy M. A. wydoskonalanie swej własnej natury przedewszystkiem z wyrabianiem w sobie cnót, które uważano wówczas za podstawowe. Są nimi: roztropność, sprawiedliwość, umiarkowanie i męztwo (*φρόνησις, δικαιοσύνη, σωφροσύνη, ἀνδρεία*)¹. M. A. nieraz wspomina o nich w tym związku².

¹ W powyższych wyrazach greckich używam ortografii nowych wydań tekstu M. A. W klasycznej epoce literatury greckiej jest ona w pierwszym i czwartym słowie nieco odmienną.

² Zob. np. V. 12, VIII. 1, III. 6. W tłumaczeniu na inne języki sens wyrazów greckich oznaczających pojęcia cnót kardynalnych nie zawsze występuje trafnie i czysto. Tylko pojęcie »sprawiedliwości« oznaczają wszystkie języki zgodnie, oddając wiernie przymiot, o który tu idzie. Inaczej co do innych cnót. Grecki wyraz *ἀνδρεία* (częściej *ἀνδρεία*) oznacza odwagę ale zarazem i wytrzymałość, przyczem wykluczona tu jest odwaga w obronie czegoś naganego, jak nie mniej odwaga nierozważna, karkołomna lub bezmyślna. Pojęcia te oddają dobrze tylko języki słowiańskie przez wyraz »męztwo« (podobnie w innych słowiańskich językach), który nietylko ma tę samą etymologię, co wyraz grecki, ale i sens, jak sądzę, identyczny. Łacińska »fortitudo« (włoska »fortezza«) jest wyrazem mało potocznym i osłabia znaczenie pojęcia podnosząc raczej »siłę« niż »odwagę«. Natomiast wyraz używany często w tłumaczeniu francuskim i angielskim »courage« oznacza jednostronnie tylko »odwagę«. W niemieckim używają bądź wyrazu »Stärke« bądź »Mut«. Każdy z nich daje sens jednostronny.

Co się tyczy greckiej *φρόνησις* (częściej *φρόνησις*) jest to władza umysłowa wskazująca nam to, co jest dla nas pożytecznem a zarazem dobrem ze stanowiska etycznego, głos wewnętrzny mówiący nam, co się robić powinno, by

Za dalekoby mnie to zawiodło, gdybym chciał się bliżej nad tem zastanawiać, czy to wszystko, co stanowi treść owych trzech cnót, nie bezpośrednio altruistycznych (fortitudo, prudentia, temperantia) należy istotnie do zakresu etyki. Że w nich tkwi pewien element utylitarny a nawet egoistyczny, to pewna. Zasadnicze wszakże podniesienie wspomnianych przymiotów osobistych ponad pojęcie utylitarne, »zaczuszczenie« ich, że się tak wyrażę, elementem etycznym i wciągnięcie w dziedzinę moralności, jest piękną i zdrową ideą świata starożytnego. Przez to bowiem wytwarza się niejako zasadę, iż prawdziwie dzielny, mądry i umiarkowany jest się tylko wtedy, jeżeli się te przymioty ducha oddaje na posługę chwalebnych celów. Zresztą, pomijawszy korzyści płynące dla nas samych z owych przymiotów, należą one już dlatego do dziedziny etyki, ponieważ są niezbędnym warunkiem skutecznego i pożytecznego wypełnienia naszych altruistycznych obowiązków względem drugich.

Czy można być prawdziwie pożytecznym w społeczeństwie bez wytworzenia w sobie należytego hartu fizycznego i moralnego (fortitudo)?

żyć dobrze i chwalebnie. Łaciński wyraz »prudentia«, który przeszedł do nowszych języków romańskich i angielskiego, nie jest sympatyczny i traci pedanterię. Jeszcze bardziej obniża pojęcie wyraz używany w niemieckim: »Klugheit«, który zbliża się już do »przebiegłości«. Z wielkiego bogactwa polskich wyrazów, któreby można użyć jak: »mądrość«, »rozum«, »rozsądek«, »rozważa«, »przezorność«, »roztropność«, żaden właściwie nie oddaje dobrze pojęcia. Zwykle używają wżrazu »roztropność«, która jednak oznacza przymiot umysłu dany przez naturę a co najwięcej wzmocniony doświadczeniem, nie zaś zarazem nauką i wiedzą. (Inaczej w łacinie np. w wyrazie »juris-prudentia«).

Grecki wyraz σωφροσύνη tłumaczą po łacinie słowem »temperantia« (podobnie w językach romańskich i angielskim; po niemiecku: »Mässigkeit«, po polsku »umiarkowanie« (mniej wierny jest wyraz używany niekiedy: »wstrzemięźliwość«). Wszystkie te tłumaczenia są o tyle osłabieniem pojęcia, iż wyrazy te oznaczają raczej fakt »umiarkowania« w praktycznym życiu, i to głównie co do fizycznej strony naszego zachowania się, a nie przyczynę. Grecki bowiem wyraz wskazuje na źródło psychiczne t. j. na umysłową naszą władzę nakazującą nam umiarkowanie tak w użyciach fizycznych, jak i w życiu naszym moralnem i umysłowem. Jest to tedy siła umysłowa nakładająca rozumie pęta naszym skłonnościom i uczuciom.

Widzimy tedy, że tłumaczenia na inne języki wypaczają i krzywią pojęcia greckie o cnotach kardynalnych i nie są w stanie oddać ich wiernie w pierwotnej czystości. Czyż nie jest to dowodem, że stracono też i pojęcie cnót samych w tej piękności i na tej wyżynie, jak je pojmowali mędrcy Grecyi?

Czy można być prawdziwie sprawiedliwym i z dobrym skutkiem dobroczynnym bez narażenia się na wyzysk i nadużycia, jeżeli się nie postępuje roztropnie i z rozważą (prudentia)?

A »temperantia«? Tylko niepraktycznym »moralistom-marzycielom« może się ona wydać przymiotem czysto utylitarnym, jakimś rodzajem trzeźwej tylko reguły higienicznej. W istocie jest »umiarkowanie« czemś nieskończenie wyższem, jeżeli nie cnotą samoistną, to niezbędnym dodatkiem, warunkiem efektywności każdej innej cnoty. Każda bowiem cnota bez umiarkowania przechodzi w szkodliwą przesadę. Weźmy tylko np. dwie podstawowe, wrodzone i ogólnie odczute altruistyczne cnoty: miłość rodziców do dzieci i miłość ojczyzny. Są one niezawodnie wręcz podstawą moralności społecznej i społecznego ustroju a jednak w przesadzie swej pierwsza staje się szkodliwą pobłażliwością, druga nagannym szowinizmem. Tu i tam »caritas« w nich zawarta staje się źródłem szkody dla tych, których dotyczy.

Nacisk, który myśliciele starożytni kładą na przymiot umiarkowania, jest jednym z przykładów wyższości ich sposobu myślenia. Temu też zawdzięczają w znacznej części ową imponującą równowagę i spokój, która im daje piętno innej, wyższej miary umysłowej i moralnej nad społeczeństwem czasów nowszych a przede wszystkim dzisiejszej doby, w którym mamy prawie tylko do wyboru między moralnymi pigmejczykami a neurastenikami.

Surowym regułem życia przykazanym przez M. A. możnaby zarzucić, że nie mogą się przyjąć i wszczepić w społeczeństwo, bo nakładając pęta i nakazując ofiary nie dają zarazem dostatecznego motywu do poniesienia tych ofiar. Zaparcie się bezinteresowne? czyż można się tego spodziewać, już nie mówię od mas, ale choćby od poszczególnych szlachetniejszą naturą obdarzonych jednostek? Przyznaję, że brak przyrzeczenia namacalnej nagrody odbiera naukom M. A. silniejszą popularną atrakcyę. Pomimo tego nie są one wcale tylko mrzonką ideologa i mogą, w części przynajmniej, być zastosowane w każdej epoce.

Nie trzeba bowiem zapominać, że podobnie jak »training« fizyczny jest pierwszym warunkiem wyrobienia w sobie hartu fizycznego, podobnie istnieje »training« moralny wytwarzający hart moralny, który następnie na podstawie przyzwyczajenia i praktyki staje się »drugą naturą«. Dziecko, w którym usiłujemy wytworzyć poczucie etyczne, wymaga pewnych argumentów, ażeby

wstrzymać się od czegoś, co mu jest przyjemnem, lub wykonać coś, co mu jest przykrem. Trzeba tu apelować do innych jego uczuć, wciągnąć np. w grę uczucie obawy, przywiązanie do osób najbliższych lub ambicyę. »Nie rób tego«, mówi mu się, »bo się Bozia gniewać będzie« albo »bo mama będzie płakać« lub wreszcie »bo się z ciebie inne dzieci będą śmiać«!

Skoro jednak z czasem pod wpływem dobrego wychowania i dobrych przykładów zakorzeni się w nas dobra praktyka życia, tak pod względem fizycznym, jak i moralnym, to staje się ona wprost potrzebą naszej natury i nie pragniemy wcale od niej odstąpić, choć nas już nie zachęcają podobnemi argumentami, jakimi nas początkowo na tę drogę wprowadzono. Dla małego dziecka operacja mycia uszu jest torturą, dla dorosłego cywilizowanego człowieka nie mniejszą torturą jest nie módz być czystym.

Podobnie ma się rzecz ze stroną moralną życia. Gdyśmy przywykli do dobrośliwości i uprzejmości w obejściu lub też do szczerości i prawdy, jest to dla nas prawie »fizyczną« męczarnią zmuszać się do nieuczynności, brutalności lub też do obłudy i pochlebstw. Nie potrzeba nam już wtedy ani nakazu ani obietnicy nagrody, by czynić dobrze. Uczuwamy pewną, że tak powiem, estetyczną potrzebę czystości moralnej. Brud moralny napawa nas obrzydzeniem i wstrętem, tak jak niechłujstwo fizyczne. Tego to rodzaju »Drill« moralny, wpojony w młodości przez wychowanie, utrwalony zaś w późniejszym wieku przez rozmyślania nad sobą, nadzorowanie się i częsty rachunek sumienia, ma na myśli M. A. mówiąc, że przez praktykę samo wykonywanie cnoty staje się nam przyjemnością, podobnie jak kultura umysłowa¹. Nie wchodząc tedy bliżej w kwestyę, jakie się ma zapatrywania religijne lub metafizyczne na kwestyę indywidualnej nagrody za cnotę w życiu zagrobowem, już sam kult piękności i czystości duszy dając pewne wewnętrzne zadowolenie moralne staje się potężną dźwignią etyki. Oczywiście jednak, że to nie wyklucza znaczenia religijności, ani też jej siły w zupełności zastąpić nie zdoła.

¹ Zob. V. 9 ku końcowi, cytowany powyżej, str. 31.

VI. Znikomość rzeczy ludzkich, śmierć, lekceważenie sławy.

Streszczenie i objaśnienie nauk M. A. nie byłoby wyczerpującem, gdybym szczegółowo nie wspomniał o jego licznych i głębokich uwagach na temat znikomości rzeczy ludzkich, śmierci, która zawsze powinna nam zdać się bliską i lekceważenia tak uznania ludzkiego za życia, jak i pośmiertnej sławy.

Głębokie poczucie, że życie nasze całe jest marne i znikome, prace nasze, namiętności, uciechy i walki czemś nikłym i małostkowem przejmując do głębi cały sposób myślenia M. A. Jest on w tym względzie pokrewnym duchem autora księgi *Ekklesiasty*, z tą wszakże różnicą, że nie dochodzi do takiego stopnia zniechęcenia i pesymizmu jak tamten. Pomimo bowiem, że duch jego gardzi światem, sumienność każe mu być czynnym, cierpliwym i wyrozumiałym.

Zgodnie z Platonem podnosi M. A. (VII. 35), że człowiek o wzniosłym umyśle nie może żadną miarą uważać życia ludzkiego na coś wielkiego i cennego. Śmierć więc nie może mu się wydawać nieszczęściem i złem.

Z Platona także przyjmuje on zasadę (VII. 48), iż zastanawiając się nad kwestyami dotyczącymi się życia i spraw ludzkich trzeba na nie spoglądać niejako z oddalonego wzgórza. Obejmuje się przez to szersze horyzonty a zarazem rzeczy poszczególne wydają się nikłe i małe.

Myśl częsta o wielkości i potędze wszechświata czyści i oswobadza poglądy z małostek i brudów codziennego życia (VII. 47).

Lekceważenie naszej ziemskiej egzystencji, jak nie mniej tak bardzo przez wielu cenionej, potęgi i władzy uwydatnia się najsilniej w następującym ustępie:

VI. 36: »Azya i Europa są w wszechświecie zakątkami tylko, oceany kroplą wody, góra Athos skibą a cała nasza doczesność w zestawieniu z wiecznością jednym, nikłym punktem«.

XII. 32: Pamiętaj o tem, jak mała cząstka co do czasu i przestrzeni dostała ci się w udziale; jak »drobna ta skiba, po której się czołgasz«. Pamiętając o tem nie uważaj żadnej rzeczy za coś ważnego i wielkiego z wyjątkiem życia według nakazu natury i znośnienia tego, co ci jest przeznaczonem.

Słowa powyższe w ustach władcy Europy, Azji i wszystkich mórz wówczas znanych, w ustach cesarza znającego potęgę swej

władzy i wpływ jej na tysiące egzystencyi ludzkich stokroć więcej nam imponują niż w ustach zwykłego filozofa, który władzy w rękę nigdy nie miał i mieć nie mógł.

O śmierci każe nam M. A. myśleć często i uważać każdy dzień naszego życia za taki, który może być ostatnim (VII. 69), lecz tylko dlatego, by korzystać z czasu dla spełniania dobrych uczynków.

Śmierci niema powodu się bać; nie należy też ani jej szukać ani od niej uciekać (III. 7) trzeba się z myślą o niej oswoić jako z czemś naturalnem i nieuniknionem.

O samobójstwie wspomina M. A. kilkakrotnie. Wiadomo, że szkoła stoików nietylko niewinnia samobójstwo, ale w trudnych sytuacjach życia je wprost zaleca. Jest to, mojem zdaniem, ciemny punkt tej nauki. Bo jakkolwiek Seneca, Epiktet a, podobnie jak ten ostatni także i M. A. zezwalają na samobójstwo tylko w sytuacjach jakoby bez wyjścia np. w razie choroby nieuleczalnej lub moralnych przeszkód uniemożliwiających nam życie zgodne z zasadniczymi podstawami moralnemi, to jednak subiektywne uczucie tu często myli i wyłamanie się z pod wszelkich obowiązków unicestwieniem swej egzystencyi jest w gruncie często słabością i egoizmem.

Najbardziej znamienitym ustępem dotyczącym się problemu samobójstwa jest:

V. 29: »Jest to zawsze w twojej mocy wieść życie takie, jakiem pragnąłbyś je widzieć jako ubiegłe w chwili, gdy je będziesz opuszczać. Lecz, jeżeli ci ludzie w tem przeszkadzają i nie pozwalają, w takim razie opuść życie i to tak, jak gdybyś wcale nie cierpiał nad tem. Dym tu, więc się wynoszę¹! Czy sądzisz, że to tak trudno?«

Wielce to niebezpieczna teoria, którą tu wypowiada autor. Chwilowe, choć może szlachetne zniechęcenie mogłoby być dostatecznym powodem samobójstwa. Tak daleko wszakże nie sięga dyspensa, którą M. A. wypowiada dla osób rozstających się dobrowolnie z życiem, gdyż z innego ustępu (VIII. 47)² wynika, że tylko »ostateczność« pod względem stawianych nam przeszkód moralnych

¹ Καπνός καὶ ἀπέρχομαι, zdanie to wypowiada M. A. może pod wpływem Epikteta: Arrian (I. 25. 18) choć go tu nie wymienia wyraźnie, tak jak w innych miejscach.

² O śmierci dobrowolnej jest jeszcze mowa w innych ustępach zob. np. III. 7, X. 8 i 22.

może ten krok wytłumaczyć. Ale czyż i to dosyć? czyż w rozdrażnieniu subiektywnem jest się zdolnem ocenić, co jest »ostatnia granica« naszej wytrzymałości?

Liczne ustępy, które M. A. poświęca myśli o znikomości rzeczy ludzkich są nie tylko głęboko odczute, lecz często niezmiernie pięknie sformułowane.

Życie zniknie wkrótce a z niem potem wszystkie jego ślady złe i dobre. Naiwnym jest lub szalonym, kto się doń zbyt przywiązuje i robi sobie iluzję co do trwałości tego, co tu możemy zdziałać.

Zapewne, jest rezygnacya w słowach M. A. ale nie wolna od bólesci i żalu; jest to jak gdyby westchnienie natury wyższej nad doczesne, ziemskie życie, tęskniące za dobrem, pewniejszym i trwałszem.

Oto parę przykładów:

II. 17: Wszystko jest krótkie i znikome — »losy naszego ciała są jak rzeka ciągle płynąca, duch nasz jak mgła i opar, życie jak krótka wycieczka w kraj obcy a to co po nas zostaje — zapomnienie«.

V. 33: »Wkrótce, bardzo wkrótce będziesz już tylko szkieletem lub popiołem a zostanie po tobie tylko twoje imię a i to nawet nie. A cóż zresztą jest imię? dźwięk i echo tylko«...

Myśl o tych, mówi on w IV, 33, co wielką rolę odegrali w historii świata. Czemże są dziś? opowieścią tylko. którą także zmaże ogólne zapomnienie. Ale gdyby nawet wspomnienie o nich było wiecznem, to cóż to znaczy? I to nie ma żadnej wartości¹.

VI. 24: »Alexander Macedoński i jego pacholek przez śmierć są zrównani zupełnie«.

Rozgłos, reputacya za życia i sława pośmiertna nie są zdaniem M. A. wcale wynagrodzeniem za znikomość rzeczy ludzkich. Są one bez wartości i człowiek o wyższym umyśle dbać o nie nie powinien. Wskutek ludzkich pochwał nie staje się bowiem żadna rzecz ani lepszą ani gorszą (IV. 20).

Opinia ta należy niejako do *credo* autora. Wypowiada ją często a nie jest ona u niego wynikiem skromności lub pokory, raczej może uczucia wyższości, objawem lekceważenia opinii i sądu innych.

XII. 4: »Często mnie to dziwiło, że choć każdy przynosi sie-

¹ Podobne zapatrywania wypowiada autor także np. w IV. 48, XII. 27,

bie samego nad resztę ludzi przecież mniej wagi przywiązuje do własnej opinii o sobie samym niż do opinii cudzej.

W VIII. 8 mówi on, że trzeba być »wyższym« ponad żądę sławy i nie irytować się niesprawiedliwym sądem głupich i niewdzięcznych.

IV. 3 »...A może pożądanie tego, co zwa sławą cię dręczy? Patrz jak szybko wszystko jest zapomniane... jak czczą rzeczą jest poklask, jak zmienne zdania i jaki brak sądu u tych co decydują o twej reputacji i sławie...«

Podobnie w IX. 30. Jakże mało wiedzą o tobie ci, co cię sądzą, jak szybko zapomną, dziś cię sławią a ganić i potępiać będą jutro!

W V. 33 mówi on, nie bez domieszki goryczy, iż nie warto dbać o sławę i reputację w tym nędznym świecie i między ludźmi, wśród których żyjemy.

Sława pośmiertna także niema większej wartości jak poklask i uznanie za życia. Wysztydza on ambicję w tym kierunku mówiąc, że nie może zrozumieć, dlaczego ludziom na tem zależy, by ci, co po nich przyjdą, a więc ludzie, których nie zobaczą i nic o nich wiedzieć nie będą, sławili ich. Dlaczegoż się nie martwią tem, że ci, co dawniej żyli, nic o nich nie wiedzieli (VI. 18)?

VIII. 44 »...Ci, co łakną sławy pośmiertnej zapominają o tem, że ci ludzie, co po nas przyjdą, będą taksamo mało warci, jak nasi rówieśnicy, których znieść nie możemy«.

Nie wierzy on też wcale w sprawiedliwość sądu historii. O wielu zasłużonych zapomina się zupełnie; inni znów bez powodu stają się »bohaterami z bajek« (VIII. 25).

VII. 67 »...Można być człowiekiem prawdziwie boskim a jednak nie uznanym przez nikogo«.

Sława pośmiertna nie jest niczem więcej jak opinią nędznych ludzkich istot, którzy sami siebie nie znają; jakżeż mogą znać prawdziwie i ocenić kogoś, który zmarł już dawno przed nimi (III. 10).

Rozmyślanie swe kończy M. A. pięknym ustępem, pełnym rezygnacji, który o tyle bardziej jest interesującym, że prawdopodobnie był zanotowany na krótki już czas przed śmiercią.

XII. 36. Tak jak aktor, mówi on, któremu każą zejść ze sceny po trzecim akcie, nie może się domagać roli jeszcze przez dwa następne, skoro partya przeznaczona mu skończyła się, tak i my

godźmy się na tak tylko długą rolę w życiu, jaką nam przeznaczono, bo nie samiśmy sobie dali życie, lecz naturze je zawdzięczamy.

Głęboka pogarda M. A. dla rozgłosu i sławy, z dwojakiego powodu może się nam wydać rzeczą zadziwiającą. Przedewszystkiem uderza ona u Rzymianina wogóle. Wiadomo bowiem, że Rzymianie łaknęli sławy, przywiązywali do niej wielką wagę i często właśnie pod wpływem tego bodźca spełniali czyny bohaterskie i pełne poświęcenia.

Nadto miał M. A. prawo mniemać, że nie tylko czyny jego jako wielkiego i zwyciężkiego imperatora, ale i słowa jako filozofa będą *aere perennius*. Wszakżeć sławę lekceważą sobie zwykle ci, którzy nie mogą jej osiągnąć. Jeżeli zatem on właśnie lekcewał ją sobie, to dlatego, iż nie wierzy w jej sprawiedliwość i szczerłość a zarazem zaś zadowolenie wewnętrzne, pogodę myśli i szacunek dla siebie samego wyżej ceni, niż poklask.

Sławę wieczną zyskał on przecież, choć nią gardził. Lecz iluż mniej wartych przewyższa go w sławie. Iluż fałszywych bohaterów i dobrodziejów ludzkości się podziwia, którzy nie warci mu rozwiązać rzemyka! A iluż równych mu a może i wyższych spoczywa w grobie w zupełnem zapomnieniu!

M. A. ma słuszość: sąd współczesnych jest zwykle niesprawiedliwy, a przekonanie, że go poprawi sąd historyi, jest naiwną iluzją. W uzyskaniu popularności za życia reklama więcej znaczy niż zasługa, sława zaś pośmiertna zawisła często od przypadku i najrozmaitszych celów ubocznych tych ludzi, co ją tworzą. Dość wskazać tylko, ilu »bohaterów« i »zbawców narodu« fabrykuje sąd szowinizmu narodowego lub partyjnego fanatyzmu, a ilu z drugiej strony niesłusznie piętnuje »zdrajców«.

Jeżeli jednak głębokie i słuszne są uwagi M. A. o znikomości rzeczy ludzkich i nikczemnej wartości rozgłosu i sławy, to jednak dla ogółu społeczeństwa byłyby podobne przekonania niebezpieczne i niezdrowe. I one, podobnie jak cała filozofia M. A. są dla »elity« tylko, nie dla umysłów i serc niższych. Gonienie za reputacją i sławą jest dla umysłów pospolitych przecież często źródłem dobrych i pożytecznych uczynków, obawa zaś przed popsuciem sobie reputacji, liczenie się z sądem świata, najsilniejszą stosunkowo zaporą przeciwnym tendencyom nieetycznym.

Wielkoduszny człowiek pamiętając o znikomości życia i marności sławy zachęcony będzie o tyle bardziej do czynów mających

wartość wewnętrzną, niezawisłą od opinii i spełniać je będzie bez względu na to, »czy kto nań patrzy«¹. Nieprzejrzane natomiast rzesze ludzi pospolicich jedynie pragnienie uznania i odegrania »pię-knej roli« lub obawa potępienia przez sąd »opinii publicznej« jeszcze jako tako jest w stanie utrzymać na drodze etyki i zasługi spo-łecznej².

VII. Stosunek Marka Aurelego do chrześcijaństwa.

Przegląd nauki moralnej M. A. wykazuje nam w wielu punk-tach zadziwiające zbliżenie do zasad i zapatrywań chrześcijaństwa. Za czasów jego rządów chrześcijaństwo było już bardzo rozsze-rzone tak, iż M. A. musiał z niem być dość dokładnie zaznajomio-nym. Zadziwić tedy może na pierwszy rzut oka, że nie wytworzyła się w nim pewna sympatya dla nauk chrześcijańskich. Tymczasem było raczej wręcz przeciwnie.

Jakkolwiek wielkoduszny monarcha nie należał pomiędzy ce-sarzami Rzymu do najzaciętszych wrogów chrześcijan, jakkolwiek łagodność jego nie dozwalała na krwiożercze ściganie i prześlado-wanie takie, jak było za Nerona lub Domicyana, to jednak jest rzeczą niezawodną, że sympatyi on do chrześcijan nie miał a nawet usposobionym był dla nich niechętnie i wrogo.

Świadection Tertulliana wypowiada wprawdzie wręcz inne zdanie. Pisarz ten w swej »Apologii chrześcijaństwa« utrzy-muje, że prześladowań doznawali chrześcijanie tylko ze strony złych i niegodziwych imperatorów, podczas gdy szlachetni mężowie na tronie Rzymu odznaczali się wobec nich toleracją, a znakomity i mądry Marek Aureli był nawet ich protektorem. Świadection to wszakże, pisane zresztą w celach czysto polemicznych nie jest zgodne z prawdą.

¹ Zob. także IX. 29.

² Doskonałą ilustracją, czem się staje lekceważenie sławy u ludzi o niskich instynktach daje Szekspir w pysznym, pełnym humoru ale i cynizmu monologu Falstafa (King Henry IV, First part, Act. V, Scene I i. f.) na temat wyśmiewa-nia znaczenia honoru: »What is honour? a word. What is that word, honour? air... Who has it? he that died o' Wednesday. Doth he feel it? no. Doth he hear it? no. Is it insensible then? yea, to the dead. But will it not live with the living? no. Why? detraction will not suffer it. Therefore I'll none of it: ho-nour is a mere scutcheon: — and so ends my catechism«.

Być może też, że Tertullian w dobrej wierze oparł się tu na źródłach nie autentycznych.

Ze znanego nam ustawodawstwa M. A. można tylko o tyle wysnuć pewną pośrednią korzyść dla chrześcijan, że wydał on surowe przepisy przeciw kłamliwym denuncyatorom. Dekretu natomiast jakiegoś wprost przychylnego chrześcijanom M. A. nigdy nie wydał i nie zmodyfikował w niczem surowego przeciwko nim skierowanego ówczesnego karnego ustawodawstwa Rzymu. Co więcej, dopuścił nawet do krwawych prześladowań chrześcijan w czasie swoich rządów, wprowadzając nie w całym Rzymie, ale w niektórych prowincjach.

Oczywiście, że przy ołbrzymiej rozciągłości monarchii, złej komunikacji, trudności znoszenia się z władzą centralną i niedostatecznej kontroli nad zarządami odleglejszych prowincji, trudno ocenić, o ile za te prześladowania w prowincjach można winić samegoż cesarza. Co się tyczy najsroższych z tych prześladowań, które miały miejsce pod koniec rządów M. A. w Galii w Lugdunie i Vienne, to jest nawet historycznie stwierdzonym, że wysłano do cesarza do Rzymu sprawozdanie wraz z zapytaniem, jak się zachować wobec chrześcijan, a odpowiedź jego była dla chrześcijan nieprzychylną. Wprowadził i w tym wypadku trudno stwierdzić na pewne, o ile ta odpowiedź wyszła osobiście od M. A., a już w każdym razie szczegóły owych okropnych mąk, które wówczas wycierpieli chrześcijanie nie można kłaść na rachunek cesarza. W każdym jednak razie ten fakt historyczny wraz z innymi dowodzi, że ze strony M. A. nie tylko nie było zakazu prześladowania ani jakiegoś objawu przychylności, lecz przeciwnie usposobienie dla szerzącej się nowej religii wręcz niechętnie.

Trudno nie uznać, iż jest to plamą na pięknej postaci M. A., lecz by zrozumieć to stanowisko i choć w części je uniewinnić, należy się bliżej nad tem zastanowić, jakie wogóle wyobrażenie miały o chrześcijaństwie owe sfery, do których należał M. A. i co pogan, a w szczególności ludzi przesiąkniętych ówczesną filozofią oddziaływało od chrześcijan.

Chrześcijaństwo rozszerzające się już wówczas z gwałtowną chyżością znajdowało najliczniejszych prozelitów, głównie między niższymi, ubogimi, upośledzonymi i skrzywdzonymi warstwami społeczeństwa, a więc także szczególnie między niewolnictwem. Dalej zyskiwało ono skutek swej potężnej struny uczucia wielu zwolen-

ników między młodzieżą i kobietami, przyczem rozszerzanie nowej wiary postępowało bez rozgłosu i tajemnie, czyli, jak przeciwnicy zarzucali »podstępnie«.

Natomiast spotykało się chrześcijaństwo z usposobieniem wrogiem przedewszystkiem wśród ciemnych mas pospółstwa, które na podstawie fantastycznych baśni i potwarzy przypisywało nowej, tajemniczej sekcie najpotworniejsze zbrodnie i czyniło ją odpowiedzialną za klęski elementarne i epidemie.

Dalej wrogo dla chrześcijan byli usposobieni z powodów przeważnie politycznych i socyalnych poważniejsi i starsi, w przekonaniach swych konserwatywni obywatele, szczególnie dzierżyciele dóstojęstw i urzędów, którzy upatrywali w tej opozycyjnej, negującej podstawy polityczno-religijnego ustroju Rzymu sekcie groźne niebezpieczeństwo. Niechć ta spotęgowana była jeszcze mniemaniem, że chrześcijaństwo jest sektą żydowską, wiadomo bowiem, jak ogólny był wstręt Rzymian do żydostwa.

Wreszcie niechętni też byli chrześcijaństwu i filozofowie i to tak Epikurejczycy jak i Stoicy, bo sposób myślenia chrześcijan, ich wiara w nadludzkie objawienia, ich ekskluzywność w pojęciach, przekonaniach i obyczajach, ich niezłomny hart, czyli jak zarzucano »upór« doprowadzający do rozmiłowania się prawie w męczeństwie, to wszystko wydawało się sceptykom ówczesnym niedorzecznym fanatyzmem i zaślepieniem.

Nic dziwnego, że i M. A., na którego rozwój wpływały z jednej strony dawne tradycje rzymskie, z drugiej zaś filozofia a w pierwszej linii zapatrywania niechętnego chrześcijanom Epikteta¹ i zdeklarowanego ich wroga a nauczyciela M. A., Frontona, uprzedził się z góry do chrześcijaństwa, którego zasad na podstawie źródeł nigdy nawet nie miał sposobności poznać. On, tak wzniośle zalecający tolerancję myśli i przekonań, w tym względzie wskutek błędnych informacyi sprzeniewierzył się swym zasadom. Zresztą, tak jak w wielu innych kwestyach, poszedł on tu tylko za tradycją swoich bezpośrednich wielkich poprzedników, którzy byli także na tejsamej błędnej drodze

Prześladowania za czasów Nerona i Domicyana były spowodowane w znacznej części osobistą nienawiścią tych władców do chrześcijan, a w części wrodzonym ich okrucieństwem. Inaczej od

¹ Zob. Arrian. Epict. Dissert. IV. 7, 6.

czasu łagodniejszych rządów dynastji Antoninów. W zasadzie panowała w tej epoce w Rzymie tolerancja zupełna, tak pod względem obcych wyznań religijnych, jak i zapatrywań filozoficznych zostających przeważnie w zupełnej sprzeczności z uznaną religją państwową.

W krajach zdobytych nie mieszały się z reguły Rzymianie do spraw religji i kultu zostawiając w tym względzie ludność miejscową w spokoju a nawet przyznając jej pewien rodzaj autonomii. Najbardziej tolerancki a nawet lubujący się w obczyźnie cesarz Hadrian sam w Egipcie stawiał wspaniałe świątynie obcym bogom, składał im ofiary, dawał się rzeźbić pod postacią Ozirisa i przyczynił się znacznie do tego, że wprowadzenie pewnych praktyk kultu egipskiego do Rzymu stało się wówczas modą. Świat rzymskich bogów przyjął w gościnę obce, importowane z dalekich krain, egzotyczne bóstwa. Kult np. Izidy, pochodzący z Egiptu, kult i misterya Mitry, importowane z Syrii pojawiają się odtąd coraz częściej w świątyniach rzymskich.

Równocześnie święci za czasów Antoninów filozofia grecka tryumf odrodzenia i zdobywa Rzym. Otóż wiadomo aż nadto, że zapatrywania filozofów były w rażącej sprzeczności z zasadami religji państwowej, posuwały się często zgoła do negacyi istnienia bogów, otwartego ateizmu. Tymczasem nietylko nie mamy w owym czasie ani jednego przykładu prześladowania któregośkolwiek z filozofów za jego przekonania i naukę, lecz przeciwnie wpływ ich i to nietylko kulturalny ale nawet polityczny rośnie z każdą chwilą a za M. A., należącego całą siłą przekonań do ich zawodu, staje się nawet dominujący.

O tyle bardziej dziwi nas na pierwszy rzut oka, że jedynie wobec chrześcijan ci cesarze łagodni i kulturalni, jak nie mniej całe ich otoczenie zachowują się niechętnie i wrogo, jedynie wobec nich odstępują od zasady uszanowania obcych przekonań. Zrozumieć to wszakże poniekąd można uwzględniając ducha i tendencje chrześcijaństwa szczególnie w pierwszych wiekach.

Dla wszystkich bogów obcych mogło się znaleźć miejsce w Olimpie pogaństwa ówczesnego, tylko nie dla Boga chrześcijan, tylko nie dla Boga-człowieka Chrystusa. Czuli to Rzymianie ówcześni, że ta sekta łagodna i w zachowaniu się zewnętrznem wcale nie rewolucyjna jest przeciw nieprzejeđną dla całego ustroju ówczesnego religijno-politycznego i kopie dlań grób niechybny. Wiedzieli, że ich wspaniałe świątynie z przepysznyemi posągami bogów rozsypią się

niechybnie w gruzy, że wszystkie ich tradycje i obrzędy, związane tak ściśle z dawną, pełną chwały historią Rzymu i obecną jego potęgą pójdą w pogardę i zapomnienie, skoro tylko ta, wówczas antynarodowa i kosmopolityczna sekta przyjdzie do wpływu i władzy.

W świecie ówczesnym filozofów i myślicieli Rzymu i Grecji spotykamy wprawdzie ludzi, a należeli do nich głównie stoicy w rodzaju Epikteta i M. A., którzy w zapatrywaniach etycznych zbliżali się do chrześcijan, zalecając, choć z mniejszem niż chrześcijanie ciepłem, filantropię i zaparcie się uciech światowych. O ile jednak istniało między niektórymi szkołami filozoficznymi a chrześcijaństwem pewne zbliżenie co do praktycznych reguł etyki, o tyle większa przepaść dzieliła te dwa kierunki myśli, co do kwestyi wiary oraz znaczenia i wartości, które się jej przypisuje. Rozumy najświetniejszych myślicieli pogańskich nie mogły się wmyśleć w psychologię chrześcijan i pogodzić się z ich sposobem widzenia rzeczy. Nie pojmowali przedewszystkiem mędracy pogańscy wiary chrześcijan w objawienie boskie zesłane światu przez życie Boga-człowieka, uważając myśl tę za niezrozumiały zabobon. Nie rozumieli też ekskluzywności nauki chrześcijan, odrzucającej z pogardą każdą inną naukę nie płynącą ze źródła objawienia chrześcijańskiego, nie wyłączając nawet filozoficznych zapatrywań opartych, zdaniem ich, na najczystszych intencjach.

Najbardziej wreszcie obcym i niezrozumiałym był im ów nieprzełamany upór ze strony chrześcijan w oddzieleniu się od całego zresztą świata i ich skłonność do ponoszenia nawet najsroższych prześladowań i śmierci, byle tylko uniknąć chociażby jakiegoś zewnętrznego aktu sprzeciwiającego się ich tajemnym regułom i przepisom.

Brak wiary chrześcijan w istnienie bóstw pogańskich z pewnością najmniej raził filozofów a nawet wszystkich innych oświeconych Rzymian. Nie wierzyli oni przecież sami w bóstwa rzymskie i nie brali na seryo oficjalnego Olimpu. W ofiarach i innych praktykach religijnych widzieli czysto zewnętrzne urządzenia państwowe bez wszelkiego dogmatyczno-religijnego znaczenia, od których nie należało się usuwać ze względu na dawne tradycje oraz związany z tem interes państwa i porządku społecznego. Tak myślał nawet tak głęboki i poważny filozof jak Seneca. Nieprzełamany więc wstręt Chrześcijan do brania udziału w zewnętrznych objawach kultu oficjalnego uważały nawet najbardziej oświecone sfery ówczesnego

świata pogańskiego za małostkowy i niezrozumiały upor zaślepionych fanatyków.

Stosunek władzy państwowej Rzymu do chrześcijan został za czasów Antoninów zasadniczo określony dekretem Trajana streszczającym się w tem, że w domenę myśli i wiary władza państwowa się wprawdzie nie wdaje, wymaga atoli od chrześcijan nieusuwania się od zewnętrznego, oficjalnego kultu. Żądano tedy, by chrześcijanie zewnętrznemi objawami, np. złożeniem ofiary bogom pogańskim lub uczestnictwem w publicznych ceremoniach religijnych, zaparli się swego wyznania a na ten wypadek zapewniano im bezkarność, nie wdając się bliżej w kwestye ich wiary i prywatnych praktyk religijnych. Tej samej reguły trzymał się zasadniczo także M. A.

Oczywistą jest rzeczą, że reguła ta wszędzie tam, gdzie magistratura postanowiła wystawić ludzi uważanych za chrześcijan na ową próbę uczestniczenia w pogańskim kulty, musiała doprowadzić do konfliktu a w następstwie do prześladowań. Reguła sama bowiem była wobec chrześcijan zasadniczym błędem. Było to postępowanie wręcz chybione, świadczące o zupełnem niezrozumieniu ducha chrześcijaństwa i właściwej psychologii wyznawców nowej religii

Cesarzom i urzędnikom rzymskim mogło się zdawać, że działając w myśl reguły Trajana postępują w sposób ludzki, łagodny i polityczny. Sądziłi oni, że wymagając od chrześcijan jedynie zewnętrznego objawu odstępstwa ze względu na państwowy charakter oficjalnego kultu a zostawiając im swobodę w dziedzinie wewnętrznych przekonań nie wymagają od nich żadnej wielkiej ofiary. Wszakżeż wszyscy oświeceni Rzymianie a nawet sami imperatorowie składając ofiary bogom uznanym i rozmaitym deifikowanym zmarłym cesarzom nie brali tych ceremonii w gruncie na serio i nie wierzyli w nic zgoła z tego, co zewnętrznie jako swą religię proklamowali. Tego, co sami spełniali niemal codziennie i bez wahania, nie uważali więc za coś, coby mogło sumienie obciążać i coby należało uznać za czyn haniebnny lub podły.

Nie rozumieli oni, czem była dla nowo budzącej się religii potęga wiary i siła przekonań. Psychologia tych ludzi, którzy stokrót razy przenosili katusze i śmierć męczeńską nad spełnienie ceremonii zewnętrznej, będącej w oczach oświeconych pogan czczą formalnością wydawała się jednym — obłąkaniem, innym — zbro-

dnia. A tymczasem w oczach chrześcijan publiczne odstępstwo od wiary pod grozą kar było uważane nie tylko za objaw tchórzostwa, małoduszności, lecz za grzech najcięższy i haniebną podłość, podczas gdy śmierć męczeńska zapewniała im, stosownie do ich niezachwianej wiary, natychmiastowe zbawienie i wieczną szczęśliwość. Czyż mogli wobec tego się wahać?

Niezrozumienie się wzajemne tych dwóch światów stało się niestety powodem rozlewu morza krwi niewinnej.

Żaden dokument historyczny nie charakteryzuje tak dosadnie zapatrywań wyższych kół rzymskiego społeczeństwa na problemat rozwijającego się Chrześcijaństwa, jak praca rzymskiego filozofa Celsusa skierowana przeciw chrześcijanom, napisana właśnie w czasie rządów M. A. Nie znamy pracy tej w oryginale, treść jej jednak i liczne z niej ustępy cytowane *in extenso* podaje nam Origenes w polemicznym swym piśmie *contra Celsum*, poświęconem odparciu ataków autora na chrześcijan.

Celsus, który obok gruntownego wykształcenia filozoficznego zna też źródła religii żydowskiej i chrześcijańskiej a więc tak księgi Starego jak i Nowego Testamentu, jest przeciwnikiem wymownym, ziejącym złośliwością i jadem. Przyznając łagodność obyczajów chrześcijan uważa ich mimo tego za element najniebezpieczniejszy w państwie. Wielkość i potęga Rzymu była zawsze związana z dawną tradycyjną religią. Utrzymanie kultu jako instytucji państwowej i narodowej jest ze względu na szerokie warstwy ludu dla porządku i spokoju państwa niezbędnem. Tymczasem te właśnie podwaliny chcą chrześcijanie obalić. Starając się pozyskać podstępnie dla swej wiary i praktyki najniższe warstwy społeczne, młodzież niedoświadczoną i kobiety dążą w ten sposób do podminowania państwa. Nauki chrześcijan są negacją narodowego poczucia Rzymian.

Ci ostatni powinni zawsze szanować dawną swą religię, bo przyczyniła się ona potężnie do ich wielkości i sławy. Nie wymaga się od chrześcijan żadnej podłości zmuszając ich do zewnętrznego ugięcia się przed religią państwową. To nie pociąga za sobą wyparcia się wewnętrznego ich odmiennej wiary. Jest to więc niczem innym jak fanatycznym i dezorganizacyjnym uporem zasługującym na surowe kary, jeżeli chrześcijanie nie chcą się nałamać nawet do zewnętrznego uszanowania państwowego kultu.

Oto w streszczeniu rezonowanie Celsusa a z nim przeważnej

większości ówczesnych konserwatywnych i względnie wykształconych sfer pogańskiego Rzymu.

M. A. nie miał wprawdzie ani w części tak silnej nienawiści do chrześcijan, jak Celsus, niezawodnie jednak zapatrywania jego były zbliżone do tego, co zawierają przytoczone powyżej zarzuty. On sam w jednym tylko ustępie swych »Rozmyślań« wspomina o nowej wierze. Krótki ten ustęp jest wskutek tego niezmiernie ważnym i interesującym dokumentem historycznym. Wzmianka choć tylko uboczna tchnie widoczną do chrześcijan niechęcią. Oto ten sławny fragment w dosłownym brzmieniu:

XI. 3: »Jakaż to dusza, która w każdej chwili przygotowaną jest rozstać się z ciałem, by bądź to zgasnąć lub rozprószyć się, bądź też istnieć nadal! Lecz gotowość ta powinna być wynikiem własnego sądu, a nie samego tylko uporu, jak to jest u chrześcijan; powinna być złączona z rozważą i godnością, która zdoła przekonać innych, bez dawania z siebie widowiska tragicznego«¹.

Wypowiada tu M. A. podziw dla duszy gotowej w każdej chwili pójść na śmierć bez względu na to, jakie mogą być w przyszłości jej losy, nicość, czy też jakaś nowa egzystencja i spełniającej ten krok z przekonania, ze spokojem i godnością. Wypowiada przy tem jednak ciężki zarzut skierowany przeciw chrześcijanom, iż oni idą na śmierć z samego uporu, bez godności i rozważagi robiąc z siebie widowisko tragiczne i że ten sposób postępowania nie może przekonać innych.

Ten jeden krótki ustęp otwiera nam horyzonty historyczne, ilustruje żywo rozłam dwóch światów, wykazuje przepaść między sposobem myślenia stoickiego filozofa a uczuciami męczenników chrześcijańskich.

Wielki myśliciel świata pogańskiego, jakim był M. A., okazuje nam się w tych słowach nietylko pozbawionym współczucia dla bohaterstwa męczenników chrześcijan, ale zarazem ciasnym i nieprzewidującym w swych sądach. Nietylko nie rozumie on poświęcenia w idei chrześcijaństwa, ale nie ocenia też jej siły. Przykłady mę-

¹ M. A. używa tu z niezrównaną zwięzłością, właściwą greckiej mowie jednego tylko wyrazu: ἀτρυγέτως. Wyraz ten, jak sądzę, wymaga dokładniejszego opisu, takiego mniej więcej, jak tu podałem: »Bez tragiki« nie byłoby może dość jasnem. Niechęć M. A. do wszelkiej »tragicznej pozy« objawia się także w innych ustępach np. III. 7, IX. 29.

czeństwa chrześcijan dały dowód, że »przekonują innych« nieskończenie silniej, aniżeli rezonowania najgłębszych filozofów. Wspaniały świat myśli, który nam reprezentuje filozofia starożytna, zgasł i rozpadł się wobec płomiennego entuzjazmu młodej wiary.

VIII. Nauka Marka Aurelego a doba dzisiejsza.

Księga Rozmyślań M. A. należy do najgłębszych i najsympatyczniejszych utworów ducha ludzkiego. Będąc ogólnie ludzką pozostanie ona aktualną po wieczne czasy. Warto jednak postawić sobie pytanie, czy nauka, w niej zawarta, mogłaby tworzyć dla szerszych warstw ludności podstawę do oparcia na niej praktycznych reguł życia i zasad moralnych? Mojem zdaniem odpowiedź na to musi być przecząca. Nauka to zbyt czysta i subtelna przystępna tylko dla natur i tak nie skłonnych do lubowania się w użyciach zmysłowych, natur szlachetnych, którym samo uczucie dyktuje potrzebę wspomagania innych, kojenia bólu, szerzenia duchowej kultury bez względu na nagrodę, jaka ich za to czeka.

Przy całym swym uroku i wzniosłości nie mogła nauka M. A. nigdy zjednać sobie wielu zwolenników. Nie wytrzymuje ona współzawodnictwa ani z materyalizmem i obojętnością na głos etyki z jednej strony, ani też z drugiej strony z wyznaniem opartym na objawieniu, które przyjmuje życie zagrobowe jako pewnik i zapewniają po śmierci nagrodę niezawodną enocie a karę winie.

I nie w tem dziwnego. Zastanówmy się bowiem nad sposobem rozumowania, nie mówię już ludzi o wręcz niskim sposobie myślenia, ale człowieka zwykłego, »przeciętnego«. jeżeli się godzi użyć tego wyrazu.

Otóż jeżeli od niego domagamy się w życiu bezinteresowności, wyrzeczenia się uciech fizycznych, poświęcania się dla bliźnich, to niezawodnie spotkamy się z jego strony z zapytaniem, jaka go za to czeka nagroda a względnie, jakiej może za nieposłuszeństwo obawiać się kary? Nauką religijną zapewniającą mu wieczne szczęście w życiu zagrobowem możemy go zjednać dla abnegacyi, zagrożeniem zaś pośmiertnej kary odstraszyć od występku. Nie przekona go natomiast sceptycyzm M. A., gdzie mglisty obraz możliwej nagrody jest zaledwo słabą hipotezą, a o karze nawet wzmianki niema.

Prawda, mówi nadto M. A. jeszcze o szczęściu wewnętrznem, które daje już za życia świadomość cnoty i spełnionego obowiązku. Ale czyż olbrzymia większość ludzi nie znajdzie że »zadowolenie moralne« uzyskane kosztem abnegacyi i poświęcenia jest znacznie mniej warte, niż zadowolenie niemoralne, które daje wesołe życie wśród zmysłowych rozkoszy?

Dodajmy do tego i to, że sposób myślenia M. A. w swych przypuszczeniach co do egzystencji zagrobowej jest zbyt nieokreślony, ażeby mógł być popularny. Niezawodnie, metafizyczne opinie wielu systematów filozoficznych, są często jeszcze bardziej mgliste a nawet wręcz niezrozumiałe. Ale metafizyka rozmaitych systematów filozoficznych nie waży też wiele na szali praktycznej etyki. Każdy filozoficzny system etyki wymaga zresztą taksamo »wiary«, jak religijny; wierzy weń zaś zwykle jedynie sam autor, który go stworzył, a i on zwykle tylko »teoretycznie«.

Umysł praktycznego i czynnego ale zarazem wobec zagadnień transcendentalnych płytkiego i trywialnego »przeciętnego« Europejczyka i wogóle człowieka Zachodu jest mało skłonny do wyobrażania sobie rzeczy innych, jak te, które widzi i wśród których się obraca. Hipotezy jego transcendentalne a ewentualnie i obrazy, które mu wiara jego podaje, są wskutek tego zaczerpnięte z wrażeń ziemskich.

Weszła tu jeszcze jako silny moment w grę barwna i pełna zmysłowych obrazów wyobraźnia ludu włoskiego, którego sposób widzenia rzeczy oddziałał stanowczo na zapatrywania innych narodów. W włoskiej fantazyi życie zagrobowe musiało przybrać żywe konkretne formy. Idea kary obwlekła się w obrazy najstraszniejszych zmysłowych katuszy, idea nagrody przybrała postać powiewną i świetlaną. Tu i tam żywe obrazy czysto zmysłowe: tu w głębi ziemi ciemności, jęk, płacz, ogień i tortury; tam w przestworzach jasne szaty, promienie światła i zachwycające śpiewy. Dante nie stworzył, tylko najświetniej poetycznie sformułował i odtworzył wiarę ludową włoską a wskutek tego jego Boska Komedia stała się jak gdyby *standard-book* dla obrazów zagrobowego świata.

Ten sposób myślenia z czasem zmodyfikował się zapewne nieco, lecz zasadniczo się nie zmienił, tak, że i dziś kontynuacja życia poza grobem przybiera w wyobrażeniu wierzących konkretne formy zaczerpnięte z ziemskiego życia zmysłowego.

Pominąwszy nieliczne jednostki opierające swą metafizykę na

jakimś abstrakcyjnym systemie filozoficznym, można pospolite pojęcia ludzi Zachodu co do kwestyi problemu zagrobowego podzielić na następujące trzy kategorie:

- a) wiara w kary i nagrody podobne do ziemskich, kontynuacja niejako naszej ziemskiej egzystencji przy spotęgowaniu wrażeń;
- b) materializm, a więc negacja życia zagrobowego i przyjęcie zgaśnięcia bezpowrotnego indywidualnej egzystencji;
- c) indyferentyzm, zamknięcie sobie mózgu na całą kwestyę metafizyki zagrobowej.

Wobec tych wszystkich trzech kierunków myśli dla nauk w rodzaju M. A. istotnie niema miejsca.

Lecz sądzićby może można, że teorye opierające etykę na współczuciu wobec bliźnich i ludzkości bez oglądania się na indywidualną nagrodę, jak to np. w części pod wpływem zapatrywań Buddystów a w części za przykładem Rousseau'a czyni Schopenhauer, dałyby podstawę do podobnych reguł życia, jak je nam podaje M. A. Co do mnie wszakże nie mogę uwierzyć w podobne ufundowanie praktycznej etyki. Wymagać od pospolitych, normalnie czujących i myślących ludzi, by pod wpływem miłości bliźniego i ludzkości uważali swój własny interes za identyczny z interesem ogółu i rozplywający się niejako w tamtym, jest to wymagać czegoś wręcz niemożliwego.

Nie jest też to prawdą, że ten sposób myślenia spotyka się u wyznawców Buddyzmu. Nie przeczę, że poczucie indywidualizmu i indywidualnego interesu jest w ich metafizyce słabsze aniżeli u narodów europejskich, ale przecież nie znika zupełnie. Wyobrażenia o metempsychozie, tkwiące w umysłach ludu, łączą się przecież z ideą indywidualnego polepszania się lub pogorszenia naszego bytu poza grobem. Nadto zaś ich »Nirvana«, przynajmniej w pojęciu wyobraźni ludowej, która silniejszą jest nad dogmat, nie jest martwą nicością, lecz raczej błogim zupełnym spokojem a więc przecież pewnym rodzajem »nieba«.

Daleki jestem od tego, by przeczyć, że altruizm potężny, doprowadzający nawet do najwyższych poświęceń może istnieć w świecie jako uczucie najzupełniej bezinteresowne, bez wszelkiej intensywności do jakiegokolwiek indywidualnej nagrody.

Matka kochająca, która z największem poświęceniem pielęgnuje swe chore dziecko z pewnością nie czyni tego w zamiarze uzyskania za to nagrody tu lub po śmierci. Dla niej życie dziecka więcej warte,

niż jej własne; ból dziecka siłą współczucia boli ją więcej, niż ból osobisty. Tego właśnie »bliźniego« kocha ona nie tylko tak jak siebie samą, lecz znacznie więcej, nie myśląc wcale o wynagrodzeniu za to uczucie.

Rozegzaltowany patriota ginąc śmiercią bohaterską w walce stoczonej w obronie ojczyzny, także może zupełnie nie myśleć o nagrodzie, która go czeka. Japończycy przy oblężeniu portu Artura nie byli mniej bohatersey i zdeterminowani na śmierć, niż muzulmanie w czasie najfanatyczniejszych »świętych wojen«, mimo że ci ostatni wierzyli najsilniej w natychmiastowe uzyskanie »raju« po śmierci, podczas gdy Japończycy przeważnie w życie zagrobowe nie wierzą.

Tego rodzaju przykłady zupełnie bezinteresownego altruizmu i poświęcenia są atoli właśnie czemś wyjątkowem, wynikiem egzaltacji spowodowanej instynktownem, potężnem przywiązaniem do pewnej jednej tylko osoby, lub entuzjazmem spowodowanym wyjątkowemi okolicznościami. Miłość »bliźniego« wogóle a więc każdego, z którym się stykamy, miłość »ludzkości« a więc wszystkich ludzi, u zwykłych natur charakteru podobnego absolutnie nie może przyjąć. Tam same »uczucie« czy też »współczucie« wrodzonego egoizmu nie usunie nigdy i nie przełamie.

Zresztą owe wyjątkowe uczucia, namiętne, nierozumowane i bezinteresowne często nie tylko nie są ogólną »miłością bliźniego«, ale zostają z nią w sprzeczności. Matka kochająca namiętnie swe dziecko bywa wskutek tego właśnie niesprawiedliwą wobec innych, często nawet krzywdzącą. Ile zaś zbrodni przeciw uczuciu »ludzkości« i »miłosierdzia« popełnia się wskutek przesadnego patriotyzmu narodowego, o tem świadczy niemal każda karta dziejów świata.

Nie wierzę tedy w jako tako skuteczną etykę dla szerokich warstw ludności opartą na innych podstawach, jak tylko na idei pośmiertnej nagrody i kary. Ażeby zaś ta idea była dość silnie zakorzenioną, musi ona być wynikiem przekonania, »wiarę«. Przypuszczenie »możliwości« tylko, jak to ma miejsce w sceptycyzmie M. A., nie wystarcza.

Obok owych, wyżej wspomnianych trzech kategorii ludzi t. j. naiwnie wierzących, materialistów i indyferentnych, jest jednak przecież jeszcze garstka takich, co gardząc materializmem a nie mogąc się w swych metafizycznych zapatrywaniach wzbąć ponad sceptycyzm szukają przecież silniejszej podstawy dla do-

bra i etyki, które jako potrzebę serca wskazuje im ich szlachetniejsza natura. Czy dla tej garstki »Rozmyślania« M. A. nie mogą się stać zachętą na drodze bezinteresownej pracy, ukojeniem w smutku i zwątpieniu a tem samem być im, »nieumiejącym wierzyć«, jak gdyby słabym błędnym ognikiem religii?

Na to pytanie nie śmiem odpowiedzieć. W każdym jednak razie widzę w księdze Rozmyślań M. A. jeden z najbardziej wielkodusznych objawów, na jaki zdołała się zdobyć myśl ludzka. Zapewne, nie jest to objaw myśli n a r o d u, lecz wybranej j e d n o s t k i. Patrząc jednak na ten przykład powinno nas ogarnąć uczucie wstydu. Szczyci się ludzkość cywilizacją, postępem, zadziwiającymi wynalazkami. Lecz czy postąpiła istotnie w tych 18 wiekach, które nas dzielą od M. A. na polu kultury ducha i serca? Obawiam się, że nie.

Treść.

I. Znaczenie i treść nauki Marka Aurelego	3
II. Stosunek duszy naszej do porządku wszechświata	9
III. Obowiązki wobec bliźnich	15
IV. Obowiązki wobec społeczeństwa i państwa	25
V. Wyrabianie własnego charakteru	30
VI. Znikomość rzeczy ludzkich, śmierć, lekceważenie sławy	41
VII. Stosunek Marka Aurelego do chrześcijaństwa	46
VIII. Nauka Marka Aurelego a doba dzisiejsza	54

O ROZPOWSZECHNIENIU WAZODILATYNY
W SWIECIE ZWIERZECYM

podał

LEON POPIELSKI.

Ja i moi współpracownicy wykazaliśmy, że wazodilatyna znajduje się we wszystkich narządach, że jest normalną składową częścią każdej komórki w ustroju. Dla otrzymania wazodilatyny należy świeży narząd dokładnie rozetrzeć i albo zagotować albo zalać: 1) kwasem jakimkolwiek, 2) alkoholem. W ten sposób postępować należy dlatego, że wazodilatyna w świeżym narządzie przy temperaturze zwłaszcza 40° — 60° C łatwo się rozpada. W ostatnich czasach wykazałem, że objawy identyczne z objawami działania wazodilatyny otrzymuje się od najrozmaitszych ciał. Dostatecznie jest wprowadzić do krwi atropinę, morfinę, urohemolizynę, aby otrzymać objawy do najmniejszych szczegółów takie same, jakie otrzymujemy przy bezpośrednim wprowadzaniu do krwi wazodilatyny. Wreszcie Biedl i Kraus wykazali, że przy wprowadzaniu do krwi ciał białkowych, surowicy, zwierzętom w stanie anafilaksji, występują objawy identyczne z działaniem wazodilatyny. Niedawno Dale i Laidlaw znaleźli ciało β -imidazolyethylaminę ($=\beta I$), która wywołuje objawy (oprócz niekrzepliwości krwi) takie same, jak wazodilatyna. Dale i Laidlaw sądzą nawet, że βI jest częścią składową wazodilatyny. Wykazałem jednak (Erscheinungen bei direkter Einführung von chemischen Körpern in die Blutbahn, Centralblatt für Physiologie, Bd. XXIV, Nr. 24), że βI w skład wazodilatyny nie wchodzi, i że wazodilatyna jest ciałem chemicznie jednolitem. Wobec powyższych faktów należało w każdym poszczególnym wypadku przeprowadzić dokładną chemiczną analizę na zawartość wazodilatyny, gdyż same objawy przemawiać za obecnością wazodilatyny nie mogą. Wazodilatyna, jak to niejednokrotnie podnosiłem, wywołuje cały szereg zjawisk, które jednak sprowadzają się do dwóch elementarnych: niekrzepliwości i obniżenia ciśnienia krwi.

Wyrazem dwóch tych zjawisk zasadniczych jest pomiędzy innymi także wydzielanie soku trzustkowego. Niektórzy z autorów, w myśl poglądów Balyissa i Starlinga uparczywie utrzymują (jak

n. p. E. Zuntz), że wydzielanie soku trzustkowego 1) występuje tylko w wyciągu z błony śluzowej dwunastnicy i że 2) wydzielanie to można otrzymać oddzielnie od obniżenia ciśnienia krwi. Pogląd ten jednak jest zupełnie niesłuszny i całkowicie sprzeczny z faktami. Prawdopodobną przyczyną tego poglądu jest fakt ustalony przezemnie, że wyciągi z narządów immunizują zwierzę względem następnych wstrzykiwań tychże albo innych wyciągów.

Oczywiście, że autorzy, wprowadzając najpierw wyciąg z błony śluzowej dwunastnicy, nie otrzymywali wydzieliny od wyciągu z błony śluzowej odbytnicy. W tym ostatnim wypadku zachodzi jednak pewna okoliczność, a mianowicie, że wazodilatyna rozpada się pod wpływem treści odbytnicy.

Mając powyższe fakty na względzie, wykonałem badanie nad zawartością wazodilatyny z pijawek, dżdżownic i ślimaków.

Wyciągi kwaśne, przygotowane z pijawek, dżdżownic i ślimaków, przy wprowadzeniu do krwi wywołują obniżenie ciśnienia krwi, wydzielanie soku trzustkowego, objawy podniecenia, a następnie depresji w sposób zupełnie taki sam, w jaki te zjawiska występują od wazodilatyny. Należało jednak wykazać, czy ze wspomnianych wyciągów da się wyodrębnić wazodilatynę o znanych chemicznych własnościach. Okazało się, że wazodilatyna otrzymuje się w strącie fosforowolframowym, przechodzi do absolutnego alkoholu, nie strąca się chlorkiem platyny i chlorkiem kadmowym. Wobec tego należało wywnioskować, że w pijawkach, dżdżownicach i ślimakach znajduje się wazodilatyna z takimi samymi fizyologicznymi i chemicznymi własnościami, jak i we wszystkich narządach ustroju ciepłokrwistych. Jednocześnie stwierdziłem, że wazodilatyna znajduje się, jak w przednich tak i w tylnych częściach ciała pijawek, co było ważnem ze względu na znaną własność pijawek utrzymywania krwi w stanie niekrzepliwym. Okazało się dalej, zgodnie ze znanymi własnościami wazodilatyny, że wyciągi z pijawek wywołują niekrzepliwość krwi jednocześnie z obniżeniem ciśnienia krwi. Fakt ten ma ogromne znaczenie wobec twierdzenia niektórych autorów, że wyciągi z pijawek wywołują niekrzepliwość krwi, nie wywołując wcale zmian w ciśnieniu krwi. Co się tyczy niekrzepliwości krwi *in vitro* (w próbówce), to takowa występuje, jak od wyciągów z przedniej, tak i z tylnej części pijawek. Wobec takiego zachowania się wyciągu z pijawek, ważną było rzeczą stwierdzić, jaki wpływ wywiera wazodilatyna na krzepliwość krwi *in vitro* (w próbówce)?

Okazało się, że wazodilatyna *in vitro* nie znosi krzepliwości krwi, która krzepnie w takim samym czasie, jak i bez wazodilatyny. Dla doświadczeń tych był użyty roztwór wazodilatyny bardzo znaczny i w ilości takiej, że wprowadzony do krwi psa wywoływał obniżenie krwi prawie do zera i niekrzepliwość krwi zupełną. Stąd należy wnosić, że wazodilatyna w ustroju wywołuje niekrzepliwość krwi przez to, że wytwarza się pod jej wpływem specjalne ciało, znoszące niekrzepliwość krwi. Co się tyczy hirudiny, ciała otrzymanego z przedniej części pijawek, i wywołującego niekrzepliwość krwi *in vitro*, to pod względem chemicznym jest ona bardzo zbliżona do wazodilatyny, jednak nie jest z nią identyczna.

Piśmiennictwo.

1. Popielski: Ueber die physiologische Wirkung von Extrakten aus sämtlichen Teilen des Verdauungskanaals (Magen, Dick- und Dünndarm) sowie des Gehirns, Pankreas und Blutes und über die chemischen Eigenschaften der darin wirkenden Körper. *Pflüger's Archiv*, 1909, t. 128, str. 191—221.
 2. Popielski: O własności moczu obniżania ciśnienia krwi. *Gazeta lekarska*, 1910.
 3. Dale and Laidlaw: The physiological action of β -imidazolyethylamin. *Journal of physiology*, XLI, 5 p. 318 (1910).
 4. Popielski i Panek: Chemische Untersuchung über das Vasodilatin. *Pflüger's Archiv* (1909), T. 128, str. 222—225.
 5. F. Czubalski: Ueber d. Einfluss des Darmextraktes auf die Blutgerinnbarkeit. *Tamże* (1908), T. 121, str. 395—404.
 6. J. Studziński: W sprawie fizyologicznego działania wyciągów z nadnerczy. *Lwowski Tyg. lekarski*, 1910, Nr. 19—21.
 7. J. Studziński: W sprawie fizyologicznego działania wyciągu z przysadki mózgowej (*hypophysis cerebri*). *Przegląd lekarski*, 1911, Nr. 29—36.
 8. J. Studziński: Ueber die giftigen Eigenschaften des Blutes. *Centralblatt für Physiologie*, 1909; *Gazeta lekarska*, 1909; *Russkij Wracz*, 1909.
 9. J. Modrakowski: O fizyologicznych własnościach cholin. *Przegląd lekarski*, 1908.
 10. J. Modrakowski: Ueber die Identität des blutdrucksenkenden Körpers in d. glanula thyreoidea mit dem Vasodilatin. *Pflüger's Archiv* 1910, T. 133, str. 291—304.
-
-

NOUVELLE INTERPRÉTATION
DU VERS DE LA DIVINE COMÉDIE:
»QUEI DUE CHE SEGGON LASSÙ PIÙ FELICI«

Par. XXXII, 118.

par

ÉDOUARD PORĘBOWICZ.



La lutte pour la primauté entre le pouvoir du pape et celui de l'empereur¹, de même que l'attitude de Dante entre les partis sont également bien connues aujourd'hui². D'un côté l'école guelfe: Saint Thomas d'Aquin et son plus célèbre disciple Colonna; de l'autre l'école gibeline faisant remonter son origine dans cette lutte jusqu'à Pierre Damiani (XI^es.); ses représentants sont Dante et Marsile de Padoue. Voici les thèses et arguments principaux des deux partis:

La théorie thomiste du pouvoir se trouve dans le passage classique de l'ouvrage *De rege et regno* (lib. I. cap. 1—2); elle y est basée sur des arguments théologiques, juridiques et historiques: Dans l'ordre de la nature il existe un pouvoir universel: Dieu et un pouvoir particulier, semblable au premier, mais en réduction: l'homme. Le principe du gouvernement terrestre doit prendre sa source dans les principes du gouvernement divin; le but du pouvoir terrestre est donc de conduire l'humanité vers une vie vertueuse et, par cette vie vertueuse, vers la jouissance de Dieu. Mais puisque l'homme ne peut atteindre ce but que par la force divine, il s'ensuit que le commandement même est le devoir non du gouvernement humain mais divin, non des rois de cette terre, mais des prêtres et avant tout, du plus grand des prêtres, du successeur du Christ, du pape romain, auquel tous les rois chrétiens doivent être

¹ Récemment: Rich. Scholz, *Die Publizistik zur Zeit Philipps des Schönen und Bonifaz VIII.* Stuttgart 1903.

² Ugo Chiurlo, *Le idee politiche di Dante Alighieri e di Fr. Petrarca.* (Giorn. Dant. vol. XVI, 1908); — K. Vossler, *Die göttliche Komödie*, I Bd. 2 T. *Etisch-Politische Entwicklungsgeschichte*, Heidelberg 1907. — Boffito, *Dante, Sant'Agostino ed Egidio Colonna* (Romano), Firenze 1911.

³ Th. Aquinatis *Opera omnia*. Parisiis 1889, vol. 27. opusc. XVI.

soumis comme à N.-S. Jésus-Christ lui-même. Suivent des preuves d'une pareille soumission prises dans l'Ancien Testament et dans l'histoire moderne.

Gilles Colonna expose sa doctrine dans le traité polémique *De potestate ecclesiastica*, si approchant du texte de la bulle de Boniface VIII: *Unam sanctam*¹ (1302) que Kraus suppose Égide être l'auteur de cette bulle; quant à Scholz, il pense que le pape s'est servi de l'oeuvre d'Égide pour la rédaction de la bulle². Sa thèse, c'est la suprématie absolue et même le *dominium* universale du pape en tant que chef de la chrétienté; les arguments sont puisés dans l'Écriture Sainte, dans la physique, dans la théologie. (Par exemple dans la lettre de St. Paul, Cor. II, 15: »Mais l'homme spirituel juge de toutes choses, et personne ne peut juger de lui«, ou bien dans l'évangile de saint Luc, XXII, 29: »C'est pourquoi je dispose du royaume en votre faveur« et 38: »Et ils dirent: Seigneur! voici deux épées. Et il leur dit: Celà suffit«. Autre preuve: le corps et l'âme c'est d'un côté *materia* et *potentia* et de l'autre *forma* et *actus*: les premiers sont gouvernés par les derniers.

En face de cette théorie s'élevait le vieil enseignement de Pierre Damiani exposé dans *Disceptatio synodalis*³, sur la nécessité de la pauvreté du clergé (Égide la combattait de toutes ses forces) — et sur le droit du pouvoir temporel non seulement de nommer les évêques, mais aussi d'employer les moyens nécessaires pour la réforme des moeurs ecclésiastiques.

Dante partait, comme Saint Thomas d'Aquin, du principe que l'état terrestre était l'oeuvre de Dieu (contrairement à Saint-Augustin qui le considérait comme l'oeuvre de Satan), mais se séparait irrémédiablement de son maître dans la question de la primauté; voilà sa tragédie et la sources des luttes intérieures et des souffrances morales qui sont devenues le ferment du poème divin. Quoique la Monarchie semble être une utopie circulant in abstractis, elle est visiblement dirigée contre les écrits polémiques du jour et elle est elle-même polémique.

¹ Edit. G. U. Oxilia e G. Boffito. Firenze 1908.

² Ce qui est frappant c'est l'identité du fameux passage: *oportet autem gladium esse sub gladio et temporalem auctoritatem spirituali subiici potestati*. Cf. Boffito, Dante etc. p. 23—26.

³ Mon. Germ. hist., Libelli de lite, vol. I p. 76.

Les idées de Dante sur les rapports entre la papauté et l'empire s'élucident dans ses oeuvres; ces idées s'écartent progressivement des théories thomistes. Dans l'Enfer (II, 20—25) Rome et imperium... fûr stabiliti per lo loco santo

U'siede il successor del maggior Piero.

Dans le livre II de la Monarchie se trouve développée et étayée logiquement l'idée de l'égalité absolue des deux pouvoirs. De même dans la Lettre aux princes d'Italie (§ 5): »a quo (Deo) velut a puncto bifurcatur Petri Caesarisque potestas«. Le livre III (§ 3) est dirigé contre les décrétalistes qui proclamaient la suprématie de la papauté sur l'empire. Pour les rapports entre ces deux pouvoirs on a trouvé une analogie dans le Soleil et la Lune; cette analogie, dans le Purgatoire (XVI, 107) se transforme en analogie de deux soleils égaux et au lieu de »deux épées« il y a »une épée et une crosse« (loc. cit. 109). Dans le § 4 le poète combat la théorie d'après laquelle la monarchie dépendrait de l'Eglise; plus loin il réfute les différents arguments, entre autres ceux d'Egide. Savoir: la preuve par analogie des fils de Jacob: Lévi et Juda (§ 5); — la preuve tirée du pouvoir de Samuel qui ôta à Saül le gouvernement royal (§ 6); — la preuve tirée des mages qui rendirent hommage à Jésus (§ 7); — la preuve tirée des paroles de l'Evangile: »ce que vous lierez sur la terre« (§ 8); — ou bien des mots »voici deux épées« (§ 9); — la preuve tirée de l'histoire de Constantin et de sa donation. — Les deux pouvoirs, dans la suite de l'argumentation sont réduits à l'unité qui est Dieu (§ 11); ensuite viennent les conclusions, résultat de la critique précédente: »prae-fatum auctoritatem (imperatoris) immediate dependere a culmine totius entis, qui Deus est«; l'empire n'a pas obtenu son pouvoir de l'Eglise, puisqu' il existait avant la fondation de l'Eglise (§ 12). Il n'y a pas également de raison de penser que l'Eglise possède le droit de transmettre le pouvoir temporel à l'empereur (§ 13); enfin le pouvoir temporel de l'Eglise serait en désaccord avec son devoir moral (§ 14). Puis vient (§ 15) la conclusion connue qui s'harmonise — disons-le — avec le point de départ de Saint Thomas d'Aquin, mais qui diffère totalement de sa conclusion: »Opus fuit homini duplici directivo, secundum duplicem finem; scilicet summo pontifice, qui secundum revelata humanum genus perduceret ad vitam aeter-

nam et imperatore. qui secundum philosophica documenta genus humanum ad temporalem felicitatem dirigeret».

On ne peut opposer à cette doctrine si explicite les passages des œuvres de Dante où le poète marque une certaine déférence, une soumission filiale de l'empereur à l'égard du chef de l'Église. La fin de la Monarchie surtout est caractéristique: »Que quidem veritas ultime questionis (c'est à dire le pouvoir impérial venant de Dieu) non sic stricte recipienda est, ut romanus princeps in aliquo romano pontifici non subiaceat: cum mortalis ista felicitas quodammodo ad immortalem felicitatem ordinatur. Illa igitur reverentia Caesar utatur ad Petrum, qua primogenitus filius debet uti ad patrem«... Il va sans dire que Dante, dans le passage ci-dessus, n'entend point anéantir sa thèse de »l'égalité des deux pouvoirs«; autrement la Monarchie n'aurait pas de raison d'être.

Mais cette égalité même ne semble pas aux jeunes dantologues le dernier degré de la pensée politico-morale de Dante. Et tandis que K. Vossler, dans son dernier livre, constatant chez Dante la conception de l'empire comme institution indépendante et de Dieu comme ultime »remedium contra infirmitatem peccati« hésite à admettre la conséquence de Dante-polémiste et pense que le poète a fixé sa théorie par une contemplation mystique de la puissance supérieure du pape¹, du côté italien. au contraire, commence à germer l'idée que la suprématie du principe monarchique est la dernière expression de la foi de Dante. M. Solmi, dans sa critique du livre de Vossler², dit que l'idéal politique de la monarchie universelle est né, non seulement de la tradition, mais aussi de la nécessité de créer un pouvoir directeur supérieur parmi les organisations des groupes sociaux et autonomiques: communes, républiques, principautés, royaumes en lesquels se divise l'inquiète société du Moyen Âge. De même le professeur Parodi, un des commentateurs contemporains les plus sagaces, dit en essayant une nouvelle explication de l'allégorie du Chant XXXII du Purgatoire (Le Char de l'Église et l'Arbre de l'Empire):³ »L'allégorie ne peut être appliquée

¹ K. Vossler, l. cit. p. 430. M. Chiurlo remarque avec raison que M. Vossler affaiblit, sans fournir de preuves suffisantes, la fermeté de la théorie dantesque (l. cit. p. 93).

² Bull. Soc. Dant., XV, 248.

³ Bull. Soc. Dant., XVI, 260—85, p. 270.

dans cette forme raide. On ne peut non plus concevoir »l'arbre« comme symbole des conceptions: libre arbitre, obéissance, droit divin ou droit éternel, royaume divin, justice, droit»¹. M. Parodi² renvoie plutôt à l'ancienne interprétation de Döllinger: »La défense de toucher à l'arbre de la science a été le commencement du droit, du gouvernement, du devoir d'obéissance. Le sens de cette idée c'était la fondation du plus haut pouvoir temporel, c'est à dire, de l'Empire qui est l'origine de la législation et le défenseur du droit. L'arbre devient alors le symbole du pouvoir impérial, de la monarchie romaine«. Il nie pourtant que la signification de l'allégorie soit exclusivement morale; au contraire, elle est strictement politique: »L'arbre, en tant que *ius naturale* (c'est-à-dire *humanum*), *naturalis iustitia* est identique à l'empire, parce que la justice naturelle, reflétée dans la conscience de chaque individu, manifeste l'unité idéale de l'empire un et unique. L'arbre du Paradis terrestre expliqué par Dante comme étant le *ius humanum* est, par suite, la plus haute et la plus forte expression de son système politico-moral. En dépit des théories des théologiens qui bouleversent presque le droit naturel fondé d'après eux sur le droit divin, Dante place justement ce droit naturel à la tête de l'ordre de l'univers et il montre que le premier droit divin impose le devoir d'obéissance envers le droit humain... Il y a là un ennoblissement de la nature humaine; elle est délivrée de la malédiction des théologiens;³ on y voit aussi une nouvelle forme de l'humanisme de Dante, une nouvelle historiosophie, la proclamation de la suprématie du peuple romain, représentant de la monarchie, d'après le droit naturel donné dans le Paradis«. Le prof. Parodi, contrairement aux opinions établies, pense que l'idée monarchique de Dante s'est développée à mesure qu'avancait la Divine Comédie. Aux environs de l'an 1300, Dante, guelfe, acceptait la doctrine thomiste de la suprématie du pape; ensuite il s'unit aux gibelins; mais mécontent de leurs théories sur la suprématie de l'empire il fit »parte da se,« créa son propre parti et sa propre

¹ Ajoutons encore les autres explications: croix, Rome, morale, Église etc.

² L. cit. p. 271, note.

³ De Gilles Colonna, par exemple, pour qui le droit naturel est de si peu de poids que d'après lui: »quilibet nascitur natura filius irae;... nullus princeps erit dignus et verus princeps nisi sit per Ecclesiam regeneratus spiritualiter«.

théorie de l'indépendance des deux chefs de l'humanité. Le péché pour lequel Dante-philosophe est repris par Béatrice dans le Purgatoire, c'est « d'avoir méconnu cette vérité que l'empire n'a pas été créé pour l'Eglise (comme il le disait dans la Comédie, Inf. II, 22), mais qu'il a comme elle une source divine. De plus Dieu a fondé l'empire dans le Paradis terrestre avant la fondation de l'Eglise, en créant le premier homme; par la première de ses lois saintes et irrevocables il a fait de cet empire le but du respect et de l'obéissance de tous les hommes ». Cette idée de l'éminent dantologue semble trouver son appui dans un fait insuffisamment apprécié jusqu'à présent, à savoir: la détermination exacte de la place d'Adam qui siège au premier rang dans la Rose mystique. Voilà comment se présente ce curieux et important problème.

II.

Dans l'Empirée, la plus haute sphère du Ciel, Dante est admis à contempler la Rose mystique: Saint Bernard lui montre les âmes bienheureuses assises dans la gloire céleste et placées à des degrés plus ou moins élevés comme les pétales d'une fleur. D'un côté, à la place la plus haute siège la Sainte-Vierge; en face d'elle, Saint-Jean Baptiste; sur les étages inférieurs: aux pieds de la Sainte-Vierge se trouvent Saint François, Saint Benoît, Saint Augustin, etc. Par ce demi-cercle toute la Rose se divise en deux moitiés: l'une est destinée à l'Ancien Testament, l'autre au Nouveau Testament. Ainsi Béatrice est assise du côté chrétien, au troisième rang; aux côtés de la Sainte-Vierge sont placés Adam et Pierre, aux côtés de Saint Jean Baptiste se trouvent Sainte Lucie et Sainte Anne. Le texte de la Divine Comédie semble expressément indiquer leur places:

Quei due che seggon lassù più felici,
 Per esser propinquissimi ad Augusta.
 Son d'esta rosa quasi due radici.
 Colui che da sinistra le s'aggiusta,
 E il padre, per lo cui ardito gusto
 L'umana specie tanto amaro gusta.
 Dal destro vedi quel padre vetusto
 Di santa Chiesa, cui Cristo le chiavi
 Raccomandò di questo fior venusto.
 E quei che vide tutt' i tempi gravi,

Pria che morisse, della bella sposa
 Che s'acquistò con la lancia e coi chiavi,
 Siede lung'h'esso, e lungo l'altro posa
 Quel duca, sotto cui visse di manna
 La gente ingrata, mobile e ritrosa.
 Di contro a Pietro vedi seder Anna,
 Tanto contenta di mirar sua figlia,
 Che non muove occhi per cantare Osanna.
 E contro al maggior padre di famiglia
 Siede Lucia, che mosse la tua donna
 Quando chinavi, a ruinar, le ciglia.

En approfondissant cette description on s'aperçoit que l'image de la Rose n'y apparaît pas tout à fait clairement. Au premier abord, en dépit de l'apparente clarté du texte, on ne sait où est le côté droit et le côté gauche. Il va sans dire qu'il importerait grandement de déterminer l'intention du poète; celà indiquerait en effet comment Dante concevait le rôle et la dignité d'Adam par rapport à Pierre et quelle place il leur désignait dans la Gloire. La première place est sans aucun doute à la droite de la Sainte-Vierge. Pour découvrir l'intention cachée du poète »sotto il velame degli versi strani« on peut s'aider: 1° de la lettre du texte; 2° de la glose des commentateurs; 3° de l'iconographie; 4° de l'attitude de Dante à l'égard des figures de la Divine Comédie; 5° de sa manière habituelle de compter le côté droit et le côté gauche.

1° On peut expliquer le texte de deux façons: Celui che da sinistra le s'aggiusta peut également signifier (la syntaxe restant tout aussi correcte dans l'un que dans l'autre cas) ou bien: celui qui du côté gauche la touche, ou bien: celui du côté gauche qui la touche; dans le premier cas le côté gauche se comptera d'après les personnages et Adam sera à gauche, dans le second il se comptera d'après le spectateur et Adam sera à droite de la Sainte-Vierge. A destra ou Dal destro vedi: à la droite ou: à sa droite; dans ce dernier cas Saint Pierre occuperait une place supérieure à celle d'Adam. Une chose est certaine: si Adam est à la gauche de la Sainte Vierge, Sainte Lucie, pour être en face de lui, doit être assise à gauche de Saint-Jean; autrement elle se trouverait dans la partie de l'ancien Testament. Car on a très justement défini la Rose mystique comme étant une sorte de »table

ronde¹ ou bien une sorte d'amphithéâtre;² les convives ont leurs vis-à-vis sur les points opposés du cercle. C'est pourquoi il est impossible d'admettre le commentaire du prof. T. Casini qui, ayant admis que Pierre est à droite et Adam à gauche de la Sainte-Vierge, continue ainsi:³ »En face de Saint Pierre, à gauche de Saint Jean Baptiste se trouve la mère de la Sainte-Vierge; en face d'Adam, à droite de Jean se trouve Sainte Lucie«.

2^o. Parmi les plus anciens commentateurs, les uns passent sous silence la question de la suprématie des Saints, les autres ne s'expriment pas clairement, d'autres enfin, reconnaissent la suprématie de Saint Pierre. Le fils du poète, Pietro⁴, en ne commentant que les passages essentiels et l'allégorie générale du poème, garde le silence sur ce point; dans les Gloses sur Dante, faussement attribuées à Boccace et publiées d'après deux codes de la bibliothèque Riccardiana⁵ il y a une sorte d'opinion émise d'après laquelle Saint-Bernard indique que les côtés se comptent d'après le spectateur: »E dicie laltore che comincio prima amostrare alchuno delvechio testamento dallamano sinistra edicie chel primo che gli mostro fu Adamo. E poi dicie che dal diritto lato gli mostro san Piero«. Fr. da Buti⁶ dit avec intention d'une façon générale: »da sinistra Adamo, da destra Piero«. Beniv. Rambaldi da Imola⁷ admet qu'Adam et les Juifs sont assis à gauche de la Sainte Vierge, tandis que Saint Pierre et les Chrétiens sont assis à sa droite: »quegli che da sinistra è vicino à Maria è Adamo, — dal destro lato vicino à Maria è san Piero«. Enfin l'Anonyme florentin⁸ comprend aussi expressément: »or guarda dalla sinistra parte di Nostra Donna, che quello che più le s'avvicina, si è Adamo... Dal lato destro di N. D., si è santo Piero«. Les commentateurs modernes ont établi l'opinion d'après laquelle Adam est assis à gauche et Saint-Pierre à droite de la Sainte-

¹ A. Galassini, *I cieli danteschi*. Firenze 1894, p. 79.

² R. Fornaciari, *Lectura Dantis. Il Canto XXXII del Paradiso*. Firenze 1904, p. 8.

³ *La Divina Commedia*, ed. Casini, Comm. ad XXXII, 133—136.

⁴ *Petri Allegheri Commentarium*, ed. Nanucci. Florentiae 1846.

⁵ *Chiose sopra Dante*, ed. Vernan. Firenze 1846, p. 707.

⁶ Fr. da Buti, ed. Giannini. Pisa 1862, t. III, p. 846.

⁷ B. R. da I., *Commento latino sulla D. C., voltato in italiano dal av. G. Tamburini*. Imola 1856, vol. III, p. 302.

⁸ *Anonimo fiorentino*, ed. Fanfani. Bologna 1873, t. III, p. 390—1.

Vierge; — je ne connais pas d'opinion contraire¹. Ils donnent pour raison que le Nouveau Testament est plus respectable que l'Ancien (Fratlicelli, Scartazzini). Ils ne prennent pas garde que ce Nouveau Testament, d'après leur propre manière de compter se trouvera à gauche de Saint-Jean et que par conséquent il aura perdu la suprématie de ce côté. Au contraire, par cette ingénieuse idée de la «table ronde» où le «basbout» n'existe pas, Dante aurait voulu adoucir les différences hiérarchiques entre les deux testaments tout en conservant la hiérarchie des personnes. C'est de cette hiérarchie qu'il faut partir — comme nous le verrons, pour déterminer la situation d'Adam et de Pierre.

3°. L'iconographie dantesque n'élucide rien; les miniatures des manuscrits de la Divine Comédie qui représentent la Rose mystique n'illustrent pas à proprement parler le poème; elles sont l'image soit du Couronnement de la Sainte-Vierge, soit de la Gloire céleste avec la Sainte-Trinité exécutée d'après les formules consacrées. Aucun peintre de fresques, aucun enlumineur de manuscrits n'aurait osé aller contre l'orthodoxie. Parmi les descriptions faites par Volkmann² il n'y a pas un seul exemple où l'on puisse reconnaître la vision du poète. Ainsi, dans le manuscrit de la bibliothèque Trivulziana à Milan, daté de 1347 (n. 1080) l'initiale du Paradis représente le Couronnement de la Sainte-Vierge assise au milieu des anges. Le ms. de la bibliothèque Palatina à Parme, de la seconde moitié du XIV^e siècle (n. 3285), représente en cet endroit la Sainte-Trinité en mandorle; au-dessous d'elle est assise Beatrix; plus bas, à la porte du Paradis, se trouvent Saint Jean et Saint Pierre; dans la majorité des miniatures, ce n'est pas la Sainte-Vierge qui est assise au milieu, mais bien Jésus Christ en mandorle; il a la Sainte-Vierge à sa droite et Saint-Jean Baptiste à sa gauche (ainsi dans le ms. de la Bibl. nat. à Paris, ital. 72, reproduit chez Volkmann, tabl. IV). C'est d'ailleurs la disposition-type.

L'iconographie extra-dantesque, soit byzantine ancienne, soit italienne moderne, ne connaît pas également de disposition qui rappelle la Rose mystique. Les mosaïques chrétiennes qui représentent

¹ Ils considèrent ce fait comme indiscutable. Cf. R. Fornaciari, l. cit. p. 24 et Parodi, *Fanfulla della Domenica*, a. XXX, n. 19 (1908).

² Volkmann, *Iconografia dantesca*, ed. italiana a cura di G. Locella. Firenze 1898.

le Paradis, et publiées par Ciampini (t. I, pl. 65, 67, fig. 2; 68; t. II, pl. 16, 28, 38, 44, 45, 51, etc.)³ ne permettent pas de pressentir la conception de Dante qui, par suite, est neuve et extrêmement hardie si l'on considère les traditions de la peinture religieuse. Ni les mosaïques byzantines ni les fresques italiens ne représentent jamais la Sainte-Vierge avec Adam et Saint-Pierre. Aucun des savants ne cite rien de semblable: pas plus Detzel² que Guénébault³, Wessely⁴, Kraus⁵. De même, dans la représentation du Jugement dernier le schéma reste loin de la vision dantesque. Ainsi dans la mosaïque byzantine de Torcello près de Venise (Kraus, II, p. 375) Jésus-Christ en mandorle a la Sainte-Vierge à sa droite et Saint-Jean Baptiste à sa gauche. Là où apparaît Adam, ce n'est jamais comme correspondant à Saint-Pierre, mais comme le doyen des personnages de l'Ancien Testament. Ainsi dans le fresque de S-ta Maria Novella à Florence (Kraus, II, 1, p. 349—50) Jésus Christ est assis entre Adam et Eve; dans le merveilleux Jugement dernier de Fra Angelico à l'Académie de Florence on peut, à cause de son air vénérable deviner Adam dans le premier vieillard assis à la droite de la Vierge; ce qui ne suffit pas pour rapprocher les deux conceptions. Si donc aucune lumière venue de ce côté n'éclaire l'intention du poète, il faut l'élucider par des aperçus tirés du fond de l'œuvre même.

4. La hiérarchie des personnages du poème constitue de tout l'abord la clef de l'énigme. Elle apparaît avec l'exactitude propre au Moyen Age dans tous les groupes de maudits, de pénitents et de saints. Parmi les poètes, le premier nommé est Homère (Inf. IV. 88); parmi les philosophes (IV, 181), Aristote; dans la vallée fleurie du Purgatoire (VII), parmi les princes avides de gloire terrestre, le premier cité est l'empereur Rodolphe (94). Dans le Paradis la gradation est scrupuleusement maintenue. D'abord apparaissent les esprits encore voilés de l'ombre de leur faute. Ensuite viennent les esprits bienfaiteurs, les esprits charitables, les docteurs de l'Église, les martyrs de la foi et les guerriers, les princes justes et sages, les esprits contemplatifs, les esprits triomphants, Pierre, Jacques, Jean et après

¹ Ciampini J., *Vetera monumenta. Romae 1690—99*, 2 vol.

² Detzel, *Christliche Ikonographie*, 1894.

³ Guénébault, *Dictionnaire iconographique*, 1845.

⁴ Wessely, *Ikonographie Gottes und der Heiligen*, 1845.

⁵ Kraus, *Geschichte der christlichen Kunst*, 1896—1908.

eux Adam, le dernier dans le rang des hommes; ensuite viennent les hiérarchies des anges, la Sainte - Vierge, la Sainte Trinité. La place si éminente occupée par Adam est motivée a) par le poète lui-même, b) par l'opinion établie soit des Pères de l'Eglise et des théologiens, soit de la tradition des légendes chrétiennes.

a) Par le poète lui-même. Adam »quell' uom che non nacque« (Par. VII, 26) est, à côté de Jésus-Christ incarné, le plus sage des hommes. Si Saint-Thomas disait de Salomon: »a veder tanto non surse il secondo« (Par. X, 114), il rapportait cette sagesse uniquement à la dignité royale; le plus sage des rois, comme il l'interprète plus loin (XIII, 31 et sq.).

b) Par les Pères de l'Eglise, les théologiens et la tradition, Adam était le plus sage des hommes. Saint-Augustin dit que nos esprits comparés à celui d'Adam »plumbei iudicantur« (L. IV, c. LXXV P. L. I. XLV. col. 1381). Saint-Thomas dit qu'il a été du premier abord créé parfait (I^a q. XCIV a³) et qu'il possédait toute science humaine: »omnium scientiarum, in quibus homo natus est instrui«. La théologie nouvelle énumère même ce qu'Adam savait: »Il croyait sans aucun doute en Dieu; il connaissait probablement le mystère de la Sainte-Trinité et même le mystère de l'Incarnation¹.

Adam est le représentant de l'humanité; de plus il est le premier organisme d'où est sortie l'humanité entière qui y était contenue tout d'abord, d'après les vieilles théories biologiques. Saint-Augustin écrit: »Omnes fuimus enim in illo uno, quando omnes fuimus ille unus (De civ. Dei L. XIII c. 14).

Adam est le symbole du Christ. Le Christ est un second Adam. Saint Paul dans une épître aux Romains V, 18, dit: »Comme donc c'est par un seul péché que la condamnation est venue sur tous les hommes, de même c'est par une seule justice que tous les hommes recevront la justification qui donne la vie«. De même dans son Epître I-er aux Cor. XV, 21: »Car puisque la mort est venue par un homme, la résurrection des morts est venue aussi par un homme«. Et XV, 45: »Le premier homme, Adam, a été fait avec une âme vivante; mais le dernier Adam est un Esprit vivifiant«. Adam est donc tout ensemble l'analogie et l'antithèse du Christ; Saint-Augustin voit là l'ordre de la justice: »Et qualis forma nisi in contrario?« (L. II c. XXVII. P. L. XXIV, col. 462).

¹ X. le Bachelet, Dictionnaire de théologie catholique, I, col. 374.

Adam, le premier et le plus éminent des hommes a été aussi racheté le premier parmi les personnages de l'Ancien Testament. Sa rédemption est admise comme certaine par les Pères de l'Église: Saint Augustin (Ep. à Enode. Epist. CLXIV n. b. P. L. XXXIII, col. 711), Irénée, Tertullien, Origène, Grégoire de Nazianze, Jérôme. D'après la tradition légendaire ou iconographique, il a été le premier tiré hors de l'Enfer. Nous lisons dans l'évangile apocryphe de Nicodème, c. 25; »Dominus autem tenens manum Adae tradidit (eum) Michaeli archangelo«. C'est d'après cette scène populaire qu'a été composée la mosaïque détruite de S-ta Maria in Praesepe, dans l'Église de Saint-Pierre (VIII s.) et à Sainte-Praxède (IX s.); de même sur le fresque de Santa Maria Novella¹.

5. La manière constante de compter la droite et la gauche est le criterium le plus certain parmi tous ceux que l'on emploie pour résoudre la question. Dante compte toujours du point de vue du spectateur; il suit le sens de l'oeil qui regarde l'horizon ou de la main qui écrit. Là où il représente un groupe de scènes ou de personnages, il les nomme en commençant par la gauche; on peut vérifier ce fait en examinant chacun des cas.

Inf. p. IX. Du haut de la tour qui garde l'entrée de la ville de Dis trois furies se penchent vers les voyageurs. Virgile les montre à Dante.

Guarda... le feroci Erine.
Quest'è Megera, dal sinistro canto;
Quella che piange dal destro, è Aletto;
Tisifone è nel mezzo (v. 45—8).

La position des spectateurs ainsi que la façon de présenter rappellent la scène de la Rose mystique; ici et là on pourrait en apparence donner une double explication. Scartazzini dit que *canto* signifie »le côté de la tour« et il cite Benvenuto da Imola qui explique que Mégère est à gauche de Tisiphone »quia est peior quantum ad scandalum in foro civili«. Parmi les plus récents commentateurs L. Filomusi-Guelfi², en interprétant le symbole de Mégère, Alecto et Tisiphone selon la classification des péchés d'après Saint Jean

¹ Cf. *Legenda aurea*: Du mystère de la croix, II, 8; — Kraus, l. cit. II, 1, p. 349—50; — Detzel, l. cit. I, p. 463.

² *Giorn. dant.* vol. XVIII, p. 121.

(concupiscenza della carne, concupiscenza degli occhi, superbia della vita)¹, pense qu'Alecto est à droite comme moins nuisible et Mégère à gauche comme étant plus mauvaise; il ne dit pourtant pas s'il compte la droite et la gauche d'après les personnages ou d'après les spectateurs. L'interprétation de Scartazzini est arbitraire; si l'on prend en considération le style du passage, il est difficile d'admettre que Virgile veuille dire »le flanc de la tour«; il aurait dit là ou auparavant »canto della torre«. De plus le mot *canto* chez Dante signifie fréquemment »côté«. Ainsi dans *Purg.* III, 89:

La luce in terra dal mio destro canto.

Il sera plus simple d'appliquer tout le cours des enseignements de Virgile au mot *guarda* et d'interpréter qu'il montre en comptant de gauche à droite. Le criterium hiérarchique mène également à cette conclusion, mais dans le sens opposé à celui de Benvenuto. Puisque Mégère est en réalité la plus mauvaise, elle doit se tenir à droite de Tisiphone, comme étant plus haute dans la dignité du mal; par là se fortifierait l'opinion que Dante compte de gauche à droite.

Inf. C. XII. Cercle des violents; ils nagent dans le sang, gardés par les centaures, que Virgile montre à Dante d'après leur importance: »Quegli à Nesso, — quel di mezzo è'l gran Chirone, — Quel'altro è Follo« (v. 67—70). Ils sont placés en face; Nessus, le plus célèbre, est à droite de Chiron, ce qui apparaît dans les vers suivants:

Chiron se volse in su la destra poppa E disse a Nesso (v. 97—98). Par conséquent le poète les regarde et les énumère en comptant de gauche à droite.

Inf. C. XVII. Cercle des usuriers. Les damnés sont enfouis dans le sable brûlant au bord d'un précipice. Dante ayant quitté Gérión s'avance vers la droite (*scendemmo alla destra mamella*, v. 31) et étant parvenu jusqu'à eux, il commence leur revue par la gauche; Gianfigliuzzi, Ubriacchi, Scrovigni. A côté de Scrovigni la place est vide; elle est destinée à Vitaliano:

il mio vicin Vitaliano
Sederà qui dal mio sinistro fianco (v. 68—9).

¹ Pour les autres interprétations voyez Flamini: *I significati reconditi della Commedia di Dante*. Livorno 1904, t. II, p. 50.

Inf. C. XXXIV. Dante décrit les trois visages de la tête de Lucifer. Le visage de devant est pourpre, celui de droite est jaune-pâle, celui de gauche est noir.

E la destra pareva tra bianca e gialla;
La sinistra a veder era tal, quali
Vengon di là, onde il Nilo s'avvalla (v. 43—5).

Par conséquent, là également le poète compte de gauche à droite.

Purg. C. X. Dante mesure des yeux la largeur de la terrasse et par habitude il trace un arc dans la direction usuelle.

E quanto l'occhio mio potea trar d'ale
Or dal sinistro ed or dal destro fianco,
Questa cornice mi pareva cotale (v. 25—27).

De même lorsqu'il examine les scènes sculptées dans le socle. La position des spectateurs est telle que Dante marche à gauche de Virgile (v. 48). De son côté il voit la scène de l'Annonciation (v. 34—45): pour examiner la suivante il doit dépasser son guide et Dante décrit son mouvement avec une grande exactitude (v. 49—54).

Purg. C. XXVIII—XXXII. Dans l'allégorie de la procession mystique, le côté droit et gauche du char jouent un rôle important; d'après la position de Dante et de Mathilde devant le Miracle qui passe, on peut conjecturer dans quel ordre le poète représente la scène:

Tre donne in giro, dalla destra ruota Venian danzando (XXIX. 121—2) — et plus loin:... Dalla sinistra quattro facean festa (v. 130).

De quel côté du spectateur se trouve la roue droite et la roue gauche du char? Nous le saurons d'après les positions successives du poète, décrites avec une grande exactitude intentionnelle: Dante ayant pénétré dans le bois a rencontré d'abord le courant du Léthé qui coule vers la gauche, »inver sinistra«, c'est-à-dire vers le nord (XXVIII, 26). Mathilde, de l'autre bord du fleuve lui parle des merveilles du Paradis, après quoi elle se dirige en amont du fleuve: »Allor si mosse contra il fiume«, et le poète fait de même (XXIX, 7—8); par conséquent il avance vers la droite et vers le midi. Cent pas plus loin la rivière se tourne vers l'orient, c'est-à-dire vers la gauche: »per modo ch'a levante mi rendei« (XXIX, 12); le poète suit toujours le bord de l'eau. Sur l'autre bord, le cortège mystique arrive de l'orient: »si movea incontro di noi« (XXIX, 59).

Dante s'arrête; son côté gauche est tourné vers l'eau; »l'acqua splendea dal sinistro fianco« (XXIX—67). Lorsque le char s'est arrêté, il se tourne vers lui de face. En énumérant les personnages placés près de la roue droite, il procède donc dans l'ordre habituel: il compte de gauche à droite. Et plus loin: quand les trois vierges (les trois vertus théologiques) l'arrachent à la contemplation de Béatrix, il tourne tout de suite les yeux à gauche: »ver la sinistra« (XXXII, 8—9).

Parad. C. X. Dans le quatrième ciel ensoleillé, une guirlande d'esprits tourne autour de Dante et de Béatrix. Elle s'arrête, et l'un des bienheureux, Saint Thomas d'Aquin, lui montre ses compagnons. En cet endroit la manière de compter est différente; mais c'est une exception qui confirme la règle. Celui qui parle compte à partir de la droite:

»Questi, che m'è a destra piu vicino, Frate e maestro fummi...«
Donc Albert de Cologne, Gratien, Pietro Lombardo, Salomon, Denis, Paul Orosius, Boèce, Isidore de Bède, Richard de Saint-Victor (v. 97—132). Le dernier, Siger, ferme le cercle:

»Questi onde a me ritorna il tuo riguardo« (v. 133), et il se trouve à gauche de Saint Thomas. La manière de compter est changée parce que c'est Saint-Thomas qui fait les honneurs; la revue se fait d'après celui qui parle et non pas d'après le spectateur.

Parad. C. XV. Dans la planète Mars apparaît l'image de la croix à bras égaux. Du côté de l'un des bras se voit une étoile. C'est Cacciaguida, aïeul du poète.

»Tale, dal corno che in destro si stende
Al piè di quella croce corse un astro« (v. 19—20).

Scartazzini entend: sur le bras droit de la croix; ce qui est inadmissible, si l'on remarque que le poète, quelle que fut d'ailleurs sa vénération pour l'aïeul de sa famille, ne pouvait le placer avant les guerriers célèbres que Cacciaguida énumère lui-même avec une grande connaissance de la hiérarchie et de la chronologie (XVIII, 38—48): Josue, Macchabée, Charlemagne, Roland, Guillaume, Rénouard, Godefroi de Bouillon. La politesse exigeait de désigner une place plus modeste au chef de la famille des Alighieris; cette place se trouve dans le coin, dans le bras gauche de la croix. Ce qui fortifierait encore l'opinion que poète compte destro et sinistro d'après lui-même.

Parad. C. XVIII. Dans la sixième sphère, celle de Jupiter, les esprits enflammés en étincelant tour à tour forment un verset: »Diligite iustitiam qui iudicatis terram«, et le poète, voulant nous rendre visible cette scène de la formation du vers, dit comment il notait les lettres les unes après les autres:

Mostrârsi dunque in cinque volte sette
Vocali e consonanti; ed io notai
Le parti sì come mi parver dette (v. 88—90)

c'est-à-dire dans l'ordre où elles se succédaient de gauche à droite.

Parad. C. XX. Les esprits étincelants sont logés dans la tête de l'Aigle, emblème de l'empire romain. L'aigle doit être tourné de profil vers la gauche, car c'est sa forme héraldique. Le poète nomme les esprits l'un après l'autre: David est logé dans la prune; parmi les cinq autres, le plus proche du bec, par conséquent le plus à gauche est l'empereur Trajan; puis viennent Ezéchiel, l'empereur Constantin, Guillaume II, Rifée (v. 37—69).

Parad. C. XXVII. Dans le ciel cristallin. Un moment auparavant le poète se trouvait dans la constellation des Gémeaux et dans le méridien de Jérusalem; puis ayant parcouru, par suite du mouvement du ciel, 90° vers l'est, il contemple le détroit de Gibraltar et la Phénicie. Puisqu'il regarde du côté des antipodes, il a Gibraltar à sa gauche et la Phénicie, c'est-à-dire l'Égypte, à sa droite; le poète les énumère dans cet ordre:

Sì ch'io veda di là da Gade il varco
Folle d'Ulisse, e di qua presso il lito
Nel qual sì fece Europa dolce carco (v. 82—4).

La manière de compter de Dante ne semble donc pas être douteuse et si l'argumentation ci-dessus est sûre, Adam a la place la plus honorable à droite de la Sainte-Vierge. La situation même exige une telle explication: Dante et Saint-Bernard se trouvent en bas, à la section fictive du cône ouvert à la partie supérieure. Il faut se représenter le geste indicateur:

»Dal destro vedi quel padre vetusto«, et rappeler le dramatique du style de Dante pour que l'hypothèse devienne certitude.

Il y a encore d'autres moyens de vérification. En face d'Adam est assise Lucie, en face de Pierre, Anne. Mais de quel côté de

Saint-Jean Baptiste? Cela n'apparaît pas dans le texte; il semblerait tout d'abord qu'Anne, étant la mère de la Sainte-Vierge, dût avoir la première place. Mais il convient de remarquer qu'à l'époque de Dante le culte officiel de Sainte-Anne n'existait pas encore, au moins dans l'église romaine; il n'a été introduit qu'en 1378. D'autre part, quoique le nom de Sainte-Anne soit populaire grâce aux évangiles apocryphes tels que le Protoévangile de Saint-Jacques ou l'évangile de nativitate Mariae, elle n'apparaît pourtant pas en personne dans la Divine Comédie; elle est nommée ici pour la première et la dernière fois et ce serait une surprise que de lui donner la première place.

Par contre Lucie est dans le poème un personnage de première importance: messagère de la Sainte - Vierge à Béatrix (Inf. II, 97), protectrice de Dante aux portes du Purgatoire (Purg. IX, 55), symbole de la grâce »sans laquelle il n'y a pas de salut«, que ce soit la grâce illuminante ou la grâce justifiante comme le prétend M. Fr. Flamini¹ après Jacques di Dante. Enfin tout le voyage du poète depuis les ténèbres du péché jusqu'aux clartés du salut s'est accompli grâce à trois Femmes: il a été rendu possible par la pitié de la Donna gentile, la grâce de Lucie, l'intelligence c'est à dire, l'amour de Béatrix. Le poète ne pouvait désigner à Lucie qu'une des places les plus importantes, à droite de Saint - Jean Baptiste. Par suite la place d'Adam se trouve déterminée avec toute l'exactitude désirable.

III.

La hardiesse avec laquelle Dante a donné à Adam une place si haute dans le chœur des bienheureux doit avoir une cause plus importante qu'une simple nécessité de composition, de division de la Rose en deux parties: l'Ancien et le Nouveau Testament. L'Ancien Testament commence, il est vrai, par Adam, mais le Nouveau ne commence pas par Saint-Pierre qui ne peut être considéré comme le »Père du christianisme«. Dans la dernière vision de Dante se cache un symbole général et supérieur à toute chose temporelle; sa signification apparaîtra par l'exégèse du texte et par un adjuvant dont les nouveaux commentateurs se servent volontiers, à sa-

¹ Fr. Flamini, l. cit. t. II, p. 156.

voir: les analogies des deux premières parties du poème qui est, comme on sait, un chef-d'oeuvre de construction harmonieuse.

La preuve par analogie est très importante pour l'exégèse dantesque et bien souvent décisive. La scène finale de l'Enfer et la vision finale du Purgatoire annoncent que le problème des rapports de la papauté et de l'empire se trouvera posé et définitivement résolu dans la Rose mystique. Les trois visions finales des trois mondes de la Divine Comédie expriment probablement la même idée, mais par des moyens de plus en plus élevés, d'après la formule théologique qui distingue trois espèces et trois degrés de visions: corporalis, imaginaria, intellectualis, ou bien litteralis, moralis, analogica¹. Dans l'Enfer, comme antithèse du monarque et de l'empire d'institution divine, est placé Lucifer, l'Antechrist qui dévore les traîtres à l'idée d'empire et le traître à l'idée chrétienne qui doit être réalisée dans l'Église. Cette vision explicite ne suggère pas de doutes et n'exige pas d'éclaircissements. La vision du Purgatoire, plus compliquée et plus obscure, suscite beaucoup d'explications qui n'ont cessé de naître jusqu'aujourd'hui. Elle est allégorique dans toute l'acception du mot. L'arbre du Paradis terrestre est le troisième (le premier, Purg. XXII, 133, était l'arbre de vie; le second, Purg. XXIV, 103, était l'arbre de la science); et comme tous les êtres et les symboles du Paradis sont les prototypes des êtres et des conceptions terrestres, par conséquent ce troisième arbre est également l'idée, le symbole du droit. Le poète, par l'organe du Griffon-Christ l'appelle: »la semence de justice« »seme d'ogni giusto« (Purg. XXXII, 48). En m'appuyant sur ce point acquis je vais essayer d'expliquer l'allégorie de la façon suivante: »Io sentii mormorare a tutti »Adamo« (XXXII, 37) est un reproche adressé à l'ancêtre d'avoir violé le premier droit. L'idée de la plus haute justice et de la législation est inséparable chez Dante d'avec l'idée de la monarchie: la justice est un attribut principal à côté de l'amour et de la sagesse (Conv. IV, 17). »Pianta despogliata« (v. 38) c'est, par suite, l'empire dépouillé non de ses vertus, comme le veulent les commentateurs (par ex. Scartazzini), mais dépouillé de ses droits de suprématie. Le Griffon-Christ est béni parce qu'il n'a jamais diminué l'empire dans ses droits; au contraire il a ordonné de rendre à César ce qui appar-

¹ Au sujet des trois degrés de vision comparez: Enr. Proto, *La concezione del Paradiso*. Giorn. Dant. XVIII (1910), p. 93—6.

tenait à César. La Curie romaine, qui enlève ses droits au monarque, se tord dans la douleur (la leçon *torce* et non *torse* semble être plus juste) et se trouve frappée d'impuissance. Puis vient la scène où le Griffon attache le Char à l'Arbre.

E vólto al temo ch'egli avea tirato,
 Trasselò al piè della vedova frasca¹
 E quel di lei a lei lasciò legato (v. 49—51).

Les commentateurs expliquent »quel di lei« : »le timon du char, en forme de croix«, avec une allusion à la légende de la croix du Christ faite de la souche de l'arbre sous lequel Adam avait péché. Parodi² admet l'allusion à la légende, mais à l'encontre de tous les commentateurs italiens et étrangers et pour des raisons de syntaxe il propose l'explication suivante: »Il Grifone (fa) di una fronda dell'Albero un vincolo, che mette in comunicazione e lega insieme Albero e Carro«. Mais puisqu'une fois il a fallu nous engager sur le terrain épineux de cette symbolique étrange, remarquons que les branches de l'arbre étaient courtes à la base et qu'elles s'élargissaient vers le haut en donnant, par ce moyen, à l'arbre la forme d'un cône renversé (v. 40); de plus, elles étaient sèches comme en hiver, après la chute des feuilles (v. 52—4), et par conséquent peu aptes à faire un noeud. Pour le prof. Parodi il s'agit d'obtenir le symbole suivant: »le Griffon a attaché le Char de l'Église à l'institution de l'Empire par le droit naturel de la suprématie du pouvoir monarchique«. On peut cependant arriver à ce même symbole au moyen d'une interprétation plus simple, sans allusion à l'arbre de la croix, allusion inattendue, puisque Dante ne dit rien de la forme du timon. »E quel di lei a lei lasciò legato« s'expliquerait plutôt ainsi: ayant attaché à lui ce qui venait de lui, il le lui laissa. Le poète ne dit pas *legò*, mais *lasciò legato*, où *lasciò* est la fonction principale d'où dérive l'idée d'analogie avec les mots de l'évangile: Rends à César ce qui est à César. Je comprends par quel di lei la matière du timon en bois terrestre, tandis que le reste du char était de nature céleste. Symboliquement cela voudrait dire: la direction temporelle du Char de l'Église est un pouvoir légitime consti-

¹ Rome abandonnée par l'empereur s'appelle également »vedova Roma« (Purg. VI, 113).

² L. cit., p. 271.

tué par une partie du suprême pouvoir monarchique transmise à l'Église; ce pouvoir est actuellement rendu à l'empire par le geste du Griffon-Christ, selon le commendement de l'Évangile et l'idée de Pierre Damiani. Et voici que l'empire, monarchie temporelle, se couvre à nouveau de verdure pour le bien de toute l'humanité. Ici commence pour lui un rôle nouveau, une nouvelle époque. Mais »pour l'exemple«, Béatrix, par la suite, étale devant le poète le tableau retrospectif des destinées de l'Église (v. 109—160)¹. L'autre était la vision de l'avenir rêvé et désiré; ici, c'est la vision du passé orageux et des horreurs du présent; ces deux visions sont nettement séparées par l'évanouissement de Dante (v. 64—70) qui indique toujours dans le poème le passage d'un monde dans l'autre (Inf. III, 136; Purg. IX, 11, etc.) Il les contemple uniquement pour les décrire aux hommes, afin de les instruire: »in pro del mondo che mal vive« (v. 103); quand à lui, il ne s'attriste pas, il ne souffre pas, quoiqu'un des épisodes (v. 154—5) soit justement sa propre histoire.

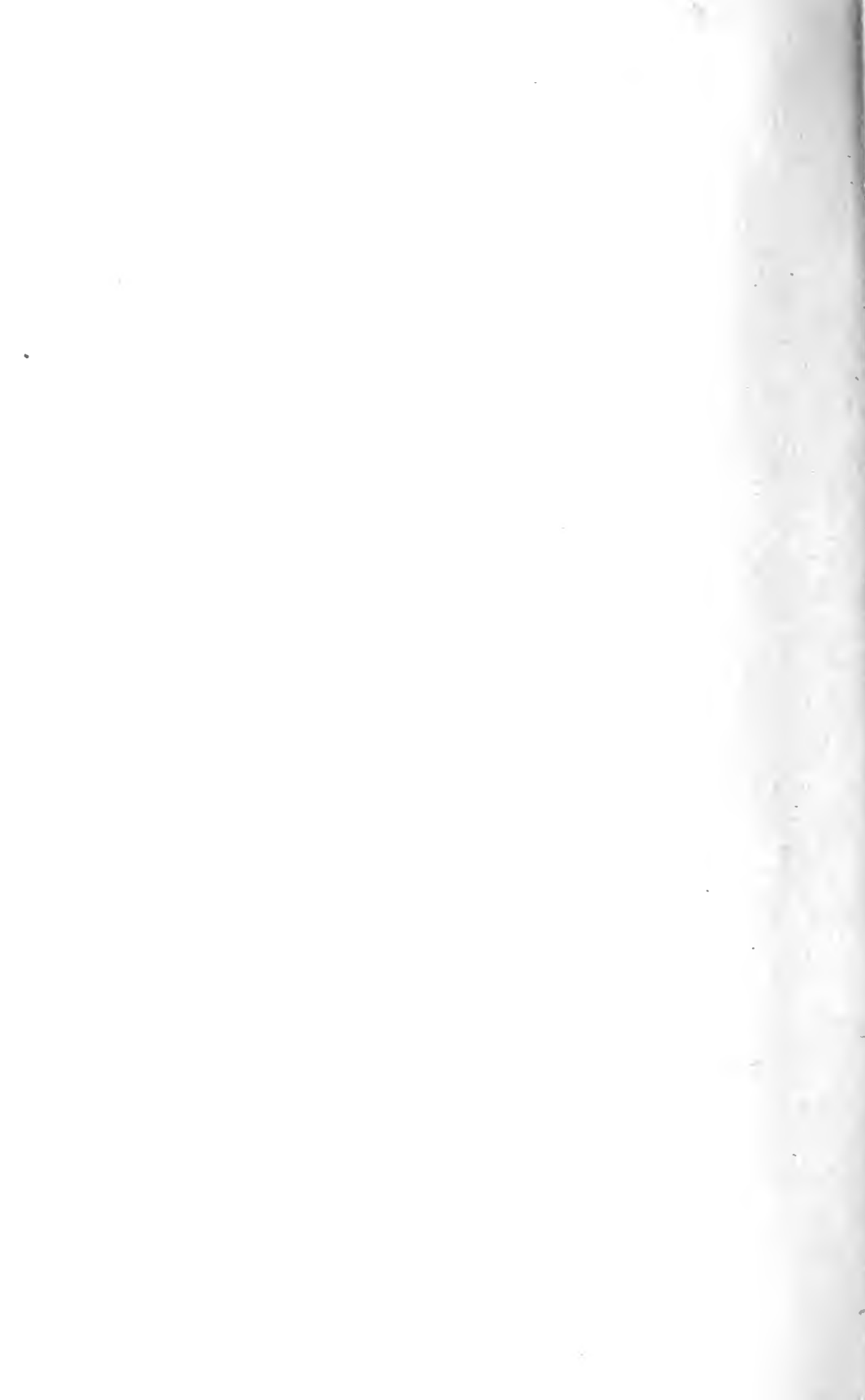
Ainsi éclaircie, l'exégèse du texte permet plus facilement de trouver l'idée vraie. Le poète dit qu'Adam et Pierre sont »les racines de la Rose mystique«. La Rose n'est pas la société des élus, ce n'est pas »l'Église« dans le sens thomiste, comme dernière forme de la société des fidèles après l'accomplissement des temps — Rifiée n'appartient même pas à la chrétienté; — c'est plutôt l'humanité sauvée, assise dans l'éternelle béatitude. La béatitude, autrement dit le retour à la première cause qui est Dieu, c'est le but final de l'humanité: »che il sommo desiderio di ciascuna cosa e prima dalla natura dato, è lo ritornare al suo principio« (Conv. IV, 12). La béatitude terrestre, la paix universelle (pax universalis, Mon. I, 5) qui rendaient possibles le perfectionnement individuel, l'emploi de la force propre (operationem propriae virtutis, Mon. III, 15), pour arriver par elle à jouir de la vue du visage divin (fruitionem divini aspectus, l. c.)², telle était la condition de la béatitude terrestre. Et de même que le pape était le soleil qui indique la voie de Dieu, de même le monarque était le soleil qui mène au bonheur terrestre. Par conséquent Adam et Pierre doivent être ici les représentants des deux principales institutions terrestres. Cette explica-

¹ On trouve des rétrospections semblables dans l'Enfer: le récit de la fondation de Mantoue, patrie de Virgile; dans le Paradis le récit des destinées de l'empire romain par l'Aigle de Justinien.

tion est confirmée par des épithètes: l'un est »maggior padre di famiglia«, l'autre est le »padre vetusto di santa chiesa«; l'un est père et chef de l'humanité, l'autre est le chef de l'Église.

La vision contemplée dans l'Empyrée donne la solution du problème, mais transféré dans des régions lointaines, loin de la réalité et des vaines affaires temporelles. Cette vision n'est compréhensible entièrement que pour les yeux qui ont déjà secoué la poussière terrestre, pour les esprits assainis et lavés dans la source de la science, — »inteletti sani«, comme le poète les appelle ailleurs (Inf. IX, 61).

La Mère de Dieu, dans la Rose mystique, ce n'est plus la »Donna pietosa« qui sauve le pécheur; c'est la reine revêtue du surnom d'»Augusta«. L'Empyrée, c'est la Jérusalem céleste à laquelle correspond, sur la terre, *civitas*, équivalent chez Dante à *civilitas*. Elle a été préparée par les deux chefs de la terre: l'empereur et le pape et c'est pour celà qu'ils sont éclairés par les plus lumineux rayons de la gloire; ils sont d'ailleurs pris ici entièrement comme abstractions; celui d'entre eux qui dès la création du monde était destiné à la réalisation de cette *civilitas*, le premier homme, le premier chef, symbole de l'humanité et symbole du droit, prend la place privilégiée. Est-ce là »la verità ascosa« de la vision finale? Dante ne désirait pas être trop facilement compris, il s'en défendait même; il était partisan de la »manière obscure« d'Arnold Daniel et il chassait avec mépris ceux qui voulaient le suivre sur l'océan »in piccioletta barca«. Les commentateurs devront encore longtemps peiner avant de découvrir sa pensée entière; le symbole dantesque, comme tous les symboles, admet beaucoup d'explications et sera encore construit de plusieurs façons bien différentes; sans être nécessairement le seul possible, le présent commentaire, basé sur des faits évidents, nous semble avoir sa bonne raison d'être.



O POMYŚLNYCH WYNIKACH
ZASTOSOWANIA MOJEJ METODY
PRZYWRACANIA ŻYCIA

podał

JAN PRUS

Gdy w roku 1899 na podstawie setki doświadczeń, wykonanych na zwierzętach, wyraziłem nadzieję, że moją metodę przywracania życia za pomocą mięsienia serca i sztucznego oddychania można będzie zastosować skutecznie w przypadkach nagłej śmierci u ludzi¹, nie mogłem uwolnić się od niepokojącej myśli, czy nawet w tym przypadku, gdyby powiodło się pobudzić serce i rdzeń przedłużony do samoistnej regularnej czynności, odzyska kora mózgowa swą prawidłową pobudliwość; doświadczenia bowiem na zwierzętach wykonane, wykazywały, że w niektórych przypadkach czynność kory mózgowej jest jeszcze przez pewien czas, i to nawet przez kilka dni upośledzona.

Pomnąc, że kora mózgowa człowieka oddziaływa już tak łatwo na zmniejszenie dopływu krwi zawieszeniem swej czynności (omdlenie, utrata przytomności), mogłem się obawiać, że zupełne wstrzymanie krążenia krwi w mózgu, trwające przez kilka lub kilkadziesiąt minut, pociągnąć musi za sobą trwałe wygaśnięcie pobudliwości kory mózgowej, i że ludzie, których udałoby się przywrócić do życia za pomocą mej metody, podobnie zachowywać się będą, jak ludzie

¹ Prus: Wykład w Tow. lek. lwowskiem dnia 11 listopada 1899.

Prus: »O wskrzeszaniu w przypadkach śmierci z uduszenia, otrucia chloroformem lub rażenia prądem elektrycznym«. (Księga pamiątkowa, wydana przez Uniwersytet lwowski ku uczczeniu 500-letniego jubileuszu Uniwersytetu krakowskiego. 1900).

Prus: »O wskrzeszaniu w przypadkach śmierci z uduszenia, otrucia chloroformem lub rażenia prądem elektrycznym«. (Przegląd lekarski 1900).

Prus: »Ueber die Wiederbelebung in Todesfällen in Folge von Erstickung, Chloroformvergiftung und elektrischem Schläge«. (Wiener klinische Wochenschrift 1900).

Prus: »Sur les moyens à employer contre la mort due à la suffocation à l'intoxication chloroformique et à la décharge électrique«. (Archives de médecine expérimentale et d'anatomie pathologique, fondés par I. M. Charcot N. 3. Mai 1901).

ze zniszczoną korą mózgową, jak n. p. ludzie w ostatnim okresie rozmięczenia mózgu, lub nawet jeszcze gorzej, jak ludzie nieprzytomni, n. p. w okresie śpiączki (sopor) lub zapadu (coma). To też z niezwykłym niepokojem wyczekiwałem pierwszych sprawozdań o wynikach zastosowania mojej metody.

W roku 1901 dnia 24 października powiodło się Maagowi w Danii (Maag: »Ein Versuch der Wiederbelebung [ad modum Prus] eines in Chloroformnarkose verstorbenen Mannes«. Centralblatt f. Chirurgie 1901, Nr. 1) za pomocą mojej metody przywrócić życie mężczyźnie 27-letniemu, zmarłemu skutkiem uspienia chloroformem, operowanego z powodu rwy kulszowej. Gdy wszystkie zabiegi lekarskie, stosowane przez ćwierć godziny, nie odniosły żadnego skutku, wykonał Maag po 15 minutach tracheotomię i otworzył klatkę piersiową za pomocą resekcji trzeciej i czwartej chrząstki żebrowej. Serce było zupełnie wiotkie i nie okazywało żadnego śladu drgań. Pod wpływem miarowego uciskania serca odsłoniętego pojawiły się wkrótce naprzód słabe ruchy serca, później zaczęło serce stopniowo bić coraz silniej samoistnie. Pół godziny później pojawił się pierwszy samoistny oddech, a po dwóch godzinach oddechy były już tak silne, że można było wstrzymać sztuczne oddychanie i zaszyć ranę, utworzoną na klatce piersiowej i szyi.

Po ośmiu godzinach atoli chory przestał żyć z powodu odmy piersiowej, wśród odsłaniania bowiem serca zraniono worek opłucnowy; chory nie wrócił do przytomności.

Na pytanie, dlaczego przytomność nie wróciła, trudno odpowiedzieć. Ani chloroformu nie było zawiele (bo 15 gramów tylko), ani w ustroju nie było żadnej choroby poprzednio, któraby mogła utratę przytomności tłumaczyć. Może zatrucie CO₂ z powodu niedostatecznego oddychania, wskutek odmy piersiowej. W każdym razie pobudliwość kory mózgowej była obniżona, prawdopodobnie z tego powodu, że przez pewien czas krew nie krążyła w mózgu.

Wobec tego przypadek ten nie rozwiał mych obaw, lecz przeciwnie je zwiększył. Wytlómaczenie śmierci jest w tym przypadku rzeczą podrzędną. Czy to odma, czy krwawienie, czy przepełnienie jelit powietrzem, jest to rzecz mniejszej wagi, w każdym razie oddychanie było niedostateczne.

Dnia 18 grudnia 1902 doc. chirurgii dr. Sick w Kilonii (Centralbl. f. Chirurgie 1903) przywrócił do życia piętnastoletniego chłopca, który już więcej niż godzinę nie okazywał żadnych śladów życia

skutkiem zatrucia chloroformem. Z powodu puchliny brzusznej, na tle gruźliczem powstałej, wykonano u tego chłopca laparotomię i wypuszczono litr płynu surowiczego mętnego, przyczem stwierdzono, że otrzewna ścienna i trzewiowa tudzież krezka pokryta była licznymi gruzełkami, dochodzącymi do wielkości soczewicy, a wątroba i śledziona były powiększone. Gdy ranę zaszywano, zaczął chory silnie tłoczyć brzuszną napinać i wymiotować, dano choremu ponownie nieco chloroformu, by uzyskać rychle uspokojenie się chorego. Skoro tylko chory się uspokoił, wstrzymano podawanie chloroformu, pomimo tego jednak po 5—10 minutach pojawiła się nagle sinica, a tętno zniknęło. Oddech trwał jeszcze chwilę, poczem ustał. Uciskanie klatki piersiowej według Königa i Maasa, oraz sztuczne oddychanie, poczem oddech samoistny wrócił na jedną minutę. Żrenice rozszerzone ad maximum, zwężyły się znowu, tętno niewyczuwalne, lecz tony serca słyszalne, jeżeli się nie łudzone. Po chwili atoli ustaje oddychanie, a w sercu nie można dosłuchać się żadnej akcyi. Dalsza półgodzinna praca bez rezultatu, wówczas Sick, czyniąc zadość prośbie kolegów, otworzył klatkę piersiową według metody Rottera i odsłonił serce.

Przekonano się, że serce jest zupełnie wiotkie i bez śladu ruchu, zimne. Pod wpływem sztucznego oddychania i miarowego uciskania serca (mięśnienia), tudzież po zastosowaniu ciepłych okładów, często zmienianych, pojawiły się robaczkowe, nieregularne skurcze serca, a po kilku minutach pierwsze ruchy serca, które można było określić jako wyraźny skurcz komórek.

Pół godziny później serce biło regularnie i oddech powrócił. Żrenice były zwężone, barwa twarzy różowa, tętno silne. Ranę osierdzia zaszyto katgutem. W dwie godziny po operacyi chory powrócił do przytomności i żalił się na pragnienie i duszność. Oddech 60. Tętno 144. Przez 24 godzin utrzymywano chorego przy życiu przy pomocy kamfory. Wreszcie powstaje zapad (collapsus), duszność się powiększa i chory traci przytomność, w trzy godziny później umiera.

Sekcyja wykazała bardzo daleko posuniętą gruźlicę otrzewnej i krezki i obustronne dawne zapalenie opłucnej (gruźlicze, Pericarditis fibrinosa).

Przypadek ten usunął już wszystkie moje wątpliwości co do wytrzymałości kory mózgowej na dłuższe wstrzymanie krążenia krwi w mózgu. Skoro bowiem, pomimo jednogodzinnego ustania krążenia

krwi z powodu zupełnego porażenia serca, kora mózgowa powróciła do prawidłowej czynności, i to po $1\frac{1}{4}$ godziny od chwili śmierci osobnika — nie może już ulegać najmniejszej wątpliwości, że z chwilą ustania krążenia krwi w mózgu nie nastaje natychmiast obumarcie komórek nerwowych, w skład kory wchodzących. Przeciwnie, komórki te, aczkolwiek dotychczas określano je jako nadzwyczaj wrażliwe na wszelkie zaburzenia w krążeniu, są (jak to w tym przypadku się okazało), dość wytrzymałe i znieść mogą brak krążenia krwi co najmniej przez jedną godzinę, zanim ulegną obumarciu. O tem, że żywotność komórek nerwowych kory mózgowej i w ogóle centralnego układu nerwowego jest mniejsza, niż włókien centralnego układu nerwowego, wiemy już dawno, a to na podstawie doświadczeń Ehrlicha i Briegera. Jeżeli zaciśniemy tętnicę główną brzuszną na pół godziny, a następnie usuniemy zacisk i przywrócimy krążenie krwi, to zwierzę dozna porażenia tylnych kończyn, w rdzeniu zaś nastąpi obumarcie istoty szarej w części lędźwiowej rdzenia pacierzowego. Doświadczenia te wskazują, że w ogólności substancja szara jest mniej odporna na wstrzymanie krążenia krwi. Na pytanie, dlaczego nastąpiło stosunkowo rychło obumarcie szarej substancji, podczas gdy z moich doświadczeń nad wskrzeszeniem wynika, iż nawet szara substancja dość jest odporna — odpowiem, że w doświadczeniach Briegera stosunki krążenia w rdzeniu bardzo gwałtownie się zmieniają, t. j. nagle krążenie ustaje i nagle krążenie powraca po zdjęciu przewiązki z aorty, i że wskutek tego naczynia krwionośne w szarej substancji rdzenia pękają, powstają wybroczyny do rdzenia. Przypuszczam, że gdyby krążenie krwi przywrócano w szarej substancji rdzenia powoli, nie przyszłoby do obumarcia szarej istoty rdzenia nawet w tych przypadkach, gdyby wstrzymanie krążenia trwało dwie godziny lub nawet dłużej.

Od czasu ogłoszenia przypadku Sicka byłem już zupełnie spokojny o dalszy los mojej metody i jak najgłębiej przeświadczony, że w przypadku odpowiednim pomyślny wynik po zastosowaniu mojej metody musi się ujawnić. W przekonaniu tem umocniłem się jeszcze więcej, gdy w roku 1902 A. Mergari w pracy pod tytułem: »Contributo al massaggio diretto del cuore (Nuovo Raccogli-tore Medico Nr. 4. Aprile 1902) ogłosił przypadek śmierci dwuletniego dziecięcia, które umarło skutkiem dławca krtani (croup).

Gdy po trzech kwadransach, mimo sztucznego oddychania, żaden ślad życia się nie pojawił, otworzył Mergari klatkę pier-

siową przez resekcję czwartej chrząstki żebrowej, a przekonawszy się, że serce nie okazuje najmniejszego ruchu ani drgań włókienkowych, rozpoczął miśnienie serca przez rytmiczne uciskanie serca palcami ręki prawej. Po 10 minutach serce stało się twardsze, następnie zaczęły się drgania włókienkowe, a potem ślad skurczu; później serce funkcyonowało z siłą i z pewną regularnością, następnie wróciły oddechy samoistne, twarz się zaróżowiła, a tętno powróciło. Jeden zacisk spłodził się, powstało krwawienie; naczynia broczące podwiązano. Serce jednak przestało bić. Jakkolwiek ten przypadek również nie zakończył się pomyślnie, to jednak Mergari przepowiada mej metodzie powodzenie, kończąc swą pracę temi słowy:

»Certo si è però, che quando qualunque altro mezzo sia riuscito insufficiente a richiamare in vita un individuo colto da morte improvvisa, ogni chirurgo è autorizzato a tentare il metodo del Prus per attivare la funzione cardiaca e respiratoria, già spente; ed è a sperare che non sarà lungi il giorno in cui brillerà un primo successo, seguito da molti, a questo audace e geniale tentativo«.

I Przypadek pomyślnego zastosowania mojej metody. (Lancet 22 novemb. 1902)¹.

W pół roku później, a mianowicie w listopadzie 1902, powiodło się Lane'owi (opis podał Starling) przywrócić do życia mężczyznę 65-letniego, który w czasie operacji, przedsięwziętej z powodu zapalenia wyrostka robaczkowego, umarł skutkiem narkozy eterem. Po odcięciu wyrostka robaczkowego ustała powoli zupełnie czynność serca i oddychania. Gdy zwykłe sposoby ratowania (sztuczne oddychanie i pociąganie za język) nie odniosły skutku, Lane wprowadził rękę przez nacięcie powłok brzusznych w dołek podsercowym i rozpoczął uciskać miarowo serce przez nietkniętą przeponę, stosując równocześnie sztuczne oddychanie. Wkrótce, bo po dwóch lub trzech uciśnieniach serca, zaczęło się serce kurczyć, tętna atoli nie można było jeszcze wyczuć. Po dalszem miśnieniu serca i sztucznem oddychaniu pojawił się po 12 minutach pierwszy samoistny oddech i można było już wyczuć tętno w tętnicy sprychowej. Wówczas dokończono operacji w okolicy wyrostka robaczkowego już bez użycia środków znieczulających i obie rany zaszyto. Chory ten wyzdrowiał zupełnie. Jest to więc pierwszy pomyślny przypadek przy-

¹ Według Lenormant: »Le massage du coeur chez l'homme en particulier dans la syncope chloroformique« Revue de Chirurgie 1906.

wrócenia człowieka do życia według mojej metody, i to pomimo tego, że u chorego była wada serca, objawiająca się szmerem nad koniuszkiem serca. Przebieg pooperacyjny był prawidłowy, chory odczuwał tylko lekki ból, w wysokości przepony, przez pierwsze dwa dni.

II Przypadek. (Cohen. Journal of the Americ. medic. Association. 7 novemb. 1903 r.). (Według Lenormant).

Kobieta 32-letnia. Cystovarium sinistrum adhaerens. Operacja. (Ovariectomy).

Narkoza chloroformem, pozycja Trendelenburga, Laparotomia. W 15 minut od chwili rozpoczęcia operacji nagle sinica i zniknięcie tętna, następnie zatrzymanie oddychania. Sztuczne oddychanie przez 2 minuty bez skutku. Cohen wprowadził rękę lewą do brzucha aż do przepony, następnie obrócił rękę tak, że dłoń była zwrócona ku górze, wyczuł serce nieruchome, wiotkie. Druga ręka na klatce piersiowej. Uciskanie rytmiczne. Po 40 sekundach uczył Cohen lekkie uderzenie serca, potem coraz silniejsze, z początku powolne, później szybsze. Po minucie (od początku mięsienia) było 80 uderzeń na minutę, oddech samoistny powrócił, a po dwóch minutach stan normalny. Dalej chloroform. Po pół godziny operacja ukończona. Wyzdrowienie.

III Przypadek ogłosił Igelsrud 1904. Keen, Therapeutic-Gazette 1904. (Według Lenormant).

Kobieta 43 lat; cachexia, carcinoma uteri (wycięcie macicy całkowite przez powłoki brzuszne). Narkoza chloroformowa. Zapad pod koniec operacji.

Oddychanie sztuczne, faradyzacja nerwu przeponowego przez 3—4 minut bez skutku. Igelsrud przeciął 4-te i 5-te żebro po stronie lewej, otworzył pericardium i odsłonił serce zupełnie nieruchome. Początek mięsienia serca 3—4 minut po pojawieniu się synkopy. Po minucie uciskania rytmicznego serca powróciły ruchy samoistne, które stopniowo się wzmacniały. Gdy pojawiło się już tętno, znowu serce osłabło. Ponowne mięsienie przez 1 minutę, poczem czynność serca regularna. Po pięciu tygodniach wyzdrowienie.

IV Przypadek. Sencert, 17 April 1905. Société de biologie 1905. (Według Lenormant).

Mężczyzna lat 51, bardzo wychudzony i kachektyczny. Laparotomia z powodu guza przewodu żółciowego i kamicy żółciowej.

Operacja po raz drugi 17/IV 1905. Chloroform. Wśród ope-

racyi kilka drgań konwulsyjnych, poczem oddech i czynność serca nagle ustaje; chory okazuje wszystkie oznaki śmierci. Twarz biała, trupia, źrenice rozszerzone, tętna brak. Zarządzono sztuczne oddychanie i rytmiczne pociąganie języka; nacieranie całego ciała (flagellatio), wstrzykiwanie podskórne eteru. Zabiegi te przez 7—8 minut nie przyniosły żadnego rezultatu, a ręka, którą operator trzymał w jamie brzusznej, nie wykazywała tętna aorty. Wówczas skierował operator swą rękę ku przeponie, tak że mógł przez nienaruszoną przeponę uciskać palcami koniuszek serca i część komórkową. Pалеc wielki spoczywał z przodu, inne palce z tyłu uciskały rytmicznie serce. Z początku było serce wiotkie i puste; przepona nie stawiała żadnego oporu. Po pięciu minutach miśnienia zauważył, że miśień sercowy jędrnieje, i że serce zwiększa swą pojemność i twardość. Po jakimś czasie uczuł pierwszy samoistny skurek serca, poczem była krótka pauza, a następnie rozpoczęły się rytmiczne uderzenia serca, z początku słabe, później coraz silniejsze.

Tętna nie można było jeszcze wyczuć w tętnicy sprychowej. W dwie minuty później pojawił się pierwszy samoistny oddech. W tym samym czasie zaróżowiła się twarz, źrenice się zwężyły, tętno powróciło, i to dobrze napięte. Już bez dalszej narkozy dokonczono operacyi, a chory zbudził się wkrótce. Wieczorem i następnych dni żalił się tylko na nieznaczne bóle międzyżebrowe.

Wynik: wyzdrowienie.

V Przypadek. Smith-Daglish, Novembr. 1905. British. medic. Journal 1905. (Według Lenormant).

Mężczyzna 63 lat, lekka miażdżyca tętnic, uśpiony chloroformem celem zbadania odbyticy. Gdy nastał już głęboki sen, zatrzymał się nagle oddech i puls, źrenice rozszerzyły się, a twarz zsiśniała. Pociąganie za język, sztuczne oddychanie, iniekcya strychniny — bez skutku. Trzy minuty później (licząc od zniknięcia tętna i oddechu) otwarto bardzo szybko, bez dezynfekcyi rąk, brzuch w linii środkowej, tuż pod wyrostkiem mieczykowatym. Zaczęto uciskać serce zupełnie wiotkie przez nienaruszoną przeponę ku tylnej ścianie żeber i mostka ruchem »pétrissement«. Komórki, jakkolwiek miękkie, poczęły okazywać lekkie drgnięcia, w dalszym ciągu miśnienia pojawiły się słabe skurcze, a w minutę później zaczęło serce bić regularnie. Po kilku minutach zaszyto ranę brzuszną.

Wyzdrowienie zupełne.

VI Przypadek. Conkling¹. New York and Philadelphia med. Journal 1905².

Mężczyzna — zranienie klatki piersiowej nożem w okolicy 2-go i 4-go lewego żebra. Zranioną była opłucna i osierdzie. Opatrywanie rany w lekkiej narkozie eterowej, przyczem nastąpiło zatrzymanie ruchów serca. Sztuczne oddychanie bez skutku. Po dwóch minutach rytmiczne uciskanie serca jeszcze odsłoniętego między wielkim palcem a palcem wskazującym. Wynik mięśnienia: po $\frac{3}{4}$ do 1 minuty samoistna czynność serca. Tamponada rany. Analeptica. Jeszcze przez całą noc wielkie osłabienie.

Wynik: wyzdrowienie.

VII Przypadek Gray I. Lancet 1905. (Według Cackovica).

Kobieta 60-letnia. Synkope pod koniec ovariotomii. Pacjentka staje się błąda, nastaje wstrzymanie ruchów serca i oddychania. Rodzaju narkozy nie podano. Sztuczne oddychanie bez skutku. Wprowadzono rękę do brzucha i uciskano serce wiotkie rytmicznie (przez nienaruszoną przeponę). Wynik mięśnienia: po 2—3 uciśnięciach serce zaczyna bić i przybiera rytm prawidłowy.

Wynik: wyleczenie.

VIII Przypadek. Ramsay. Intercolonial medical Journal of Australasia 1906. (Według Cackovica).

Kobieta lat 27. Operacja prolapsus uteri. Narkoza: chloroform i eter; 5 minut po skończeniu usypiania wymioty i tętno przepuszczające. Po 4 minutach ustaje oddech, pomimo sztucznego oddychania. Mięśnienie serca podprzeponowe. Wynik mięśnienia: po jednej minucie powraca pulsacja, z początku słaba, później coraz mocniejsza, a wkrótce pojawia się samoistny oddech. W trzy godziny później tętno 168, nieregularne, przepuszczające. Oddechów 28 na minutę. Chora śpi cztery godziny, potem deliria (majaczenie). Następnego dnia stan jest o wiele lepszy.

Wynik: wyzdrowienie.

IX Przypadek. Gross i Sencert II 17 Juli 1906. Archives provinciales de chirurgie 1906. (Według Cackovica).

Mężczyzna lat 59. Gastrostomia z powodu carcinoma oesophagi. Narkoza chloroformowa. Przy nacięciu skórny nagle zatrzymanie

¹ Gross, Semert, Mauclaira i Zesas nazywają: Corning.

² Według Cackovica: »Ueber directe Massage des Herzens als Mittel zur Wiederbelebung«. Archiv. f. klin. Chirurgie 1909. Tom 88.

oddychania i czynności serca. Chory jest blady. Sztuczne oddychanie, pociąganie języka i t. d. bez skutku. Po 6--8 minutach bezskutecznych usiłowań, nacięcie powyżej pępka. Ujęto palcami serce przez wiotką przeponę i zaczęto rytmicznie uciskać. Wynik miśnienia: po 2 minutach serce twardnieje i wkrótce pojawia się pierwszy skurcz. Z początku są to jeszcze nieregularne drgnienia, lecz wkrótce zjawia się regularne uderzenie serca, chociaż bardzo przyspieszone (120). W minutę później pojawia się pierwszy samoistny oddech. Szybko dokończono operacyi bez znieczulania.

Wynik: zdrowienie.

X Przypadek. Prof. dr. Kader. Przegląd lekarski 1910.

»W sprawie cucenia zapomocą miśnienia serca w przypadkach nagłej śmierci w czasie operacyi«.

»Mężczyzna lat 32. Rozpoznanie: *Ulcus ventriculi occultum*, *stenosis pylori*. Leczenie: *Gastroenterostomia*«.

»Dnia 30/IX 1908 uśpienie chloroformowe. W chwili wyciągnięcia żołądka przez powłoki brzuszne zapad (syncope). Brak zupełny czynności serca i oddechu, chory blady jak płótno, źrenice szerokie bez odczynu. Bezwzględnie sztuczny oddech, w czasie którego uległa zabrudzeniu chusta, włożona do wnętrza jamy brzusznej powyżej żołądka. Przy wyjmowaniu jej wprowadziłem rękę pod przeponę dla usunięcia stamtąd przypadkowo jednocześnie z chustą włożonego małego kawałka gazy, i w tej chwili uczułem przez przeponę ruch, który sprawił na mnie wrażenie skurczu serca. Brak dalszego odczynu ze strony serca naprowadził mnie na myśl ponownego wprowadzenia ręki pod przeponę i wykonywania miśnienia serca. Już po kilku sekundach zaczęło serce bić wyraźnie, oddech powrócił i mogłem w parę minut potem przystąpić do dokończenia operacyi z wynikiem dobrym«.

Chory opuścił łóżko po trzech tygodniach w zupełnie dobrym stanie. Latem 1909 r. widział go prof. dr. Kader po raz ostatni jako zupełnie zdrowego człowieka.

XI Przypadek. Prof. dr. Kader. Przegląd lekarski 1910.

»W sprawie cucenia zapomocą miśnienia serca w przypadkach nagłej śmierci w czasie operacyi«.

Kobieta lat 35. Rozpoznanie: *Pyosalpinx ambilateralis*. *Myomata uteri*. *Adipositas universalis maioris gradus*. Leczenie: *Exstirpatio uteri*.

Chorą tę operował prof. Rosner, a prof. Kader mu asystował.

Chora podała w wywiadach między innemi, że miewała częste napady osłabienia serca i bóle w jego okolicy. Jest bardzo nerwowa.

Dnia 21/III 1910 r. Znieczulenie lędźwiowe. Wstrzyknięto 0.11 rozczynu 2% tropakokainy. Ułożenie chorej na stole operacyjnym w położeniu Trendelenburga maksymalnym tak, że chora leżała z głową prawie prostopadłe opuszczoną na dół. Od chwili przybrania tego położenia silna sinica twarzy. Prof. Rosner otwarł jamę brzuszną cięciem od pępka do spojenia łonowego w linii środkowej i zaczął odłączać liczne zrosty pomiędzy macicą a otaczającymi narządami.

Po jakichś 5—8 minutach od rozpoczęcia operacji, t. j. mniej więcej w 10 minut po wstrzyknięciu tropakokainy, zaczęła chora oddychać coraz płycej, tętno słabło, szybka sinica wzmagła się, wystąpiła niemota. chora mogła poruszać tylko wargami, a nie mogła mówić nawet szeptem: na rozkaz oddychania głębszego otwierała tylko usta i nie mogła wykonać ruchów oddechowych, a w krótką chwilę po wystąpieniu tych objawów oddech i czynność serca ustały zupełnie. Wystąpiło zupełne zwiótczenie mięśni, źrenica była szeroka, nie oddziaływała na światło, zamuliła się, gałki oczne straciły napięcie, zwiótczały.

Chorą ułożono prawie poziomo z nieznacznie tylko obniżoną górną częścią tułowia dla uniknięcia niedokrwienia mózgu. Po przekonaniu się o drożności dróg oddechowych przystąpiono do sztucznego oddechu, tlen, kamfora. Po jakichś 8—10 minutach od chwili ustania czynności serca postanowił prof. dr. Kader wobec zupełnej bezskuteczności dotychczasowej akcji ratunkowej, zastosować miśnienie serca. Rozszerzył cięcie brzuszne aż do mostka, wprowadził prawą rękę pod przeponę, lewą położył w okolicy serca na klatkę piersiową i począł w wyżej opisany sposób miśnić serce. Mimo, że chora miała silnie rozstawione łuki żebrów i spłaszczoną przeponę, mógł wyraźnie wyczuć serce i poddać je dostatecznemu uciskowi.

Dopiero po 3—4 minutach, które się wydawały wiecznością, uczył pierwszy bardzo słaby skurcz serca. Przez kilka następnych minut występowały tylko pojedyncze, rzadkie skurcze. Stawały się one coraz wyraźniejsze, silniejsze i częstsze. Pierwszych kilka skurczów miało charakter wyraźnie falowaty; przez cały ten czas stosowano tlen i sztuczny oddech. Po jakichś 12—15 minutach czynność serca stała się zupełnie samoistną i prawidłową. chora oddychała sama, napięcie twarzy i gałek ocznych wróciło, źrenica zwę-

żyła się i zaczęła oddziaływać na światło, rogówka wypukliła się, nabrała prawidłowego połysku i wilgoci. Chora wróciła do zupełnej przytomności w jakieś 20—25 minut po rozpoczęciu mięśnienia serca.

W jakieś pół godziny po przyjsciu do zupełnej przytomności chorą zachloroformowano i prof. Rosner mógł dokończyć zabiegu wycięcia macicy. Operacja była bardzo ciężka z powodu zrostów z narządami małej miednicy i trwała długo, tak, że chora była przeszło godzinę w uśpieniu chloroformowem.

W dalszym przebiegu chora była w ciągu pierwszych dwóch dni po operacji bardzo silnie podniecona, popadała kilkakrotnie w długotrwały szal, była prawie stała na wpół przytomną, mówiła bardzo dużo, nie poznawała otoczenia, spała bardzo niewiele. Do przytomności i świadomości zupełnej wróciła dopiero po pięciu dniach. Głównymi jej skargami były wówczas bóle prawie stałe w okolicy serca. Pierwsze dni po operacji znikły z pamięci chorej najzupełniej.

W lipcu 1910 była pani X. Y. zupełnie zdrowa, stan nerwowy i umysłowy zupełnie prawidłowy, użalała się tylko od czasu do czasu na nieznaczne bóle w okolicy serca.

W czerwcu 1911 pani ta zgłosiła się do mnie, żałąc się na bóle w okolicy dołka podsercowego i wymioty, pojawiające się mniej więcej w odstępach dwutygodniowych. Uwzględniając wynik badania promieniami Röntgena, oraz wszystkie inne czynniki w grę wchodzić mogące, rozpoznałem kamyczki żółciowe i poleciłem chorej wyjazd do Karlsbadu. Stan odżywienia chorej znakomity, czynność serca zupełnie prawidłowa, układ nerwowy nie okazuje żadnych zaburzeń, czynności psychiczne odbywają się zupełnie prawidłowo.

Jakkolwiek przytoczone przypadki dowodzą, że moja metoda przywracania życia jest wśród pewnych warunków skuteczna, to jednak nie przestaję pracować nad udoskonaleniem tej metody, a w szczególności pragnę rozwiązać pytanie, czy można wytworzyć sztuczne krążenie krwi, bez uciekania się do zabiegu chirurgicznego, t. j. bez otwierania klatki piersiowej lub jamy brzusznej. Dziś mogę już na podstawie moich doświadczeń dać to zapewnienie, że odpowiedź na powyższe pytanie wypadła twierdząco, jakkolwiek nie udało mi się jeszcze ująć w ścisłe prawidła tych wszystkich czynników, od których pomyślny wynik zależy.



METODA WYPROWADZANIA CAŁEK
LOGARYTMICZNYCH RÓWNANIA
RÓŻNICZKOWEGO

$$\frac{dy}{dx} = \frac{ax + by + \dots\dots\dots}{a'x + b'y + \dots\dots\dots}$$

napisał

JÓZEF PUZYNA



Briot i Bouquet uwzględnili wypadki, w których równanie

$$(1) \quad \frac{dy}{dx} = \frac{ax + by + \dots}{a'x + b'y + \dots}$$

daje się rozwiązać przez całki y jednoznaczne (holomorficzne), albo algebraicznej lub przestępnej natury w otoczeniu miejsca $(x, y) = (0, 0)$ ¹

Okazało się później², że przez rozważania zaczerpnięte z dziedziny równań różniczkowych cząstkowych i przedstawienie całki parą funkcji $[x = \varphi(t), y = \psi(t)]$ o zmiennym parametrze t można równanie (1) rozwiązać w otoczeniu miejsca $(x, y) = (0, 0)$ całkiem ogólnie — w wypadkach nieobjętych poszukiwaniami Briota i Bouqueta — już to przez całki zbliżające się do miejsca $(x, y) = (0, 0)$ spiralnie, już to przez całki logarytmiczne.

W krótkości metoda całkowania przedstawia się w ten sposób:

Równanie (1) zastępuje się równaniem cząstkowym

$$(2) \quad (a'x + b'y + \dots) \frac{\partial \omega}{\partial x} + (ax + by + \dots) \frac{\partial \omega}{\partial y} = 0$$

w którym $\omega(x, y) = 0$ ma być właśnie całką równania (1) dla otoczenia miejsca $(x, y) = (0, 0)$

Przez liniowe podstawienia sprowadza się (2) do postaci:

$$(3) \quad [y_1 + (y_1 y_2)_2 + \dots] \frac{\partial \omega}{\partial y_1} + [\lambda y_2 + (y_1 y_2)'_2 + \dots] \frac{\partial \omega}{\partial y_2} = 0,$$

¹ Przez sprowadzenie równania (1) do postaci $t \cdot \frac{d\eta}{dt} = at + \beta\eta + \dots$

² Por. E. Picard. «Traité d'Analyse». T. III (wydanie drugie) Ch. I., a także zapiski źródeł w «Encyclopaedie der mathematischen Wissenschaften», T. II. str. 215 i nast.

gdzie y_1, y_2 są nowe niezależne zmienne, $(y_1, y_2)_2, (y_1, y_2)'$ są jednorodnymi funkcjami tych zmiennych stopnia 2-go (po nich następują także funkcje stopni 3, 4, ...), a λ i 1 są pierwiastkami równania stopnia drugiego:

$$(4) \quad \Delta(\lambda) = \begin{vmatrix} \alpha' - \lambda & a \\ b' & b - \lambda \end{vmatrix} = 0.$$

Z powodu dowolności jednego ze współczynników a, b, a', b' przyjąć można, że jeden pierwiastek λ jest $= 1$.

W wypadku kiedy drugi pierwiastek λ jest $\neq 1$ i

1) nie jest całkowity dodatni,

2) nie jest $= \frac{1}{\nu}$, $\nu = 2, 3, 4, \dots$

3) nie jest odjemny,

całkujemy równanie (3) w ten sposób:

Położmy dla krótkości

$$y_1 + (y_1 y_2)_2 + \dots = \varphi_1, \quad \lambda y_2 + (y_1 y_2)'_2 + \dots = \varphi_2$$

i zamiast (3) rozważmy dwa równania:

$$(a) \quad \varphi_1 \frac{\partial \omega}{\partial y_1} + \varphi_2 \frac{\partial \omega}{\partial y_2} = \lambda \omega$$

$$(b) \quad \varphi_1 \frac{\partial \omega_1}{\partial y_1} + \varphi_2 \frac{\partial \omega_1}{\partial y_2} = \omega_1.$$

O tych równaniach dowodzi się, że posiadają jednoznaczne całki ω, ω_1 w otoczeniu miejsca $(y_1, y_2) = (0, 0)$, (a więc i miejsca $(x, y) = (0, 0)$).

Napiszmy (a), (b) w postaciach:

$$(a') \quad \varphi_1 \frac{\partial}{\partial y_1} \log \omega^{\frac{1}{\lambda}} + \varphi_2 \frac{\partial}{\partial y_2} \log \omega^{\frac{1}{\lambda}} = 1$$

$$(b') \quad \varphi_1 \frac{\partial}{\partial y_1} \log \omega_1 + \varphi_2 \frac{\partial}{\partial y_2} \log \omega_1 = 1$$

i odejmijmy równanie (b') od (a'), to dostaniemy:

$$\varphi_1 \frac{\partial}{\partial y_1} \log \frac{\omega^{\frac{1}{\lambda}}}{\omega_1} + \varphi_2 \frac{\partial}{\partial y_2} \log \frac{\omega^{\frac{1}{\lambda}}}{\omega_1} = 0$$

a to wskazuje, że

$$\frac{\omega^{\frac{1}{\lambda}}}{\omega_1} = \text{const.}$$

jest całką równania (3). Za powrotem do zmiennych (x, y) dostajemy całkę równania (1)¹.

Uwzględnijmy teraz wykluczone wartości 1), 2), 3). W przerozieniu równania (1) na (3) zrobiono użytek z obudwu pierwiastków: $\lambda, 1$ równania $\Delta(\lambda) = 0$.

Gdy się przy tem przerabianiu zrobi użytek tylko z jednego pierwiastka $\lambda \neq 1$, naówczas zamiast równania (3) dostaniemy

$$(5) \quad [\lambda y_1 + (y_1 y_2)_2 + \dots] \frac{\partial \omega}{\partial y_1} + [\mu_1 y_1 + \mu_1 y_2 + \dots] \frac{\partial \omega}{\partial y_2} = 0,$$

gdzie przytem μ_1, μ_2 są dowolne.

Gdy równanie $\Delta(\lambda) = 0$ ma powtarzający się pierwiastek λ — (obojętnem jest na razie, czy go zakładamy $= 1$, czy też $\neq 1$), to wtedy zamiast (5) mieć będziemy:

$$(6) \quad [\lambda y_1 + (y_1 y_2)_2 + \dots] \frac{\partial \omega}{\partial y_1} + [\mu_1 y_1 + \lambda y_2 + \dots] \frac{\partial \omega}{\partial y_2} = 0.$$

Właśnie ten wypadek powtarzającego się pierwiastka chcę uwzględnić i wyprowadzić całkę logarytmiczną, jaka się tu okazuje, w sposób naturalny², za użyciem metody podobnej n. p. do tej, jakiej się używa w równaniach różniczkowych liniowych ze stałymi współczynnikami w razie powtarzających się pierwiastków równania charakterystycznego.

Naznaczmy pierwiastki równania $\Delta(\lambda) = 0$ przez λ i λ_1 , przyjmując je na razie jako różne od siebie, a współczynniki w równaniu (5) nazwijmy krótko: $X_{\lambda, 0}, X_{\mu_1, \mu_2}$.

¹ Przez podstawienie

$$\omega_1 = c t, \quad \omega = c' t^\lambda,$$

gdzie t jest dowolny parametr, dostajemy z tych równań całkę równania (1) w postaci pary funkcji.

² Picard l. c. str. 32, 33, przechodząc do równań cząstkowych, wprowadza apryocześnie dwie zmienne $u = -t, v = \frac{t^\lambda - 1}{\lambda - 1}$. Z drugiej z nich (v) dostajemy, gdy $\lambda = 1, v = t \log t$.

Położymy więc

$$(6) \quad X_{\lambda, 0} \frac{\partial \omega}{\partial y_1} + X_{\mu_1 \mu_2} \frac{\partial \omega}{\partial y_2} = 0$$

Równanie to posiada jednoznaczną całkę ω dla otoczenia miejsca $(y_1, y_2) = (0, 0)$, a przy rekursywnem obliczaniu współczynników tej całki zbytecznem jest wykluczać wartości 1), 2), 3), albo zakładać, że $\lambda \neq \lambda_1$.

Zamiast równania (6) zauważmy równanie

$$(\alpha) \quad X_{\lambda, 0} \frac{\partial \omega}{\partial y_1} + X_{\mu_1 \mu_2} \frac{\partial \omega}{\partial y_2} = \lambda \omega.$$

Lecz analogicznie, gdy się przy przerabianiu równania (1) zrobi użytek tylko z drugiego pierwiastka $\lambda_1 \neq \lambda$, dojdziemy do równania:

$$(7) \quad X_{\lambda_1, 0} \frac{\partial \omega_1}{\partial y_1} + X_{\nu_1 \nu_2} \frac{\partial \omega_1}{\partial y_2} = 0,$$

a w miejsce jego zauważymy:

$$(\beta) \quad X_{\lambda_1, 0} \frac{\partial \omega_1}{\partial y_1} + X_{\nu_1 \nu_2} \frac{\partial \omega_1}{\partial y_2} = \lambda_1 \omega_1$$

Podzielmy równanie (α) przez ω , a równanie (β) przez ω_1 i odejmijmy je potem od siebie, to dojdziemy do związku:

$$(8) \quad \frac{X_{\lambda, 0} \frac{\partial \omega}{\partial y_1} - X_{\lambda_1, 0} \frac{\partial \omega_1}{\partial y_1}}{\lambda - \lambda_1} + \frac{X_{\mu_1 \mu_2} \frac{\partial \omega}{\partial y_2} - X_{\nu_1 \nu_2} \frac{\partial \omega_1}{\partial y_2}}{\lambda - \lambda_1} = 1.$$

Przyjmijmy teraz $\lambda = \lambda_1 = 1$, to otrzymamy

$$X_{\lambda, 0} = X_{\lambda_1, 0} = X_{1, 0}; \quad X_{\mu_1 \mu_2} = X_{\nu_1 \nu_2} = X_{\mu_1, 1} = X_{\mu_1, 1}$$

a więc równanie (8) przejdzie na

$$(\alpha) \quad X_{10} \frac{\partial}{\partial y_1} \left[\frac{\log \omega - \log \omega_1}{\lambda - \lambda_1} \right]_{\lambda = \lambda_1 = 1} + \\ + X_{\mu_1, 1} \frac{\partial}{\partial y_2} \left[\frac{\log \omega - \log \omega_1}{\lambda - \lambda_1} \right]_{\lambda = \lambda_1 = 1} = 1.$$

Prócz tego mamy równanie (β) , które, gdy $\lambda = \lambda_1 = 1$, ma postać:

$$(\beta') \quad X_{1,0} \frac{\partial}{\partial y_1} \log \omega_1 + X_{\mu_1,1} \frac{\partial}{\partial y_2} \log \omega_1 = 1$$

Przez odjęcie (β') od (α') dostajemy:

$$\begin{aligned} X_{1,0} \frac{\partial}{\partial y_1} \left\{ \left[\frac{\log \omega - \log \omega_1}{\lambda - \lambda_1} \right]_{\lambda = \lambda_1 = 1} - \log \omega_1 \right\} + \\ + X_{\mu_1,1} \frac{\partial}{\partial y_2} \left\{ \left[\frac{\log \omega - \log \omega_1}{\lambda - \lambda_1} \right]_{\lambda = \lambda_1 = 1} - \log \omega_1 \right\} = 0. \end{aligned}$$

To wskazuje, że przy $\lambda = \lambda_1 = 1$ ma równanie (6) całkę:

$$(9) \quad \Omega = \left[\frac{\log \omega - \log \omega_1}{\lambda - \lambda_1} \right]_{\lambda = \lambda_1 = 1} - \log \omega_1 = \text{const.}$$

Lecz

$$N = \left[\frac{\log \omega - \log \omega_1}{\lambda - \lambda_1} \right]_{\lambda = \lambda_1 = 1} = \frac{0}{0},$$

bo w razie $\lambda = \lambda_1$ jest $\omega \equiv \omega_1$. A więc

$$N = \left. \frac{\frac{\partial \omega}{d\lambda}}{\omega} \right|_{\lambda = \lambda_1 = 1}$$

Położmyż

(10) $\omega = ct^{\lambda}$] $_{\lambda=1}$, a więc $\omega_1 = ct$, gdzie C jest stałą dowolną, a t parametrem zmiennym, to dalej mamy:

$$\begin{aligned} \frac{\partial \omega}{d\lambda} &= c \cdot t \cdot \lambda \log t \Big|_{\lambda=1} = ct \cdot \log t \\ \frac{\frac{\partial \omega}{d\lambda}}{\omega} \Big|_{\lambda=1} &= \log t, \quad \log \omega_1 = \log c + \log t \end{aligned}$$

i widocznie podstawieniami (10) czynimy zadość równaniu całkowemu (9).

Z równań

$$\left. \frac{\partial \omega}{\partial \lambda} \right|_{\lambda=1} = ct \cdot \log t, \quad \omega ct^{\lambda}|_{\lambda=1} = ct$$

dostajemy y_1, y_2 , a więc i x, y wyrażone w funkcyach ilości $ct, ct \log t$. Ta para funkcyj daje całkę logarytmiczną. Zjawia się ona w wypadku powtarzającego się pierwiastka λ równania $\Delta(\lambda) = 0$, bez różnicy czy λ należy do wartości wykluczonych, czy nie.

O UNII INTERPARLAMENTARNEJ

napisał

GUSTAW ROSZKOWSKI

I. Powstanie Unii Interparlamentarnej.

Dawne marzenia monarchów (Henryk IV), mężów Stanu (min. Sully), uczonych (Im. Kant) i filantropów (Abbé St. Pierre) o wiecznym pokoju¹, skryształizowały się w XIX i bieżącym stuleciu w dążeniu do utworzenia kongresów dla spraw międzynarodowych i sądów polubownych, mających rozstrzygać spory państw. Kongresy były proponowane nie tylko przez polityków i uczonych, ale nawet przez monarchów. Napoleon III był wielkim zwolennikiem kongresów dla spraw europejskich. Toż samo Don Pedro, cesarz brazylijski. Miały to być ciała polityczne, z delegatów mocarstw złożone, regulujące stosunki państw do związku międzynarodowego należących, a przede wszystkim zapobiegające wybuchowi konfliktów między mocarstwami i przyczyniające się nie tylko do utrwalenia dobrych między nimi stosunków, ale co więcej — organizujące stosunki państw zarówno na zasadzie politycznej powszechnego dobra, jak i na zasadzie sprawiedliwości i prawa.

Zwolennicy idei kongresów różnili się tylko między sobą co do tego, czy te kongresy mają być stałe czy peryodycznie zwoływane.

Za pomocą sądów polubownych sądzono, że będzie można uniknąć wybuchu wojny. Otuchą powodzenia na tej drodze dla zwolenników sądów polubownych, była przedewszystkiem uchwała kongresu paryskiego z 1856 r., stanowiąca, że w razie ponownego wybuchu konfliktu w kwestyi wschodniej, między mocarstwami na kongresie reprezentowanymi, żadne z nich nie chwyci za oręż pier-

¹ Ueber den ewigen Frieden. München 1871. Wundsam, Das Buch des Friedens. Bern 1897, str. 8. Moch, Histoire sommaire de l'arbitrage permanent. Monaco 1905. Dr. Steinbach. Die Friedensbewegung. Wien 1899. Dr. Zimmermann, Die Friedensbewegung. Luzern 1905.

wej, aż się odwoła do usług przyjacielskich zaprzyjaźnionego państwa, o ile okoliczności na to pozwolą.

Wrażenie w świecie tej uchwały, było olbrzymie. Sądono powszechnie, że w tem postanowieniu kongresu paryzkiego tkwi rozwiązanie jednej z najważniejszych kwestyi świata — usunięcie wojen. Powszechnem było mniemanie, że nawet najbardziej zwaśnione mocarstwa, wskutek usług przyjacielskich i przedstawień zaprzyjaźnionego państwa, odstąpią od zamiaru prowadzenia wojny. Na zachodzie Europy, we Francyi, a zwłaszcza w Anglii, rozwinięto nadzwyczaj energiczną akcyę w tym celu, ażeby tylko w mowie będące postanowienie kongresu paryskiego uogólnić i pozbawić ograniczeń z którymi zostało powzięte. Na zgromadzeniach publicznych i meetingach w Anglii, uchwalano adresy do królowej Wiktorji z prośbą, aby poleciła swemu reprezentantowi na kongresie paryzkim uczynić starania, żeby w mowie będąca uchwała odnosiła się do wszystkich państw i wszelkich sporów. Starania te z polecenia królowej angielskiej zostały dokonane, ale z powodu niezgodzenia się Rosyi, Prus i Austrii, sprawa ta upadła. Mimo to, w szerokich warstwach ludności, a nadewszystko w kołach uczonych utrwaliło się to przekonanie, że pokojowe załatwienie sporów państw jest możebnem, i że droga sądów polubownych najwięcej będzie odpowiadać powadze i godności państw, i najpewniej do utrwalenia pokoju w świecie doprowadzi¹.

Przekonanie to utrwaliło się jeszcze więcej, gdy blisko w dwadzieścia lat po kongresie paryzkim, (w r. 1872) przyszedł do skutku sąd polubowny w sprawie Alabamy. Okazało się, że wielkie i skomplikowane sprawy w ten sposób bardzo dobrze rozstrzygnięte być mogą. Do tego przybył wzgląd inny, bardzo ważny. Największe na morzu mocarstwo — Anglia, roszcujące sobie wówczas wyłączne prawo do rozstrzygania w kwestyi prawa wojny morskiej, obwiniona o naruszenie praw z neutralności wynikających, poddała się sądowi i wyrok wykonała, płacąc wynagrodzenia 15¹/₂ milionów dolarów

¹ Annuaire de l'Institut de droit international. Paris 1904 str. 181 i n. Dr E. Harmening, Das Recht der Völker auf Frieden. Breslau 1891. Descamps, Die Organisation eines internationalen Schiedsgerichtes, tłum. Fried. München. Corsi, Étude sur un nouveau traité général d'arbitrage. Turin 1899. Clerget, La question sociale et la paix. La Chaux-de-Fonds. 1903. Descamps, Essai sur l'arbitrage international. Bruxelles 1895.

w złocie. Przez to usuniętą została ważna wątpliwość: czy poddanie się sądowi nie ubliża państwu.

W drugiej połowie XIX-go stulecia, pod wpływem tych wypadków, ruch na korzyść zaprowadzenia sądów polubownych w sporach państw znacznie się spotęgował. Stało się to w dwóch kierunkach. Jedni, idąc za wzorem Manciniego, żądali pomieszczenia w traktatach ekonomicznej treści zastrzeżenia: że wszelkie spory z nich wyniknąć mogące rozstrzygane będą przez sądy polubowne, inni — i to jest stanowisko w tej kwestyi najnowsze, żądali ażeby państwa zawierały oddzielne umowy, zapewniające przekazanie sądowi polubownemu wszelkich ich sporów w kwestyach prawnych, i w takich sprawach, które bezpieczeństwa i honoru państwa nie dotyczą.

Ruch ten, objawiający się pierwotnie w literaturze i na zgromadzeniach publicznych, został przeniesiony do parlamentów. Od r. 1873 zaczawszy, najznakomitsi parlamentarzyści w Anglii, we Francyi, w Holandyi, w Danii, Belgii i Szwecyi przemawiali o znaczeniu kulturalnem sądów polubownych. Odpowiedzi rządów brzmiały przeważnie przychylnie. Odpowiedź Gładstowna była jedną z najprzychylniejszych w tej sprawie. W r. 1887 w londyńskiej izbie gmin, poseł William Randal Cremer domagał się traktatu co do sądu polubownego pomiędzy Anglią i Stanami Zjednoczonymi. Z winy kongresu amerykańskiego do tego nie przyszło, ale obrady parlamentarne nad tą sprawą posunęły ją znacznie naprzód — dodały jej znaczenia i ważności.

Opór w tej sprawie kongresu amerykańskiego wywołał przeświadczenie u zwolenników idei pokoju i sądów polubownych, że należy zorganizować posłów wszystkich ciał prawodawczych dla przeprowadzenia traktatów co do pokojowego załatwiania sporów państw drogą wyrokowania sądów. Na czele tej akcji stanęli dwaj znani pacyfiści: Randal Cremer i Fryderyk Passy.

Oni to zainicjowali pierwszy zjazd w tej sprawie posłów francuzkich i angielskich sprzyjających tej myśli, ażeby przede wszystkim doprowadzić do tego wpływami ich na rządy i parlamenty, żeby zawarty został traktat co do sądów polubownych między Anglią, Francją i Stanami Zjednoczonymi.

Zjazd ten odbył się w Paryżu 31 paździer. 1887 r. (w Grand hotelu), przy współudziale 9 posłów angielskich i 25 francuzkich.

Na zjeździe tym uchwalono odbyć w tej samej sprawie w r.

przyszłym ponowny zjazd, a nadto przyjęto następującą rezolucję:

Une réunion ultérieure, à laquelle seront admis à prendre part, non seulement les membres des trois parlements ci-dessus visés (américain, britannique, français), mais aussi les membres des autres parlements qui se sont fait connaître par leur dévouement aux mêmes idées, aura lieu l'année prochaine pour compléter l'oeuvre commencée dans cette première conférence.

Uchwalenie tej rezolucji było utworzeniem unii interparlamentarnej¹, t. j. związku parlamentów dla sprawy pokoju, a mianowicie dla usuwania wojen przez zobowiązanie się państw do rozstrzygania ich sporów bez rozlewu krwi, przez poddanie się sądowi polubownemu.

Zapowiedziana w r. następnym konferencya odbyła się również w Paryżu, w d. 29 i 30 czerwca 1889, przy współudziale: 55 posłów francuzkich, 30 angielskich, 5 włoskich i po jednej osobie z parlamentu belgijskiego, duńskiego, hiszpańskiego, Stanów Zjednoczonych, Węgrov i Liberii.

Na konferencyi tej uchwalono:

Zebrania interparlamentarne odbywać się będą rokrocznie w innem mieście, ale w krajach, które w Unii interparlamentarnej są reprezentowane.

II. Organizacya Unii.

Utworzony w powyższy sposób związek parlamentów dla sprawy pokoju w świecie, nosił pierwotnie nazwę: La conférence Interparlementaire pour l'arbitrage internationale. Od r. 1899 przyjęto nazwę l'Union interparlementaire.

Dziś Unia interparlamentarna ma swą organizację, nawet dosyć skomplikowaną². Wyrabiała się ona stopniowo. Unia składa się

¹ L'Union Interparlementaire. Son oeuvre, son organisation actuelle. Bruxelles 1910. Annuaire de l'Union Interparlementaire. Bruxelles 1911.

d'Estournelles de Constant, Conciliation Internationale. L'Organisation de l'Union Interparlementaire. Paris 1910. [Pandolfi] Résumé de l'histoire du mouvement interparlementaire, pour l'arbitrage et la paix. Padoue 1892. Descamps, Le pacigérat. Bruxelles 1898.

² Konferencya hagska (1894), Konf. w Christianii (1899), w Berlinie (1908)

z grup parlamentarnych. Wszyscy posłowie z jednego parlamentu, należący do Unii, tworzą grupę parlamentarną. Grupy te nosiły pierwotnie nazwę *Comités interparlementaires*, dziś nazywają się one *groupes nationaux*.

Generalne zebranie grup, tworzy *Conférence interparlementaire*.

Dwóch członków każdej grupy (przeważnie prezes i wiceprezes) tworzą Radę (*Conseil*). Prezes i czterech członków, należących do różnych grup, tworzą komitet wykonawczy (*Comité exécutif*).

Rada wybiera z swego grona prezesa Unii, i mianuje sekretarza generalnego. Na konferencji w Rzymie 1891 r. powstała myśl utworzenia centralnego urzędu Unii. Na konferencji w Bernie 1892 r. urząd ten powołano do życia, pod nazwą *Bureau interparlementaire*.

III. Statut Unii.

Najważniejsze postanowienia statutu Unii są następujące¹:

Celem unii jest połączyć działalność członków wszystkich parlamentów w tym celu, aby w ich państwach w drodze ustaw lub traktatów międzynarodowych została uznana zasada, że spory państw będą poddane sądowi polubownemu. Unia zajmować się również będzie innemi kwestyami międzynarodowego prawa publicznego.

Siedzibą Unii jest Bruksella (aż do odwołania).

Członkami grup narodowych mogą być:

- a) Członkowie parlamentu
- b) Byli członkowie rady interparlamentarnej (*Conseil*),
- c) byli posłowie, którzy ze względu na swe zasługi, na wniosek grupy zostali przez Radę przyjęci do Unii.

Obowiązkiem członków Unii jest podać uchwały konferencji interparlamentarnej do wiadomości swych parlamentów i przyczyniać się do utrzymania światowego pokoju.

Konferencya interparlamentarna zbiera się rokrocznie. Przewodniczy w niej prezes Rady.

i w Brukseli (1910). *Résolutions des Conférences*. Bruxelles 1911 str. 48, 68 106, 112.

D'Estournelles de Constant, *L'organisation de l'Union Interparlementaire*. Paris 1910.

¹ *Annuaire de l'Union Interparlementaire*. Bruxelles 1911 str. 18.

Rada interparlamentarna składa się z dwóch członków wybranych przez grupy narodowe (zazwyczaj prezes i wiceprezes grupy) Honorowymi członkami rady, z głosem doradczym, są członkowie Unii, którzy przewodniczyli konferencji.

Członkowie rady gromadzą się po 1-em posiedzeniu konferencji, dla wyboru swego prezesa.

Do głównych atrybucyj rady należy:

zwoływanie konferencji i uchwalanie wniosków, które mają być jej przedkładane, proponowanie jej prezesa i wiceprezesów, układanie budżetu, starania o wykonanie celów Unii.

Organem administracyjnym i wykonawczym Unii, jest biuro interparlamentarne. W skład jego wchodzi prezes rady, który jest i biura prezesem, sekretarz generalny i 5 członków przez konferencyjnych z łona rady. Na każdej konferencji jeden z nich ustępuje, i przed upływem 2 lat nie może być wybranym.

Biuro jest organem centralnym dla grup, pośredniczącym między nimi, czuwa nad wykonaniem uchwał rady i konferencji, przygotowuje dla nich obu wnioski, utrzymuje archiwum unii i zbiera dokumenta co do sądów polubownych w sporach państw.

Sprawy biura załatwia sekretarz generalny.

Na początku r. 1911 unia obejmowała 2978 posłów (w tem 97 b. posłów), reprezentujących 20 parlamentów. Wynosi to mniej więcej $\frac{1}{4}$ część wszystkich posłów. Jednakże w Belgii, Holandyi, we Francyi, w Danii, w Szwecyi i Norwegii większość posłów należy do Unii. W tej ogólnej cyfrze uczestników Unii są przeważnie posłowie z Izby niższej, tylko w Portugalii jest większość członków senatu w Unii.

Dotąd do Unii nie należą: posłowie w Bułgarii, Luxemburgu i Ameryki łacińskiej¹.

IV. Budżety Unii.

Budżety Unii obejmują już poważne kwoty.

I tak: dochody w r. 1910 wynosiły 85.465 fr. 23 c.

wydatki w tymże r. — 39.009 „ 45 „

¹ Rapport du secrétaire général au Conseil Interparlementaire. Bruxelles 1912. Str. 5 i n.

dochody w r. 1911 wynosiły 115.757 f. 93 c.

wydatki — — — 56.000 »¹

Z początku dochody unii stanowiły wkładki jej członków.

Norwegia, a za jej przykładem Anglia, były pierwszemi państwami, które przyznały unii subwencye. Obecnie czynią to różne inne państwa, tak że Unia z tego powodu np. w r. 1911 miała 44.897 K 76 h.

V. Unia państw skandynawskich, tudzież Unia holendersko-belgijska.

W obrębie unii interparlamentarnej powstała w r. 1907 unia ściślejsza posłów należących do parlamentów państw skandynawskich (Dania, Szwecya, Norwegia).

Unia ta ma szerszy zakres działania niż unia interparlamentarna, podczas bowiem gdy ta ostatnia istnieje tylko dla sprawy pokoju, a więc ma ona cele tylko należące do związku międzynarodowego, pierwsza — postawiła sobie za zadanie nietylko popieranie celów unii interparlamentarnej, ale nadto zajmowanie się kwestyami prawa międzynarodowego, mającemi szczególną ważność dla państw skandynawskich, i utrzymywanie łączności między tymi państwami.

Druga cecha tej unii jest ta, że ogólne jej zebrania (Conférence) są w dwojakiej formie możebne: wszystkich jej członków, albo tylko delegatów 3-ech grup, po 15 członków z każdej. (Assemblée de délégués). Przez to unia skandynawska uprzedziła unię interparlamentarną w zaprowadzeniu u siebie tej formy posiedzeń, do zaprowadzenia której dąży już od pewnego czasu unia interparlamentarna. Ta forma zebrań okazała się w unii skand. bardzo dla niej dogodną, gdyż trzy plenarne posiedzenia tej unii w r. 1907 (w Kopenhadze), w 1910 (w Stockholmie) i w 1911 (w Kristianii) odbyły się tylko w formie zjazdu delegatów².

W r. 1907 powstała również unia posłów holenderskich i belgijskich, p. n. Commission Hollando-Belge. Unia ta jednak ma więcej

¹ Annuaire 1911 r. str. 70.

² Annuaire 1911 str. 143.

charakter związku dwu parlamentów dla celów wewnętrznej polityki i dla utrzymywania łączności obu państw, niż dla sprawy światowego pokoju¹.

VI. Spis konferencyj interparlamentarnych.

Konferencye interparlamentarne odbyły się w następującym porządku:

- 1) w Paryżu 1889 r.²
- 2) w Londynie 1890.
- 3) w Rzymie 1891³
- 4) w Bernie 1892
- 5) w Hadze 1894⁴
- 6) w Bruxelli 1895
- 7) w Budapeszcie 1896⁵
- 8) w Bruxelli 1897⁶
- 9) w Christianii 1899⁷
- 10) w Paryżu 1900⁸
- 11) w Wiedniu 1903⁹
- 12) w St. Louis 1904¹⁰
- 13) w Bruxelli 1905¹¹
- 14) w Londynie 1906¹²
- 15) w Berlinie 1908¹³
- 16) w Bruxelli 1910¹⁴.

¹ Anunai 1911 str. 144.

² Fr. Passy, Pour la paix. Paris 1909. Conférence Interparl. Paris 1889.

³ Troisième Confér. Interparl. Rome 1891.

⁴ Procès-Verbaux des séances de la Confér. interparl. La Haye 1894.

⁵ Compte rendu de la VII Confér. Interp. Budapest 1897.

⁶ Compte rendu de la VIII Confér. Braine-le-Comte 1898.

⁷ Compte rendu de la IX Confér. Berne 1900.

⁸ Compte rendu de la X Conf. Paris 1900.

⁹ Compte rendu de la XI Conf. Vienne 1903.

¹⁰ Compte rendu de la XII Conf. Washington 1905.

¹¹ Union Interp. XIII^e Conf. Bruxelles 1905.

¹² Inter-Parliamentary Union, Londres 1907.

¹³ Interp. Union. Berlin 1908.

¹⁴ Union Interp. compte rendu de la XVI^e Conf. Bruxelles 1910.

Rozbiór szczegółowy prac wszystkich konferencji byłby bardzo interesującym, przekraczałby jednak stanowczo ramy niniejszej pracy. Musimy się zatem ograniczyć do ogólnego poglądu na wyniki pierwszych piętnastu konferencji¹, ażeby nieco więcej szczegółowo rozpatrzyć działalność Unii Interparlamentarnej w najnowszych czasach², tj. w 2 ostatnich latach.

VII. Działalność Unii od 1889—1908 r.

Działalność pierwszych 15 konferencji interparlamentarnych, odnosiła się:

- I. Do kwestyi sądów polubownych w sporach państw,
- II. Do kwestyi ogólnego znaczenia dla prawa narodów.

I.

Kwestya sądów polubownych w sporach państw.

Działalność unii w tym przedmiocie ogarniała:

- 1) Uchwały co do wprowadzania w życie sądów wymienionych,
- 2) Projekty traktatów w tym przedmiocie,
- 3) Uchwały Unii co do klauzuli rozjemczych.

1. Uchwały co do wprowadzania w życie sądów polubownych w sporach państw.

Uchwały konferencji co do sądów polubownych, w sporach państw, były dwojakie:

Jedne odnosiły się do utworzenia i organizacji sądów polubownych, drugie wskazywały członkom Unii sposób postępowania do osiągnięcia tego celu³.

Na konferencji paryskiej, w r. 1889, powzięto w sprawie sądów polubownych główną zasadniczą uchwałę:

¹ Lange. Résolutions des Conférences. Bruxelles 1911.

² Rapport du secrétaire général. Bruxelles 1911—1912.

³ Uchwały konferencji przedstawiam nie w porządku chronologicznym jak zostały powzięte, ale podług związku ich treści.

Konferencya zaleca usilnie rządów państw cywilizowanych, zawieranie traktatów, przez które rządy nieuchybając zasadzie niepodległości, niedopuszczając do mieszania się w jego ustrój wewnętrzny, zobowiążą się wszelkie spory państw przekazywać sądom polubownym do rozstrzygania. (Rezulucya 1).

Uchwałę tę powtórzono prawie dosłownie na konferencyi Londyńskiej, w r. 1890, z dodatkiem: tam gdzie zawieranie powyższych traktatów natrafia na trudności, konferencya usilnie zaleca, oddawać każdy pojedynczy spór pod sąd lub pośrednictwo, a członków swych zobowiązuje ażeby cały swój wpływ w parlamencie i po zewnątrz niego zużyli na to, aby powyższa zasada była stosowana w praktyce. (Rezol. 2).

Wreszcie na konferencyi w Wiedniu (1903) uchwalono: Wzywa się państwa które podpisały uchwały konferencyi w Hadze (1899), aby zawierały między sobą ogólne traktaty co do sądów polubownych (*Traités généraux d'arbitrage*). Wszędzie gdzie okoliczności sprzyjają (jak np. w Stanach Zjednoczonych z Francją, z Włochami, Hiszpanią), rządy i parlamenty powinny niezaniechać niczego, co może doprowadzić do zawarcia traktatów pokojowych.

Konferencya jest przekonana, że jak będzie dany przykład, znajdą się i naśladowcy. (Konf. paryska z 1889 r.

Stany Zjednoczone proponowały niektórym państwom zawarcie traktatu pokojowego. Tej sprawie konferencya poświęciła dwie swoje uchwały.

Na posiedzeniu w Peszcie 1896 uchwalono:

Konferencya dowiaduje się z zadowoleniem o układach między Stanami Zjednoczonymi a Anglią, o traktat pokojowy i utworzenie trybunału pokojowego (*tribunal pacifique*). Konferencya wyraża nadzieję, że układy prędko doprowadzą do skutku, i będzie dowód, że rozstrzyganie sporów państw przez sąd polubowny, jest środkiem praktycznym. (Rezol. 3).

Na konferencyi w Bernie 1892 r. uchwalono:

Ponieważ Stany Zjednoczone proponowały różnym państwom zawarcie traktatów co do arbitrażu, konferencya poleca swym członkom aby żądali od swych parlamentów, ażeby rządy ich państw propozycję powyższą przyjęły. (Rezol. 1).

Tej samej treści, tylko w ogólnej stylizacji, powzięła konferencya w Brukselli 1897 r. następującą uchwałę:

Konferencya przypomina, iż uważa za rzecz bardzo doniosłą, ażeby przez jeden lub kilka rządów, utworzony został stały sąd polubowny. (Rezol. 1).

Konferencya interparlamentarna w Hadze, 1894 r. zwraca się do prasy z wezwaniem, ażeby w razie grożącego sporu państw, omawiała go w duchu pojednawczym i łagodzącym. (Rezol. 6).

Konferencya odbyta w Peszcie 1895 r. zobowiązała Biuro interparlamentarne, do porozumienia się z paroma rządami europejskimi w tym celu, aby skłonić pewną liczbę z nich o przyjęcia projektu traktatu co do sądów polubownych, wypracowanego na wzór przez konfer. brukselską. (Rezol. 2).

Konferencya wyraża życzenie, ażeby się odbył kongres międzynarodowy, specjalnie dla rozważenia postępowania (procedury) przy pokojowym załatwieniu sporów państw. (Konf. interparl. w Hadze 1894 r. Rezol. 3).

Traktowaniu sprawy pokoju w parlamentach, Konferencya interparlamentarna poświęciła następujące uchwały:

Konferencya odbyta w Londynie, 1890 r. wyraziła zadowolenie z powodu, 1) iż obie Izby Kongresu Stanów Zjednoczonych, zajmowały się sprawą arbitrażu, a nadto 2) że na kongresie panamerykańskim, reprezentanci państw Ameryki, ułożyli projekt konwencji co do arbitrażu, który ma być do ratyfikacji przedłożony rządowi. Wreszcie 3) że w toku wówczas była kwestya zawarcia traktatu pokojowego (*traité d'arbitrage*) Stanów Zjednoczonych z Francją, i że rezolucją co do arbitrażu uchwalono we Włoszech, w Norwegii i w Hiszpanii, zaczem niewątpliwie pójdą inne państwa.

Konferencya interparlamentarna na posiedzeniu swem w Brukseli 1895 r. wyraziła zadowolenie (Rezol. 3 i 4):

1) iż izba deputowanych we Francyi jednogłośnie uchwaliła wezwać rząd, aby Stanom Zjednoczonym zaproponował traktat pokojowy (*traité d'arbitrage*). Angielska izba gmin wyrażała te same tendencye);

2) iż Storting norweskimi uchwalił 2000 kor. na utrzymanie biura Unii interparlamentarnej, a nadto, aby dać dowód jak sprzyja idei pokoju, uchwalił on nadto pokrywać ze skarbu państwa koszta podróży swych członków na posiedzenia Unii. (Konf. Brukselska 1895 r. Rezol. 3 i 4).

Wreszcie na posiedzeniu w Brukselli 1897 r. uchwaliła Konferencya interparlamentarna najprzód żał z powodu iż Senat Stanów Zjednoczonych odrzucił Anglo-Amerykański traktat pokojowy, a z drugiej strony podziękowanie dla rządów Angielskiego i Amerykańskiego za inicjatywę podjętą w tej sprawie i dla tych mężów stanu w obu państwach, którzy traktat wymieniony popierali. Konferencya wyraziła nadto zadowolenie z uchwał na korzyść idei pokoju powziętych w parlamentach: Francuskim, Austryackim, Belgijskim, Duńskim, Norweskim, Szwedzkim, Angielskim, w kongresie Amerykańskim i Radzie Narodowej Szwajcarskiej.

Konferencya przyjęła z uznaniem do wiadomości, że z inicjatywy prezydenta Mac-Kinleya przygotowany jest nowy projekt traktatu pokojowego, i wyraziła nadzieję, że państwa Europy i Ameryki doprowadzą do zawarcia takich traktatów. Prezydent konferencyi został wezwany o zakomunikowanie powyższych uchwał prezydentowi Mac-Kinley, prezydentowi Senatowi Stanów Zjednoczonych Ameryki, lordowi Salibury i prezydentom ministrów innych rządów (Rezol. 2).

Pragnąc, ażeby idea pokoju jak największą miała w parlamentach liczbę zwolenników, Konferencya paryska z 1889 apeluje do wyborców, i wzywa ich, ażeby przez wybory kierowali polityką państwa w duchu sprawiedliwości, prawa i braterstwa ludów. (Rezol. 4).

Na konferencyi peszteńskiej w r. 1896 wezwano grupy, aby rozważyły czy nie należałoby oznaczyć terminu w którym, każda grupa ma zażądać od swego rządu aby zawarł ogólny lub specjalny (z pewnemi państwami) traktat co do sądu polubownego, a nadto aby się przyczynił do zwołania konferencyi dyplomatycznej, któraby na wzór projektu brukselskiego utworzyła Cour permanente internationale d'arbitrage.

Na konferencyi brukselskiej w 1897 r. i w Christianii 1899 r. Unia wzywała swych członków ażeby przy sprzyjających okolicznościach popierali wobec rządów sprawę sądów polubownych, i zachęcali rządy do zawierania traktatów co do ich ustanawiania.

Dwa ważne postanowienia zostały powzięte na sesyi brukselskiej 1897 r. i na sesyi odbytej w Wiedniu 1903 r.

Pierwsze z nich, nakłada obowiązek na administratora biura interparlamentarnego, żeby w razie grożącej wojny zwołał zebrania

delegatów grupy jednego z państw, a ci po dokładniejszym poinformowaniu się u obu stron o sprawie spornej, wydadzą opinię co do niej, która jak najwięcej powinna być opublikowana.

Taka opinia pacyfistów jest wielkiej wagi, gdyż łatwo przejść ona może do opinii publicznej i wywierać nacisk moralny, w dzisiejszych czasach nie obojętny dla najpotężniejszego nawet mocarstwa.

Uchwała powzięta na konferencji wiedeńskiej 1903 r. dotyczy art. 27 konwencji o pokojowym załatwianiu sporów międzynarod. Unia Interp. żąda: ażeby art. ten był wykonywany nawet względem państwa które do uchwał Hagskich z 1899 r. nie przystąpiło, a nadto ażeby państwa wspólnie działały w myśl tego art. ażeby zapobiedz wojnie.

Myśl ta jest bardzo szczęśliwą, bo może wspólna akcja państw neutralnych zapewni wykonalność bardzo doniosłemu postanowieniu, które jest w tym artykule zawartem.

2. Projekty traktatów co do sądów polubownych.

Projektów traktatów co do ustanowienia sądów polubownych,¹ było kilka.

- 1) projekt ułożony na konfer. bruksels. w r. 1895.
- 2) projekt p. Ryszarda Bartholdta, prezesa grupy amer.
- 3) projekt p. Ernesta Plenera prezesa grupy austriackiej.

Projekt Brukselski.

Na konferencji interparlamentarnej w Brukselli 1895 r. uchwalono organizacją sądów polubownych dla sporów państw, na następujących zasadach:

Strony kontraktujące ustanawiają stały międzynarodowy sąd polubowny (Cour permanente d'arbitrage international) dla rozstrzygania sporów, które im zostaną przedłożone do decyzji.

W razie wynikłego sporu między państwami, strony kontraktujące zdecydują, czy jest on tej natury że ma być sądowi przedstawiony z zastrzeżeniem obowiązków wynikających z umów specjalnych.

¹ Annuaire de l'Institut de droit intern. Brukselles 1904 str. 36 i n. Ch. Lemonnier, Formule d'un traité d'arbitrage permanent entre nations. Paris. 2^{ed}, Traité d'arbitrage permanent entre peuples. Paris 1890.

Sąd ma siedzibę w

Siedziba sądu może być przeniesioną gdzieindziej, przez uchwałę $\frac{3}{4}$ państw do umowy należących.

Rząd państwa w którym sąd ma siedzibę, gwarantuje jego bezpieczeństwo, równie jak wolność jego dyskusyi i decyzji.

Każdy rząd podpisujący umowę, mianuje dwóch członków sądu. Także dwa lub więcej państw mogą wspólnie zamianować dwóch członków. Mianowani są oni na 5 lat, i mogą być mianowani ponownie.

Wynagrodzenie członków sądu, płaci państwo które ich mianuje.

Koszta sądu ponoszą państwa należące do umowy, w równych częściach.

Sąd wybiera z swego łona prezydenta i wiceprezydenta na rok.

Prezydent nie może być wybrany ponownie jak po 5 latach.

Wiceprezydent zastępuje prezydenta we wszelkich wypadkach, w których on z powodu przeszkody urzędować nie może.

Sąd mianuje sekretarza i oznacza liczbę urzędników, według swego uznania.

Sekretarz przebywa w miejscu siedziby sądu, i czuwa nad archiwum.

Strony, mogą za wspólną zgodą, oddać bezpośrednio spór sądowi.

Strony uwiadamią sekretarza o postanowieniu oddania sporu sądowi.

Sekretarz uwiadamia o tem bezpośrednio prezydenta.

Jeżeli strony niekorzystały z możliwości oddania bezpośrednio swego sporu sądowi, prezydent wyznacza członków sądu, którzy tworzą trybunał wyrokujący w pierwszej instancji.

Na żądanie jednej ze stron, członków tego trybunału wyznaczy sam sąd.

Członkowie mianowani przez państwo w sporze będące, nie mogą zasiadać w trybunale.

Członkowie wyznaczeni, nie mogą wyboru odmówić.

Kompromis, zawierają rządy w sporze będące.

W braku pod tym względem umowy, punkta sporne określa trybunał, lub sąd.

Dopuszczalnym jest wniesienie skargi wzajemnej.

Wyrok jest motywowany, i będzie ogłoszony w dwa miesiące po zamknięciu obrad. Stronom doręcza go sekretarz.

W ciągu 3 miesięcy od doręczenia, każda strona może wnieść odwołanie (apelację).

Odwołanie wnosi się do sądu. Członkowie mianowani przez państwa w sporze będące i członkowie trybunału, nie mogą zasiadać w sądzie wyrokującym w 2 instancji.

Postępowanie jest jak w pierwszej instancji. Wyrok sądu jest ostateczny. Niema środków przeciwko niemu.

Wykonanie wyroku sądu, pozostawianem jest honorowi i dobrej wierze państw będących w sporze.

Sąd zastosuje umowę stron, które w kompromisie dały mu środki do sankcjonowania w sposób pokojowy swych decyzji.

Mianowanie sędziów nastąpi w ciągu 6 miesięcy od wymiany ratyfikacji niniejszej konwencji.

Drogą dyplomatyczną zostaną one podane do wiadomości państw które konwencję podpiszą.

Sąd zostanie utworzony i zbierze się prawomocnie w swej siedzibie, w miesiąc po upływie powyższego terminu, jakakolwiek będzie liczba jego członków. Przystąpi on do wyboru prezydenta, wiceprezydenta i sekretarza, oraz do wypracowania regulaminu swoich czynności.

Strony kontraktujące sformułują regulamin organizacyjny sądu. Będzie on stanowić część integralną konwencji.

Państwa które nie zawarły konwencji, mogą do niej przystąpić, w formach zwykłych.

Ich przystąpienie będzie podanem do wiadomości rządu tego państwa, w którym sąd ma swoją siedzibę, a ten ostatni uwiadomi inne rządy, które do konwencji należą.

Projekt Amerykański (Ryszarda Bartholdta).

1) Kompetencya stałego sądu polubownego¹ (Haga 29 lipca 1899) odnosi się do sporów państw wynikających z powodu interpretacji albo wykonania traktatów, z powodu przywilejów dyplomatycznych.

¹ Résolutions des conférences et décisions principales du conseil. Bruxelles 1911 str. 89.

matycznych lub konsularnych, oznaczenia granic, prawa żeglugi, wynagrodzenia szkód lub reklamacyj pieniężnych, pogwałcenia praw co do osób i rzeczy, a nadto pogwałcenia uznanych zasad prawa narodów.

2) Wszelkie inne kwestye, jakiejbądź natury, będą przekazywane komisji śledczej (Haga, tyd. III, art. 9—14), lub sądowi, ustanowionemu jak poniżej.

3) Od decyzji zapadłej, istnieje odwołanie do innego sądu.

4) Sąd 1-ej instancji, o ile strony nieodwołają się do sądu w Hadze, ustanawia się w następujący sposób.

Najwyższy sąd każdego z państw w sporze będących, mianuje 2 sędziów (z pośród swych członków lub innych osób). Ci wybierają sobie superarbitra, albo, dwaj z 1^o trybunału wyznacza 1^o członka sądu Hagskiego, a los rozstrzyga który z nich będzie superarbitrem.

Odwołanie może mieć miejsce do trybunału Hagskiego, wyjąwszy, jeżeli wyrok zapadł jednogłośnie, albo jeżeli idzie o kwestyę pieniężną, a suma przysądzona jest niższą jak milion funtów szterl.

Sąd ustanawia procedurę, czas i miejsce posiedzeń, mianuje funkcyonaryuszy i oznacza ich zapłatę.

Jeżeli zachodzą trudności w utworzeniu sądu, pisarz sądu w Hadze z urzędu wyznaczy losem 2 sędziów dla każdej strony z pomiędzy członków najwyższych trybunałów każdego z państw w sporze będących i z pomiędzy nich trybunał będzie złożony, w sposób oznaczony ad 4).

Projekt Ernesta Plenera.

Na konferencji Londyńskiej (23—25 lipca 1906 r.) uchwalono, podług referatu Plenera wzór traktatu w sprawie ustanowienia sądu polubownego w sporach państw. Traktat ten ma zawierać następujące postanowienia:¹

Kompetencji sądu podlegają spory państw, wyjąwszy tych, które dotyczą niezależności państwa, jego żywotnych interesów, wykonywania udzielności, oraz interesów państw trzecich.

Każde państwo samo rozstrzyga, czy jego spór do kategorii spraw wymienionych należy, czy nie.

¹ Résolutions des conférences. Bruxelles 1911 str. 99.

Bezwarunkowo podlegają kompetencji sądu :

- a) sprawy interpretacji i zastosowania, w traktacie wyliczonych umów międzynarodowych,
- b) sprawy granic państwa,
- c) sprawy o pieniądze wynagrodzenie szkód, jeżeli wynagrodzenie w zasadzie przez państwa zostały uznane,
- d) kwestye długów.

Mianowanie sędziów i procedura będą podług uchwał Hagskich z 29 lipca 1899 r.

Wyrok sądu określa czas w którym ma on być wykonany.

Wymiana pism odnoszących się do sporu, musi nastąpić przed otwarciem posiedzeń sądu.

Czas trwania tego traktatu nie jest ograniczony. Każde państwo może się wycofać z tego traktatu na początku 10 r., o ile to rok przedtem zapowie.

Oprócz tego, na konferencyi Londyńskiej uchwalono następującą rezolucyę :

Jeżeli między państwami, które traktat rozjemczy zawarły, powstanie spór, który się do sądu nie kwalifikuje, strony nie rozpoczną kroków nieprzyjacielskich, dokąd obie lub jedna, albo niezarządzają komisji śledczej (Commission international d'enquête) albo nie odwołają się do pośrednictwa jednego lub więcej państw zaprzyjaźnionych.

Postępowanie to będzie, w razie potrzeby, przeprowadzonem podług art. 8 (pierwszej) konwencji Hagskiej z r. 1899.

Jest to klauzula, którą Anglia i Stany Zjednoczone pomieściły w swym projekcie traktatu z 1897 r.

Konferencya londyńska z 1906 r. wyraziła życzenie, ażeby rezolucya ta weszła do wszystkich traktatów rozjemczych.

Elaborat ten p. Plenera, uchwalony na konferencyi londyńskiej w r. 1906, znalazł wielkie uznanie na 2-iej konferencyi pokojowej w Hadze w 1907 r. Reprezentanci 32-ch państw oświadczyli się za nim.

Wskutek tego, berlińska konferencya Unii (1908 r.) uchwaliła następującą rezolucyę :

Wyraża się życzenie, aby wzór traktatu rozjemczego, uchwalony przez Unię w Londynie wzięty był za punkt wyjścia układów między państwami, w sprawie sądów polubownych.

Wzywa się 32 państw, których reprezentanci w Hadze (1907 r.) za tym projektem się oświadczyli, aby zawarły podług niego traktat między sobą, wzywa się nadto inne państwa, aby do tego traktatu przystąpiły.¹⁾

Z pomiędzy tych trzech projektów, pierwszeństwo należy się niewątpliwie projektowi Plenera, a to ze względu na jasne określenie kompetencji sądu, oznaczenie czasu wykonania wyroku i postanowienia co do spraw które do kompetencji sądu nie należą. Utworzenie sądu określone jest w związku z postanowieniem konferencji hagskiej.

Projekt brukselski proponuje sąd międzynarodowy w formach bardzo zbliżonych do zwykłego sądu polubownego.

Najmniej szczęśliwie pomysłany był projekt amerykański, ze względu na bardzo skomplikowany sposób złożenia sądu polubownego.

Klauzule kompromisowe.

W wielu traktatach spotykamy postanowienie, że wszelkie spory z nich wynikające, będą przez sąd polubowny rozstrzygane (Kompromissarische klausel. clauses d'arbitrage).

Postanowienia te, są oczywiście wynikiem dążności pokojowych państw, które przynajmniej w sporach z jednej umowy wynikać mogących, tą drogą sobie pokojowe załatwienie zapewniają. Ze względu na tę doniosłość klauzuli kompromisarskich, sprawą ich zastosowania w traktatach, oddawna się zajmowano w parlamentach.

Po raz pierwszy stało się to w Anglii. Jeszcze w r. 1849 Buckingham i Cobden żądali w Izbie gmin ażeby klauzule te pomieszczane były w traktatach angielskich, ale wniosek ten upadł.

W r. 1853 podobny wniosek przeszedł w senacie Stanów Zjednoczonych, a w r. 1874 został przyjęty przez obie Izby tamtejsze.

W r. 1873 żądanie to podniesiono w parlamencie włoskim (Mancini), w r. 1874 w Hollandyi, w r. 1875 w Belgii, w r. 1893 w Rumunii.

¹ Résolutions des conférences. Bruxelles 1911 str. 103.

Zadania te doczekały się już uwzględnienia przez rządy. Obecnie spotykamy te klauzule w wielu traktatach dotyczących handlu, żeglugi,¹ poczt,² a nadto w umowach konsularnych itd., ale przeważnie w umowach ekonomicznej treści. Szersze i ogólniejsze zastosowanie znalazło to postanowienie w traktacie Waszyngtońskim z 18 kwiet. 1890 r. między 17 republ. amer.

Wiele państw europejskich, a przedewszystkiem Włochy i Szwajcarya, w największej liczbie swych umów klauzule kompromisowe pomieszczają.

Nie ulega wątpliwości, że klauzule te nietylko utrzymają się na przyszłość, ale nawet znajdować będą coraz szersze zastosowanie. Nietylko traktaty ekonomicznej treści, ale także i umowy ekstradycyjne, umowy co do własności literackiej i artystycznej, co do wykonywania wyroków zagranicznych i i. o ile politycznych stosunków państw nie dotyczą, mogą zupełnie dobrze mieścić klauzule kompromisowe.

W art. 4 wspomnianego traktatu Waszyngtońskiego powiedziano: iż obowiązek poddania się sądowi ustaje, jeżeli tylko jedna strona w sporze będąca sędzi, iż przedmiot sporu jej niepodległości dotyczy.

Zastrzeżenie to, znaczenie klauzuli kompromisowej osłabia, i dlatego lepiej jest klauzulę tę pomieszczać w tych tylko traktatach które stosunków politycznych państw, ich bytu, niezawisłości i honoru nie dotyczą.

Jest wielką zasługą Manciniego, iż nakłonił rząd włoski do szerokiego stosowania klauzuli kompromisowej w stosunkach międzynarodowych, gdyż ona w wielu wypadkach niebezpieczeństwo wojny usuwa, utrwała nietylko w sferach rządowych, ale i w szerokich warstwach społecznych zamławanie pokoju, a w każdym razie duchowi naszego czasu odpowiada i świadczy, iż w dzisiejszej epoce państwa niezaniebdują niczego, ażeby zapobiedz wojnie i fakt gdzie to możebnem, traktaty zawiera i w takiej formie, ażeby one nie dawały okazji do rozprawy orężnej.

Wobec takiego znaczenia klauzuli kompromisowych, uchwały Unii interparlamentarnej, ażeby klauzule te były pomieszczane w odpowiednich do ich treści traktatach, powzięte w Paryżu, Londynie i Bernie, są zupełnie słuszne i powinny być przez rządy wykonane.

¹ Ullmann, str. 300.

² Trakt. berneński z 1874 co do Union postale Univers.

Na konferencji wiedeńskiej (1903 r.) uchwalono wzór klauzuli kompromisowej. Wzór ten brzmi: Strony kontraktujące zgadzają się poddać wszelkie trudności, które przy zastosowaniu obecnego traktatu mogą wyniknąć, pod sąd polubowny, stosownie do uchwał pierwszej konwencji habskiej z 1899 r.¹⁾

II.

Kwestye ogólnego znaczenia dla prawa narodów.

1. Udział państw w kongresach.
2. Własność prywatna w czasie wojny morskiej.
3. Międzynarodowe prawo prywatne.
4. Unie międzynarodowe.
5. Prawa cudzoziemców.
6. Kodyfikacya prawa narodów.
7. Kwestya neutralności.
8. Agencya pokoju.
9. Organizacya prasy.
10. Kongres międzynarodowy.
11. Uchwały dotyczące wyników konferencji pokojowej w Hadze.
12. Uchwały odnoszące się do członków Unii.

1. Udział państw w kongresach.

Doskonałą myśl miała Unia interparlamentarna, poruszając na swej konferencji w Rzymie sprawę udziału państw w kongresach i konferencyach. Uchwała pod tym względem powzięta wymaga, ażeby w interesie pokoju i sprawiedliwości, na przyszłość wszystkie państwa parlamentarne były reprezentowane na wszystkich kongresach państw europejskich.²⁾ (Rezol. 1).

Kongresy i konferencye, między którymi ścisłej granicy niema, są poświęcone sprawom dotyczącym pewnych państw, albo całego Związku międzynarodowego.

Co do udziału w tych kongresach, stałej zasady dotąd niema.

¹ Résolutions des conférences. Bruxelles 1911 r. str. 79.

² Résolutions votées par les huit premières conférences interparlementaires. Berne 1899. str. 10.

Główną zasadą jest, że w obradach biorą udział tylko państwa udzielne. Jednak i pod tym względem był wyjątek na konferencji pokojowej w Hadze, w której brała udział i Bułgaria.

Co dalszego składu kongresów, dzieje się dotychczas, że przeważnie tylko wielkie mocarstwa (Sexarhia, tj. Rosya, Prusy, Anglia, Francya, Austria i Włochy) biorą w nich udział. One stoją *de facto* na czele międzynarodowego Związku państw, i przyznają sobie prawo decydowania o losie państw małych — o nich, bez nich. Przykładów tego jest wiele.

Na konferencji paryskiej w r. 1869 w sprawie Turcyi i Grecyi (o wyspę Krete), niezaproszono Grecyi z głosem stanowczym. Reprezentanta jej powołano tylko dla dania wyjaśnień. Bardziej rażący wypadek, zdarzył się po ostatniej wojnie Wschodniej. Na konferencji odbytej w r. 1877 z inicjatywy Anglii w sprawie pokoju między Turcyą, Serbią i Czarnogórą, Turcyi nie zaproszono! Toż samo na kongresie berlińskim w r. 1878 niezaproszono państw w obradach interesowanych.

Praktyka ta, przeciwna zasadzie równości państw, i obowiązku szanowania udziałności wszystkich państw udzielnych do międzynarodowego Związku należących, powinna ustać, jak słusznie Unia orzekła — w imię pokoju i sprawiedliwości.

Niesłusznie tylko Unia ogranicza swe żądanie do kongresów europejskich, gdyż kongresy nie tylko w Europie bywają, a nadto niesłusznie do państw mających parlamenty. Ustrój państwa jest jego sprawą wewnętrzną i na stosunki jego międzynarodowe wpływać nie może.

2. Własność prywatna w czasie wojny morskiej.

Na konferencji w Bernie 1892 r. uchwalono:

Wzywa się członków Unii, ażeby w swych parlamentach przeprowadzili wezwanie do rządów, aby odbyła się międzynarodowa konferencya państw, dla uznania zasady prawa narodów, że własność prywatna na morzu w czasie wojny jest nietykalną.¹ (Rezol. 2).

Uchwała ta została powtórzoną na konf. interparl. w Hadze 1894 r. (Rezol. 4) i w Christianii 1899 r.² (Rezol. 6).

¹ Actes essentiels. Berne 1902 str. 9.

² Résolutions des conférences. Bruxelles 1911 str. 51, 67.

Na tej ostatniej konferencji, z zadowoleniem podniesiono s'arania prezydenta Stanów Zjednoczonych o uznanie powyższej zasady przez państwa morskie.

Prócz tego, konferencya oświadczyła się za zawieraniem przez państwa traktatu, na wzór umowy z 1871 r. między Włochami i Stanami Zjednoczonymi, uznającego tę zasadę, sądząc, że traktaty te będą początkiem uznania tej zasady przez wszystkie państwa.

Zupełnie słusznem było żądanie Unii interparlamentarnej, ażeby przyszła konferencya reprezentantów państw, uznała nietykalność własności prywatnej na morzu w czasie wojny morskiej, tak jak nietykalną jest własność prywatna w czasie wojny lądowej. Same rządy postawiły już tę kwestyę na porządku dziennym swych przyszłych obrad, skoro konferencya pokojowa w Hadze w r. 1899 przekazała przyszłej konferencji reprezentantów państw rozważenie tej sprawy.

Stan tej ostatniej w obecnej chwili jest następujący :

Od niepamiętnych czasów, własność prywatna należąca do obywateli państwa nieprzyjacielskiego w czasie wojny morskiej, ulegała zaborowi okrętów wojennych państwa w wojnie udział biorącego lub statków korsarskich.¹

W myśl tej zasady, okręt i towar na nim będący stanowił dobrą przrę, podług prawa zaborczego (Prisenrecht).²

Ograniczenia pod tym względem wprowadziła deklaracya paryska z r. 1856, która uznała, że nawet towar nieprzyjacielski pod flagą neutralną, a tem bardziej towar neutralny i pod flagą nieprzyjacielską zaborowi nie ulega. Wynika z tego, że towar nieprzyjacielski pod flagą nieprzyjacielską opieki prawa narodów nie doznaje, czyli może być zabranym.³

Deklaracya paryska, choć milcząco, ale zasadę tę uświęciła.

¹ Wyjęte z pod prawa zaboru są jednak: 1) okręty odbywające podróż naukową, 2) statki rybackie, 3) statki nie służące do celów handlowych, jak statki obsługujące latarnie morskie, statki wysłane do wykonania zawartego kartelu, 4) statki czerwonego krzyża (uchwały z r. 1868 i 1899), 5) towary pochodzące z rozbitych okrętów.

² Akt zaboru nie może być dokonany na wodach należących do państwa neutralnego, Postępowanie zaborcze wskazuje Rivier, Lehrbuch str. 430 i n.

³ De Boeck, De la propriété privée ennemi sous pavillon ennemi. 1882. Ullmann, Völkerrecht. Freiburg i. Br. 1898 str. 342. Rivier, Lehrbuch d. Völkerr. Stuttgart 1899 str. 429.

Zasada ta jest duchowi dzisiejszego prawa wojny przeciwną. Najprzód dla tego, że wojna ogarnia tylko walczące ze sobą armie i tylko własność państwa skutkom prawa wojny ulega. A następnie, jest przecież dążeniem całej dzisiejszej cywilizacji, ażeby ograniczyć jak najbardziej skutki wojny, a w każdym razie spokojną ludność kraju, o ile można, od następstw wojny uchronić.

Nie szanowanie własności prywatnej na morzu, spowodza nieobliczone straty najprzód dla osób w wojnie udziału niebiorących, a następnie rujnuje handel nieprzyjacielskiego państwa i przez to staje się jego klęską.

Walka przeciwko tej zasadzie, stojącej, jak widzimy w jawnej sprzeczności z duchem nowożytnej cywilizacji, datuje się od końca 18-go stulecia.

W r. 1792 żądano w Zgromadzeniu narodowem we Francyi przeprowadzenia tej zasady, ażeby własność prywatna na morzu była szanowaną.

Niektóre państwa zawierały traktaty co do szanowania własności prywatnej na morzu. Tak uczyniły Prusy z Stanami Zjednoczonymi w r. 1785. Były wypadki, że pewne państwa same zrzekały się prawa zaboru, i to, albo wogóle, pod warunkiem wzajemności, albo tylko na czas toczącej się wojny.

Instytut prawa międzynarodowego, oświadczył się również przeciwko nieszanowaniu własności prywatnej na morzu.¹⁾

Załatwienie więc tej sprawy, leży w duchu czasu. Wobec uchwały konferencyi hagskiej, uchwała Unii sprawy nie przyspieszy, ale zadaniu temu doda powagi i stanowczości, bo uchwała taka ze strony członków parlamentów całego świata powzięta, jest wyrazem opinii całego cywilizowanego świata.

3. Międzynarodowe prawo prywatne.

Na konferencyi wiedeńskiej uchwalono :

Wzywa się grupy do Unii należące, ażeby wpływały na swoje rządy, aby te ostatnie wprowadziły w życie uchwały konferencyi w Hadze co do międzynarodowego prawa prywatnego, która, z godnej wszelkiego uznania inicjatywy rządu holenderskiego przyszła do skutku.

Stosunki zachodzące między jednostkami do różnych państw

¹ Posiedzenia Instytutu w r. 1882, 1883 i 1887.

należącemi, rządzone są przez międzynarodowe prawo prywatne. Ponieważ stosunki te były od dawna, tylko nie w takiej jak teraz ilości, przeto i postanowienia prawne odnoszące się do nich, mieściły się w ustawach państw pojedynczych. Ale praw tych w dawnych ustawach, np. w kodeksie Napoleona i innych z tej epoki pochodzących kodeksach, jest niewiele. Nowsze kodeksy i nowsze ustawy, jak kodeks cywilny włoski z 1865 r., kod. cyw. hiszpański 1889 r., *Le décret congolais sur le conflit des lois* z 20 lutego 1891., *Loi fédéral suisse du 25 Juin 1891 sur le rapport de droit civil des citoyens établis ou en séjour*, nadto projekt belgijski¹, regul tych zawierają coraz więcej. Prócz tego, między nowszem a dawnem ustawodawstwem w tej kwestyi, jest i pod względem treści różnica. Dawne ustawy dawały przewagę prawu krajowemu, w oceniu stosunków cudzoziemców, nawet co do ich czynów dokonanych za granicą i co do stosunków przez nich zawartych w obcym państwie. Wynikało to z mniemania, że udzielność państwa tego wymaga. Dziś zmieniły się pojęcia. Państwa coraz więcej widzą potrzebę stosowania u siebie praw zagranicznych, gdyż zasadą dzisiejszego wymiaru sprawiedliwości jest stosować to prawo, które istocie danego stosunku najczęściej odpowiada. To też w najnowszych kodeksach i ich projektach spotykamy coraz szersze zastosowanie praw obcych.

I jeszcze jedno dla prawnych stosunków świata przybyło zadanie. Nietylko dziś jest powszechnie odczuwaną potrzeba coraz większej ilości praw, dla ciągle mnożących się stosunków obywateli państw różnych, ale co więcej potrzeba ujednastajniać te prawa, gdyż to ułatwia stosunki, nadaje im jednolity charakter w związku międzynarodowym, i zapobiega sporom państw, wyniknąć mogącym z niejednakowego traktowania ich obywateli.

Tę jednolitość praw w sferze międzynarodowego prawa prywatnego, można osiągnąć, wprowadzając do kodeksów państw różnych jednolite postanowienia, a jeszcze skuteczniej przez zawieranie konwencyj międzynarodowych.

Z państw, przedewszystkiem Francya weszła na tę drogę, zawierając w kwestyi spadku konwencyę z Austryą 11 grudnia 1866 r., i takąż konwencyę z Rosyą, 1 kwietnia 1874 r.

Jednak mnożące się nieustannie stosunki międzynarodowe

¹ Lainé, *Étude sur le projet de la revision du code civil belge*. 1890.

jednostek, uwydatniały coraz większą potrzebę konwencji ogarniających znaczną ilość państw i nie co do pojedynczej kwestyi, ale co do całej grupy stosunków najczęstszych i najważniejszych.

Wielki zwolennik tej myśli włoski uczony i mąż stanu Mancini, w r. 1867 z upoważnienia swego rządu, rozpoczął starania, aby skłonić Francję, Belgię i Niemcy do zawarcia z Włochami konwencji ogarniającej przepisy prawne co do cudzoziemców, ale bezskutecznie. W r. 1874 starania w tym duchu podjął rząd holenderski, w r. 1881 rząd włoski, również bez rezultatu.

Instytut prawa międzynarodowego wypracował nawet jako podstawę do umów międzypaństwowych, zestawienie zasad prawnych odnoszących się do tych kwestyj.

Pierwszą kodyfikację głównych zasad międzynarodowego prawa prywatnego dokonano w południowej Ameryce, na kongresie w Montevideo w 1889 r.¹

W Europie rzeczony kodyfikacji dokonano na konferencyach odbytych w Hadze w r. 1896 i 1902. Uchwała z 14 listopada 1896 r. jest następstwem obrad dwóch konferencyj, które z inicjatywy rządu holenderskiego odbyły się w Hadze w 1893 i 1894 r. i zawiera postanowienia odnoszące się do procedury cywilnej (*Communication d'actes judiciaires ou extra-judiciaires. Commissions rogatoires. Caution »judicatum solvi«. Assistance judiciaire gratuite. Contrainte par corps*), została zaś podpisana i ratyfikowana przez: Belgię, Hiszpanię, Francję, Włochy, W. X. Luxemburg, Nassau, Holandję, Portugalię, Szwajcaryę, Szwecję i Norwegię, Niemcy, Austrię, Danię, Rumunię, Rosję.

Uchwały z 12 czerwca 1902 r. były rezultatem trzeciej konferencyi hagskiej z 29 maja 1900 r., obejmują one 3 konwencye: o małżeństwie, o rozwodach i separacyi, tudzież o opiece (*le mariage, le divorce et la séparation de corps. la tutelle des mineurs*) i zostały podpisane przez Niemcy, Austrię, Belgię, Hiszpanię, Francję, Włochy, W. X. Luxemburg, Nassau, Holandję, Portugalię, Rumunię, Szwecję, Szwajcaryę².

¹ Kongres ten trwał od 25 sierpnia 1888 r. do 18 lutego 1889 r. Przyjęły w nim udział: Boliwia, Brazylia, Chili, Paragwaj, Peru, Argentyna, Urugwaj. Por. Meili, *Die Kodifikation des internationalen Civil- u. Handelsrechts*. Pradier-Fodéré, *Le Congrès de droit international sud-américain et les traités de Montevideo*. *Revue de dr. intern.* 1889 str. 217 i 561.

² Asser, *La codification du droit international privé*. *R. de dr. intern.* t. 25 str. 521, t. 26 str. 349, t. 28 str. 573. Asser, *La convention de la Haye*

Konwencya co do małżeństwa zawiera postanowienia jedynie co do ważności małżeństw. Inne kwestye, a przede wszystkim skutki małżeństwa względem samych małżonków i ich dzieci, pozostawione są przyszłej konferencyi.

Uprawnienie do zawierania małżeństw będzie ocenianem podług praw narodowych (*loi nationale*)¹ każdego z przyszłych małżonków. Jest rzeczą tych ostatnich udowodnić władzom w państwie, w którym chcą zawrzeć małżeństwo, iż według praw państwa do którego należą, posiadają wszelkie warunki do zawarcia małżeństwa.

Dalsze postanowienia zawierają ograniczenia tej zasady na korzyść praw państwa, w którym małżeństwo ma być zawartem.

W myśl konwencyi co do rozwodów i separacyj małżonkowie wtedy tylko mogą wnieść skargę o rozwód lub separację, gdy zarówno prawo ich państwa (*loi nationale*), jak i prawo tego państwa w którym skarga ma być wniesioną, dopuszczają rozwód lub separację.

Jeżeli strony w miejscu zamieszkania nie mogą żądać rozwodu lub separacyi, mogą od władz kompetentnych tego państwa żądać środków prowizorycznych, dla przerwania wspólności ich pożycia.

Konwencya co do opieki stanowi, iż opieka nad małoletnim ma być urządzoną przez prawo państwa, do którego on należy.

Jeżeli opieka nad małoletnim nie jest zorganizowaną podług powyższej zasady, ustanawiają ją władze miejsca pobytu małoletniego, podług swoich praw.

W myśl ogólnych postanowień wszystkich tych konwencyj zostały one zawarte na lat 5.

du 14 Nov. 1896. Asser, La convention de la Haye 1901. Meili, Der erste europäische Staatencongress über internationales Privatrecht. Wien, 1894. Meili, Das internationale Privatrecht und die Staatenkonferenz in Haag. Zürich 1900. Documents relatifs à la troisième Conférence de la Haye pour le droit international privé. La Haye 1900. Lainé, La conférence de Haye relative au droit international privé. Journal de droit int. privé. 1894—5. 1901—2. Renault, Les conventions de la Haye (1896 et 1902) sur le droit international privé. Paris 1903. Renault, Le droit international privé et la Conférence de la Haye. Annales de l'Ecole libre des sciences politiques, 1894, str. 310. Roszkowski, Ueber die Beschlüsse der Haager Konferenzen vom 12 Juni 1902. Ztschr. für Völkerrecht u. Bundesstaatsrecht herausg. von Kohler u. Oppenheim Bd. III.

¹ Wyraz narodowe wzięty tu jest w znaczeniu politycznem a nie etnograficznem. i oznacza właściwie państwo, do którego narzeczeni należą.

Milcząco zostają one przedłużone na dalszych lat 5, jeżeli nie zostały wypowiedziane.

Wypowiedzenia mogą nastąpić na 6 mies. przed upływem lat 5.

Powyższe konwencje mogą być przyjęte tylko przez państwa, które w konferencyach hagskich brały udział (*Conventions fermées*).

Przystąpienie państw innych, możliwem jest tylko za zgodą państw powyższych.

Unia interparlamentarna żąda, ażeby wszystkie państwa powyższe uchwały wprowadziły u siebie w życie.

Z powyższego przedstawienia okazuje się, iż nie jest to zupełnie łatwe zadanie dla państw, które na trzech konferencyach hagskich nie były reprezentowane. Jednak, pomijając tę trudność żądanie powyższe jest słusznem.

Kodyfikacya w tych konwencjach zawarta, aczkolwiek nie wyczerpuje całego międzynarodowego prawa prywatnego, jednak ogarnia najważniejsze kwestye i toruje drogę do dalszej kodyfikacyi. Postanowienia praw w pojedynczych państwach co do cywilnych stosunków jednostek w związku międzynarodowym, są bardzo rozmaite, i kodyfikacya dokonana w Hadze ma na celu przedewszystkiem jednolitość prawnych postanowień zaprowadzić w kwestiach najważniejszych, t. j. w rzeczach małżeństw, rozwodów i separacyj.

Zasada, na której oparto konwencye jest słuszną. Dotąd ścierały się w prawodawstwach: zasada prawa miejsca zamieszkania (*loi du domicile*) i prawa państwa, do którego jednostka należy (*loi national*). Konwencye przyjęły tę ostatnią. Małżeństwo, we wszelkich z niego wynikających stosunkach, dotyczących jego ważności lub rozwiązania, powinno być oparte na jednym tylko prawie, mianowicie na tem, które jest najbliższem jednostki, które wszelkie jego stosunki przenika, a więc na prawie państwa, do którego jednostka należy. Miejsce zamieszkania może ulegać zmianie, ze zmianą stosunków życiowych, ono więc stałości i niezmienności o którą tu idzie, nie przedstawia.

Postanowienia konwencyi, choć niewątpliwie liberalnym duchem przeniknione, szanują jednak względy religijne, ale ich ważność odnoszą tylko do państwa, którego prawodawstwo w rzeczach małżeństwa form religijnych wymaga.

Austro-węgierska monarchia konwencye podpisała, przedłożenie konwencyj z 1902 r. radzie państwa dotąd nie nastąpiło. Stanie się

to po przeprowadzeniu pod tym względem porozumienia między obiema połowami monarchii.

Konwencya z r. 1896 parlamentowi przedłożoną nie będzie, gdyż odnosi się do form proceduralnych i zasad prawa materialnego nie zawiera.

4. Unie międzynarodowe.

Unie międzynarodowe należą do najnowszych, ale zarazem i najważniejszych urządzeń w międzynarodowym związku państw.

Ten ostatni, długi czas zajmował się przeważnie politycznymi sprawami państw. W kolei czasu jednak. sprawy społeczne, ekonomiczne i duchowe doszły do tego stopnia rozwoju, iż już nie wystarczało urządzanie i regulowanie ich przez prawo w granicach jednego państwa. One zyskiwały coraz więcej charakter międzynarodowy, i okazała się konieczność zapewnienia im opieki międzynarodowego związku państw przez prawo narodów.

Ażeby tej potrzebie zadość uczynić, począwszy od lat sześćdziesiątych w. XIX-go, poczęły się tworzyć w obrębie międzynarodowego związku państw, związki kilkunastu lub więcej państw, mające na celu wspieranie się ich nawzajem w kwestyach społecznych. Związki te noszą nazwę Unij międzynarodowych.

Znamieniem tej nowej formy połączeń państw jest: 1) że one służą dla celów nie politycznych, ale społecznych; 2) że one mają organ zarządzający ich sprawami, t. z. biuro (urząd międzynarodowy), zostający pod kontrolą rządu tego państwa, w którym to ostatnie ma swoją siedzibę; 3) że co pewien czas odbywają się międzynarodowe konferencje dla spraw Unii.

Podstawą Unii jest traktat otwarty, t. z., że każdej chwili państwa do Unii nienależące, mogą do niej przystąpić.

Doniosłe znaczenie tej najnowszej formy międzynarodowych połączeń państw spoczywa w tem:

1) że one zapewniają opiekę prawa narodów i związku międzynarodowego dla spraw społecznych, pierwszorzędnego znaczenia dla kulturalnego rozwoju narodów; a przez to przynoszą dowód, iż związek międzynarodowy tak się rozszerza, iż nie tylko ogarnia sprawy polityczne, ale i wszelkie sprawy i stosunki oświeconych narodów.

2) Że świadczą, iż państwa dzisiejsze wszelkie wzajemne stosunki pragną mieć rządzone przez prawo;

3) że one zacieśniając węzły między państwami, stają się nowym ogniwem łączącym mocarstwa i utrwalającym pokój;

4) że one ułatwiają państwom urzeczywistnienie zadań społecznych wielkiej wagi, torują drogę do postępu kultury.

Dziewięć dotychczas istniejących Unij, dają się rozdzielić na 4 grupy, podług natury ich przedmiotu, a mianowicie: 1) Unie dotyczące środków komunikacyjnych (Unia pocztowa, telegraficzna i Unia dla transportów kolejowych), 2) Unie dotyczące stosunków ekonomicznych (Unia dla publikacji traktatów cłowych, tudzież Unia dla miar i wag); 3) Unie dla celów duchowych (Unia geodetyczna, Unia dla własności literackiej i przemysłowej); 4) Unia dla zniesienia handlu niewolnikami.

Konferencja bruxelska (1895) uznała wielką użyteczność Unii i urzędów międzynarodowych (Unions universelles et des offices internationaux), i przepowiada ich rozwój. Specyjalnie wyraża ona życzenie, aby wkrótce powstała Unia dla publikacji traktatów¹.

5. Prawa cudzoziemców.

Uchwały Unii interparlamentarnej co do cudzoziemców, zalecają przedewszystkiem państwom przyjęcie uchwał powziętych co do tej kwestyi przez l'Institut de droit international, a oprócz tego zawierają szereg postanowień specjalnych.

Postanowienia te obejmują 3 kwestye:

dozwoleń cudzoziemcom wstępu na terytoryum państwa;

prawne stanowisko cudzoziemców;

wydalanie cudzoziemców.

Co do pierwszej kwestyi, tj. co do dozwoleń cudzoziemcom wstępu na terytoryum państwa, Unia wyraziła opinię, że:

1) państwa powinny ogłosić warunki pod którymi cudzoziemcy będą mieli wstęp na ich terytorya.

2) Cudzoziemcom nie powinien być zabroniony wstęp na terytoryum państwa ani stale, ani w sposób ogólny, ani dla ochrony pracy krajowców. Może zaś być w interesie publicznym i z przyczyn bardzo ważnych, wstęp cudzoziemców ograniczony, lub czasowo zabroniony: z powodu wojny, rozruchów wewnętrznych lub epidemii.

Co do prawnego stanowiska cudzoziemców, Unia jest zdania:

1) iż cudzoziemcy powinni używać na równi z krajowcami

¹ Résolutions des conférences Bruxelles 1911, str. 56.

praw cywilnych, mieć prawo prowadzenia handlu i nabywania własności nieruchomości.

2) Specjalna opieka prawna powinna być rozciągnięta nad tymi cudzoziemcami, którzy mają w państwie zamieszkanie, lub posiadają zakład przemysłowy albo handlowy.

Co do wydań cudzoziemców, Unia rozróżnia: wydalenia en masse i wydalenia jednostek.

Wydalenia en masse mogą mieć miejsce: na czas wojny, albo na czas oznaczony (z powodu rozruchów wewnętrznych).

Wydalenia indywidualne mogą dotyczyć:

- 1) tych co żyją z dobroczynności publicznej,
- 2) tych którzy są winni lub podejrzani o zbrodnię, lub o zamach na państwo,
- 3) tych, którzy się wcisnęli do państwa mimo zakazu,
- 4) tych, którzy są dotknięci chorobą epidemiczną.

Osoby skazane na wydalenie, powinny mieć prawo odwołania się do sądu wyższego, lub do władzy administracyjnej. Wydalenie pomimo wniesionego rekursu, powinno być tylko prowizorycznem. W każdym razie, wydalenie powinno być wykonywanem z względnością, a z wydań robione być powinny sprawozdania parlamentom, lub przez urzędowe publikacye.

Życzenia Unii interparlamentarnej w pierwszej kwestyi, t. j. co do dopuszczania cudzoziemców na terytorya państw, odpowiadają obecnemu prawu narodów i dzisiejszej praktyce państw, i są z tego powodu zbyt techniczne. Ogólne i stałe zabronienie wstępu cudzoziemcom, byłoby wręcz zasadom, na których się opiera dzisiejszy związek międzynarodowy państw przeciwnem, i dlatego nie praktykuje się w obrębie tego związku nigdzie. Czyniły to dawniej niektóre państwa wschodnie, a przedewszystkiem Chiny i Japonia, ale i dziś one tego nie robią. Natomiast słusznem jest, że państwa, w wykonaniu swego zwierzchnictwa terytoryalnego stawiają pewne warunki dla wstępu cudzoziemców, lub zabraniają go osobom niebezpiecznym dla porządku i bezpieczeństwa publicznego, jak zbrodniarzom, ubogim, lub dotkniętym epidemicznymi chorobami. Postanowienia co do tego są ogłaszane w ustawach krajowych lub w traktatach (Niederlassungs, Freundschafts- u. Niederlassungs, wreszcie Handels-Verträge).

Równie się rzecz ma i co do prawnego stanowiska cudzoziemców. W państwach cywilizowanych cudzoziemcy mają zape-

wnioną zupełną prawną obronę swojej osoby i własności¹ i w regule zrównani są z krajowcami pod względem praw cywilnych (Cod. Nap. art. 11. kodeks włoski, art. 3). W jednych państwach równość ta jest zastrzeżoną pod warunkiem wzajemności, w innych, jak we Włoszech, w Hiszpanii i w Holandyi, bez tego ograniczenia. Tam gdzie pod tym względem, w myśl obowiązującego ustawodawstwa, istnieją pewne ograniczenia cudzoziemców, np. co do prawa wytaczania powództwa przed sądy miejscowe w pewnych sprawach, tam państwo przez traktaty z obcemi państwami niewłaściwość tę usuwa. Tak n. p. zrobiła Francya. Inne zaś ograniczenia procesowe, jak co do prawa ubóstwa i obowiązek dostarczania kaucyi w procesie, wynikają z natury stosunków i mają uzasadnienie w ustawodawstwie państw pojedynczych.

W pewnych specjalnych stosunkach, n. p. w kwestyi t. z. własności literackiej i przemysłowej, zrównanie cudzoziemców z krajowcami przeprowadzone jest na podstawie umów międzynarodowych (Union internationale pour la protection des oeuvres littéraires et artistiques). Konwencya berneńska z 9 września 1886 r. (Union internationale pour la protection de la propriété industrielle). Konwencya paryzka z 20 marca 1883.

Pod względem politycznym, cudzoziemcy są niżej postawieni od krajowców o tyle, że nie mają tych praw politycznych, które dają udział krajowcom w wykonywaniu władzy, n. p. praw wyborczych, natomiast na równi z krajowcami korzystają z prawa stowarzyszeń, zgromadzeń, ochrony mieszkania, wolności prasy, swobody wyznań i t. d.

Swoboda zajmowania się handlem jest dziś także cudzoziemcom zapewnioną. Ograniczenia, które pod tym względem w niektórych państwach istniały (Szwecya do r. 1864, Dania do r. 1873 i i.) w ostatnich czasach zostały zniesione. Istnieją one tylko na Wschodzie (Chiny, Japonia), ale i tam coraz więcej znikają.

Znikły także wszelkie dawne ograniczenia cudzoziemców co do prawa dziedziczenia, przenoszenia spadku poza granice państwa i co do swobody wiary. Uprzywilejowane natomiast stanowisko mają cudzoziemcy przez to, iż nie pełnią powinności wojskowej.

Z zupełną natomiast słuszością Unia domaga się zniesienia

¹ Obrona ta ma szczególne znaczenie w państwach wschodnich, jak Persya, Japonia, Chiny itd.

istniejącego w niektórych państwach (Anglia, Stany Zjednoczone, Szwecya) ograniczeń cudzoziemców w prawie nabywania własności nieruchomości. Ukaz rosyjski z 1887 r. stoi w sprzeczności nie tylko z prawem narodów, ale i wogóle z wymaganiami dzisiejszej cywilizacji.

Przedewszystkiem zaś wielkiej wagi są uchwały Unii w kwestyi wydalenia cudzoziemców.

Prawny stan tej kwestyi w związku międzynarodowym jest obecnie następujący:

W czasie wojny państwa aż do najnowszych czasów wydalały obywateli państwa nieprzyjacielskiego. W r. 1870 wydano z Francyi z górą 100.000 Niemców, a w tem 40.000 z samego Paryża. Ale ten barbarzyński zwyczaj w paru ostatnich wojnach: rosyjsko-tureckiej (1877 r.), chińsko-japońskiej (1894 r.) i hiszpańsko-amerykańskiej (1898 r.) został zaniechany. Są nawet umowy międzynarodowe, które zastrzegają niestosowanie wydalenia na wypadek wojny, np. traktat Niemiec z Nicaraguą.

W czasie pokoju państwa mają prawo wydalać cudzoziemców, a to państwo do którego oni należą, lub dawniej należeli, ma obowiązek ich przyjąć, nawet choćby oni w niem utracili obywatelstwo, jeśli nie nabyli innego¹. Jednakże wydalenie to odnosi się do jednostek niebezpiecznych dla państwa, i są traktaty, w których wyraźnie jest zastrzeżonem wydalenie tylko z ważnych przyczyn i za uwiadomieniem agenta dyplomatycznego. Samowolne wydalenie, jak niemniej wydalenie uwłaczające państwu, do którego wydaleniu należą, jako przeciwnie zasadzie związku międzynarodowego (prawo do szacunku i do utrzymywania międzynarodowych stosunków) uprawnia do skarg w drodze dyplomatycznej i do retorsyi. Masowe wydalenie tak częste w starożytności, dziś nie powinno mieć zastosowania. A jednak, w r. 1869 Greków wydano z Turcyi, a w r. 1886 Polaków z Prus i Niemców z Rosyi. To ostatnie było niewątpliwie aktem prawu narodów i cywilizacji uwłaczającym, i przez to kwestya wydań cudzoziemców weszła na porządek dzienny stosunków międzynarodowych.

Instytut prawa międzynarodowego proponuje przyjęcie następujących zasad:

W zasadzie każde państwo udzielne może zarówno dopuszcza-

¹ Zorn, Grundzüge des Völkerrechts. Leipzig 1903. S. 162.

nie cudzoziemców na swoje terytorium, jak i ich wydalenie, urządzić w sposób który za stosowny uzna. Zasady wykonania tego prawa powinno państwo ogłosić dla wiadomości osób interesowanych.

Wydalenie możebnem jest z powodu wojny lub rozruchów wewnętrznych, tudzież w czasach spokoju. Wydalenie w dwóch pierwszych wypadkach będzie czasowem. Wydalenie w czasie spokoju odnosi się do jednostek (*l'expulsion ordinaire*), i do pewnych kategorii jednostek (*l'exp. extraordinaire*).

W kwestyi wydalenia jednostek, należy rozróżnić jednostki mające zamieszkanie, lub zakład handlowy, od tych które tego nie mają.

Decyzya co do wydalenia z powodami, powinna być przed jej wykonaniem stronie interesowanej doręczoną.

Wydalenie nadzwyczajne powinno mieć miejsce wskutek specjalnej ustawy lub przynajmniej rozporządzenia, opublikowanego na pewien czas (np. na 6 mies.)¹.

Postanowienia te o wiele lepiej normują kwestyę, niżeli uchwały Unii.

6. Kodyfikacya prawa narodów.

Na konferencyi w Christianii 1899 r. Rada interparlamentarna została wezwana o wypracowanie kodeksu prawa międzynarodowego, określającego prawa i obowiązki państw, i o przedłożenie go do obrad na jednej z następnych konferencyj interparlamentarnych. (Rezol. 2).

Kwestya kodyfikacyi prawa narodów, którą się Unia interparlamentarna zajmowała, ma swoją historję.

Oddawna, zarówno w świecie naukowym jak i dyplomatycznym, uznawaną jest potrzeba skodyfikowania prawa narodów.

Prawo zwyczajowe, mimo wielkich swoich zalet, polegających głównie na tem, że ono w bezpośrednim zostaje związku z życiem i pod wpływem jego potrzeb wytwarza się i zmienia, przedstawia zawsze te niedogodności, że nie jest dokładnie określone i że w praktyce pozostawia wiele wątpliwości co do tego, co obowiązuje a co ulegając zmianom czasu i wypadków, obowiązywać już przestało.

Obok prawa zwyczajowego, istnieje w niezliczonej ilości traktatów mnóstwo reguł, które są prawem dla stron które traktaty zawarły lub do nich przystąpiły. Liczba umów międzynarodowych

¹ Annuaire de l'Institut. X, str. 245, XII, str. 218.

rośnie z postępem czasu, a nade wszystko wzrasta się liczba traktatów ogólnych, obowiązujących w wielkiej ilości państw, a nawet w całym związku międzynarodowym, co jest zarówno dowodem ujednostajnienia się potrzeb w całym międzynarodowym związku, pod wpływem ujednostajnienia się cywilizacji, jak i tego, że państwa uznają coraz więcej potrzebę uregulowania wzajemnych ich stosunków przez prawo dokładnie określone i jednolite.

Ale zawsze jeszcze największa ilość jest traktatów, które tylko do dwu lub więcej państw się odnoszą. W nich rozprószone są zasady postępowania bardzo rozmaite. Otóż duchowi nowszego czasu odpowiada coraz więcej ujednostajnienie praw, i stąd dążność do kodyfikacji prawa narodów.

Dążność ta przejawiała się po raz pierwszy w końcu XVIII-go stulecia. Zgromadzenie narodowe we Francji w d. 28 paździer. 1792 poleciło Abbé St. Grégoire ułożenie zasad prawa narodów. Elaborat jego wszakże nie został przez konwent przyjęty. W XIX wieku, pierwszy poruszył tę sprawę J. Bentham i sam projekt prawa narodów ułożył. Wstępując w jego ślady, w drugiej połowie z. w. wypracowali projekty kodeksu prawa narodów: August Parodo, Alfons Domin de Petrushevecz, Bluntschli i Dawid Dudley-Field. Projekty te są różnej wartości. Najstańszy z nich — najpierwszy, gdyż w nim więcej jest poglądów autora, niżeli zebranych reguł prawa zwyczajowego i umownego. Projekt Bluntschlego nie uwypatnia również granicy między postulatami nauki, a prawem dziś obowiązującym. Najlepsze są projekty Petrushevecza i Fielda. Pierwszy z nich odznacza się ścisłością prawniczą, ostatni, oparty jest na bogatym materiale prawa obowiązującego i na praktyce rządu Stanów Zjednoczonych. Żaden jednak z tych elaboratów nie był przedmiotem obrad reprezentantów państw.

Z czasem powstawać zaczęły stowarzyszenia dla sprawy kodyfikacji: l'Institut de droit international, Association pour la réforme et la codification du droit des gens w r. 1873 (to ostatnie dziś pod nazwą Association du droit international działające), wreszcie w r. 1880 w Petersburgu rosyjskie towarzystwo dla popierania kodyfikacji prawa narodów.

Najdonioślejsze rezultaty wydały prace Instytutu, który wypracował duży szereg projektów kodyfikacji prawa narodów: co do wydawania przestępców, co do prawa wojny, co do procedury w są-

dach polubownych dla sporów państw, co do międzynarodowego prawa prywatnego, wykonywania wyroków sądów zagranicznych itd.

W pracach tych towarzystw, przyjmują udział najpierwsze naukowe znakomości świata.

Nie brak jednak i przeciwników kodyfikacji, którzy sądzą, że ona oderwie prawo narodów od związku z życiem, i nie uzyska nigdy powszechnego przyjęcia w całym związku międzynarodowym.

Oba te zarzuty nie są uzasadnione. Każda kodyfikacja jest skryształizowaniem prawa, unieruchomieniem go, ale nie rozrywa w zupełności jego związku z życiem, gdyż pod jego wpływem rodzące się nowe potrzeby, wywołują co pewien czas rewizye praw skodyfikowanych i ich uzupełnienia.

Niesłuszność drugiego zarzutu wynika z dzisiejszych stosunków dyplomatycznych. Coraz bardziej wznaga się ilość umów, mających moc obowiązującą w całym związku międzynarodowym, jak traktat pocztowy, telegraficzny, co do własności literackiej i przemysłowej, jak deklaracja petersburska, jak konwencja genewska, jak uchwały konferencji pokojowej Hagskiej itd.

Słuszność w sporze o kodyfikację prawa narodów, spoczywa w środku, między dwoma krańcowemi zdaniem. Kodyfikacja ta jest potrzebną i przyniesie światu wielkie korzyści. Przez nią zostanie prawo narodów ściśle określone, ustali się jego znajomość, a świat przekona się o użyteczności reguł tego prawa w praktyce, ujednolątnią się one w całym związku państw, a nadto przeżyte i duchowi czasu nieodpowiadające jego postanowienia przy kodyfikacji zostaną usunięte. Jednak kodyfikacja nie może być dokonana od razu, a tylko w miarę przygotowania do niej materiałów. Jest wiele traktatów, zawierających mnóstwo materiałów b. cennych do przyszłej kodyfikacji pojedynczych działów prawa narodów. Tu należą: traktat wiedeński z 1815 i Akwizgrański z 1818 r., paryżski z 1856, konfer. genewska z 1864 i 1906 r., traktat berliński z 1878, umowy państw będące podstawą Unij międzynarodowych (pocztowej, telegraficznej etc.) uchwały konferencyj hagskich (pokojowej i dla niędz. pr. pryw.). Tu należą także ustawy państw pojedynczych, odnoszących się do prawa nar., jak deklaracja rządu belgijskiego i francuskiego wydana w czasie wojny wschodniej w r. 1856, jak amerykańska ustawa o wojnie z 1863 r., ukaz rosyjski z 1877 r., specjalnie co do prawa morskiego: zbrojna neutralność i Code maritime z 1782 r. Tożsamo uchwały Instytutu cenny dla kodyfikacji

stanowią materiał. Na tej podstawie mogą być projekta kodyfikacji przygotowane, które reprezentanci państw uczynią z czasem osnową międzynarodowych konwencji, które, na podobieństwo traktatu pocztowego, hagskiego i i. znajdą moc obowiązującą w całym międz. związku państw. Z tego wszakże wynika, że przygotowanie projektów do kodyfikacji nie może być zadaniem Unii interparlamentarnej. Członkowie jej, należący do różnych parlamentów świata, łączą się w Unii interparlamentarnej dla propagowania idei pokoju, ale nie mogą się uważać za powołanych do podejmowania pracy, do należytego wykonania której. potrzeba fachowej wiedzy. Parlamenty nie składają się z samych znawców prawa narodów, a ci, którzy nimi nie są, kodyfikować prawa narodów nie mogą. Kodyfikacja nie polega przecież na spisywaniu improwizowanych reguł, odpowiadających osobistemu zapatrywaniu piszącego. Kodyfikacja jest zebraniem praw już istniejących i uzupełnieniem ich w duchu potrzeb życia społecznego. Taka czynność wymaga fachowej wiedzy prawniczej, której od każdego posła wymagać nie można.

Z tych powodów uchwała Unii skodyfikowania prawa narodów nie była słuszną, i dlatego nie została wykonaną.

7. Kwestya neutralności.

W czasie toczącej się wojny, każdemu państwu służy prawo brać udział w niej, lub nie, czyli, w tym ostatnim wypadku, ogłosić swą neutralność.

Neutralność ta jest tylko czasową, trwa bowiem jedynie do końca wojny, i zupełnie od woli państwa i od spełnienia obowiązków z neutralności wynikających zawisłą. Są jednak państwa stale neutralne¹. One w żadnej wojnie udziału brać nie mogą, muszą więc zachowywać bierną postawę w czasie wojny. Przez to ich samodzielnosc jest ograniczoną. Za to jednak mają pewne prawa, ale i im odpowiadające obowiązki. Im nie może być wypowiedzianą wojna, terytorjum ich nie może być terenem, na którymby państwa walczące mogły walkę prowadzić. Obowiązkiem ich natomiast jest: żadnemu państwu nie wypowiedzieć wojny i takie tylko zaciągać zobowiązania, które nie prowadzą do wojny i które tylko w czasie pokoju mogą być wykonane. Z tego wynika, że np. państwa stale neutralne nie mogą zawierać przymierzy zaczepnych, bo to prowadzi do wojny.

¹ Liszt, Das Völkerrecht. Berlin 1902 str. 45.

Dalszym obowiązkiem państw zneutralizowanych jest: nie tylko wykonywać obowiązki w ogóle do neutralności przywiązane, ale także i wynikające z traktatu gwarantującego ich neutralność. One nie mogą także dozwoląć, aby na ich terytorjum robiono spiski i przygotowania bądź to do rewolucyi w obcym państwie, bądź to do wojny z jakim bądź państwem. One wreszcie muszą wypełniać obowiązki wynikające z ich udziału w związku międzynarodowym, a nadto muszą być gotowe bronić swej neutralności.

Neutralizacya państw leży zarówno w ich interesie, jak i w interesie związku międzynarodowego. W ich interesie, bo zapewnia im stały pokój, w interesie zaś innych państw, gdyż dla mocarstw sąsiednich daje gwarancję nietykalności ich granic, dla wszystkich zaś innych państw, gdyż utrudnia wojenną akcyę państw w ogóle i toruje drogę do utrzymania pokoju. Dlatego, jeżeli do neutralności czasowej wystarcza, że ją ogłosi państwo, które chce być neutralnem, do stałej neutralności potrzeba zgody na nią związku międzynarodowego, a nadto gwarancyi tej neutralności ze strony państw paru. Zagwarantowaną neutralność posiadały dawniej Szwajcarya (trakt. wied. Erklärung z 20 marca 1815 r., trakt. paryzki z 20 Nov. 1815. Helvetische Tagsatzung z 27 marca 1815 r. Wiener Schlussakt z 9 czerwca 1815 r.¹), Wielkie Księstwo Luksemburskie (trakt. Londyński z 11 maja)², Belgia (Prot. z 20 stycznia 1831. Vertrag d. achtzen Artikel z 24 czerwca 1831. Vertrag d. vierundzwanzig Artikel z 15 paźdz. 1831 r.)³.

Wyjątkowe stanowisko zajmuje neutralność państwa Kongo, która w myśl konfer. berlińskiej z 26 lutego 1885 r. (art. 10—12 acte final) jest tylko ograniczoną, i którą państwa gwarancyjne zobowiązały się tylko szanować, ale nie bronić⁴.

Możliwą jest także neutralność pewnych części państwa, t. j. jakiejś prowincyi, rzeki, kanału, cieśniny itd. Tak n. p. neutralność Sabaudyi (trakt. wied. Acte final art. 92), wysp Korfu i Paxos (trakt. z 14 list. 1863 między państwami Pentarchii, i trakt. z 29 marca 1864 r.).

¹ Państwa gwarancyjne: Rosya, Prusy i Austria, Anglia i Portugalia, Hiszpania i Szwecya.

² Państwa gwarancyjne: Rosya, Prusy, Austria, Francya, Anglia i Włochy.

³ Państwa gwarancyjne: Pentarchia.

⁴ Pierantoni, Il trattato di Berlino del 1885 e lo stato indipendente del Congo 1898.

W ostatnich czasach Dania oraz Szwecya i Norwegia wyrażały zamiar uzyskania stałej neutralności¹, ale związek międzynarodowy nie dotąd w tej mierze nie postanowił.

Interparlamentarna konferencya brukselska z 1895 r. wyraziła życzenie, ażeby, jeśli jakiebądź państwo, w drodze konstytucyjnej ogłosi swą stałą neutralność, ta ostatnia została przez państwo uznana.

Członkowie Unii interparl. niech użyją swego wpływu, ażeby sprawa ta została postawioną na porządku dziennym, następnej konferencyi dyplomatycznej. (Rezol. 1).

Na konferencyi interparlamentarnej w Paryżu 1900 r. poruszoną została wielkiej wagi kwestya neutralności. Żądania pod tym względem nie zostały dokładnie sformułowane, ale wyrażono tę myśl, że zachodzi konieczność ścisłego określenia prawnego stosunku państw walczących do niebiorących udziału w walce, aby usunąć dziś pod tym względem panującą niepewność i samowolę, wobec których najdziwaczniejsze pretensye są pod tym względem obecnie dopuszczalne. Konferencya wypowiedziała wreszcie zapatrywanie, że stosunek stron walczących do neutralnych, określony być powinien nie tylko negatywnie, ale i pozytywnie, a wreszcie, że powinien być opartym na ogólnych zasadach pokoju między państwami i na zasadzie równej państw udzielności. (Rezol. 1).

Wreszcie na konferencyi w Wiedniu (1903) delegaci Norwegii przedstawili usiłowania podjęte przez państwa skandynawskie, ażeby uzyskać stałą neutralność. Konferencya interparlamentarna wyraziła sympatyę dla tych usiłowań.

Z powyższych uwag wynika, że uchwała konfer. brukselskiej z r. 1895. (Rezol. 1). „Że jeśli jakiebądź państwo ogłosi swą neutralność stałą, to państwa powinny ją uznać, w obecnym stanie międzynarodowych stosunków nie jest do przeprowadzenia. Dziś stała neutralność jest instytucją, którą Związek międzynarodowy wytwarza w interesie państw wielu. Jeżeli zatem w tym ostatnim nie leży uznanie stałej neutralności pewnego państwa, albo jeżeli wprost przeciwnie — w interesie ogółu leży, ażeby pewne państwo nie było uznanem stale za neutralne, choćby ono stałej neutralności dla siebie najbardziej pragnęło, ta ostatnia uznana nie będzie.

Kiedy życzeniu konferencyi brukselskiej będzie mogło stać się zadość w zupełności? Wtedy, gdy dążenie do utrzymania pokoju

¹ A. Hedin, La neutralité des États scandinaves. Stockholm 1899.

w świecie stanie się jednym z celów Związku międzynarodowego w rzeczywistości. Wtedy środkiem do tego celu będzie, ażeby jak największa ilość państw stałą neutralność uzyskała.

Uchwała zaś konferencji wiedeńskiej, witająca z uznaniem starania państw skandynawskich o uzyskanie stałej neutralności, charakterowi Unii interparlamentarnej odpowiada i jest na miejscu.

8. Agencja pokoju.

Na konfer. paryskiej w r. 1900 podniesiono myśl stworzenia dwóch instytucji dla propagowania idei pokoju: agencję pokoju i biuro międzynarodowe dla zbierania i publikowania dokumentów dyplomatycznych.

W obu tych sprawach niepowzięto uchwały, ale je do zbadania odesłano do Rady interparlamentarnej (Conseil interparlementaire). Agencja pokoju (l'Agence de la paix) miałaby być biurem prasowem, przyłączonem do biura interparlamentarnego w Bernie, i miałaby codziennie wydawać biuletyny o sprawie pokoju i bezpłatnie je rozsyłać. Pomysł nie praktyczny. Sprawa pokoju nie postępuje tak szybko, ażeby codziennie świat o tych zmianach uwiadamiać. Natomiast zupełnie wystarczą sprawozdania coroczne biura berneńskiego. Do codziennych relacji, wystarczą zwykłe dzienniki.

Natomiast bardzo wielkiej użyteczności byłoby biuro dla zbierania i publikowania dokumentów dyplomatycznych. Te ostatnie przedstawiają oczywiście nadzwyczaj wielki interes nie tylko dla przyjaciół pokoju, ale dla polityków, historyków i wszystkich zajmujących się politycznymi stosunkami świata. Dokumenta te są mało dla kogo dostępne i dla tego opublikowanie ich choć w części, byłoby bardzo pożądanem.

9. Organizacja prasy.

Na konfer. paryskiej w 1900 r. hr. Apponyi, imieniem grupy posłów węgierskich, postawił wniosek o zorganizowanie prasy w cywilizowanym świecie, dla popierania sprawy pokoju.

Wniosek ten brzmiał (w streszczeniu): Unia interp. wzywa swe grupy o zorganizowanie w ich krajach prasy na korzyść idei pokoju, na wzór dokonanej już podobnej organizacji na Węgrzech.

Motywy tego wniosku, są jasne i proste. Ażeby z korzyścią działać na rzecz pokoju, Unia musi pozyskać opinię publiczną dla

swej idei. Z pomiędzy różnych czynników oddziałujących skutecznie na wyrobienie opinii publicznej, jednym z najpotężniejszych jest prasa.

W każdym kraju, mnóstwo jest ludzi którzy myślą myślami dziennika, który czytają; ale nawet i dla samodzielnych umysłów, ciągłe przychylne traktowanie w dziennikach sprawy pokoju, nie może być obojętnem. Artykuły te utrwalają i rozszerzają przekonania dla idei pokoju korzystne, wyświetlają sprawę wszechstronnie, pouczają o jej postępie i o jej cywilizacyjnem znaczeniu, słowem pozyskują umysły.

Wszyscy członkowie Unii uznali oczywiście odrazu wielką użyteczność usług prasy dla sprawy pokoju. Wielu mówców wystąpiło z gorącym poparciem wniosku hr. Apponyiego, wielu innych postawiło wnioski uzupełniające. I tak: Beauquier (franc.) proponował utworzenie agencji prasy dla sprawy pokoju, połączonej z biurem pokoju w Bernie, albo ewentualnie ustanowienie przy istniejących już dziś znanych agencyach Havasa, Reutersa, Wolffa i i. fachowych referentów dla sprawy pokoju.

Ives Guyot proponował utworzenie biura międzynarodowego mającego się zająć zbieraniem wszelkich dokumentów dotyczących stosunków zewnętrznych państw, na podstawie których możnaby w prasie wyjaśniać kwestye sporne.

Oba wnioski, zostały przez Unię przekazane Radzie interparlamentarnej (Conseil. interp.) do zbadania.

Wniosek hr. Apponyiego został jednogłośnie uchwalony.

Wzorem proponowanej Unii prasy światowej miała być Unia prasy węgierskiej. Statut tej Unii, jest właściwie projektem statutu Unii prasy całego cywilizowanego świata. Unia ta ogarnia prasę wszystkich państw, a dziennikarze jednego państwa tworzą grupy narodowe. Otóż Węgrzy utworzyli pierwszą grupę narodową. Ta ostatnia opierała się na następujących zasadach:¹

Celem Unii jest systematyczne propagowanie idei pokoju i arbitrażu.

Członkowie Unii są dziennikarzami (redaktorowie i współpracownicy), którzy zobowiązują się służyć idei pokoju.

Członkowie Unii z jednego państwa, tworzą grupę narodową.

¹ Union interparlementaire. Compte rendu de la X Confér. Paris 1900 str. 155.

Grupy te łączą się w organizacyi międzynarodowej.

Unia prasy wchodzi w stosunki z Unią interparlamentarną, aby tem skuteczniej razem dożyć do wspólnego celu.

W ramach statutu Unii, grupy narodowe uchwalają sobie regulamin.

Członkowie Unii płacą 5 fr. rocznie, na cele swej grupy i organizacyi międzynarodowej.

Grupy narodowe raz na rok łączą się w zgromadzenia ogólne.

Dziennikarze z państw w których Unia nieistnieje, mogą być zaproszeni do obrad, ale bez prawa głosowania.

Organami Unii są: stała Rada i biuro centralne.

Każda grupa wybiera 2 członków Rady, na 3 lata.

Zadaniem Rady jest: przygotowanie obrad zgromadzenia, wykonanie jego uchwał (łącznie z biurem), i prawo inicjatywy w sprawach Unii.

Biuro zgromadzenia ogólnego jest biurem centralnem, przez rok, aż do następnego zgromadzenia. Ono załatwia sprawy bieżące Unii, pośredniczy między grupami Unii i Unią prasy a Unią interp., zarządza funduszami Unii.

Myśl, założenia Unii prasy całego świata dla pożytku idei pokoju, wypowiedziana przez hr. Apponyiego, została jednogłośnie przez Unię interparl. w Paryżu przyjętą, ale na tem zakończył się cały dla niej zapał. Najpierwsze węgry okazały gotowość do praktycznego urzeczywistnienia tej myśli; za nimi poszła Szwajcarya i Portugalia — w innych państwach myśl powyższa nie znalazła poparcia. Skutkiem tego p. Gobat, na posiedzeniu Unii w Wiedniu w r. 1903¹ oznajmił: iż zorganizowanie prasy niemoże być przeprowadzonem, co zgromadzenie przyjęło do wiadomości.

Tego postanowienia żałować należy. Zostało ono powziętem za wcześnie i z wielką szkodą dla sprawy samej.

Idea pokoju, nierozszerzy się należycie w masach, bez gorącego poparcia prasy. Przy tem rozpowszechnieniu czytania dzienników co dziś, systematyczne zalecanie zamięłowania pokoju jest niewątpliwie jednym z najdzielniejszych środków pozyskania dla niej szerokich warstw społecznych.

Zawczasie jednak żądano od razu organizacyi prasy całego świata. Najprzód potrzeba tę ostatnią pozyskać, a potem można mówić o jej

¹ Comptes rendus de la XI^e Confér. Vienne 1903 str. 93.

organizacyi. Do pozyskania zaś prasy dla idei pokoju, jeszcze bardzo daleko. Namawianie, werbowanie, nie przyda się na nic. Prasa wpływa na przekonania społeczne, a z drugiej strony jest ich wyrazem. Utrwalenie się zamiłowania pokoju w szerszych niż to dziś ma miejsce warstwach społecznych, znajdzie wyraz i w prasie. Należy więc jednocześnie dbać o jedno i drugie. Reforma nauki historii w szkołach, ustanie gloryfikowanie tylko wojen w nauce historii, wykazywanie dobrodziejstw płynących dla ludzkości z pokoju, pozyska młode umysły dla idei pokoju, a za tem pójdzie z czasem opinia publiczna i prasa, i wtedy będzie pora myśleć o organizacyi tej prasy. Dziś zwolennicy pokoju powinni się starać pozyskiwać jak największe codzienne dzienniki w każdym państwie. Za nimi pójdą inne, mniejsze wydawnictwa. Ta zaś prasa małeńka, specjalnie dla sprawy pokoju w różnych państwach obecnie powstała i jej wyłącznie poświęcona, niewiele zdziała, gdyż jest mało czytana, a nadewszystko ona nie reprezentuje opinii mas.

Sprawa więc pozyskiwania prasy, i zużytkowania jej dla propagowania idei pokoju, nie powinna zejść z porządku dziennego obrad Unii, powinna być wznowioną, choć załatwienie jej nie może nastąpić prędko.

10. Kongres międzynarodowy.

Parlament świata.

Projekt grupy amerykańskiej. (Bartholdt).

Unia, na konferencyi w Brukselli (1905) poleciła do przyjęcia drugiej konferencyi pokojowej w Hadze projekt następujący:

Ustanawia się kongres międzynarodowy, złożony z dwóch Izb: Senatu i Izby deputowanych.

W Senacie każde państwo ma mieć 2-ch członków, a w Izbie deputowanych mieć będzie liczbę posłów odpowiednią do jego handlu międzynarodowego.

Kadencya trwa lat 8.

Większość głosów rozstrzyga.

Konieczną jest zgoda obu Izb.

Każde państwo może się z kongresu usunąć każdej chwili.

Debaty kongresu dotyczą tylko stosunków państw.

Kongres uchwała reguły dla tych stosunków.

Reguły te powinny być uznane za prawo, z wyjątkiem tych, które dawniej określone już zostały przez parlamenty państw odrzucone.

Państwa wzajemnie traktować się powinny jako równe sobie.

Każde państwo należąc do kongresu, może się zbroić dowolnie.

Wojna będzie uważaną za akcję legalną, wyjąwszy, jeżeli różne państwa zgodziły się zapomocą traktatów na rozstrzygnięcie sporów przez sąd.

Zbrojne siły państw powinny być do rozporządzenia kongresu, dla wykonania decyzji Trybunału w Hadze.¹

Dla rozważenia tego projektu, została przez Unię wybrana komisya², która odbyła 3 posiedzenia: 1) 18 i 19 lutego 1905 r., 2) 19 i 20 kwietnia 1906 r. i 3) 2 czerwca 1906 r.

Zaraz na 1-em posiedzeniu zgłoszone zostały w tej kwestyi dwa nowe wnioski.

Sam wnioskodawca, mianowicie p. Bartholdt, przyszedłszy do przekonania, że nie nadeszła jeszcze pora do tworzenia międzynarodowego parlamentu, przedstawił projekt Komitetu, albo Rady państwa (Comité ou Conseil d'État) dla spraw zewnętrznych. Ten komitet złożony z ludzi bardzo wybitnych, z kwestyami międzynarodowymi bardzo obeznanych, miałby odbywać peryodycznie posiedzenia dla międzynarodowych spraw bieżących i dążyć do jednolitej akcji z organami rządów państw pojedynczych.

Pan d' Estournelles de Constant zaproponował zaś utworzenie międzynarodowego Ministerium, w zastępstwie za trudny do utworzenia parlament międzynarodowy.

Na ostatniem posiedzeniu, w d. 2 czerwca 1906 r. w Brukseli odbytem, ostatecznie nie uchwalono żadnego z powyżej przytoczonych wniosków, zgodzono się natomiast że:

1) konferencye pokojowe w Hadze powinny się odbywać stale peryodycznie;

2) państwa powinny upoważnić swych delegatów na drugą konferencyę hagską, do utworzenia stałej Rady, mającej za zadanie kondyfikację i rozwój prawa narodów, oraz doprowadzenie, ile można, do zgody prawodawstw państw pojedynczych z prawem narodów;

3) przeprowadzić zmianę statutu Unii i przedłożyć Konferencyi wnioski co do zmiany art. 2, 4, 6 i 8 statutów.

Wszystkie te 3 punkta były pierwotnie tj. na pierwszym posiedzeniu, inaczej stylizowane.

¹ Résolutions des Conférences. Brukselles 1911 str. 93.

² Komisya ta, nosiła pierwotnie nazwę: Commission pour le parlement international, później została nazwaną Commission de réorganisation.

W punkcie 2-im miano na myśli, aby w państwach pojedynczych utworzone były Komitety dla spraw zagranicznych, a prócz tego Rada centralna.

Co do punktu 3-go. radzono zastanowić się, czy Unia interparlamentarna nie mogłaby z czasem przeistoczyć się w Kongres międzynarodowy? Byłoby bowiem niewątpliwie pożądanem, ażeby Unia miała coraz więcej charakter prawdziwej reprezentacji międzynarodowej. Innemi słowy: jest pożądanem ażeby Unia była wiernym wyrazem ciał prawodawczych w pojedynczem państwie. Do tego, za konieczną uznano reorganizację Unii.

Punkt 1-y, na drugim posiedzeniu miał bardzo dobrą redakcję: Byłoby korzystnie przekształcić 2-gą konferencję hagską na kongres międzynarodowy. zbierający się automatycznie i peryodycznie.

11. Uchwały dotyczące wyników konferencji pokojowej w Hadze, z 1899 r.

Konferencya interparlamentarna w Christianii z 1899 r. a) wyraziła powinszowania naczelnikom państw i rządów na konferencji w Hadze reprezentowanym, z powodu wyników konferencji hagskiej; b) wyraziła radość iż uchwały tej ostatniej wypadły w duchu organizacji sądów polubownych uchwalonej przez konferencję interparlamentarną w Brukselli 1896 r., a nadto nadzieję, że dzieło w Hadze zaczęte, doczeka się w przyszłości dalszego rozwoju i wykończenia. W tym celu, konferencya interparlamentarna ofiarowała swój współudział. (Rezol. 3).

Z powodu wojny w południowej Afryce, wybuchłej bezpośrednio po ukończeniu konferencji hagskiej, Rada interparlamentarna, na posiedzeniu swem odbytem w Brukselli 2 września 1901 r. stosowała pisma zarówno do Biura międzynarodowego w Hadze jak i do hollenderskiego Ministra spraw zagranicznych, jako prezydenta międzynarodowej rady administracyjnej, z wyrażeniem życzenia :

- a) ażeby konwencya hagska została ogłoszoną jako otwarta, ażeby do niej mogły przystąpić państwa, któe w jej zawarciu udziału niebrały;
- b) ażeby zasady prawa wojny, były powszechnie ściśle stosowane;
- c) ażeby w każdym sporze państw, stosowane były zasady w Hadze przyjęte co do procedury w sądach polubownych.

Konferencya w Chrystianii wyraziła :

- a) nadzieję, że państwa w razie sporów, będą się stosować do uchwał hagskich;
- b) wyraziła żal, że tego nie uczyniono w sporze Anglii z republikami południowej Afryki;
- c) wyraziła życzenie, ażeby zbrojna interwencja mocarstw w Chinach, dla ukarania popełnionych tamże okrucieństw, nie miała za skutek nowych zdobyczy, mogących wywołać wojnę powszechną, ale że przeciwnie ona będzie początkiem zorganizowanej i trwałej Unii państw. (Rezol. 5 i 6).

W sprawie uzupełnienia postanowień konferencji hagskiej, konf. interparl. w Christianii wyraziła zdanie :

- a) iż jest pożądanem. ażeby zdanie sporu na sąd polubowny (arbitrage) było obowiązującym, o ile to nie będzie przeciwnem niepodległości państw ;
- b) ażeby wszystkie państwa mogły przystąpić do konwencji hagskich;
- c) ażeby organizacja trybunału polubownego (art. 20 konw. hagskiej o pokojowem załatwianiu sporów państw) zbliżyła się do organizacji stałego sądu polubownego. (Rezol. 5).

Z powodu uchwał hagskich, konfer. interparl. w Paryżu, w 1900 r., poleciła grupom parlamentarnym, ażeby użyły swego wpływu, aby :

- a) państwa, w myśl art. 19 konw. hagskiej zawierały traktaty specjalne, zapewniające pokojowe załatwianie ich sporów ;
- b) aby klauzule co do arbitrażu były pomieszczane w traktatach specjalnych ;
- c) ażeby obowiązki wynikające dla państw z art. 17 wspomnianej konwencji, nie były zaniedbywane (Rezol. 3);
- d) aby posłowie do parlamentów przypominali swym rządóm obowiązki, które na nich ciążyą, po podpisaniu konferencji w Hadze. (Rezol. 5).

W myśl zaś uchwał konf. interparl. w Christianii, grupy parlamentarne mają nadto obowiązek :

- e) starać się aby do uchwał hagskich przystąpiły te państwa, które dotąd tego nie uczyniły ;
- f) aby ich państwa zawierały traktaty pokojowe (traités d'arbitrage) ;
- g) mają ułatwiać przyjęcie do konwencji hagskich państw w Hadze nie reprezentowanych ;

- h) podawać do wiadomości ziomków uchwały hagskie, z wyjaśnieniami i oceną tych ostatnich;
- i) zachęcać rządy do dalszego rozwoju uchwał hagskich;
- j) opinie swe co do uchwał hagskich, podawać do wiadomości Rady interparlamentarnej. (Rezol. 4 i 5).

Na konf. w Wiedniu (1903 r.) uchwalono wreszcie:

- a) ażeby państwa które uchwały konf. hagskiej (1899) podpisały, w razie sporu zwracały się do stałego tryb. w Hadze;
- b) ażeby państwa w wypełnieniu ciążącego na nich obowiązku z mocy art. 27 uchwał hagskich, porozumiały się między sobą, celem wspólnego działania, mającego na celu przypomnienie państwom w sporze będącym: iż stały trybunał polubowny w Hadze, jest dla nich otwarty (Rezol. 2);
- c) że państwa, obowiązki dla nich wynikające z art. 27 uchwał hagskich, stosować będą nawet względem państw, które uchwał hagskich nie podpisały (Rezol. 4);
- d) ażeby możliwie najprędzej odbyła się nowa konferencya reprezentantów państw, dla powzięcia uchwały co do kwestyj, które przez konferencyą hagską przekazane zostały do załatwienia następnej konferencyi międzynarodowej.

Taż sama uchwała powziętą została, na wniosek p. Edmunda Robertson, specjalnie co do projektu rosyjskiego, dotyczącego rozbrojenia na lądzie i morzu, a nadto co do zmniejszenia ciężarów wojennych, obciążających budżety.

Na konf. wiedeńskiej zatwierdzono uchwałę Rady interparlamentarnej, która wyraziła życzenie:

- a) ażeby konwencya hagska była uznana za otwartą, tj. ażeby do niej przystąpić mogły państwa, które w konferencyi hagskiej udziału niebrały;
- b) ażeby uchwalone w Hadze prawo wojny, było powszechnie i ściśle stosowanem;
- c) ażeby we wszelkich sporach państw, stosowane były zasady proceduralne, uchwalone dla sędziów międzynarodowych.

Sekretarz generalny Unii interparlamentarnej, został zobowiązany, o powyższych uchwałach uwiadamiać biuro międzynarodowe w Hadze i holenderskiego ministra spraw zagranicznych.

Powyższe uchwały w przedmiocie konferencyi hagskiej, należą do najsłabszych uchwał Unii interparlamentarnej. Należałoby przypuszczać, iż Unia przyjmując za punkt wyjścia uchwały hagskie,

poweźmie uchwały co do tego jak dalej sprawę pokoju prowadzić należy, jakie nowe instytucje dające rękojmię trwałości pokoju do życia powołać należy. To się nie stało, natomiast uchwały Unii ograniczają się do zaznaczenia ważności niektórych postanowień konferencji hagskiej,¹ i wyrażenia nadziei że postanowienia te w interesie sprawy pokoju, będą przestrzegane. Ani jedna nowa myśl w sprawie pacyfikacji świata przez Unią wypowiedziana nie została, tak że do postępu spraw którymi się konferencja hagska zajmowała, Unia się nie przyczyniła.

Niektóre postanowienia Unii dotyczą w tych kwestiach rzeczy drugorzędnych, a nie pierwszorzędnych. Tak np. gdy wybuchła wojna w południowej Afryce wbrew wyraźnym postanowieniom Konw. hagskiej co do środków które zastowane być powinny dla zapobieżenia wojnie, Unia uchwaliła żądać: ażeby konw. hagskie były uznane za otwarte, tak, żeby wszystkie państwa które w ich zawarciu udziału nie brały, przystąpić do nich mogły, zamiast domagać się ażeby, choć państwa południowej Afryki na konferencji w Hadze reprezentowane nie były, uchwały hagskie do ich wojny znalazły zastosowanie. Tego duch tych ostatnich uchwał się domagał, bo przecież one nie w innym celu zostały powzięte, jak tylko ażeby pokój w całym świecie utrwalić, a nie specjalnie między pewnemi tylko państwami. Z drugiej strony, mamy w praktyce międzynarodowej przykłady, że pewne reguły niemające mocy prawa, są jednak przez państwa ad hoc dla załatwienia pewnej sprawy, na pewien czas przyjmowane. Deklaracja brukselska z 1874 r. ogarniająca prawo wojny lądowej, nie miała mocy obowiązującej, a jednak w późniejszych wojnach bywała przez strony walczące za *modus vivendi* przyjmowana. Błąd swój naprawiła Unia na późniejszem swem posiedzeniu, wyrażając żal, że w wojnie południowo-afrykańskiej uchwały hagskie nie znalazły zastosowania.

Żądanie Unii, ażeby organizacja sądu polubownego w myśl uchwał hagskich (art. 20), zbliżała się do organizacji stałego sądu polubownego, jest dowodem nie liczenia się Unii dostatecznie z warunkami bytu międzynarodowego związku państw, w którym stały trybunał, zorganizowany jak zwykły stały sąd cywilny jest przecież niemożliwym.

¹ Fried, Handbuch d. Friedensbewegung, Wien 1905. Dr Kolben, Wahrheit u. Klarheit über die Hager Friedenskonferenz. Berlin 1900.

Najważniejsze uchwały Unii co do konferencji hagskiej, powzięte zostały na jej posiedzeniach w Paryżu i w Wiedniu. Domaganie się Unii, ażeby państwa w myśl art. 17, 19 i 27 konw. o pok. załatwianiu sporów międzynar. zawierały specjalne traktaty co do arbitrażu w sporach już wynikłych lub w przyszłości wyniknąć mogących, ażeby państwa w razie grożącego sporu przypominały stronom interesowanym trybunał polubowny w Hadze, i dla wspólnej pod tym względem akcji porozumiewały się z sobą — to są uchwały bardzo doniosłego znaczenia, trafiają w rdzeń uchwał hagskich. i jeśli będą wykonane, sprawie pokoju mogą wielkie oddać usługi. Wezwanie państw do stosowania uchwał hagskich do państw w Hadze nie reprezentowanych odpowiada duchowi konferencji pokojowej i jest zupełnie słusznem a liberalnem tłumaczeniem jej postanowień.

Zasługą jest także Unii żądanie nowej konferencji w Hadze, a za szczególnie trafne uważać należy na posiedzeniu Unii w Paryżu zrobione wezwanie posłów, ażeby wpływali na swe rządy, w celu doprowadzenia do ścisłego wykonywania i dalszego rozwoju uchwał hagskich.

12. Uchwały konferencji interparlamentarnej odnoszące się do członków Unii.

Unia interparlamentarna niejednokrotnie wyrażała wezwania do swych członków, które są ważne dla tego, że określają sposoby wykonywania uchwał zasadniczych przez Unią powziętych.

Konferencya peszteńska (1896 r.) wzywała posłów aby oni w parlamencie, na zebraniach publicznych, w publikacjach literackich i naukowych, oraz w memoryałach wniesionych do rządu, propagowali uchwały Unii, aby im zapewnić popularność.

Konferencya paryska (1900 r.) wzywała swych członków, 1) żeby wpływali na rządy aby te zawierały traktaty rozjemcze, a co najmniej, aby w traktatach klauzule rozjemcze zamieszczano, 2) aby przypominali rządowi ich obowiązki płynące z uchwał hagskich (1899 r.), 3) aby tworzyli organizację prasy w swych krajach, dla sprawy pokoju, 4) aby członkowie grup byli silnie zorganizowani i przed uchwaleniem budżetu ministerstwa spraw zagranicznych, odbywali narady. w sprawie poparcia celów Unii.

Na konferencji wreszcie w S-t. Louis (1904 r.) zalecano usilnie posłom, by jako członkowie Unii postępowali w sprawie pokoju solidarnie, bez względu na stronnictwa do którego należą.

VIII. Działalność Unii w r. 1910 i 1911.

1. Konferencja brukselska w r. 1910.

Obrady tej konferencji, trwały od 29 sierpnia do 2 września¹. Najważniejsze przedmioty jej obrad, dotyczyły zmiany statutów Unii,² a nadto następujących kwestyi:

1) Unia zajęła przedewszystkiem stanowisko w sprawie zwołania III konferencji hagskiej,³ uznając zasadniczo wielką doniosłość prac kodyfikacyjnych co do prawa narodów I i II konferencji, tudzież konieczność ich dalszego ciągu, Unia przyłączyła się do ogólnych żądań cywilizowanego świata, ażeby reprezentanci państw zasiedli po raz 3-ci do pracy wspólnej nad unormowaniem reguł prawa co do najżywotniejszych kwestyj obecnej chwili. Droga jednak, którą Unia obrała do tego celu, jest niezwykłą. Unii nie szło o podjęcie inicjatywy w zwołaniu 3-ej konferencji hagskiej, ale raczej o przygotowanie i zebranie materyałów do jej obrad. Z tego powodu Unia wezwała wszystkie rządy, aby każdy z nich utworzył w swem państwie komisję, która w ciągu dwóch lat przedstawi swemu parlamentowi sprawozdanie z czynności dokonanych, tak, aby III konf. hagska w 1915 r. mogła być zwołaną. Członkowie zaś Unii zostali wezwani, o uwiadomienie o tej uchwale swój rząd i parlament i dołożyli starań ażeby zwołanie wymienionej konferencji nie uległo zwłoce.

Uchwała ta została powziętą na wniosek posła amerykańskiego Richarda Bertholdta.

2) Poseł do niemieckiego Reichstagu Pachnicke uczynił wniosek o uznanie cieśnin morskich za neutralne. Kanały wszakże na terytorjum jednego państwa położone, np. Kaiser Wilhelm kanal, nie mają być zneutralizowane.

Dla przestudowania tej kwestyi, wybrano komisję. Co zaś

¹ Listę uczestników podaje: XVI Conférence Interparlementaire. Bruxelles 1910.

² Union Interparlementaire. Statuts et réglemens. (Revision de 1910). Bruxelles 1910.

³ Union Interparlementaire. Préparation du programme de la 3 Conférence de la Haye 1910.

do kanałów w jednym państwie wybudowanych, amerykański generał Wavren-Kaifer oświadczył imieniem rządu Stanów Zjednoczonych, że kanał Panama po wykończeniu będzie do międzynarodowego użytku oddany.

3) Najgłówniejsza część obrad Unii, była poświęconą prawu morskemu.¹

Skondyfikowanie prawa morskiego, zrobiło w ostatnich czasach bardzo znaczne postępy.

Już na drugiej konferencji hagskiej, dla rozstrzygnięcia kwestyj dotyczących zdobyczy na morzu, postanowiono utworzyć sąd międzynarodowy (Prisengerichthof), mający rozstrzygać w drugiej instancji od orzeczeń sądów krajowych, a nadto uchwalono organizację tego sądu i postępowanie (procedurę).

W następnym roku, tj. 1909 zebrała się w Londynie konferencja dla prawa morskiego.

Wynikiem obrad tej konferencji była deklaracja z 26 lutego 1909 r. ogarniająca znaczną ilość skodyfikowanych materij z prawa morskiego (blokada, kontrabanda i i.).

Ta deklaracja co do prawa morskiego była przedmiotem rozpraw w Unii interparlamentarnej.

Ostatecznie uchwalono:

1) ażeby na przyszłych konferencyach wprowadzono do prawa morskiego zasadę zupełnej nietykalności własności prywatnej na morzu,

2) ażeby dekl. londyńska była zmienioną w ten sposób, ażeby blokada była ograniczoną tylko na porty wojenne,

3) ażeby ze względu na swobodę handlu pojęcie kontrabandy zostało bardziej ograniczonem.

W związku z deklaracją morską uchwaloną w Londynie, zajmowanemu się wnioskiem Knox'a, amerykańskiego sekretarza państwa, który w piśmie z 18 października 1909 r. proponował, ażeby sądowi ustanowionemu na 2 hagskiej konferencji dla spraw dotyczących zdobyczy morskiej (Prisengerichtskhof), przyznane były atrybucje sądu polubownego istniejącego w Hadze (Schiedsgerichtshof), ewentualnie, jeżeli nie dla wszelkich to przynajmniej dla mniej-

¹ Documents interparlementaires. Bruxelles 1911 nr. IV. Lange, Note sur la Conference navale de Londres. Union Interparlem. F. E. Smith, La neutralisation du Commerce maritime. Bruxelles 1910.

szych sporów. Oba te wnioski Knoxa w Unii nie znalazły poparcia, i słusznie. Sąd złożony z sędziów mianowanych, nie może być postawionym na równi z sądami polubownymi, utworzonymi przez wybór i zaufanie stron; sąd oparty na ustawie, nie może zastąpić sądu opartego na kompromisie stron.

Ostatecznie tedy Unia uchwaliła zalecić państwowom do przyjęcia uchwały co do sądu międzynarodowego dla zdobyczy morskiej, bez uzupełniających uwag Knoxa.

4) Ostatnia wreszcie sprawa, nad którą się w Unii zastanawiano, była sprawa przemiany Unii. na międzynarodowy parlament (Intern. parlam.). Miałoby się to stać w ten sposób, żeby w obradach unii nie brali udziału wszyscy członkowie grup narodowych, ale tylko przez nich wybrani posłowie.

Wniosek ten nie został ostatecznie w Brukseli uchwalony, ponieważ nie znaleziono klucza, podług którego grupy narodowe wybierałyby do tego międzynarodowego parlamentu.

Uchwały konferencji brukselskiej zostały ostatecznie ujęte w VIII następujących rezolucyj¹.

I.

Zważywszy, że przez konwencję zawartą 23 lipca 1881 między rządem Argentyny a Chili, neutralność przyznana została dla cieśniny Magellońskiej, przez konwencję zawartą w Konstantynopolu 29 października 1888 ten sam charakter został przyznany dla kanału Suezkiego, a przez anglo-amerykańską konwencję z 18 listopada 1901 r. dla kanału panamskiego;

Zważywszy dalej, że w interesie utrzymania pokoju i ułatwienia międzynarodowych komunikacji, byłoby pożądanem zapewnić powyższe prawa dla wszelkich cieśnin i kanałów łączących oceany, XVI konferencya interparlamentarna wzywa swą Radę (Conseil) do utworzenia komisji, któraby zrobiła studia nad tą kwestyą. Każda grupa mająca w tej sprawie interes, może być w tej komisji reprezentowaną przez jednego członka.

Komisją ogłosiła drukiem i rozdzieliła swe sprawozdanie w czasie stosownym, przed jedną z przyszłych konferencji.

¹ Union Interparlementaire. 17^e Conférence. Bruxelles.

II.

XVI konferencja interparlamentarna, uznając wielką doniosłość zebrenia praw i zwyczajów co do wojny morskiej, jak to uczyniono w deklaracji londyńskiej z 26 lutego 1909 r. zwłaszcza dla dobrego funkcjonowania międzynarodowego trybunału przyzowego, przewidzianego przez konwencję hagską z 18 października 1907 r., poleca ratyfikację deklaracji londyńskiej i przystąpienie do niej tych państw, które nie brały udziału w jej ułożeniu.

III.

Konferencja zaleca również ratyfikację w najkrótszym czasie konwencji z 18 października 1907 dla wprowadzenia w życie międzynarodowego trybunału przyzowego.

IV.

Zgodnie z uchwałami poprzednich konferencji, XVI konferencja interparlamentarna wyraża życzenie, ażeby III konferencja hagska uznała następujące zasady w sprawie wojny morskiej:

- a) zniesienie prawa łupu;
- b) ograniczenie prawa blokady tylko do portów wojennych lub miejsc ufortyfikowanych;
- c) ograniczenie charakteru kontrabandy wojennej do broni, amunicji i innych zapasów wojennych, przeznaczonych dla jednej ze stron należących;
- d) zabronienie niszczenia okrętów. wiozących kontrabandę wojenną, i towarów nie stanowiących kontrabandy.

Konferencja XVI obstaruje przedewszystkiem przy pierwszym z tych życzeń, i wzywa grupę angielską, francuską i rosyjską, aby starały się pozyskać dla tej sprawy swe rządy, konferencja wzywa nadto radę interparlamentarną (Conseil), ażeby ustanowiła komisję, któraby wypracowała projekt międzynarodowej konwencji, zmieniający powyższych kwestyach deklarację londyńską.

Projekt ten ma być przedstawiony na jednej z najbliższych konferencji interparlamentarnych.

V.

Zważywszy, że deklaracja morska w Londynie, z 26 lutego 1909 r. została wypracowaną przez ograniczoną ilość państw, które na tę konferencję zostały zaproszone;

Zważywszy, że jest rzeczą sprawiedliwą i bardzo doniosłą, ażeby wszystkie państwa brały przez swych delegatów udział w obradach nad określeniem przepisów prawa narodów, XVI konferencya interparlamentarna zgodnie z uchwałami poprzednich konferencyj, wyraża życzenie, ażeby na przyszłość wszystkie państwa cywilizowane były zapraszane na podobne jak londyńska konferencye międzynarodowe.

VI.

Zważywszy, że rosnąca ciągle liczba członków Unii, może doprowadzić do tego, iż okaże się koniecznem, ażeby w posiedzeniach Unii brali udział w przyszłości tylko delegaci grup, XVI konferencya interparlamentarna poleca swej komisji reorganizacyjnej przygotowanie wniosków w tym duchu. Konferencya poleca jej nadto zbadać kwestyi udziału różnych grup parlamentarnych w pracach Unii.

Wnioski w tych kwestiach będą przedstawione na jednej z następnych konferencyj.

VII.

XVI konferencya interparlamentarna, zaprasza wszystkie rządy i parlamenty w Unii reprezentowane, aby przystąpiły do utworzenia komisji narodowych, na wzór tej, którą w ostatnich czasach utworzył kongres Stanów Zjednoczonych. Każda z tych komisji powinna przedstawić sprawozdanie swemu parlamentowi w sprawie zebrania się III międzynarodowej konferencyi w Hadze.

Biuro międzyparlamentarne (t. j. biuro unii interparlamentarnej) jest obowiązane przedstawić niniejsze życzenie oficjalnie wszystkim rządów, a delegaci na konferencję, tu zebrani, są wezwani, aby wykorzystali ich wpływ osobisty dla skutecznego poparcia tej sprawy.

VIII.

XVI konferencya interparlamentarna wyraża życzenie, aby biuro hagskie każdego roku publikowało tekst traktatów w sprawie

sądów rozjemczych (d'arbitrage), zawartych między państwami, które obie konwencje z r. 1899 i 1907 podpisały (o pokojowym rozstrzyganiu sporów międzynarodowych) i aby ich rządy zakomunikowały te traktaty swym parlamentom.

Na posiedzeniu konferencji bruxelskiej (1910) wygłosiłem (w d. 1 września) następującą mowę: O znaczeniu kongresów dla sprawy pokoju:

Niedawne to czasy, kiedy rozstrzyganie sporów państw, nie za pomocą oręża, ale przez sądy, za pium desiderium uważano.

Instytucja sądów polubownych w sporach państw jest wprawdzie starą prawie jak świat. Spotykamy ją u narodów, które stały u kolebki cywilizacji ludzkości. Ludy starożytne, nie tylko klasyczne, t. j. Grecy i Rzymianie, ją znali, ale nawet ludy orientalne mają w swej prastarej historii wspomnienia, że pewne ich spory polityczne były przez sądy rozstrzygane.

W wiekach średnich papieże, niekiedy jako mężowie zaufania świeckich monarchów, najczęściej zaś z mocy swego wysokiego urzędu kościelnego, jako głowy kościoła, jako reprezentanci władzy boskiej, stojącej ponad władzą świecką, spory państw rozstrzygali. W czasach nowszych historia wykazuje nam już od XVII wieku szereg wypadków, w których sąd w sporach międzynarodowych sprawowały zwykle trybunały, kapituły, fakultety prawne uniwersytetów.

Wszystko to jednak były wypadki odosobnione, to nie był system załatwiania sporów państw, a nadewszystko te rozstrzygania w drodze polubownej nie były instytucją prawną. One nie były oparte na prawie narodów i nie były uważane za instytucję, z prawnej istoty międzynarodowego związku państw wynikającą. W danym wypadku chciano wojny uniknąć i oddawano spór sądowi; ale żadne prawo nie uważało rozprawy sądowej za obowiązek państw, i nie było przepisów prawnych do działalności tych sądów się odnoszących. Było pozostawionem cywilizacji naszej epoki wielkie to zadanie rozwiązać.

Instytut prawa narodów, który pod powagą najznakomitszych znawców tego prawa wypracowuje niestrudzenie projekta norm prawnych dla dzisiejszych międzynarodowych stosunków, na posiedzeniu swem w Hadze w r. 1877 wypracował projekt procedury dla sądów polubownych, ale projekt ten mocy prawa nie uzyskał.

Dopiero konwencja o polubownem rozstrzyganiu sporów międzynarodowych na 1-ej konferencji pokojowej w Hadze uchwalona

w r. 1899 i prawie przez wszystkie państwa świata przyjęta, stworzyła instytucję sądów polubownych w sporach międzynarodowych jako środek prawny, przez prawo uregulowany i z istoty prawnego związku państw wynikający.

Druga konferencya pokojowa z r. 1907, wielki gmach tej instytucji, zapewniającej tryumf prawa nad przemocą oręża, uzupełniła, nie zmieniając jego istoty.

I od tej pory widzimy bardzo interesujące zjawisko: instytucja ta, którą jeszcze w połowie zeszłego stulecia uważano za marzenie idealistów, odrazu wzięła się w stosunki świata i stała się istotną składową częścią międzynarodowego związku państw.

Znać, że była ona w duchu czasu, że potrzebę jej uznawał świat cały, skoro odrazu zyskała ona w nim obywatelstwo.

Liczne państwa zawarły traktaty, zapewniające, że wszelkie między nimi wyniknąć mogące spory, będą tylko drogą polubowną rozstrzygane. Wiele państw innych w traktatach zastrzega, że wszelkie z tych traktatów wynikłe spory będą sądom przekazane, mnóstwo zaś wielkich i pierwszorzędnych mocarstw, bez tych poprzednich zobowiązań, nowo wybuchłe i dawno się ciągnące spory sądom przekazuje.

Najlepszym tego dowodem jest niedawno odbyty sąd w Hadze, dla rozstrzygnięcia sporu Anglii z Stanami Zjednoczonymi północnej Ameryki, o bardzo ważne prawo rybołówstwa.

Niektóre państwa już cały szereg swych spornych interesów tą drogą załatwiły. To tylko dowodzi zaufania ich do instytucji sądów międzynarodowych. Są wreszcie pewne jednostki, pierwszorzędni specjaliści w prawie narodów, którzy niemal ciągle godność sędziów międzynarodowych piastują (Lammasch, Beernaert i i.).

Wielki to tryumf dla idei pacyfizmu naszego wieku i wielka nadzieja na przyszłość, że międzynarodowy związek państw stanie się związkiem praworządnym, że panowanie samowoli monarchów, mężów stanu i dyplomatów coraz więcej ustępować będzie przed prawem i wymiarem sprawiedliwości.

Dla sprawy pacyfizmu nie wystarcza jednak samo funkcjonowanie sądów. Należy przyczyny sporów międzynarodowych usunąć. Przyczyny te są bardzo rozmaite. Wywołują je względy polityczne, dyplomatyczne, rywalizacya monarchów i dyplomatów, interpretacya traktatów i t. d., słowem bieżące sprawy codziennego życia państw. Ale prócz tego są sprawy różniące państwa, mające obecnie

stałą podstawę w ich dzisiejszej konfiguracji terytoryalnej. Dawne wojny XVIII i XIX-go stulecia, prowadzone w zaborczych celach, dowolnie ustalały granice państw, rozdzielając narody na części i cząsteczki, stąd odwieczne spory, pretensye i antagonizmy państw. Jeżeli w interesie utrzymania pokoju leży rozstrzygnięcie sporów drogą polubowną, to niemniej jest ważnem powody sporów wymienionych usuwać, bo one grożą ciągle zakłóceniem pokoju, wybuchem waśni, a przez sądy prawie zawsze załatwić się one nie dadzą, gdyż tu jest w grze honor i integralność terytoryum państw.

Do załatwienia takich spraw będących najgroźniejszym zarzewiem sporów, najodpowiedniejszym byłby kongres.

Dyplomaci, reprezentanci państw, a nawet monarchowie osobiście powinni się zbierać od czasu do czasu, dla rozważenia spraw bieżącej polityki i załatwienia ich za wspólnem porozumieniem pokojowo.

Kongres taki mógłby tworzyć składową część pokojowej konferencji w Hadze. Część dyplomatów załatwiałaby to co dotąd — zadania ciała prawodawczego, które określa normy prawa narodów; część zaś ukonstytuować by się mogła jako kongres, obradujący nad sprawami bieżącej polityki.

Ileż szczęścia spłynęłoby z tych urządzeń na ludzkość! Wielkiej wagi sprawa organizacji międzynarodowego związku państw zrobiłaby ważny krok naprzód. Kodyfikowanie prawa narodów przez konferencyę pokojową w Hadze, odpowiada rzeczywistej potrzebie naszej epoki. Usiłowanie rozwiązania najpilniejszych spraw bieżącej polityki świata za wspólnem porozumieniem reprezentantów państw na kongresie lub konferencji, byłoby usunięciem podstawy do najważniejszych sporów państw i uwieńczeniem wielkiej akcji naszego stulecia dla utrwalenia pokoju na świecie.

Oby najbliższa przyszłość przyniosła nam i tę zmianę w wielkiem społeczeństwie narodów!

2. Konferencya zapowiedziana w Rzymie 1911 r. Wojna włosko-turecka.

Rok 1911 był dla unii interparlamentarnej bardzo niepomyślnym¹. Z powodu złego zbiegu okoliczności, Unia nie była w stanie odbyć dorocznego zgromadzenia wszystkich swych członków (Confé-

¹ Fried, Der Weg zum Weltfrieden im J. 1910. Berlin.

rence), a wreszcie w jesieni tego roku wybuchła wojna włosko-turecka.

Postanowieniem Rady Unii (Conseil) z 8 kwietnia 1911 r. powziętem w Bruxeli, konferencya zwołana została na pierwsze dni października do Rzymu. Zarząd Unii przywiązywał do tej konferencyi wielką wagę i oczekiwał jej odbycia z niecierpliwością. Na porządku dziennym tej konferencyi były b. ważne kwestye. Oprócz drobnej zmiany statutu Unii, kwestya obowiązkowego sądu polubownego, kwestya organizacji pośrednictwa między państwami, sprawa ciężarów militarnych w armiach lądowych i morskich, sprawa używania balonów i aeroplanów do celów wojennych, sprawa utworzenia stałego organu w związku z międzynarodowemi konferencyami pokoju, kwestya ratyfikacyi uchwał konferencyi hagskich i i.

Zapowiedziana konferencya w Rzymie, przedstawiała także wielki interes i z tego powodu, iż była daleko staranniej przygotowaną niż konferencye poprzednie. Referaty spraw wymienionych złożone były w ręce: pp. prof. Zorna, d'Estournelles de Constant, Beer-naert, Van Houten, Houzeau de Lehaie, Hr. Apponyi. Panowie ci wcześniej przedstawili swe referaty na piśmie, które członkom Unii zostały zakomunikowane, można więc było oczekiwać bardzo gruntownych obrad i uchwał konferencyi.

Z powodu panującej w r. 1911 we Włoszech cholery, konferencya do Rzymu zwołana musiała być odwołana. Stało się to cyrkularzem prezydium Unii, w połowie września 1911 r.

Wojna włosko-turecka była przewidywaną. Mówiono i pisano o niej, jako o rzeczy prawdopodobnej, a podczas okupacyi Bośni i Herzogowiny mówiono o ponownem porozumieniu Austro-Węgier z Włochami co do tego, jak się Włochy zachowają podczas okupacyi Bośni, a jak Austria podczas okupacyi Trypolisu. Tylko nikt nie przewidywał rozpoczęcia wojny, w chwili gdy to się stało. Było to zrobione tak nagle, że zrobiło ogólnie wrażenie nie wypowiedzenia wojny pomiędzy cywilizowanemi państwami, ale raczej brutalnego napadu Włoch na Turcyę.

Dla unii interparlamentarnej, będącej niewątpliwie najwybitniejszą przedstawicielką dzisiejszych tendencyj państw i narodów do utrzymania pokoju, wybuch wojny i do tego w tej formie jak się to stało, był rzeczywistym ciosem. Przeciwnicy idei pokoju szyderczo głosili zwycięstwo swych opinii, a zwolennicy pokoju musieli przyznać, że rezultaty przez nich dotąd osiągnięte nie są dostateczne,

aby wojnę powstrzymać nawet tam, gdzie ona nie była konieczną, a nadto że uchwały obu konferencyi hagskich z 1899 i 1907 nie mają dotąd należytej powagi w Związku międzynarodowym, skoro nie tylko państwa w sporze będące, t. j. Włochy i Turcja, ale nawet żadne z państw obu półkuli do nich się nie zastosowało.

Poza tem że konferencya unii z powodu cholery we Włoszech, w Rzymie odbyć się nie mogła, odbycie jej na ziemi włoskiej z powodu wybuchłej wojny, było niepodobieństwem. Czy nie byłoby najwyższą ironią, ażeby uczeni mężowie stanu, przedstawiciele ekonomicznej pracy radzili nad utrzymaniem pokoju w państwie, które bez usprawiedliwienia wysła swą armię, dla wykonania napadu na Turcję, która nikomu nie zagraża, przeciwko napaści Włoch bezustannie do opinii publicznej świata apeluje, i żąda przedewszystkiem aby rzeź obu armii ustała.

Po ustaniu wojny przyjdzie czas, kiedy opinia publiczna uzna, że czyny gwałtu i podeptanie praw, w określeniu których w Hadze państwo włoskie przez swych przedstawicieli w r. 1899 i 1907 udział brało, nie dowodzi, ażeby idea pokoju, którą chlubi się wiek XX, nie była słuszną i dla postępu cywilizacji konieczną, ale dokąd grają armaty, mówić o utrzymaniu pokoju, nie byłoby rzeczą stosowną.

Inne czynności Unii, mimo chwilowego sparaliżowania jej akcyi przez wojnę, prowadzone były prawidłowo i z wielką usilnością. Komitet wykonawczy (*Comité exécutif*) odbył w ciągu 1911 r. trzy posiedzenia (4 lut., 8 kwiet. w Bruxeli, 4 paździer. w Paryżu), a Rada (*Conseil*) dwa posiedzenia: 8 kwietnia w Bruxeli i 4 października w Paryżu.

3. Posiedzenia Rady w Bruxeli i w Paryżu.

Zebranie Rady w kwietniu, miało za główne zadanie oznaczyć czas i miejsce XVII konferencyi, a nadto ustalić porządek dzienny jej obrad. Oznaczono Rzym.

Gdy w skutek cholery zjazd w Rzymie został odwołany, Rada zebrana w Paryżu miała zadanie oznaczyć czas i miejsce XVII konferencyi w 1912 r. Rada jednak przedewszystkiem uznała, że wskutek toczącej się wojny, nie może w sprawie tejże konferencyi powziąć żadnej uchwały.

Natomiast Rada wypowiedziała swe zdanie o toczącej się wojnie.

Zdanie to brzmi dosłownie:¹

»Fidèle aux idées hautement pacifiques qui forment le programme de l'Union, qui sont sa raison d'être, et dont elle restera plus que jamais le champion, le Conseil croit devoir exprimer le vif regret qu'il ait été tenu si peu compte de l'esprit de paix et de justice qui a animé les deux Conférences de la Haye, et que la déclaration de guerre ait été rapide au point d'écarter jusqu'à la possibilité d'une entente ou d'une intervention au sens des articles 3 et 48 de la Convention du 16 Octobre 1907. Le conseil exprime le regret que les démarches qui auraient été faites par certaines Puissances, interposant leurs bons offices, aient été, jusqu'à présent, infructueuses....

Inne uchwały powzięte w Paryżu, były administracyjnej i formalnej natury.

Uchwalono budżet na r. 1912. a hr. Apponyi zgłosił wniosek do uchwalenia przez konferencyę: ażeby uchwały obu konferencyj hagskich (z 1899 i 1907 r.) były przez parlamenty zatwierdzone i w dziennikach ustaw państwa ogłoszone².

Powyższa uchwała Rady, kończy się wezwaniem grup Unii, ażeby użyły całego swego wpływu na rządy, ażeby dołożyły starań aby obecna włosko-turecka wojna została jak najprędzej zakończoną. Zadanie to zostało wykonanem w parlamentach: francuzkim, węgierskim, tureckim, niemieckim, angielskim, belgijskim i rosyjskim. Zlecenie to zostało popartem przez odezwę grupy tureckiej, wystosowaną do wszystkich innych grup, depeszami z 18 paźdz. 1911 r.³

Depesze te brzmiały: Confiant dans l'efficacité des principes de justice et de paix entre nations qui constituent la base de l'Union interparlementaire, le groupe parlementaire ottoman croit de son devoir de faire appel aux sentiments humanitaires qui animent votre groupe, vous priant d'interposer vos bons offices auprès de votre gouvernement vis-à-vis de l'agression italienne. Il fait cette démarche en conformité de la résolution du Conseil interparlementaire à Paris et vous remercie d'avance pour toutes les démarches qui seront faites dans l'intérêt du triomphe du droit sur la force.

Takiej samej treści odezwę p. Bustany wystosował do zarządu Unii interparlamentarnej, na ręce jej generalnego sekretarza p. Lange.

¹ Procès verbaux du Conseil interparlementaire IV, str. 16.

² Procès-verbaux du Conseil interparlementaire p. 7.

³ Documents Interparl. Nr. 7 str. 12.

4. Starania członków Unii w sprawie zakończenia wojny włosko-tureckiej.

Rezultat starań uczynionych w tej sprawie przez grupy pojedyncze, był następujący:

W drugiej depeszy, wysłanej przez p. Bustany w d. 11 listop. 1911 r. w imieniu grupy parlamentu tureckiego do wszystkich innych grup Unii¹, stwierdza on wielkie naruszenia prawa narodów przez armię włoską. »L'armée italienne, mówi on, se livre en Tripolitaine, province intégrante de l'Empire ottoman que l'Italie a envahie contrairement aux traités et aux principes du droit international, à des actes incompatibles avec les lois de la civilisation et de l'humanité; elle retient comme prisonniers de guerre des non-combattants et même des élèves. Elle massacre et fait passer par les armes, sans pitié aucune, les défenseurs volontaires du pays qu'elle considère comme des rebelles à l'encontre des deux conventions de la Haye, d'après les dispositions desquelles les volontaires en armes devraient, en tant que combattants, jouir des mêmes droits que les militaires. La vie des femmes, des vieillards, des enfants n'est également pas respectée, et l'on s'attaque même à des particuliers en prière dans les mosquées, foulant ainsi aux pieds tous sentiments religieux. En présence de ces faits, le parlement ottoman croit devoir appeler votre bienveillante et amicale attention sur les actes inqualifiables dont il s'agit, et proteste formellement par-devant l'Univers civilisé, vous priant de porter sa protestation à la connaissance de l'honorable assemblée dont vous faites partie.

Imieniem grupy parlamentarnej francuzkiej, jej prezes p. d'Estournelles de Constant wystosował 1 października 1911 r. a więc przed uchwałą Conseil, pismo do ówczesnego prezydenta Rady ministrów p. Caillaux. w którym, zwracając jego uwagę na to, iż wojna włosko-turecka, ze względu na trudności terenu i klimatu, może mieć dla Włoch rujnujące następstwa, zapytuje, czy rząd francuzki, nie uchybiając swym dyplomatycznym zobowiązaniom względem Włoch, i nie schodząc ze stanowiska przyjaźni w stosunku do tego państwa, przeciwnie zarówno w interesie Włoch jak i Turcyi, a nadto powszechnego pokoju, nie mógłby ofiarować obu państwom walczącym swych usług przyjacielskich, w duchu konwencyi hagskiej z 18 paźdz. 1907 r. (O pokojowym załatwianiu

¹ Documents interp. nr. 7 str. 15.

sporów międzynarodowych, Tyt. II O usługach przyjacielskich i pośrednictwie).

Członkowie ciała prawodawczego i senatu, działając już w myśl uchwały rady interparlamentarnej, w tym samym duchu ustnie i na piśmie zwracali się do rządu, ale ze strony gabinetu p. Caillaux żadnej nie uzyskali odpowiedzi.

Rząd niemiecki odpowiedział prezesowi grupy niemieckiej p. Eickhoffowi, że on już myślał o tem, ażeby przyczynić się ile możliwości do zlokalizowania sporu włosko-tureckiego, a nadto poczynić starania o prędkie zakończenie konfliktu.

Grupa belgijska uchwaliła następującą rezolucję:

»Konferencya Hagska z 29 lipca 1899 i z 18 paźdz. 1907 r. nakładają na państwa w sporze będące obowiązek, przed użyciem broni odwołać się do usług przyjacielskich i pośrednictwa jednego lub więcej państw zaprzyjaźnionych, a z drugiej strony, te ostatnie mają prawo interweniowania w tym duchu nawet podczas trwania kroków nieprzyjacielskich, a tego rodzaju interwencya nie może być uważaną za akt mało przyjacielski.

Belgijska grupa unii interparlamentarnej ubolewa, że szybkość z jaką akcyja nieprzyjacielska skierowaną została przez rząd włoski przeciwko Turcyi, uczyniła niemożliwem próbowanie przedtem interwencyi, i wyraża życzenie, ażeby rząd belgijski mógł należeć do wszelkich zbiorowych pośrednictw, które mogą się wytworzyć, dla ustalenia pokoju między państwami zwaśnionemi, zgodnie z prawem i sprawiedliwością. Grupa belgijska ubolewa nad popełnieniem czynów przeciwnych uczuciom ludzkości i konwencyom hagskim.

W końcu grupa belgijska wyraża nadzieję, że rola militarna awiatyki, na przyszłej konferencyi hagskiej będzie gruntownie zbada-
daną, ze stanowiska zasad ludzkości«.

Rezolucya ta została 23 listopada 1911 r. wręczoną prezydentowi rządu, baronowi de Broqueville, i ministrowi spraw zagranicznych, p. Davignon.

Rząd zapewnił, że z całą sympatją i bezstronnością zbada życzenia powyższe.

Działanie rządu musi być w granicach neutralności państwa. Belgii najwięcej zależy na poszanowaniu prawa narodów, i powita ona serdecznie przywrócenie pokoju.

Grupa członków rosyjskiej dумы poleciła swemu prezydum, odnieść się do ministra spraw zagranicznych z żądaniem, aby sko-

rzyszał z pierwszej okazji sprzyjającej, aby spowodować nowe przyjacielskie pośrednictwo państw, aby położyć kres okropnościom wojny i zabezpieczyć pokój Europy.

W motywach powiedziano, iż członkowie dumy ubolewają, iż ze strony włoskiej popełniane bywają w obecnej wojnie czyny opłakane, mają oni jednak nadzieję, że na przyszłość obie strony postępować będą zgodnie z dzisiejszem prawem narodów. Posłowie rosyjscy ubolewają nadto, że dotąd usiłowania podjęte w duchu konwencji hagskich nie doprowadziły do przywrócenia pokoju. Mają oni jednak nadzieję, że te usiłowania będą wznowione w warunkach korzystniejszych.

Najpoważniejsza wymiana zdań w sprawie obecnej wojny, odbyła się w Izbie deputowanych węgierskiej, w d. 11 i 24 października 1911 r., wskutek interpelacji wniesionej przez hr. Apponyj.

Interpelacya ta odnosi się do dwóch kwestyj. Ponieważ konw. hagskie z 1899 i 1907 wymagają, aby przed wojną i w czasie jej trwania państwa neutralne przez pośrednictwo starały się o przywrócenie pokoju; a nadto ponieważ obecna wojna może naruszyć w dalszym jej przebiegu interesa naszego państwa, przeto hr. Apponyi postawił do rządu pytanie:

1) Czy przed wybuchem wojny włosko-tureckiej miało miejsce pośrednictwo ze strony państw neutralnych, czy Min. Spraw Zagr. austriacko-węg. monarchii brało w tem udział, i czy zechce kroki te wznowić obecnie;

2) Czy rząd jest zdania, że wojna obecna interesów naszej monarchii nie naruszy.

Na oba te pytania prezydent gabinetu hr. Khuen-Hedervary dał odpowiedź twierdzącą.

Co do 1) Rząd czynił od dawna przedstawienia w Konstantynopolu, aby żądania Włoch co do jego gospodarczych interesów w Tripolisie ze strony tureckiej nie lekceważono. Gdy jednak to nie odniosło skutku i Włochy postanowiły użycie siły, okazało się, iż rząd włoski nie życzy sobie żadnej interwencji. Rząd austro-węgierski czynił starania o zapewnienie pokoju, i uczyni to w chwili gdy będzie prawdopodobieństwo, iż to odniesie skutek.

Co do 2) iż rząd włoski będzie unikać rozszerzenia wojny na niekorzyść Austro-Węgier, a to oświadczenie zrobionem zostało w tak poważnej formie, iż trzeba było nabrać przekonania, iż to jest rzeczywistym jego postanowieniem

Z powyższego przedstawienia akcyi grup poselskich należących do unii interparlamentarnej w obec ich rządów, wynika:

1) Że rządy w wielu parlamentach albo nie dały posłom żadnych odpowiedzi, albo odpowiedzi te, jak w parlamencie węgierskim, były ogólnikowe, nie stanowcze, właściwie nic nie wyjaśniające. Z odpowiedzi hr. Khuena nie można się dowiedzieć kiedy i które rządy czyniły starania o przywrócenie pokoju, i całe twierdzenie premiera węgierskiego o tych staraniach stoi w sprzeczności z jego własnem twierdzeniem, iż rząd włoski okazał, iż wszelkiej interwencji państw obcych sobie nie życzy.

2) Uchwała Conseil Unii z 4/X 1911 r. jest trafną. Wyraża ona potępienie tego niezbitego faktu, iż zarówno rząd włoski postąpił wbrew uchwałom hagskim, jak i wszystkie państwa, z niewyjaśnionych dotąd powodów i dyplomatycznych tajnych konspiracyj, uchwał powyższych nie uszanowały.

3) Skoro tak, to okazuje się koniecznem, ażeby przyszła konferencya hagska obmyśliła takie urządzenia w związku międzynarodowym, któreby czuwały nad tem, aby niesłychanie w skutkach swoich ważny obowiązek państw neutralnych interweniowania w sprawie utrzymania pokoju, nie był jak dotąd martwą literą.

5. Prace w komisjach.

Choć w r. 1911 nie odbyło się posiedzenie unii interparlamentarnej zapowiedziane w Rzymie, za to pracowały prawie wszystkie jej komisye.

Komisya dla reorganizacyi unii, została wybraną jeszcze na sesyi w Bruxeli 1905 r. Komisya ta na posiedzeniu odbytem w d. 4 lutego 1911 r. w Bruxeli, uchwaliła pewne zmiany art. 1 i 3 statutu, które będą przedmiotem uchwał najbliższej konferencyi unii.

Komisya dla ograniczenia ciężarów wojennych w armii lądowej i morskiej, zebrała się 5 stycznia 1911 r. i uchwaliła wezwać rządy do studyowania tej kwestyi.

Komisya dla wniosku p. Richarda Bartholdta w Berlinie 1908 odbyła posiedzenie w Paryżu 3 października 1911 r. i uchwaliła prosić rządy, ażeby:

1) przy zawieraniu w przyszłości traktatów co do arbitrażu (t. j. co do używania w swych sporach sądów polubownych) ze-chciały w tych traktatach uznać wzajemnie ich narodową niepodle-

głość, niezależność ich terytoriów i ich absolutną udzielność w sprawach wewnętrznych.

2) Aby zechciały delegatom na 3 konferencję hagską dać polecenie, ażeby domagali się, żeby konferencja wymieniona zbierała się automatycznie w terminach z góry oznaczonych, tak, żeby nie było potrzeba troszczyć się o to, który rząd i kiedy zwoła nową konferencję.

Komisya dla sprawy neutralizacyi cieśnin i kanałów, odbyła 2 posiedzenia 3 i 4 paździer. 1911 r.

Prace nie zostały ukończone. Postawiono szereg pytań do rozwiązania tej kwestyi i ustalono zasady prawnicze do neutralizacyi¹.

Z powyższego przeglądu prac komisyjnych okazuje się, że najważniejsze były wyniki pracy komisyi co do wniosku Bertholdta w ustanowieniu terminu zebrań pokojowej konferencyi w Hadze. Konferencja ta stała się międzynarodową komisją dla kodyfikacyi prawa narodów. Zadanie to, tak pięknie zaczęte, powinno być prowadzonym dalej. Po dwóch sesjach konferencja ta zyskała ogólną sympatję i uznanie, i liczne a poważne dają się słyszeć głosy, ażeby konferencja wymieniona przekształconą została w stałą instytucję związku międzynarodowego. Uchwała komisyi wymienionej zdąża do tego celu.

Natomiast sprawa zmniejszenia ciężarów na wojsko i uzbrojenia, powinna tymczasowo zniknąć z porządku obrad kongresowych, gdyż nie ma w obecnej chwili żadnych warunków do jej przeprowadzenia w praktyce. Obrady 1-ej konferencyi hagskiej udowodniły to dostatecznie. Ciągłe wznowianie² tej wielkiej dla cywilizacyi sprawy, napróżno, tylko znaczenie jej obniża.

¹ Rapport du secrétaire général au Conseil Interparlementaire. Bruxelles 1912. Nr. 12.

Annuaire de l'Union interparlementaire. Bruxelles 1911 str. 31.

² Na posiedzeniu unii interparlamentarnej skandynawskiej, odbytem w Krystyanii 19 i 20 czerwca 1911 r. kwestya ograniczenia ciężarów wojennych na lądzie i morzu była na porządku dziennym (Nr. 2). Zebranie gorąco się za tem ograniczeniem oświadczało, w kwestyi zaś sposobu przeprowadzenia tej myśli, jeden z szwedzkich deputowanych postawił wniosek, aby małe państwa wzięły inicjatywę w załatwieniu tej sprawy. Wniosek ten został odesłany do Rady (Conseil) unii skandynawskiej. Annuaire str. 143. Rapport du secrétaire général au Conseil interparlementaire pour l'année 1911. Bruxelles 1912 str. 16.

Kwestya ograniczania ciężarów wojennych na lądzie i morzu, stanowi także punkt 5 porządku dziennego konferencyi interparlamentarnej, która ma się odbyć w r. b. Sprawozdawcą będzie p. d'Estournelles de Constant.

6. Układy członków Unii z rządami, o przygotowanie trzeciej konferencji pokojowej w Hadze.

Jedną z najwięcej interesujących stron działania Unii interparlamentarnej w r. 1911 były układy członków unii z rządami, o przygotowanie 3-ej konferencji pokojowej w Hadze. W staraniach tych na pierwszy plan wysuwa się kwestya zmniejszenia wydatków na uzbrojenia, czyli jak niektórzy mówią — choć zupełnie niewłaściwie — kwestyą rozbrojenia. Traktowanie tej sprawy jest bardzo ciekawem, ze względu na stanowisko rządów w obec niej¹.

W r. 1910 na konferencji interparlamentarnej w Bruxeli powzięto (7 rezolucya) następującą uchwałę: XVI konferencya interparlamentarna wzywa rządy i parlamenty w unii reprezentowane, aby przystąpiły do utworzenia komisyj (Commissions nationales), na podobieństwo komisji utworzonej przez kongres Stanów Zjednoczonych. Każda komisya ma złożyć sprawozdanie swemu parlamentowi w kwestyi zebrania się 3-ej konferencji międzynarodowej w Hadze.

Biuro interparlamentarne jest obowiązane przedstawić urzędowo to życzenie wszystkim rządóm, a uczestnicy konferencji tu zebrani mają obowiązek zużyć swój wpływ osobisty, aby zapewnić akcyę szybką i korzystną w tym przedmiocie².

W wykonaniu uchwały bruxelskiej, w Anglii, we Francyi, w Holandyi, w delegacyach austro-węgierskich i w Szwecyi posłowie interpelowali rządy w kwestyi zebrania się 3-ej konferencji pokojowej, w kwestyi przygotowania materiału do jej obrad, a przedewszystkiem co do postawienia na jej porządku dziennym sprawy rozbrojenia w powyżej przytoczonym znaczeniu.

Odpowiedzi rządów na te interpelacje były dla sprawy powstrzymania uzbrojeń b. niekorzystne. W zasadzie wszystkie rządy myśl tę uważały za szlachetną i dla kultury świata bardzo pożyteczną, ale za niedającą się urzeczywistnić w obecnych czasach.

I tak: w Anglii, która jest tak wielką zwolenniczką traktatów co do sądów polubownych w sporach państw, w odpowiedzi na interpelacyę w izbie gmin odpowiedział rząd: że z myślą rozbrojenia sympatyzuje, ale żadnych przyrzeczeń uczynić nie może.

¹ Documents interparlementaires. Bruxelles 1911 nr. 4, 5, 6.

² Annuaire str. 67.

Przyjdzie niewątpliwie dzień, w którym zbrojenia będą ograniczone, ale dziś o tem nie można myśleć. Do ogólnego pokoju jeszcze bardzo daleko. Stanie się to wtedy, gdy narody wzniosą się na znacznie wyższy szczebel kultury.

Anglia, mimo swych pomyślnych stosunków z obcymi państwami, musi utrzymać swą potęgę na morzu i mieć flotę, zdolną skutecznie stawić opór koalicji flot państw innych¹.

We Francji minister spraw zagranicznych Pichon oświadczył w Corps législatif, że jeżeli sprawa wstrzymania zbrojeń będzie na porządku 3 konferencji postawioną, rząd francuski sprzeciwiać się temu nie będzie. Ale, gdy w czasie debaty budżetowej, posłowie socjaliści postawili wniosek o przeprowadzenie rokowań Francji z Anglią i Niemcami w kwestyi rozbrojenia, p. Pichon wniosek ten zwalczał, i żądał wielkiego kredytu na budowę dwóch nowych okrętów wojennych. Akcja skierowana do ograniczenia zbrojeń jest, jego zdaniem, bez żadnych widoków powodzenia, a dla interesów kraju — niebezpieczną. Francya, zakończył p. Pichon, nie może się osłabiać, gdy inne państwa się zbroją.

Ciało prawodawcze we Francji znać zdanie to podziela, skoro Izba wniosek socjalistów odrzuciła, a przyjęła wniosek rządu².

W delegacyach austriackich (25 lutego 1911 r.) wyrażano życzenie, aby rząd użył wszelkich środków dla zapewnienia zmniejszenia wydatków na uzbrojenia. Ze strony zaś deputowanych węgierskich (21 lutego — 7 marca 1911 r.) wprost wezwano rząd, ażeby przez ministerstwo spraw zagranicznych poczynił przygotowania do 3 konferencji habskiej, a nadto podjął starania, ażeby na porządku dziennym tej konferencji postawioną była kwestya zmniejszenia uzbrojeń.

Minister prezydent węgierski oświadczył krótko, że zgadza się z postawioną rezolucją, jednak za jej wykonanie nie ręczy, zaś minister spraw zagranicznych hr. Aerenthal wyraził w delegacyach wspólnych sympatye dla sprawy ograniczenia zbrojeń, sądził jednak, iż do tego przysięby mogło dopiero wtedy, gdyby wszystkie państwa zgodziły się na to. Ponieważ horyzont polityczny świata każdej chwili może się zaciemnić, przeto nasza monarchia potrzebuje armii i floty gotowych do akcji. We wszystkich państwach widać brak

¹ Annuaire, str. 26. Osseg, Der europäische Militarismus. Amberg 1880.

² Annuaire, str. 25.

wiary w to, ażeby wkrótce mogło przyjść do redukcji uzbrojeń, przeciwnie wszędzie widzimy nowe zbrojenia nawet gorączkowo przedsiębrane. W Anglii żądano olbrzymich kredytów na okręty, a kongres waszyngtoński uchwalił ufortyfikować kanał Panama kosztem stu milionów dolarów, a odrzucono wniosek o uznanie tego kanału za neutralny. Widocznem z tego, że kongres waszyngtoński sam nie wierzy w możność przeprowadzania redukcji uzbrojeń.

Wielkie mocarstwa podtrzymują zbrojny pokój, bo on jest rękojmnią, iż nie będzie wojny, a z żądań rozbrojenia mało kto sobie coś robi. Te żądania nie prowadzą do niczego. Prawo mocniejszego ustało dziś wewnątrz państwa. Czas byłby, żeby ustało także w stosunkach państw. Będziemy więc pracować z innemi państwami nad zmniejszeniem uzbrojeń, o ile to będzie bez szkody dla naszego bezpieczeństwa¹.

W Holandyi poruszano sprawę zmniejszenia uzbrojeń podczas debaty budżetowej w r. 1911. Nie wchodzono jednak w meritum tej sprawy, ograniczono się do przedsięwzięcia przygotowań do 3-ej konferencji hagskiej. Rząd oświadczył, że komisij do tego zadania niema, ale że zamierza ją utworzyć.

Dyskusya nad sprawą zmniejszenia uzbrojeń w Szwecyi przedstawia wiele stron ciekawych. Minister spraw zagranicznych Br. Taube dawał bardzo otwarte i szczere wyjaśnienia, a nadto tam poruszono tę myśl, ażeby małe państwa w sprawie rozbrojenia wzięły inicjatywę. Br. Taube oświadczył, że badał usposobienie państw wielkich dla tej sprawy, i przyszedł do tego przekonania, iż niema prawie żadnej nadziei, ażeby się państwa te na to zgodziły. W obecnej chwili absolutnie nic w tym celu nie uczyniono, tak, że choć myśl sama jest piękna, to trzeba ją uważać w obecnych warunkach za niemożliwą do urzeczywistnienia. Dlatego oświadczył on: ponieważ przygotowanie do 3 konferencji hagskiej jest koniecznem, ażeby uniknąć tych trudności, które się okazały na 2 konferencji w r. 1907 z powodu nieprzygotowania materiału do obrad, przeto proponuję królowi powołanie do życia komisji, która z pominięciem sprawy rozbrojenia, wypracuje inne dla konferencji projekty.

Co się zaś tyczy żądania, ażeby małe państwa wzięły inicjatywę w sprawie rozbrojenia i przeprowadziły je u siebie, a nadto, ażeby w tej akcji rząd szwedecki stanął na czele, pan Br. Taube

¹ Annuaire str. 27.

z całą słuszością odpowiedział, że akcyja ta nie doprowadziłaby do żadnego rezultatu. Wielkie mocarstwa mimo to rozbrojenia nie przeprowadzą u siebie, a bez tego cel nie zostałby osiągnięty, małe zaś państwa nie mogą dla własnego bezpieczeństwa osłabiać swej potęgi, gdy wielkie państwa ją wzmacniają¹.

Przytoczyłem te oświadczenia rządów państw wielkich i małych, aby wykazać, że sprawa redukcji uzbrojeń dziś nie jest do przeprowadzenia. Ona nie da się zadekretować przez żaden akt międzynarodowy. Rozbrojenie przyjdzie kiedyś do skutku, ale tylko pod wpływem zmienionych warunków życia państw w związku międzynarodowym. Dziś, gdy dawne antagonizmy dynastyj i rządów istnieją w całej pełni, choć często są one upozorowane przyjaźnią państw i formalnie zawartymi przymierzami, dziś gdy stosunki państw, po szeregu dawnych zaborczych wojen, nie są uregulowane, i gdy w Europie niema jednego państwa na granicy którego nie byłoby sporów z sąsiednimi państwami o posiadanie terytoryalne, albo o niezależność polityczną ludów, które przez swą kulturę i przeszłość mają do tego niezaprzeczone prawo, — z tych i z innych powodów sprawa zredukowania uzbrojeń nie przedstawia żadnych widoków powodzenia. Można o niej mówić i pisać, jako o pięknym postulatcie przyszłości, można głosić światu ileby ludzkość pod względem kulturalnym zyskała z jej przeprowadzenia, ale jest błędem stawiać ją na porządku dziennym kongresów, bo pewny jej upadek, obniża powagę i osłabia kulturalne znaczenie samej idei zmniejszenia ciężarów zbrojnego pokoju.

7. Żądania Unii w kwestyi prawa morskiego.

W kwestyi prawa morskiego Unia Interparlamentarna oddawna liczne proponowała zmiany.

Na konferencji bruxelskiej uchwalono przedewszystkiem poczynić u rządów starania;

- a) o zniesienie prawa łupu,
- b) o ograniczenie prawa blokady tylko do portów wojennych lub miejsc ufortyfikowanych,
- c) o ograniczenie pojęcia kontrabandy wojennej tylko do broni, amunicyj i innych zapasów wojennych, przeznaczonych dla jednej ze stron walczących,

¹ Annuaire, str. 23 i 34.

d) o zabronienie niszczenia okrętów wiozących kontrabandę wojenną, oraz towarów nie stanowiących kontrabandy wojennej.

Szczególną wagę przywiązywała konferencja do zniesienia prawa łupu, i wezwała posłów angielskich, francuzkich i rosyjskich o poczynienie starań, aby ich rządy zasadę tę przyjęły.

W ciągu r. 1911 żądaniu temu uczynili zadość posłowie francuzcy i rosyjscy. Natomiast posłowie angielscy nie byli w stanie nic uczynić, a to dlatego, że w Anglii była (w 1911 r.) silna opozycja przeciwko ratyfikowaniu przez króla uchwał konferencji co do prawa morskiego odbytej w Londynie. Posłowie angielscy dokładali wszelkich starań, aby ratyfikacja nastąpiła, nie mogli więc jednocześnie robić starań o zmianę ważnego postanowienia uchwał londyńskich.

W francuzkiem ciełe prawodawczem, sprawa łupu poruszona została podczas debaty budżetowej 16 stycznia 1911 r. przez posła Maur. Colin.

Minister Spraw Zagranicznych p. Pichon oświadczył zupełną zgodę z uchwałą unii.

W Dumie petersburskiej, poseł Effremoff domagał się, ażeby kwestję prawa łupu postawić na porządku dziennym 3-ej konferencji w Hadze.

Odpowiedź rządu w tej sprawie nie jest znana.

Zakończenie.

W chwili, gdy na wielką skalę prowadzona jest obecnie akcja na korzyść pokoju w dziedzinie teorii, państwa całego cywilizowanego świata wysyłają swych przedstawicieli na konferencję do Hagi, dla zawierania konwencji, mających — w duchu wymagań naszego czasu — rozliczne wzajemne ich stosunki oprzeć na prawie. Różne towarzystwa i Ligi pokoju jednoczą w swem gronie zwolenników idei pokoju. Unia interparlamentarna ogarnia mężów stanu i członków parlamentu, których działalność nie jest bez wpływu na uchwały reprezentantów rządów na pokojowych konferencyach w Hadze. I tak, nie trudno jest wykazać związek między uchwaloną na konferencji Unii interparlamentarnej w Brukseli 1895 r. organizacją sądu polubownego dla sporów państw, a pierwszą konwencją hagską z 1899 r. (Convention pour le règlement pacifique des conflits internationaux). Opinia publiczna domagała się zwołania drugiej konferencji pokojo-

wej do Hagi, ale bezpośredniemu wpływowi konferencji Unii w St. Louis (1904) na prezydenta Roosevelta, zawdzięcza się jego inicjatywa w dojsciu w 1907 r. do skutku tej konferencji. Na konferencji w Londynie (1906 r.) uchwalony został projekt Plenera wzorowego traktatu rozjemczego. Projekt ten przedstawiony na drugiej konferencji hagskiej nie uzyskał jednomyślnej aprobaty państw, ale z 44 państw tam reprezentowanych, 32 oświadczyły się za nim.

Przygotowanie materyałów do obrad dla 3-ej konferencji hagskiej, stanowi najważniejszy przedmiot prac unii interparlamentarnej.

Działalność unii zyskuje w coraz wyższym stopniu uznanie opinii publicznej. Rośnie bezustannie liczba jej członków; mężowie stanu najgłośniejszego imienia biorą udział w pracach Unii, państwa wreszcie udzielają subwencye na wydatki Unii. Przez to składają one dowód, że uznają ważność prac Unii, tak że ona jest dziś już ważnym organem w ustroju międzynarodowego związku państw.

Jeżeli obecnie jednym rzutem oka zechcemy ogarnąć całą dotychczasową działalność unii interparlamentarnej, to przyjdziemy do przekonania, że ona jest potężnym czynnikiem służącym do propagowania idei pokoju.

Ona jest przede wszystkim jedynym w swoim rodzaju ciałem, które przeprowadza organizacją członków ciał prawodawczych i parlamentów całego świata. Ona gromadzi w swoim składzie mężów stanu, ludzi należących do najrozmaitszych zawodów, ale zawsze doświadczonych w sprawach publicznych.

W tem właśnie spoczywa charakterystyczne znamie unii interparlamentarnej, w różnicy od zwykłych kongresów pokoju. Na tych ostatnich znajdują wyraz wszelkie wyobrażenia o sposobach utrwalenia pokoju, Unia — właśnie dlatego, że jej członkowie znają dokładnie warunki i potrzeby politycznego życia ludów, wyraża zawsze projekty utrwalenia pokoju, oparte o rzeczywiste wymagania społecznego i politycznego życia. Wpływ parlamentów na rządy i bezpośredni ich z rządami stosunek, daje unii możność szybkiego realizowania swoich wymagań, a ich stosunek do najszerszych warstw społecznych, daje im możność oddziaływania na masy.

Potrzebaby nie znać chyba historii, ażeby zaprzeczyć, że wojny były niejednokrotnie ważnym cywilizacyjnym czynnikiem: wpływały na pomyślny ustrój państw, stawały się powodem ich ważnych przekształceń, zbliżały do siebie narody, i przenosiły ziarna cywilizacji z jego państwa do drugiego. Nie sięgając daleko w prze-

szłość, wojna włoska doprowadziła do zjednoczenia Włoch, wojna 1870 r. przyspieszyła Zjednoczenie Niemiec, a choć Francya z niej z ciężkimi wyszła ranami, wojna niemiecka odrodziła ją moralnie materyalnie i pod względem politycznym. Rosya, w japońskiej wojnie poniosła klęski prawie nieznane w historii, a jednak wyszła ona z tej wojny niewątpliwie z głębokiem przeświadczeniem, że główną choć pośrednią przyczyną jej klęsk jest obecny system polityczny państwa, który roztrwonil jej bogactwa, i całe społeczeństwo rosyjskie do stanu zgnilizny doprowadził.

Nietylko w Mandżuryi padały ofiary w ludziach. Krew Rosyan lała się i w samej ich ojczyźnie, ale ta straszna walka nietylko na granicach państwa, ale i w jego wnętrzu, może się stać źródłem odrodzenia i rzeczywistej potęgi narodu i państwa rosyjskiego.

Dziwnem zrządzeniem losu, korzyści z wojen odnoszą w ten sposób nieraz nietylko zwycięzcy, ale i zwyciężeni.

A jednak z tego bynajmniej nie wynika, ażeby wojny miały być koniecznym, niezbędnym czynnikiem cywilizacyjnym świata. Był czas, gdy siła materyalna wyrażająca się w potędze oręża, jedynie narody wiodła do postępu, ale dziś jest do tego celu tyle duchowych i moralnych czynników, że rozlew krwi nie jest w największej liczbie wypadków koniecznym, aby ludzkości torować drogę do szczęścia. Zjednoczenie Włoch i Niemiec byłoby się dokonało bez wojen, odrodzenie Rosyi mogłoby się stać może później, ale i bez krwi rozlewu. Historia uczy, że wojny w największej liczbie wypadków więcej klęsk niż pożytku światu przynoszą, burzą dobytki cywilizacyi, najdzielniejszych ludzi wtrącają do grobu, i niezliczony szereg klęsk sprowadzają na ludzkość, a miliardy, które dzisiejszy zbrojny pokój pochłania, wstrzymają naturalnie postęp kultury.

To też dziś ludzkość pragnie pokoju i stwarza rozliczne w międzynarodowym związku państw urządzenia, które bez krwi rozlewu mają zapewnić światu to, co dawniej starano się osiągnąć przez wojny.

Unia interparlamentarna w tym wielkim cywilizacyjnym ruchu, może i powinna wielką odegrać rolę, ale stanie się to tylko wtedy, gdy po pięknych mowach ich członków nastąpią czyny, gdy przez parlamenty i rządy urzeczywistniać oni będą stopniowo, ale stale to, czego się geniusz człowieka domaga, — ażeby światu zapewnić błogosławieństwa pokoju.

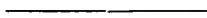
T R E Ś Ć.

	Str.
I. Powstanie Unii Interparlamentarnej	3
II. Organizacya Unii	6
III. Główne postanowienia statutu Unii	7
IV. Budżety Unii	8
V. Unia państw skandynawskich, tudzież Unia holendersko-belgijska . .	9
VI. Spis konferencyj interparlamentarnych	10
VII. Działalność Unii od 1889—1909 r.	11
1. Kwestya sądów polubownych w sporach państw	11
1. Uchwały Unii co do sądów polubownych	11
2. Projekty traktatów co do ustanawiania sądów polubownych .	15
a) Projekt bruxelski	15
b) Projekt amerykański (Ryszarda Bartholdta)	17
c) Projekt Ernesta Plenera	18
3. Klauzule kompromisowe	20
II. Kwestye ogólnego znaczenia dla prawa narodów	22
1. Udział państw w kongresach	22
2. Własność prywatna w czasie wojny morskiej	23
3. Międzynarodowe prawo prywatne	25
4. Unie międzynarodowe	30
5. Prawa cudzoziemców	31
6. Kodyfikacya prawa narodów	35
7. Kwestya neutralności	38
8. Ageneya pokoju	41
9. Organizacya prasy	41
10. Kongres międzynarodowy. Parlament świata	44
11. Uchwały dotyczące wyników pokojowej konferencyi w Hadze	
z 1899 r.	46
12. Uchwały odnoszące się do członków Unii	50
VIII. Działalność Unii w r. 1910 i 1911	51
1. Konferencya bruxelska (1910)	51
2. Konferencya zapowiedziana w Rzymie. Wojna włosko-turecka .	58
3. Posiedzenia Rady (Conseil) w Bruxeli i w Paryżu (1911)	60

	Str.
4. Starania członków Unii w sprawie zakończenia wojny włosko-tureckiej (we Francyi, w Niemczech, w Belgii, w Rosyi i na Węgrzech	62
5. Prace w komisjach	65
6. Układy członków Unii z rządami, o przygotowanie 3-ciej konferencyi pokojowej w Hadze (w Anglii, we Francyi, w Austrii, w Holandyi i w Szwecyi)	67
7. Żądania Unii w kwestyi prawa morskiego	70
Zakończenie	71

Sprostowanie.

Na str. 5 w wierszu 3 od dołu, zamiast 31 paździer. 1887, ma być:
31 paździer. 1888 r.



RUCH HANDLOWY W STAROŻYTNEJ BABILONII

(Okres Chammurapiego \pm 2060—1760 przed Chr.)

napisał

MOJŻESZ SCHORR

W artykule niniejszym zamierzam przedstawić tylko ważniejsze zjawiska z życia gospodarczego w starożytnej Babilonii, jako uzupełnienie wywodów zawartych w rozprawie mojej: »Państwo i społeczeństwo babilońskie w okresie t. zw. dynastii Hamurabiego« (Kwartalnik historyczny 1905, tom XIX, także w odbitce). W ciągu ubiegłego pięciolecia bowiem materiał dotyczący więcej niż w trójnasób się pomnożył, tak, że umożliwia nakreślenie pełnego obrazu życia gospodarczego w rozmaitych jego przejawach. Cały ten materiał jest obecnie w tłumaczeniu zebrany i prawniczo oświetlony w dziele: J. Kohler — A. Ungnad: *Hamurabi's Gesetz*. Tom III—V. Lipsk 1909—11. Por. recenzję moją w *Wiener Zeitschrift für die Kunde des Morgenlandes* T. 24 str. 431—461 (skrót. WZKM).

Okolo połowy III. tysiąclecia przed Chr. zapukały o wały graniczne dolnej doliny nadeufrackiej, a więc właściwej Babilonii, koczownicze hordy Semitów. Ciągąc stale z zachodu, zrazu sporadycznie, potem większymi masami, wdzierają się w okolice pograniczne, a stąd szybko posuwają się w głąb północnej i środkowej części kraju i zlewają się z ludnością tubylczą. Ich charakter cudzoziemski — czy kananejski czy arabski, sporną jest dotąd kwestią — zaznacza się w licznych imionach własnych jakoteż w kilku nowych, nieznanych dotąd bóstwach, któremi wzbogacają rodzimy panteon babiloński. I jak nieraz później w historii bywało, osiągnęli ci najeźdźcy, obdarzeni niespożytą jeszcze siłą, już po dwóch, trzech wiekach przewagę polityczną nad dawną osiadłą ludnością, której zdobycze kulturowe sobie szybko przyswoili. U schyłku trzeciego tysiąclecia przed Chr. zagarnęli rządy i owładnęli tron, zrazu w północnej Babilonii, gdzie Sumu-abi poczyną nową dynastję, t. zw. I. dynastję Babilonu, która przez trzysta blisko lat panowała i podniosła państwo babilońskie do niezwyklego politycznego i ekonomicznego rozkwitu.

Sumu-abi ogłosił się koło r. 2060 przed Chr.¹ samodzielnym królem w Babilonie. Terytoryalny zakres jego władzy, jak i najbliższych jego następców, nie mógł być wielkim, skoro przez 150 lat jeszcze spotykamy w południowej Babilonii, co najmniej na przemian w dwóch centrach, w Isin i Larsa, królów, którzy się tytułują królami »Sumeru i Akkadu«, t. j. całej Babilonii. Pierwsze dwa wieki wypełniają też walki między władcami północno- a południowo-babilońskimi. Dopiero szósty król tej dynastji Chammurapi² zdołał w licznych zwycięskich walkach nie tylko utrzymać

¹ W kwestji chronologii tych czasów por. Ed. Meyera: *Geschichte des Altertums* II wyd., II tom, str. 332 i nast.

² Podług obliczenia Ed. Meyera l. c. str. 557 panował od r. 1958 do r. 1916 przed Chr. Lektura: »Chammurapi« jest teraz powszechnie przyjęta.

panowanie w północnej części, w Akkad, ale także i wyrugować władców południa i w ten sposób połączyć Akkad i Sumer w jednolite wielkie państwo babilońskie, z rezydencją w Babilonie, którego bóg Marduk zajmuje odąd pierwsze miejsce w bogatym panteonie. Odąd koncentrują się także w Babilonie wszelkie nici politycznego i ekonomicznego życia.

Z dumą przekazał Chammurapi potomności pamięć o swych walkach zwycięskich: »Jam silny bawół, który ubodł wrogów; bronią potężną, którą bogowie Zamama i Isztar mnie wyposażyli, mądrością, której mi bóg Ea użyzył, siłą, którą bóg Marduk mnie obdarzył, wytepiłem przeciwników na górze i na dole, walkom kres położyłem, dobrobyt kraju podniosłem, ludziom bezpieczne miejsca pobytu stworzyłem«¹.

»Jam słońce Babilonu, który wysyłam światło na kraj Sumer i Akkad, jam król, który w korbach trzyma cztery krańce świata«². Poskromiwszy wszystkich swych wrogów, poświęca Chammurapi ostatnie lata swego panowania wyłącznie dziełom pokojowym, poszczególnie wymienionym we wstępie do kodeksu. Na cześć bogów buduje wspaniałe świątynie, na pożytek ludzi odnawia zniszczone w długoletnich walkach miasta, kopie kanały, które nawadniają pola i ogrody i ułatwiają zarazem komunikację handlową, wprowadza sprężystą administrację w całym państwie, a rządzi przytem nie jak tyran, lecz jak »ojciec własny« swymi poddanymi. Dobrobyt materialny podnosi się też za jego panowania bardzo wysoko.

W całej pełni odzwierciedla się on w owym słynnym, przed kilku laty w Suzie wykopanem dziele ustawodawczem, którem król Chammurapi postawił sobie na wieczne czasy pomnik nad spiż trwalszy. W normach tego kodeksu widzimy przede wszystkim strukturę społeczeństwa niezmiernie zróżniczkowaną: w grupie ludzi wolnych (*mârê awêlim*), którymi prawo najwięcej się zajmuje, przesuwają się przed nami rozmaite typy ekonomiczne, poczynwszy od potężnego kapitalisty jako właściciela dóbr lub domów, bankiera, kupca, po przez przedstawicieli wyższych zawodów jak lekarzy, weterynarzy, architektów, aż do szarego proletariatu robotników polnych, pasterzy i rzemieślników. Organizację państwową i religijną reprezentują

¹ Epilog do kodeksu Chammurapiego (kol. XXIV, 24—39). Por. także Schorr: Państwo babilońskie (w odbicie) str. 16.

² Ibid.

lennicy wojskowi, urzędnicy i kapłani, wszyscy wyposażeni szczególnie przywilejami. A całej tej grupie wolnych przeciwstają olbrzymie tłumy niewolników, ostro od tamtych odgraniczone i prawnie i społecznie¹. Temu to skomplikowanemu uwarstwowaniu społecznemu odpowiada też obraz życia gospodarczego w rozmaitych jego przejawach. Podczas gdy jednak normy kodeksu obraz ten tylko w abstrakcyi, niejako w refleksie okazują, to dokumenta praktyki prywatno-prawnej, setkami przechowane w archiwach świątyń, głównych ognisk handlowych, pozwalają nam bezpośrednio śledzić zjawiska ruchu ekonomicznego na poszczególnych, konkretnych faktach, a zarazem pozwalają nam wyrobić sobie sąd o tem, o ile życie to wybiegało poza formy prawem tradycyjnie przekazane, lub też odwrotnie w innych wypadkach szło w tyle poza teorią prawa, która te formy przełamała, dostosowawszy się do nowych warunków społecznych.

Już powierzchowny rzut oka na rozmaite kategorie tych dokumentów: akta kupna i sprzedaży, wymiany, darowizny, najmu i dzierżawy, spółki i agencji, pożyczki i depozytu i t. p., może nam dać wyobrażenie o żywotności i wysokim rozwoju ówczesnego gospodarstwa handlowego w Babilonii.

Własność majątkowa ma już w najstarszych aktach tego okresu charakter na wskrós indywidualny, a jeżeli tu i ówdzie przeziiera jeszcze własność rodowa, to są to przeżytki, które praktyka prawna wprawdzie jeszcze toleruje, teoria jednak wyeliminowała. Ruch handlowy ma przeważnie charakter wymiany pieniężnej. Istnieje zupełnie wyrobiony system monetarny, na wadze oparty: talent, mina, szekel i sze'u (ziarno). Ustawa normuje ceny towarów taksy rzemieślnicze, czynsze różnego rodzaju w minach i szeklach srebrnych, i powołuje się na taryfę królewską powszechnie obowiązującą. Ogniskiem ruchu handlowego są naturalnie większe miasta, siedziby głównych bogów, a więc Babilon ze świątynią Marduka, Sippar ze świątynią Szamasza, Nippur ze świątynią Ellila; Dilbat ze świątynią Urasza (Niniba) i inne.

Te świątynie uznanych w całej Babilonii bóstw stanowią niezmiernie ważny czynnik życia gospodarczego i wpływają stanowczo na intensywność stosunków handlowych. Każda z tych świątyń jest

¹ Por. Schorr: Państwo i społeczeństwo babilońskie (w odbicie), str. 47-50, gdzie stanowisko prawne poszczególnych grup bliżej określone.

nietylko instytucją religijną, ale także i finansową. Zarówno z danin obowiązkowych, jak i z dobrowolnych ofiar wzrasta stopniowo skarbiec świątyni. Z czasem rozporządza ona nietylko wielkim majątkiem pieniężnym, ale i nieruchomym w gruntach ornych i budowlanych i w trzodach bogatych. Temi wszystkimi dobrami prowadzi świątynia rozległy handel, pieniądze wypożycza na wysoki procent, pola i ogrody oddaje w dzierżawę, a nawet i dochody swe wydzierżawia.

Bardzo żywy udział bierze także w gospodarstwie handlowem dwór królewski (*ê kallum*). Tak jak na rzecz świątyń, tak i na rzecz pałacu królewskiego są miasta obowiązane do regularnych danin, z których wyrasta majątek prywatny króla, również składający się głównie z dóbr nieruchomych. Tymi dobrami zarządzają osobni urzędnicy królewscy, którzy z ramienia króla prowadzą rozległy handel ich dochodami.

O znaczeniu świątyni i pałacu królewskiego dla życia ekonomicznego świadczy i ten fakt, że miara i waga w nich używana stanowią normę, wedle której płaci się w handlu prywatnym. Tak np. w pewnym kontrakcie dzierżawy waruje sobie właściciel pola: »Trzy kur zboża ma dzierżawca płacić podług miary świątyni Szamasza. jednego szekla w srebrze podług kamienia (wagi) Szamasza«¹. Pewne ślady wskazują nawet na istnienie urzędu probierczego w świątyni, bo kilkakrotnie jest wzmianka o srebrze pieczętowanem (*kaspum kankum*), co tylko znaczyć może, że urzędowo stwierdzono na danej monecie jej pełną wartość; toż samo nieobjaśnione dotąd słowo *mešekum*, które stale spotykamy tam, gdzie mowa jest o »mierze Szamasza (*Giš. Bar* ¹¹ *Šamaš*)« jako bliższy określnik, może naszym zdaniem tylko oznaczać miarę probierczo uznaną². Tak więc świątynia i dwór królewski, koncentrując olbrzymi kapitał, wpływają niezmiernie na energię ruchu handlowego, który zresztą rozwija się swobodnie na tle stosunków prywatno-majątkowych.

Nasuwa się najpierw pytanie: Kto miał prawo zawierania układu handlowego i w ogóle wykonywania czynności prawnej?

¹ Analogię mamy także w biblii, gdzie raz wymieniony jest »szekel świątyni« (*szekel hakôdesz*) Exod. XXX 13, a raz »kamień królewski« (*eben hamelek*) II ks. Sam. XIV 26.

² Por. Schorr: *Altbabylonische Rechtsurkunden* I str. 124 (*Sitzungsberichte der Wiener Akademie der Wissenschaften*. T. 155).

Otóż każdy człowiek wolny a pełnoletni ma pełną zdolność do działań prawnych. Także kobieta, która ma już w tym okresie pełną osobowość prawną, występuje samodzielnie w rozmaitych akcjach prawnych, nawet w stanie zamężnym, staje jako oskarżycielka i jako świadek w procesach itd.¹ Szczególnie kapłanki, a przede wszystkim zajęte przy świątyni Szamasza w Sippar, biorą niezwykle żywy udział we wszelakich dziedzinach handlu. Wedle §§ 178—179 kodeksu Cham. kobieta, poświęcająca się służbie przy świątyni, czyto jako dziewica w klasztorze czyli w domu narzeczonych (bīt kallāti), czyto jako zalotnica (kadištum, awēlit zikrum), otrzymuje od ojca posag, którym rozporządza wedle własnej woli jako majątkiem prywatnym. Otóż chcąc ciągnąć zysk z tego kapitału, kapłanka jużto prowadzi interesy kupieckie, kupuje grunty i sprzedaje, wypożycza pieniądze na procent, jużto wkłada kapitał swój w grunty, pola lub domy, które oddaje w dzierżawę, względnie wynajmuje.

W setkach dokumentów cywilno-prawnych niema ani jednego wypadku², w którymby niewolnik występował jako podmiot prawny, choć z § 7-go kodeksu Cham. mogłoby wynikać, że niewolnik mógł jako pełnomocnik pana swego prowadzić interesu. Ten fakt uderza tem bardziej, że w okresie nowobabilońskim, w VII. i VI. wieku przed Chr., niewolnicy często biorą czynny udział w życiu ekonomicznem, czy to jako plenipotenci, czy to jako ajenci wędrowni, a nawet jako wspólnicy w przedsiębiorstwach.

Najważniejszy moment, odnoszący się do techniki ruchu handlowego i gospodarczego w ogóle, jest wyrażony w następującej zasadzie prawnej:

Bez piśmiennego układu i świadków żadna transakcja niema mocy prawnej³ (§ 7). Tejto ściślejszej zasadzie technicznej, rozciągającej się na wszelkie dziedziny czynności prywatno-prawnych, mamy do zawdzięczenia bogate skarby dokumen-

¹ Por. Kohler - Ungnad III Nr. 309, 356, 404, 441, 500, 528, 594, 710, 704, 717, 910, t. V. 1115, 1123 i t. d.

² Wątpliwość zachodzi przecież w jednym wypadku w akcie procesowym, jeżeli tam słowo zuchārum znaczy »niewolnik« dosł. »mały«. Por. Schorr: Altbabyl. Rechtsurkunden II Nr. 39 i do tego interpretację moją obecną w Wiener Zeitschrift für die Kunde des Morgenlandes T. 24 str. 459 uw. 4.

³ Por. Schorr: Państwo babilońskie str. 81—82.

tów, wykopanych w archiwach głównych świątyń, gdzie je składano i skrupulatnie przechowywano dla celów kontroli i zabezpieczenia sobie prawa posiadania.

Dokumenty wszystkie wykazują jedną ogólną znamionną cechę: brzmienie ich nie jest w każdym wypadku dowolne, lecz ujęte w pewnych poszczególnych kategoriach w ścisły schemat, tak że do każdej kategorii istniał osobny stały formularz. Ta okoliczność, na którą ja pierwszy zwróciłem uwagę¹, ma doniosłe znaczenie dla interpretacji dokumentów, ułatwia bowiem w wątpliwych razach przydzielenie pewnych aktów do pewnej kategorii i pozwala z wielkim prawdopodobieństwem uzupełnić luki, gdzie dotyczące tabliczki przechowywały się fragmentarycznie.

Poznawszy te ogólne momenty ruchu handlowego, przejdźmy teraz do poszczególnych zjawisk, przyczem zajmimy się bliżej tylko temi znamionami, które dla dotyczących zjawisk są w świetle nowszych zwłaszcza zbiorów aktów prawnych szczególnie charakterystyczne².

1. Kupno i sprzedaż.

Przedmiotem kupna są przeważnie grunty, rolne i budowlane, względnie domy mieszkalne, sklepy, stodoły, dalej niewolnicy i zwierzęta robocze. Za kupioną rzecz płaci się z reguły gotówką całą cenę (kas pam gam ram). Wśród setek dokumentów prawnych jest ledwie kilka przykładów³, w których cena kupna ma być później zapłacona, czyli gdzie się kupuje na kredyt. Ale i w tych wypadkach nie zachodzi prawnie kupno na kredyt, bo typ kontraktu jest zupełnie taki sam, jak przy kupnie za gotówkę, zwłaszcza w formule stwierdzającej moc dokonanego przeniesienia własności: »sprawa jest załatwiona, serce jego (sprzedającego) jest zadowolone«. Kohler⁴ słusznie przypuszcza, że wyjście prawne było takie: Uważano cenę za zapłaconą, a tę fikcyjnie zapłaconą sumę zwracał kupujący sprzedającemu jako pożyczkę za kwitem. »Kredyt mógł zatem być udzielony tylko we formie pożyczki obok kupna,

¹ Por. Schorr: *Altbab. Rechtsurkunden* I str. 2.

² Por. wyżej str. 1 uw. 1.

³ Kohler-Ungnad III Nr. 374, 375, 384, 427, 438, 439, IV Nr. 949, V 1149.

⁴ *Ibid.* t. III. str. 240.

nie zaś w samym kupnie«. Rzecz mogła przejść na własność dopiero po pełnem uiszczeniu ceny kupna.

Cena gruntów, pól i domów, była bardzo chwiejna, zależnie od jakości gruntu i jego położenia. Zresztą w kontraktach dawniejszych cena wcale nie jest podawana. Odnośna formułka brzmi tylko ogólnie »w pełnej cenie srebro odważył«. Dopiero od piątego króla Sin-muballita (Kohler-Ungnad Nr. 259) podaje się w kontraktach wyraźnie wysokość zapłaconej sumy.

Ciekawy szczegół nastręczają późniejsze kontrakty kupna, od czasów Abi-ešucha począwszy, mianowicie, że nabywca do samej ceny kupna dodaje jeszcze drobną monetę jako przyczynkę (ana Si. Bi. iškun)¹.

Müller² upatruje w nim rodzaj agio, a więc nadwyżkę dla wyrównania wartości realnej danej monety obiegowej z jej wartością nominalną. Ale w takim razie musiałyby zachodzić regularny stosunek nadwyżki do wysokości ceny, podczas gdy w rzeczywistości stosunek ten jest zupełnie chwiejny. Przy tej samej cenie kupna np. jest agio rozmaite.

Zdaje mi się raczej, że mamy tu zwyczaj o podkładzie ludowym, zabobonnym. Kupujący płaci ponad żadaną cenę, aby sprzedający nie urzekł mu nabytej własności. Jako potwierdzenie tej interpretacji mogłaby posłużyć symboliczna czynność, która stale od najdawniejszych czasów towarzyszy aktowi kupna każdej nieruchomości, tj. wręczenie tak zwanego bukannum, sztaby czy pręta — podobnie jak w germańskim prawie — na znak przeniesienia własności. Kohler³ faktycznie wywodzi ten symbol z motywów magicznych. »Widocznie uchodziły grunty i niewolnicy za res mancipii, które tylko pod szczególną ochroną sił magicznych można było przenieść na drugiego«. A jak silną była wiara w zaklęcia magiczne, świadczą dwa pierwsze postanowienia kodeksu Chammurapiego.

Przy kupnie gruntu i niewolnika zastrzega się często nabywca przeciw rewindykacji ze strony trzeciej osoby, wobec której odpowiada sprzedający⁴. Przy kupnie niewolnika ręczy ponadto właści-

¹ Kohler-Ungnad III Nr. 366—368, 413, 414, 429, 430, 431, 432, 437.

² Per. Schorr: *Altbab. Rechtsurkunden* II str. 66 (ad Nr. 28).

³ L. c. str. 236.

⁴ Por. Kohler-Ungnad III Nr. 244, 290, 274, 275, 279, 280, 283, 297, 300, 304 i t. d. a odnośnie do niewolników 422, 425, 429, 430, 433. V 1152, 1154.

ciel pierwotny na wypadek, jeżeli niewolnik jest zbiegiem. Prawo bowiem nakłada karę śmierci na takiego, który nabył niewolnika zbiega (§ 16—19). Ale poręka ta trwa tylko dzień lub trzy dni, oprócz tego ręczy na przeciąg miesiąca na wypadek, gdyby choroba bennu (epilepsya?) nawiedziła niewolnika¹.

Przy kupnie gruntu jest zawsze dokładnie podana wielkość w mierze ówczesnej; nieraz jednak spotykamy ciekawy dodatek: »mniej lub więcej« (lîtir limti-ma) albo »jeśli grunt jest większy albo mniejszy (niż w kontrakcie opiewa), to idzie to na rachunek nabywcy«². Ta klauzula miała obydwie strony chronić przed reklamacją wzajemną z tytułu, że wymiar faktyczny nie odpowiadał wymiarowi podanemu w kontrakcie. Ale co ciekawsza, z dwóch procesów, wynikłych z tego właśnie tytułu spornego, widzimy, że przy archiwum świątyni istniał kataster, w którym przechowywano rysopisy gruntów rolnych i budowlanych celem ewentualnej kontroli granic posiadania. W jednym z nich³ sędziowie po porównaniu aktu kupna z rysopisem katastralnym przekonali się, że sprzedający ukrócił miarę kontraktowo umówioną i nałożyli nań karę. W drugim natomiast wykazało się również z badania w aktach katastralnych, że nabywca dostał więcej, niż w kontrakcie zapisano, skutkiem czego musiał odpowiednią nadwyżkę dopłacić. Ze względu na rzadkość tego rodzaju dokumentów i na mylną interpretację Ungnada i pierwszego wydawcy Gautiera⁴, nie od rzeczy będzie cały dokument tutaj przytoczyć:

»Z powodu domu, który Náchilum kupił był od Awêl-matum, wniósł Awêl-matum skargę; do namiestnika Babilonu przybył; tenże na postępowanie procesowe im zezwolił; rysopisy (świątyni) Urasza przyniesiono do domu, dom wymierzono. Ponieważ 1 Sar gruntu było za wiele, zapłacił Náchilum z powodu nadmiaru gruntu budowlanego, oprócz kwoty dawnego kontraktu, cztery szekle srebra Awêl-matumowi. Awêl-matum nie naruszając wyroku, w przyszłości skargi nie wniesie. Na (boga) Urasza i (króla) Apil-Sina złożył przysięgę«. Następują świadkowie.

¹ Nr. 429—432. Co do istoty tej choroby por. Sudhoff: *Archiv f. Gesch. d. Medizin* t. IV (1910) str. 353 i nast.

² Kohler-Ungnad III Nr. 295, 297, 300, 513, IV Nr. 937, 977.

³ Kohler-Ungnad III Nr. 700. Por. Schorr: *Rechtsurkunden* I str. 78.

⁴ Por. Kohler-Ungnad T. IV Nr. 1058. Cały dokument w należytej transkrypcji i tłumaczeniu podałem także we *Wiener Zeitschrift f. d. K. d. M.* T. 24 str. 329.

Co w tych dwóch procesach pośrednio tylko poznajemy, posiadamy także czarno na białem, a raczej rylcem na glinie. Scheil, słynny pierwszy wydawca kodeksu Chammurapiego, znalazł takie mapy katastralne w archiwum świątyni Sippar i podał nam ich kopie¹.

Przy kupnie niewolnika kontrakt dokonywuje się pod tymi samymi warunkami i przy przestrzeganiu tych samych formalności, co przy kupnie gruntu; także typ kontraktu jest ten sam². Tutaj chciałbym tylko wspomnieć o znamiennej prawie § 280 kodeksu Cham., które proklamuje niewolnika - krajowca, sprzedanego za granicę, wolnym w razie dobrowolnego lub poniewolnego powrotu do kraju³. Prawo to, mające swą analogię w późniejszym prawie żydowskim, zawiera obok momentu samowiedzy plemiennej czy narodowej także ważny moment gospodarczy. Chciano widocznie zapobiec eksportowi sił roboczych za granicę i dlatego unieważniono z góry ich wartość w razie powrotu do kraju. Bardzo ciekawą ilustrację do tego prawa daje nam jedyny w swym rodzaju dokument, który tu w dosłownym tłumaczeniu następuje:⁴

CT VI 29⁵.

»¹ Warad-Bunene, którego Pirchi-iliszu, pan jego, do miasta Tupiasz (Asz. nun. na)⁶ za 1¹/₂ miny srebra sprzedał, ⁵ służył jako niewolnik pięć lat w Tupiasz, a następnie uciekł do Babilonu.

¹ Por. Scheil: Une Saison des fouilles à Sippar str. 126, 127, 137 etc.

² Por. Schorr: Państwo babilońskie str. 84, gdzie odnośnie postanowienia kodeksu są obszernie omówione.

³ Prawo to przez wszystkich tłumaczy kodeksu mylnie interpretowane omówiłem obszernie w rozprawce: Die §§ 280—282 des Hamurabi-Gesetzes (Wiener Zeitschrift f. d. Kunde d. Morgenlandes t. 22 str. 385—392). Por. także wywody Müllera do tej kwestyi.

⁴ Kohler-Ungnad III Nr. 740, gdzie jednak tak tłumaczenie, jak i prawna interpretacja (str. 254) są mylne.

⁵ Skrócenie oznacza: Cuneiform Texts of the British Museum, tom VI. p. 29, gdzie powyższy dokument jest wydany.

⁶ W nawiasie jest podana sumeryjska nazwa. Miasto to leżało na pograniczu między Babilonią a Elamem, po tamtej stronie Tygru, niedaleko Nippuru. W tym czasie należało ono do państwa elamickiego, a zatem jest miejscowością zagraniczną.

Sin-muszalim i Marduk-lamazasz, strażnicy(?) zawoławszy Warad-Bunena, ¹⁰ tak doń przemówili, jak następuje, oni sami: Jesteś wolny, twoja oznaka (niewolnicza) została odcięta; pójdź między wojskowych.

Tenże Warad-Bunene ¹⁵ tak odrzekł, jak następuje, on sam: Między wojskowych nie pójdę, lenno mego domu ojcowskiego obejmę.

²⁰ Lipit-Adad, Adad-lû-zêrum i lbni-szamasz, bracia jego złożyli przysięgę na boga Marduka i na króla Ammi-ditana, że nie wniosą skargi przeciw bratu swemu Warad-bunene ²⁵ z powodu niewolnictwa(?) ¹.

Warad-Bunene, jak długo żyć będzie, razem z braćmi swymi, będzie zarządzał lennem domu ich ojca.

³⁰ Przed (świadkiem) Apil-Adad, sekretarzem boga Amurrum.

Przed (świadkiem) Ilum-pi-sza, synem Sin-idinnama.

Dnia 25. Dûzu, roku w którym król Ammi-ditana na mocy wielkiego wyroku Szamasza i Marduka...².

Treść tego niezmiernie ciekawego aktu jest następująca:

Warad-Bunene, niewolnik, rodem Babilończyk został przez swego pana sprzedany za granicę. Po pięciu latach udało mu się zbiec i wrócić do Babilonu. Podług prawa przestał być niewolnikiem z chwilą wstąpienia na terytorium babilońskie. Tę odzyskaną wolność proklamuje też urząd formułką: »Jesteś wolny, twoja oznaka (niewolnicza) została odcięta«. Urząd proponuje wyzwoleńcowi, by się zaciągnął w służbę wojskową. On jednak woli zarządzać lennem swego ojcowskiego domu razem z braćmi, którzy przysięgą się obowiązuja, że nie wniosą przeciw niemu skargi z powodu dawnego niewolnictwa.

Osobny rodzaj kupna stanowi wykupno (retrakt). Jestto prawo znane także w prawie starohebrajskiem (biblijnem) jako miszpat ge'ullâh, dopuszczające krewnych sprzedającego (brata, syna, wnuka i t. d.) do wykupienia ojcowskiego mienia: bit abišu patâru »dom ojca wyzwolić« — jak brzmi termin prawny. Kodeks nie wspomina ani słowem o tej transakcyi, bo była niezgodna z całym ustrojem gospodarczym, opartym na indywidualnej własności majątkowej. W praktyce natomiast tu i ówdzie jeszcze się

¹ Woryginalu: ana rišutim. Możliwe także tłumaczenie »z powodu pierworoǳtwa«, co jednak nie daje dobrego sensu.

² Jestto 1 rok tego króla.

utrzymuje¹, jako przeżytek dawnego ustroju rodowego, na którym np. opiera się zasadniczo prawo biblijne. Przeciw tej instytucji walczy jednak ustrój gospodarczy, co między innemi w tem się objawia, że nieraz nabywca w osobnej klauzuli zastrzega się przeciw wzruszeniu kupna ze strony krewnych. »Jeśli by bracia albo siostry sprzedawcy rewindykowali pole« — tak czytamy w akcie kupna z czasów króla Zabium — »to sprzedawca jest za to odpowiedzialny«².

Obok kupna występuje w aktach jako forma przeniesienia własności wymiana (pûchum), szczególnie wymiana gruntów i niewolników. Ta prymitywna forma ruchu handlowego, pochodząca z okresu gospodarki naturalnej, przystosowana jest już do ustroju gospodarki pieniężnej, co się w tem objawia, że nadwyżkę wartości otrzymanej w zamian rzeczy płaci się w pieniądzu. Istotnym momentem przy tej transakcji jest zaznaczenie obopólnej zgody i wzajemnej gwarancyi na wypadek rewindykacji ze strony osoby trzeciej³.

2. Najem i dzierżawa.

Oprócz rezultatów, które już z dawniejszych aktów praktyki prawnej w zakresie tych dwóch instytucji gospodarczych wysnuć się dały⁴, nastroczają nowsze akta jeszcze następujące znamienne szczegóły:

Przy najmie domu uiszcza nieraz wynajmujący, podobnie jak przy dzierżawie pól, podarunki pewne na święta na rzecz właściciela, zwłaszcza gdzie właścicielką jest kapłanka Szamasza⁵.

Najmu robotników dokonywuje się w trojakiej formie: a) Najmuje się niewolnika od właściciela, któremu się też płaci czynsz

¹ Por. Kohler-Ungnad III Nr. 440—441; IV 979—980.

² Kohler-Ungnad III Nr. 386.

³ Por. Kohler-Ungnad III Nr. 451.

⁴ Por. Schorr: Państwo babilońskie str. 79—81, 87—88, również Schorr: Kodeks Hamurabiego a ówczesna praktyka prawna (Rozpr. Akad. krak. T. 50 str. 247—248).

⁵ Por. Kohler-Ungnad III Nr. 499, 502—504 V 1161—1163.

najemny¹. b) Najmuje się robotnika wolnego od przedstawiciela jego rodziny, ojca, matki lub brata². c) Wolny robotnik sam się wynajmuje w służbę; formułka brzmi wtedy: A wynajął B od niego samego (ina ramânišu)³. Bardzo słusznie powiada Kohler⁴, że ostatnia forma przeszła wprawdzie przez stadium wynajmowania się dłużnika w służbę u swego wierzyciela — stosunek, który kodeks także normuje (§ 114). Nie mogąc uiścić długu, udaje się dłużnik dobrowolnie w służbę do wierzyciela, by sumę dłużną spłacić robotą. Z tego ściśle określonego stosunku rozwinął się dopiero później wolny kontrakt służbowy. d) Ktoś otrzymuje pewną kwotę jako płać najmu z góry wypłaconą we formie pożyczki. W terminie płatności (czas żniw) nie zwraca dłużnik pożyczki w pieniądzu, lecz dostarcza robotników, których płać najemna odpowiada wysokości otrzymanej pożyczki. Tak należy obecnie rozumieć cały szereg odnośnych kontraktów⁵ w świetle trafnej interpretacji Ungnada i Kohlera⁶, podczas gdy przedtem mylnie je wszyscy inaczej tłumaczyli. Zachodzi tutaj — jak Kohler słusznie przyjmuje — pewien stosunek pośrednictwa pracy. Ktoś wynajmuje robotników z tem, że w czasie żniw mają się stawić do roboty u dowolnej osoby, którą najemca im wskaże. Wychodzi na tem dobrze i pośrednik i właściciel pola; pierwszy, bo otrzymuje płać najmu z góry na kilka miesięcy przedtem i może tą kwotą dowolnie rozporządzać dla zysku aż do terminu płatności, drugi, bo nie potrzebuje w czasie żniw troszczyć się o robotników, wtedy kiedy ich trudno dostać i żądania ich może są wygórowane.

Dla ilustracji przytaczam jeden przykład tej kategorii:⁷

•¹/₂ szekla srebra dla żniwiarzy wypożyczył od Lamassi, kapłanki Szamasza, córki Gimil-Upi Ibkusza, syn Szamasz-rabi'ego.

¹ Por. Kohler-Ungnad III Nr. 542, 550; IV Nr. 1001; 1007, 1019.

² Kohler-Ungnad III Nr. 538, 539, 547, 552, 561, 564, 565, 570; t. IV Nr. 1016, 1018, 1021, V 1172.

³ Por. Kohler-Ungnad III Nr. 548, 551, 556, 560, 567, V 1174..

⁴ L. c. str. 243.

⁵ Kohler-Ungnad III Nr. 541, 555, 559, 563; t. IV Nr. 1002, 1003, 1004, 1010, 1011, 1022, 1023, 1024, V 1173.

⁶ Por. l. c. t. IV str. 81 i 96.

⁷ Kohler-Ungnad IV Nr. 1003. Ten dokument musiał naprowadzić na należyłą interpretację wszystkich innych tej samej kategorii.

W czasie żniw przyjdzie 10 żniwiarzy. Jeżeli nie przyjdą, postąpi się podług ustaw króla».

Kilkakrotnie jest wzmianka w kontraktach najmu osobowego o rękojemcy, który daje gwarancję za zjawienie się robotnika na czas¹. Termin techniczny brzmi: »A trzyma głowę B (robotnika)«.

Wśród setek dokumentów znajdujemy tylko dwa kontrakty najmu zwierzęcia². W drugim wypadku czynsz najmu (trzy kur zboża rocznie) jest zupełnie zgodny z taryfą ustanowioną przez ustawę (§ 243).

Drogi handlowe prowadzą w tym czasie już nie tylko lądem, ale także wodą. Okręty z towarami, zbożem, wełną, oliwą, daktylami i t. d. kursują po Eufracie i Tygrze i po kanałach rzecznych, które przerzynają cały kraj. Ustawa normuje też w kilku postanowieniach (§§ 236, 275—277) najem okrętów i żeglarzy. Z praktyki znamy tylko nieliczne dokumenty tego rodzaju³. Razem z okrętem wynajmowano nieraz także żeglarza; najemca obowiązuje się zwrócić okręt w dobrym stanie. Wynajmuje się okręt albo na pewien czas, albo na pewną drogę.

W kraju tak urodzajnym i przez naturę tak błogosławionym, jak Babilonia, stanowi uprawa pól i ogrodów ważny czynnik w życiu gospodarczym. Prawo Chammurapiego poświęca też kulturze rolnej baczność uwagę, z wyraźną tendencją popierania intensywniej kultury ziemi obok obrony osobisto-prawnych interesów agraryuszy⁴. W dokumentach jest dzierżawa pól i ogrodów obficie reprezentowana. Wdzierżawia się zazwyczaj na rok, rzadko na trzy lata. Czynsz dzierżawny uiszcza się prawie wyłącznie w naturaliach, w zbożu, względnie w daktylach przy uprawie ogrodów palmowych, przyczem z reguły oblicza się czynsz dzierżawny według ilości mógów (G a n). Od każdego G a n płaci się pewną miarę Kur (hebr. kôr), której wysokość zależy od jakości gruntu. Nieraz za normę opłaty służy czynsz dzierżawny pola sąsiedniego. Podobnie jak przy najmie domów, uiszcza nieraz dzierżawca część dzierżawnego z góry w zbożu lub pieniądzech. Za szkody, wynikające z niedbalstwa, po-

¹ Kohler-Ungnad III Nr. 539, 551, 567; IV 999.

² Ibid. III Nr. 534; IV Nr. 999.

³ Ibid. III Nr. 530, 531, 537, 544.

⁴ Odnośne postanowienia kodeksu są omówione w pracy mej: Państwo babilońskie str. 79—80.

nosi dzierżawca pełną odpowiedzialność, zgodnie z ustawą (§§ 42—44)¹. Jeżeli zaś pole jest kamieniste, to wolno dzierżawcy część dzierżawnego ściągnąć². Obok głównej opłaty obowiązuje się dzierżawca często do pewnych datków ubocznych, najczęściej tam, gdzie właścicielką pola jest kapłanka. »Przez trzy następne święta dostarczy po jednym kawale mięsa, po 10 Ka mąki, 20 Ka wódki« (lub podobnie) czytamy w aktach dotyczących³. Bardzo często wydzierżawia się pustkowie celem zamiany na glebę orną, pole lub ogród. Warunki dzierżawy są wtedy łżejsze; normalny czynsz cięży na gruncie dopiero od 3 roku, w pierwszych dwu latach płaci się czynsz mniejszy albo nawet — co częściej bywa — pole jest w pierwszym roku zupełnie wolne od opłaty. Ponieważ jednak z dzierżawy samego pustkowia dzierżawca, biedny wieśniak, wyżyć nie mógł, brał tedy obok pustkowia od tegoż właściciela także grunt żyzny, za który płaci normalne dzierżawne. Najczęściej też kontrakty zawierają tę kombinację dzierżawy pustkowia, obok gleby płododajnej. »Aż nie użyżni pustkowia, wolno mu spożywać z pola uprawnego⁴.

3. Spółka i ajencya.

Znamieniem żywotności ruchu handlowego jest istnienie spółki handlowej. Dokumenty odnośne są dla nas tem cenniejsze, że ustawa 'Chammurapiego o tej instytucji wcale nie wspomina. Dwu lub więcej kontrahentów wkłada wspólnie pewien kapitał w produktach lub w gotówce celem wspólnego prowadzenia przedsiębiorstwa handlowego (charrânnum). Znamy wszystkie prawne terminy spółki; transakcyja sama zwie się tappûtum; kapitał wkładowy ummânnum, kapitał obrotowy kîsum, zysk nêmelum, wydatki wspólne, mające się odliczyć przy rozdziale zysku, mânachtum⁵.

Rozwiązanie spółki odbywa się w świątyni przed sędziami. W tym celu składają tam wspólnicy rachunki, zwracają sobie wzajem kapitał

¹ »Jeżeli pola zaniedba, to przecież dzierżawne uiści«. Kohler-Ungnad III Nr. 578. »Jeżeli pola nie uprawi, to przecież (właściciel) swą połowę zabierze«. Ibid. IV Nr. 1027, co jednak Ungnad inaczej tłumaczy.

² Ibid. III Nr. 591.

³ Zwyczaj ten znamy także z grecko-egipskich papyrusów z czasów rzymskich. Por. Waszyński. Die Bodenpacht str. 124.

⁴ Kohler-Ungnad III Nr. 628, 631, 633, 634, 638, 639, 657.

⁵ Por. Schorr: Altbab. Rechtsurkunden III.

zakładowy, dzielą się w równej mierze zyskiem jak i stratą »z tego, co w mieście i co w podróży handlowej uzyskali«, poczem stwierdzają ugodę przysięgą, obowiązując się jej nie naruszyć. W razie śmierci jednego spółnika gaśnie ten samem spółką, obrachunek następuje wtedy ze spadkobiercami również w sądzie ¹.

Obok spółki handlowej spotykamy także spółkę agrarną, która się zawiązuje wśród analogicznych warunków jak tamta. Dwu lub więcej współników wydzierżawia razem pole. Dzierżawcy ponoszą wspólnie wydatki uprawy i dzielą się w równej mierze zbiorami po ściągnięciu dzierżawnego, w którym również jednakowo uczestniczą. Ciekawy i skombinowany jest w tej kategorii wypadek, w którym sam właściciel pola występuje jako współdzierżawca; ² wtedy ponosi część kosztów i wykonywuje część pracy, tożsamo dostaje połowę zbiorów i połowę dzierżawnego, podczas gdy druga połowa, którą sam sobie miałby płacić, odpada. Tak interpretuje Köhler ³ ten stosunek prawny, który wyrażony jest we formułce: »Pole o X G a n, własność A wynajęli od A, właściciela, A i B«. Podług Müllera ⁴ natomiast, który rzeczowo tak samo stosunek ten pojmuje, mamy w tej formułce fikcyę prawniczą celem uproszczenia kontraktu.

Postanowienia ustawy o agencji handlowej omówiłem na innem miejscu ⁵. Z praktyki prawnej znane nam są tylko dwa przykłady: W jednym z nich mamy pokwitowanie agenta dane kupcowi na pewną kwotę, oddaną mu w komis celem zakupienia produktów ⁶, w drugim dostają trzech ludzie drogą pożyczki dziesięć szekli do zakupienia pierścienia złotego dla świątyni Szamasza. Po miesiącu mają zwrócić pożyczkę bezprocentowo, zyskiem osiągniętym zaś dzielić się z wierzycielem. Wierzyciel występuje tu jako kupiec (tamkarum), dłużnicy jako agenci ⁷.

Stosunkiem, pokrewnym agencji jest pełnomocnictwo.

¹ Por. Kohler-Ungnad III Nr. 668—670; 672; obrachunki po śmierci jednego współnika *ibid.* Nr. 47, 706; Schorr: *Rechtsurkunden* II Nr. 11.

² Kohler-Ungnad III Nr. 651, 655, 656, 657.

³ *Ibid.* str. 246.

⁴ Schorr: *Altbab. Rechtsurkunden* I str. 151—152.

⁵ Schorr: *Państwo babilońskie* str. 88.

⁶ Por. Schorr: *Kodeks Hamurabiego* (Rozpr. Akad. krak. T. 50 str. 232).

⁷ Schorr: *Altbabyl. Rechtsurkunden* II Nr. 37.

W aktach spotykamy je przy dzierżawie gruntów, przy pożyczkach, przy kontrakcie ślubnym¹.

4. Pożyczka i depozyt.

Ruch handlowy nie byłby osiągnął tej wyżyny, jaka się i w teorii i w praktyce prawnej tego okresu odzwierciedla, gdyby nie istniał był kredyt, bez którego żywszy ruch handlowy nie może się rozwinąć. W instytucji pożyczki i jej charakterze uwydatnia się też od razu różnica ustroju ekonomicznego w starożytnym państwie izraelskim a babilońskim w czasach Chammurapiego. Tam widzimy prymitywny ustrój agrarny, prawo zabrania wypożyczania na procent w ogóle², tutaj tak ustawa jak i praktyka liczą się z pożyczką procentową jako zjawiskiem koniecznym, nie czyniąc żadnej różnicy między krajowcem a cudzoziemcem. Cała troska ustawodawcy obraca się tylko około tendencji regulowania ruchu kredytowego, utrzymania równowagi w stosunkach handlowych, niedopuszczania do lichwy i wyzysku.

W istocie trzeba przyznać, że w tej dziedzinie prawo stoi na wyżynie socjalno-etycznej, jakiej daremnie szukać będziemy zresztą w ustawodawstwach starożytnych lub średniowiecznych. Obok postanowień odnośnych kodeksu, już na innem miejscu omówionych³, zasługują na szczególną jeszcze uwagę swą humanitarną tendencją §§ 49. i 66., które nie pozwalają wierzycielowi wyzyskać niekorzystnej sytuacji dłużnika nawet za jego zgodą. Jeżeli wierzyciel — orzekają te dwie normy — wezwie dłużnika do zwrotu długu, a on nie ma ani pieniędzy ani zboża, i dobrowolnie zaofiaruje wierzycielowi ustąpienie mu całego zbioru na polu lub w ogrodzie, to taka umowa nie ma prawnego znaczenia. Wierzyciel może sobie tylko ściągnąć ekwiwalent pożyczki wraz z odsetkami, reszta jest własnością dłużnika.

¹ Por. Schorr: Kodeks Hamurabiego (Rozpr. Akad. krak. T. 50 str. 246).

² Później dopiero czyni prawo wyłom na rzecz cudzoziemca (V ks. Mojż. rozdz. XXIII 20—21). Że wszędzie, gdzie prawo Mojżeszowe zawiera zakaz brania odsetek przy pożyczkach, ma ono na myśli odsetki w ogóle a nie lichwę w znaczeniu nadmiernych odsetek, wykazał świetnie Müller w Wiener Zeitschrift f. d. Kunde d. Morgenl. T. XVIII.

³ Por. Schorr: Państwo babilońskie str. 90—91.

A teraz przypatrzmy się, jaki był ruch kredytowy w praktyce. Wszelka pożyczka jest z reguły procentową; jeżeli nią nie jest, np. gdy się ją bierze na kilka dni, to dokument wyraźnie stwierdza »odsetek niema« (cīptum ul išu), albo że pożyczka jest udzielona »z grzeczności« (ana tadmiktim), »dla wsparcia« (ana usātīm). Zresztą istnieje normalna stopa procentowa, na którą zazwyczaj powołuje się kwit dłużny (cīptum kēnum)¹, a która przy gotówce wynosiła 20%, przy pożyczce w zbożu 33 $\frac{1}{2}$ %, jak wynika z tych dokumentów, gdzie wysokość odsetek wyraźnie jest podana². Świątynia Szamasza ma swą własną stopę procentową (cipat³ Šamaš), która zazwyczaj obowiązuje w interesach prowadzonych z kapłanami przy świątyni i ze skarbcem świątyni samej³.

Nieraz określony jest gatunek wypożyczonego zboża lub srebra (pieniędzy) jako »nieskazitelne i prawdziwe« z tem, że pożyczka ma być w tym samym dobrym stanie zwrócona⁴.

Jako termin spłacenia długu najczęściej podany jest czas żniw; dłużnik zebrawszy zboże z pola, mógł wtedy najwygodniej swe zobowiązania spełnić. Nieraz jednak wymawia sobie wierzyciel, że dług płatny wtedy, kiedy go zażąda⁵. Kilkakrotnie jest wzmianka o karze umownej na wypadek nieuiszczenia długu w umówionym terminie⁶. Za zgodą wierzyciela można było przenieść dług (asygnować) na inną osobę, tak np. z ojca na syna⁷. Nieraz jednak wymawia sobie wierzyciel wyraźnie, że nie wolno dłużnikowi przenieść zobowiązania na osobę trzecią⁸.

Znajdujemy także pożyczki za poręką trzeciej osoby. Forma jest ta, że A wystawia kwit dłużny tej treści, że zaciągnął pożyczkę od B dla C; w dniu uiszczenia długu przez C zostanie jego kwit zniszczony⁹.

¹ Kohler-Ungnad III Nr. 156, 170, 173; IV Nr. 848, 862, 864, 879, 896, 897, 903, V 1120, 1122.

² Por. Kohler-Ungnad III Nr. 148.

³ Kohler-Ungnad III Nr. 150—153, 157; IV Nr. 849, 851, 857—860, 866—868, 919, V 1115.

⁴ Ibid. III Nr. 154, 164, 187, 189, 205; IV 878, 1004, V 1118.

⁵ Ibid. IV Nr. 847, 862, 863, 869, 871.

⁶ Ibid. III Nr. 184; IV 874, 878.

⁷ Por. Schorr: Kodeks Hamurabiego l. c. str. 247; także Kohler-Ungnad IV Nr. 847, do czego por. Wiener Zeitschrift T. 24 str. 332.

⁸ Por. Schorr: Altbab. Rechtsurkunden III Nr. 45.

⁹ Schorr: Altb. Rechtsurkunden I Nr. 58.

Istnieją też akta stwierdzające, że »ponieważ ręka dłużnika została cofnięta« (t. j. ogłosił niewypłacalność), »ma rękojemca za niego dług uiścić«¹. W innym akcie »wycofuje rękojemca rękę wierzyciela«, to znaczy wstępuje na miejsce dłużnika i uwalnia go od egzekucyi².

Najciekawsze zjawisko w instytucyi pożyczki następczą nam te kwity dłużne, w których znajdujemy stypulację: »okazicielowi kwitu swego (ana náš kanikišu) pieniądze zapłaci«³. Widzimy w aktach tych, jak kredyt wyłamuje się stopniowo — od czasów Chammurapiego począwszy pojawia się ta klauzula — z pod stosunku osobistego i wiąże się li tylko z dokumentem. A to chyba jest początek weksla.

Że i w tych czasach można było obejść prawo i mimo surowych przepisów jego przeciw lichwie przecież prowadzić interesy lichwiarskie, świadczą te dokumenty, w których ktoś zaciąga dług w gotówce, a ma go spłacić w zbożu⁴. Jak Kohler⁵ bardzo trafnie wyjaśnia, zachodzi we wszystkich tych wypadkach fikcja prawna. Wieśniak zaciąga pożyczkę w zbożu na zasiew (ana šip-kâti), której wartość wstawiona jest w dokumencie w pieniądzech podług ówczesnego kursu. W czasie zbiorów ma wieśniak uiścić dług w zbożu, ale także podług bieżącego kursu (kîma machi-râti illakû). Ponieważ kurs zboża po żniwach jest o wiele niższy niż podczas zasiewów, więc wierzyciel dostaje o wiele większą miarę zboża, aniżeli kwota wypożyczona reprezentowała w dniu zaciągnięcia pożyczki. Jestto więc ukryta lichwa, ukryta w różnicy wartości zboża w różnych porach roku.

Pozostaje nam omówić jeszcze depozyt, który jest pewnego rodzaju pożyczką. Depozyt jest interesem, i dlatego — jak

¹ Kohler-Ungnad III Nr. 84, 87.

² Kohler-Ungnad IV Nr. 808 i str. 92 *ibid.* Por. także Schorr: *Rechtsurkunden III* (r. 1910) Nr. 44. Co do wyrażenia »rękę wycofać« (kâtam nasâchu) por. także ciekawe wywody w rozprawie Ed. Cuq: *Le droit babylonien au temps de la première dynastie de Babylone* (*Nouvelle Revue historique de droit français et étranger* T. XXXIII str. 430). Cuq zestawia to wyrażenie z analogicznym zwrotem w prawie rzymskim *manum depellere* w przeciwieństwie do *manus iniectio*.

³ Por. Kohler-Ungnad III Nr. 225—240; IV 919—920; V 1132.

⁴ *Ibid.* III Nr. 206—216, 235—240; IV 850, 852, 871, 877, 912—913.

⁵ *Ibid.* str. 239.

każdy inny — musi się odbyć przy świadkach i być stwierdzony układem piśmiennym (§ 122). Depozytaryusz odpowiada za zaginięcie depozytu (§ 125)¹, a gdy się go wypiera, płaci podwójną wartość. Odbierając depozyt, deponent kwituje na piśmie. Najczęściej deponowano zboże. Nie mając własnego spichlerza, składa je wieśniak u sąsiada, płacąc składowe wedle kodeksu 5 Ka za jeden Kur. Zboże musi być zwrócone podług miary deponenta. Ale oddaje się także srebro, ołów i inne rzeczy w przechowanie. W jednym akcie depozytaryusz, u którego złożono 8 $\frac{1}{2}$ min ołowiu na 15 dni, otrzymuje pozwolenie dalszego rozrządzania ołowiem pod warunkiem, że od 10 shekli będzie płacił $\frac{1}{3}$ shekla procentu. Depozyt przechodzi zatem w pożyczkę².

Tak przedstawia się w ogólnych zarysach ruch handlowy w swych ważniejszych objawach w Babilonii w okresie dynastii Chammurapiego. W tych objawach przebiega się wysoki stopień rozwoju gospodarczego. Co zaś szczególnie zaznaczenia godne, to jednolitość ustroju ekonomicznego w całym państwie Sumeru i Akkadu, oparta na jednolitości politycznej i administracyjnej, genialnie stworzonej przez największego króla tej dynastii, Chammurapiego. Od najdalszych zakątków na południu aż do Babilonu i wyżej na północ, wszędzie jedna norma, jedno prawo. Następne wieki mało co nowego stworzyły. Mogły tylko rozwinąć te instytucje ekonomiczne i prawne, które w tym okresie jeszcze powstały. Nie bez powodu uchodzi ten okres za złoty w historii babilońskiej.

¹ Kohler-Ungnad IV Nr. 842.

² Kohler-Ungnad III Nr. 171. Inny ciekawy przykład zob. u Schorra Rechtsurkunden III Nr. 28^{a-b}.



PRZYCZYNKI DYPLMATYCZNE Z WIEKÓW ŚREDNICH

napisał

WŁADYSŁAW SEMKOWICZ



1. Dokument Maura, biskupa krakowskiego (1109—1118) dla kościoła w Pacanowie.

W mało znanem u nas piśmie duchownem p. t. *Notificationes e curia Principis Episcopi cracoviensis ad universum ven. clerum*, urzędowym organie konsystorza biskupiego w Krakowie, pojawiały się przed kilkunastu laty, w dziale »*Miscellanea historica*«, cenne notaty i materiały historyczne, które anonimowy wydawca pełną dłońią czerpał z bogatego a niedostatecznie dotąd zbadanego archiwum konsystorza krakowskiego. Nie będziemy już dziś okrywać tajemnicą nazwiska skromnego pracownika, którym był niedoceniony u nas badacz, podówczas archiwaryusz konsystorski w Krakowie, ks. dr. Zygmunt Dunin Koziński.

W nrach 1710 (str. 57) i 1805 (str. 75) wspomnianego pisma z r. 1894 zamieścił ks. Koziński szereg dokumentów, odnoszących się do kościoła parafialnego w Pacanowie, pośród których na pierwszy plan wysuwa się przywilej biskupa krakowskiego Maura, w przedmiocie dziesięcin dla tegoż kościoła. Dokument ten, niedatowany, zawarty jest w transsumpcie biskupa Iwona (Odrawąży) z 15 sierpnia r. 1219.

Dokument pacanowski, jeśliby się okazał autentycznym, byłby jednym z najdawniejszych zabytków dyplomatyki polskiej, wystawca bowiem jego, biskup Maurus, zasiadał na stolcu krakowskim w latach 1109—1118¹. Najstarszy znany dokument polski Włodzisława Hermana z r. ok. 1085², odkryty przez prof. Wojciechowskiego, opiewa dla obcego odbiorcy, kościoła bamberskiego. Tyniecki zaś dokument legata Idziego pochodzi od obcego wystawcy, zresztą, o ile jest autentyczny (na co nie ma w naszej nauce po-

¹ Rocznik kapitulny krakowski. Mon. Pol. t. II, str. 797.

² Kwartalnik historyczny, r. 1902, str. 169.

wszechnej zgody), datuje się dopiero z czasu między r. 1119—1124, jest więc młodszy od dokumentu biskupa Maura¹. Faktycznie przeto byłby przywilej pacanowski najstarszym znanym rdzennie polskim dokumentem polskiego wystawcy dla polskiego odbiorcy².

Transsumpt biskupa Iwona, w który powyższy przywilej Maura jest inserowany, wobec ubóstwa dyplomatyki polskiej z pocz. XIII w. i nader szczupłej garstki znanych dokumentów tego biskupa, także ze wszech miar zasługuje na rozpatrzenie.

Mimo to rzeczzone dokumenty, z powodu małego rozpowszechnienia »Notificationum«³, nie zwróciły na się uwagi, na jakąby ze względu na swą wartość zasługiwały. Wiedziało o nich kilka ledwie osób ze ścisłego grona naszych mediewistów, nikt jednak nie pokuślił się dotąd o bliższe zbadanie ich autentyczności i wszechstronne użytkowanie zawartych w nich szczegółów historycznych. Jedynie Dr. Stanisław Zachorowski w cennej rozprawie p. t. *Początki parafii polskich*, idąc za wskazówką ś. p. K. Potkańskiego⁴, powołał się w kilku kwestjach na dokument Maura, przedrukowując nawet w notce z »Notificationes« jego tekst, w którym zauważył parę niedokładności. Zapowiedziane jednak przezeń ponowne wydanie i opracowanie tego dokumentu, mimo upływu trzech lat, nie doczekało się urzeczywistnienia, wobec czego uważałem za stosowne podjąć się tego zadania. W tym celu sięgnąłem jeszcze raz do źródła, z którego te dokumenty zaczerpnięto, i wydaję je tu ponownie w poprawnym tekście.

Dnia 18 marca 1502 r.⁵ zjawił się przed urzędem oficyna krakowskiego, Maciej Ślimawa, doktor medycyny i pleban w Paca-

¹ Data jego 1105 odnosi się do sporządzonego w tym roku spisu wsi i osadników klasztoru tynieckiego. Por. Papée Fr. Najstarszy dokument polski. Kraków, 1888 (Odb. z XXIII t. Rozpr. Ak. Um. Wydz. hist. fil.), oraz Piekosiński: Jeszcze słowo o dokumencie legata Idziego dla Tyńca (Kwartalnik histor. z r. 1889, str. 49).

² O rzekomem nadaniu dziesięcin na rzecz kl. Jędrzejowskiego przez biskupa Maura przechowała się wzmianka w innowacyi przywilejów opactwa, dokonanej w r. 1210 przez Wincentego Kadłubka, biskupa krakowskiego. Por. Małecki: W kwestyi fałszerstwa dokumentów. Kwart. hist. r. 1904, str. 8.

³ Nie posiada ich żadna z świeckich bibliotek we Lwowie.

⁴ Ś. p. Potkański powołał się także na dokument biskupa Maura w niedrukowanej dotąd pracy p. t. *Ród Nagodźców*, którą czytałem w rękopisie.

⁵ Acta Officialia, vol. 21 (z lat 1499—1508) pag. 174r.

nowie, prosząc o wpis do aktów oficjalatu przywilejów swego kościoła, z powodu przeszkód, doznawanych ze strony patronów i kolatorów kościoła: Jana Wapowskiego, Mikołaja Secygniowskiego i Jana Pacanowskiego, oraz braci tegoż ostatniego, Piotra, Bieniasza i Mikołaja. Dokumentów tych było sześć, z tych dwa tyczyły się dzieściń kościoła, tj. przywilej biskupa Maura w transsumpcie biskupa Iwona z r. 1219, oraz dokument biskupa Jana Muskaty z czasu między r. 1317 a 1319.

Transsumpt biskupa Iwona, znany nam zatem tylko z powyższej kopii, brzmi jak następuje:

In nomine sancte trinitatis et individue¹ amen². Ego Ivo miseratione divina episcopus Cracouiensis universitati filiorum matris ecclesie salutem in domino Ihesu. Cum ea que in tempore geruntur cum eo transeant et caduce fiant temporum acciones, innotesco futuris et³ presentibus super dotaliciis ecclesie de Paczanow⁴, mihi oblatum fuisse privilegium domini Mavri, condam episcopi Cracouiensis, qui in ordine successive institutionis me antecessit septimus, quod ob ineruderatam formam privilegiorum simplicis et rustice antiquitatis, parum aut nihil predictae ecclesie fore vidi profuturum. Quod tale fuit:

Ego Maurus Cracouiensis episcopus, licet indignus, confero⁵ Deo et beato Martino, in dedicacione eius ecclesie, decimam de villa, in qua eius ecclesia sita⁶ est et de Zabche et de Isgorsko et de Negoslaucha⁷ et de Gurouo et de Goracouo et de Scheglino et in Quassouo sortem

¹ W tekście »Notificationes« mylnie przemieniono porządek tych wyrazów: »sancte et indiuidue Trinitatis«.

² Brak tego wyrazu w »Notificationes«.

³ Ten wyraz opuszczony w kopii.

⁴ W oryginale była prawdopodobnie forma »Paczonów« jako dawniejsza od formy Paczanów.

⁵ W kopii: conferro.

⁶ W kopii: sitta.

⁷ Ks. Kozicki w »Notificationes« odczytał Yegolamcha. Tymczasem pierwsza litera, przypominająca istotnie nieco »y« jest raczej »n« z drugim trzonkiem, przedłużonym pod linię. Między »o« a »l« widzimy w kopii literę »r«, a literę »m« można równie dobrze czytać jako »ui«. Tak więc wyraz ten czytam w kopii: »negorlauicha«. Jest to błędna lekcja oryginału, gdzie niewątpliwie było »negoslaucha«, jak na to wskazują względy rzeczowe, o których niżej. Paleograficznie da się taki błąd kopisty łatwo wyłómaczyć.

Mangoldi. Semianus¹ autem patronus confert tabernam de eadem villa, decimum piscem, decimum vitulum, decimum agnellum, decimum porcellum, decimum caseum. Qui hoc inmutaverit, anathema sit.

Ego igitur iuris equitate et comitis Pacoslai pia in Domino devocione pensatis, eruderaciori cirographo cum consensu mei capituli ex ordine requisito, vetus novo privilegium innovando, confirmavi donacionem domini Mauri episcopi, predictae ecclesiae in perpetuum tranquille possidendum. Hec autem publice acta sunt in capitulo Cracouiensi, ordinato in ministerium Ihesu Christi in eadem ecclesia. Vissezlao decano, Bogufalo preposito, Andrea archidiacono, Benedicto scolastico, Laurencio cantore, Pantizlao custode ceterisque eiusdem capituli canonicis utpote Woycone, Radulfo, Blasio, Martino, Ioanne, Domano, Wychardo, Stephano, Troyano, Petro, Gaudencio, Gregorio, Vito, Nicolao, Gocuino, Zawissa et Roberto. Anno incarnationis dominice M^oCC^oXIX epacta III, concurrente primo, in die Assumpcionis beate Virginis Marie, anno pontificatus mei primo, regnante in Cracouia duce Lestcone². Ne qua igitur super predictis imposterum suboriat calumpnia, meo et capituli mei presentem paginam sigillis communivi. Si qua ecclesiastica secularisve persona factum hoc attemptaverit infirmare, sciat se excomunicacionis vinculo innodari et cum Pilato in extremis porcionem recepturum.

Dokument biskupa krak. Jana Muskaty w przedmiocie dziesięcin dla kościoła w Pacanowie, dotąd nigdzie nie drukowany, jest niestety znacznie uszkodzony, brakuje bowiem w samym środku kawałka karty. Niektóre wyrazy, łatwiej dające się domyślić, zamieściłem w nawiasach.

¹ Ks. Kozicki odczytał *Senuarius*, ja czytam *Semiaris*. Początkowe »mi« składa się z 4 równych trzonek, wprawdzie bez kreski nad ostatnim, ale ze względu na to, że Długosz w Lib. Ben. podaje lekcję »Seminianus« (zob. niżej), nie ulega wątpliwości, że w oryginale było »mi« a nie »nu«. Końcowe »rius«, jak również porównanie z lekcją Długosza wskazuje, musiało w oryginale brzmieć: »nus«. Z »n« kopista XVI w. mógł łatwo zrobić »ri«. Względy rzeczowe również przemawiają za tem, że mamy tu do czynienia z imieniem »Semianus«, czego się już domyślał ks. Kozicki w objaśnieniach do tekstu tego dokumentu (Notificationes, nr. 1710, str. 76).

² W tekście kopii błędnie: Lesccone, gdzie w miejscu pierwszego »c« w oryginale było »t«. Paleograficznie omyłka łatwa.

In nomine domini Amen. Nos Joannes Dei gracia Cracoviensis episcopus, per presentes publice protestamur, quod ecclesiam Sancti Martini apud Paczanow invenimus in possessione decimarum infra-scriptarum, videlicet eiusdem Paczanow, Sabcze, Zgorsco, Nyegoslauicze, Suthow, Szczeglino, Maraczow et sortis Mangoldi in Quasszow et etiam in possessione taberne [ibidem, necnon decimi piscis], decimi vituli, decimi agnelli, decimi porcelli, [decimi casei... Qu]am possessionem predictorum gratam et ratam [habentes, auctoritate nostra] imperpetuum confirmamus. Datum apud Cracoviam [anno Domini M. CCC...¹ Au]gusti. Actum presentibus hiis: domino [3—4 wyrazów brak]² Adamo preposito Cracoviensi, domino Jarostio [custode ibidem, domino Nankero canonico i]bidem et archidiacono Sandomiriensi et domino Eng[i]lberto, canonico Cr[ac]oviensi et preposito Scarbimiriensi et [aliis pluribus fidedignis ad capitulum] specialiter vocatis.

Wreszcie dla porównania przytaczam odpowiednie miejsce z *Liber Beneficiorum* Długosza³, w którym jest wzmianka o dokumencie biskupa Maura dla Pacanowa, widocznie przeto znanym naszemu dziejopisowi, choć niewiadomo czy z oryginału, czy też z transsumptu Iwonowego:

»Quam quidem ecclesiam ad honorem Beati Martini confessoris, Maurus Cracoviensis episcopus ad petitionem Seminiani patroni dedicavit, et octo decimis manipularibus de mensa episcopali dotavit, prout in privilegio, cuius exemplar subnectimus, latius continetur⁴...

¹ Datę, której brak w dokumencie z powodu wydarcia w tym miejscu karty, możemy określić w przybliżeniu. Ze względu na Kraków, jako na miejsce wystawienia dokumentu, przyjąć trzeba, że akt wydany został między r. 1302 (w którym kustoszem krakowskim był jeszcze Piotr, KKK. nr. 106) a r. 1308, w którym biskup Jan Muskata z kanonikiem Engelbertem poszli na wygnanie, albo między r. 1317, kiedy wrócili z wygnania a 1319, w którym Nanker był już dziekanem krakowskim (Theiner Mon. Vat. I. nr. 148). Ze względu na Nankera, który w charakterze archidyakona sandomierskiego pojawia się dopiero w r. 1308 (KM. nr. 138), oświadczam się za drugą ewentualnością. Por. Abraham, Sprawa Muskaty, Rozpr. A. U. W. hist. fil. t. XXX. s. 151 i 167.

² Może »Rymboldo, archidiacono«.

³ Por. wydanie Przeździeckiego, t. II, str. 422.

⁴ Stwierdziłem w autografie Długosza, przechowywanym w kapitule krakowskiej, że zapowiadanego tekstu przywileju biskupa Maura nie ma tam ani śladu.

Item de eisdem praediis tenentur heredes dare plebano decimum caseum, decimum agnellum, decimum porcellum. Item de lacubus Petri Sancznigiewsky datur plebano decimus piscis etc.«

Zanim przystąpimy do rozbioru dokumentu biskupa Maura, poddamy zbadaniu autentyczność transsumptu biskupa Iwona z r. 1219. Badanie to z natury rzeczy ograniczyć się musi do kryteriów wewnętrznych, przy pomocy materiału porównawczego, którego dostarczą nam nieliczne — co prawda — inne dokumenty Iwona Odrowąża.

Dokumentów tego biskupa znamy wszystkiego siedm (nasz byłby zatem ósmy), z tych jeden jeszcze z czasów jego kanonikatu i kancelarstwa, z d. 24 czerwca 1213¹, przechowany w oryginale, sześć zaś z czasów biskupstwa, mianowicie: 1) z d. 25 grudnia 1219 dla klasztoru w Mstowie, znany z kopii²; 2) bez daty dnia z r. 1222 dla klasztoru w Mogile, oryginał³; 3) z d. 6 sierpnia 1223 dla brata swego Wisława, oryginał⁴; 4) z d. 28 września 1227 r. dla Dominikanów krakowskich, oryginał⁵; 5) z d. 29 września 1228 r. dla klasztoru w Dłubni, kopia⁶; 6) z d. 18 stycznia 1229 dla klasztoru w Mogile, oryginał⁷.

Zarówno styl, jak i formuły dokumentalne transsumptu Iwonowego z r. 1219, nie budzą żadnych podejrzeń, przeciwnie, noszą one wszelkie cechy dyplomatyczne z pocz. XIII w., w szczególności właściwe dokumentom biskupa Iwona. Dyktat jego nie razi żadnym anachronizmem, nie zawiera żadnych zwrotów ani wyrażień niezgodnych z duchem czasu; zwięzły i prosty styl, znany z innych dokumentów Iwonowych, stanowi ważne znamię jego autentyczności. Z ważniejszych formuł, ten typ inwokacyi jest wówczas najczę-

¹ Rzyszcz. Muczk. Cod. dipl. Pol. t. III, nr. 7.

² Kod. dypl. Mpol. t. II, nr. 385. Wydawca tego kodeksu mylnie przenosi datę tego dokumentu na r. 1220, wychodząc z fałszywego założenia, że jeden ze świadków. Pęćław, kustosz krakowski nie mógł jeszcze w r. 1219 sprawować tej godności kapitulnej, bo w r. 1220 (Kod. mogil. nr. 1) występuje jako kustosz Herman. Otóż Piekosiński nie zwrócił uwagi na to, że ów Herman był kustoszem u św. Michała (por. Kmp. I. nr. 9 i 12) a nie katedralnym.

³ Kod. mog. nr. 2.

⁴ Tamże, nr. 3.

⁵ Rzyszcz. Muczk. t. I. nr. 18.

⁶ KKK. t. I. nr. 21.

⁷ Kod. mog. nr. 9.

ściej w użyciu, taki mają też cztery z wyżej wymienionych dokumentów Iwona¹. Również intytulacja singularna, zaczynająca się od zaimka »Ego«, jest w tych czasach jeszcze regułą i tylko dwa dokumenty biskupa Iwona posiadają intytulację pluralną², lecz oba znane są z kopii, w której już późniejszy przepisujący mógł dokonać przemiany wyszłej w jego czasach z użycia formy singularnej na powszechne później »majesticum«. Salutacja, jakkolwiek należy do rzadszych formuł dyplomatycznych, nie obcą jest jednak dokumentom osób duchownych tych czasów³. Komminacja, zawierająca klątwę, przy końcu transsumptu, stanowi również cechę współczesnych dokumentów i w zbliżonem brzmieniu występuje w innych dokumentach biskupa Iwona⁴.

Szczegóły chronologiczne transsumptu również nie wykazują żadnej sprzeczności, a rzetelność ich łatwo można sprawdzić. I tak biskupa Maura trafnie nazywa Iwo siódmym z rzędu swoim poprzednikiem, licząc wstecz od swego bezpośredniego antecessora⁵, jak to wówczas było w zwyczaju. Podobnie biskup poznański Benedykt (ok. r. 1190) określił Radwana, jako piątego swego poprzednika⁶. Datacja transsumptu składa się z kilku znamion chronologicznych na określenie roku, co jest szczególnie charakterystyczną cechą dokumentów Iwonowych⁷. Epakta III i konkurrenta I, zgadzają

¹ Z lat 1213, 1222, 1227 i 1228.

² Z lat 1219 i 1228.

³ Por. dok. biskupa krak. Pełki z r. 1192 (KM. I. nr. 3), Wincentego Kałużka z r. 1210 (Ib. II. nr. 386), biskupa płockiego Guntera z r. 1227 (Ib. II. nr. 392), arcyb. Pełki z r. 1233 (RM. II¹, nr. 15), etc.

⁴ Z lat 1219 i 1229.

⁵ Okazuje się to z następującego zestawienia:

7) Maurus, 1109—1118.

6) Radost, 1118—1142.

5) Robert, 1142—1144.

4) Mateusz, 1144—1166.

3) Gedko, 1166—1185.

2) Pełka, 1186—1207.

1) Wincenty, 1207—1218.

0) Iwo, 1218—1229.

⁶ Por. moją rozprawę: Nieznane nadania na rzecz opactwa jędrzejowskiego z XII w. Kwart. hist. z r. 1910, str. 84.

⁷ Por. np. dokument biskupa Iwona z r. 1227 (RM. t. I. nr. 18), który prócz daty »ab incarnatione« podaje — podobnie jak nasz transsumpt — epaktę, konkurrentę i rok pontyfikatu wystawcy.

się z rokiem 1219. Jako datę pontyfikatu podaje transsumpt rok pierwszy. Otóż Katalogi biskupów krakowskich i Rocznik kapitulny krakowski kładą jego konsekrację pod rokiem 1218, bez bliższego jednak określenia pory, w której zasiadł na stolicy biskupiej¹. Ponieważ jednak na ten sam rok przypadła rezygnacja poprzednika jego, Wincentego i Kadłubka, z godności biskupiej, oraz podróż Iwona do Rzymu², przeto przyjąć trzeba, że konsekracja jego odbyła się w drugiej już połowie roku 1218, a w takim razie w dniu wystawienia transsumptu, 15 sierpnia 1219, mógł jeszcze trwać pierwszy rok pontyfikatu Iwona³.

Najważniejszym jednak probierzem autentyczności transsumptu Iwonowego są świadkowie, wszyscy znani ze współczesnych dokumentów, choć w żadnym z nich kapituła krakowska nie występuje w tak pełnym jak tu komplecie: sześciu dygnitarzy i 17 kanoników bez godności⁴. Przyjrzyjmy się im bliżej i okreśmy na podstawie innych dokumentów ich chronologię w celu stwierdzenia ich współczesności.

Z dostojników kapitulnych wymienieni są w transsumpcie Iwonowym w porządku następujące osoby:

1) Wisław występuje jako dziekan już w r. 1206 (RM. I. nr. 7) i sprawuje tę godność do r. 1229, w którym postąpił na katedrę biskupią w Krakowie (KMP. I. nr. 12).

2) Bogufał był proboszczem w latach 1206—1228 (KKK. I. nr. 11 i 29).

3) Andrzej sprawuje archidyakonat w latach 1206—1219 (RM. I. nr. 7. — KM. II. nr. 385).

4) Benedykt był scholastykiem w latach 1206—1224. (RM. I. nr. 7. — Roczn. kap. krak. MP. t. II. s. 802).

5) Wawrzyniec jako kantor występuje w latach 1206—1222 (RM. I. nr. 7. — K. mog. nr. 2).

6) Pęcisław (Pęcław) z godnością kustosza występuje w latach 1219—1230 (KM. II. nr. 385. — K. mog. nr. 10).

¹ Mon. Pol. t. II. str. 802, t. III. str. 329.

² Por. Długosz, Hist. Pol. t. II. str. 206. Szczegóło wiarygodne z nieznanego źródła. Zob. Al. Semkowicz, Krytyczny rozbiór, str. 214.

³ Konsekracja jego odbyła się widocznie jeszcze przed 28 września 1218 r., gdyż dokument z r. 1227, mający tę datę dzienną, wspomina już o 10 roku pontyfikatu (RM. t. I. nr. 18).

⁴ Najpełniejszy znany z tych czasów spis kanoników z r. 1222 (K. mog. nr. 2) wylicza tylko 14 kanoników kapitulnych.

Z kanoników, niesprawujących dostojerństw, wymienieni są w naszym dokumencie:

- 1) Wojko, 1212—1219 (KKK. I. nr. 8. — KM. II. nr. 385).
 - 2) Radulf, 1214—1222 (KM. II. nr. 383. — K. mog. nr. 2).
 - 3) Błażej, 1206—1222 (RM. I. nr. 7. — K. mog. nr. 2).
 - 4) Marcin, 1212—1220 (KKK. I. nr. 8. — K. mog. nr. 1).
 - 5) Jan, 1212—1222 (KKK. I. nr. 8. — K. mog. nr. 2).
 - 6) Doman, 1219—1235 (KM. II. nr. 385. — Tamże, nr. 413).
 - 7) Wychardus jako kustosz kielecki występuje w dokum. z r. 1212 (KM. I. nr. 19); czy jednak w obu wypadkach nie jest to tylko pomyłka zamiast »Richardus«, który jako kanonik krakowski występuje w latach 1210—1222. (KM. II. nr. 380. — K. mog. nr. 2).
 - 8) Stefan, 1206—1228 (RM. I. nr. 7. — KKK. I. nr. 21).
- Tych ośmiu kanoników było prawdopodobnie presbyterami, jak okazuje porównanie z dokumentem z r. 1222, gdzie niektórzy z nich są wymienieni wedle stopni święceń¹.

Następuje czterech kanoników dyakonów:

- 9) Trojan, 1210—1236 (KM. II. nr. 380. — RM. I. nr. 26).
 - 10) Piotr, 1212—1224 (KKK. I. nr. 8. — Tamże, nr. 13).
 - 11) Gaudenty, 1212—1220 (KM. I. nr. 15. — K. mog. nr. 1).
 - 12) Grzegorz, 1219—1235 (jak wyżej, pod nrem 6).
- Ostatnich pięciu, to zapewne kanonicy-subdyakonowie:
- 13) Wit, 1212—1222 (jak wyżej, pod nrem 7).
 - 14) Mikołaj, 1206—1228 (jak wyżej, pod nrem 8).
 - 15) Gocwin, 1210—1222 (jak wyżej, pod nrem 7).
 - 16) Zawisza, 1214 (KM. II. nr. 383).
 - 17) Robert, 1220—1222 (K. mog. nr. 1. — Tamże, nr. 2).

Zarówno więc kryteria formalne, jak i świadkowie, znani z współczesnych dokumentów, stwierdzają autentyczność transsumptu biskupa Iwona.

Nierównie trudniejszą jest ocena autentyczności dokumentu biskupa Maura, brak nam bowiem zupełnie współczesnego materiału porównawczego, dlatego wnioski z formalnej jego strony wysnute, nie mogą być zupełnie pewne i ścisłe.

Dokument ten odznacza się przedewszystkiem nader prostą budową dyplomatyczną, ubóstwem formuł, z których posiada tylko intytulację i sankcję. Całą niemal osnowę stanowi tu dyspozycja

¹ K. mog. nr. 2. Dokument ten wymienia ich tylko pięciu.

odznaczająca się krótkim, lapidarnym stylem, pozbawionym zupełnie frazesów i wszelkich ozdób retorycznych. Szczególnie charakterystyczną i wysoce archaiczną jest króciutka anatema, zjawiająca się w podobnej formie jeszcze niekiedy w drugiej połowie XII w.¹ Tą formą swą odbiega przywilej pacanowski zarówno od późniejszych dokumentów polskich, jak i od współczesnych mu okazów nawet prywatnej dyplomatyki zachodniej, mających w tym czasie już dobrane rozwinięte formy dyplomatyczne.

Wewnętrznej prostocie tekstu odpowiadała niewątpliwie zewnętrzna forma dokumentu Maura. Konfirmacja Iwona uzasadnia konieczność jego odnowienia względem na „*ineruderatam formam... simplicis et rustice antiquitatis*“, przyczem ani słowem nie wspomina o pieczęci, której też prawdopodobnie nie było wcale.

Wszystkie te kryteria, tak wewnętrzne, jak zewnętrzne, świadczą za autentycznością przywileju pacanowskiego, który był typowym okazem dokumentu prywatnego z epoki jego upadku², która na Zachodzie przypada na wiek X i XI, u nas zaś przetrwała dłużej, prawie do końca wieku XII. Dyplom formalny stracił w tym czasie znaczenie środka prawnie dowodowego, a w ślad za tem zeszedł do rzędu prostego, niewiarygodnego aktu, którego celem było jedynie zachowanie danego zdarzenia w pamięci. Ten cel nie wymagał oczywiście form ani zewnętrznych, ani wewnętrznych, nie potrzebował też legalizacji ze strony wystawcy, a cały jego walor tkwił w końcowej maledykcji, obowiązującej jedynie w sferze sumienia religijnego.

Otóż przypuszczam, że tak było i w naszym wypadku. Przy poświęceniu kościoła w Pacanowie biskup i patron poczynili nadania dziesięcinne, które spisano wspólnie na kawałku pergaminu na wieczną pamiątkę, aby każdorazowy pleban wiedział, co mu się należy ze stołu biskupa i dziedzica, na zabezpieczenie zaś swych praw miał w zanadrzu na piśmie anatemę biskupią. W zwyczajnych warunkach mogło to wówczas wystarczyć i niewątpliwie wystarczało, ale na wypadek procesu, taki akt niewiarygodny, pozbawiony był zgoła wartości i znaczenia dowodowego, tembardziej, jeśli nie było w nim wymienionych świadków czynności nadawczej, którzy w razie potrzeby mogli zaświadczyć jej dojście do skutku.

¹ Por. dokument Benedykta, biskupa poznańskiego z ok. r. 1190. KWp. nr. 29.

² Bresslau H., Urkundenlehre, t. I. str. 500 nast.

Za wzorem Zachodu dokument formalny zaczął sobie u nas w ciągu XII w. zdobywać uznanie i prawo obywatelstwa, tak, że w początkach XIII w. już taki akt, pozbawiony form i niewierzytelniony pieczęcią, odbiorcy nie wystarczał. Wyraźnie podkreśla to transsumpt biskupa Iwona, że dokument Maura z powodu nieokrzesanej formy (*ineruderatam formam privilegiorum*) stał się dla kościoła pacanowskiego nieprzydatny. Dlatego były kanclerz książęcy, bywalec we Włoszech, ojczyźnie dyplomu, znawca zachodniej dyplomatyki, zastąpił stary przywilej nowym, *eruderationi cirographo*¹, jak się znamienne wyraża, a uczynił to w formie transsumptu, u nas jeszcze podówczas dość rzadkiej.

Do każdego transsumptu zwracamy się zwykle z pewną nieufnością, bo to był istotnie najdogodniejszy i najczęstszy sposób przemycania fałszykatów. W naszym jednak wypadku nie budzi podejrzenia, a prostota budowy i lakoniczność stylu, właściwe dokumentowi Maura, byłyby już w czasach biskupa Iwona niemożliwe.

Rozpatrzmy z kolei materyał faktyczny, zawarty w dokumencie biskupa Maura i starajmy się wyciągnąć zeń wnioski ogólniejszej natury.

Niektórych kwestyi, zwłaszcza dotyczących się stosunków kościelnych, dotknął już przedemną znalazca i pierwszy wydawca omawianego dokumentu, ks. dr. Kozicki, oraz dr. Zachorowski w pracy *Początki parafii polskich*. Ten ostatni zwrócił uwagę, że dokument Maura zawiera jedną z najdawniejszych wzmianek o kościołach wiejskich w Polsce². Datę erekcyi kościoła określa ks. Kozicki na rok 1109 na tej podstawie, że rok ten podają akta wizytacyi³, skąd Sz. autor wnosi, że była ona zapewne wypisana *in verso* transsumptu Iwonowego. Otóż nadmienić trzeba, że powołane wizyty określają rok tylko w przybliżeniu (*circa a. 1109*); lecz choćby nawet ta data figurowała *in dorso* konfirmacyi biskupa Iwona, to przypuścić należy, że wpisano ją tam nie współcześnie, ale dopiero później, jako znaną

¹ Wyraz ten, oznaczający właściwie szczególny rodzaj podwójnych dokumentów, jest tu użyty niewątpliwie w ogólnem znaczeniu »dokumentu«.

² L. c. str. 13.

³ Wizyta Małachowskiego z r. 1699: »ecclesia parochialis circa annum 1109 partim ex lapide, partim ex lateribus edificata, ad petitionem heredis Seminiani a Mauro episcopo Crac. consecrata (Acta Visit. t. XIV, p. 196). Wizyta Poniatowskiego z r. 1783 wspomina o dokumencie Maura z r. 1109, ale powołuje się na oblatę w aktach konsystorza krak. (Acta Visit. t. LVI, p. 4).

z roczników początkową datę episkopatu Maura (1109—1118). Zresztą dacie 1109 sprzeciwia się ta okoliczność, że dzień konsekracji obchodzono w kościele pacanowskim w pierwszą niedzielę po św. Bartłomieju¹ (24 sierpnia), która przypadała najpóźniej na 30 sierpnia, podczas gdy poprzednik biskupa Maura, Baldwin, zmarł dopiero 7 września 1109². Konsekracja kościoła pacanowskiego przez biskupa Maura mogła się przeto odbyć najwcześniej z końcem sierpnia 1110 r., gdy zaś biskup Maurus zmarł dnia 5 marca 1118 r.³, jako termin *ad quem* przyjąć zatem należy sierpień r. 1117.

Dr. Zachorowski, powołując się na dokument Maura, zwrócił uwagę na uwidoczniający się w nim stosunek terytoryum dziesięcinnego do późniejszego terytoryum parafialnego i wysnuł stąd wniosek o wpływie czynnika czysto kościelnego, dziesięcinnego, na tworzenie się organizacji parafialnej w Polsce. Moment własności prywatnej (rodowej), który autor wykazał w innych wypadkach, tu zdaje się on wyłączać, w każdym zaś razie przypisuje mu rolę podrzędną, wysuwając na pierwszy plan czynnik kościelny⁴. Sprawa ta domaga się bliższego rozpatrzenia na tle stosunków rodowo-własnościowych, punktem zaś wyjścia dla tych badań będą wymienione w dokumencie miejscowości oraz osoba patrona kościoła św. Marcina — Siemiana.

Około tej postaci skupia się głównie nasza uwaga, choćby z tego względu, że jest to najdawniejszy znany u nas świecki patron kościelny⁵. Że zaś prawo patronatu wyrosło na gruncie własności prywatnej⁶, a ta znów ściśle związana była z stosunkami rodowymi, więc przedewszystkiem nasuwa się pytanie: kto był ów Siemian, z jakiego pochodził rodu i w jakim stosunku pozostawał do wymienionych w dokumencie Maura włości, z których dziesięciny przeznaczał biskup na rzecz kościoła w Pacanowie? Ciekawość naszą w tym względzie potęguje okoliczność, że mamy tu do czynie-

¹ Acta Visit. t. LVI. p. 4.

² Rocznik i kalendarz krak. Mon. Pol. II. s. 797 i 930.

³ Tamże, str. 797 i 915.

⁴ L. c. str. 22.

⁵ Pierwszą wyraźną wzmiankę o patronach we właściwym znaczeniu mieliśmy dotąd dopiero w bulli papieża Celestyna III. z r. 1193 dla klasztoru św. Wincentego we Wrocławiu. Por. Abraham, Początki prawa patronatu w Polsce, Przegl. pr. i adm. z r. 1889, str. 595.

⁶ Abraham, l. c. str. 593 nast.

nia z osobą bezwątpienia znaczniejszą, żyjącą w samych początkach XII w., z których to czasów znanych nam ludzi na palcach mogliśmy policzyć.

Na naszego Siemiana zwrócił już uwagę nieodżałowany nasz uczony prof. Potkański, w niedrukowanej dotąd pracy p. t. »Ród Nagodzciców«, którą przedstawił na posiedzeniu Wydziału hist. filoz. Akad. Umiej., d. 18 marca r. 1907, a króciutkie tylko streszczenie podał w »Sprawozdaniach z posiedzeń«. Mając możność korzystać z tej niezmiernie ciekawej i ważnej pracy w rękopisie, poczuwam się do obowiązku uwzględnić te wyniki badań Potkańskiego, które łączą się z tematem niniejszych rozważań.

Potkański rzucił pomysł, że ów Siemian mógłby być członkiem rodu Nagodzciców-Jelitów, czyli Kozlichrogów. Pomysł taki nasuwają dwie okoliczności:

1) W księdze konfraterni lubińskiej zapisano przy końcu XII w. imię Siemiana Dziwiszowica¹. Imię Dziwisz, skrócone z Dziwigor, a odpowiadające kościelnemu imieniu Dyonizy, było rodowem u Nagodzciców, a w innych rodach prawie nieużywanem². Jeden z tych Dziwiszów, proboszcz szkalmierski, żyjący w pocz. XV w., pisze się »z Pacanowa«³. Otóż ów Siemian Dziwiszowicz z końca XII w., niewątpliwie Nagodziec, mógłby być wnukiem naszego Siemiana, patrona pacanowskiego.

2) Pacanów za czasów Długosza należał do Nagodzciców⁴.

Mimo tak pojętych danych do wysnucia wniosku, że Siemian z dokumentu biskupa Maura pochodził z rodu Nagodzciców, Potkański, niezmiernie (powiem — nadmiernie nieraz) ostrożny w konstrukcji historycznej, odrzucił ten pomysł i wołał »zostawić tych Siemianów tak jak są, tj. nie łączyć ich z sobą, choć się to może wydać pojętnem«. Na uzasadnienie takiej konkluzji podał Potkański najpierw ogólną metodyczną wskazówkę, że »nie należy w ogóle zbyt nie-

¹ Mon. Pol. t. V. str. 580. Wydawca tej książki kładzie datę 1170. Ponieważ jednak przed Siemianem zapisany jest Odo (Mieszkowicz) z żoną i synami, których miał dwóch, przeto ze względu na datę urodzenia drugiego jego syna Ottona, mianowicie rok 1191 lub 1192 (Balzer, Genealogia Piastów, str. 224) trzeba przesunąć czas wpisania komemoracji na sam koniec XII w.

² Zwrócił na to uwagę już Piekosiński: Rycerstwo Pol. t. II. str. 248. Podzielał to zapatrywanie Potkański w cyt. rozprawie.

³ Piekosiński, Zapiski sandomierskie, nr. 76, 162, 315, 1009.

⁴ Długosz, Lib. Beneficiorum, t. II, str. 422.

ruchomiaców stosunków średniowiecznych; lat trzysta (*sic*), to zbyt długi okres, aby móż powiedzieć, że i w pierwszych latach XII w. ci sami Nagodzice mieszkali w Pacanowie. Ten negatywny wniosek autora »Rodu Nagodzców«, opiera się na dwóch przesłankach:

1) Że imię Siemian poza tym jednym przykładem z księgi lubińskiej — o ile można sprawdzić — już więcej w tym rodzie się nie powtarza.

2) Że w r. 1219, t. j. w czasie wydania transsumptu Iwonowego dziedzicem Pacanowa i patronem kościoła był komes Pakosław, na którego prośbę biskup Iwo transsumował dokument Maura. »Jest to — słowa autora — dobrze znany z dokumentów współczesnych komes Pakosław Stary. Należał on do rodu Habdanków, jak samo imię wskazuje i pieczęć, na której widnieje znak tego rodu¹. Dodaje w końcu Potkański, że »związać z sobą oba te rody (Nagodzców i Habdanków) nie jesteśmy w możności, wszelkie też kombinacye i domysły w tym względzie na nicby się nie przydały«.

Tego zapatrywania zasłużonego badacza naszej przeszłości podzielać nie mogę, i uważając naszego Siemiana za Nagodzica, sądzę, że jest on istotnie protoplastą późniejszych Pacanowskich.

Przedewszystkiem imię Siemian było u Nagodzców, przynajmniej do końca XIII w., rodowem, i prócz owego Dziwiszowica z księgi lubińskiej, dadzą się wykryć inni Nagodzice tegoż imienia. I tak u schyłku wieku XIII występuje Siemian »de Glow«, który w roku 1279 sprawował urząd podczaszego krakowskiego, a w roku 1290 stolnika krakowskiego². Otóż »Glow« to niewątpliwie osada »Głowo« w ziemi łęczyckiej, nad rzeką Swonką, w parafii Gieczno³. Leży ona właśnie na linii rozsiedlenia Nagodzców, między Gajem a Modrzejem, także osadami Nagodzców⁴. Z tego to Głowa wyszła zapełniona rodziła Głowów h. Nagody, która w XV w. przeniosła się

¹ W notce nadmienia Potkański, że idzie w tym względzie zupełnie za zdaniem Piekosińskiego, iż »Pakosławy nie są Lisy, lecz Habdanki, a imię Pakosław, stale się w tym rodzie powtarzające, uznać należy za rodowe«.

² Kod. kat. krak. t. I. nr. 82 i Kod. wpol. t. II. nr. 516. W tym ostatnim dokumencie występuje on w towarzystwie dwóch Floryanów, także Nagodzców. Za członka tego rodu uważał go też Piekosiński, l. c. str. 213.

³ Słownik geograficzny Król. Pol. »Głowo«.

⁴ Paprocki zalicza dziedziców tych wsi do Nagodzców. »Herby ryc. pol.« str. 267 i 270.

w Pilźnieńskie (gdzie założyła osadę Głowów) i dalej na Ruś¹. Znamy nadto kilka wsi o nazwach urobionych z imienia Siemian, które pozostają niewątpliwie w związku z Nagodzicami. I tak w okolicy Kutna i Gostynina mamy na przestrzeni około 4 mil. dwie wsie o nazwie »Nagodów«, a w ich sąsiedztwie Siemiony, Siemianów i Siemianice. Wszystkie te wsie leżą na linii rozsiedlenia Nagodziców, w pobliżu innych wsi tegoż rodu (Kotowa, Gaju i Dębowej góry)². Nadto Potkański zwrócił uwagę, że osada śląska pod Krzyżborkiem, zwana dziś Ludwigsdorf, zwała się dawniej Nagodowice. Otóż w pobliżu niej (ok. 3 mile) leży wieś Siemianice (pod Bolesławcem).

Wszystko to wskazuje na ścisły związek imienia »Siemian« z rodem Nagodziców i każe uznać to imię u nich za rodowe. Że i Siemian z dokumentu biskupa Maura był Nagodzicem, przemawia za tem ta okoliczność, iż był patronem kościoła św. Marcina, a więc i dziedzicem Pacanowa, w którym w dwa (nie trzy, jak utrzymywał Potkański) wieki znów spotykamy się z tym rodem. Oto z początkiem XIV w. żyje Piotr z Mokrska i Pacanowa, kasztelan małogojski (1306—1310), później wiślicki (1315), wreszcie sandomierski (1317—1328), ojciec biskupa Floryana z Mokrska, notorycznego Nagodzica³.

Chodzi o to, czy możemy naszego Siemiana łączyć genealogicznie z tym Piotrem i upatrywać ciągłość w dziedziczeniu Nagodziców na Pacanowie. Śp. Potkański przestrzega przed unieruchomianiem stosunków średniowiecznych — w zasadzie słusznie, choć z drugiej strony, jeśli chodzi o to, co uważać za regułę w tych czasach: czy tendencję do zmiany w stosunkach własności ziemskiej, czy przeciwnie dążność do utrzymania ich stałości, to przyjąłbym raczej ten drugi pogląd, pomny na siłę średniowiecznych związków krwi, przywiązanie do ziemi rodowej i prawną jej ochronę

¹ Paprocki, l. c. str. 269 oraz Boniecki, Herbarz szlachty pol. pod »Głowowie«.

² Na ten szczegół nie zwrócił uwagi Potkański.

³ Zob. o nim Piekosińskiego, Rycerstwo małopolskie, t. I. str. 256. — Por. nadto Kod. małop. t. I. nr. 175, gdzie występuje nasz Piotr w dokumencie, znanym tylko z dwóch błędnych kopii, z których w jednej podany jest jako Petrus castellanus »dictus Paczn«, w drugiej »dictus Pacemus«. Podzielać zdanie Piekosińskiego (l. c.), że tu mowa o Pacanowie, w którym niebawem znów widzimy notorycznych Nagodziców (od r. 1397 Dziwisz z Pacanowa, prepozyt szkalmierski. Zap. sandomierskie, nr. 76, 162, 315 etc.). — O tem, że Piotr był ojcem biskupa Floryana, zob. MPol. t. II. str. 912. — O pochodzeniu biskupa Floryana, zob. MPol. t. III. str. 370.

w postaci prawa bliższości. Mnogie są też przykłady, że własność ziemską, zwłaszcza u większych rodów, trwała nieraz przez szereg wieków, a możnaby przytoczyć wiele dowodów na to, że rody, których członkowie występują w danych miejscowościach w wieku XII, trzymają je jeszcze w swem władaniu w XV, ba nawet w XVI i XVII stuleciu¹. W każdym poszczególnym wypadku trzeba przeto rzecz badać z osobna.

Co do Pacanowa, to pozorną przeszkodę w upatrywaniu ciągłości dziedziczenia Nagodziców między Siemianem z pocz. XII w. a Piotrem z pocz. XIV w. stanowi ów Pakosław, na którego prośbę biskup Iwo transsumował przywilej Maura. Potkański uważał go za Habdanka i utożsamiał nawet ze znaną postacią współczesną, Pakosławem Starym, synem Lasoty. Przyjmując to przypuszczenie, nie musimy równocześnie uważać Pakosława za dziedzica Pacanowa. W dokumencie występuje on w roli interwenienta, a wiadomo, że na interwenientów upraszczano zazwyczaj właśnie osoby wpływowe i znaczne. Jeśli przeto nasz Pakosław jest identyczny z Pakosławem Starym-Habdankiem², to z tej okoliczności, że wstawiał się u biskupa Iwona za kościołem pacanowskim, nie ma powodu wysnuwać wniosku, że był dziedzicem Pacanowa, a nawet patronem kościoła św. Marcina. Mógł być zresztą Pakosław-Habdank współpatronem kościoła i z tego tytułu interwenientem w dokumencie Iwonowym. Pod samym Pacanowem, w Karsach i Książnicach, spotykamy w połowie XV w. Habdanków³. Karsy należą do parafii pacanowskiej, więc z tego tytułu mogli mieć Habdanki współpatronat kościoła. Lecz oni są w tych stronach niewątpliwie przybyszami, i to przyjeźcami, pochodzą bowiem z Sudółu i Budziszowic⁴ pod Skalbierzem, gdzie było główne gniazdo małopolskich Habdanków (Skalbierz od Skarbimirza, imienia Habdanków). Skłaniałbym się nawet do przypuszczenia, że także posiadłości Nagodziców w okolicy Skalbierza i Działoszyc mogły być przez nich nabyte drogą przyżenku. Na związki rodzinne między Habdankami a Nagodzicami, i to już wczesne, bo

¹ Np. Toporczycy w okolicy Tęczyna, Odroważe w okolicy Końskiego, Łabędzie — Skrzynna, Pałuki — Łekna, Leszczyce — Łabiszyna i Pakości etc.

² Zwracam uwagę, że prócz Pakosława Starego żyło współcześnie jeszcze dwóch innych Habdanków tego imienia: Pakosław Młodszy Wojciechowicz i Pakosław Włostowicz. Zob. o nich artykuł Dra Łodyńskiego w Mies. herald. z r. 1911 zes. 5/6.

³ Długosz, Lib. Ben. t. II, str. 421, 422.

⁴ Długosz, l. c. i Boniecki pod Książnickimi.

pocz. XIII w. sięgające, wskazywałaby wymiana imion rodowych. Tak np. Floryan, jedno z najbardziej typowych imion u Nagodziców, pojawia się w tym czasie także u Habdanków: nosi je brat rodzony Pakosława Młodszego, a stryjeczny Starego¹. Naodwrot mogło imię Pakosław dostać się przez kobiety od Habdanków do Nagodziców, i Pakosław z dokumentu Iwona mógłby być nawet Nagodzicem, a niekoniecznie Habdankiem². Nie jest to imię w tym czasie już wyłącznie Habdankom tylko właściwe, lecz spotykamy je u innych nadto rodów, na Śląsku³ i na Mazowszu⁴. Tylko wielkopolskich Pakosławów uważać trzeba za Habdanków, bo tam w okolicy Lubinia było pierwotne ich gniazdo.

Z rozważań tych wynika, że Pakosław z r. 1219 nie powinien wchodzić w drogę Nagodzicom pacanowskim i nie ma powodu przypuszczać, że Pacanów w tym czasie był w ręku Habdanków, przeciwnie, jest wysoce prawdopodobnem, że między Siemianem z pocz. XII w., a Piotrem i jego następcami z XIV i XV w., dziedziczył na Pacanowie cały łańcuch nieznanych nam bliżej Nagodziców. Z pośród licznych Floryanów, których w XIII w. spotykamy w ziemi krakowskiej i sandomierskiej, zapewne niejeden był także rodem z Pacanowa. Niestety źródła z tych czasów nie podają nam jeszcze miejsca pochodzenia osób stanu rycerskiego i stąd pochodzi nasza niepewność w określaniu rodowem jednostek.

Wykazanie, że Nagodzice dziedziczyli na Pacanowie już co najmniej od początku XII w., osłabia w znacznej mierze tezę Potkańskiego, upatrującą pierwotne gniazdo tego rodu nie w Małopolsce, ale w Sieradzkiem, w okolicy Rozpry. Polemikę z wywodami zasłużonego badacza, zanim praca jego zostanie ogłoszona, uważam za rzecz niepożądaną — może mi to danem będzie uczynić w innym czasie i na innym miejscu. Tu tylko ogólnie zauważę na podstawie własnych badań nad tym rodem, że: 1) w odniesieniu do Rozpry ani jedna wzmianka o osiedleniu w tej okolicy Nagodziców nie może się równać pod względem starożytności z dokumentem Maura, stwier-

¹ Kod. mp. t. I. nr. 24.

² Przychodzi tu na myśl, co niech rozstrzygną filologowie, że nazwa Pacanów, pierwotnie zawsze Paczonów, może pochodzić od Pakosława = Paczona. Zwracam uwagę, że w dokumencie Maura osada ta nie ma jeszcze nazwy, która pojawia się dopiero w dokumencie Iwona z r. 1219 wraz z Pakosławem.

³ Pakosław Henrykowiec de Slesia. Kod. mog. nr. 12.

⁴ Pakosław z Żyromina. Kod. mazow. nr. 10.

dzającym ich osadnictwo w Małopolsce już na pocz. XII w., 2) że gniazdo rozpierskie przedstawia się tylko jako ogniwo w łańcuchu osadniczym Nagodziców¹, który się ciągnie od Pacanowa (gniazdo) w kierunku pñ. zach. przez Szczaworzysz, Żerniki i Widuchową do Mokrska nad Nidą (gniazdo), skąd wysyła gałąź secygniewską na południe, dalej przez Bizorędę pod Chęcunami i Małogoszczą ku Węgleszynowi (gniazdo), skąd znów ramię południowe przez Kępie do Witowic Pieniążków (gniazdo). Dalej przez Mnin, Pilczycę i Czeremno, skąd jedna gałąź idzie pod Żarnów (Skórkowice, Dziebałtów), zmierza ten łańcuch osadniczy Nagodziców do Majkowic pod Przedborzem nad Pilicą, gdzie wznoszą się do dziś dnia potężne zwaliska zamku Floryana Szarego, Surdega. Tu poczyną się obszerniejsze gniazdo rozpierskie, które otacza ten gród od południa i zachodu, przechodząc ku północy znów w łańcuch, ciągnący się w tym kierunku wzdłuż wschodniej granicy ziemi łęczyckiej aż po Kutno i Gostynin. Na terytorium łęczyckiem osadnictwo Nagodziców ma przeto widocznie charakter »pograniczny«, jak znów ich osadnictwo pod Rozprzą, Żarnowem i Małogoszczą, zdaje się być w związku z tymiż grodami².

Gniazdo pacanowskie jest w tym osadniczym łańcuchu końcowem ogniwem, wysuniętem najdalej na południe. Czy i najstarszem, jakby z chronologii dokumentów wnosić można — tego na razie nie twierdzę, jakkolwiek wydaje mi się to wcale prawdopodobnem.

Położenie i rozmieszczenie osad w gnieździe pacanowskiem możemy poznać dopiero na podstawie działów rodzinnych z pocz. XV w. oraz Długosza *Liber Beneficiorum*³. Znamy dwa działły rodzinne, jeden z r. 1419, przekazany w Paprockiego »Herbach rycerstwa polskiego«⁴, drugi z r. 1432, który znalazłem w aktach wiślickich, przechowanych w Archiwum głównem w Warszawie⁵.

W pierwszym z tych działów, który czynią synowie Floryana z Mokrska, Pacanów, Niegosła wice, Rataje i Szczucin⁶ dostały się Floryanowi. W drugim dziale, między Floryanem z Mokrska

¹ Na to zjawisko nie zwrócił uwagi śp. Potkański w swej pracy.

² Potkański wykazał to tylko w odniesieniu do Rozprzy.

³ Długosz, Lib. Benef. t. II. str. 422—426.

⁴ Paprocki, Herby ryc. pol. str. 257.

⁵ Tom VI. pag. 178^r.

⁶ W tekście Paprockiego mylnie Schucheczyn.

a Tomaszem i Janem z Secygniewa, pierwszy otrzymał dwór w Pacanowie *circa templum* z przynależnościami i niektórymi częściami miasta, nadto wsie: Wilkowyje, Górę i Sadowe; dwaj drudzy dostali niektóre części Pacanowa, Karsy, oraz 100 grzywien na Zgórsku. Wedle Długosza zaś do Floryana i Piotra Pacanowskich, synów stolnika krakowskiego, należy Pacanów, gdzie pewną część ma nadto Piotr Secygniewski, dalej Niegosławice, Szczeglin, Zgórsko, Żabiec, Słup, Wilkowyje i Czermno (Czyrnin)¹, nadto w Karsach dziedziczy wspomniany Piotr Secygniewski, a w Świniarach Jan Zakrzowski, wszyscy Nagodzice.

Zestawmy teraz wsie dziesięcinne kościoła pacanowskiego z dokumentu biskupa Maura z temi, które w XV w. wykryliśmy w posiadaniu Nagodziców w okolicy Pacanowa.

<i>Dok. Maura.</i>	<i>Dział z r. 1419.</i>	<i>Dział z r. 1432.</i>	<i>Lib. Benef.</i>
1. Pacanów	Pacanów	Pacanów	Pacanów
2. Żabcze	—	—	Żabiec
3. Zgórsko	—	Zgórsko	Zgórsko
4. Niegosławice	Niegosławice	—	Niegosławice
5. Górowo	—	Góra	—
6. Gorakowo	—	—	—
7. Szczeglino	—	—	Szczeglin
8. Kwasowo	—	—	—
9. —	Rataje	—	—
10. —	Szczucin	—	Szczucin
11. —	—	Wilkowyje	Wilkowyje
12. —	—	Sadowe	—
13. —	—	Karsy	Karsy
14. —	—	—	Słup
15. —	—	—	Czermno
16. —	—	—	Świniary

Na ośm wsi, płacących w pocz. XII w. dziesięciny kościołowi w Pacanowie, sześć znaleźliśmy jeszcze w XV w. w rękach Nagodziców. Pozostają jeszcze dwie, Kwasowo, nie dające się później wykryć w ręku tego rodu i Gorakowo, co do której nie mamy pewności, czy nazwa jej później zaginęła, czy też jest ona identyczna

¹ Lib. Benef. t. II. str. 403.

z późniejszą Gorzakwią w parafii Gnojno, oddaloną tylko o 3 mile na płn. od Pacanowa. To ostatnie przypuszczenie jest prawdopodobne, bo wprawdzie w Gorzakwi samej nie znajdujemy później Nagodzciców, ale siedzą oni w sąsiednich wsiach: Podstoli¹ i Jarzabkach²; parafia Gnojno zaś, do której te wsie wraz z Gorzakwią należą, pobiera dziesięcinę z pewnych pól wsi Słup pod Pacanowem, należącej do Nagodzciców³. Jest przeto rzeczą możliwą, że Gorakowo z dokumentu Maura — to Gorzakiew pod Gnojnem, która to wieś — zdaje się — była także kiedyś w posiadaniu Nagodzciców.

Prof. Dr. Wł. Abraham wykazał w swej cennej pracy »O powstaniu dziesięciny swobodnej«⁴, że osady i wsie, z których w XII w. płacono dziesięciny, należały głównie lub nawet wyłącznie do fundatora kościoła. Skoro w naszym wypadku fundatorem-patronem był Siemian Nagodziec, przyjąć trzeba, że on był właścicielem wymienionych w dokumencie Maura wsi dziesięcinnych, co potwierdza fakt, że prawie wszystkie pozostały w ręku Nagodzciców aż do XV w. Kościół św. Marcina był tedy kościołem rodowym Nagodzciców dla gniazda pacanowskiego, podobnie jak kościół w Łeknie dla terytorium Pałuków⁵. Terytorium kościelne, podlegające wówczas duszpasterstwu pacanowskiemu, pokrywało się z gniazdem rodowym Nagodzciców. Rozciągało się ono po obu brzegach Wisły, sięgając na lewym brzegu po Gorzakiew, a na prawym po Zgórsko. Otóż stwierdzić trzeba, że jest to obszar, pokrywający się w przybliżeniu z późniejszym dekanatem pacanowskim, czyli księżnickim. To samo zjawisko dostrzegliśmy na terytorium Pałuków, gdzie również granice dekanatu łekneńskiego pokrywają się z gniazdem rodowym Pałuków⁶. Ponieważ zaś późniejsze okręgi dekanalne odpowiadają jak przypuszczać można, pierwotnym terytoriom parafialnym, widoczna przeto, że w pierwotkowej organizacji kościelnej, gniazda rodowe odegrały niepoślednią rolę. Nie wiemy, czy gniazdu pacanowskiemu odpowiadał także jakiś okręg administracyjny, np. ziemia, jak stwierdziliśmy na terytorium Pałuków, gdzie gniazdo rodowe pokrywało się z ziemią. Obecność książęcego grodu, może nie w Pacano-

¹ Piotr de Podstole, Chęcińskie grodzkie, t. I. bez pag.

² Dziwisz a więc Nagodziec. Długosz, Lib. Ben. t. II. 444.

³ Tamże, str. 444.

⁴ Biblioteka warszawska, r. 1891, t. IV. str. 164.

⁵ Por. moją pracę »Ród Pałuków«, str. 31.

⁶ Tamże.

wie, lecz raczej w sąsiednim Słupie (= gród), zdają się stwierdzać okoliczne osady narokowe: Książnice, Świniary i Rataje. Byłaby w tem wskazówka, że klucz pacanowski, to nadanie książęce. Sąsiedztwo królewszczyn (klucz stopnicki, połaniecki i korczyński), zdaje się ten domysł potwierdzać.

Natomiast późniejsza parafia pacanowska obejmowała tylko część obszaru gniazdowego. w najbliższej okolicy Pacanowa, mianowicie prócz Pacanowa wsi: Szczeglin, Kwasów, Niegosławice, Słup, Karsy, Rataje i Żabiec. Nie sięgała ona już na prawy brzeg Wisły i nie zawierała trzech wymienionych w dokumencie Maura wsi, bardziej od Pacanowa odległych: Góry, Gorzakwi i Zgórska, pomijając już inne w tych stronach osady, które z późniejszych źródeł powiodło się nam wykryć jako własność (niezawodnie już i dawniejszą) Nagodźców. Terytorium parafii św. Marcina z czasów późniejszych, mogłoby odpowiadać innej jednostce administracyjnej, mianowicie opolu.

Na związek między parafią a opolem nie zwrócono u nas jeszcze dostatecznej uwagi i rzecz ta wymagałaby bliższego zbadania. Tu mimochodem tylko napomknę, że w ziemi lubelskiej, gdzie później niż w innych ziemiach polskich przeprowadzono organizację kościelną, reminiscencye tego związku organizacyi kościelnej z opolną trwają jeszcze do XV w. i przejawiają się na kartach ksiąg sądowych. Jakkolwiek rzecz ta odbiega nieco od właściwego tematu, uważam za stosowne przy sposobności zużytkować w tem miejscu moje spostrzeżenia.

W Lubelskiem opole (vicinia) ma nieco odmienną nazwę: »osada«, żywo przypominającą analogiczną nazwę w Czechach, na oznaczenie tejże jednostki terytoryalnej¹. »Osada« spełnia w Lubelskiem tę samą rolę, co w innych stronach Polski opole, więc przede wszystkim świadczy w sporach granicznych, jak wskazują wzmianki: „*habent inducere ossada*“, „*ossada maya wywyszcz inter Wanglowo et Czczennik*“, „*educit senes alias ossada*“². Otóż w niektórych zapiskach tych czytamy: „*debet inducere parochiam vulgariter ossada*“³. Wyraźnie tu więc zidentyfikowano parafię z osadą czyli

¹ Lippert, Socialgeschichte Böhmens, t. I. s. 320. Wyraz »osada« w znaczeniu »opola« pojawia się sporadycznie w źródłach polskich z innych okolic. Por. np. dok. z r. 1224: *de osada hii fuerunt presentes etc.* Kod. kap. krak. nr. 14.

² Księga lubelska nr. 20696 f. 138^v, 205 i 342 (Archiwum centr. w Wilnie).

³ Tamże, pag. 137^v.

opolem, w czem nowy dowód, że terytoryalna organizacja Kościoła w Polsce powstawała na zrębie gotowego już ustroju politycznego.

Dokument pacanowski rzuca także nieco światła na stosunki gospodarcze klucza pacanowskiego w pocz. XII w. Przedewszystkiem nader ciekawem zjawiskiem jest postać Mangolda z Kwasowa, którego imię nie pozostawia wątpliwości, że mamy do czynienia z — pierwszym znanym — kolonistą niemieckim w Polsce. Niebawem już, w bulli gnieźnieńskiej z r. 1136 pojawi się niemieckie imię Lederg¹, a od szóstego dziesiątka XII w. pierwsze wzmianki o »kolonach«².

Zwraca dalej naszą uwagę dziesięcina z ryb, cieląt, jagniąt, prosiąt i serów, którą patron Siemian zobowiązał się płacić na rzecz kościoła św. Marcina. Taką dań kościelną z płodów gospodarki pasterskiej spotykamy później, w drugiej połowie XII w., w postaci dziewięciny. Tak np. w uposażeniu klasztoru w Mogilnie z r. 1165 wymieniono między innemi „*nonum porcum, nonum poledrum, nonum piscem*“³ a komes Nikor nadał w r. 1175 klasztorowi w Lubiążu, prócz pewnej ilości koni, wołów i krów, dziewiątą rybę (de lacu nonum piscem)⁴. Taka dziewięcina, względnie — jak w naszym wypadku — dziesięcina, świadczy o rozwiniętej gospodarce pasterskiej w niektórych okolicach Polski, szczególnie zaś w ziemi wiślickiej, gdzie jej dawne ślady nad średnią i dolną Nidą przechował najstarszy dokument pobliskiego klasztoru Johannitów w Zagościu.

2. Dwa przywileje księcia Bolesława Konradowicza z r. 1244 w przedmiocie nadania „prawa rycerskiego“.

Dokumenty, które poniżej po raz pierwszy drukujemy i objaśniamy, pochodzą z materyałów do »Kodeksu dyplomatycznego Mazowsza«, który wydać zamierza p. Jan K. Kochanowski w Warszawie. Ze względu na szczególną ich wartość historyczną, mianowicie dla kwestyi osadnictwa szlachty i prawa rycerskiego, p. Kochanowski

¹ Jan Rozwadowski, Bulla z r. 1137. Materyały i prace kom. język. t. IV. str. 454.

² Por. moją pracę: Nieznane nadania na rzecz opactwa jędrzejowskiego z XII w. Kwart. hist. z r. 1910, str. 72.

³ Kod. wpol. t. I. nr. 3.

⁴ Büsching, Urkb. d. Klosters Leubus nr. 1.

udzielił mi życzliwie ich odpisów, z upoważnieniem naukowego użytkowania, za co mu serdecznie składam podziękowanie. Dotychczas powoływał się na nie w jednej kwestyi, mianowicie kar sądowych, tylko p. M. Handelsman¹.

Oba dokumenty znane są tylko z transsumptów, i to nie w oryginałach przechowanych, ale w oblatkach. Z tego względu badanie ich wymaga zdwojonej ostrożności, a reprodukcja tekstów nie może się obyć bez oczyszczenia ich z błędów i późniejszych nalotów.

Pierwszy dokument, w przedmiocie nadania Kiełbowa, przechowywał się w transsumpcie ks. Janusza II, wydanym w Ciechanowie d. 21 maja 1487 r. na prośbę szlachetnych: Stanisława i syna jego Jana; Macieja, Marcina, Jakuba, Piotra i Stefana, synów Ścibora; Pawła, Antoniego, Andrzeja i Mikołaja, synów Jana; Łukasza, Mikołaja i Jakuba, synów Piotra — dziedziców Kiełbowa, oraz Piotra ze Strożęcina. Transsumpt ten wpisano później do ksiąg metrycznych (t. VI. f. 202 v.), skąd też tekst inserowanego dokumentu Bolesława Konradowicza pochodzi².

Drugi dokument, dotyczący się nadania Grochowska, transsumował ks. Ziemowit III (IV), dnia 31 grudnia 1379 na prośbę dziedziców Grochowska, rycerzy: Gotarda, Jakuba, Dzierśława, Jakuba, Wisława, Jakusza Chamca, Wojciecha, Grzymisława i Henryka z wszystkimi braćmi ich z Grochowska. Wpisany jest w akta płockie ziemskie wieczyste, t. 1—2, f. 40 v.

Oto tekst tych dokumentów:

I.

In nomine sancte et individue Trinitatis amen. Dignum est, ut in se benemeriti et in suis posteris principum beneficiis consolentur. Ego igitur Boleslaus. dei gratia dux Mazovie, tam presentibus quam futuris, presentium noticiam potituris, volo esse notum, quod de maturo consilio baronum suscepi meam in terram Mazouiam gratuite

¹ W pracy p. t. Kara w najdawniejszym prawie polskim, str. 166 nast.

² Za skollacyonowanie tekstów niniejszych składam wyrazy wdzięczności Prof. Drowi Teodorowi Wierzbowskiemu, Dyrektorowi Archiwum Głównego w Warszawie

istos viros: Ratiborium et Albertum, bonos meos¹ servitores de terra Polonie et *de genelogia ista dicta Gelitho* cum scitu meo bono et *vocatione Godlo Nagody* et² stabilivi eos in dicta terra mea Mazouia, dedi donavique eis et eorum legitimis successoribus imperpetuum meam hereditatem vulgariter nuncupatam Kelbowo in territorio Plocensi sitam, cum integritate omnium utilitatum, cum campis, agris, pratis, aquis, mericis, silvis et cum omni iure militali, sic quod predictos servitores Ratiborium et Albertum cum eorum posteris facio liberos et solutos a citatione iudiciisque palatinorum et omnium castellanorum meorum. Do etiam eisdem servitoribus meis cum eorum posteris ratione servitorum ipsorum, que mihi ubilibet tam solíciter quam fideliter exhibere studuerunt, tollere facultatem penam pro furto et homicidio triginta marcas et a se daturi erunt. Huius rei hii testes sunt, qui tunc assessores mei fuerunt: primus Petrus thesaurarius, Albertus subcamerarius, Johannes subiudex, Pribislaus subagazo, Petrus subpincerna, Climas, Damianus. Woytek Nagorka³, Rombel⁴, Nicolaus filius Zbroslai, Boguslaus Swyanthoslai, Czechoslaus, Jacobus capellanus curie mee, Petrus Lopatka, Vitalis clericus. Hoc actum est et datum in Ploczk in die beati Sigismundi regis et martiris (2 maja), anno incarnationis Domini Millesimo ducentesimo quadragesimo quarto.

II.

In nomine patris et filii et spiritus sancti amen. Cognoscat presens⁵ etas et sciat postera, quod ego Boleslaus dux Mazouie, maturo consilio habito baronum nostrorum, advocitavi⁶ ad meam terram Mazouie et suscepi⁷ gratuite hoc est bonos viros, Henricum,

¹ W kopii: m̄.

² Wyrazy kursywą oznaczone uważam za interpolację późniejszą. Zob. niżej.

³ W kopii mylnie: Nagorki.

⁴ W kopii mylnie: Combel.

⁵ W kopii »plena«, zdaje się jednak, że w oryginale było »presens«, jako przeciwstawienie do następnego »postera«.

⁶ W kopii błędnie »ad noticiam«, paleograficznie łatwo możliwe z »aduocitau«.

⁷ W kopii po »suscepi« wyraz »eos«, którego w oryginale zapewne nie było.

Martinum et Woynonem de Raygroed et dedi, donavique¹ eis et eorum legitimis natis hereditatem meam² utputa Grochovarsko nuncupatam, cum integritate omnium utilitatum ad eandem hereditatem spectantium et cum fluvio dicto Squa cum ambobus litoribus. Et omne ius militare habeant predicti, prout omnes milites...³ penam seu caput post suum villanum. Et facio⁴ insuper supradictos milites meos⁵, Henricum, Martinum et Woynonem cum eorum posteris solutos et liberos a citatione et iudicio omnium palatinorum et castellanorum meorum. Duxi etiam donandum iamdictis servitoribus meis in predicta hereditate ipsorum liberam venationem omnium ferarum et castorum in eodem fluvio eorum. Ceterum hiidem servitores mei cum suis posteris non habebunt in iudicio solvere istam penam quinquagintarum *zuppariis*⁶, nisi unam penam mihi et meis posteris, liberandum etiam eosdem milites duxi ab ista pena dicta sex marcarum *zuppariorum nostrorum*⁷. Ut igitur ista donatio mee⁸ hereditatis prefatis servitoribus meis et eorum posteris perpetuis temporibus fixa maneat et perseveret, hanc litteram seu privilegium eis re-scriptum dedi et mei sigilli annulo roboravi. Datum⁹ est in die beate Margarethe virginis (17 lipca). Hii sunt testes ad hoc, qui tunc mei assessores fuerunt in curia mea: primus Petrus thesaurarius, Albertus succamerarius, Johannes iudex, Przibislaus subagazo, Petrus subpincerna, Damianus, Voythko¹⁰ Nagorka, Nicolaus filius Zbroslai. Hoc actum est tercio Kalendas Julii (29 czerwca), anno incarnationis Domini Millesimo ducentesimo quadragesimo quarto.

¹ W kopii: donavi.

² W kopii: »unam«.

³ Oderwane u dołu karty 2—3 wiersze, z których tylko koniec pierwszego wiersza... nt² in... pozostał.

⁴ W kopii: effacio.

⁵ W kopii: »nostros«.

⁶ Późniejszy wtręt. Zob. niżej.

⁷ Późniejszy wtręt. Zob. niżej.

⁸ W kopii: »mea«.

⁹ W kopii jest »actum«, ze względu jednak na drugie, wcześniejsze chronologicznie »actum« przy końcu dokumentu, przyjąć trzeba, że tu było w oryginalne »Datum«.

¹⁰ W kopii Vythko.

Przytoczone dokumenty Bolesława Konradowicza z r. 1244 wykazują na pierwszy rzut oka szereg cech pokrewnych. Przejawiają się one przede wszystkim w analogicznej treści obu przywilejów, których przedmiotem jest przesiedlenie na Mazowsze zasłużonych rycerzy z obcych stron i obdarzenie ich ziemią oraz pełnem prawem rycerskiem.

Powtórę styl czyli dyktat dokumentów wykazuje cały szereg wspólnych zwrotów i wyrażeń, które każą przypisać sporządzenie obu jednemu i temu samemu dyktatorowi. Oto zestawienie charakterystycznych zwrotów, wspólnych obu dokumentom:

Dokument I.

1) *Suscepi meam in terram Mazouiam gratuite.*

2) *dedi, donauique eis et eorum legitimis successoribus.*

3) *hereditatem... cum integritate omnium utilitatum.*

4) *predictos seruitores... cum eorum posteris facio liberos et solutos a citatione iudiciisque palatinorum et omnium castellanorum meorum.*

5) *Huius rei hii testes sunt, qui tunc assessores mei fuerunt: primus etc.*

Dokument II.

advocavi ad meam terram Mazouiam et suscepi eos gratuite.

dedi, donauique eis et eorum legitimis natis.

hereditatem... cum integritate omnium utilitatum.

Et facio insuper supradictos milites nostros... cum eorum posteris solutos et liberos a citatione et iudicio omnium castellanorum meorum.

Hii sunt testes ad hoc, qui tunc mei assessores fuerunt in curia mea: primus etc.

Stwierdzenie pokrewieństwa dyktatu w dwóch lub więcej dokumentach jednego wystawcy, dla różnych, niezależnych od siebie odbiorców, stwarza presumpcyę o powstaniu ich w kancelaryi tegoż wystawcy¹ i prowadzi do wykrycia ich dyktatora, którego szukać trzeba w dokumentach księcia Bolesława Konradowicza z czasu ok. r. 1244.

Z tegoż samego roku posiadamy dokument tego księcia, wystawiony d. 15 sierpnia dla Andrzeja, nadwornego kanclerza księcia i proboszcza płockiego oraz brata jego Hipolita, zawierający nadanie zrebia we wsi ich Wletropy². Otóż niektóre formuły tego dokumentu prawie dosłownie powtarzają się w naszych dwóch dokumentach, jak się okazuje z poniższego zestawienia:

¹ Bresslau H. Urkundenlehre t. I. str. 587.

² Ulanowski: Dokumenty kuj. mazow. Arch. kom. hist. t. IV, str. 152, nr. 4.

Dok. z 15 sierp.	Dok. I-szy.	Dok. II-gi.
1) Huius rei hii testes sunt barones mei, qui tunc temporis mei assessores fuerunt...	Huius rei hii testes sunt, qui tunc assessores mei fuerunt.	Hii sunt testes ad hoc, qui tunc mei assessores fuerunt in curia mea.
2) Hoc autem actum est anno incarnationis Domi- ni etc.	Hoc actum est et da- tum... anno incarnationis Domini.	Hoc actum est... anno incarnationis Domini.

Ale co więcej: we wszystkich trzech dokumentach pojawiają się prawie ci sami świadkowie i to w tym samym dokładnie porządku: Oto ich wykaz:

Dok. z 15 sierp.	Dok. I-szy.	Dok. II-gi.
Petrus thesaurarius	Petrus thesaurarius	Petrus thesaurarius
Albertus subagazo	Albertus subcamerarius	Albertus subcamer.
—	Johannes subiudex	Johannes iudex
—	Pribislaus subagazo	Pribislaus subagazo
Petrus subpincerna	Petrus subpincerna	Petrus subpincerna
Climas	Climas	—
Damianus	Damianus	Damianus
Voytech Nagorka	Woytek Nagorka	Voytho Nagorka
Rambel	Rombel	—
Nicolaus f. et Broslaus ¹	Nicolaus f. Zbrosłai	Nicolaus f. Zbrosłai
Boguslaus f. Swantosłai	Boguslaus Swyanthosłai	—
Cechoslaus	Czechoslaus	—
Jacobus capellanus	Jacobus capellanus	—
Petrus Lopata	Petrus Lopatka	—
Vitalis, clericus	Vitalis, clericus	—

Ta zgodność formuł i porządku świadków uprawnia do przypisania redakcyi wszystkich trzech dokumentów jednej osobie, zatrudnionej w kancelaryi Bolesława Konradowicza. Niedaleko będziemy jej szukać: był nią wedle wszelkiego prawdopodobieństwa sam kanclerz księcia Bolesława, Andrzej, proboszcz płocki, późniejszy biskup mazowiecki (1254—1260)² członek rodu Ciołków. On to, jako odbiorca, zredegował zapewne dla siebie i swego brata Hipolita dokument z 15 sierpnia 1244, on też — jak porównanie wykazało — był dyktatorem dwóch omawianych przywilejów rycerskich. Czy był zarazem ich pisarzem,

¹ Ma być oczywiście filius Zbrosłai.

² Długosz, Historia Pol. Opera omnia. t. II. str. 343.

tego w braku oryginałów rozstrzygnąć niepodobna. Raczej przypuszczać można, że jako kanclerz redagował tylko koncepty dokumentów, czystopisy zaś sporządzał notaryusz, którym był prawdopodobnie jeden ze świadków naszych dokumentów, kleryk Witalis, już w r. 1239 pojawiający się na dokumentach Bolesława Konradowicza z tytułem *notarius*¹.

Jakkolwiek wykrycie dyktatora oraz — co za tem idzie — kancleryjnego charakteru i pochodzenia dokumentów Bolesława Konradowicza, zawiera w sobie zarazem presumpcyę autentyczności, to jednak zbadajmy inne jeszcze jej kryteria na podstawie porównania z dwudziestu kilku dochowanymi dokumentami tego księcia.

Inwokacya I-go dokumentu, wzywająca Tróję jako jedność² oraz II-go dokumentu, wzywająca poszczególne osoby boskie³, pojawia się także w znanych dokumentach Bolesława Konradowicza. Singularna forma w intytulacyi »Ego« występuje w dokumentach jego⁴ obok formy pluralnej. Określenie daty dziennej również w dwóch występuje typach: albo wedle Świętych kalendarza chrześcijańskiego (jak w dok. I szym)⁵, albo wedle kalendarza rzymskiego (jak w dok. II-im)⁶. Zwraca naszą uwagę podwójna datacja II-go dokumentu, raz wedle kalendarza chrześcijańskiego, drugi raz rzymskiego. Otóż mamy jeszcze inny dokument Bolesława Konradowicza, z r. 1247, w którym oba te rodzaje określenia daty dziennej obok siebie się pojawiają⁷. W naszym dokumencie pierwsza data jako późniejsza odnosi się niewątpliwie do dokumentacyi, druga zaś do czynności prawnej nadania.

Co się tyczy świadków, to są oni w przeważnej części ludźmi dobrze znanymi z innych dokumentów tego czasu. Piotr, jako skarbnik, pojawia się w r. 1243 a sprawuje tę godność jeszcze w r. 1247⁸. Wojciech był podkomorzym w latach 1244—1247⁹. Jan

¹ Ulanowski, l. c. str. 290, nr. 5.

² Rzyszcz. Muczk. t. I. nr. 23 i Kod. mazow. nr. 14.

³ Ulanowski, l. c. str. 290 i str. 292.

⁴ Kod. małop. t. II, nr. 399 i 403. — Rzyszcz. Muczk. t. I. nr. 27, 28. — Kod. mazow. nr. 14. — Ulanowski, l. c. str. 152 i 291.

⁵ Ulanowski, l. c. str. 153, 155 i 290.

⁶ Kod. maz. nr. 14 i 15. — Ulanowski, l. c. str. 153, 290, 293 etc.

⁷ Kętrzyński W. 30 dokumentów katedry plockiej, nr. 5.

⁸ Ulanowski, l. c. str. 293. — Kod. mazow. nr. 16.

⁹ Ulanowski, l. c. str. 153. — Kod. maz. nr. 16.

w charakterze podsędką występuje już w r. 1239 i pozostaje na tym urzędzie widocznie do maja r. 1244¹, posuwając się w tym czasie na stanowisko sędziego². Przybysław sprawuje urząd podkoniuszego jeszcze w latach 1247—1249³. Piotr był podczaszym w latach 1244—1247⁴. Jakub, jako kapelan nadworny i Witalis, jako kleryk, figurują na dokumentach Bolesława Konradowicza z lat 1239—1247⁵. Reszta świadków, występująca na dokumentach naszych bez urzędów, znana jest ze wspomnianego przywileju z r. 1244 dla kancelarza Andrzeja Ciołka, oraz z innych współczesnych dokumentów⁶.

Tak tedy rozbiór kryteriów wewnętrznych naszych dokumentów stwierdził także ich autentyczność. Na tem jednak poprzestając nam nie wolno, znając bowiem tekst dokumentów jedynie z transumptów, nie możemy być pewni, czy doszedł on nas w swej pierwotnej czystości, czy nie doznał interpolacji, opuszczeń lub innego rodzaju pofałszowania. Nic bowiem łatwiejszego, jak przy sposobności transsumowania dokumentu opuścić w nim jakieś niewygodne dla odbiorcy zdanie, lub dodać coś, co mu nową korzyść przynieść może.

Ale wykrycie tych zmian natrafia na znaczne trudności, z tego powodu, że dokumentów pokrewnej treści zachowało się z owych czasów bardzo niewiele. Przywileje kościołów i klasztorów znalazły bezpieczne schronienie w ich archiwach, dlatego przechowały się do naszych czasów w znaczniejszej liczbie, natomiast przywileje rycerskie — niegdyś niewątpliwie również bardzo liczne, zaginęły w przeważnej części bezpowrotnie, tak, że z czasu do połowy wieku XIII zachowało się ich zaledwie 6, nie wliczając w to dwóch niniejszych dokumentów⁷. Materiał porównawczy, mający nam służyć przy badaniu, co w nich pochodzi z pierwotnego tekstu, a co może być późniejszym wtrętem, jest przeto bardzo szczupły.

Nadanie książęce w obu przywilejach z r. 1244 zawiera:

1) darowiznę wsi książęcych z przynależnościami;

¹ Ulanowski, l. c. str. 290 i 294.

² Jak w IIim dokumencie.

³ Kod. mazow. nr. 16 i Ulanowski, l. c. str. 156.

⁴ Ulanowski, l. c. str. 153 i Kod. mazow. nr. 16.

⁵ Ulanowski, l. c. str. 290 i Kod. maz. nr. 16.

⁶ Ulanowski, l. c. str. 153, 290 etc.

⁷ Piekosiński, Rycerstwo polskie, t. I. s. 211.

2) nadanie pełnego prawa rycerskiego (*omne ius militare*), którego treścią jest:

a) zwolnienie od jurysdykcji sądów wojewodzińskich i kasztekańskich;

b) prawo pobierania pewnych kar sądowych od swych poddanych;

c) zwolnienie od niektórych kar sądowych, opłacanych dotąd urzędnikom książęcy;

d) wolne prawo polowania w obrębie nadanej posiadłości (tylko w II-gim przywileju).

Pierwsza część nadania, tj. darowizna ziemi przez księcia, nie nasuwa żadnych wątpliwości, wobec czego zajmujemy się tylko drugą jego częścią, zawierającą nadanie prawa rycerskiego.

Określenie »*ius militare*« zjawia się w omawianych dokumentach po raz pierwszy. Okoliczność ta nie powinna jednak budzić podejrzenia, ile że już niebawem, bo w r. 1276 spotykamy się z niem powtórnie, w dokumencie Leszka, ks. sieradzkiego dla Raciława syna Domasława, który otrzymuje »*plenum ius militale*« i wieś Dąbrowę »*cum omni iure militali*«, a zatem tak, jak w naszych dokumentach. Krótki czas dzielący te nadania uzasadnia przypuszczenie, że skoro pojęcie »*ius militare*« było znane w r. 1276, mogło już istnieć trzy dziesiątki lat przedtem i być użytem w dokumencie z r. 1244. Jestto tembardziej prawdopodobne, że — jak się okazuje z traktatu cłowego, zawartego w r. 1252 między Kazimierzem Konradowiczem bratem Bolesława, wystawcy naszych dokumentów) a Zakonem krzyżackim — istniało już w tym czasie zróżnicowanie w obrębie stanu rycerskiego, przejawiające się w różnym wymiarze okupu za zabójstwo¹ dla trzech grup rycerstwa, przyczem ta grupa, której przysługiwał najwyższy okup (30 grzywien), posiadała oczywiście pełne prawo rycerskie, w przeciwieństwie do t. zw. »*militēs simplices i milites fictitici*«, nie mających pełnego, ale tylko częściowe prawo rycerskie. Zresztą już sam fakt, że jednobrzmiące wyrażenia »*cum omni iure militali*« pojawiają się równocześnie w dwóch dokumentach, pochodzących wprawdzie z jednej kancelaryi, ale opiekujących dla dwóch różnych i niezależnych od siebie odbiorców, wyłącza myśl, aby one były późniejszą interpolacją i raczej każe

¹ Codex dipl. Pomeraniae. ed. Hasselbach et Kosegarten, t. I. nr. 479 Por. moich »Włodyków na tle porównawczem słowiańskim«, str. 33.

przypuszczać, że one pochodzą od pierwotnego dyktatora obu dokumentów.

Samo zresztą określenie pojęcia prawnego nie odgrywa tu zasadniczej roli; nierównie większe dla nas znaczenie będzie miała wewnętrzna treść jego, tj. prerogatywy, płynące z pojęcia *»ius militare«*, te zaś znane są z innych współczesnych przywilejów rycerskich. Tak np. nadanie Konrada ks. łęczyckiego dla rycerza Gotarda, pogromcy Jadźwingów, z r. 1241, zawiera przyznanie mu kar sądowych, w szczególności główsszczyzny od swych poddanych¹ (jak wyżej pod 2b), drugie zaś nadanie Konrada dla tegoż Gotarda zawiera zwolnienie od sądownictwa wojewodzińskiego i kasztelańskiego (jak wyżej pod 2a) i polowanie w nadanych dobrach (jak pod 2d)². Przywilej Bolesława ks. kaliskiego dla komesa Raczona z r. 1252 zwalnia go *»a citatione cuiuslibet castri et castellani«* (jak pod 2a), dalej od kary siedmnaście (jak 2a) a wreszcie nadaje mu *»penam capitis«* od poddanych kmieci (jak 2b)³. Inne przywileje, jak Bolesława Wstydlwego dla Klemensa z Ruszczy z r. 1252⁴ i Bolesława kaliskiego dla Janka Wojciechowicza z r. 1257⁵, zawierają nadto inne, jeszcze obszerniejsze prerogatywy, (*jus aquae, ferri, duelli etc.*), które wszystkie razem wzięwszy składały się na pojęcie *»pełnego prawa rycerskiego«*, jakkolwiek tego pojęcia wprost tam nie wyrażono.

Skoro zatem nietylko określenie *»jus militare«*, ale i poszczególne prerogatywy z tego prawa płynące nie są obce współczesnym dokumentom, przeto mogą być uważane za integralną część pierwotnego tekstu, na co zresztą wskazuje pokrewna stylizacja, pochodząca niewątpliwie od wspólnego dyktatora, zatrudnionego w kancelarii Bolesława Konradowicza.

Ale rzeczony dokumenty przecież nie są wolne zupełnie od późniejszych naleciałości. Za wtórę uważam przedewszystkiem wyrazy, służące ku określeniu rodowego pochodzenia odbiorców I-go dokumentu: *»de geneologia ista dicta Gelitho... et vocitatione godlo*

¹ Rzyszcz. Muczk. t. II¹, nr. 28.

² Tamże, t. I, nr. 32.

³ Kod. Wpol. t. I, nr. 305.

⁴ Kod. małop. t. II nr. 436.

⁵ Kod. Wpol. t. I, nr. 364.

Nagody«. ¹ Wyrazy te nie dadzą się pomyśleć w czasach, z których pochodzi dokument; co najwcześniej możnaby je odnieść do pierwszej połowy XIV w., kiedy to pojawia się także po raz pierwszy przydomek Jelito ². Ale wyrazy powyższe pochodzą prawdopodobnie z XV w., t. j. z czasu transsumowania przywileju z r. 1244. W dodatku trzeba zwrócić uwagę na to, że interpolacyi tej dokonano niezgrabnie, rozrywając ją na dwie części, po których opuszczeniu wraca dawny poprawny sens zdania. Łatwo pojąć, że odbiorcom transsumptu musiało zależeć na tem, by w potwierdzonych przywilejach wyrażona była przynależność ich przodków do rodu, z którego oni sami pochodzili, tą drogą bowiem uzyskiwali pośrednio dowód dziedziczości swych uprawnień, płynących z posiadanych przywilejów.

Natomiast w II-gim dokumencie razić nas może jedynie wyraz *»supparii«* na oznaczenie wyższych urzędników, na rzecz których szły kary sądowe. Z wyrazem tym spotykamy się w dokumentach dopiero u schyłku XIII w. ³, tak, że przypuszczać należy, iż jest on tu wtrętem, pochodzącym z czasu transsumowania dokumentu, t. j. z r. 1379, a raczej zajmuje miejsce innego wyrazu, (*officiales, dignitarii* etc.), którego w poł. XIII w. używano na określenie urzędników książęcych, a który z czasem ustąpił miejsca wyrazowi *»supparius«*. Nie wypływa stąd jednak, abyśmy uważając wyraz ten za dowolną zmianę, dokonaną przy transsumowaniu, mieli w czemkolwiek naruszać związany z nim tekst dokumentu, dotyczący się kar *»quingaginta«* i *»sex marcarum«*. Przeciwnie, ustęp ten ma wszelkie znamiona autentyczności i współczesności z datą dokumentu, jak wykazuje porównanie jego z innymi źródłami, odnoszącemi się do systemu kar pieniężnych na Mazowszu w w. XII i XIII ⁴.

¹ Z tych czasów posiadamy jeszcze drugi dokument, gdzie wymieniony jest ród odbiorcy. Jestto dokument Bolesława Henrykowicza ks. śląskiego dla Sibotona *»de nobili familia Ovium«* z r. 1242 (Grünhagen, Regesten z. schles. Gesch. nr. 591b.). Dokument ten, znany tylko z późniejszych kopii, jeśli nie jest podrobiony, posiada wtręty, do których zaliczam także i powyższe określenie rodowe.

² Petrus dictus Jelito, kasztelan sandomierski, Kod. mpol. t. I. nr. 147.

³ Por. zestawienie w pracy Balzera pt. O zadrudze słowiańskiej. Kwartalnik historyczny z r. 1899, str. 219. — W r. 1242 występuje *»suppanus«* ale w znaczeniu jakiegoś funkcjonariusza wiejskiego. Kod. wpol. nr. 234.

⁴ Zwrócić na to uwagę M. Handelsman w pracy *»Kara w najdawniejszym prawie polskim«* str. 166 nast. Autor powołuje się na odnośne miejsca naszych

Poza tymi dwoma wtrętami oba dokumenty z r. 1244 nie zawierają zresztą nic takiego, co by tchnęło anachronizmem i było sprzecznym z faktami lub pojęciami prawnymi epoki, datą ich wskazanej. Natomiast przynoszą one nieznane a nader ciekawe szczegóły historyczne, dające się dobrze wytłómaczyć na tle współczesnych wypadków i rzucają nowe światło na kwestyę osadnictwa rycerstwa średniowiecznego.

Książę Bolesław nazywa obdarowanych rycerzy *»boni mei servitores«*, *»boni viri«*, i wspomina o usługach (*servitia*) przez nich mu świadczonych. Że tu mowa o usługach wojennych, nie może ulegać żadnej wątpliwości, dokumenty bowiem niniejsze są odgłosem walk, które toczyli wówczas książęta mazowieccy na południowych i północnych rubieżach swych ziem. Stary Konrad, niezłamany klęską poniesioną w maju 1243 pod Suchodółem, ponowił w następnym roku wyprawę na Kraków i dążył zapamiętale do opanowania dzielnic Wstydlwego¹. Obrawszy sobie za podstawę operacyjną ziemię łęczycką², obronę dziedzicznych Kujaw i Mazowsza powierzył synom: Kazimierzowi i Bolesławowi. Bolesław więc od kilku lat już siedząc na Mazowszu³, strzegł północnych i wschodnich jego granic przed groźnymi najazdami Prusaków i ich pogańskich pobratymców⁴. Właśnie w początkach lipca, korzystając z zajęcia Konrada na południowym terenie walk, ponowili Prusacy wyprawę łupieżką na Mazowsze, lecz w odwrocie ponieśli dotkliwą klęskę pod Ciechanowem (13 lipca)⁵.

Przypatrmy się w tem oświetleniu szczegółom historycznym zawartym w naszych dokumentach.

dwóch dokumentów z r. 1244, które znał także z odpisów p. J. Kochanowskiego i na tle współczesnych pojęć prawnych wykazuje niezmierną wartość ich dla polskiego prawa karnego.

¹ Por. wiarygodne wiadomości u Długosza, Hist. II, str. 297, poparte ząpiską rocz. kapitulnego pod r. 1244: *Kylcia per milites ducis Cunradi devastatur*.

² Konrad tytułuje się też w tym czasie (od bitwy suchodolskiej) księciem łęczyckim. Pod. Kod. młpol t. II, str. 77.

³ Ulanowski, l. c. str. 289—293, oraz 152—155. (Lata 1239—1248).

⁴ Wersja Długoszowa o współudziale Prusaków w wyprawie Konrada do ziemi sandomierskiej jest co najmniej wątpliwa. Por. Al. Semkowicz, Krytyczny rozbiór Długosza, str. 264.

⁵ Długosz, l. c. str. 300. na podstawie nieznanego źródła. Udział Litwinów jest wątpliwy. Por. Semkowicz Al. l. c.

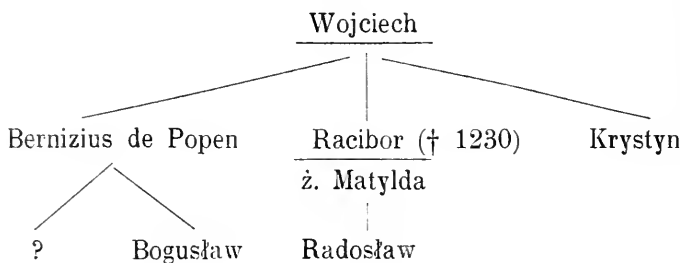
1) Książę przyjął na Mazowsze Racibora i Wojciecha z Polski (*suscepi meam in terram Mazouiam R. et A. de terra Polonie*).

2) powołał i przyjął na Mazowsze Henryka, Marcina i Wojnę z Rajgrodu (*advocitavi ad meam terram Mazoviam et suscepi... H., M. et W. de Raygrad*).

ad 1) Określenie »*de terra Polonie*« przeciwstawione pojęciu »*terra Mazovia*«, oznacza tu w ogóle ziemie polskie poza Mazowszem, a zatem może się odnosić zarówno do Wielko- jak i Małopolski, ziemi sieradzkiej, łęczyckiej etc. Ze względu na teren ówczesnych walk należałoby tu — zdaniem mojem — wyłączyć z zakresu rozważań właściwą Wielkopolskę, a rycerzy Racibora i Wojciecha poszukiwać w Małopolsce lub w sieradzko-łęczyckiej dzielnicy Konrada.

Jedyną wskazówkę posiadamy tylko w imionach obdarzonych rycerzy, którzy byli zapewne braćmi, a w każdym razie blizkimi krewnymi, jakkolwiek w dokumencie nie ma o tem wzmianki.

Otóż w pierwszej połowie XIII w. występuje w ziemi krakowskiej ród, w którym oba te imiona spotykamy. Oto jego genealogia:



Racibor Wojciechowicz był dziedzicem wsi Zrazowej pod Mogiłą, którą sprzedał tamtejszemu klasztorowi¹. Zmarł między 24 czerwca a 19 grudnia 1230 r., pozostawiając wdowę Matyldę (córkę Bronisza Wojsławicza) i syna Radosława czyli Raclawa². Ten to Racibor był zapewne założycielem wsi Raciborowice nad Dłubnią, w blizkiem sąsiedztwie Zrazowej. Wieś ta w r. 1212 nie miała jeszcze widocznie nazwy patronimicznej, ale inną, od rzeki wziętą, skoro Racibor pisze się wówczas »*de Dlubna*«, jako świadek na dokumencie krewnego swego Radwana, brata (innego) Racibora, dziedzica Bieżanowa³. Być może, synem tego Racibora z Raciborowic

¹ Kod. mogil. nr. 5 i 10.

² Tamże, nr. 11.

³ Kod. kap. krak. nr. 8.

był Jakub, kasztelan sandomierski, który zginął pod Chmielnikiem w r. 1241, a który świadczy na dok. z r. 1239 z synem, także Raciborem¹. Ten ostatni, dziedzic wspomnianych Raciborowic, zmarły przed r. 1273, darował tę wieś kapitule krakowskiej, zastrzegając żenie dożywotnie jej użytkowanie².

Czy Racibor i Wojciech z r. 1244 pozostają w związku z wspomnianym dopiero co rodem, niema żadnej pewności, same imiona bowiem, któremi tu jedynie rozporządzamy, nie mogą stanowić jeszcze dostatecznego dowodu przynależności rodowej; jest tylko prawdopodobieństwo, oparte na wspólności dwóch imion: mogliby to być synowie Racibora Wojciechowicza.

Nie mamy także bezpośredniego dowodu na to, że dwaj nasi rycerze istotnie byli Nagodzicami, jak głosi wtrącone później do dokumentu z r. 1244 zdanie: *de genelogia Gelitho et vocitatione godlo Nagody*. Imiona Racibor i Wojciech w tym rodzie się nie pojawiają, co jednak nie wyłącza możliwości sporadycznego ich używania. Na niektóre szczegóły jednak należy zwrócić uwagę: heraldycy nasi zaliczają do Nagodziców rodzinę Raciborowskich z Raciborowic³. Wsi tej nazwy znamy dwie: jedną pod Krakowem, o której wyżej wspomniałem, że w poł. XIII w. przeszła na własność kapituły krakowskiej, nie mogła przeto dać początku nazwisku szlacheckiemu, drugą zaś pod Wolborzem, szlachecką. Otóż ta ostatnia wieś leży istotnie w sąsiedztwie osad Nagodziców: Romiszowic, Kalina i Żeromina, skąd można wnosić, że z niej to właśnie wyszła rodzina Raciborowskich-Nagodziców. Jest i pod Kutnem w Łęczyckim miejscowość Raciborów, leżąca na linii osiedlenia Nagodziców, między wsiami Nagodowem (1½ mili) a Siemianowem (1½ mili)⁴. Otóż te okoliczności zdają się wskazywać na pewien związek między Raciborami a rodem Nagodziców, tem samem zaś popierać fakt przynależności Racibora i Wojciecha z r. 1244 do tegoż rodu.

W zgodzie z tym faktem pozostaje jeszcze jedna okoliczność niemałej wagi. Oto można wykazać dowodnie, że Nagodzice w istocie należeli do stronników książąt mazowieckich. Na dokumentach Bolesława Konradowicza, jako księcia sandomierskiego, z lat 1232

¹ Kod. mpol. nr. 24.

² Kod. kap. krak. nr. 72.

³ Niesiecki, Herbarz t. VIII. str. 2.

⁴ Por. wyżej, str. 17.

i 1237 świadcuje Dziwisz¹, z imienia sądząc niewątpliwy Nagodziec². Rzecz znamienna, że do stronników Konrada i syna jego Bolesława należał w tych latach także Pakosław Starszy i cały zapewne ród Habdanków³, których związki powinowactwa z Nagodzicami wykazaliśmy w poprzednim artykule⁴. Pośród świadków dokumentu Bolesława z r. 1246 spotykamy Jakuba Korytkę⁵. Nietylko imię Jakób, ale przede wszystkim przydomek Korytko, wskazuje, że to był Nagodziec. Korytków - Nagodziców znają wszyscy nasi heraldycy, poczynawszy od Długosza⁶. Główne posiadłości Nagodziców leżały w ziemi sandomierskiej i sieradzkiej, w tej ostatniej — jak wykazał Potkański⁷ — skupiały się już w poł. XIII w. około Rozprzy. Rozprza należała do grodów Konrada, jak świadczy wyraźna wzmianka w roczniku kapituły poznańskiej⁸. Otóż kasztelanem Rozprzy, jeszcze za życia Konrada, a także po jego śmierci był Floryan, po nim zaś Dziwisz, obaj niewątpliwi Nagodzice⁹.

Przytoczone szczegóły dowodzą, że Nagodzice należeli istotnie do adherentów książąt mazowieckich w czasie walk ich z Henrykiem Brodatym, a potem z Bolesławem Wstydlwym. Kojarząc tę przesłankę z faktem wysnutym z naszego dokumentu, o zasługach Racibora i Wojciecha wobec księcia Bolesława Konradowicza, dojdziemy do wniosku, że zaliczeniu ich do rodu Nagodziców nic nie stoi na przeszkodzie, a gdy w w. XV. dziedzice na Kiełbowie i Stróżęcinie (pod Raciążem) w interpolacji transsumptu przodków swych Nagodzicami ochrzcieli, trzeba przyznać, że jest to wielce prawdopodobne.

¹ Kod. dypl. małop. t. II. nr. 403 i 414.

² Por. wyżej, str. 15.

³ W r. 1232 w obecności Konrada i synów jego Bolesława i Kazimierza nadał kl. miechowskiemu wieś Udorz (Kmpol, t. II. nr. 404). W r. 1237 jako kasztelan żarnowski świadczy na dok. Bolesława Konradowicza (Rzyszcz. Muczk. I nr. 27).

⁴ Por. wyżej, str. 18.

⁵ Rzyszcz. Muczk. t. I. nr. 33.

⁶ Stanisław i Mikołaj Korytkowie h. Jelita. Lib. Benef. t. I. s. 529, t. II, s. 365.

⁷ W cyt. pracy pt. Ród Nagodziców.

⁸ MPol. t. III, str. 13, r. 1247. Po śmierci Konrada Rozprzę zagarnął Kazimierz kujawski.

⁹ Potkański, l. c. Floryan występuje w latach 1246—1264, Dziwisz zaś w latach 1273—4 jako kasztelanowie rozpierscy.

podobne i że tu tradycja rodowa musiała odegrać niepoślednią rolę¹.

ad 2). Rycerze obdarzeni II-gim przywilejem z r. 1244, Henryk, Marcin i Wojno, pochodzili z Rajgrodu. Jak Racibor i Wojciech skierowali nasze poszukiwania na teren Małopolski, tak rycerze z Rajgrodu wskazują nam drogę na pogranicze mazowiecko-podlaskie.

Rajgród leżał na Podlasiu, w miejscu, gdzie się zbiegały dzierżawy Mazowszan, Prusaków i Jadźwingów. Gród zbudowany na ostrowie rozległego jeziora (rajgrodzkiego), już z natury samej był obronny, stanowił przeto ważną placówkę strategiczną. Nazwa Rajgród brzmi czysto z polska i nie pozostawia wątpliwości, że założycielami grodu byli Polacy, jakkolwiek wcześniej już zawładnęli nim Jadźwingowie. Najdawniejszą dotąd znaną wzmiankę o Rajgrodzie zawiera Latopis hipacki, w opisie wypraw książąt ruskich Daniela i Lwa na Jadźwingów, przedsięwziętą wspólnie z Ziemowitem Konradowiczem ks. mazowieckim w r. 1253². Opowiada to źródło, że Daniel, ścigając wodza Jadźwingów Skomonda, zapuścił się w ich kraj, gdzie ujrzał na brzegu jeziora gród zwany »Raj«³. Jestto niewątpliwie nasz Rajgród, który, jak z tego się okazuje, leżał w r. 1253 na terytorjum Jadźwingów. Tak też było niewątpliwie i w czasie, z którego pochodzi nasz dokument, zawierający — nawiasem mówiąc — najdawniejszą wzmiankę o Rajgrodzie. Skoro dokument wyraźnie mówi o powołaniu rycerzy z Rajgrodu na Mazowsze, wynika stąd, że w r. 1244 gród ów leżał poza obrębem Mazowsza.

Kto zatem byli rycerze Henryk, Marcin i Wojno, i jaką w Rajgrodzie odgrywali rolę? Jadźwingami nie byli z pewnością — prze-

¹ Boniecki przytacza rodzinę Kiełbowskich z XVI w., ale nie podaje jej herbu. Herbarz Polski, t. X, str. 22.

² Lietopis po ipatskomu spisku (Izd. archeograf. konniss. str. 549). Zdarzenie to zapisuje Latopis pod mylną datą 6763 (1255). Zrektyfikował chronologię tego źródła Hruszewskij w pracy „Chronologia podij hałycko-wołyńskojo litopysy. (Zapysky Tow. Szewcz. t. XLI, str. 38). Por. też Sjörgen A. Über die Wohnsitze u. die Verhältnisse der Jatwägen, str. 10.

³ ...Daniu že Korolowi idusczu jemu (Skomondowi) po jezeru i widie pri berezie horu Krasnu i hrad bywshi na nej preže, imenem Raj.

czą temu stanowczo ich imiona¹, z których dwa pierwsze są chrześcijańskie i mogły należeć zarówno do Polaków jak i cudzoziemców-zachodnich, trzecie zaś jest imieniem słowiańskim, w tym wypadku niewątpliwie polskim.

Co się zaś tyczy ich roli w Rajgrodzie, to dokument nasz tylko ogólnie nazywa ich »*servitores*« księcia Bolesława mazowieckiego. Z określenia tego można jednak wysnuć ciekawy wniosek: Rajgród był przed r. 1244 obsadzony rycerstwem mazowieckiem. Czy także i potem, tego nie wiemy.

Nie wiemy także, od jakiego czasu był Rajgród w ręku polskim, czy od podboju ziem Jadźwingów przez Kazimierza Sprawiedliwego², czy dopiero od wypraw zdobywczych Konrada mazowieckiego. Do jednej z takich wypraw odnosi się zapewne dokument Konrada mazowieckiego, wydany dla rycerza Gotarda, syna Łukasza, z r. 1241, w którym książę nagradza go nadaniem wsi za to, że w walce z Jadźwingami siedmiu ich naczelników pobrał w niewolę, z której się dopiero po złożeniu wysokiego okupu uwolnili³. W tej akcji Konrada około podboju północnej części Podlasia brali prawdopodobnie udział »rycerze Chrystusowi«, których książę ten w r. 1237 osadził w Drohiczynie, nie w innym zapewne celu, jak dla walki z pogańskimi pobratymcami Prusaków, którym podołać nie mogli⁴.

Z tych to czasów pochodzić może załoga polska w Rajgrodzie, do której należeli także trzej odbiorcy przywileju z r. 1244⁵. Dlaczego jednak Bolesław Konradowicz przesiedla ich na Mazowsze? Czy zmuszeni byli opuścić Rajgród, zdobyty ponownie przez Jadźwingów? Rzecz to prawdopodobna, czas bowiem, z którego pochodzi nasz dokument, stanowił w dziejach Mazowsza chwilę przełomu. Klęska Konrada pod Suchodołem w maju 1243 była dla północnych wrogów jego hasłem do stworzenia wielkiej koalicji przeciw Konradowi i sprzymierzonemu z nim Zakonowi, której duszą był

¹ Imiona Jadźwingów są typu łotewskiego: Komat, Stajknit, Skomond, Mintele.

² Kadłubek obszernie o tem się rozpisuje, nazywając Jadźwingów »Pollexiani«. M. Pol. t. II. str. 421 nast.

³ Po 700 grzywien od osoby. Por. Rzysszcz Muczk. t. I. nr. 28.

⁴ Hasselbach-Kosegarten. Cod. dipl. Pomeranie, t. I. str. 556.

⁵ Ród naszych rycerzy określić trudno. Dziedziców Grochowarska (w powiecie płońskim), gdzie ich przesiedlił Bolesław Konradowicz, zaliczają jedni heraldycy do Ślepowronów (Niesiecki), inni do Jastrzębców (Boniecki).

Świętopełk pomorski. Z pomocą Prusaków, Litwinów i Jadźwingów¹ uderzył on w r. 1244 na ziemię chełmińską, a potem na Kujawy, których bronił syn Konrada, Kazimierz, gdyż sam Konrad zajęty był w Małopolsce. Bolesławowi przypadła rola obrońcy Mazowsza przed najazdem pogańskich sąsiadów z północy, którzy równocześnie niemal zapuścili swe zagony aż w głąb Lubelszczyzny². Wprawdzie Długosz, jedyne źródło do tych wypadków, ale czerpiące niewątpliwie z jakichś nieznanych nam dziś kronik czy roczników mazowieckich³, wspomina tylko o napadzie Prusaków, domyśleć się jednak można z udziału Jadźwingów w koalicji Świętopełka jakiejś akcji zaczepnej i z ich strony, tem bardziej, że była ona skierowana na ziemię łukowską i lubelską, sąsiadujące z dzierzawami Jadźwingów. Celem tej akcji musiał być przede wszystkim pograniczny Rajgród, który prawdopodobnie został przez Jadźwingów zdobyty, skoro w r. 1253, w czasie wyprawy Daniela, był już w ich posiadaniu⁴. Otóż wydaje mi się rzeczą możliwą, że przesiedlenie Henryka, Marcina i Wojny na Mazowsze pozostawało w związku z skreślonymi wypadkami, tembardziej, że i chronologia jest tu w zupełnej zgodzie. Klęskę wracających z łupieckiej wyprawy Prusaków pod Ciechanowem zapisuje Długosz pod dniem 13 lipca 1244⁵, najazd więc miał miejsce zapewne z końcem czerwca lub z początkiem lipca tegoż roku. Powołanie zaś naszych rycerzy z Rajgrodu i obdarzenie ich dobrami przypada także na sam koniec (29) czerwca. Równoczesność tych zdarzeń może mieć tedy powód w ich wzajemnym związku.

Powołanie rycerzy rajgrodzkich na Mazowsze można jednak w inny jeszcze sposób wytłómaczyć, niekoniecznie upadkiem Rajgrodu, ale polityką osadniczą książąt mazowieckich, polegającą na ściąganiu na Mazowsze rycerstwa z obcych dzielnic. Ten pomysł ma

¹ Długosz, *Historia Pol.*, t. II. str. 302. Udział Jadźwingów w tej wyprawie stwierdza Jeroschin (*Script. rer. Pruss.* t. III. str. 40). Wspomniany przez Długosza udział Litwinów jest wątpliwy.

² Długosz mówi wprawdzie o najeździe Prusaków jako o sprawie wcześniejszej, niż akcja Świętopełka, ale przypuścić trzeba, że te wypadki zaszły wspólnie i w związku z sobą. Zresztą rocznik kapitulny zapisuje pod r. 1244 kilka napadów pruskich »frequentibus insultibus«. *M. Pol.* t. II. str. 838.

³ Semkowicz Al. *Krytyczny rozbiór etc.* str. 264.

⁴ Zob. wyżej, str. 39.

⁵ Długosz, l. c. str. 300.

tem większe za sobą prawdopodobieństwo, że i poprzednio omówiony przywilej z tegoż samego roku, tyczy się także przesiedlonych na Mazowsze rycerzy. W pełnem świetle przedstawi się ta sprawa dopiero w zestawieniu ze spostrzeżeniami, jakie poczyniłem w pracy mej p. t. »Włodycy polscy na tle porównawczem słowiańskim«¹. Zwróciłem tam uwagę na mazowieckie pochodzenie drobnego rycerstwa, rozsiedlonego w ziemi krakowskiej dokoła grodów i na pograniczu, niemniej też starałem się wykazać związek między tem osadnictwem a walkami Konrada mazowieckiego z Henrykiem Brodatym, a następnie z Bolesławem Wstydliwym o Kraków i dzielnice małopolskie. Konrad w dzielnicach tych opierał się częścią na oddanem sobie rycerstwie miejscowem (Nagodzice, Habdanki, Lisy etc.), częścią zaś na rycerstwie sprowadzonem tam z Mazowsza i Kujaw. Zdaje się, że to samo działo się w innych kierunkach ekspansji mazowieckiej, ku wschodowi i północy, a sprzyjało tej akcji centralne położenie Mazowsza, jego gęste zaludnienie i wielka siła rozrodcza ludności, objawy dające się śledzić długo jeszcze później, w czasach bardziej obfitych w źródła (w. XV i XVI).

Ale równolegle z tym prądem odśrodkowym, który rycerstwo mazowieckie rozsiewało po ziemiach sąsiednich, szedł prąd tamtemu przeciwny, dośrodkowy, immigracyjny. W miejsce rycerzy opuszczających rodzinne siedziby, ściągali książęta mazowieccy rycerstwo obce, z ziem sąsiednich i dalszych, osiedlając je w swej dzielnicy. Fakt, że z jednego roku 1244 dochowały się aż dwa świadectwa na to samo zjawisko, dowodzi, że nie była to rzecz przypadku, ale akcja planowa i na szerszą zakrojona skalę. Rzecz wielce prawdopodobna, że obie te akcje, emigracyjna i immigracyjna, pozostawały z sobą w związku. Rycerstwo mazowieckie trzymało w podbitych ziemiach ich ludność w uległości, odwrotnie zaś rycerstwo z obcych dzielnic, osiedlone na Mazowszu i obdarowane ziemią, trzymało tam w szachu niezadowolone żywili miejscowe, jakich tam z pewnością nie brakło, wskutek bezwzględnej srogości Konrada względem swoich poddanych (wojewoda Krystyn. książdz Jan Czapla). Wszak taka polityka wymiany wojska i wzajemnego utrzymywania w szachu jednych szczepów przez drugie, była znana jeszcze w starożytności we wszystkich państwach na

¹ Kwartalnik historyczny z r. 1908, str. 597 nast.

podboju opartych i stosowana jest przecież gdzie indziej po dziś dzień.

3. Podrobiony dokument Lamberta-Suły, biskupa krakowskiego, dla kościoła w Kazimirzy Małej z r. 1063.

Początki dyplomatyki polskiej schodzą się co do czasu z zaraniem polskiego dziejopisarstwa. Podczas gdy najbliżsi sąsiedzi nasi, Czesi i Węgrzy, posiadają sporą garść oryginalnych dokumentów z XI w., my mamy tylko jeden, Włodzisława Hermana z r. ok. 1085 dla Bambergu. Czyśmy ich nie mieli więcej? Czy brak ich przypisać należy zatraceniu, czyli też odpowiada on istotnemu stanowi rzeczy? Oto pytania, które nasunąć się muszą dyplomatykowi polskiemu.

Mimowoli zwracamy się do Długosza, który o połowę bliższy od nas tym zamierzczłym czasom, rozporządzał jeszcze znacznym zasobem zaginionego dziś materiału źródłowego¹, celem stwierdzenia, czy znane mu były dokumenty starsze od tych, które my posiadamy. Okazuje się, że ojciec dziejopisarstwa polskiego raz jedynie powołuje się na autopsję dokumentu z XI w. Mianowicie wspominając w »Dziejach Polski« o śmierci biskupa krakowskiego Lamberta-Suły (r. 1071), dodaje, że czytał jego dokument fundacyjny dla kościoła w Kazimirzy Małej z r. 1063, w którym jeden szczegół zwrócił jego uwagę. Oto pośród świadków na pierwszym miejscu wymieniony był św. Stanisław, podówczas jeszcze kanonik krakowski. Tę samą wiadomość, z małymi odmianami, powtarza w »Żywotach biskupów« pod Lambertem-Sułą².

Przytaczamy poniżej obie wersje Długoszowe w zestawieniu obok siebie i zaznaczamy kursywą miejsca, w których teksty ich wzajem się uzupełniają:

Hunc (sct. Lampertum) ad devotam
petitionem Nicolai de Mykolayow *fili*
Wsczeklicze, cornu pro armis, Stani-
slai et Bogussii de Zemlicze, caput asi-
ninum, Petri et Jacobi de Sbilutowicze,

Hunc (sct. Lampertum) *ad instan-*
tiam et petitionem devotam nobilium
Nicolai Wsczeklicze de Mykolayow de
armis *in clipeo unum cornu, Slauissii*
et Bogussii de Zemlicze *de armis Po-*

¹ Semkowicz Al. Krytyczny rozbiór Dziejów Polskich Jana Długosza, str. 42 i 47.

² Opera omnia, t. I. str. 383.

clypeum in clypeo, Msczugii et Johannis de Jakuschowicze, babatum cum cruce, pro insignibus deferentium, ecclesiam parochialem in minori Kazimirza reperio fundasse et certas decimas manipulares illi adiunxisse. In foundationis quoque privilegio *Anno Domini Millesimo sexagesimo tertio in Dzerzazna scripto et confecto*, cuius memini me legisse tenorem, beatum Stanisławum tunc Cracoviensem canonicum, pro primo et principali cum aliis Cracoviensibus et Wratislaviensibus canonicis testem scripsisse.

lukoza caput asinum, Petri et Jacobi Sbilutowicze *de armis Janina*, clipeum in clipeo, Msczugii et Johannis de Jakuschowicze *de armis Jastrzambczy*, babatum cum cruce pro insigni deferentium, ecclesiam parochialem in minori Kazimirza reperio fundasse, et certas illi decimas manipulares adiunxisse et in foundationis privilegio, cuius tenorem me legisse recolo, beatum Stanisławum tunc Cracoviensem canonicum pro primo et principali, cum aliis Cracoviensibus et Wratislaviensibus canonicis pro testibus posuisse.

Zasób przywiedzionych w tem streszczeniu szczegółów z dokumentu biskupa Lamberta dowodzi, że Długosz nie tylko go — jak zaznacza — czytał, ale niewątpliwie sporządził sobie zeń wyciąg, który spożytkował następnie w obu swych dziełach. Byłby to zatem jedyny z XI w. do czasów jego dochowany dokument, najdawniejszy zarazem okaz dyplomatyki polskiej, gdyby okazał się autentycznym. Niestety, już streszczenie Długoszowe nasuwa w tym względzie poważne wątpliwości. Bo jakkolwiek data dokumentu r. 1063 pozostaje w zgodzie z czasem zasiadania Lamberta-Suły na krakowskim stolcu biskupim (1061—1071), jakkolwiek obecność Stanisława, kanonika krakowskiego, sama przez się nie budziłaby jeszcze nieufności, to jednak owa szlachta, pisząca się ze swych dóbr dziedzicznych »de Mykołayow«, »de Zemlicze« etc., nastręcza uznaniu dokumentu za autentyczny nieprzezwyciężone trudności, chyba że te przydomki uznałoby się za własne dodatki Długosza, względnie za interpolacje, które on przejął za pośrednictwem jakichś transsumptów. Najmniej stosunkowo podejrzeń budziłby opis herbów przytoczonych rycerzy, który łatwo złożyć było można na karb znanej skłonności autora »Klejnotów« do heraldyzacyi. Wobec tych jednak wątpliwości, na podstawie notatki Długosza, nie podobna było wytworzyć sobie o dokumencie biskupa Lamberta należytego wyobrażenia, i nie pozostawało nic innego, jak przejść nad nim do porządku dziennego, gdyby nie odkrycie samego dokumentu w aktach konsystorza krakowskiego.

Na dokument biskupa Lamberta zwrócił moją uwagę ks. Zygmunt Dunin Kozicki, gruntowny znawca archiwum konsystorskiego

w Krakowie. Kierując się jego wskazówkami, za które mu gorącą wyrażam podziękę, odnalazłem przy życzliwej pomocy ks. Jana Sygańskiego T. J. rzeczony dokument, inserowany dwukrotnie w aktach procesowych z r. 1330, które oblatowano w księgi oficjalatu krakowskiego z lat 1627/8. (Tom 123, str. 1019—1025 i 1077—1082)¹.

Ponieważ sam proces o dziesięcinę z r. 1330 nie bez wartości jest dla prawa kanonicznego, przytaczam go także w całości, wraz z zawartym w nim dokumentem biskupa Lamberta.

In nomine Domini amen. Anno nativitatis eiusdem millesimo trecentesimo tricesimo, indictione secunda, decimo octavo calendas mensis Julii, hora quasi prima in Radlow, venerabili in Christo patre domino Joanne, divina et apostolicae sedis providentia episcopo Cracoviensi in palatio suo praesidente, honorabilis vir dominus Arnoldus de Kamen, canonicus S. Michaelis in Cracovia, quendam sententiam diffinitivam in praesentia mei, notarii infrascripti testiumque subscriptorum, nomine dicti domini episcopi tulit et publicavit, in papirea charta legendo in haec verba:

In nomine Domini amen. Nos Joannes divina et apostolicae sedis providentia episcopus cracoviensis, notum facimus universis, praesentes litteras habituris, quod, cum inter discretos viros Bogdasium, rectorem ecclesiae de Parva Kazimirza ex una, actorem, et Boskonem plebanum de Zeben², Nicolaumque capellanum nobilis viri Tomeslai (palatini)³ Sandomiriensis, reos parte ex altera, super decimis

¹ Akt ten oblatował Jan Sulński, pleban w Kazimirzy Małej, dnia 2 lipca 1628 r.

² W kopii raz Zelen drugi raz Debini. Takie parafie nie istniały wcale, natomiast względy rzeczowe, które rozważymy niżej, wskazują na Szebnię, która występuje w źródłach w pisowni: Seben, Sebin, Czeben (Theiner, Mon. Vat. t. I, str. 244, 278 oraz KKK. nr. 228. W oryginale mogło być Zeben, co kopia źle odczytawszy, przepisał raz Zelen, drugi raz Debini. Tu błąd paleograficzny był bardzo łatwy.

³ Tego wyrazu brak w kopii ale następny wyraz »Sandomiriensis« nakazuje domyślać się, że przed nim opuszczono jakiś tytuł. Otóż Tomisław był niewątpliwie w roku 1330 wojewodą sandomirskim. Występuje on bowiem w tej godności w latach 1320—1327 (KMp. I, nr. 163 — KM. II, 593) i sprawował ją zapewne jeszcze w r. 1330. W następnym roku 1331 wojewodą sandomierskim był już Mściwniew Warcisławicz (KM. II, nr. 604).

in Mikolaiow, Stropeszyn et Zagaiow, coram nobis quaestio fuisset exorta pro parte dicti Bogdasii, rectoris ecclesiae praedictae de Parva Kazimirza, libellus existit in haec verba oblatus:

Coram vobis honorabili viro magistro Petro, officiali auditoreque causarum domini episcopi Cracoviensis, ego Bogdasius, rector ecclesiae praedictae de Parva Kazimirza contra et adversus Boskonem de Zeben et Nicolaum Thomeslai capellanum in iudicio constitutus conquerendo propono, quod cum decimas post araturas Sandonis militis in Mikolaiow, Stropeszyn et Zagaiow a tempore, cuius contrarii memoria non existit, praedecessores mei nomine ecclesiae meae possederunt, perceperunt, ac ego possideram aliquibus annis easdem. idem Bosko et Nicolaus me et ecclesiam meam praedictis decimis spoliare non desistunt. Quare peto nomine quo supra per vestram sententiam mihi et ecclesiae meae easdem decimas adiudicari sine strepitu et figura iudicii, cum fructibus perceptis, vel quae percipi potuerunt. Peto etiam expensas in lite factas et protestor de faciendis.

In testimonium vero eiusdem libelli obtulit ecclesiae suae veterissimum (sic) privilegium vetustate praevenum, ad quod quidem quinque sigilla vetustissima erant appensa. Descriptiones item sigillorum infra patebant, prout in forma erant et cuius tenor erat et est talis:

In nomine Domini amen. Noverint universi, praesentes et futuri, quorum audientiae praesens scriptum fuerit recitatum, quod in fundatione ecclesiae in Parva Kazimirza coram nobis Lamperto divina providentia episcopo Cracoviensi, nobiles viri nostri in praesentia constituti, scilicet Nicolaus de Mikolaiow filius Wszczeklice, Stanissius et Bogussius Michaelis de Szemlice, Sbilutus et Petrus Jacobi de Sbiluthowice, Mscugius Joannis (s.) de Jakuszowice haeredes, sana ac libera voluntate, post araturas suas decimas, videlicet Nicolaus in Mikolaiow et Stropeszyn et in Zagaiow, Stanissius et Bogussius in Szemlice, Osmolice, Gabolthow, Bogumilowice, Sbyluth et Petrus in Zbylutowice, Mnogolice, Mscugius in Jakuszowice, nunc vero blisne, sredne, dalne Jakuszowice nuncupatur, ad honorem et laudem omnipotentis Dei et ob reverentiam Beatae et gloriosae Dei genitricis Virginis Mariae et omnium Sanctorum, dictae ecclesiae in Parva Kazimirza dictas decimas dederunt, contulerunt et perpetuis temporibus assignaverunt. Quam quidem donationem

et assignationem considerantes rite et rationabiliter esse factam, ipsam admittentes, de solita nostra pontificali dignitate ratificamus, *cum descriptionibus sigillorum*¹ approbamus et gratuite confirmamus. In cuius rei testimonium sigillorum nostrorum, praemissorumque nobilium sigilla sunt appensa. Actum in Dzierzasna, feria sexta quatuor temporum autumnii, anno Domini millesimo sexagesimo tertio, praesentibus his: Stanislae canonico Cracoviensi, Nicolae Vratislaviensi et Godfredo canonice², Gamberto de Bithom, Heluigo de Slawcovia plebanis et Radomiro nostrae curiae prothonotario et aliis quam plurimis fidedignis.

Descriptiones sigillorum itaque veterissimi (sic) privilegii erant in hanc formam: atque primum sigillum erat longum, appensum ru-beo serico, cera ab extra alba, intus vero rubea, in medio erat imago pontificalis, tenens curvaturam in manu sinistra, cum dextra vero ad modum benedictionis, verba erant circumferentialiter: Sigillum Lamberti episcopi Cracoviensis. Aliud vero erat rotundum, cera ab extra alba, intus vero viridis, in medio erat clypeus et in medio clypei cornu cervi, verba erant circumferentialiter: Sigillum Nicolai haeredis de Mikolaiow. Tertium erat rotundum, cera extra alba, intus vero nigra, in medio erat clypeus in clypeo, verba circumferentialiter: Sigillum Petri de Sbyluth. Quartum vero ad modum clypei erat, cera extra alba, intus vero viridis, in medio erat caput asinum, verba circumferentialiter: Sigillum Stanislai de Zemlice. Quintum erat rotundum, cera ab extra alba, intus vero nigra, in medio erat babatum, intus habens crucem, verba circumferentialiter erant: Sigillum Mscugii de Jakuszowice.

Lite igitur et tali privilegio legitime contestata, dicto Boskoni et Nicolae ad audiendam sententiam definitivam sufficienter citatis, ipsis tamquam contumaciter absentibus, quorum absentiam divina repleta providentia, deliberatione diligenti super hoc et consilio sapientum habito, Dei nomine invocato, dicto Bogdasio et ecclesiae ipsis praedictas decimas in supradictis villis cum perceptis adiudicamus, praemissumque privilegium antiquitate praeventum, nostris sigillis perpetuis temporibus in his scriptis, salvis suis sigillorum descriptionibus ratificando, renovando, roborando confirmamus.

¹ To oczywiście wtręt transsumującego notaryusza.

² W kopii brak wyzczególnienia tej ostatniej kanonii.

Super qua ratificatione, roboratione, sigillorum descriptione, confirmatione et renovatione, locatione, praefatus Bogdasius a me notario infrascripto sibi petiit fieri publicum instrumentum. Actum anno, indictione. die, mense, hora, loco, quibus supra. Praesentibus honorabilibus et discretis viris: Bodzanta decano Cracoviensi, Naasan praeposito, magistro Petro cantore Visliciensis, Derscone custode S. Floriani, Ichrico (s.) de Zambocin, Nicolao in Socoliny, Petro de Gabolthow plebanis, et aliis quam pluribus testibus fidedignis, ad praemissa vocatis et rogatis.

Et ego Albertus Jasconis¹ de Opatowiec, clericus Cracoviensis dioecesis, praesentibus auctoritate apostolica et imperiali notarius, supradictae sigillorum descriptioni, renovationi, ratificationi, confirmationi, definitivae sententiae lationi aliisque omnibus et singulis praemissis, dum sic agerentur, una cum testibus praenotatis vocatus et rogatus, praesens interfui, ipsamque ad petitionem supradicti Bogdasii propria manu in hanc publicam formam redegі, meoque signo et nomine consuetis consignando in testimonium omnium praemis-sorum.

Treścią przytoczonego aktu jest proces i wyrok sądu biskupiego krakowskiego w sporze o dziesięciny między plebanami kościołów w Kazimirzy Małej i w Szebni w r. 1330. Prawno-faktyczna strona aktu nie budzi żadnych podejrzeń i nie zawiera nic, co by z datą wyroku pozostawało w sprzeczności². Geneza sporu wystąpi jaśniej na tle stosunków rodowych.

¹ W kopii »Petrus Basconis« jest błędne. Takiego notaryusza źródła z tych czasów nie znają, natomiast występuje współcześnie »Albertus Johannis, (Jasconis) de Opatowiec«, który w r. 1326 jest wikaryuszem katedralnym krakowskim (KM. II. nr. 592), a w r. 1332 jako notaryusz publiczny redaguje inny wyrok (KKK. nr. 150), którego styl wielce zbliża się do dyktatu niniejszego aktu. (Zob. niżej str. 50). Wobec tego nie może być wątpliwości, że tu kopista popełnił błąd, przekręcając imię notaryusza i jego ojca.

² Zwracam jedynie uwagę na błędną indykcję; na rok 1330 przypada indykcja XIII. Błąd ten niekoniecznie kopiście przypisać należy. W tych czasach często błędnie obliczano znamiona chronologiczne i w najautentyczniejszych dokumentach zdarzają się omyłki. Por. np. dokument z r. 1333, gdzie podana jest indykcja XVI, jakkolwiek taka indykcja zgoła nie istniała (ostatnia była XV).

Kazimirza Mała, leżąca nad Nidzią w ziemi wiślickiej i szereg wsi okolicznych, należały w pocz. XV w. do rodu Bibersteinów, który posiadał nadto w tych czasach drugi klucz dóbr, mianowicie Szebnię w Jasielskiem¹. Między kazimirską a szebieńską gałęzią Bibersteinów dadzą się wykryć jeszcze w XV w. związki, przejawiające się w dziedziczeniu rodzonych braci na obu kluczach dóbr. Tak np. w r. 1427 występują bracia rodzeni: Spytek, Henryk i Nawój, z których pierwszy posiada Mikołajów w kluczu kazimirskim, a tamci dwaj Moderówkę i Szebnię w kluczu szebieńskim. Wskazuje to na niedawne stosunkowo rozczepienie się rodu na obie gałęzie, nie dalej, jak dwie albo trzy generacje wstecz.

Otóż domysł ten znajduje potwierdzenie w naszym procesie między plebanem kazimirskim a szebieńskim o dziesięciny „*post araturam Sandonis, militis in Mikolaïow, Stropieszyn et Zagajow*“². Wsie te leżą pod Kazimirzą Małą, a Mikołajów, jak wspomnieliśmy był jeszcze w pocz. XV w. w ręku Spytki Bibersteina, którego bracia dziedziczyli w Szebni. Rycerz Sąd, dziedziczący w r. 1330 na Mikołajowie, Stropieszynie i Zagajowie, to niewątpliwie także Biberstein, a przodek wspomnianych braci. Imię Sąd nieobce jest tej rodzinie, i jeszcze w pocz. XV w. nosi je dziedzic Moderówki, syn wymienionego dopiero Henryka³. Otóż jest rzeczą nader prawdopodobną, że ów Sąd z naszego procesu, to nie kto inny, jeno kasztelan sandomierski z lat 1333—1334, którego zachowana pieczęć z r. 1334 przedstawia właśnie herb Bibersteinów⁴. On sam, czy też może któryś z przodków jego, wydzielił widocznie — jak to nieraz bywało — z funduszu kościoła kazimirskiego dziesięciny niektórych wsi dla kościoła w dziedzicznej Szebni⁵. Proboszcz kazimirski, pokrzywdzony w swych prawach, pozwał wówczas plebana z Szebni przez sąd biskupi. Oprócz plebana szebieńskiego pozwał proboszcz kazimirski Mikołaja, kapelana wojewody sandomierskiego Tomisława⁵. Kto był ten Tomisław i z jakiego pochodził rodu,

¹ Por. Białkowski L. Ród Bibersteinów, str. 17 i 21.

² Tamże, str. 25.

³ Piekosiński. Pieczęcie polskie wieków średnich, nr. 372. W »Rycerstwie pol. w. śr.« t. III, str. 265 Piekosiński mylnie zalicza go (na podstawie imienia) do Odrowążów.

⁴ Szebnia istnieje już w r. 1326. Theiner, t. I, str. 244.

⁵ Że Tomisław był wojewodą sandomierskim, zwróciłem uwagę wyżej na str. 45 przypisek 3.

na to bezpośrednich wskazówek nie posiadamy¹. Domyślać się jednak można z toku całej sprawy, że i on pochodził także z rodu Bibersteinów. Jego to synem lub bratankiem był niewątpliwie Tomisław z Szebni, świadczący na dokumencie z r. 1362².

Nietylko względy rzeczowe, zawarte w treści aktu, przemawiają za jego autentycznością, ale i kryteria formalne, zwłaszcza dyktat daje temu wymowne świadectwo. Redaktorem wyroku, który nadał mu „*publicam formam*“ był Wojciech syn Jaśka z Opatowca, notaryusz biskupi. Otóż znamy inny wyrok redakcyi tegoż notaryusza, z r. 1332³, którego porównanie z naszym wyrokiem wykazuje istotnie ten sam dyktat. Zestawiamy poniżej parę formuł końcowych obu wyroków:

Wyrok z r. 1330.

Quod cum... questio fuisset exorta pro parte dicti Bogdassii... *libellus extitit* in haec verba *oblatus: Coram Vobis* Honorabili viro... *Ego* B. rector ecclesiae... *contra* et *adversus*... *conquerendo propono, quod cum* etc.

Et ego Albertus Jasconis de Opatowiec, clericus Cracoviensis dioecesis, praesentibus auctoritate apostolica et imperiali notarius etc.

... *supradictae sententiae lationi... vocatus et rogatus praesens interfui, ipsamque ad petitionem supradicti B. propria manu in hanc publicam formam redegi, meoque signo et nomine consuetis consignando in testimonium omnium praemissorum.*

Wyrok z r. 1332.

Quibus sic exhibitis demum pro parte domini episcopi Cracoviensis *libellus extitit oblatus* sub isto tenore: *Coram vobis* religioso viro... *ego* W. plebanus... *propono contra... quod cum* etc.

Et ego Albertus olim Johannis de Opatowecz clericus diocesis Cracoviensis, apostolica et imperiali auctoritate notarius publicus etc.

... *praedictae causae interfui vocatus et rogatus et eam de mandato et auctoritate praedicti iudicis delegati suum sigillum apponendo sic in publicam formam redegi, nomine et signo meo ipsam consignando in testimonium praemissorum et perpetuam rei memoriam habendam.*

Wreszcie osoby występujące w procesie są nam w znacznej części znane ze współczesnych źródeł i również stwierdzają auten-

¹ Piekosiński zalicza go dowolnie do rodu Jelitczyków i identyfikuje bez udowodnienia z Tomisławem z Mokrska.

² KKK. nr. 228.

³ Tamże, nr. 150.

tyczność aktu. Mistrz Piotr, sędzia nadworny biskupa krakowskiego, zarazem pleban ze Skałki i kantor wiślicki (pośród świadków wyroku) występuje w tym charakterze w latach 1328—1337¹. Bodzanta jest dziekanem krakowskim w latach 1320—1348², Nasan proboszczem wiślickim w latach 1328—1343³, Dzierzko kanonikiem u św. Floryana w r. 1330⁴, Piotr, pleban w Gabułtowie występuje w roku 1337⁵, wreszcie Wojciech, syn Jana z Opatowca, jako notaryusz biskupi w r. 1332⁶.

Wykazawszy tym sposobem autentyczność wyroku w sprawie dziesięcin kościoła Kazimirzy Małej, przystępujemy obecnie do rozpatrzenia dokumentu fundacyjnego tegoż kościoła, przedłożonego w procesie przez jego proboszcza na dowód praw dziesięcinnych.

Jak zaznaczyliśmy na początku, znał ten dokument Długosz i podał w »Historyi« i w »Żywotach biskupów« jego streszczenie. Z porównania notatki Długoszowej z samym dokumentem, okazuje się niewątpliwie 1) że nie inny, ale ten właśnie tekst miał Długosz przed sobą, 2) że streszczenie jego jest wierne i pozbawione własnych dodatków Długosza.

Ale jeśli notatka Długosza budziła tylko podejrzenia co do autentyczności dokumentu, to pełny tekst jego rozprasza w tym kierunku wszelkie wątpliwości i okazuje, że mamy do czynienia z wietrznym fałszyfikatem.

Więc najpierw — ile chodzi o formułę — inwokacja »*In nomine domini amen*«, niezwykła jeszcze w wieku XII, rozpowszechnia się dopiero w następnym stuleciu. Rażącym anachronizmem jest *maiestaticus pluralis* biskupa wystawcy, rażące nazwy miejscowości przy imionach rycerzy-dziedziców, wprost niedorzecznością w tym czasie ich pieczęcie z herbami. Pomijam już styl zawiły, brak formuły penalnej i inne właściwości, niedające się wprost pomyśleć, już nie tylko w XI, ale nawet w XII w.

¹ Kod. kat. kr. tom I. nr. 149—161, tom II. nr. 244—250. Kod. mog. nr. 56.

² Kod. młp. t. I. nr. 164. W r. 1348 zostaje biskupem krakowskim.

³ K. kat. kr. t. I. nr. 144—147, t. II. nr. 244, 245, Kod. mp. tom III. nr. 641.

⁴ Kod. mp. II. nr. 602.

⁵ Kod. kat. kr. nr. 161.

⁶ Kod. kat. krak. nr. 150.

Lecz uznanie dokumentu biskupa Lamberta za fałszykat nie zwalnia nas jeszcze od dalszych nad nim badań. Dyplomatyka nowoczesna jest czemś więcej, niż *ars discernendi diplomata vera ac falsa* — jak ją dawnymi określano czasy, zadanie jej nie kończy się przeto na prostem stwierdzeniu fałszerstwa. Wnikając głębiej w istotę i przyczyny podrobienia dokumentu, dzisiejsza dyplomatyka bada czas, miejsce, sprawcę fałszerstwa i inne okoliczności mu towarzyszące, stara się przy tem dociec, czy i w jakiej mierze fałszerz zużytkował wiarygodne wiadomości, zaczerpnięte z autentycznych dokumentów, zapisek lub tradycji.

Co się tyczy czasu podrobienia dokumentu, to mamy w nim jeden szczegół, który kwestyę tę odrazu rozwiązuje. Oto pieczęć biskupa Lamberta przywieszona do dokumentu z r. 1063 miała być wyciśnięta w czerwonym wosku. Aż do Nankera włącznie (t. j. do r. 1326) używali biskupi krakowscy stale wosku zwykłego — pierwszym, który zaczął wyciskać pieczęć w czerwonym wosku, był Jan Grot¹ (1326—1347), t. j. ten właśnie biskup, przed którego sądem toczył się spór o dziesięciny Kazimirzy Małej. Wynika stąd, że fałszerstwa dokonano wspólnie t. j. na krótko przed r. 1330, w którym dokument przedłożono w sądzie biskupim.

Ta ostatnia okoliczność wyjaśnia nam zarazem cel fałszerstwa. Nie ulega wątpliwości, że dokument Lamberta podrobiony został *ad hoc*, dla zyskania środka dowodowego w procesie o dziesięciny.

Sprawcą fałszerstwa był zapewne sam proboszcz kazimirski, w każdym zaś razie ktoś niezbyt biegły w sztuce podrabiania dawnych dokumentów i nie mający widocznie pod ręką starych wzorów, choćby z XII w. Gdyby bowiem fałszerstwo było dokonane w kapitule krakowskiej lub w którymkolwiek ze starych klasztorów lub kolegiat polskich, byłby fałszerz niezawodnie zużytkował zachowane tam dawne autentyki, celem nadania swemu fałszykatowi pozoru cech archaicznych.

Inna rzecz, czy fałszerz nie znał jakich zapisek, które mogły mu dostarczyć rzeczowego substratu do podrobienia dokumentu. Te rzeczowe szczegóły mogły dotyczyć: 1) aktu konsekracyi kościoła kazimirskiego w r. 1063 przez biskupa Lamberta, ewentualnie także

¹ Por. Piekosiński. Pieczęcie pol. w. średn. nr. 326 (Nanker) i 368 (Jan Grot).

świadków obecnych przy konsekracji, 2) nadań dziesięcinnych, poczynionych przez okoliczne rycerstwo na rzecz kościoła.

Co do konsekracji, podnieśliśmy już pierwiej jeden moment niemałej wagi, mianowicie zgodność daty dokumentu z pontyfikatem Lamberta-Suły, którego chronologię poświadczają najdawniejsze nasze roczniki (1061—1071)¹. Przypadkowością tego faktu tłumaczyć nie wolno, niepodobna zaś przypuszczać, by fałszerz, który grzeszył zupełną ignorancją dawnych zasad dyplomatyki i nie troszczył się o najbardziej zdradliwą w procesie formę dokumentu, dbał o zgodność chronologii dla tak odległej epoki i czynił w tym kierunku jakieś badania. Można by to przyjąć dla dokumentu podrobionego w kapitule, gdzie były pod ręką roczniki i katalogi biskupów, gdzie zatem dobór daty nie przedstawiał trudności, ale nie dla fałszyfikatu, który powstał niewątpliwie w prowincjonalnym kościele. Otóż przypuszczam, że fałszerz miał w istocie pod ręką zapiskę o konsekracji kościoła kazimirskiego przez biskupa Lamberta w r. 1063. Za założyciela Kazimirzy uważaćby zatem należało Kazimierza Odnowiciela.

Osad o nazwie Kazimierz, Kazimirza, jest kilka na obszarze ziem polskich; wszystkie one są bardzo stare i z wyjątkiem Kazimierza krakowskiego i lubelskiego dadzą się związać z imieniem jednego z dwóch pierwszych Kazimierzów: Odnowiciela lub Sprawiedliwego.

Kazimirza, o której mowa, składała się z dwóch osad, położonych po obu brzegach Nidzicy. Osada leżąca po stronie krakowskiej zwała się Wielką, druga po stronie wiślickiej — Małą. Trudno dziś dociec, czy od początku były tam dwie osady, czy też może łączył je stosunek macierzy do córki. W tym ostatnim razie, który jest prawdopodobniejszy, Kazimirza Mała (Młodsza) byłaby filią Wielkiej (Starej), co nie wyłącza możliwości powstania obu jeszcze za Kazimierza Odnowiciela. Jakkolwiekbyś się rzecz miała, faktem jest, że obie osady posiadały już bardzo dawno kościoły parafialne: Wielka pod wezwaniem św. Krzyża, Mała pod wezwaniem Wniebowzięcia NMP. Oba kościoły figurują już w najdawniejszych kolektorjach świętopietrza jako siedziby dekanatów², w szczególności Mała

¹ Rocznik kapitulny krak. Mon. Pol. t. II. str. 795.

² Theiner, Mon. Pol. Vat. t. I. str. 243.

Kazimirza była nią w latach 1349—1357¹. Jestto ważne kryterium starożytności kościoła, nie ulega bowiem wątpliwości, że stolice dekanatów łączyły się z najstarszymi świątyniami, że wymienię Prandocin, Jędrzejów, Sącz, Sławków, Bytom, Korczyn, Kije, które to kościoły należą niewątpliwie do najdawniejszych, z XI i XII w.

I tytuł kościoła »*Assumptionis B. M. V.*« należy do bardzo starych. Matce Bożej dedykowane były prawie wszystkie dawne kościoły polskie, bądź to samoistnie, bądź obok drugiego wezwania. Kościoły w Gnieźnie, Mogilnie, Łęczycy, Wiślicy, Kielcach, należące do najstarszych, miały wezwanie NMPanny. Rozważenie tych wszystkich okoliczności pozwala odnieść założenie kościoła w Kazimirzy Małej do wieku XI, do czasów biskupa Lamberta.

Z aktem konsekracji łączy się nadto miejsce wystawienia dokumentu fundacyjnego i jego świadkowie. Dzierżążnia, jako miejsce wystawienia dokumentu jest prawdopodobnie przez fałszerza zmyślona, jako jedna z najbliższych Kazimirzy w XIV w. posiadłości biskupich. Lecz wątpić należy, czy przynależność jej do stołu biskupiego sięga XI w. Najdawniejszą wzmiankę o Dzierżążni znajdujemy w dokumencie arcybiskupa Jana dla klasztoru w Jędrzejowie z r. 1174/6. Wymieniona jest tam ona między wsiami, które arcybiskup zakupił dla tego klasztoru². Na własność biskupstwa przeszła, zdaje się, dopiero w r. 1287, kiedy Leszek Czarny nadał Pawłowi z Przemankowa »*villam suam in Derusna*«³. Wiadomość Długosza, jakoby w czasie bitwy nad rzeką Mozgawą w r. 1195 biskup krakowski Pełka stał w Dzierżążni, polega tylko na kombinacji, nie popartej zresztą żadnem dawnem źródłem⁴. Z tem wszystkiem do szczegółu tego w naszym dokumencie nie można przywiązywać zbytniej wagi.

Co powiedzieć o świadkach, z pośród których kanonik Stanisław zwrócił już uwagę Długosza, stanowiąc istotnie najciekawszy szczegół w naszym dokumencie, bo gdyby się okazał autentycznym, mielibyśmy cenną zdobycz naukową. Niestety, wykazać tego niepodobna. Jakkolwiek bowiem jest rzeczą prawdopodobną, że Stanisław

¹ Korzystałem dzięki uprzejmości Dra J. Ptaśnika z kolektoryów, które wejść mają do wydawnictwa Monumenta Poloniae Vaticana.

² Kod. mpol. t. II. nr. 374.

³ Kod. kat. krak. nr. 85.

⁴ Historia Pol. tom II. str. 146. Por. Al. Semkowicz, Krytyczny rozbiór r. 200.

był w tym czasie kanonikiem krakowskim, a »Żywot mniejszy«, źródło z pierwszej połowy XIII w., wyraźnie mówi o tem, że biskup Lambert „fecit eum in ecclesia Cracoviensi fratrem et canonicum“¹, to jednak zarówno ta wiadomość, jak i umieszczenie Stanisława, jako kanonika krakowskiego, na liście świadków dokumentu kazimirskiego może polegać tylko na prostej kombinacji, że za pontyfikatu swego poprzednika Lamberta był Stanisław kanonikiem. Nie mamy przeto żadnej pewności, że szczegół ten w naszym dokumencie opiera się na jakichkolwiek wiarygodnych danych, mianowicie na zapisce o konsekracji kościoła, gdzie mogliby być wymienieni świadkowie tego aktu, i raczej przypuścić trzeba, że mamy tu do czynienia z czczym wymysłem, w celu nadania falsyfikatowi większej powagi i wiarygodności.

Toż samo tyczy się reszty świadków, jakkolwiek i tu nie brak pozorów wiarygodności. Zwłaszcza dwaj plebani, bytomski i sławkowski, mogliby zrazu łądzić, bo Bytom i Sławków to bardzo stare grody², gdzie już wcześniej mogły istnieć kościoły grodowe; czy jednak w tym czasie może być mowa o »plebanach«, jest rzeczą więcej niż wątpliwą. Ostatni ze świadków, pronotaryusz biskupi, jest już niedorzecznym wymysłem. Tytuł ten, dotąd niewyjaśnionego (zdaje się bizantyńskiego) pochodzenia, był w XI w. jedynie w użyciu u Normanów Włoch południowych³. W Europie środkowej, mianowicie w kancelarii cesarskiej a w ślad za tem w kancelaryach biskupich, zjawia się dopiero w poł. XII w.⁴, w kurii papieskiej zaś dopiero w XIV w.⁵. W Polsce zjawia się protonotaryusz z końcem XIII w. za rządów czeskich⁶. Z tych względów wzmiankę o pronotaryuszu w naszym dokumencie nie podobna uważać za wiarygodną, tembardziej, że o zorganizowanej kancelarii biskupiej w Polsce tych czasów nie może być w ogóle mowy. Podobnie tedy jak

¹ Mon. Pol. t. IV. str. 250.

² Bytom wspomniany już u Galla (Chronicon, str. 66, 87, 88) oraz w bulli gnieźnieńskiej z roku 1136 (Kwp. nr. 7). Sławków był jedną z najdawniejszych posiadłości biskupstwa krakowskiego i jeszcze w XIII w. istniał tam gród, jako centrum »kasztelani sławkowskiej«. Kod. kat. krak. t. I. nr. 88.

³ Por. Erben-Redlich, Urkundenlehre, str. 80.

⁴ Tamże, oraz Bresslau, Urkundenlehre, str. 369.

⁵ Bresslau, l. c, str. 233.

⁶ Henryk Quas, protonotaryusz Wacława czeskiego w r. 1292. Kod. mpol. t. II. nr. 521 i 522.

miejsce wystawienia dokumentu i całą grupę świadków uważam za zmyśloną, włącznie z datą dzienną, wyrażoną w falsyfikacie sposobem niezwykłym i bardzo rzadko w użyciu będącym, wedle suchednich (jesiennych), quatuor tempora (autumni).

Przechodzimy wreszcie do nadawców dziesięcin, celem stwierdzenia, czy są to postacie rzeczywiste, czy także — jak świadkowie — fikcyjne, przez fałszerza zmyślane. Są oni określani w dokumencie wedle imion, dziedzin i rodów. Ten właśnie wzgląd nie dozwala ich odnieść do w. XI, gdyż rycerstwo dopiero z początkiem XIII w. zaczęło przybierać przydomki od swych dziedzicznych dóbr, który to zwyczaj ustala się w ciągu tego stulecia¹. W XI w., jak i w XII, spodziewalibyśmy się tylko samych imion, co najwyżej z *patronimicum*. Nie mogą to być także osoby współczesne pobrobień dokumentu, a więc żyjące około r. 1330, nie podobna bowiem przypuścić, aby w falsyfikacie, mającym służyć za środek dowodowy w procesie o dziesięciny, współcześni ludzie figurowali jako nadawcy z w. XI. Pozostają zatem dwie alternatywy: 1) albo są to postacie historyczne, znane fałszerzowi z zapisek kościelnych, lecz zmarłe dawno, jakkolwiek nie przed wiekiem XIII (ze względu na przydomki); 2) albo też są oni wszyscy zmyśleni wraz z swymi imionami, dziedzinami i herbami.

Aby tę kwestyę rozstrzygnąć, trzeba przejść wszystkich nadawców po kolei i rozpatrzyć na podstawie źródeł ich stosunek do dóbr i rodów, do których wedle opisu pieczęci należeli.

1) Mikołaj, syn Wścieklicy z Mikołajowa, z rodu Bibersteinów, dziedzic Mikołajowa, Stropieszyna i Zagajowa. Już na początku niniejszej pracy wspomniałem, że Bibersteinowie byli w XIV i XV w. dziedzicami Kazimirzy Małej i kilku sąsiednich osad². Najwcześniejsze ich w tej okolicy ślady sięgają trzeciego dziesiątka XIV w., t. j. czasu procesu o dziesięciny (Sąd, kasztelan sandomirski). Z trzech wsi, wymienionych w dokumencie Lamberta, z których kościół kazimirski miał pobierać dziesięciny, tylko Miko-

¹ W Małopolsce pierwszy raz pojawia się taki sposób określania pochodzenia w Album miechowskim z r. 1198 (Kod. mp. t. II. nr. 376). W dok. z r. 1224 występuje już cały szereg rycerzy z takimi przydomkami. (KKK. tom I. nr. 14.).

² Patrz wyżej, str. 49.

Łajów należał jeszcze w XV w. do Bibersteinów¹. Dwie inne wsi nie dadzą się na podstawie znanych źródeł wykazać jako własność tego rodu; w poł. XV w. Stropieszyn należy do Kocińskiego h. Grabia, a Zagajów do Ujejskiego h. Drużyna. ale w najbliższym ich sąsiedztwie położona wieś Bibersteinów, Sokolina, wskazuje, że i one były niegdyś zapewne w ich posiadaniu². Przewisko Wścieklica nie obce jest źródłom naszym. Do dokumentu Łokietka dla katedry krakowskiej z r. 1306 przywiesił swą pieczęć »Nicolaus Fsccklicza«³; niestety pieczęć ta zaginęła, tak, że nie wiemy, czy to był Biberstein, ale identyczne imię i przewisko wskazują, że nasz fałszerz nie wyssał ich z palca, czyli innemi słowy: Mikołaj syn Wścieklicy z Mikołajowa może być postacią rzeczywistą i pochodzić z rodu Bibersteinów, którzy istotnie na Mikołajowie dziedziczyli. Do jakiego czasu należy odnieść tego Mikołaja? Bibersteinowie, ród łużycki, pojawiają się w pierwszej połowie XIII w. na Śląsku⁴, do Małopolski przybyć zatem mogli z Henrykiem Brodatym, jak tyle innych rodów, siedzących w tych stronach na pograniczu ziemi krakowskiej⁵.

2) Stanisław i Bogusz, synowie Michała z Ziemlic, h. Połukoza, dziedzice Ziemlic, Osmolic, Gabułtowa i Bogumiłowic. Przedewszystkiem stwierdzić trzeba, że wszystkie te imiona były rzeczywiście w częstem użyciu w rodzie Połukozów. Imię Bogusz stało się nawet z czasem przydomkiem odrębnej rodziny h. Połukoza, która pisała się stale »de Zemblice«, utrzymując tradycję swego pochodzenia⁶. Otóż w tej rodzinie Boguszków imiona Stanisław i Bogusz przetrwały bardzo długo, bo do XVI i XVII stulecia. Tak samo imię Michał bardzo często w rodzie Połukozów się powtarza, tak, że je Piekosiński słusznie za rodowe ich imię uznał⁷. Z czterech wsi, wymienionych jako własność Połukozów, z wyjąt-

¹ Spytek z Mikołajowa, 1427 (Białkowski, Ród Bibersteinów, str. 26)
Henryk z Bibersteinów poł. XV w. (Liber Benef. t. II. s. 146).

² Liber Benef. t. II. str. 146, 412.

³ Kod. kat. krak. t. I. nr. 114.

⁴ Białkowski, l. c. str. 7 nast.

⁵ Por. moją pracę: Włodycy polscy na tle porównawczem słowiańskim, str. 48.

⁶ Bogusz Adam, Mikołaja Bogusza spadkobiercy. Miesięcznik heraldyczny, r. 1909. nr. 4.

⁷ Rycerstwo Polskie, t. III, str. 33.

kiem Osmolic, wsi wcześniej już opuszczonej¹, trzy pozostałe dadzą się wykazać w rękach tego rodu. O Ziemlicach mówiliśmy przed chwilą, że tradycja uważała je za gniazdo Boguszów-Półkoźców². Gabułów, w sąsiedztwie Ziemlic i Bogumiłowice pod Tarnowem, jeszcze do XV wieku przetrwały we władaniu Połukoźców³. I ten szczególnie zatem w dokumencie Lamberta uważać należy za wiarygodny, Michała zaś, ojca Stanisława i Bogusza możnaby zidentyfikować z Michałem Piotrkowiczem z rodu Połukoźców, kasztelanem krakowskim (1243—1255)⁴.

3) Zbylut i Piotr, synowie Jakuba ze Zbylutowic z rodu Janina, dziedzice Zbylutowic i Mnogolic. Rycerze ci źródłom naszym są zgoła nieznani, posiadłości zaś ich zjawiają się dopiero w XV w., lecz już w ręku innych rodów: w Zbylutowicach siedzą Ławszowici i Turzynici⁵, w Mnogolicach Dębnowie⁶. W pobliżu jednak, w Kęsowie i w Cudzinowicach spotykamy w XV w. Janinów⁷. Imię Zbylut właściwe było wielkopolskiemu rodowi Pałuków⁸, mamy tu jednak dowód, że pojawiało się ono i u małopolskich Janinów. Tem wytłumaczyć można genezę kilku nazw wsi małopolskich, utworzonych z imienia Zbylut. Janinowie byli też zapewne założycielami Zbylitowej góry pod Tarnowem, w pobliżu której posiadali jeszcze w XV w. Chyszów⁹. Rozważenie powyższych szczegółów pozwala Zbyluta i Piotra ze Zbylutowic uznać za postaci autentyczne.

4) Mszczuj i Jan z Jakuszowic, z rodu Jastrzębców, dziedzice Jakuszowic. Związku imion i dóbr ich z Jastrzębcami na podstawie dochowanych źródeł wykryć nie podobna. Jakuszowice należą w XV w. do Turzynitów i Połukoźców¹⁰. Jedynej

¹ Za czasów Długosza była już «deserta» Lib. Ben. t. II. s. 418.

² W XV w. były one już w posiadaniu Gerałtów i Różyków (Lib. Benef. t. II. str. 67 i 145).

³ Co do Gabułtowa: zob. Lib. Benef. t. II str. 145. Co do Bogumiłowic: zob. Piekosiński, Heraldika pol. w. średnich, str. 125, gdzie pieczęć Pawła z Bogumiłowic, sędziogo z. krak. oraz Lib. Benef. t. II. str. 494.

⁴ Piekosiński, Rycerstwo małop. t. III. str. 31—33,

⁵ Lib. Benef. t. II. str. 146.

⁶ Tamże, str. 146.

⁷ Lib. Ben. t. II. str. 502 i Ulanowski, Inscr. clenod. nr. 338, 471, 481, 572.

⁸ Por. moją pracę: Ród Pałuków.

⁹ Piekosiński, Zap. wiślickie, nr. 29, 36.

¹⁰ Lib. Ben. t. II. s. 146. oraz Ulanowski, Inscr. clenod. nr. 285, 320 i 477.

wskazówki mogą tu dostarczyć pobliskie osady Jastrzębców, Sokolina i Stawiszycy¹.

Zbierając wyniki powyższych rozważań, dochodzimy do wniosku, że szczegóły, dotyczące się nadań dziesięcinnych na rzecz kościoła kazimirskiego opierają się prawdopodobnie na wiarygodnym przekazie miejscowych zapisek, a wymienieni rycerze są postaciami historycznymi z połowy XIII wieku.

¹ Lib. Ben. t. I. str. 416 i t. II. str. 414.

Treść.

	str.
1. Dokument Maura, biskupa krakowskiego (1109—1118), dla kościoła w Pacanowie	1
2. Dwa przywileje księcia Bolesława Konradowicza z r. 1244 w przedmiocie nadania »prawa rycerskiego«	24
3. Podrobiony dokument Lamberta Suły, biskupa krakowskiego dla kościoła w Kazimirzy małej r. 1063	43

PRZYCZYNEK DO TEORYI MNOGOŚCI

napisał

WACŁAW SIERPIŃSKI



W pracy niniejszej podam pewne twierdzenie z teorii mnogości punktowych i wyprowadzę z niego kilka wniosków.

Będziemy oznaczali tym samym symbolem liczbę rzeczywistą oraz punkt prostej, będący jej obrazem. Mówić będziemy, że punkt p należy do przedziału $\delta = (a, b)$, jeżeli $a \leq p \leq b$, zaś że punkt p leży wewnątrz tego przedziału, jeżeli $a < p < b$.

Niech P oznacza dany zbiór punktów prostej (ograniczony lub nie). Dany punkt g prostej nazywamy, jak wiadomo, miejscem skupienia zbioru P (Cantor), jeżeli przy wszelkiem $\alpha < g$ oraz wszelkiem $\beta > g$ wewnątrz przedziału (α, β) zawiera się nieskończenie wiele punktów zbioru P , oraz miejscem kondensacyi tego zbioru (Lindelöf), jeżeli wewnątrz każdego takiego przedziału (α, β) zawiera się nieprzeliczalna mnogość punktów zbioru P . Jeżeli, w szczególności przy wszelkich $\alpha < g$ oraz $\beta > g$, mamy nieskończenie wiele — względnie nieprzeliczalną mnogość — punktów zbioru P wewnątrz każdego z przedziałów (α, g) oraz (g, β) , to punkt g nazywać będziemy obustronnem miejscem skupienia — względnie kondensacyi — zbioru P .

Twierdzenie. Jeżeli każdy punkt zbioru P należy do jednego przynajmniej z przedziałów, tworzących zbiór Δ , to mnogość wszystkich tych punktów zbioru P , które nie leżą wewnątrz żadnego z przedziałów zbioru Δ , jest co najwyżej przeliczalną.

Dowód. Oznaczmy przez Q zbiór tych wszystkich punktów zbioru P , które nie leżą wewnątrz żadnego z przedziałów zbioru Δ ; każdy punkt zbioru Q , jako części zbioru P , należeć będzie, w myśl założenia, do jednego przynajmniej z przedziałów zbioru Δ . Oznaczmy przez Δ_n zbiór wszystkich tych przedziałów zbioru Δ , które są większe od $\frac{1}{n}$, zaś przez Q_n zbiór wszystkich tych punktów zbioru Q ,

które należą do jednego przynajmniej z przedziałów zbioru Δ_n . Będzie oczywiście

$$Q = Q_1 + (Q_2 - Q_1) + (Q_3 - Q_2) + (Q_4 - Q_3) + \dots \quad (*)$$

Powiadam, że każdy ze zbiorów Q_n jest co najwyżej przeliczalnym.

W samej rzeczy, podzielimy prostą na odcinki o długości $\frac{1}{n}$: okażemy, że na każdym z nich leżą co najwyżej dwa punkty zbioru Q_n . Założmy w tym celu, że na jednym z naszych odcinków leżą trzy różne punkty q_1, q_2, q_3 zbioru Q_n . Jeżeli $q_1 < q_2 < q_3$, to będziemy oczywiście mieli $q_2 - q_1 < \frac{1}{n}$, oraz $q_3 - q_2 < \frac{1}{n}$. Oznaczmy przez δ przedział zbioru Δ_n , do którego należy q_2 : skoro q_2 należy do przedziału $\delta > \frac{1}{n}$, a nie leży wewnątrz tego przedziału, więc musi być jednym z jego końców. Jeżeli q_2 jest lewym końcem przedziału δ , to oczywiście q_3 leży wewnątrz δ , jeżeli zaś prawym, to q_1 leży wewnątrz δ . W obu przypadkach wpadamy w sprzeczność z założeniem, że punkty q_1 i q_3 należą do Q .

Dowiedliśmy więc, że podzieliwszy prostą na przeliczalną mnogość odcinków o długości $\frac{1}{n}$, mamy na każdym z nich co najwyżej dwa punkty zbioru Q_n : zbiór ten jest więc co najwyżej przeliczalnym. Wobec wzoru (*) wynika stąd natychmiast, że i zbiór Q jest co najwyżej przeliczalnym, co było do udowodnienia.

Wniosek 1. Każdy zbiór punktów posiada co najwyżej przeliczalną mnogość miejsc skupienia, które nie są obustronnymi.

Dowód. Oznaczmy przez Q zbiór wszystkich tych miejsc skupienia danego zbioru P , które nie są obustronnymi. Jeżeli q jest jednym z nich, to istnieje odpowiedni przedział δ , którego (lewym lub prawym) końcem jest q , i wewnątrz którego nie ma żadnego punktu zbioru P , a więc też żadnego miejsca skupienia tego zbioru. Żaden zatem punkt zbioru Q nie może leżeć wewnątrz przedziału δ . Możemy więc względem zbioru Q oraz odpowiedniego zbioru Δ wszystkich przedziałów δ zastosować dowiedzione twierdzenie, skąd wynika, że zbiór Q jest co najwyżej przeliczalnym.

Gdybyśmy powtórzyli powyższy dowód, oznaczając przez Q

zbiór wszystkich punktów zbioru P , które nie są jego obustronnemi miejscami skupienia, to wnioskowalibyśmy, iż każdy zbiór punktów zawiera co najwyżej przeliczalną mnogość punktów, które nie są jego obustronnemi miejscami skupienia. Stąd natychmiast wynika

Wniosek 2. Każdy nieprzeliczalny zbiór punktów zawiera nieprzeliczalną mnogość punktów, które są jego obustronnemi miejscami skupienia.

Wniosek 3. Każdy zbiór punktów posiada co najwyżej przeliczalną mnogość miejsc kondensacyi, które nie są obustronnemi.

Dowód. Dla każdego miejsca kondensacyi q danego zbioru, które nie jest obustronnem, istnieje przedział δ , którego końcem jest q i wewnątrz którego zawiera się co najwyżej przeliczalna mnogość punktów danego zbioru. Żadne zatem miejsce kondensacyi nie może leżeć wewnątrz δ . Stąd natychmiast słuszność naszego wniosku.

Wniosek 4. Każdy zbiór liczb rzeczywistych, który uporządkowany według wielkości jest dobrze uporządkowanym, musi być co najwyżej przeliczalnym.

Dowód. Gdyby nasz zbiór był nieprzeliczalnym, posiadałby w myśl wniosku 2-go miejsce obustronnego skupienia. Można by więc z jego elementów zbudować ciąg nieskończony typu $^*\omega$, co przeczy założeniu, że zbiór jest dobrze uporządkowanym.

Wniosek 5. Wśród każdej nieprzeliczalnej mnogości miejsc nieciągłości funkcyi $f(x)$ w danym przedziale istnieje nieprzeliczalna mnogość punktów, w których $f(x)$ posiada z obu stron nieciągłość rodzaju 2-go¹.

Dowód. Niech P oznacza nieprzeliczalny zbiór punktów nieciągłości funkcyi $f(x)$. Oznaczmy przez $\omega(x)$ oscylacyę funkcyi $f(x)$ w punkcie x ². Gdyby przy wszelkiem naturalnem n zbiór P_n wszystkich, należących do P rozwiązań nierówności $\omega(x) \geq \frac{1}{n}$ był przeliczalnym, to i zbiór P musiałby, wbrew założeniu, być przeliczalnym. Jest więc przy pewnem n zbiór P_n nieprzeliczalnym. W zbiorze P_n

¹ Pojęcie dwóch rodzajów nieciągłości wprowadził Dini. Zob. Grundlagen für eine Theorie der Functionen einer veränderlichen reellen Grösse. Leipzig 1892.

² Definię tego pojęcia zob. n. p. u Baire'a: Leçons sur les fonct. discontinues. Paris 1905.

istnieje zatem, w myśl wniosku 2-go, nieprzeliczalna mnogość punktów, które są jego obustronnymi miejscami skupienia. Niech p będzie jednym z nich; z uwagi, że p jest obustronnem miejscem skupienia punktów, dla których $\omega(x) \geq \frac{1}{n}$, wynika w jednej chwili, że p jest dla $f(x)$ punktem nieciągłości z obu stron 2-go rodzaju.

Wniosek nasz został więc udowodnionym; z niego wynika natychmiast

Wniosek 6. W każdym przedziale istnieje co najwyżej przeliczalna mnogość miejsc, w których funkcja jest z jednej strony ciągłą, a z drugiej nieciągłą.

Jeżeli dla danej liczby g istnieje w danym zbiorze P ciąg nieskończony, wzrastający, zmierzający do g , to g nazwiemy prawostronnem miejscem skupienia tego zbioru. Zbiór, zawierający wszystkie swe prawostronne miejsca skupienia, nazwiemy prawostronnie zamkniętym.

Wniosek 7. Zbiór prawostronnie zamknięty różni się od swojej pochodnej co najwyżej o przeliczalną mnogość punktów.

Dowód. Niech F oznacza dany zbiór prawostronnie zamknięty. Połóżmy $F = F_i + F_o$, oznaczając przez F_i zbiór wszystkich tych punktów zbioru F , które nie są jego miejscami skupienia; zbiór F_o będzie, jak wiemy, co najwyżej przeliczalnym, wszystkie zaś punkty zbioru F_o będą zarazem elementami zbioru pochodnego F' .

Oznaczmy przez Q zbiór wszystkich tych elementów zbioru F' , które nie są elementami zbioru F . Ponieważ ten ostatni jest zamkniętym prawostronnie, więc punkty zbioru Q będą lewostronnymi tylko miejscami skupienia dla F_i i zbiór Q będzie zatem co najwyżej przeliczalnym. Mamy też oczywiście $F' = F_o + Q$. Jest więc

$$F + Q = F_i + F'$$

skąd, wobec wniosku o mocy zbiorów Q i F_i , wynika słuszność naszego twierdzenia.

TRZEJ POECI POLSKO-ŁACIŃSCY
Z XIX WIEKU.

Napisał

TADEUSZ SINKO.



Wiersze łacińskie pisano w Polsce tak długo, jak długo »poetyka« stanowiła integralną część wykształcenia. A że to wykształcenie spoczywało przeważnie w rękach Jezuitów lub osób (duchownych czy świeckich), stosujących się do jezuickiej »Ratio studiorum«, losy poezyi łacińskiej w Polsce niepodległej związane są z losami zakonu Jezuitów i ich planami nauk. Kassacyjne *breve* Klemensa XIV z r. 1773 jest zarazem wyrokiem śmierci na poezyję łacińską. W zreformowanych szkołach pojezuickich nie było już miejsca na pisanie wierszy łacińskich. Gdy więc ostatni jezuitcy nauczyciele poetyki, a zarazem poeci (jak Fr. Dyonizy Kniaźnin, Michał Korycki, Michał Leśniewski, by wymienić tylko autorów większych zbiorów z r. 1781, 1817, 1790), zstąpili do grobu, gdy wygasła generacja, wychowana w szkołach jezuickich (czy podobnych pijarskich, teatyńskich, ew. akademickich), skończył się (razem z niepodległą Polską) organiczny rozwój poezyi łacińskiej u nas. To, co na tem polu wydał wiek XIX, nie łączy się już organicznie z wykształceniem i kulturą narodową, jest egzotyczną osobliwością.

Na progu w. XIX spotykamy dwóch cudzoziemskich księży, piszących u nas i o naszych osobistościach znaczną liczbę wierszy łacińskich: Jeden, to Niemiec, Marcin Kuralt, kustosz biblioteki uniwersyteckiej we Lwowie, autor wielu ulotnych panegiryków i epigramów; drugi — Włoch, Paweł Tarenghi, sprowadzony z Rzymu na profesora literatury rzymskiej do Wilna. Jego tomik, wydany w Wilnie w r. 1805 p. t.: *Odorum libri quattuor... Epodon liber*, jest ostatniem echem tej tak bujnej poezyi wileńskiej, której archegetą był Sarbiewski. Tej importowanej poezyi Kuralta i Tarenghiego nie potrzebujemy bynajmniej windykować dla literatury polskiej, skoro nie brak nam w tych czasach i własnych wierszorobów łacińskich.

Siedzibą jednego było wolne miasto Kraków w czasach, w których naczelną postacią umysłowości krakowskiej był poliglotta, niezmordowany tłumacz epiki europejskiej, Jacek Idzi Przybylski

(1756—1819)¹. Pisywał on po łacinie, a czasami i ogłaszał wiersze okolicznościowe i panegiryki, ale że ich nie zebrał razem, za Marcyalisa czy Stacyusza wolnego miasta Krakowa nie jego uznać nam wypada, lecz jego przyjaciela i admiratora, Macieja Dubieckiego, jako autora zbiorku p. t.: *Subseciva carmina... Latio numquam negligendo sacrata* (Cracoviae, Typis Academicis, 1815, stron 96, 80). »Mieści się tu 260 epigramatów dłuższych i krótszych, o sprawach prywatnych i publicznych«, tak opisał zawartość tego tomiku Piotr Chmielowski w rozprawie p. t.: »Ostatni z poetów polsko-łacińskich« (t. j. Książnin, Eos IX 1903 str. 112). Ponieważ te epigramy pozwalają nam odtworzyć obraz umysłowego życia wśród cichego grodu podwawelskiego w epoce, »kiedy reszta świata we łzach i krwi tonęła«,; ponieważ pozwalają poznać, jakim echem odbiła się sława »boga wojny« w arkadyjskim ogródku kanclerza katedry krakowskiej (bo tę godność wymienia autor w tytule), warto im poświęcić chwilę uwagi.

Z »Curriculum vitae Authoris« (epigr. 255) dowiadujemy się, że Dubiecki pochodził z Wołynia, uczęszczał do szkół (prawdopodobnie jeszcze jezuickich) w Łucku (Luceoria), w Zamościu studiował prawo i filozofię, w Wilnie osiągnął stopień akademicki (doktorat teologii?), potem zawadził o dwór królewski, następnie zwiedził Rzym, a wreszcie osiadł w Krakowie. Tu żył zadowolony z siebie, boć i szlachetnie się urodził i porządne odebrał wykształcenie i rozkoszując się słodyczą żywota, czekał na słodką śmierć: »Sat mihi nobiliter nasci, recteque doceri, / vivere dulce fuit, dulce sit heicce mori«. — Dlaczego osiadł właśnie w Krakowie, tłumaczy w wierszu p. t.: »Ratio manendi Cracoviae« (epigr. 212): W mieście Kraka ma kulturowe otoczenie. Nie brak tu ani znakomitych poetów, ani wybornych mówców, których imiona wdzięczna potomność na świeczniku postawi. Ale przedewszystkiem wiążą go pamiątki przeszłości. »Heroas veteres animato miror in aere, / subque meum aspectum turba togata venit«. Zaledwie ziemia Romulidów

¹ Najważniejsze daty bio- i biblio-graficzne wraz z charakterystyką osobistości i jej zasług u Pawła Czajkowskiego, profesora Akademii krakowskiej, w pochwałę Przybylskiego, umieszczonej w Roczniku Tow. naukowego z uniwersytecie krak. połączonego, t. 9 (1824), str. 151—214. Wspomnienia o »anielskim« panu Jacku u Ambrożego Grabowskiego (Wspomnienia. wyd. St. Estreicher, Bibl. Krak. t. 40, 41, 1909, II 102—109). Szczegółową ocenę przekładów Przybylskiego z autorów klasycznych podamy przy innej sposobności.

ma tyle starodawnych dziwów; pomniki Wawelu tak mu się podobają, jak niegdyś wszystkim podobał się wyniosły Kapitol. Kraków zastępuje mu i wymowne Ateny i Rzym. »Heic oculos pasces, heic mille leporibus aures, / aures grata tenent, mira tenent oculos«. Niktby w te cudy nie uwierzył, ktoby ich sam nie oglądał. — Wielka wolna ojczyzna skurczyła się w wolny Kraków. Więc Dubiecki całą swą miłość na niego przenosi, w nim widzi zgromadzone wszystkie błogosławieństwa i skarby całego świata (*Cracovia vetus et nova*, epigr. 181): Pominąwszy wspomnienia historyczne, związane z grobami bohaterów, Kraków ma wszystko: »Eximius opulenta viris, sacris sublimior aris, / Slava tribu, studiis orbis, Romana poëtis, / Attica terra sophis, tellus promissa colonis. / Mercibus est Sidon, fructu insuperabilis ulli: / dives agris, generosa mero, famosa fodinis, / messe ferax, inoperta rubis, nemorosa viretis, / mira sale, admiranda Copernico et alma Vavello, / munda focus, peramoena situ, tenet omne venustum: / Libera, tuta, potens, Regumque favoribus aucta! / O utinam superum munere duret opus!«

Ta apoteoza Krakowa z dwóch względów zasługiwała na częściowe przynajmniej przytoczenie: najpierw jako ostatnie ogniwo w łańcuchu tych *laudes Cracoviae*, które poczynawszy od Stanisława Ciołka, Konrada Celtisa i Wawrzyńca Korwina przewijają się przez całe trzy wieki¹; a po drugie jako wyraz patryotycznego, a raczej szowinistycznego zaślepienia w ukochanem mieście, zaślepienia, jakiego przykład odnośnie do całej Polski znajdujemy u Jezuitę Franciszka Michała Leśniewskiego (*Lyrice...*, Leopoli 1790). Ten (str. 10), apoteozując panowanie Augusta III, mówi (w r. 1760) przez usta Polski: »Vivo beatum saeculum Polonia, / mihi invidetote exteri«. Taką samą prawdę zawierają słowa Dubieckiego o Krakowie z początku XIX w.: »Libera, tuta, potens, Regumque favoribus aucta«. Bo przecież te »regum favores« to »łaski« płynące od trzech mocarstw »opiekuńczych«, gwarantujących »wolność« miasta, a zarazem jego »bezpieczeństwo« i »potęgę«. Mimo to nie można w epigramie Dubieckiego dopatrywać się jedynie humanistycznego naśladownictwa Wergiliuszowskich (Georg. II 136—176) »laudes Italiae«. Kanclerz kapituły zbyt często odwiedzał groby wodzów i hetmanów na Wawelu, zbyt często odczytywał z ich napisów dawne dzieje, by

¹ Towarzystwo Miłośników Krakowa znalazłoby w nich wdzięczny przedmiot do wypełnienia jednego tomiku Biblioteki Krakowskiej.

nie ulec illuzji, że ta cała świetność dawnej Polski nie tylko pochowana jest, ale chowa się i żyje w Krakowie¹.

Dubiecki, jak współczesny mu Woronicz, zasmakował już w poezji grobów. Oto, co opowiada o »Sepulchra regum in Arce Vavelli incidenda aeri« (epigr. 184): Pod sztandarami tych królów Polacy stawali do boju, na ich skinienie szli na śmierć, ich rady zapewniały byt bliskim narodom, a pokój wnętrznościom słodkiej ojczyzny. Teraz ich potęgę i świetność kryje marmurowa trumna. Bo taki jest porządek rzeczy, takie prawo zmiennego czasu, że wszystko, co złośliwy dzień wyżywi, znowu porywa. A po srogiej stracie, zadanej przez los, może pocieszyć jedynie »gadatliwy napis na starym marmurze« (*littera in antiquis garrula marmoribus*) i marmurowa czy bronzowa postać, opowiadająca samym wyglądem przyszłym wiekom dawne dzieje. — I tu następuje niespodziewany zwrot. Patryotyczne rozrzewnienie ustępuje miejsca rozważaniom o potędze — sztuki plastycznej: »*Felices Artes! rabiem quae vincitis Orci / atque aliquid fati demitis imperio, / vos ego saepe meis, vos versibus excolo mirans, / et dicam Aoniis cantibus esse pares*«. I znów charakterystyczne umotywowanie takiego oceniania tych rzeźb: Wyglądziły je palce polskie tak biegle, że zaledwie ręce Rzymian mogły stworzyć coś tak wielkiego.

Łącznikami między pochowaną na Wawelu przeszłością a teraźniejszością są dla Dubieckiego mężowie, którzy zasłynawszy w literaturze, nauce i polityce, jeszcze przed ostatecznym upadkiem Polski, wrzili się w pamięć młodzieńca niby żywe pomniki niedawnej świetności. Sławi więc Naruszewicza (epigr. 155), nazywając go: »*Naso Elegis, Lyricis Flaccus, Maro carmine grandi*« i wynosząc jego zasługi na polu historyografii. — W Krasickim (epigr. 44) widzi geniusza, któremu świat nie wystarczał, prawdopodobnie dlatego, że za mało dostarczał mu przedmiotów poznania: »*Quod natura tenet, quod mos probat, omnia novit, / scriptis aetatis gloria summa suae*«. Muzy auzońskie i greckie mają rozpuścić włosy na znak żałoby po sławie i chlubie swego chóru, ojczyzna opłakuje w nim nie tyle dobrego obywatela, ile ojca... Ale na co długo wyliczać jego cnoty? »*Krasickius hic est, / hoc nomen longi carminis instar erit*«. —

¹ To też przytoczony epigram na Kraków współczesny Dubieckiemu jest tylko jakby rozprowadzeniem epigramatycznej pochwały Polski z połowy XVI w., umieszczonej na jakimś portyku pałacu watykańskiego przez papieża Piusa IV Medici (epigr. 257).

Innemu uczestnikowi wieczorów czwartkowych, nuncyuszowi Duriniemu, odwdzięcza się za komplement, według którego wygnany między Sarmatów Owidyusz, zobaczywszy Polaków pod rządami Stanisława i samego króla, odmówiłby wezwaniu Augusta do powrotu, bo: »Roma sit exilium, Patria Varsavia est«, w ten sposób, że przyznaje mu potrójny laur i potrójną mitrę za opiewanie króla i narodu polskiego: »Si vates Latii cuperent sibi sciscere regem, / Musa, cui faveant, Angeliana docet«. — W sposób mniej konwencyonalny zwraca się do innego przedstawiciela poezji Stanisławowskiej, do Franciszka Karpińskiego (epigr. 256): »Candida Musa, fides tibi candida, candida vita est...«, by wnet popaść w hyperbolizm: »Candidior Cygno, Philomela suavior, Hybla / dulcior es metris, clare Poëta, Tuis. — W galerii postaci Stanisławowskich znajdujemy wreszcie twórców Konstytucji 3 maja, Stanisława Małachowskiego (epigr. 26 i 166) i Hugona Kołłątaja (epigr. 248).

Wymienionych poetów i polityków oglądał, a przynajmniej mógł oglądać Dubiecki jako młodzieniec. W dojrzałym już wieku patrzył na sławę braci Śniadeckich (epigr. 254), których pochwałę opatrzył wyciągami z Długosza i Starowolskiego, zawierającymi »elogia Universitatis Cracoviensis«, a sam roznosił sławę biskupa krakowskiego, Woronicza (epigr. 165 i 185): Jest on dla niego wielkim mówcą, filozofem, poetą i prawnikiem w jednej osobie: »O! te felicem, tantum quae terra tulisti! / Tu mihi vel magno non minor es Latio«. — Z jego przybyciem do Krakowa »venit amor recti, venit et ipsa fides, / venerunt Charites et iuncta Sororibus octo / floribus instravit Calliopeia viam«. Dom. w którym najpierw spoczął, będzie miejscem zawsze przez poetę czczonym; ziemia, po której kroczył, nie powinna być krajana lemieszem; Wisła, po której płynął, powinna zawsze mieć czystą wodę... To przedsmak tego panegirycznego hiperbolizmu, z jakim traktuje małe wielkości współczesnego Krakowa. Kto wie dzisiaj o »znamienitym poecie«, Józefie Leszczyńskim? A przecież zdaniem Dubieckiego (epigr. 167) pięć Muz pomagało mu przy graniu na lutni, a gdyby czasy były łaskawsze na jego talenty, to sławą przewyższyłby — Nasona. »Inter Romanos Vates te Sarmata censet, / hoc fatur Flaccus, fatur et ipse Maro«. Albo kto słyszał o »celującym poecie«, Marcinie Molskim? Dubiecki dowiedział się o jego poezjach od przyjaciela, który swe pochwały ukoronował zdaniem: »Opiewa on cesarza Aleksandra, a jak niema godniejszego przedmiotu pochwał, tak też w godniejszy

sposób niktby go chwalić nie potrafił«. Usłyszawszy to, pragnie Dubiecki poznać Molskiego i życzy mu przewyższenia poetów »patria quos, et quos terra Latina tulit« (epigr. 213). Trzecią chlubą krakowskiego Parnasu jest liryk i elegik, a zarazem doktor obojga praw, Erazm Komar: »Donec Sarmaticis dabitur sua gloria metris, / certa datur metris gloria Komaricis«. Dubiecki widzi go już w towarzystwie Apollina i dziewięciu Muz i modli się do niego: »Komare, tu patriae lux ades alma Tuae« (epigr. 195). — Tej samej miary wielkością był kanonik katedralny, »filozof« Andrzej Trzciniński, w którego mózgu mieszkali (jeśli w ogóle gdzie byli): »Cous, (t. j. Hippokrates) Aristoteles, Newton, Maro, Tullius, Hermes« (epigr. 162); który znał wszystkie twory natury, był po trzykroć Arystotelesem, Pliniusem, Hippokratesem i jak Pallada wyskoczył z głowy Jowisza (epigr. 163); który powinien się nazywać nie od trzciny, lecz od wawrzynu (epigr. 164). Drugim Arystotelesem, Celsusem i Galenem był także lekarz Czerwiakowski (epigr. 139), podobnie jak Hasselt, który uratował życie poecie (epigr. 192). — Wincenty Łańcucki (epigr. 216) był »Seneca ingenio, Maro carmine, Tullius ore«; kaznodzieja Józef Markiewicz, zwany apostołem, najbardziej zbliżał się do św. Pawła (epigr. 217); Dominik Markiewicz, doktor teologii i filozofii, celował zarówno mądrością, jak wymową i wykształceniem humanistycznym (humanis studiis nobilis in Latio, epigr. 210).

Za miarę powyższych, dziś nieznanych wielkości może służyć to, że największą z nich był znany Jacek Idzi Przybylski. Dubiecki poświęcił mu aż szesnaście epigramów, z których streszczamy najbardziej charakterystyczne: Bardziej od siedmiu cudów świata, bardziej od siedmiu mędrców greckich podziwia poeta męża, u którego jedna głowa, a ośm — języków (caput unum, / linguae versandis artibus octo). Ocenic go i opiewać należycie zdołałby tylko sam — Homer (epigr. 33). Dubiecki nie może się dość nadziwić słodyczy, delikatności, miękkości wiersza w przekładzie Homera (epigr. 34). Kongenialność tłumacza z pierwowzorem tem się chyba objaśnia, że albo Przybylski jest — Homerem, albo Homer był Przybylskim (Tu vel Homerus es, aut ille Hyacinthus erat, epigr. 46). Nie podobna rozstrzygnąć, czy większy z niego mowca czy poeta, bo przemawia jak Cyccero, a śpiewa jak Maro. Trudno też orzec, jaki jest jego język rodzinny: »Philologum relegunt te Laechia, Graecia, Roma, / Quae Tibi natalis lingua sit? Ipse doce« (epigr. 148). Na grobie jego

starczy za wszelkie napisy samo imię, bo pomniki (wyraz stworzony przez Przybylskiego) jego pracy dość sławić go będą (epigr. 92).

Traduktorska działalność Przybylskiego wystarczała Dubieckiemu, by go uważać za Febusa wśród sarmackich wieszczów: »Aut vatium Phoebus reliquorum est hicce fatendus, / aut extra hunc vates nemo vocandus erit« (epigr. 199). To też ucieszył się bardzo, gdy Przybylski pochwalił jego wiersze i uznał w nim poetę: »Vatibus adnumeror? carmen censente Helicone? / Ex Helicone metrum, quando, Hyacinthe probas« (epigr. 198). Taki sąd Przybylskiego umieścił na drugiej stronie swych »Subseciva carmina«. Czy rozwesela żywych przyjaciół, czy opłakuje zmarłych, zawsze pieśń jego przysparza i jednym i drugim zaszczytu. Ze subtelnym sądem łączy poeta uczucie, z talentem sztukę: »Novit Posteritas te, Vir Venerande Dubeci! / devinxisse homines, et placuisse Diis«. Obok epigramu Przybylskiego umieścił Dubiecki dwa inne, pochodzące od tych poetów krakowskich, o których pisze w epigramie 212: »Heic (sc. Cracoviae) mihi nec desunt praestantes arte poetae, / nec quibus a lingua divite venit honos, / quorum posteritas, operoso grata labori, / nomina sub longa luce videnda dabit«. Jeden, podpisany inicjałami C. P., sądzi, że Dubiecki, podejmując pisanie wierszy łacińskich, chce, ażeby po śmierci ciał żyły dusze; pragnie, by Sarmacya nie mogła się wydawać ziemią barbarzyńską, nie nadającą się do rzymskiej togi. Choćby nawet jaki poeta ojczysty był celniejszy od niego, to uczeńszy być nie może. A że pierwszy wprowadził Muzy na zamek krakowski, sława jego będzie nieśmiertelna. — Drugi, kryjący się pod opisaniem »Manu notus, corde totus«, sławi Muzę Dubieckiego zapomocą piętnastu porównań: Jest ona bielsza od liścia ligustru, kwiecistsza od łąki, wyższa od wysokiego klonu, przejrzystsza od szkła, wspanialsza od purpury, gładsza od muszli startych falami morza, przyjemniejsza od słońca w zimie, od cienia w lecie. »Nobilior pomis, platano conspectior alta, / Lucidior glacie, matura dulcior uva, / mollior et cygni plumis et lacte coacto, / diceris atque vives riguo formosior horto«. — Jeśli istota komizmu leży w braku proporcji między ideą a jej zewnętrzną formą, między celem a środkami, użytymi do jego osiągnięcia, to ten wiersz »Ad Musam Authoris« musielibyśmy uznać za bardzo komiczny, gdyby nie rozbrajał swą — naiwnością. Anonim wypisał z jakiegoś »Gradus ad Parnassum« kilkanaście hyperbolicznych porównań z zakresu »niemożliwości«, i bez względu na sens przyczepił je do Muzy

Dubieckiego, a ten, widząc w epigramie takie same komplementy humanistyczne, jakimi on częstował choćby tylko Przybylskiego, umieścił go dla uprzedzenia czytelnika na czele zbioru. W atmosferze, przesyconej wonią tak niewybrednych kadzideł, zawracała mu się głowa, powtarzał za starożytnymi i humanistami, że poezja (a swoje wiersze uważał za poezję) daje nieśmiertelność i powoływał się na świadectwo Owidyusza (Am III 9, 17 u): »Hinc sacri vates et divum cura vocantur, / atque fuere sacri, qui numen habere putabant« (epigr. 179). Dla ludzi, niepodzielających tych poglądów i nieczytających jego łacińskich poezji, miał znów Owidyusza słowa (Trist. V 10, 37 n): »Si non intelligor ulli, / derident stolidi verba Latina Getae« (epigr. 113).

Przytoczyliśmy niektóre akty tego towarzystwa wzajemnej adoracji, które w czasie kongresu wiedeńskiego skupiało w sobie najuczeńsze osobistości wolnego miasta Krakowa, sądząc, że przynoszą one do charakterystyki ówczesnej umysłowości i towarzyskości ton, skądinąd (n. p. ze Wspomnień A. Grabowskiego) nieznany. Miejscem schadzek tych spóźnionych Arkadyjczyków był może ogród Dubieckiego, ogród, któremu poświęcił parę epigramów (249, 203, 96, 156). Dla odstraszenia od niego złodziei nie postawił wprawdzie klasycznego Priapa, ale jak Priap wołał na nich (epigr. 203): »Ne continget tua, non tua poma manu« i groził: »cum malis nostris ne mala nostra feras«. W tem zaciszu rozczytywał się w ulubionych klasykach, nie zaniedbując jednak i ojców Kościoła, jak to widać z dwuwierszowych epigramów, sławiących i charakteryzujących Homera (236), Solona (239), Platona (231), i Arystotelesa (232), Euklidesa (238) i Klaudyusza Ptolemeusza (233 i 16), astronomów Timocharesa (15) i Hipparcha (17), dalej Hippokratesa (241) i Galena (242), Cyцерona (234), Wergiliusza (237) i Senekę filozofa (235), ale także świętych Ambrożego (247), Hieronima (246), Augustyna (244) i Grzegorza Wielkiego (245). Na równi z temi wielkościami starożytnymi stawiał staropolskie, przede wszystkim Kopernika (epigr. 13, 14, 140, 186), dalej Skargę (epigr. 224, 225), Szymonowicza (258) i Sarbiewskiego (220). Z pośród królów poświęca wspomnienie tylko Janowi III (epigr. 202). O innych, zdaniem jego, mówiły same nagrobki wawelskie (epigr. 50).

By w postaci spóźnionego humanisty dojrzeć także człowieka, posłuchajmy głosów jego serca, szczerych, bo odzywających się nad grobem rodziców: Więc bogom jest wdzięczny za to, że mu dali

największe ze wszystkich dóbr, taką matkę, i jeżeli komu z ludzi dobrze życzy, życzy mu takiej właśnie matki (epigr. 20). Ile razy zobaczy grób Zofii (więc takie było imię jego matki), zmywa go gorącemi łzami i pragnie, by jego popioły spoczęły w tej samej urnie (ut una duos urna tegat cineres, epigr. 52). Od śmierci matki żyje wbrew swej woli, światło rodzi mu tylko ciemności, głos tylko lament (epigr. 53). Oby za każdą łzę syna bogowie dali jedną radość matce, a płacze on głównie z tego powodu, że nie umarł razem z nią (quod volui, haud potui, Te moriente mori). Jediną pociechą dla nieszczęsnego są sny o matce (epigr. 54). Że ta matka umarła w podeszłym wieku, wnioskować można z epigramu 72. — Zwracając się z jakimiś ofiarami do zmarłego ojca, widzi nierówność wzajemnych dobrodziejstw: »Tu mihi das auras, ego Tibi mortis honores« (epigr. 38). Gdyby mógł swoim życiem okupić życie ojca, dawnoby to był uczynił. Niestety: »sed mea vita nihil, potior tua caelica vita!« (epigr. 146). Więc za niezliczone dobrodziejstwa daje mu tylko łzy i treny. Gdyby mu wolno było wznieść marmurowy grobowiec, to postawiłby na grobie własny posąg z paryjskiego marmuru i kazał wyryć napis: »Jure Dubiecki / condidit ossa Patris fitque Patri tumulus« (epigr. 176). I pomysł i pomnik godne humanisty, który czytał gdzieś (może u Arystof. Aves 471 nn) o skowronku, grzebiącym zmarłego ojca w własnej głowie (bo ziemi jeszcze nie było), i według klasycznego wzoru sam chciał być grobem ojca. — Z wielką czułością przemawia też Dubiecki do swego przyrodniego brata (po matce), Michała Bieńkowskiego: »Te nisi vel vigil alloquerer, vel imagine ficta / per somnum socius fallerer, heu! morerer« (epigr. 55). O swem przywiązaniu, któremu nawet śmierć kresu nie położy, zapewnia go w odzie safickiej (nr. 211), wypełnionej konwencyonalnymi »niemożliwościami« (ἰδύμεν): Pierwej świat pozbawiony będzie słońca, nie będzie znał zimnych obrotów księżyca, a gwiazdy opuszczą firmament; pierwej Rak dzień skróci, a Koziorożec przedłuży; pierwej łódź będzie pływać po ziemi, wóz jeździć po wodzie, ryba paść się na drzewach, a dzik na dnie morza, nim... i t. d. — Prócz Michała do najbliższych sercu księdza kanclerza należał wychowanek jego Karol, którego opiekun uczcił odą alcejską: Ad amicum meum ex pupillo meo factum (nr. 205): Kto żyje pogodnie i łagodnie wśród towarzyszków, przejętych tą samą myślą, oddanych tym samym studjom, ten zawsze i wszędzie szczę-

śliwy: »O Carle! Musas inter amabiles / interque iunctas brachia
Gratias, / risus, iocos, lusus alacres / officium Patriae feramus«.

Jakto? Więc humanistyczne estetyzowanie, bawienie się łacińskimi wierszykami, miłe spędzanie czasu było służeniem ojczyźnie i to w czasach, gdy jej losy spoczywały na ostrzu miecza Napoleońskiego? Takiego poglądu nie wolno imputować Dubieckiemu. W przytoczonej strofie wyraża tylko to, że i między służeniem Muzom i Gracyom, między zabawami i żartami, to znaczy obok tego wszystkiego trzeba służyć ojczyźnie. Bo ojczyzna, to więcej niż rodzina: »Me mihi carior est mea stirps, mea Patria stirpe« (epigr. 51). Więc chociaż nad wejściem do swego ogródka napisał: »Civiles curae procul hinc abite«, to nie dla tego, jakoby przed nimi zamykał drzwi swego domu. Przeciwnie, *civiles curae* były i jego główną troską. A najbardziej interesujące wiersze jego zbioru dotyczą tych właśnie trosk publicznych. W jednym, zatytułowanym »Anxia vita« (epigr. 56) zapytuje się, dlaczego rodzice nazwali go Szczęsnym (było to widocznie jego drugie imię), skoro życie jego bardziej uciążliwe niż śmierć, odkąd naród traci grunt pod nogami i wali się w gruzy: »Nil bene successit, Patrias iam perdimus oras, / gens antiqua ruit, qui valere ruunt«. Czy on wobec tego ma zachowywać się jak starożytny mędrzec, który nawet w kajdanach czuje się wolny? Owszem, niech na niego, jak na mędrca Horacyuszowskiego (carm. 3, 3) runie cały świat: »Dummodo patria stet, non ego sorte cado«. Tej ojczyzny wygląda z utęsknieniem, jak Ulisses dymu z komina swego domu (epigr. 120) i dla tego tylko nie idzie połączyć się ze zmarłym ojcem, by doczekać się lepszych losów ojczyzny (epigr. 48): »Linquor ego, Patriae si bene, tum redeo«. A odwracając kosmopolityczną zasadę: »Ubi bene, ibi patria«, głosi przeciwnie (epigr. 59): »Sit bene, sit male, ego Patriam Patriamque reposco, / quem mala consternunt, aufugit ex Patria. / Dent alii Patriae nomen, quibus est bene, ab extra, / in Patria bene sum, non male semper ego«. Bo ojczyzny jak śmierci wybierać nie można (epigr. 121).

Dobrze się działo w ojczyźnie, jak długo dobrego nagroda, złego spotykała kara. Gdy jednak po szlachetnych ojcach nastąpiła przewrotna młodzież, naród, źle zabezpieczony, upadł wskutek niezgód: »Eversae Patriae tristes relevate ruinas! / Armis, consiliis, moribus, arte, fide« (epigr. 60). Zdawało się, że na razie najprędzej do celu doprowadzi pierwszy środek, oręż. Bo oto nieba zesłały na ziemię wielkiego wojownika: »Mittitur de Coelo Bellator summus in

Orbe«. Ale zaraz budzi się wątpliwość: »Hunc fors ira Dei, gratia forsque dedit« (epigr. 117). Bo owoce wojny są straszne (epigr. 111):

Quod cessat Phoebaea chelys, quod carmine rupto
 Aeoniae siluere Deae, Mars impius egit.
 Quod spretis audax Musis petit arma iuventus
 Et volucres premere audet equos, Mars impius egit.
 Quod cernis nullum deserta per oppida civem
 Nec campis errare greges, Mars impius egit.
 Quod ligo, quod vomer, quod sarcula, rastra, bidentes
 In gladios abiere truces, Mars impius egit.

A gdy wojnie towarzyszą i klęski elementarne, zdaje się, że to już koniec świata (epigr. 136). Mimo to orły polskie lecą za Napoleonem. Chorąży gardzi ranami, a jeśli nie potrafi zwyciężyć, zginie za ojczyznę: »Vincere si nequeo, pro Patria peream« (epigr. 42): »Flens fueram nactus vitam puer omine diro. / flebilis erepta vita fuit Patria. / Nunc quoque flens morior, ne quid non flebile restet, / Discite, mortales! quae ratio Patriae«. Ta krew przelana za ojczyznę zaczęła wydawać owoce, choć Napoleon, odkąd został cesarzem, szkodził tylko narodowi (epigr. 205). Na pamiątkę 15 lipca 1809 kazał Dubiecki na swoim domu umieścić tablicę z następującym napisem (str. 82, nota do epigr. 1): Anno Domini 1809 Dies 15 Iulii, Urbi Cracoviae faustus ac celeber, quo Duce et Heroe Iosepho Principe Poniatowski, Stanislai Augusti Regis Polonorum Nepote, Exercitus Magni Ducatus Varsoviensis Hostiles Cohortes ad moenia Urbis virtute laud copia adorsus, trans Vandalum et ultra deturbavit, Cives Patriae Fratres Fratribus tertio vergente lustro adunavit. Saecula ne memoria diem felicem deleverint.

Najbliższy wiersz o Napoleonie pisany jest po Berezynie (epigr. 118). Rzeka ta była ostatnią granicą szczęścia Napoleona, dalej mu iść nie wolno: »Ergo siste gradum, capiat nunc Victor habenas, / Imperet Augustus, Tu superate, cede«. Ten Augustus, to cesarz rosyjski Aleksander, z którym Dubiecki już dawniej musiał łączyć nadzieje patriotyczne, skoro od razu po upadku Napoleona powitał Aleksandra jako zbawcę. Z całej epopei Napoleońskiej jedynie księżę Józef Poniatowski znalazł łaskę w jego oczach: Przyznaje więc, że z nim zginęły nadzieje ojczyzny (epigr. 36), a tę samą myśl tak formułuje przy opisie warszawskiego pogrzebu (epigr. 201): »Heu dux, hoc tumulo solus non conderis atro, / est pariter tecum condita spes Patriae«. — Gdy cudzoziemcy pytali się poety, jak wiel-

kim bohaterem był Poniatowski, on w odpowiedzi wyrysował obozy-góry, miasta, ogrody, łąki, lasy, łąny, jeziora, gwiazdy, słowem cały świat i ukazując ten obraz, rzekł: »Quantus erat? vultis discere? Magnus erat« (epigr. 1). — Sam bohater żali się, że zginął w marnej rzece, a sławy pokonania go niema nieprzyjacieli (epigr. 3). To znów przyznaje, że pokonał go Aleksander: »Victus ab Invicto cecidi sic Hector Achille, / Victus et Invictus laurea sarta capit« (epigr. 2).

Oczy kanclerza katedralnego zwrócone były w stronę Kongresu wiedeńskiego. Chwilami bał się, by miecz rzucony na wagę Temidy nie przechylił szali na naszą niekorzyść, ale uspokajała go ufność w Aleksandra: »Pono metum, gladium non Divae dextra movebit, / Divus Alexander fortiter invigilat« (epigr. 61). I zdawało się, że owa ufność była zupełnie usprawiedliwiona: Do Krakowa przyszła wieść o odbudowaniu Królestwa Polskiego: »Salve, festa dies — woła poeta — meliorque revertere semper. / Nunc mihi stella micat, sed redeat Patria!« (epigr. 119).

A im większego dobroczyńcę narodu widział w Aleksandrze, tem większym szkodnikiem sprawy polskiej wydawał mu się zamknięty na Elbie Napoleon. Ile razy pomyśli o Elbie i jej więźniu, nie może się wstrzymać od urągania pokonanemu: Wobec pokoju zawartego między Francją i Rosją, sęp korsykański, oskubany z pierza i zamknięty, musi milczeć: »Corse, tace, accipiter, / Rossia cum Sociis prostravit Napoleonem / et deplumatum prociduumque tenet« (epigr. 47). — Słusznie na obfitującą w stal wyspę dostał się ten, który sam był z żelaza i wypłoszył z ziemi złoty wiek (epigr. 10). Dubiecki nazywa go Mulcybrem, królem stali, który sam wyznaje: »Carcere pro diademate ponto cingor in Ilva, / ne noceam, ut nocui, nunc luo supplicium« (epigr. 40). — Świat był dla niego za mały, teraz wystarczy mu mała wyspa i stal (epigr. 49). — Szukając przyczyn jego upadku, sądzi, że runął, bo porwał się na rzeczy, przechodzące jego siły (epigr. 103). Synowi Napoleona oznajmia, że berło, nabyte przez ojca męstwem, a utracone nienawiścią, utrzyma, jeśli »naprawi sławne imiona« (si reparas, nomina clara, puer, epigr. 45). Jak straszne było przerażenie Dubieckiego, gdy się dowiedział o wyładowaniu Napoleona w Cannes, widać z fragmentu 215: Poeta widzi, jak morza znów roją się od wioseł, jak ziemia błyszczy od oręża, a niebo od płomieni i sądzi, że Furye pozazdrościły ziemi pokoju, okupionego przecież już krwią. — Ta sama Fortuna, która z Cezara zrobiła Nic, teraz znów z niczego zrobiła Cezara (epigr.

170). — Poetę niecierpliwi bezczynność sprzymierzonych, którzy zamiast energicznie wystąpić przeciw uzurpatorowi, bawią się wesoło w Wiedniu (epigr. 115). — Wreszcie 100 dni się skończyło, a Napoleon pojechał na wyspę św. Heleny. Dubiecki w przekonaniu, że teraz karyera jego na zawsze skończona (mimo wątpliwości w epigr. 227), odetchnął, a wyraz nienawiści do więźnia z św. Heleny dał w epigramie (41): *In quemdam ut in immane portentum:*

*Hunc natura semel terris ostendit atrocem,
quo toto in toto non foret orbe quies.*

Po ostatecznym upadku Napoleona znękanie wojnami narody wyciągają do zwycięzcy dłonie, błagając o pokój: »*Nil opus est bellis, nos otia poscimus omnes, / porrigimus vinctas ad tua iura manus*« (epigr. 83). Szczególnie Polska poleca się jego opiece: »*Afflictae mea fata vides, afflicta sed oro, / Sis memor afflictae, qui mea fata regis*« (epigr. 145). — I nie zawiodła się ani cała Polska, ani ukończany przez poetę Kraków: »*Cracia pone metus, Tibi sors praeclara paratur, / Te reges sociant, Cracia pone metus*« (epigr. 109). Po Kraku drugim założycielem miasta jest Aleksander, który dodał mu nowej świetności, i jeśli dawniej było bogatsze, to teraz bardziej słynie z sztuk, rządów i Cezara (epigr. 12). To też »*Primus Alexander, qui condidit aurea saecla, / gratorum Cracidum vivat in ore Pater*« (epigr. 37). Uczestników tej szczęśliwości wzywa poeta, by przestrzegali wierności, zgody i sprawiedliwości, pomni na los ojców (epigr. 65), a sam zabiera się do opiewania Aleksandra, jako króla polskiego. Bo ustanowienie królestwa kongresowego wydaje się Dubieckiemu, jak tylu innym, wskrzeszeniem dawnej Polski.

Stwierdzając jej wskrzeszenie (epigr. 159), pisze: »*Nil alii nobis spem praeter et arma dedere, / unus Aleksander Regna Polona creat*«. To porównanie Aleksandra z Napoleonem szerzej rozprawia w epigramie 251:

*Maior Alexandro sit vis? an Napoleoni?
Ultima bella docent: hic fugit, ille fugat.
Maior Alexandro sit vis? an Napoleoni?
Regna Polona docent: hic nocet, ille iuvat.
Maior Alexandro sit laus? an Napoleoni?
Dicitur a populis hic male, at ille bene.*

A gdy po raz trzeci (epigr. 85) porównywał Napoleona, nie wymieniając go wyraźnie, z Aleksandrem i wynosił księcia pokoju nad męża wojny, wtrącił niespodziewanie taki zwrot: »*Quid moeres*

pallesque audito nomine Corsi? / Fide Deo, salvo Caesare sospes eris«. Ogłoszenie się Aleksandra królem Polski uświetnia odą alcejską (nr. 158): Wzywa w niej Muzy do zjawienia się z najpiękniejszymi pieśniami, obywateli do porzucenia trosk i radowania się w chwili, gdy pogromca świata bierze na świętą głowę należącą mu się koronę. Lepszego władcy świat nie zobaczy, choćby się wrócił wiek złoty. — W drugiej odzie, także alcejskiej (nr. 207), porównuje tęsknotę Lechitów za prawdziwym ojcem ojczyzny z tęsknotą piskląt, oczekujących przybycia matki z pożywieniem. Przybył nareszcie, przyniósł im pokój i jego dobrodziejstwa. — Podobne myśli wyraża poeta w epigramie 173 i 219. W innych na inne się sili pomysły. Tak w epigramie (4), umieszczonym niby pod obrazem, przedstawiającym Aleksandra, podpisującego akta Kongresu wiedeńskiego, każe cesarzowi uzasadniać swe pretensje do przydomka »Wielki« i streszczać je w zdaniu: »Dicor Alexander factis, conamine Titus, / Numa cohortatu, Romulus auxiliis«. — Wdzięczna Lechia wznosi mu posąg, przedstawiający go jako ojca, przy którym stoi ksiądz, mieszczanin, szlachcic i wieśniak: »Exultant omnes, omnes grato ore perorant, / atque magis gaudent, qui doluere magis« (epigr. 8). Nie pragnie on królować, lecz królestwom przywracać prawa (epigr. 5). Największą jego cnotą jest to, że nieszczęśliwym rozkuł kajdany (epigr. 9).

Gdy Dubiecki pisze o Aleksandrze (epigr. 5): »Ille potens sapiensque uno minor est Iove« lub (epigr. 85): »In coelis Iupiter, Caesar regit omnia terris, / Caesar Alexander pro Iove regna tenet«, to nie przemawia jak kanclerz katedralny krakowski o cesarzu rosyjskim, lecz jak poeta augustowski (zwłaszcza Horacyusz) o Auguście. Ale po za naśladownictwem literackim trzeba uwzględnić i moment psychologiczny: Po pierwsze Aleksander przez akceptowanie Kongresówki faktycznie więcej zrobił dla Polaków niż Napoleon, którego nieokreślone obietnice i nieszczerze zamiary okupiono tylu ofiarami; po drugie zwycięzca geniusza wojny, który przez tyle lat krwią zlewał Europę, wydawał się wielu, a zwłaszcza ludziom, czującym awersję do wojny, zwiastunem tak upragnionego pokoju; po trzecie cesarz Aleksander, zwłaszcza odkąd został królem polskim, cieszył się wielkimi sympatjami w kołach profesorskich, szczególnie krakowskich. Informowano go widocznie o tem, skoro w kilka lat potem obdarzył »Febusa poetów« krakowskich Przybylskiego za przekład Homera kosztownym pierścieniem. Oto co mówi o tem akademicki

chwalca Przybylskiego, Czajkowski (Roczn. Tow. nauk. krak. t. IX str. 195): »Lecz nie czekał na nią (t. j. sławę) tak długo, bo mu osłodziła wieczór życia, gdy jej pierwszy zadatek otrzymał w kosztownym darze z rąk N. Aleksandra, Cesarza Rosyi, Króla Polskiego, na którego świat w tęskności wyglądał, a niebo niczem bardziej, jak jego rządem i opieką pocieszyć nas nie mogło i który nie ma w sobie ani uczucia ani życzenia, coby nie mnożyło powodzeń i szczęścia ludzkości«.

Dubieckiego poglądy i uczucia patryotyczne wspólne mu są niewątpliwie z innymi Arkadyjczykami krakowskimi. Pod względem przekonań religijnych był on, jak Bandtke (por. Epigr. 93), jak Przybylski, mimo swej duchownej sukienki, przedstawicielem »oświecenia«, które z wieku XVIII utrzymało się u nas aż do zwycięstwa romantyzmu. Dlatego, mimo zasady: »Musarum fidibus sociabis religiosa, — Cui sacer est Helicon, percolit ille Deos« (epigr. 188), nigdy nie potraça o strunę pobożności, nigdy w »bogach« nie widzi nic więcej, jak aktorów losu. Epigram o Kościele, który wyrósł z krwi Chrystusa, a urósł przez krew męczenników (epigr. 71), i wzmianka o powrocie do Rzymu Piusa VII, który »non vi, sed precibus Victor ab hoste redit« (epigr. 230), dowodzą tylko, że »oświecenie« jego nie kłóciło się z uszanowaniem dla Kościoła i jego głowy. Natomiast epigram na przywrócenie Jezuitów (228) nie jest wolny od dwuznacznej złośliwości: »En Socius Jesu recipit cum nomine vestem, / re nempе atque animo, quod fuit ante, manet«.

Tak te epigramy spóźnionego humanisty wawelskiego, choć estetycznie bezwartościowe, zasługują przecież na uwagę jako świadectwa prądów umysłowych i politycznych, panujących w pewnych kołach w Krakowie między rokiem 1800 a 1815. A że historycy uwzględniają dziś nie tylko świadectwa faktów, ale także świadectwa nastrojów zbiorowych, dla dziejopisa Krakowa będą one dokumentami historycznymi.

Mniej wartości historycznej, a za to więcej zawartości poetycznej mają *Carmina, quae cecinit Romana voce Polonus* Henricus L. N. Bando (Varsaviae, 1819, str. 51 [właściwie 35] 8°). Autor przedstawia się w przedmowie jako młody słuchacz filozofii w uniwersytecie warszawskim, uczeń Zinserlinga, Campie'go i Jacoba, a nadto Szwejkowskiego i Lindego. Płody swej młodzieńczej Muzy publikuje za radą profesorów w tym celu, by zadać kłam zagranicznej opinii,

według której Polacy zaniedbują studia klasyczne i omal niemi nie gardzą. — Tego celu prawdopodobnie nie osiągnął, bo zagranica nie zwróciła uwagi na te szkolne ćwiczenia poetyckie, ale za to swoim dał dowód, że nie tylko umiał składać ładne wiersze łacińskie, ale także miał w nich coś do powiedzenia.

Bando przystępuje do pisanja wierszy z gotowym programem, ubranym według klasycznych wzorów we formę sennej wizji (Elegia I): Spoczywając niedawno nad świętym źródłem Muz, widział poeta pokryte wawrzynem szczyty Olimpu i pragnął się na nie dostać, gdy mu drogę zastąpił Apollo z Muzami i tak doń przemówił: Niech inni opisują w pieśniach wojny i wynoszą pod niebo bohaterów, niech malują obyczaje i sławią Wenerę w lirycznych melodyach, snując poematy z delikatnego wątku; ty stąd nie spodziewaj się należytej sławy. — Rzekłszy to, ukazał mu kościanym plektrem miejsce, na którym widać było rozmaite sceny: Tu człowiek wypędzony z ojczyzny błądzi po nieznannej ziemi barbarzyńskiej; tu młodziwiec z płaczem wraca z pogrzebu ojca; tu związani jeńcy oglądają się na swe gniazda; tu nieszczęśliwi płaczą nad zgłiszczami swych domów i świątyń. — Takie smutne przygody kazał mu Apollo opiewać w elegiach, obiecując za to sławę.

By ten program i jego wierne, jak zobaczymy, wykonanie nie wydawał się koncepcją czysto akademicką, teoretyczną, przypominam ustęp z »Dziennika wojskowego z r. 1813« Kazimierza Brodzińskiego (Arch. do dziejów lit. ośw. w Polsce, t. XII, 1910, str. 279). Ciągnąc z armią księcia Józefa z Krakowa ku Śląskowi, odpoczywał Brodziński 9 maja w jakiejś wiosce za Wadowicami. Na przechadzce pod lasem przychodzi mu na myśl Wergiliuszowski Melibeusz (Ecl. I): »My pola, my ojczyste rzucamy zagrody, / my wygnańce... A my pojdzim po Afrów tułać się krainie, / do Scytów lub gdzie Oax rwie kretejskie skały, / gdzie Brytanów od świata dzielą morskie wały. / Czy kiedy los dozwoli słodkiej nam pociechy / ujrzeć domów ojczystych darniem kryte strzechy, / widzieć po długich latach łąnów naszych plony? / Srogi żołnierz te gnojne posiedzie zagony, / pozbiera z naszej pracy żniwa już gotowe... / Gdzie nas przywiodły, bracie, niezgody domowe!« — Otóż jak Brodziński uczucia i myśli, wywołane krwawą rzeczywistością Napoleońską, wyraził cytatem rzymskiego sielankopisa, tak Bando, który w roku 1809 miał może dziesięć lat, opisywał wrażenia, odniesione pod wpływem tych sa-

mych wypadków, barwami, zaczerpniętymi z tej samej eklogi Wergiliusza.

Oto (Eleg. 6) człowiek, który wskutek wypadków wojennych (w. 20) musi na zawsze opuścić ojczyznę i rodzinę i płynąć do Afryki (w. 28), jak Wergiliuszowski Melibeusz (*at nos hinc alii sitientes ibimus Afros*, *Ecl.* I 65). Odchodząc, a raczej odpływając, zasyła ostatnie pozdrowienie ojczyźnie i domowi, miasteczku rodzinnemu i jego otoczeniu. Na górze, wznoszącej się nad miasteczkiem, spostrzega biednego rybaka, który w promieniach zachodzącego słońca suszy swoje sieci, pośpiwując przytem wesoło, uprzytomnia sobie, jaka radość czeka tego biedaka w domu ze strony dzieci i żony i z losem jego, zostającego w ojczyźnie i w rodzinie, porównuje los swój, wygnańca. — I nowa fala wzruszenia zalewa mu duszę, jeszcze raz wspomina o dzieciach, penatach (*queis pius heu! frustra thura precesque dedi*), mieście rodzinnem, wspomina o łąkach i źródłach, nad którymi się bawił i śpiewał, o gaju, gdzie jako chłopiec zbierał fiołki i lilie, o wiernych towarzyszach i o żonie, ukochanej przez wiele lat. — Rzeczom, które musi opuścić, przeciwstawia kraj, do którego zmierza. Jest to ziemia płona, nieuprawna, piaszczysta, gorąca, pełna dzikich zwierząt. Tam będzie dzień i noc narzekał na swój los, tam przyjdzie na niego starość, tam rozmyślać będzie o tem, co stracił: »*Dura infelici memoratio prisca bonorum est*«¹. Oby tylko śmierć przyszła szybko po niego i wyzwoliła go z cierpienia: »*In patria quoniam non possum vivere cara, / vivere iam nolo; sit mihi posse mori*«. Najokropniejsze to, że popioły jego spoczną w barbarzyńskiej ziemi. — Z ostatniego ustępu dowiadujemy się, że wygnaniec rozwdził swe żale na pokładzie odpływającego okrętu: Już zniknęły mu z przed oczu dachy, świątynie i wieże, już ginie brzeg, a zapłakane oko widzi tylko wodę i niebo.

Wolelibyśmy, by w tej elegii żegnał się z ojczyzną Polak, żołnierz Napoleoński, odpływający do Egiptu lub na St. Domingo, ale i tak musimy przyznać, że utajone wspomnienie o tych niedawnych, a tak bliskich autorowi żołnierzach-tułaczach ogrzało nieco sztywny konwencyonalizm motywów Wergiliusza, Horacyusza i Owidyusza. Natomiast akademickiem naśladownictwem listów z wygnania Owidyusza jest Elegia 7 (*Exul coniugi*), zawierająca zapewnienia dozgonnej pamięci i miłości; żał z tego powodu, że wygnaniec nie umarł

¹ Może echo Dantejskiego: *Nessun maggior dolore etc.*

w dniu rozstania się z żoną: Lepiej umrzeć naraz, jak umierać po trochu. Smutne dni i noce wypełnia wygnaniec rozpamiętywaniem o żonie, której obraz zawsze unosi się przed jego oczami; słodczy chwil wspólnie z nią spędzonych nie zapomni nawet, gdy napije się z Lete: »Non ego, si immemoris biheremus pocula Lethes, / excidere haec nostro pectore posse putem«¹. Ale szczęście przemigło, wygnaniec tuła się po obcych lądach i morzach. Chciałby mieć teraz skrzydlate smoki Medei czy Hekaty, by na nich wznieść się w powietrze i polecieć do ojczyzny i swoich, a jeśli to niemożliwe, to chciałby, by straszne jego cierpienia zakończyła śmierć.

Temat przymusowego opuszczenia ojcowizny i ojczyzny opracowuje Bando po raz drugi (Ecloga 1) we formie Wergiliuszowskiej eklogi: Do Korydona, który sławi człowieka żyjącego zdala od wojen i ich następstw, jak wypędzenie z domu i ojczyzny, przybywa przyjaciel Tytyrus, opowiada, że i jego nieprzyjaciel wypędził z ojcowskiej zagrody i uczynił bezdomnym wygnańcem. Tytyrus resztę życia pragnie spędzić razem z przyjacielem i dzielić z nim wspólny los, na co się Korydon zgadza z radością, a równocześnie prosi o relację katastrofy. Tytyrus opowiada więc, jak mu zwycięski wróg dobytek zrabował, chatę spalił, a jego wypędził: »Iam tacuere canes, requiescebantque coloni. / nocturnosque regebat equos Hecate taciturna«, gdy Tytyrowi udało się przez gęsty las umknąć przed nieprzyjacielem. — Opowieść przerywa huk bębnow, wrzawa trąbek: »Tympana dant strepitum, reboant iam classica rauca, / en ferus hostis adest altis cum turribus. Eheu!« Przyjaciele uciekają, Korydon zasyła ostatnie pozdrowienie polom i łąkom i wybiera się z przyjacielem do — Afrów, chytrych Persów lub dalekich Arabów.

W ten sposób spełnił Bando dwa punkty z programu, podanego mu przez Apollina. Pozostał (El. I w. 21 n.) »...iuvenis, late moestis loca questibus implens«, który, »dilecti a patris funere moestus abit«. Ten temat traktuje poeta w elegii trzeciej, poświęconej »Manibus patris«. Zaczyna od ogólnych refleksji o nieuniknionej śmierci, od której nie wybawi ani bogactwo, ani siła, ani geniusz, ani pobożność: »Omne profanat enim mors violenta sacrum. / Ecce Pater carus, nulli pietate secundus, / nunc iacet in tacito, corpus inane. solo«. Ten fakt wydziera z piersi poety szereg pytań, stre-

¹ Bando nie zapomniał Schillerowskich słów żegnającego się z żoną Hektora: Hektors Liebe stirbt in Lethe nicht!

szczających się w okrzyku: »Nilne igitur nostri post ultima fata perennat? / Anne igitur toti pulvis et umbra sumus?«. — Odpowiedź na te pytania i ukojenie znajduje w nauce Chrystusa, który dał nam nadzieję życia pozagrobowego. W niebie poeta zobaczy się znów z ojcem, któremu zawdzięcza swój talent i cnoty; dopóki zaś żyje, będzie zawsze (na wiosnę, w lecie, w jesieni, w zimi-) o nim wspominał, a podziękuje mu aż w niebie. — Rzecz cała jest tak konwencyonalna, że niepodobna rozstrzygnąć, czy Bando lamentuje po śmierci własnego ojca, czy też pisze zadanie na temat śmierci jakiegokolwiek ojca. Nie potrafi się też zdobyć na szersze akcenty, gdy opłakuje śmierć księcia Józefa Poniatowskiego (El. 2): Po zwykłej inwokacji do Elegii następuje opis rzeki Sali i przypomnienie tryumfów Bolesława Chrobrego tam odniesionych. Wznawiał je Poniatowski, walcząc nad sąsiednią Eistera i ginąc w niej. Ojciec Ocean powinien ją za to ukarać, powinny w niej urósć góry, woda powinna wyschnąć. Polska opłakuje zmarłego, jak matka syna, i strzeże jego smutnego grobu. Ale prócz popiołów została po bohaterze nieśmiertelna sława. Nad grobem wodza stoją jego żołnierze, rozpamiętują czyny pod nim dokonane i wyrażają nadzieję, że jeśli w człowieku jest coś więcej, niż cień i popiół, to Jowisz na czworoprzężnym rydwanie zabierze sarmackiego Alcydę między błyszczące gwiazdy.

Na szersze tony zdobywa się Bando, gdy własne opowiada przeżycia. Oto cmentarz wiejski (El. 5, *Manibus rusticorum*). Rączy rydwan Febusa zmywa już czerwone morze, a Słońce zdejmuje z purpurowych koni krzywe jarzma; już szybkim biegiem spieszą pod wiejski dach bydłota, pasące się w górach i wełnonośne stada: »Iamque tenent tacitas sacrata silentia silvas. / omniaque in campis iam taciturna silent«. Ciszę przerywa tylko cykanie świerszczy i hukanie puszczyka. W taki wieczór błądzi poeta po samotnem ustroniu. — Zachodzi na wiejski cmentarz, zarosły drzewami, otoczony żywym płotem. Gdy chowano spoczywających tam zmarłych, nie grały im smutne trąby, nie było żadnych uroczystości, jak na grobie niema żadnego marmuru. Ale ta ziemia wiejska użycza znużonym członkom świętego spokoju. Nie będzie ich już wzywał do nowej pracy ptak, który czujnem gardłem wywołuje dzień; nie będzie ich nękał przez ociężałe dni niezmerzony szereg twardych prac; ojciec nie będzie odbierał pocałunków dzieci, matka nie będzie dzieci nosiła na kwiecistą łąkę, chłopiec nie będzie śpiewał, tańczył, cieszył się pawiem piórkiem, dziewczynka nie będzie zbierać do koszyczka

fiołków i lilij: »Sedibus obscuris iam tempus in omne quiescit / turba colonorum candida (czy condita?) pace sacra«. — Tu wymienia poeta wiejskie zajęcia i prace, a od nich zwraca się niespodziewanie do człowieka pysznego z wezwaniem, by przestał naśmiewać się z brzemienia ubóstwa, które uciska niezastużenie ludzi. Śmierć zrówna bogacza z biedakiem, po żadnym nic nie zostanie. Jedynie pieśni, jedynie płody talentu unikają śmierci. Może i na cmentarzu wiejskim spoczywa niejeden niepoznany geniusz. Gdyby ich za życia zrównano wobec prawa z innymi, to kraj dziś możeby kwitnął, morza nie byłyby pełne rozbitków, pola nie byłyby pokryte kośćmi! Głupiec niech gardzi chłopami, poeta ceni ich cnoty, zapewniające im zbawienie wieczne. — A może i ja wnet umrę, spocznę pod taką samą mogiłą, tak samo zgniję i będę zapomniany? zapytuje się poeta. Może jaki krewny lub przyjaciel przyjdzie nad mój grób, ustroi go kwiatami, zapłacze i odczyta napis o cnotliwym młodzieńcu, który wcześniej piał się na Helikon, ale bieda doprowadziła go do bezczynnego (pod względem literackim) życia i pogrążyła w niesławie.

Tak po swoim ubóstwie nie spodziewał się Bando wiele w swej karierze literackiej. Zato ubóstwo poprzeszczających na małym wieśniaków wydawało mu się godnem osobnej pochwały (El. 4, Paupertas celebratur). Wieśniak chwali swe skromne stosunki, nazywa ubóstwo strażnikiem cnót i przyjacielem wstydu, wymienia swe gospodarskie zajęcia, urozmaicone służbą Bakchusa i Wenery, sądzi, że ubóstwo jest bezpieczniejsze niż bogactwo, które narażone jest na większe zmiany i ciosy losu, a zmarłemu i tak na nic się nie zda. Opisem przeprawy zmarłych przez Acheront i pośmiertnego sądu kończy się ta elegia, treścią raczej satyry Persiusa, Juwenalisa i Lukiana przypominająca. Jest ona oczywiście waryacją na temat Wergiliuszowskich *Laudes vitae rusticae* (Georg. II 458 nn), ale łączy się także z tą reakcją uczuciową, która ze wstrętu do ciągłych wojen i przewrotów wydała u nas idylliczność choćby tylko artylerzystów Napoleońskich, Reklewskiego i Brodzińskiego. I Brodziński podczas marszu wojennego popada w »romansowe marzenia« (Archiwum j. w. str. 281): »O wy, szczęśliwi wieśniacy! / Gdybym ja miał chatkę z wami, / Obudzałiby mię ptacy / Chodzić co rano do pracy / Z wypoczętymi wołkami i t. d.«.

Bando nie tylko tęsknił za życiem na wsi, ale prawdopodobnie, jako syn biednego chłopca, znał je dobrze. Ta znajomość połączona z poczuciem stylu, wykształconem na Wergiliusza, ale i Gessnerze,

wydała wdzięczny obrazek dramatyczny (Ecloga 2), przypominający osnową Goethego: *Die Launen des Verliebten*: O wschodzie słońca, po rosie, spotyka pasterz Melibeusz pasterkę Amaryllis, która zapłakana, z obnażoną piersią, z rozpuszczonymi włosami biegnie w stronę lasu, bije się w piersi i wzywa na pomoc bogów. Zapytana przez Melibeusza o przyczynę takiego stanu i zachowania się, objaśnia, że nieuleczalna rana serdeczna pogrąża ją w łzach i smutku. Melibeusz sądzi, że smutek nie na czasie, gdy cała wieś przygotowuje się do radosnego obchodu na cześć opiekuna owiec i owczarków, Pana, i radby Amaryllidę widzieć w gronie świętujących dziewcząt. Ale ona nie potrafi udawać wesołości. Tak ciężko ją zasmucił ukochany Dafnis, nie przychodząc na umówioną schadznię wczorajszego wieczora. Dotychczas nigdy się nawet nie spóźnił. Widocznie albo zachorował, albo pogonił za wilkiem, który mu porwał jagnię. — Przypuszczenia te obala Melibeusz doniesieniem, że właśnie wczoraj wieczór widział Dafnisa, jak wesoło z wiankiem w ręku dokąś spieszył. — To wystarcza Amaryllidzie, by uwierzyła, że Dafnis ją porzucił, skoro ani na schadznię nie przyszedł, ani nie przyniósł jej wianka. Dawniej, to jej powtarzał: »Tu mihi sola places; praeter te nulla puella / dulcia vincla mihi inciet«. Teraz ją opuścił, widocznie już mu się nie podoba, widocznie poszukał sobie innej, ładniejszej. Do niej to poszedł wczoraj wieczór, jej zaniósł kwiatki. Opuszczona życzy sobie, by ją ziemia pochłonięła, by ją piorun zabił, bo bez miłości Dafnisa żyć nie potrafi. Ale niechaj równocześnie bogowie ukarzą wiarołomcę. — Próżno Melibeusz pociesza zrozpaczoną, poddając jej myśl, że owe obawy o Dafnisa może bezpodstawne. — Ona rozpamiętuje minione szczęście. Spodziewała się najszcześniejszego pożycia z Dafnisem, gdy raz widziała pieszczące się gołąbki. One zdrady nie znają, miłość ich zawsze jest delikatna i słodka. — I nasza taka zawsze będzie, oświadczając, podejmując ostatnie posłyszane słowa, nadchodzący Dafnis, i my aż do późnej starości tak żyć i kochać się będziemy. Oto przynoszę ci wianki w dowód miłości. Ale co znaczą twe łyzy? Twe rozpuszczone włosy? — Amaryllis opowiada, jak przedtem Melibeuszowi, o niedotrzymanej schadzce i swych czarnych przypuszczeniach. Ale teraz już wszystko dobrze, gdy ogląda znów Dafnisa, pamiętającego o niej i wesołego. — Nowe zapewnienia miłości ze strony Dafnisa i zaproszenie ze strony Melibeusza, by pogodzeni kochankowie wzięli udział w święcie Pana.

I Teokryt i Wergiliusz wypełniają swe idylle i mimy radościami, a zwłaszcza rozpaczami zakochanych, ale żaden z nich nie zdobył się na tak dramatyczną akcję, taką gradację uczuć, żaden z nich nie potrafił w 100 wierszach zamknąć całej komedii pastorałnej, a raczej tego, co Niemcy »Schäferspiel« nazywają. Pastorałka Banda napisana po polsku, godnieby stanąć mogła obok »Laury i Filona« Karpińskiego. Łacina jej, jak i innych omówionych utworów, świadczy o wielkiem opanowaniu formy u młodego filologa.

Na polu liryki nie kazał Apollo szukać młodemu poecie sławy. To też zachowane ody (w liczbie siedmiu) i treścią i formą świadczą, że powstały wbrew woli Apollina i Muz. Wstępna oda do króla polskiego, cesarza Aleksandra, ujęta jest w strofy Archilochijskie (t. zw. pierwsze, jak Hor. carm. IV 7), a zawiera szumną inwokację do Apollina, krótki opis czynów wojennych Aleksandra Macedońskiego, a po przejściu: »Tu maior es illo! / Te meliora iuvant« opisanie błogich skutków pokoju, przyniesionego światu przez cesarza. Konkluzja: »Gaudet heroum qui vult cognomine Magni, / Maximus esto Tibi«. — Odę do ministra oświaty, Stanisława Potockiego, ubiera w formę strofy archilochijskiej, zwanej drugą (jak Hor. epod. 13) i opowiada w niej pielgrzymowi, że tu, gdzie dziś błyszczą przybytki Muz, były niedawno zgłiszcza i pożogi. Wzniesienie wspaniałych gmachów i wprowadzenie do nich Muz jest dziełem Potockiego, którego młodzież powinna wielbić jak Boga (Hunc celebrate Deum). Chciał to uczynić i poeta, ale wstrzymał go od tego Apollo »tam parva ne immensum darem / vela per oceanum«. — W odzie (3) do profesora łaciny Zinserlinga, pod którego przewodnictwem rzymska Muza wraca do Polski, parafrazuje w metrum alcejskiem pierwszą pieśń pierwszej księgi Horacego. — W tem samem metrum sławi (oda 4) sprawiedliwość sędziego apelacyjnego (a zarazem profesora uniwersytetu) Urmowskiego, który tak dobrze wpływa na przestępców, że niedowiarek, oszust, rozbójnik chodzi gorliwie do kościoła »et mollit aversos penates / thure sacro precibusque blandis«. Ten Urmowski był dobroczyńcą poety, jemu też dedykuje swój zbiorek w bardzo udanej elegii następującej treści: Gdybym był pasterzem, składałbym ci na ofiarę tłuste sztuki bydła; gdybym był rolnikiem, ofiarowałbym ci pierwsze plony i kwiaty; gdybym był myśliwym, przynosiłbym ci ubitą zwierzynę: »Ast ego non habeo errantes in montibus agnas, / nec largas messes fert mihi pinguis humus, / nec mea dextra valet telis nec arundine acuta. / Nilne offerre tibi mens

mea grata potest? / Pierios habeo cantus citharamque sonantem; / quos cecini versus, Vir venerande feram«. Trudno odmówić wdzięku tej waryacyi na temat Horacyuszowskiego: Donarem pateras (carm. IV, 8).

Trzy pozostałe ody zwrócone są do przyjaciół. Aleksandra Komara prosi w safickich strofach (o. 5), by go z gaju, gdzie zdala od trosk i hałasów składa wiersze, nie wywoływał na zabawy¹; Henrykowi Geysmerowi (o. 6) przypomina w strofach alkmańskich, że »aufugit irreparabile tempus«, ilustruje to przebiegiem pór roku i ludzkiego życia i radzi za młodu ćwiczyć się w pisaniu wierszy, by po śmierci pozostała sława; wreszcie (o. 7) Aleksandrowi Thisemu dowodzi (w strofie asklep. trzeciej) na przykładach historycznych zmienności losu, której ten tylko uniknie, kto, jak Bias, całe swe mienie nosi ze sobą.

Ostatni z polsko-łacińskich Horacyańczyków ostatnie też międy nimi zajmuje miejsce, nie dorównując nawet Konarskiemu czy Leśniewskiemu, by nie wspominać o dawniejszych naśladowcach Sarniewskiego, jak Inez, Kanon i inni. Ale jako elegik godzien stanąć choćby tylko obok Książnina, godnie zamyka szereg elegików, tak chlubnie rozpoczęty przez Janickiego.

Przypadek zrządził, że prócz świeckiego księdza (Dubiecki) i świeckiego humanisty (Bando) także Jezuici i Pijarzy, którzy w w. XVIII prymu dzierżyli na Parnasie, i w wieku XIX po raz ostatni przychodzą do głosu: Połcki Jezuita, Nikodem Muśnicki ogłosił w Dzienniku połockim (I, 1818): *De Christi ab inferis reditu poëma*, podejmując temat Pawła z Krosna, traktowany w Sapphicon de inferorum vastatione z r. 1514; a eks-pijar Antoni Moszyński zebrał swe panegiryki na cześć biskupa wileńskiego w maleńkim *Manipulus carminum* (Wilno, 1853, stron 11). Wreszcie przypadkowy epilog do całej poezyi polsko-łacińskiej stanowią wydane w Tarnowie w r. 1868 (Tomus I, str. 71. Impensis auctori-) *Carmina* [quae] *composuit et permultis versibus celeberrimorum antiquorum poetarum ornavit* Joannes Neniczka, caes. reg. Iudex Districtus Zassoviensis. Epilog to prawie komiczny, jak dramat satyrowy po tragedyi, nie dlatego, jakoby pan sędzia powiatowy miał choć odrobinę humoru naturalnego (przecież traktuje przedmioty bardzo poważne —

¹ Nie notujemy ani tu ani indziej licznych reminiscencji z Horacyusza, bo te chyba każdemu filologowi same się nasuną.

bardzo poważnie), ale przez humor mimowolny. Nazwisko wskazuje na pochodzenie czeskie i każe się domyślać w Neniczce jednego z licznych w dobie germanizacyjnej urzędników, importowanych do Galicyi z Czech. Ponieważ jednak, jak potwierdzają świadkowie, którzy go pamiętają jeszcze z Tarnowa, Neniczka się zupełnie u nas zaaklimatyzował i założył polską rodzinę, wolno go zaliczyć między poetów łacińsko-polskich. Wychował on się widocznie w jakimś klasztorze, gdzie około r. 1830 uczono robić wiersze łacińskie, skoro jeszcze na starość umiał układać jakie takie heksametry na temat grzechu pierworodnego (*De primis parentibus*, 288 hex, podzielonych na 9 rozdziałów z prologiem i epilogiem), dzieła odkupienia (*Zacharias, Crux*, 202 hex), pisać elegie o 7 prośbach modlitwy pańskiej (*Oratio Dominica*, 7 elegii z prologiem i epilogiem), parafrazować »Zdrowaś« (*Salutatio angelica*, 62 hex) i Wierzę (*Symbolum apostolicum* w 12 ustępach heksametrycznych). Opracowanie historii biblijnej, dokonane w wierszu i frazeologii rzymskich epików, zwłaszcza Wergiliusza, nie może się wprawdzie równać z metrycznem przedstawieniem Nowego Testamentu przez Hiszpana Juwenkusa z czasów cesarza Konstantyna, ale gdyby nie było, jak jest, naszpikowane błędami typograficznymi, nie możnaby mu być odmówić pewnej potoczności. Biblii zawdzięcza autor tylko ogólną treść, szczegóły sam wymyśla, ewentualnie powtarza za apokryfami. Oto, jak wyglądali pierwsi rodzice (str. 14):

Non roseis venit umbra genis et nulla lanugo.
 In blanda facie vernabant dulcia mala,
 Et geminum frontis micat ignea lumina sidus.
 Oris multus honor, facundia magna, maiestas,
 Eximii fuerant generosi corporis artus.
 Forma placet niveusque color flavique capilli.
 Os humerosque Deo similis, praeclarus munere formae,
 Semper vivax fuerat, nullo periturus in aevo. —
 Sponsa fuit compar, similis probitate marito,
 Coniunx grata viro, multos dilecta per annos,
 Insignis facie, formosis pectore marmis,
 Dedita blanditiis, curandae deditae formae,
 Et decus egregiae formae superaverat omnes.
 Haec fuit marito ex usu junctissima longo
 Mixtaque blanditiis puerilibus oscula iungens.

Nie przytaczamy opisu raju, niby klasycznego Elysium, ani opisu węża, bo podane wiersze wystarczą jako próbka formy Neniczki, a zarazem dowód, że nie fantazya wyposażała biblijne przed-

mioty w szczegóły, lecz pamięć, oblepiająca je klasycznymi frazesami i hemistychiami, nieraz bez względu na treść. Tak n. p. wiersz: »*dedita blanditiis, curandae dedita formae*« bardziej licuje z rzymską heterą, niż z matką rodzaju ludzkiego. Czasami jednak zdobywa się i na inwencyę motywów. Tak wąż kusiciel opowiada, że w ciemnej nocy widział, jak złotowłosy Gabryel zrywał słodkie jabłka z zakazanego drzewa i zanosił je w fałdach szaty Bogu Ojcu. Albo Ewa, mając ochotę na owoc zakazany, mówi: »*Et rapido stimulator quam nunquam corporis oestro. / Deliciae inficiunt animum praecepsque cupido... / Tuque et mi consors dubiis ne defice rebus, / Hic atque hac poteris mecum requiescere nocte, / Basia pressa meo niveo coniungere collo...*«. Trudno w takich szczegółach nie widzieć braku wszelkiego smaku i tactu, skoro Neniczka nie miał bynajmniej zamiaru parodjować historii biblijnej.

Parafraza modlitw (*Preces christianae correctae*), napisana według zapewnienia autora »*ante bellum borussiacum et italum 1866*« przypomina poniekąd »*Theomusa sive doctrina fidei Christianae*« Stanisława Lubomirskiego, ale przewyższa ją gadatliwością. Tak modląc się o przyjsie królestwa Bożego, woła: »*Sperne voluptates, nocet empta dolore voluptas, / Corporis infamis cernitur atra lues! / Aspice florentes luxus quas verterat urbes, / Hos tulit fructus perdit luxuries...*«. Podobnie gromi przy sposobności i bez sposobności inne grzechy, przeplatając swe kazanie sentencyami, głównie z Owidyusza czerpanemi. Jak zaś dumny był z takich centonów, o tem świadczy umieszczone w tytule zbioru zdanie, że pieśni »*per multis versibus celeberrimorum antiquorum poetarum ornavit*«.

Jako prawy c. k. biurokrata, Neniczka uderza także w strunę lojalności i nie tylko modli się za cesarza przed wojną pruską i włoską (str. 9), ale także planuje poemat o śmierci cesarza Meksyku, Maksymiliana. Napisał tylko 16 hexametrów, dalszy ciąg zapowiedział w tomie — odrazu trzecim, bo drugi miała wypełnić pieśń »*De Joanne Baptista et Salvatore Magno Jesu Christo*«. Niestety »*durus labor officiorum / cogit et impellit suaves abrumper e cantus*« (str. 60).

Szkoda, że taki oryginał o sobie samym nie napisał więcej, jak kilka nic prawie nie mówiących wierszy. Przy objęciu urzędu sędziowskiego sławi w elegii Sprawiedliwość. Przytem tak określa sprawiedliwego (str. 34): »*Iustus homo est, qui recta colit, sine crimine vivit, / Et paret monitus principis imperio*«. Zawód

sędziowski jednak mu się nie podobał, jak wynika z wiersza p. t.: »*Meum optarium*« (str. 7). Wolałby być księdzem, a że to już niemożliwe, rolnikiem na ojczystej grzędzie. — W dostatki ziemskie nie opływał, ale pocieszał się, że bogacz nigdy nie czuje się szczęśliwym (*Dives*, str. 11), natomiast ubóstwo jest matką wielu cnót (*Paupertas*, str. 5). Ciekawy jest wiersz do jakiegoś nieprzyjaciela (*Inimico*, str. 70), który się cieszył z powodu dyscyplinarnego przeniesienia Neniczki do Zasowa. Pan sędzia twierdzi: »*Est mea culpa levis*«, zwraca uwagę na niestałość losu, który łatwo może nieszczęściem dotknąć i urągającego, i tak kończy: »*Posse puta fieri, veniam mihi dante Ministro, / ut videas vultus tristis ab arte meos*«. — W dwóch początkowych wierszach, zwróconych do czytelnika, daje Neniczka świadectwo, że poza heksametrem i pentametrem innych form i miar używać nie umiał i tworzył dziwadła metryczne w rodzaju tym: »*Portat lectori salutem / Aurorae roseis libellus / Scriptus in undis*«.

Takiego »poetę« postawił przypadek na końcu szeregu naszych wierszopisów łacińskich. Po Neniczce notuje bibliografia jeszcze kilkunastu autorów wierszy ulotnych, poświęconych z powodu rozmaitych jubileuszów, cesarzowi, papieżowi, biskupom i innym dostojnikom. Obok konwencyonalnych panegiryków, znajdzie się czasem i humorystyczny wiersz okolicznościowy, ujęty w średniowieczne rytmy i rymy. Nawet w XX w. przynosi n. p. »*Gazeta Kościelna*« od czasu do czasu łacińską odę czy poemat jakiego księdza. Ale zdaje się, że niema dziś na ziemiach polskich nikogo, ktoby mógł stanąć do amsterdamskiego konkursu poetyckiego imienia Hoeuffta, nikogo, ktoby umiał pisać takie wiersze łacińskie, jak w wieku XIX papież Leon XIII, lub szwajcarski Jezuita, Piotr Esseiwa. Mamy za to takiego poetę greckiego, jakim inne kraje (oczywiście po za Grecyą) pochlubić się nie mogą.

O PEWNEM ZAGADNIENIU KINETYCZNEJ TEORYI ROZTWORÓW

napisał

MARYAN SMOLUCHOWSKI.

Jako podstawę teoryi roztworów przyjmujemy dzisiaj powszechnie tę zasadę, że drobiny ciała rozpuszczonego zachowują się w roztworze zupełnie analogicznie jak drobiny gazu. to jest że posiadają tę samą energię kinetyczną, jakąby w tejże temperaturze musiały posiadać drobiny gazu, a wskutek tego że wywierają — przynajmniej w roztworach rozrzedzonych — ciśnienie osmotyczne ściśle zgodne z prawem Boyle Charlesa, charakterystycznym dla gazów. Twierdzenie o tej analogii, o ile ona się wyraża w tej prawidłowości ciśnienia osmotycznego, zostało pierwszy raz jasno sformułowane w słynnych pracach Van t'Hoffa (1885), ale podstawowa myśl, odnosząca się do energii kinetycznej, jest już implicite zawarta w dawno wypowiedzianem twierdzeniu Maxwella¹ »o ekwipartycyi energii« w systemach mechanicznych.

Na tej samej zasadzie oparłi Einstein oraz autor niniejszej pracy teorię ruchów Browna², tłumacząc owe drobne ruchy, wykonywane bezustannie przez mikroskopijnie małe cząstki w cieczach zawieszone, jako widoczny objaw ruchów »drobinowych«, i wyprowadzając na tej podstawie pewne wzory ilościowe, których stwierdzenie doświadczalne uważa się dziś za jeden z najwięcej przekonujących dowodów teoryi kinetycznej.

Dziwna rzecz, że nikt dotychczas nie podniósł przeciwko tym teoriom pewnego zarzutu, łatwo się nasuwającego każdemu, co się zajmował hydrodynamiką teoretyczną, mianowicie, że energia kinetyczna ciała poruszającego się w środowisku ciekleń zależy nie tylko od masy tego ciała i jego prędkości, ale także od rodzaju tej cieczy.

Już w r. 1833 Green³ obliczył oddziaływanie cieklego ośrodka

¹ Maxwell, Coll. Works I p. 378, II p. 713.

² Einstein, Ann. d. Phys. 17 p. 549 (1905); 19 p. 371 (1906); Zeitschr. f. Elektroch. 1908 p. 235. Smoluchowski, Ann. d. Phys. 21 p. 756 (1906); 25 p. 205 (1908).

³ Green, Researches on the Vibrations of Pendulums in Fluid Media Tr. R. S. Edinb. 1833.

na ruch wahadła, później Stokes, Dirichlet, Clebsch¹ i inni uogólnili te rozważania dla ciał o różnych postaciach oraz pod założeniem ruchów dowolnych. Wynika z tych prac, że n. p. kula o objętości ω , poruszająca się z daną prędkością C , wzbudza w otaczającym ośrodku (o gęstości ρ) prąd, którego energia kinetyczna wynosi $\frac{\omega \rho C^2}{4}$, a jeżeli ruch kuli jest niejednostajny, ośrodek ciekły oddziałuje na nią w taki sposób, jak gdyby powiększał jej bezwładność; mianowicie pozorne powiększenie masy kuli wynosi połowę masy cieczy przez nią wypartej, t. j. $\frac{\omega \rho}{2}$.

Dla ciał o innej postaci wynikają wartości odmienne, a w pewnych wypadkach obecność środowiska powoduje także powstanie momentów obrotowych.

A nawet wydrążenie w środowisku ciekłym będzie się tak poruszać, jak gdyby posiadało masę bezwładną, z czego zrodziła się jedna z licznych hipotez co do natury atomów, interpretująca je jako >dziury w eterze<.

Wobec tych, żadnej wątpliwości nie podlegających wyników hydrodynamiki teoretycznej zdawałoby się, że także wtedy, gdy chodzi o owe ruchy Browna, cząstka zawieszona w cieczy tak się musi poruszać, jak gdyby posiadała masę pozorną, większą od masy rzeczywistej, a mianowicie w razie postaci kulistej: większą o połowę masy cieczy wypartej. Założenie zasadnicze teorii kinetycznej, że energia kinetyczna ruchu postępowego takiej cząstki jest proporcjonalna do temperatury bezwzględnej, musiałoby i nadal pozostać ważnem, ale wynikałoby z niego mniejsza prędkość, niż bez obecności ciekłego ośrodka, gdyż rozstrzygającą dla energii kinetycznej byłaby wówczas nie masa rzeczywista cząstki, tylko jej masa pozorna.

Nie chodzi tu o drobne poprawki, tylko o zmiany bardzo znaczne. Stosując te rozważania n. p. do emulsji gumigutty lub maszynku, którymi Perrin, Dąbrowski, Chaudesaigues posługiwali się w swych pracach, stwierdzających słuszność kinetycznej teorii ruchów Browna, mamy do czynienia z cząstkami o prawie tej samej gęstości, co ciecz (woda) otaczająca. Musielibyśmy zatem przyjąć masę pozorną półtora raza większą, niż masa rzeczywista, z czego

¹ Patrz n. p. Lamb, *Hydrodynamics* p. 116.

wynikałaby prędkość postępową C w stosunku $\sqrt{\frac{2}{3}} = 0.8165$ zmniejszona, w porównaniu z wartością, obliczoną bez uwzględnienia wpływu ośrodka. Podobne wnioski dotyczą roztworów koloidalnych w rodzaju białka, gumy i t. p., zawierających drobiny o ciężarze drobinowym, kilka set albo kilka tysięcy razy większym od ciężaru drobinowego wody.

Wątpliwości nasuwają się jednak, czy wolno tę samą argumentację w niezmienionej formie przenieść także na wypadek zwykłych roztworów krystaloidalnych, w których drobiny rozpuszczalnika i ciała rozpuszczonego są wielkością sobie podobne. Pozorne powiększenie masy cząstki zanurzonej pochodzi bowiem stąd, że wywołuje ona w swem otoczeniu ruch wspólny środowiska, którego bezwładność przy zmianie prędkości łączy się z bezwładnością cząstki samej. Gdy jednak chodzi o jedną drobinę, poruszającą się między innymi, mniej więcej tego samego rodzaju, nie można oczywiście tych ostatnich uważać jako jednorodnego ośrodka ciekłego; ruch owej drobin nie wywoła wspólnego prądu całego otoczenia, gdyż ruchy drobin otaczających będą w znacznej części niezależne.

Zapewne każdy chemik twierdzić będzie, że przedewszystkiem już same doświadczenia dobrze znane dowodzą mylności tej hipotezy o »pozornej masie hydrodynamicznej« drobin — przynajmniej co się tyczy roztworów — gdyż ciężary drobinowe substancji rozpuszczonych, obliczone na podstawie zjawisk obniżenia temperatury krzepnięcia i t. p., zgadzają się najzupełniej z liczbami, które innymi sposobami dla nich znajdujemy i bynajmniej owego pozornego powiększenia masy nie wykazują. Byłaby to jednak zbyt powierzchowna argumentacja.

Wszystkie owe metody oznaczenia ciężaru drobinowego w roztworach polegają pośrednio na pojęciu ciśnienia osmotycznego, wywieranego przez drobiny substancji rozpuszczonej. Otóż twierdzę, że z teoryi kinetycznej musi wynikać zupełnie ta sama wartość ciśnienia osmotycznego, niezależnie od tego, czy uznajemy istotnie ową hipotezę, czy też nie.

Mianowicie ciśnienie określone jest wzorem: $p = \frac{1}{3} nMC^2$, w którym M oznacza masę drobin substancji rozpuszczonej, n ich liczbę w jednostce objętości, a prędkość C wynika z warunku ekwipartycji energii: $MC^2 = mc^2 = 2\alpha\theta$, w którym θ oznacza temperaturę bezwzględną, a współczynnik α wynosi mniej więcej $= 3.6 \cdot 10^{-16}$.

Jeżeli zaś uwzględnimy wpływ pozornej masy hydrodynamicznej, to w jednym i drugim równaniu musimy zastąpić rzeczywistą masę drobin M przez ich pozorną M' , co nie zmieni wzoru końcowego dla ciśnienia osmotycznego, wynikającego przez eliminację wielkości MC^2 z obu tych równań. Na liczbę gramodrobin uwzględnienie masy pozornej oczywiście wcale nie wpływa, więc też metody określenia rzeczywistego ciężaru drobinowego pozostają ważne i uwzględnienie pozornej masy hydrodynamicznej nic w tem nie zmienia.

W tej dziedzinie zatem doświadczenia nie mogą rozstrzygnąć wyłuszczonego zagadnienia, a co jeszcze ciekawsze, że to samo stosuje się również do ruchów Browna i pokrewnych zjawisk. Czy postępujemy drogą argumentacji Einsteina, opartej na pojęciu ciśnienia osmotycznego, czy też stosujemy metodę bezpośredniego obliczenia przezemnie podaną, dochodzimy do tych samych końcowych wzorów dla przesunięcia cząstek, dla rozdziału ich pod wpływem ciężkości, oraz dla współczynnika dyfuzji, niezależnie od przyjęcia owej hipotezy. Zauważymy w ogóle, że nie posiadamy dotychczas sposobu bezpośredniego określenia prędkości drobin w cieczach, a wszystkie obliczenia polegają jedynie na zasadzie ekwipartycyi energii, dającej nam wartość iloczynu MC^2 , ale nie jego pojedynczych czynników.

Nie mogąc zatem na podstawie dotychczasowych doświadczeń rozstrzygnąć zagadnienia co do słuszności tej hipotezy, musimy się starać wyrobić sobie sąd drogą teoretycznego rozumowania. W tej mierze skłaniam się do zdania, że hipoteza »pozernej masy« nie jest słuszna, i że dotychczasowe teorie są ważne w niezmienionej formie.

Wывody Maxwella, odnoszące się do ekwipartycyi energii, nie określają bliżej rodzaju systemów mechanicznych, do których ta zasada się odnosi, powinny się zatem stosować równie dobrze do cząstki otoczonej gazem, jak drobinami cieczy, jak nawet tworzącej część ciała stałego. W każdym wypadku przeciętna energia kinetyczna, przypadająca na ruch postępowy środka masy owej cząstki, powinna być równa energii kinetycznej drobin gazu, posiadającego tę samą temperaturę, i przy tem wchodzi w rachubę wyłącznie rzeczywista masa cząstki, bez względu na otoczenie. Gdyby rzeczywiście istniały ciecze takie, jakimi się zajmuje hydrodynamika teoretyczna, któreby się nie składały z oddzielnych drobin, tylko tworzyły płyn jednorodny, bezpośrednio przylegający do cząstek w nim zawieszonych, cała sprawa przedstawiałaby się zupełnie inaczej.

Wtedy każde przesunięcie, jakkolwiek małe, owej cząstki byłoby koniecznie połączone z przesunięciem otaczającej cieczy, tworzącej wówczas z nią jedną całość pod względem mechanicznym, więc energia kinetyczna ruchu postępowego cząstki musiałaby też zawierać człon, odnoszący się do »masy pozornej«.

W rzeczywistości zaś istnieje pewna swoboda ruchów względnych cząstki i otaczających drobin; współrzędne tych drobin oraz środka masy cząstki są współrzędnymi niezależnie zmiennymi, mimo ewentualnego istnienia między nimi sił przyciągających lub odpychających i t. p.; dlatego też w zasadzie ekwipartycyi tylko rzeczywista masa cząstki powinna wchodzić w rachubę.

Wynika z tego następujące, nieco paradoksalne, twierdzenie:

Wyobraźmy sobie dwa roztwory tej samej substancyi w dwóch naczyniach o tej samej temperaturze; w pierwszym niech rozpuszczalnikiem będzie jakaś ciecz rzeczywista, o składzie drobinowym, w drugim ciecz »idealna«, tworząca ośrodek ciągły, jednorodny. W takim razie drobinę owej substancyi w pierwszym roztworze będą posiadać prędkość wynikającą z wzoru $C = \sqrt{\frac{2\alpha\theta}{M}}$, zupełnie niezależną od rodzaju owej cieczy, podczas gdy w drugim będą się poruszać z prędkością mniejszą, zależną od gęstości cieczy:

$$C' = \sqrt{\frac{2\alpha\theta}{M + \frac{1}{2}\omega\varrho}}.$$

Możnaby a priori przypuścić, że ośrodek ciekły, składający się z drobin oddzielnych, można stopniowo upodobnić coraz więcej do cieczy idealnej, zmniejszając rozmiary drobin, a powiększając ich liczbę i prędkość ich ruchów; tymczasem widzimy, że pod powyższym względem zachodzi między nimi różnica zupełnie zasadnicza.

Wiadomo, że także inne paradoksy są związane z ową zasadą ekwipartycyi energii. Tak n. p. stosunek ciepła właściwego przy stałym ciśnieniu, a przy stałej objętości powinien na mocy tej zasady wynosić $k = 1\frac{2}{3}$, jeżeli drobinę gazu są ściśle kuliste, zaś $k = 1\frac{1}{2}$ lub $k = 1\frac{1}{3}$, jeżeli choć najmniejsze istnieje zboczenie od kształtu idealnie kulistego. Nie można zatem pod tym względem gazu o drobinach kulistych uważać za specjalny wypadek gazu o drobinach elipsoidalnych, w których osi elipsoid są równe.

W podobnych wypadkach — jakich jeszcze niemało dałoby się przytoczyć — można jednak obejść sprzeczność z zasadą: »na-

tura non facit saltus« przez wprowadzenie »czasu relaksacyi«, który w nich będzie wykazywał tylko różnice ilościowe, stopniowe. Paradoksalność twierdzenia powyższego zaś jest wiele jaskrawsza i stanowi zasadniczą różnicę cieczy »idealnej«, takiej, jaką się zajmuje hydrodynamika klasyczna, a rzeczywistej cieczy, o składzie atomistycznym.

Wobec tego, że powyższe, paradoksalne rozwiązanie poruszonego tu zagadnienia opiera się wyłącznie na Maxwella wywodach o ekwipartycyi energii, będących do dziś dnia jeszcze do pewnego stopnia przedmiotem polemiki naukowej, byłoby oczywiście rzeczą bardzo pożądaną, żeby można je poprzeć wynikami doświadczalnymi, ale niestety nie widać na razie drogi, któraby ku temu mogła posłużyć.

SĄDY PRZYSIĘGŁYCH I SĄDY ŁAWNICZE

napisał

PIOTR STEBELSKI.

I.

Jak wiadomo, Austria znajduje się w przededniu stworzenia pomnikowej pracy kodyfikacyjnej. Jeżeli pewne enuncyacje naszej najwyższej administracji sądowej można wziąć na seryo, to zdaje się, że tak dawno wyczekiwana reforma materalnego ustawodawstwa karnego przybierze w niedalekiej przyszłości wyraźniejsze kształty, i może post tot discrimina rerum powitamy ostatecznie dzieło, mające za sobą, powiedzmy otwarcie, nie bardzo nęcącą i interesującą historię.

A może i obecny nasz optymizm jest zwodniczy?

Habent sua fata libelli.

Lat pięćdziesiąt mija, odkąd pierwszy projekt, reformujący obecną ustawę karną, ujrzał światło dzienne. Nie jest to wdzięcznem zadaniem, a powiedzmy wprost jest nużącym, przedstawiać genezę tych licznych projektów, jakie począwszy od roku 1861 pojawiają się, będących chyba wymownem świadectwem nieudolności w stworzeniu nowego dzieła kodyfikacyjnego. Niemal każdy minister sprawiedliwości rozpoczynał swe rządy, inaugurując reformę i ambicyonując, aby nazwisko jego znalazło się umieszczone na nowym projekcie, i z góry, rzec można, przystępował do tego z niewiarą w powodzenie. Nad każdym nowym projektem zawisł fatalizm, że stał się przestarzałym, zanim prace, podjęte przez powołane czynniki, ukończone zostały.

W dobie tych prac rozpoczął się w nauce prawa karnego okres fermentacji i przesilenia. Nowe doktryny, zasilone zdobyczami nauk przyrodniczych i społecznych, wywołały ten prąd ewolucyjny, wobec którego runąć muszą dawniejsze instytucje prawne. Przyszła sprawiedliwość karna postępować ma odmiennemi torami. Wielkie zagadnienia prawa karnego mają być rozwiązywane na innych podstawach, niż je rozwiązuje dzisiejsza apryorystyczna jurysprudencja klasyczna. A jednym z haseł, wywieszonych na sztandarze tych no-

wych szermierzy, jest celowe zorganizowanie walki z przestępstwem i obrona społeczeństwa zagrożonego w swych podstawach.

Kodeks obecny, będący poprawną edycją kodeksu z r. 1803, a mający za sobą przeszło wiekową tradycję, hołdujący zasadzie bezwzględного odwetu, stał się już dawno anachronizmem. Zaczęto posiłkować się przeróżnymi nowelami, środkiem, jak wiadomo, z natury swej połowicznym i odbierającym danemu ustawodawstwu cechę jednolitości.

Wszelka reforma, któraby negowała postulaty nowych kierunków, wprowadzonych gdzieindziej z pomyślnymi wynikami, nie stałaby na wysokości swego zadania i stałby się musiała bezcelową. Rutyna, tradycja ustąpić muszą przed nowymi ożywczymi pierwiastkami.

Z tymi prądami liczyć się musieli redaktorowie najnowszego projektu, porzucając dawne utarte szlaki i wyprowadzając instytucje wypielegnowane na gruncie nowych idei.

Czy jednak nie ulękli się i nie stanęli na drodze połowicznej, czy zdołano zwalczyć zakorzenione poglądy i czy stworzono pracę na wskrós jednolitą?

Na to pytanie odpowiedzieć wypadnie chyba przecząco. Jest pewna połowiczność i chwiejność, targowanie się o zasady kierujące, koncesye na każdym kroku, lękliwość przed wszechwładzą sędziowską i obawa, żeby praca ta legislacyjna nie była zbyt postępową. To też krytyka, która na ogół powitała projekt dosyć przychylnie, niemal jednogłośnie wyrzekła sąd, że jest to praca, która wzrosła na gruncie wzajemnych kompromisów i ustępstw.

I mimowoli zadać sobie należy pytanie, czy doba dzisiejsza w ewolucyi tych pojęć zasadniczych, zanim ten proces kształtowania ukończył się, zanim nowe zasady, które wstrząsnęły podwalinami prawa karnego, staną niewzruszone jak opoka, nadaje się do zapoczątkowania tego dzieła, czy chwila szczęśliwie została obraną, czy nie należałoby raczej zająć wyczekującego stanowiska.

Możliwa, że te wątpliwości wpłynęły na naszą najwyższą administrację sądową, skoro udzielając szczupłemu gronu prawników projekt najnowszy, będący ostatecznie pracą prywatną, zaznaczyło wyraźnie, że dopiero w przyszłości zastrzega sobie określić swoje stanowisko i swój sąd wydać.

Równocześnie z ogłoszeniem projektu, który dla zaakcentowania niejako jego prowizorycznego charakteru, otrzymał nazwę

»Vorentwurf«, ministerstwo sprawiedliwości podało do wiadomości, że komisya, której poruczono prace reformujące obecną ustawę, czyli raczej ściślejszy jej komitet, przygotowuje projekt, zmieniający niektóre postanowienia obecnego formalnego ustawodawstwa karnego. Projektem tym objęte być mają te przepisy postępowania karnego, które wobec nowego kodeksu prawa materalnego już ostać się nie mogły, albo które ulec musiały radykalnej zmianie.

Zapowiedź ta doczekała się urzeczywistnienia. W grudniu 1909 opublikowało ministerstwo projekty do ustaw, zmieniających prawo procesowe karne, a równocześnie ogłoszono sprawozdanie komisji, czyli raczej ściślejszego jej komitetu, wraz z szczegółowymi motywami.

I znowu ministerstwo, ogłaszając te projekty przed przedłożeniem ich w ciałach parlamentarnych, zaznacza w wstępnych uwagach, że są one owocem prac ściślejszego komitetu, że wprowadzenie na redakcyę niektórych postanowień ministerstwo wpłynęło, zastrzega sobie jednakże w późniejszym czasie uzasadnić stanowisko, jakie wobec zaproponowanych zmian zająć zamierza.

A zmiany te są wprost pierwszorzędного znaczenia. W krótkim streszczeniu podaje komisya kierunek i granice swych prac. Wychodząc z założenia, że reforma materalnego prawa stała się nagłą koniecznością i dalej odwlec się nie da, zaznacza komisya, że nie było jej zamiarem stworzyć nowego prawa procesowego, któreby dostosowało się do projektowanego prawa materalnego. Wprowadzenie nowych instytucji prawnych, obcych dotychczasowemu ustawodawstwu, wymagać musiało z natury swej norm regulujących je, a lubo postępowanie wstępne, postępowanie na rozprawie głównej i system środków prawnych pozostały niezmienione, to jednak zmiany są nader liczne i wprost doniosłej natury.

Co do formy projektu tego spotykamy się poraz pierwszy z pewną innowacyą, obcą niemal dotychczasowej technice kodyfikacyjnej.

Nie było zamiarem kodyfikatorów ująć tych nowych postanowień z zakresu prawa formalnego w jedną w sobie zamkniętą, tworzącą jednolitą całość ustawę. Komisya poszła odmienną drogą. Uzupełniając, bądź modyfikując istniejące prawo procesowe, wciela te nowe normy do procedury z r. 1873, starając się zatrzymać i terminologię i sposób jej wyrażania się. W przyszłości więc według zakreślonego planu całość prawa procesowego obejmie i istniejącą procedurę i nowe postanowienia w redakcyi zaproponowanej przez komisję.

Że dzieło w ten sposób zbudowane nie będzie jednolitem, a na-

wet w praktycznym zastosowaniu nastęrczyć musi licznych trudności, rzecz aż nadto jasna.

Cel wytkniętej reformy i wytyczne jej granice komisya, jak to w wstępnych swych uwagach podnosi, ujęła w dwa punkty: 1) dostosowanie obowiązującej ustawy o postępowaniu karnem do nowego materialnego prawa; 2) zmiana przepisów organizacyjnych o orzecznictwie sądów z silniejszym współudziałem elementu obywatelskiego.

Zdaje się, że najwyższa administracya sądowa przywiązuje największą wagę do tego drugiego punktu programowego reformy, skoro w przedmowie z całą otwartością zaznacza swe stanowisko, a wypowiadając wotum nieufności pod adresem instytucji sądów przysięgłych, domaga się powołania żywiołu obywatelskiego w orzecznictwie w sprawach karnych w szerszym rozmiarze, a to pod formą sądu ławniczego. Na tę przewodnią ideę reformy ministerstwo kładzie największy nacisk i przytacza na usprawiedliwienie zajętego stanowiska cały szereg poważnych argumentów, dochodząc do wniosku ostatecznego, że sąd ławniczy jest najdoskonalszą formą, w której problem współudziału sądu obywatelskiego w tej niemal najważniejszej funkcji życia publicznego ma się ucieleśnić.

I nad tem chcielibyśmy zastanowić się obecnie. Pytanie to, jak wiadomo, już od dawna zaprzęta umysły prawników i przyczyniło się do olbrzymiego wprost wzrostu literatury procesowej. Kwestya ta po raz pierwszy poruszona przez Schwarzego w roku 1864 (*Geschworenengericht und Schöffengericht, ein Beitrag zur Lösung der Schwurgerichtsfrage*) nie schodziła dłuższy czas z porządku zjazdów prawników, odbywających się w Niemczech, i dała powód do polemiki i do dyskusyi namiętnie niemal prowadzonej. Antagonizm ten spowodował, że autorowie o dźwięcznych nazwiskach podzielili się na dwa wrogie obozy, nawzajem się zwalczające. Po jednej stronie z całym arsenałem argumentów w obronie sądu przysięgłych wystąpili Glaser, Wahlberg, Bar, John, Mayer, a ich przeciwnikami byli Schwarze, Zachariae, Hugo Meyer, Binder. Spór ten ostatecznie nie został rozegrany, po walce lat kilkanaście trwającej nastąpiło zawieszenie broni i pewne ochłodzenie zapału.

Dziś powrócić musimy do tej kwestyi. Której formie sądu obywatelskiego przyznać należy wyższość, i czy droga obrana przez naszych kodyfikatorów jest szczęśliwą? Tym pytaniom chcielibyśmy poświęcić kilka uwag, zaczerpniętych przedewszystkiem z obserwacji

dotychczasowej praktyki, z szczególniejszem uwzględnieniem stosunków u nas istniejących.

II.

Sądy przysięgłych, zaprowadzone na kontynencie w czasach wielkich wstrząszeń politycznych i społecznych, spowodowanych wielką rewolucją francuską, wchodziły w program ówczesnych postulatów politycznych i stanowić miały paladum wolności osobistej przeciw wszelkim zamachom władzy państwowej, a zarazem służyć do realizowania celów politycznych. Historya stwierdza też, że oddały one niepoślednie usługi i terroryzmowi rewolucyjnemu i despotyzmowi napoleońskiemu. Prawo karne i sprawiedliwość ugiąć się musiały przed wszechwładzą udzielnoci ludu, uosobionej w owej conviction intime przysięgłych, będącej zarazem wyrazem najwyższej samowoli.

Była to epoka najwyższego zachwyty, porywu i obudzenia gwałtownego po wiekowym śnie, w której dla refleksyi nie było miejsca. Napróżno w Niemczech taka powaga naukowa jak Feuerbach, a za nim jego adepci jak Möhl, Hepfner, Jagemann, Grohmann, Vollert i inni, wskazywali na niebezpieczeństwo. jakie zrodzić się musiało z przeniesieniem instytucyi obcej i niewypробowanej na grunt nieprzygotowany. Głos ich musiał przebrzmieć niemal niepostrzeżenie, a wśród wielkich przesileni politycznych w roku 1848 powitano przysięgłych jako prawdziwych reprezentantów uciśnionego ludu. Apoteoza ta w Niemczech dosięgła zenitu, gdy wystąpili autorowie, starający się nadać sądom przysięgłych podstawy historyczne i narodowe, przedstawiając je jako instytucję nawskróś rodzimą, znaną dawnemu prawu niemieckiemu,

Ale już w latach najbliższych po r. 1848 zaczyna budzić się refleksya. Poznano, że zbyt jednostronne zaakcentowanie pierwiastka politycznego z zupełnem pominięciem charakteru prawnego jest niebezpieczne, a dla prawnika podobny widnokrąg jest za ciasny i niewystarczający. I zaczęto zadawać sobie pytanie, czy jeżeli ma być usankcyonowany udział elementu nefachowego w jednej z najważniejszych funkcij życia publicznego, ten udział tylko w formie przyjętej przez sąd przysięgłych może się dokonać? Zgodzono się w zasadzie, że społeczeństwo musi mieć swych reprezentantów w tej funkcyi, lecz zarazem postawiono kwestyę, czy forma przyjęta w są-

dzie przysięgłych jest jedynie uprzywilejowaną, czy też zasada dopuszczenia pierwiastka ludowego może być i w innej formie dającej większe rękojmię dla idei prawa, przeprowadzona. I wówczas utorowało sobie drogę przekonanie, że w tej epoce gorączkowej za mało uwagi zwrócono na charakter prawny instytucji sądów przysięgłych, skąd wyrodziło się pytanie, czy rzeczywiście organizacja ich jest tak doskonałą, iżby ze stanowiska idei prawa i celów sprawiedliwości wyrzycić mogła krytykę.

Zarysowuje się więc wyraźnie charakter prawny tej instytucji i pod hasłem tem zaczynają ścierać się zdania. Występują do walki przeciwnicy sądów przysięgłych, jednak nie pod hasłem reakcyjnym lub antiliberalnym. Najżarliwsi antagoniści bynajmniej nie atakują idei reprezentacyjnej, ucieleśniającej się w sądzie przysięgłych, nie przeocząją też wielkich korzyści, jakie przysparza zbliżenie społeczeństwa do prawa i tendencja wyrównania tych różnic, jakie uwydatniają się między abstrakcyjnym prawem pisanym a stosunkami życiowymi. Wszak i oni bronią zapatrywania, że sędzia powinien być tłumaczem prawa na to ustanowionym, by to prawo rozciągał i prostował dedukcyjnie i kazuistycznie, by analizował objawy życia, i wreszcie aby nie był to człowiek nieznający tego życia i jego pulsowań, myślą gdzieś w abstrakcyach krążący. Przeciwnicy ci nie stoją więc wcale na stanowisku, jakoby tylko władza państwowa przez swe organy powołana była do realizowania prawa w wypadku jego naruszenia, i nie bronią zapatrywania owego filozofa niemieckiego, jakoby usunięcie sędziów państwowych było negacją prawa i podkopywało byt i istnienie jego; dla nich jedynie forma przyjęta w sądzie przysięgłych nie jest dla idei prawa idealną i doskonałą.

Nie mamy tu oczywiście na myśli owego antagonizmu kastowego, który początkowo stanął do walki. Był to antagonizm koteryjny, biurokratyczny, formalistyczny, nie mogący pogodzić się z myślą, aby element inny, żyjący w sferze odmiennych pojęć i wyobrażeń, mógł przysporzyć jakich korzyści w usługach wymiaru sprawiedliwości. W Austrii scholastycezm ten zapleśniały przyczynił się w pewnej mierze do upadku sądów przysięgłych, wprowadzonych po raz pierwszy po wypadkach marcowych. Był to żywioł nawskrośs reakcyjny, wrogi wszelkim liberalnym innowacyom. Antagonizm ten należy dziś już do historii, jakkolwiek nie możemy zataić, że nie wszyscy nasi sędziowie zawodowi są entuzjastycznymi zwolennikami idei współdziałania czynnika obywatelskiego w orzecznictwie karnem.

W czasach niemal ostatnich spotykamy się ze znaczącym symptomem. Propagandę przeciw sądom przysięgłych podjęto w obozie zupełnie innym, bo w najbardziej postępowym.

Włoscy pozytywiści wołają, że musi być to społeczeństwo w podstawach swego bytu zagrożone, skoro werdykty sądów przysięgłych przyczyniają się do wzrostu ogólnej przestępczości, a przysięgli zażurpowali sobie prawo monarsze, bo prawo ułaskawiania. To też między postulatami szkoły antropologicznej i między punktami programowymi zwolenników rozmaitych jej odcieni znajdujemy jako jeden z najskuteczniejszych środków, torujących przyszłą reformę społeczną, zniesienie sądów przysięgłych.

Moglibyśmy wymienić cały szereg dźwięcznych nazwisk między koryfeuszami nowych horyzontów, przepowiadających w niedalekiej przyszłości upadek tej instytucji, którą Włosi od pewnego czasu zaczęli z jawnym przekąsem nazywać barokową. Chcielibyśmy jednak powołać się na zdanie niewątpliwie najznakomitszego współczesnego kryminologa francuskiego Tarde, który podziеляjąc najzupełniej stanowisko, zajęte przez włoskich antropologów, dowodzi, że dalsze istnienie sądów przysięgłych równa się zastojowi. Bo cóż powołało je do życia — pyta Tarde — czy istotna potrzeba, upatrująca w nich największą rękojmię skutecznego wymiaru sprawiedliwości? Była u nas epoka naśladowniczości, wskazywano na Anglię, urządzającą swe instytucje prawne na szerokich podstawach samorządnych, olśniewał nas liberalizm wiekowy angielski i przenieśliśmy na grunt nasz instytucję, która w swym zaczątku nosiła już zaród śmierci. Głosowi Tarda wtóruje cała plejada kryminologów nowych szkół rozmaitych odcieni, zarówno Włosi, Francuzi, Belgijczycy, Niemcy.

Lecz porzućmy antropologów, nie przyjmujących funkcji sądownia w obręb swych doktryn, lecz wierzących w klasyfikatorów, zastępujących miejsce sędziów, porzućmy tych przyszłych organizatorów społeczeństwa, których wyznawcy klasycznej jurysprudencji nazywają utopistami, a ich doktryny paradoksalnemi, i posłuchajmy co mówią klasycy, nicujący projekty reformatorskie pozytywistów.

W Niemczech propaganda nieprzychylna sądom przysięgłych znalazła wyraz w rezolucjach, uchwalanych na kilku zjazdach prawników, a były pruski minister sprawiedliwości Leonhardt nosił się z myślą zastąpienia sądów przysięgłych wielkim sądem ławniczym. Tak na XVIII zjeździe uchwalono rezolucję: 1) sądy ławnicze okazały się w praktyce użytecznemi; 2) obecna organizacja sądów przy-

sięgłych wymaga gwałtownie reformy. Rezolucya ta jednak uchwalona została po zaciętej szermierce. Niemal wszyscy uczestnicy zjazdu oświadczyli się przeciw sądom przysięgłych, których wyroki są wymownem świadectwem przeróżnych nieobliczalnych niekonsekwencyj. Całą instytucję poddano gnębiącej krytyce, rezolucya Olshausena, proponująca votum nieufności, zyskała niemal ogólny poklask, a w ostatniej chwili ocalił ją Jacques. Trafiła do przekonania argumentacya, że sprawa jeszcze nie jest dojrzałą, aby ogłaszać światu bankructwo tak doniosłej instytucyi.

Przypominamy, że i na II zjeździe prawników i ekonomistów polskich z r. 1889 kwestya ta stanęła również na porządku dziennym.

Opinię ujemną wydał prof. Krzymuski, uznając sąd przysięgłych za instytucję nierozumną i w najwyższym stopniu niebezpieczną dla porządku prawnego.

Referat ten sięgnął do organizacyjnych podstaw tej formy sądów, a stawiając pewnik, że o winie kryminalnej, mieszczącej tyle zawiloci i kwestyi czysto prawnych, orzekać może i powinien tylko sędzia fachowy, odsądza sędziego obywatelskiego od zdolności oceniania faktu prawnego, odsądza go od udziału w orzecznictwie, widząc w nim dla wymiaru sprawiedliwości karnej czynnik wielce niebezpieczny. W tem leży właśnie najsłabsza strona instytucyi sądu przysięgłych, podkopująca byt jej w najistotniejszych podstawach.

Drugi referat spoczywał w ręku piszącego te słowa, który posługując się dosyć obfitym materiałem statystycznym, nagromadzonym w publikacjach urzędowych centralnej komisji statystycznej, i przedstawiając w świetle cyfr działalność sądów tych tak w ogólności, jak i co do poszczególnych przestępstw, na pytanie »czy i o ile okazały się w Galicyi w praktyce sądy przysięgłych użytecznymi«, przedstawił tezę »sądy przysięgłych nie odpowiedziały w Galicyi swemu zadaniu i w praktyce nie okazały się użytecznymi«.

W interesie ścisłości sprawozdawczej podnieść należy, że przeciwny kierunek reprezentowany był na zjeździe w referacie śp. prof. Ostrożyńskiego.

Sprawozdanie to bynajmniej nie zaprzecza obniżeniu się wartości werdyktów sędziów przysięgłych i uznaje też zasadność podnoszonych przeciw nim zarzutów. Mimo to ta forma udziału elementu niefachowego jest zdaniem sprawozdawcy najidealniejszą, i sto wyżej od formy sądownictwa mieszanego, w którejby sędziowie za-

wodowi już z mocy swego stanowiska musieli mieć przewagę nad sędziami wyszłymi z ludu.

I jeżeli sędziowie ci nie zawsze stoją na wysokości swego zadania, jeżeli ich wyroki spotykają się z zasłużoną, a czasami surową krytyką, to przyczynę tego stanu upatrywać należy nie w samej instytucji, lecz w obecnym jej składzie, a głównie w tej okoliczności, że obowiązek sprawowania funkcji sędziego przysięgłego wkłada obowiązujące prawo na ludzi, którzy inteligencją swą nie mogą sprostać zadaniu, do którego spełnienia ich powołano.

Odpowiadając na tezę »w jakim kierunku należałoby przeprowadzić reformę sądów przysięgłych, by instytucję tę uczynić pożyteczniejszą przy wymiarze karnej sprawiedliwości«, sprawozdanie przedstawia następujące wnioski:

1) należy sąd przysięgłych nadal zatrzymać przy wymiarze sprawiedliwości karnej w sprawach o najcięższe przestępstwa i przestępstwa polityczne, pozostawiając im orzekanie w kwestyi czynu;

2) rozszerzyć przyjęty przez obowiązujące prawo szereg przyczyn niezdolności do sprawowania urzędu sędziego przysięgłego, wymagając większego, aniżeli dotychczas, wykształcenia i nieskazitelnego charakteru;

3) odjąć urzędowi temu cechę ciężaru, jaką ma dotychczas, płacąc sędziom przysięgłym za sprawowanie funkcji odpowiednie wynagrodzenie.

III.

W Austrii upływa czwarte dziesięciolecie od czasu wprowadzenia sądów przysięgłych. Okres to czasu poważny i dostateczny, aby bezstronnie i bez uprzedzenia zdać sobie sprawę z działalności tej instytucji, którą i u nas powitano jako jedną z największych zdobyczy, osiągniętych w zakresie prawa politycznego. Dziś już ten zapal ostrygł, gorący entuzjazm zniknął, a miejsce jego zajęła refleksya. Nawet najzagorzalsi zwolennicy zasady reprezentacyjnej w sądownictwie nie zapatrują się na nią tak różowo, jak z początku, i przyznają, że są pewne braki, które wymagają poprawy. W społeczeństwie zdania są podzielone. Werdykt krzywdzący i stojący w sprzeczności z poczuciem prawnem ogółu, wywołuje okrzyk oburzenia i wyrazy potępienia. Opinia ta jest zresztą chwiejna, zmienna, a pod wrażeniem werdyktu jej sympatycznego nuci hymny pochwalne.

Kreśląc te uwagi zaczerpnięte z życia, mamy oczywiście na względzie owe normalne warunki, wśród których sąd przysięgłych funkcjonuje. Miarą naszej oceny nie mogą być owe wyjątkowe stosunki, które w danej chwili społeczeństwem wstrząsają. Rozszalałe namiętności polityczne, zaślepiony antagonizm narodowościowy i inne zewnętrzne wpływy podkopać mogą nieraz wiarę w prawidłowe funkcjonowanie sądów przysięgłych. Są to jednak zjawiska efemeryczne, przemijające, które nie mogą być brane za podstawę naszych rozmyślań.

I najwyższa administracja sądowa już od pewnego czasu nie występuje z ową bałwochwalczą apoteozą w obronie werdyktu sądów przysięgłych, jak to swego czasu czynił Glaser, ów najzarliwszy propagator idei autonomicznej w orzecznictwie karnem.

Kilka procesów głośnych i mających ogólniejsze znaczenie, przeprowadzonych w Austrii, komentowanych następnie w ciałach parlamentarnych i prasie, dały asumpt ministrowi sprawiedliwości do wydania reskryptu w dniu 3 listopada 1892. Minister daje tu krótki pogląd na działanie sądów karnych, a przechodząc następnie do sędziów przysięgłych, poddaje ich orzecznictwo ujemnej krytyce i w sposób jasny i niedwuznaczny wypowiada swe niezadowolenie. »Instytucja sądów przysięgłych, żywo atakowana z jednej strony, z drugiej uznawana za niezbędną rękojmię urzędów liberalnych, niezupełnie odpowiadała daleko posuniętym oczekiwaniom. Walki życia politycznego nie powinny jej wzruszać, lecz powinna ona pozostać nietkniętą« — tak przemawia minister pod adresem sędziów przysięgłych.

Zdarzały się u nas wypadki, że przewodniczący rozprawy zwracał się wprost do sędziów przysięgłych, karcąc ich za to, że wydają werdykty gwałcące poczucie prawa. Także i z trybuny prokuratorskiej padały słowa zabójczej krytyki na temat zbyt częstych i nieuzasadnionych uwolnień. I w jednym i w drugim wypadku postąpiono nielegalnie, z ujmą niezawisłości sędziów przysięgłych, a jednak nie błahe widocznie musiały zachodzić powody, skoro zdecydowano się na krok tyle niezwykły w rocznikach orzecznictwa karnego. Sporadyczne to wprawdzie wypadki, nie omylimy się jednak, twierdząc, że admonicya udzielona przysięgłym była wyrazem opinii, panującej w sferach sędziów zawodowych. Trudno ich posądzić o antagonizm kastowy, gdy na widok zdeptanej sprawiedliwości nie mogą powstrzymać się od głosu słusznego oburzenia.

Bo też szczególną etyką kierują się przysięgli. Zasiadłszy na ławie dziwnej ulegają metamorfozie. Znaliśmy mężów surowych zasad, a nawet wytrawnych prawników, którzy powołani na stanowisko przysięgłego, posuwali pobłażliwość dla ułomności ludzkich, wchodzących w kolizję z kodeksem karnym, do najskrajniejszych granic, i z punktu widzenia ogólnoludzkiego starali się ciężkie nawet zbrodnie puścić bezkarnie. Mają przysięgli swój odrębny kodeks, nie paragrafowy wprawdzie, w który ślepo wierzą, pomijając wszelkie prawo pozytywne. Wyrobiło się przekonanie, niestety na prawdzie osnute, że pewne kategorie ciężkich przestępstw uchodzą w naszym społeczeństwie bezkarnie. Nie pamiętamy wypadku, aby dzieciobójczyni była potępiona. Nieodgadnione, zmienne, urągające prawu zapatrywanie podmiotowe zaważa częstokroć na szali sprawiedliwości.

Wszechwładza przysięgłych wyradza się w pewnego rodzaju cynizm, szydzący z prawa, a nieraz słyszymy głosy chełpienia się, że mimo przekonywującego materiału dowodowego uwolniono oskarżonego. Idea sprawiedliwości cierpi, jeżeli w społeczeństwie pomniejsze naruszenia prawa ścigane bywają z bezwzględną surowością, a cięższe, wstrząsające podwalinami jego bytu, nie doznają represyi.

Najlepiej może pojął i zrozumiał etykę przysięgłych świat zbrodniczy, który w zamian darzy ich bezgranicznem zaufaniem.

Najdosadniej jednak występuje cała nieudolność sądu przysięgłych w procesach o obrazę czci, popełnionych treścią pisma drukowego. Wpływy zewnętrzne, namowa, głos opinii publicznej, często błędnej, gonienie za popularnością, stronnictwo i namiętność o podkładzie narodowościowym, źle pojęty sentymentalizm i karygodne niemal lekceważenie tego, co jest najdroższem dla jednostki — to wszystko składa się na to, że dziś wiara w sprawiedliwość werdyktów, w tych sprawach wydawanych, zupełnie upadła. A nie są to sprawy błahe i nieznaczące. Cóż może być boleśniejszego, jak targnięcie się na cześć; i to właśnie ująć ma bezkarnie, a nawet wyrokiem sądowym otrzymać sankcję.

Zrozumiały to sfery kierujące już dawno, skoro zdecydowały się ścieśnić kompetencję sądów przysięgłych, wyjmując te sprawy z pod ich orzecznictwa i przekazując zwykłym trybunałom. Projekt odnośny, na pozór reakcyjny, bo przedstawiający się jako zamach na atrybucye sądów przysięgłych, na ogół został przychylnie powitany, a jedynie prasa, zwłaszcza rewolwerowa, uprawiająca szantaż, wystąpiła przeciw niemu z całą żarliwością.

Zapytajmyż się dalej, w jaki sposób urząd sędziego przysięgłego bywa w Galicyi wykonywany, i oprzyjmy naszą odpowiedź na obserwacjach, jakie poczyniliśmy, spełniając przez dłuższy czas obowiązki sędziego zawodowego. Wstrzymujemy się od przesady wszelkiej i kreślimy te nasze uwagi bez żadnego uprzedzenia. Wyrobiło się u nas, niestety na prawdzie osnute mniemanie, że cała instytucja w swem praktycznem zastosowaniu, pozostawia wiele do życzenia. To już oczywiście nie wina organizacyjnych jej podstaw, lecz wina czynników, biorących udział w procesie, a powołanych do ich strzeżenia i poszanowania. Czujemy, że podnosimy zbyt ciężki zarzut, nie wyrażając się tak pochlebnie o instytucji tyle poważnej, i może krzywdzimy ją, generalizując nasze zarzuty; a jednak gorzkie te słowa nasuwają się nam mimowoli.

Przypatrzmy się scenom prawdziwie upokarzającym, jakich widownią jest sala rozpraw sądowych przed rozpoczęciem rozprawy w czasie tworzenia składu ławy przysięgłych. Widzimy tu obraz nie licujący ani z powagą miejsca, ani z owym wysławianym liberalizmem. Ileż tu próśb, zabiegów, kłamstw, aby tylko uwolnić się od zasiadania na ławie. Wyszukuje się przeróżne prawdziwe i nieprawdziwe przeszkody, apeluje się do znajomości, protekcji, a jeżeli wyjątkowo znajdzie się prokurator lub obrońca, głuchy na te prośby i modły, poddaje się wreszcie przysięgły z nietajoną niechęcią swemu losowi z tem przekonaniem, że spełnił w usługach społeczeństwa wielką ofiarę.

I to wszystko odbywa się w obliczu całego zgromadzonego trybunału, w obecności oskarżonego, który będąc widzem scen gorszących, stracić może wiarę i zaufanie do sędziów, w których rękę spoczęły jego losy.

Podnosimy więc zarzut przeciw prokuratorom i obrońcom, którzy przy wykonywaniu służącego im prawa wyłączenia nie kierują się względami rzeczowymi, lecz czy to dla zdobycia sobie popularności, czy też z lekceważenia przyjętych obowiązków, przyczyniają się pośrednio do demoralizacji ławy przysięgłych.

Podnosimy wreszcie zarzut przeciw przewodniczącym, którzy z mocy przysługującej im władzy dyskrecyjnej winni skarcić podobne, majestatowi sprawiedliwości uwłaczające praktyki.

A nie jest to sprawa błaha i nie nieznacząca, jakby na pierwszy rzut oka zdawać się mogło.

W izbie przysięgłych nieraz podnoszą się głosy oburzenia na

stronnicze postępowanie odnośnych czynników, faworyzujące jednych kosztem drugich. Element, dający największą rękojmię, że z zrozumieniem spełni swój obowiązek, niemal systematycznie usuwa się. Fakty to luźne, niestety zbyt często powtarzające się, z których stworzyć sobie można obraz całości.

Ustawodawstwo obowiązujące oparło zdolność sprawowania urzędu sędziego przysięgłego na systemie mieszanym, powołując na ten urząd obywateli, opłacających podatek w pewnej wysokości, lub bez względu na podatek, posiadających pewien szczególny stopień wykształcenia. W tem połączeniu systemu szacunku majątkowego z systemem zdolności osobistej ustawodawstwo upatrywało jedną z najistotniejszych gwarancji sprawiedliwości werdyktów, sądziło bowiem, że żywioł inteligentny, współdziałając z żywiołem mniej oświeconym, usunie niejedyn brak wynikający z niskiego poziomu pewnej części przysięgłych.

Intencja ta ustawodawcy została jednak w praktyce wypaczona. Obywatele, w których ręku mógłby z całym spokojem spocząć los sprawy, usuwają się od spełnienia tego obywatelskiego obowiązku, spychając ciężar sądzenia na swych współobywateli, wprowadzając chętnych, lecz najmniej do sądzenia powołanych. Sama znajomość czytania i pisanja obok opłacania pewnego podatku nie jest jeszcze świadectwem kwalifikującym przysięgłego, który w sprawach zwłaszcza wymagających wytrawniejszego sądu, i nastroczających pewne trudności nawet dla prawnika zawodowego, nie może spełnić należycie urzędu nań włożonego. W ogóle to sumienie, to przekonanie sędziego przysięgłego, mające dla niego powagę najwyższej instancji, jest w jego pojmowaniu czemś bardzo elastycznym, wygodnym i sankcjonującym najwyższą krzywdę, wyrządzoną idei sprawiedliwości.

Uwagi nasze skierowane są przedewszystkiem pod adresem sędziów w miastach, zwłaszcza prowincjonalnych. Nizki poziom inteligencji, obniżenie się poczucia prawa i zobojętnienie wobec tych form bezprawia kryminalnego, które nie naruszają najwyższych dóbr — to wszystko niewątpliwie przyczynia się do dekadencji wartości werdyktów.

Jeżeli do tego dodamy, że przysięgli w przeważnej części zaciągają się z ludności niezamożnej, nieraz walczącej z nędzą, dla której przebywanie w siedzibie trybunału sądu przysięgłych połączone jest z ciężkimi ofiarami, że zdarzają się wcale nierzadkie wypadki, iż ogłoszeni z najpierwszych potrzeb, dopraszają się o przy-

znanie sobie choćby nieznacznego wynagrodzenia, to będziemy mieli w najgłówniejszych konturach obraz tej instytucji obywatelskiej, jak ona w świetle praktyki się przedstawia. Stosunki te idą w parze niestety z ogólnym stanem ekonomicznym; gdzieindziej ukształtowanie tych stosunków jest nierównie korzystniejsze.

Zapytajmyż wreszcie, czy wina tego niewątpliwego obniżenia instytucji leży wyłącznie tylko po stronie sędziów przysięgłych, czynnie występujących dopiero w ostatnim akcie dramatu, jaki zaczyna się na rozprawie głównej, czy też tych przyczyn rozkładowych nie należy szukać także i gdzieindziej. Zapytajmy więc, czyli nasi przewodniczący, obrońcy w granicach ustawą zakreślonych, wywiązują się należycie ze swego zadania. I przede wszystkim odpowiedzmy na pytanie, czy w świetle krytyki mogą wyjść obronnie nasi przewodniczący, owi najznakomitsi reprezentanci sądu państwowego, w których ręce ustawodawstwo nasze złożyło pełnię atrybucyj wywyższających ich na kierujące stanowisko, a zarazem liczne i daleko idące obowiązki, zabezpieczające w procesie wykrycie najwyższej prawdy, a w następstwie i należyty wymiar sprawiedliwości.

Jak wiadomo, ustawodawstwo austriackie, określając stanowisko przewodniczącego, poszło w ślady prawa francuskiego, i przyznało mu między wszystkimi czynnikami, biorącymi udział w procesie, rolę najprzedniejszą i najczynniejszą. Jest on duszą całej rozprawy, panem wszechwładnym, ograniczonym tylko swym honorem i sumieniem, któremu we wszystkich czynnościach przyświecać winna jako myśl przewodnia idea wykrycia w procesie prawdy materialnej. Stanowisko jego jest potężne, ale zarazem i arcytrudne. Mając peruczoną sobie na rozprawie instrukcję sprawy, musi należycie przygotować się do spełnienia tego obowiązku, musi przestudować dokładnie materiał nagromadzony, a zarazem przyswoić sobie rutynę i pewną technikę, któraby ochroniła go przed przeróżnymi niewłaściwościami.

Najważniejszym jednak bez wątpienia obowiązkiem jego będzie uniknąć tego wszystkiego, co by ściągnąć na niego mogło zarzut stronniczości. A zadanie to nie jest łatwe. Byliśmy świadkami, jak przewodniczący na rozprawie starali się podtrzymać ugruntowane na aktach śledczych zdanie, i nie uwzględniali wyników rozprawy, zadających kłam faktom, uznanym w postępowaniu wstępnem za prawdziwe. To apriorystyczne przekonanie i oparta na niem tendencyj-

ność może utrudnić, a niekiedy uniemożliwić przysięgłym spełnienie zadania, a nawet spowodować niesprawiedliwy wyrok. Oczywiście zajęcie stanowiska przedmiotowego, uwzględniającego równomierne interes stron walczących, i zachowanie tej miary, któraby utrzymywała osoby występujące w procesie w szrankach ustawą zakreślonych, jest rzeczą indywidualnego taktu, rutyny, temperamentu, a nawet i pewnej intuicji.

Francuski kryminalista Berenger żąda od przewodniczącego nie tyle olśniewającego talentu, jak raczej pewnej roztropności umysłu i pewności, zimnej krwi, a zarazem łagodności i dobroci serca, spokoju, a zarazem szlachetności, a jeden z niemieckich praktyków, długoletni przewodniczący w sądach przysięgłych, ułożył schemat obejmujący owe przymioty, które przeciętny prezydujący posiadać winien, jeżeli ma sprostać swemu zadaniu. Są one następujące: *a)* dar słowa i pewność wyrażania się, *b)* dobośny organ mowy, *c)* obznajomienie się z językiem ludu i jego zwyczajami, *d)* surowe przestrzeganie karności i porządku, *e)* unikanie wszelkich namiętnych wybuchów, *f)* równość wobec wszystkich uczestników rozprawy, *g)* dążenie do wykrycia prawdy i unikanie wszelkiej choćby najlżejszej stronniczości, *i)* zachowanie powagi bez przesady i pedanterji, *k)* stanowcze wystąpienie przeciw nadużywaniu słowa, bądź w toku rozprawy, bądź w wywodach ostatecznych. Mybyśmy dodali jeszcze dwa inne, które pominął niemiecki rutynista. Mamy na myśli gruntowne obznajomienie się ze stanem sprawy w sądzie roztrząsanej, a więc przestudjowanie materiału śledczego, i posiadanie pewnego encyklopedycznego wykształcenia, któreby go uchroniło od ignorancji lub jednostronności.

Takich jednak idealnych przewodniczących nie posiadamy, a składają się na to rozmaite powody, te jednak nie wchodzą w ramy niniejszych naszych uwag. Gdzieindziej administracya państwowa dokłada starań, aby z pośród grona sędziów zawodowych wychować sobie zastęp dzielnych specjalnych prezydujących, którzyby mogli w przyszłości sprostać zadaniu. W Galicji czynniki powołane wobec tych całkiem uzasadnionych postulatów dziwnie apatycznie się zachowują, nie odstępując od tradycyjnych szablonów. Wcale zresztą do wyjątków nie należy, że przewodniczący dopiero w ostatniej chwili ma możność dorywczego i powierzchownego zaznajomienia się z aktami sprawy sądzić się mającej, przez co kierownictwo jego nosić musi piętno pobieżności i niepewności.

W wyż powołanym reskrypcie domaga się minister sprawiedliwości powierzenia kierownictwa rozpraw tylko takim funkcyjnarzuszom, po których spodziewać się można, że zdołali należycie ogarnąć cały materyał nagromadzony, i którzy odznaczają się tym spokojem i taktem, jakiego wymaga powaga sądu. Reskrypt ten wskazuje dalej na ten wysoki nimb, jakim otoczeni są sędziowie angielscy, i zwraca się w końcu przeciw owym przewodniczącym, którzy obniżając powagę miejsca, z sali sądowej czynią arenę swych niewłaściwych wycieczek i uwag, drażniących nieraz także uczucia narodowe.

O kierownictwie rozprawy przez przewodniczących w Galicyi moglibyśmy w ogólności powiedzieć, że czasami zanadto mało posiadają samoistności, a natomiast za wiele oglądają się na prokuratorów. Że faktycznie wytworzył się stosunek pewnej zawisłości od prokuratorów, to rzecz powszechnie wiadoma, i dopiero w ostatnich czasach zaczyna się dosyć wyraźnie zarysowywać tendencya wyzwolenia z pod wpływów prokuratorskich. Temu też przypisać należy, że nieraz przewodniczący zwracają się do prokuratorów, żądając od nich postawienia wniosków w kwestyach, które przewodniczący z mocy władzy swej dyskrecyonalnej sami bez udziału stron rozstrzygnąć winni.

Zarzucamy dalej przewodniczącym na rozprawach, że ze zbytniej obawy przed zarzutem pobieżności, gubią się w szczegółach drobnostkowych i utrudniają tym sposobem zadanie przysięgłym, którzy tracąc wątek całości, nie mogą się wobec ogromu materyału należycie zoryentować. Wada ta jest u nas dosyć powszechnie zakorzeniona, a nieraz dają się słyszeć z ławy przysięgłych głosy niezadowolenia, że przeciąga się rozprawę ponad rzeczywistą potrzebę.

Nie wyczerpalibyśmy tych, w najgłówniejszych zarysach skreślonych uwag, gdybyśmy nie dotknęli jednej, nader ważnej atrybucyi przewodniczącego, będącej tak w literaturze, jak i w pozytywnych ustawodawstwach przedmiotem ożywionej krytyki. Mamy na myśli przemówienie jego końcowe, tak jak ono w ustawodawstwie naszym zostało unormowane.

Geneza powstania przepisu odnoszącego się do resumé według naszego prawa procesowego, wykazuje, że w ciałach prawodawczych podnosiły się głosy za ograniczeniem przewodniczącego w jego przemówieniu jedynie do kwestyi prawnej, z wykluczeniem wszelkich wywodów, odnoszących się do kwestyi faktycznej. Głosy te jednak były w mniejszości, a pod wpływem ówczesnych zapa-

trywań wyszedł § 325 ust. o post. karn., który objął przepisy zaczerpnięte i z prawa francuskiego i z prawa angielskiego. I odkąd instytucja sądów przysięgłych w Austrii została wprowadzona, odąd na porządku dziennym stawianą jest kwestya reformy resumé, a § 325 ustawy procesowej wystawiony jest na największe zaczepki.

Nie jest zadaniem naszym podawać historii owych reformatorskich dążeń, odnoszących się do resumé. W krótkości jedynie podajemy, że pierwszy niejako, który w Austrii spopularyzował myśl zniesienia resumé w postaci obecnej, był Jacques. Myśl tę krzewił on poczynawszy od wprowadzenia obecnej procedury, przy każdej sposobności na zjazdach, w czasopismach fachowych występował przeciw obecnej stylizacji § 325, a w końcu na posiedzeniu 259 Rady państwa w r. 1883 postawił wniosek dostatecznie poparty, o wydanie noweli do postępowania karnego. Wniosek Jacquesa zdążył do zmiany obecnego resumé w podwójnym kierunku. Pierwsza część wniosku zwalnia przewodniczącego od resumé we właściwym czyli technicznym tego słowa znaczeniu zwalnia go więc od reprodukcji przebiegu całej przeprowadzonej rozprawy, i stosownie do postulatów nauki i zdobyczy zebranych na polu praktycznego doświadczenia, ma odpaść w przyszłości unaocznienie momentów ważniejszych rozprawy, a przysięgli wiedząc, że powtórne streszczenie przy końcu rozprawy już nie nastąpi, pobudzeni będą tem samem do żywszego uczestniczenia, baczniejszej uwagi i zajęcia się rozgrywającą się przed nimi akcją. W ten sposób wyrokować będą na podstawie swoich, i to bezpośrednio odniesionych wrażen z rozprawy głównej, a werdykt ich będzie pełnym i niezamąconym wyrazem ich wewnętrznego, swobodnego przekonania.

Druga część wniosku dotyczy właściwego pouczenia prawnego. Istota i zakres tej funkcyi przewodniczącego nie doznaje we wniosku Jacquesa najmniejszej zmiany, i w tej mierze wnioskodawca stoi na stanowisku prawa obowiązującego, które na przewodniczącego nakłada obowiązek wyłuszczenia ustawowych znamion czynu karnego i znaczenia znajdujących się w pytaniu ustawowych wyrazów.

Zrobiliśmy to spostrzeżenie, że resumé nie czyni na przysięgłych potężnego wrażenia. Zazwyczaj jest ono oschłym, bezbarwnem i niemal niewolniczem powtórzeniem rozprawy, bez połotu i bez barwności pociągającej i nadającej życie. Brak w niem pewnej siły argumentacji, brak krytycznego rozumowania. Temu też przypisać należy, że zazwyczaj przysięgli obojętnie przysłuchują się wy-

wodom przewodniczącego, a niekiedy i zdradzają pewną niecierpliwość.

A już zupełnie odmówić musimy daru udzielania jasnego pouczenia prawnego. Zwykle odczytuje przewodniczący odnosny ustęp z ustawy karnej, objaśniając go mniej lub więcej niezręcznie, a czasami całkiem mylnie. Z takiej lekcji przysięgli odnoszą nader wątpliwą korzyść. Niewątpliwie rzecz to niełatwa podać laikom zawile konstrukcye prawne w formie przystępnej. Temu też przypisać należy, że przysięgli, przyszedłszy do izby obrad, kierują się albo swym instynktem, lub, co częściej bywa, idą za głosem tego przysięgłego, który im imponuje pewnym zasobem wiedzy prawniczej. A wówczas werdykt nie jest wyrazem przekonania całej ławy przysięgłych, lecz pewnej jednostki, górującej wiedzą i doświadczeniem.

Przystępujemy wreszcie do odpowiedzi na pytanie, czy obrońcy przejęci są szczytnością tego zadania, jakie w usługach sprawiedliwości spełnić mają.

Śledząc pilnie wszelkie symptomatyczne objawy, można powiedzieć, że od pewnego czasu począł wiać prąd nieprzychylny obrońcom.

Pomijamy pozytywistów, a na ich czele Lombrosa, który utrzymuje, iż w zachodniej Europie panuje teraz adwokacka oligarchia, zupełnie nieprzychylna porządkowi publicznemu i sprawiedliwości, pomijamy i ten skryty antagonizm, jaki faktycznie wytworzył się między prokuratorami a obrońcami, mącający harmonijne współdziałanie tych czynników, pomijamy wreszcie i ową utajoną niechęć naszych sędziów, objawiającą się niekiedy i na zewnątrz, a zwracamy się do głośnego w swoim czasie memoriału prezydenta wiedeńskiego sądu karnego, w którym wypowiada wotum nieufności całemu stanowi adwokackiemu, a przedewszystkiem obrońcom.

Memoriał ten wywołał głos oburzenia i dał nawet powód wiedeńskiej izbie adwokatów do założenia formalnego protestu. W proteście tym zaznaczono, że słowa ujemnej krytyki, wyrzeczone w memoriale, są wyrazem owej nieżyczliwości i niechęci, panującej w sferach sędziów zawodowych, która utrudnia obrońcom spełnianie ich zadania. Stosunek, jaki się faktycznie między trybunałem a ławą obrońców wytworzył, nacechowany jest wzajemną nieufnością, pobudzającą niekiedy przewodniczących lub prokuratorów do enuncjacyj, podkopujących powagę obrońców. Skutkiem tego obrona stała się officium odiosum.

A jednak słowa te, oparte w pewnej części na słusznych spostrzeżeniach, znalazły oddźwięk i u nas.

Obronców, występujących na rozprawach, dzielimy na trzy kategorie:

Pierwsza, niestety nieliczna, zwolna znikająca, przejęta szczynnością swego powołania, nie goni za efektami, nie lubuje się w wywoływaniu scen dramatycznych i sztucznych, lecz ze spokojem a zarazem z godnością występuje w sali sądowej w obronie niewinności. Ci obrońcy nie mogą uskarżać się ani na stronnictwo, ani na nieprzychylność ze strony sądów.

Drugą kategorię stanowią ci obrońcy, którzy dla reklamy szukając spraw sensacyjnych, gonią za popularnością w szerszych warstwach, a dla zdobycia jej nie przebierają w środkach, nieodpowiadających ich wysokiemu stanowisku. Tacy obrońcy nie mają zbyt wielkiego powodzenia u sędziów, natomiast frazesami nietreściwymi lecz pociągającymi wywołują niekiedy na ławie przysięgłych pewien efekt. Ci obrońcy jednak znikają jak meteory, ustępują ze swych stanowisk i robią miejsca nowym gwiazdom.

Trzecia kategoria jest najsłabsza. Weterani w służbie sądowej, adwokaci bez klienteli, za nędznym wynagrodzeniem zastępują obrońców z urzędu ustanowionych. Jest to wprawdzie element spokojny, niezapalny, ale zarazem odgrywający rolę niepoczesną w sali sądowej. Przemówienia ich są zazwyczaj szablonowe, liche, nie budzące zainteresowania i przemijające bez wpływu na ławę przysięgłych.

Na tem kończymy nasze spostrzeżenia o sądach przysięgłych w Galicyi. Dotknęliśmy tylko rzeczy najważniejszych i powszechnie odczuwanych. Te ulotne jednak uwagi są aż nadto wystarczające, aby podzielić w tej kwestyi zapatrywanie tak ministerstwa sprawiedliwości, jak i komisji. »Das Geschwornengericht hat die Hoffnungen nicht erfüllt, die man bei seiner Einrichtung hegte. Selbst die unbedingten Anhänger der Einrichtung geben zu, dass der Taumel der Begeisterung, der die Einführung der Geschwornengerichte forderte, sehr schnell einer erheblichen Ernüchterung gewichen sei und dass das Geschwornengericht an schweren Mängeln leide« — czytamy w motywach komisyjnych i na te słowa piszemy się w zupełności.

IV.

I ministerstwo sprawiedliwości podnosi w swych wstępnych uwagach, że sąd przysięgłych nie odpowiadał oczekiwaniom. Przyczynę upadku tej instytucji upatruje nasza administracja sądowa w samej organizacyi tych sądów, w których funkcyje sędziowskie rozdzielone są między dwa odrębne ciała. W sądzie przysięgłych osobno radzą i orzekają najpierw laicy o winie, a następnie sędziowie zawodowi o pytaniu co do kary.

Rozdział tych funkcyj sędziowskich sprowadzić musiał w następstwie przeróżne ujemne skutki, które dadzą się streścić w następujących punktach:

a) przysięgli odpowiadają na zadane sobie pytania, sformułowane przez trybunał sądu przysięgłych. Jest to niewątpliwie najtrudniejsza kwestya w postępowaniu przed sądem przysięgłych, będąca źródłem licznych nieporozumień, i pociągająca donośne następstwa w postaci werdyktów, opartych na odpowiedziach błędnie pojętych. Odczuwano już oddawna tę najniejemniejszą stronę instytucji sądów przysięgłych, skoro w literaturze spotykamy się z nader licznymi wnioskami, żądającymi do reformy tego stadium postępowania (Wahlberg, Bar. Heinze, Götze, Herman). A dodajmy zaraz, że żaden z tych wniosków nie potrafi złemu zaradzić. Poruszono także myśl, ażeby przysięgłym dodać w sali narad sędziego, któryby kierował ich obradami, pouczał ich o prawie, zwrócił uwagę na to, ażeby nie wciągano do narad okoliczności obojętnych, czuwał nad sposobem głosowania i udzielał w tej mierze wskazówek. Nie ulega wątpliwości, że wniosek taki jest w wysokim stopniu niebezpieczny, a przysięgli łatwo mogliby ulec przemożnemu wpływowi tego sędziego, werdykt ich nie byłby wyrazem ich przekonania;

b) postępowanie sprostowawcze nie usuwa niejasności, niedokładności i sprzeczności werdyktów, lecz przeciwnie jest źródłem nowych nieporozumień;

c) zwolnienie przysięgłych od przedstawiania pobudek orzeczenia powoduje, że przysięgli nie zastanawiając się głębiej nad motywami, przyswoili sobie faktycznie prawo ułaskawiania.

Z tych powodów projekt komisyjny przemawia za wprowadzeniem jednolitej organizacyi w postaci sądu ławniczego, w którym owe dwa kolegia prawników i laików, radzące i orzekające w sądzie przysięgłych z osobna o różnych częściach wyroku, złą-

czone byłyby w jedno ciało. Tak zorganizowany sąd miałby wyższość nad sądem przysięgłych, byłoby to bowiem jedno kolegium, w którym sędziowie zawodowi i sędziowie wyszli z ludu, wspólnie i równocześnie orzekaliby i o winie i o karze oskarżonego i wydawali jednolity, niepodzielony na pytania i odpowiedzi wyrok.

Organizacya sądów orzekających w pierwszej instancji według art. VI VIII ustawy wprowadzanej w nowej stylizacji i § 484 ust. o post. karn. oparta jest na następujących podstawach:

a) do kompetencji sądów przysięgłych należą zbrodnie i występki polityczne, tudzież zbrodnie zagrożone karą śmierci, karą dożywotniego więzienia i karą ścieśnienia wolności wyżej lat dziesięciu;

b) wszystkie inne przestępstwa, dotychczas należące do orzecznictwa sądów przysięgłych, a mianowicie przestępstwa popełnione osnową pisma drukowego i przestępstwa zagrożone karą na wolności wyżej lat pięciu, należą przed trybunały pierwszej instancji jako wielkie sądy ławnicze;

c) wszystkie inne przestępstwa, należące dotychczas do orzecznictwa trybunałów pierwszej instancji jako sądów wyrokujących, przekazane są trybunałom pierwszej instancji jako małym sądom ławniczym;

d) do sądów powiatowych należy orzekanie o wszystkich przekroczeniach, przekazanych im do osądzenia ustawą karną.

Według § 13 ust. o post. karn. w nowej stylizacji wielki sąd ławniczy składa się z sześciu sędziów, trzech sędziów zawodowych i trzech ławników, przewodnictwo należy do sędziego zawodowego; mały sąd ławniczy składa się z dwóch sędziów i dwóch ławników.

Sędziowie i ławnicy tworzą jednolite ciało i w wspólnej naradzie i wspólnem głosowaniu orzekają o winie, karze i wszelkich innych pytaniach procesowych, tudzież o prywatno-prawnych roszczeniach poszkodowanego i o zastosowaniu środków zabezpieczających.

Z tych postanowień wynika, że projekt nie zrywa zupełnie z sądem przysięgłych, lecz przeciwnie zatrzymuje go w przestępstwach politycznych i zbrodniach najcięższych.

Motywa, przyznając bezwzględnie wyższość sądowi ławniczemu i upatrując w nim najdoskonalszą formę sądu obywatelskiego, usprawiedliwiają to połowiczne stanowisko, jakie w tej kwestyi projekt zajmuje.

Motywa liczą się z tem głęboko zakorzenionem przekonaniem, że sędzia zawodowy w sądzie ławniczym zawsze zajmować będzie

stanowisko przodownicze i górujące nad ławnikiem, który czując wyższość sędziego, łatwo ulegnie jego wpływowi. Projekt czyni więc koncesyę, zatrzymując sąd przysięgłych w przestępstwach politycznych, przy których, jak to zresztą z ich natury wynika, łatwo sędzia zawodowy mógłby z ujmą interesów oskarżonego wyzyskać swoje stanowisko. Ażeby jednakże wobec tak ograniczonego zakresu kompetencyjnego sąd przysięgłych nie stał się sądem wyjątkowym, przekazuje projekt orzecznictwu tegoż sądu także i zbrodnie, zagrożone karą więzienia wyżej lat dziesięciu.

Projekt tym sposobem stwarza niejednolitą organizację sądownictwa karnego, poruczając sprawy najcięższe przysięgłym, średnie sądom ławniczym, a najlżejsze sędziom samoistnym. Taka dualistyczna organizacja w przestępstwach wyższej kategorii, osnuta na wręcz odmiennych zasadach, jest niewątpliwie nieracjonalną, a projekt w tej mierze jest niekonsekwentny. Z myślą podobnej organizacji spotkaliśmy się w literaturze procesowej; Binder, Stenglein i większość praktyków niemieckich uchwalili na IX i X zjeździe prawników zasadę, że instytucja sądów ławniczych ma być wprowadzoną jedynie dla spraw, nieprzekazanych sądom przysięgłych.

Najwyższa administracja sądowa zawahała się i stanęła znowu na drodze połowicznej. Zatrzymuje sąd przysięgłych, lubo w szerszym zakresie, a na swoje usprawiedliwienie przytacza: »das Geschworenengericht gilt in der Bevölkerung vielfach noch als Palladium der bürgerlichen Freiheit. Seine Abschaffung, bevor noch das Schöffenengericht gezeigt, dass auch bei ihm die Freiheit des Bürgers gesichert sei, würde vielleicht das Vertrauen in der Rechtspflege erschüttern«. Słowa te wskazywałyby, że ministerstwo w tej sprawie zajmuje stanowisko wyczekujące, a dopiero w czasie późniejszym, oparłszy się na wynikach działalności sądu ławniczego, przystąpi do zniesienia sądu przysięgłych.

Jak wiadomo, przeciwnicy sądu ławników podnoszą cały szereg poważnych zarzutów, które dadzą się streścić w punktach następujących:

a) sąd ławniczy ma tworzyć jednolite ciało sędziowskie, powołane do rozstrzygnięcia pytania co do winy i co do kary. Ciało więc, składające się z dwóch tak różnorodnych pierwiastków, o odmiennych poglądach i o różnym sposobie myślenia, nie jest zdolne do harmonijnego współdziałania, przeciwnie wspólne działanie i spólna narada stają się tu niemal niemożliwe;

b) wyższość sędziów zawodowych nad laikami sprowadzić musi majoryzowanie tych ostatnich z ujmą owej samodzielności wyroku, która cechuje orzeczenia przysięgłych. Stosunek podporządkowania i zależności ławników od sędziów urzędowych stanie się przyczyną, że ich udział nie będzie ową rękojmią sprawiedliwego wyroku, jakiej po nich się spodziewamy;

c) zarzucają sądowi ławników, że wskutek zaprowadzenia tej instytucji orzecznictwo w sprawach karnych stracić musi cechę popularności, poczucie prawne ogółu nie będzie objawiać się już samoistnie, i nie znajdzie tak jasnego wyrazu, jak w orzeczeniu przysięgłych;

d) wobec współdziału sędziów zawodowych odpowiedzialność ławników za orzeczenia przez nich wydawane zmniejszy się, skutkiem czego ta uszczuplona odpowiedzialność odbije się niekorzystnie na osądzeniu sprawy im przekazanej;

e) w sądzie ławników odpada publiczne zadawanie pytań i publiczne pouczenie co do prawa, pouczenie to odbywać się będzie bez kontroli stron, a więc nie będzie mogło być zaczepione przez strony.

Takie byłyby w ulotnem streszczeniu najgłówniejsze zarzuty przeciw sądowi ławniczemu. Nie ze wszystkimi, tylko z dwoma rozprawiają się motywa projektu, a mianowicie z zarzutem, że ławnicy nie zdołają sprostać zadaniu im przekazanemu, tudzież że stosunek podporządkowania i zależności, w jaki popadną wobec sędziów zawodowych, oddziaływać musi niekorzystnie na ich orzecznictwo.

Zarzut pierwszy odpierają motywa bardzo trafnie, upatrując w współdziałaniu ławników gwarancję sprawiedliwego wymiaru sprawiedliwości. Sędzia urzędowy, zastanawiając się nad sprawą, zwykł generalizować, stosować się do przyjętych tradycyj i ustalonej praktyki, laik przeciwnie uwzględnia tylko przypadek indywidualny, sądzi według osobistości oskarżonego i właściwości sprawy, a znajomość życia codziennego, ludzi i pewien zasób doświadczenia wskaże mu w każdym poszczególnym wypadku właściwą drogę. Połączenie dwóch tych żywiołów, stojących przeważnie na krańcowych stanowiskach, w jedno kolegium, przyczynić się tylko może do wyrównania zdań i poglądów, i może tylko zapobiec, aby wyrok nie grzeszył jednostronnością.

Zarzut drugi jest nietrafny. Przeciwnicy sądu ławniczego zapominają, że dziś szerokie warstwy ludności stały się już dojrz-

łemi. Powołanie ich do współdziałania w życiu publicznem, uczestniczenie w przeróżnych organizacjach ekonomicznych i społecznych, wyrobić musiało pewną dojrzałość i przyczyniło się do rozszerzenia widnokładu. Płonną więc jest obawa, aby laik uświadomiony ukorzył się przed powagą sędziego zawodowego, raczej przejęty uczuciem odpowiedzialności. starać się będzie zawarować na każdym kroku swoją samodzielność.

Zresztą i stanowisko sędziego urzędowego dziś uległo radykalnej zmianie. Proces inkwizycyjny ze swoją organizacją i stosunek zupełnej zależności sędziego zawodowego wobec władzy państwowej, stworzyć musiały pewną nieufność do sędziego, mianowanego przez nieodpowiedzialny rząd. Przywilej nieusuwalności i niezależności, zapewnionej ustawami zasadniczymi, nadał mu inne stanowisko. Sędzia dzisiejszy nie może odgraniczyć się od ludności, wśród której urzęduje, a zadanie jego jest przede wszystkim społeczne.

W kwestyi organizacyi sądu ławników projekt poszedł odmienną drogą, niż to czyniły dotychczasowe ustawodawstwa, które w Niemczech przyjęły sąd ławników. Najzarliwszy propagator, rzec można twórca tej instytucyi, Schwarze (*Das deutsche Schwurgericht und dessen Reform, das Schöffengericht*) przemawiał za tem, ażeby w kolegium sędziowskiem ławnicy tworzyli większość, mianowicie w sprawach, przekazanych sądom przysięgłym i sądom kolegialnym, sąd ławniczy miał składać się z sześciu ławników i z trzech sędziów urzędowych, w przekroczeniach zaś, przekazanych sądom jednoosobowym, sąd ławniczy złożony być miał z dwóch ławników i z jednego sędziego zawodowego. Do uznania winy oskarżonego i do każdej uchwały dla niego niekorzystnej, wymagana jest większość dwóch trzecich głosów.

Wnioski organizacyjne Schwarzego nie zostały przyjęte przez Zachariae'go (*Das moderne Schöffengericht*), który projektował odmienny skład sądu ławniczego. W sprawach, przekazanych dziś sądom przysięgłych, wyrokować ma pięciu sędziów urzędowych i siedmiu ławników, a do wyroku skazującego wymaga się co najmniej głosów ośmiu. W sprawach, przekazanych sądom kolegialnym bez udziału przysięgłych, sąd ławniczy składa się z trzech sędziów i z pięciu ławników, do wyroku zaś skazującego wymaga się głosów sześciu.

Projekt staje na stanowisku równorzędności obu tych czynników. Zasada ta musi się domagać, aby oba te czynniki równorzędnie w kolegium sędziowskiem były zastąpione, inaczej utworzyłby się

musiał pewien antagonizm. Przewaga ławników wskazywałaby, że ustawodawca uważa czynnik ten za nierównorzędny. Obawa majoryzowania przez takie ukształtowanie sądu ławniczego jest wykluczona; większość i mniejszość składać się zawsze musi z przedstawicieli obu tych czynników.

Projekt porucza ławnikom władzę w całym jej zakresie, i w tej mierze nie przyjmuje żadnych ograniczeń, jak tego domagają się przeróżni organizatorowie sądu ławniczego. Becker przemawiał za poruczeniem ławnikom orzekania o kwestyi winy i o karze, z wyłączeniem jednak kwestyi procesualnych, jako wymagających już pewnego wyższego zasobu wiedzy prawniczej, Schwarze dopuszczał ławników do orzekania o winie, wyłączył ich jednak od udziału w uchwałach procesualnych i w wymierzaniu kary, wychodząc z tego założenia, że ławnicy, nie posiadając potrzebnej rutyny w należyтым wymiarze kary, popadną albo w nadmierną surowość, albo kierując się zbytnim sentymentalizmem, będą skłonni do nadzwyczajnej łagodności.

Stanowisko to jest jednostronne, i raczej przemawialibyśmy za przyznaniem ławnikom pełni władzy sędziowskiej bez jakiegokolwiek ograniczania. Jeżeli bowiem mają być ławnicy owym czynnikiem ożywczym, zrywającym z szablonem i rutyną, jeżeli przeciw sędziom zawodowym podnosi się całkiem uzasadniony zarzut, że przy wymiarze kary zwykli trzymać się pewnej stałej, utartej miary, a ławnicy powołani są właśnie do stworzenia tu pewnej równowagi, odbiegającej od utartej praktyki a indywidualizującej winę oskarżonego, dla czegoż uszczuplać ich zakres działania i ściągać ich na stanowisko sędziów drugiej klasy?

Kwestye procesualne, wyłaniające się w toku rozprawy głównej, nie są znowu tak doniosłego znaczenia. Brak pewnych szczegółowych wiadomości technicznych nie wpłynie tak ujemnie na samo zawyrokowanie, a każdy laik, śledząc pilnie wyniki rozprawy, sam bez wszelkiej pomocy rozstrzygnie pytanie, czy zachodzi potrzeba zawezwania nowych świadków, znawców, przedsiębrania oględzin.

Z tych powodów oświadczamy się za projektem, który przyjmując zasadę równorzędności, wyposaża ławników w pełnię władzy sędziowskiej (Vollrichter).

Na tem kończymy nasze uwagi. Dotknęliśmy tylko najważniejszych wyłaniających się tu kwestyj. A jeżeli pewne symptomatyczne objawy nie okażą się zwodniczymi, może w niedalekiej przyszłości

powitamy sąd ławniczy jako wyraz demokratyzacyi społeczeństwa. Wszak szerokie warstwy, po długotrwałym letargu, przychodzą do uświadomienia i żądają współudziału w rozwiązywaniu wielkich zagadnień życia publicznego. A kto wie, czy po latach doświadczenia idea reprezentacyjna pierwiastka ludowego nie zwycięży zupełnie; wówczas sąd przysięgłych należeć już będzie do historyi.

SZKIC MOICH BADAŃ W KARPATACH O ILE ONE DOTYCZĄ PŁASZCZOWIN FLISZU

napisał

WAWRZYNIEC TEISSEYRE.

Pod nazwą płaszczowiny Zamury (Vf. Zamura-Leordanu nad Teleaženem na wschód od Słaniku) wyłączyłem w roku 1908 pewien pas fliszu, na kilka mil szeroki, który we wschodniej Muntenii przdziela znaną pośrodkową strefę piaskowca Uzu względem skrajnie zewnętrznej strefy fliszowej piaskowca kliwskiego (Valeni de Munte).

Jakkolwiek szczegół ten, zaczerpnięty w połaci Karpat południowych pomiędzy rzekami Dymbovicą a Buzeu, jest na pozór drobny, mimo to w rzeczywistości, jak się okaże poniżej, ma on ważne zastosowanie w rekonstrukcji ustroju tektonicznego pasma Karpat.

Badania moje, w tej okolicy rozpoczęte w czasie, kiedy płaszczowin nie znano, przedstawiały szereg corocznych próbnych zdjęć geologicznych, wszakże miejscami nawet szczegółowych, o ile że dostosowanych do chwilowych potrzeb górnictwa naftowego. Sporządzone przezemnie mapy geologiczne (1:50000), zalegające swego czasu w manuskryptach zrazu w Ministerstwie Domen, obecnie zaś w Instytucie geologicznym w Bukareszcie, spożytkowane są w dotychczasowej literaturze miejscowej¹ o tyle, o ile przedstawiony na tych, dotąd (1910) jedynych mapach tej okolicy obraz geologii miejscowej z natury rzeczy musiał być punktem wyjścia rozpatrywań tektonicznych. Mapy te tworzą podstawę dla zdjęć szczegółowszych, które Instytut geologiczny rozpoczyna już w roku bieżącym, obejmują zaś one część wschodniej Muntenii, która przypada na strefę Karpat miopliocenówką, oraz na skrajną połącz strefy fliszu pomiędzy linią poprzeczną Dymbovicy a rzekami Buzeu i Słanikiem (okręgi Dymbovica, Prahova i Buzeu).

Do systematycznego spożytkowania zdjęć tych przystąpiłem niedawno w pracy pod tytułem: »Über die zonare und transversale

¹ Mrazec, Popescu-Voitesti, Teisseyre.

Gliederung der Flysch- und Neogenkarpaten in Ostmuntenia*, którą przedłożyłem Instytutowi geologicznemu w Bukareszcie na wiosnę w r. 1909. Obecnie jest na ukończeniu druk szczegółowej mapy geologicznej (Valeni de Munte 1:50000), która do tej pracy jest dołączona.

Oprócz tego potrąciłem o niektóre w tej okolicy poczynione spostrzeżenia tektoniczne w pracy stratygraficznej pod tytułem: »Über die maeotische, pontische und dacische Stufe in den Südkarpaten der östlichen Muntenia« (odbitka z Anuarul Institutului geologic al României, II tom, 1908, zeszyt 3, Bukareszt 1909).

Mapka naszkicowana w rozmiarze 1:500000, dołączona do przytoczonej pracy stratygraficznej, przedstawia wierną kopię przeważnej części zaznaczeń moich w rozmiarze 1:50000, obejmujących obszar Karpat wschodniej Muntenii, jednakowoż z pominięciem pewnej części zbadanego flyszu, i z pominięciem szczegółów tektonicznych.

Miejsceowe stosunki tektoniczne »Karpat plioceńskich wschodniej Muntenii«, mimo to na podstawie tej mapki krótko są objaśniane w tekście (str. 319). Nawiązując do tych uwag, a przede wszystkim do moich map, do zaznaczeń granic fliszu na przytoczonej mapce i do profilów w zapowiedzianej pracy tektonicznej, spróbuję poniżej określić sumarycznie stosunek, w jakim zdjęcia moje pozostają do problemu płaszczowin w tej części Karpat.

Płaszczowina Zamura.

Do szczegółów tektonicznych, których opis w nadmienionej pracy stratygraficznej zapowiedziałem, należy właśnie płaszczowina Zamury.

Główny pas fliszu wschodniej Muntenii, oznaczony w pracach Mrazka, Athanasiu i moich nazwą płaszczowiny Uzu (Herbich)¹, niewątpliwie łączy się w jedną całość z płaszczowiną magórką Karpat północnych.

Z badań moich wynika, że pas Uzu nie graniczy na zewnątrz w Muntenii wschodniej bezpośrednio z opisaną poniżej płaszczowiną

¹ Przechrzczono ją niedawno na płaszczowinę piaskowca Siriu (zamiast Uzu), sądzę jednak, że nazwa ta wzbogaci niepotrzebnie synonimikę stratygraficzną.

kliwską z Valeni de Munte, jak się to dotąd wydawało. Z jednej strony rozgraniczają się obszary piaskowca Uzu i piaskowca kliwskiego, jak już wiadomo, szerokim na kilkanaście do kilkudziesięciu km. obszarem, na który przypada znana zatoka formacji solonośnej, oznaczona nazwą miejscowości Slanik (Prahova).

Stosunek tego obszaru tej formacji do płaszczowin fliszu, dotychczas, jak sądzę, nie jest udowodniony¹. Mimo to nie może to być, jak się okaże poniżej, część składowa płaszczowiny Uzu, ani też kliwskiej. Z poszukiwań moich (zdjęcia w obrębie obszaru arkusza Valeni de Munte 1:50000) wynika, że płaszczowina kliwska ma swoistą formację solonośną o odrębnej facji.

Z drugiej strony także w okolicy pomiędzy rzekami Teleaženem a Buzeu, gdzie zatoka Slaniku w kierunku warstw na północno-wschodni wschód zwęża i nareszcie klinem się gubi, płaszczowina z Valeni de Munte bynajmniej nie graniczy bezpośrednio z płaszczowiną Uzu. Właśnie tutaj udało mi się w roku 1906 rozpoznać istnienie odrębnej trzeciej płaszczowiny. Występuje ona nad Teleaženem w postaci szerokiego siodła, ku południowo-zachodniemu zachodowi nurzającego się pod neogen zatoki Slaniku. Siodło to tworzy półwysep fliszowy gór Zamura-Leordanu, który wkracza nad Teleaženem na południowo-południowy zachód na kilkadziesiąt km. szerokim klinem w głąb zatoki Slaniku. i sprawia, że zatoka ta rozwidla się na dwie pomniejsze zatoki².

Szereg warstw płaszczowiny Zamura przypomina bardzo okolicę Żabiego rozwojem facji, przedewszystkiem oligoceńskich. Możliwa jest, że mamy tu do czynienia z jedną wielką płaszczowiną Zamury-Mikuliczyna, której wszakże niepodobna oznaczać nazwą podbeskidowej, bo jest to niewątpliwie tylko jedna z płaszczowin obszaru podbeskidowego. Niedawno, zwiedzając okolice Żabiego, byłem zdziwiony tożsamością warstw tamtejszych z warstwami płaszczowiny Zamury.

Poza zewnętrznym brzegiem płaszczowiny magórskiej, który tutaj ostro orograficznie zaznacza się, całkiem jak brzeg zewnętrzny płaszczowiny Uzu w Muntenii wschodniej, wkraczamy w obszar

¹ Zatoka Slaniku przedstawia podług interpretacji Mrazka okno, którem formacja solna wyziera z pod fliszu. Mrazec, Industrie du pétrole en Roumanie, Bucarest 1910.

² Por. mapkę w przytoczonej mojej pracy stratygraficznej.

warstw ze Żabięgo. Jest to osobliwsza, znana poniekąd z prac Zuberera i innych facies piętra menilitowego, przeważnie petrograficznie zbliżona do formacji solonośnej, ale bez gipsu i bez typowych piaskowców kliwskich. Łupki margliste ze Żabięgo są zupełnie podobne do moich warstw z Cernesti i Homoricu nad Doftaną, t. j. do składników płaszczowiny Zamury.

Piaskowce, wśród tych łupków marglistych wtrącone, po części zbliżają się bardzo do kliwskich, po części zaś są najwidoczniej tożsame z piaskowcem Zamury nad Doftaną i Teleaženem (Fusaru-Sandstein Mrazka).

Jeżeli istotnie płaszczowina Zamura ciągnie się na Żabię i Mikuliczyn, to nad Czeremoszem i Rybnicą należy do niej flisz obwodowy, poza płaszczowiną magórką położony, łącznie z warstwami dobrotowskimi, które, jak wynika z różnych tamtejszych spostrzeżeń, należą jeszcze do szeregu wierzchnich warstw tej płaszczowiny.

W Kosowie odniosłem wrażenie, że tylko warstwy dobrotowskie, odcinające się nasunięciami od młodszej formacji solonośnej brzegu karpackiego, mogły być prześladowane. Istotnie też warstwy dobrotowskie powtarzają się wtrąceniami jeszcze daleko na wewnątrz od brzegu gór wśród piętra menilitowego (Horod-Babin).

Pod płaszczowiną Zamury Mikuliczyna, jak nad Teleaženem, tak i tutaj spodziewać się należy płaszczowiny kliwskiej. Nie widać jej jednak na dniu nad Czeremoszem i Rybnicą. Świadczyć to może o tem, że w tej stronie Karpat, ta samoistna, najniższa płaszczowina, kliwska, wynurza się tylko sporadycznie (Delatyn)?

Kwestya co do prześladowanego albo też tubylczego charakteru fliszu Zamury (Mikuliczyna) łączy się ściśle z rozpoznaniem prześladowania strefy kliwskiej (Valeni de Munte). Według tego bowiem flisz Zamury ciągnie się szeroką smugą pomiędzy dwiema niewątpliwymi płaszczowinami (I Uzu i II kliwską), i nie może być tubylczym, jeżeli płaszczowina Valeni de Munte zapada pod flisz Zamury, a nie leży na nim. Nad rzeką Buzeu, gdzie flisz Zamury bezpośrednio dotyka fliszu Valeni, o ile że tutaj wyklinia się zatoka solonośna Slaniku, która obie te strefy przegradza (Ogreținu-Chiojdu), flisz Zamury może być powierzchownie przewalony na flisz Valeni, a niekoniecznie musi na nim pływać. Ale tak sądzić można jedynie z pozorów miejscowych. Podobnie także i fakt, że płaszczowina Zamury wynurza się w postaci siodła z pod neogenu zatoki Slaniku, sam przez się jeszcze nie rozstrzyga, czy

leży ona pod płaszczowiną kliwską, czy też na niej z jednej strony, oraz czy zapada ona pod płaszczowinę Uzu i opisaną poniżej płaszczowinę Jałomiczy z drugiej strony. Oprócz tego jest jeszcze wątpliwem, czy płaszczowina Zamura obejmuje wśród swych wierzchnich składników stratygraficznych także formację solonośną »zatoki Slaniku«, albo czy formacja ta należy nie do tej, ale do innej płaszczowiny (Jałomiczy), albo na koniec czy »zatoka Slaniku« bierze istotnie udział w przeładowaniu płaszczowin flyszu.

Jak wszędzie, tak i tutaj, kwestye tego rodzaju tylko po części można objaśnić stosunkami miejscowymi. Zagadki takie od czasu do czasu rozwiązują się same przez się, w chwili gdy porównujemy szereg dosyć dokładnych arkuszy map geologicznych.

Do fliszu Zamury należą wyłączone przezemnie na mapach (1:50000) »obszary warstw wątpliwych« (1906), które tworzą kilka wielkich wysp wśród formacji solonośnej t. zw. zatoki Slaniku¹.

Sposób, w jaki na mojej mapce Valeni de Munte 1:50000 rozgranicza się obszar warstw wątpliwych Cosmina de sus Livadea² względem formacji solonośnej³, świadczy sam przez się o tem, że wchodzi tu w grę ważny moment tektoniczny.

Właśnie do tego rodzaju spostrzeżeń, od szeregu lat drogą kartograficzną nagromadzonych, nawiązuje moja dotąd nieogłoszona praca pod tytułem: »Über die zonare und transversale Gliederung der Flysch- und Neogenkarpaten von Ostmuntenia«. Zdjęcia te moje geologiczne poruszają się w okolicach stosunkowo najbogatszych w naftę; trudny do ogłoszenia w danych warunkach manuskrypt mój spoczywa pod korcem aż do pojawienia się należących do niego map, ale do spożytkowania ich pospieszają już obecnie różne nowe siły.

W przytoczonej stratygraficznej mojej publikacji (l. c. 1908 str. 319, wiersz 6 od dołu) zaledwie kilku słowy zdołałem zapowiedzieć rozpoznanie płaszczowiny Zamury. Opis tej samej płaszczowiny podaje nieco później p. Popescu-Voitesti, niezależnie może od mojej tymczasowej o niej wzmiance⁴, ale spożytkowując w ten

¹ Por. mapkę geologiczną w przytoczonej mojej publikacji stratygraficznej.

² Na północ od Busztenar położony.

³ To jest względem t. zw. »okna« Ogretinu-Chiojdu. Jest to odgałęzienie t. zw. zatoki Slaniku, położone pomiędzy fliszem Zamury a fliszem Valeni.

⁴ W przytoczonej mojej pracy stratygraficznej l. c. Anuarul II, 1908, str. 319 wiersz 6 od dołu (»Flyschdeckenzone«).

sposób moje mapy. Autor nazywa ją płaszczowiną Fussaru¹, zaś miejscowe nazwy warstw (n. p. piaskowiec Fussaru) zapożycza z nieogłoszonych i mniejsza o to, że nieprzytoczonych, zdjęć moich.

Owóż co do wieku geologicznego piaskowca Fussaru, to znalezione swego czasu przezemnie, a później przez p. Popescu-Voitesti systematycznie zbierane i oznaczone nummulty świadczą o tem, że należy on do eocenu średniego i górnego². Muszę jednak zauważyć, że piaskowiec ten bardzo trudno petrograficznie odróżnić od młodszych na nim leżących pokładów (piaskowiec z Cornu, piaskowiec z Vf. Rotundu w Doftanie i t. d.), które obejmują o wiele większy okres czasu. aniżeli to sobie p. Popescu-Voitesti wyobraża. Ku górze z małymi zmianami sięga ten szereg warstw nie tylko w górny eocen, ale aż w sarmat, i to prawdopodobnie nie tylko nad Doftaną, ale także nad Jałomicą. Jakkolwiek typ sarmacki znalezionych przezemnie we Visinesti (w pobliżu Jałomicy) szczątków skamieniałości, nie da się zaprzeczyć, mimo to są to nieoznaczalne na razie ślady, znalezione na odłamach piaskowca, do celów technicznych zwiezionych w owym czasie we Visinesti, gdzieś z otoczenia Maluri.

W ogóle trzeba się liczyć poważnie z koniecznością określenia stosunku, w jakim sarmat pozostaje do tej płaszczowiny, zwłaszcza, że w północnem otoczeniu Busztenar sarmat zaściela ją wielkim płatem synklinalnym (Melicesti).

Płaszczowina Uzu czyli magórska.

Płaszczowina ta jest, jak sędzę, naturalną jednostką tektoniczną, ale dopiero po wyłączeniu płaszczowiny Zamury.

¹ Nummulites (Gümbelia) lenticularis Ficht, u. Molt. var. granulata de la Harpe (det. Zuber).

² Popescu-Voitesti, Contributiuni la studiul geol. si paleont. al regiunii Muscelebor, Anuarul Instit. geol. II. zeszyt 3. i tegoż autora: Contributions à l'étude stratigraphique du Nummulitique etc. Annarul etc. tom III, zeszyt 2.

W pracy p. Popescu-Voitesti rozchodzi się o cenne poszukiwania faniczne i stratygraficzne, ale autor łączy je w sztuczną całość ze spekulacjami tektonicznymi, które zapełniają przeważną część jego wywodów. Są to wywody, niemające związku z własnymi badaniami autora. Są to raczej kompilacje z literatury tektonicznej (Murgoci) i z poufnie sobie jako materiału dydaktycznego udzielonych spostrzeżeń i zdjęć pp. Athanasiu i Mrazka oraz moich.

Jestto poprostu polowanie na pierwszeństwo naukowe co do spostrzeżeń, o których się poufnie wie, że mają być niebawem ogłoszone, bo wyrażone są już na mapach, które zalegają w manuskryptach. Cała ta kompilacja jest niezrozumiała dla niewtajemniczonych i zmusza tylko do wyjaśnień.

Teoretycznie pod tym względem zgadzają się z mojami znaczeniami późniejsze sposoby pojmowania płaszczowiny Zamury (= Fussaru) Mrazka (w przytoczonej pracy p. Popescu-Voitești). Mimo to jednak nie mogę uznać za trafny podanego tutaj sposobu rozgraniczania płaszczowiny Zamury i Uzu (p. mapkę w pracy p. Popescu-Voitești l. c.).

Tak co do tej, jak i co do innych płaszczowin, na razie kłaść musimy nacisk na stosunki miejscowe, a z czasem trudność porównania odległych połaci Karpat północnych sama przez się zniknie.

Bardzo pouczająca jest okolica nad rzekami Doftaną i Prahową. Tutaj płaszczowina Uzu wyklinia się w kierunku biegu warstw na południowy wschód. Przekrój tego klinu płaszczowiny Uzu przed Doftaną przedstawiać się zdaje szeroki łęg, ale rozszczepiony na fałdy pomniejsze czyli drugorzędne. Fałdy te przechodzą w znamiennej strukturę łuskową w obrębie zewnętrznego, t. j. południowo-wschodniego skrzydła synkliny pierwszorzędnej.

Są to owe łuski, przypadające na brzeg zewnętrzny strefy Uzu, opisane dawniej jako linia nasunięć »wzdłuż krawędzi fliszu«¹.

Jeszcze nad Doftaną smuga płaszczowiny Uzu jest szeroka na kilkanaście do kilkudziesięciu km. Odtąd ku południowemu zachodowi zwęża się cała wstęga płaszczowiny Uzu tak szybko, że przedstawia ona na mapie tej okolicy szeroki trójkątny klin, który prawie że nie dosięga pobliskiej rzeki Prahowy (arkusze Comarnic i Cămpina-Bustenari 1 : 50000).

W przeciwnym kierunku, t. j. w stronę linii poprzecznej Pen-teleu-Rimnic-Sarat², strefa Uzu znacznie zyskuje na szerokości.

Klinu, którym płaszczowina Uzu dotyka od wschodu rzeki Prahowy, w mapce dołączonej do przytoczonej pracy stratygraficznej nie uwzględniłem.

Klin ten jest zaznaczony natomiast na sporządzonym przeze mnie arkuszu mapy Cămpina Bustenari 1:50000, którego południową

¹ Linia Besdeadu — Słonu w pracach Mrazka i moich, między innymi przedewszystkiem w pracy: Allgemeine geologische und tektonische Betrachtungen über die Petroleumlagerstätten in Rumänien, zredagowanej przez Athanasiu, Mrazka i przeze mnie (Arbeiten der mit dem Studium der Petroleum-Regionen betrauten Kommission, Bukareszt 1904).

² Por. artykuł: O związku w budowie tektonicznej Karpat i ich przedmurza — Kosmos XXXII, Lwów 1907, str. 399 (>dyslokacja północnego boku horstu Dobrodźy«).

część objaśnia publikacya Mrazka i moja o okolicy Câmpina-Bu-stenari.

W jądrach sioł łuiskowych, na które rozczłania się południowy brzeg płaszczowiny Uzu, występuje wszędzie nad Doftaną i Slanikiem senon. Jestto zawsze owa charakterystyczna facies z Breza, która przypomina od razu margle z Puchowa w Karpatach zachodnich.

Na podstawie dotychczasowych swoich poszukiwań nie mógłbym obecnie inaczej orzec, jak tylko, że senon ten spoczywa pod płaszczowiną Uzu, a nie na niej (Popescu-Voitesti), i że należy on do odrębnej pod nią leżącej płaszczowiny, a mianowicie do opisanej poniżej płaszczowiny Jałomicy (nie do płaszczowiny Uzu, jak przypuszcza Mrazec). Podług moich zapisków miejscowych senon ten jawi się na obszarze płaszczowiny Uzu w jądrach sioł zawsze w towarzystwie składników stratygraficznych płaszczowiny Jałomicy. Tak przynajmniej ma się rzecz tam, gdzie, jak przynaję, szczupły zresztą skrawek płaszczowiny Uzu wkracza w okolice przeziennie zbadaną.

W przeciwieństwie do tego senonu kreda płaszczowiny Uzu zdaje się zdradzać całkiem inny typ. Tu panuje ów znany z literatury piaskowiec z Vf. Tirifoi, w którym przed laty Mrazec znalazł szczątek ammonita¹, i który może sięga daleko wstecz w okres kredowy.

Synklinalna prawdopodobna budowa klinu płaszczowiny Uzu, jak i cały nadmieniony profil nad Doftaną, zasługują na uwagę, gdy chodzi o stosunek co do wzajemnego po sobie następstwa płaszczowin fliszu w Karpatach w ogóle.

Z niektórych tymczasowych przekrojów płaszczowin fliszu, które podaje Mrazec (l. c. Industrie de pétrole 1910), zdaje się wynikać, że płaszczowina Uzu, jako najwyższa, na znacznych obszarach, zastania lub nawet wytlacza płaszczowiny niższe. Wogóle będzie trudno pogodzić ze sobą profile okolic odległych, nie licząc się należycie z tem, jaką rolę w Karpatach odgrywa flisz Uzu i magórski.

Z przełotnej podróży w poprzek płaszczowiny magórskiej nad Prutem, kędy dawniej sięgały badania Paula, Tietzego, Zuber, Zapałowicza i innych, odniosłem wrażenie, że najzupełniej zgadza się

¹ Das Salzvorkommen in Rumänien. W. Teisseyre und L. Mrazec. Öster. Zeitschr. f. Berg- und Hüttenw. Wien LI. 1903.

ona z przekrojem płaszczowiny Uzu wzdłuż Doftany. Prawdopodobnie w obu razach mamy do czynienia z olbrzymią synkliną, której skrzydła rozczłaniają się dzisiaj prawie nie do poznania na szereg drugorzędnych, ku zewnętrznej stronie pasma karpackiego przechylonych, lub też ku tej stronie nasuniętych na siebie siodła i łęgów.

Pasma Czarnej Hory przedstawia skrzydło południowo-zachodnie, Kostrzyca zaś północno-wschodnie skrzydło wielkiej synkliny. Na północno-wschodnim skrzydle synkliny, t. j. na przestrzeni Bystrec-Kostrzyca, fałdy drugorzędne przechodzą przeważnie w strukturę łuskową.

W literaturze znane są dotąd tylko te drugorzędne siodła i łęgi, nie zauważono natomiast wcale pierwszorzędnej synkliny, z której one powstały, a która obejmuje całą niemal szerokość pasu danej płaszczowiny (Burkut Żabie).

Płaszczowina Valeni de Munte czyli płaszczowina kliwska Karpat południowych.

Od zewnętrznego brzegu pasu fliszowego Karpat odgałęziają się charakterystyczne pomniejsze pasma fliszowe, opisane przez różnych autorów.

W Mołdawii i na Wołoszczyźnie półwyspy te fliszowe, wkraczające nieco skośnie w głąb gór podkarpackich, oraz analogiczne wyspy fliszu, odcięte zupełnie od głównego pasu fliszowego (n. p. w okolicy Bakowa), zdradzają rozwój stosunkowo potężny.

Kwestya co do powstania tych półwyspów fliszu łączy się ściśle z najzawilszemi zagadnieniami tektoniki Karpat. Prawdopodobnie półwyspy zawdzięczają powstanie swe drobnym na pozór różnicom co do kierunku drugorzędnego fałdowania dwóch na sobie leżących płaszczowin, albo też różnicom co do fałdów tubylczego podłoża fliszu względem neogenu. Dokładniejszego zbadania tych półwyspów spodziewać się należy w niedalekiej przyszłości.

Opisany przeze mnie w r. 1900¹ półwysp Valeni de Munte był później za kilkoma nawrotami przedmiotem studyów Mrazka i moich; poniżej spróbuję zaledwie wskazać, jak wiele on jeszcze

¹ W zredagowanej przeze mnie notatce o stratygrafii i tektonice terenów naftowych w Rumunii, dołączonej do publikacji: Contributions à l'étude des pétroles roumains par Bourqui, Bukareszt 1900.

nastręcza kwestyj wątpliwych a ważnych ze stanowiska tektoniki Karpat, a pomimo długoletnich miejscowych studyów różnych autorów do niedawna nawet niespodziewanych¹.

Ciągnie się półwysep Valeni de Munte milami w poprzek obszaru kilku przytykających do siebie arkuszy mapy 1:50000. Jest to wąska (kilka km.), a długa wstęga fliszu, odgałęziająca się od głównej strefy fliszu w okolicy rzeki Buzeu. Gubi się ona wśród Karpat neogeńskich dopiero po zachodniej stronie rzeki Prahawy.

Dawniej nie odróżniano piaskowców kliwskich tego półwyspu od zaścielających je transgresywnie i niezgodnie warstw miocennych i meotycznych, które wyjątkowo tutaj miejscami petrograficznie bardzo są podobne do piaskowca kliwskiego, o ile że powstały w tych miejscach z przelawienia tego piaskowca.

Później półwysep Valeni de Munte przybierał na mapach moich zarysy coraz to wierniejsze, i wreszcie nawet w bardzo drobnych szczegółach zaczął się w nich odzwierciedlać. Jeszcze później szybko zmieniały się coraz bardziej poglądy na tektonikę całej tej części Karpat.

Wreszcie na tej podstawie przystąpiłem z kolei, nasamprzód w r. 1906, do rewizji swych dawniejszych zaznaczeń i zapisków miejscowych, jako datujących się z czasów, kiedy jeszcze płaszczowin nie znano, i do sporządzenia szczegółowej mapy geologicznej okolicy Valeni de Munte (1:50000).

Owóż pomiędzy smugami paleogeńskimi półwysep ten posiada tu i ówdzie wkliniłone wstęgi formacji solonośnej, którą dawniej uważałem za miocen. Te kliny młodszych utworów w profilach były przedstawiane zrazu jako synklinale. Ale już wówczas musiałem postawić sobie pytanie, dla czego dziwnym zbiegiem okoliczności wszystkie te synklinale mają budowę wachlarzową. Później w toku systematycznych zdjęć mapowych przekonałem się na miejscu, że nie są to wcale wachlarze synklinalne, ale antyklinalne, t. j. że półwysep Valeni de Munte (eocen i starszy oligocen) spoczywa na formacji solonośnej, która występuje na jaw w antyklinalach². Wiek

¹ Por. n. p. Bergéron, Observations relatives à la structure de la haute vallée de la Jalomita (Roumanie), Bul. Soc. geol. de France 4. Ser. t. IV, Paris 1904.

² W przytoczonej pracy, będącej w druku, i zaopatrzonej w arkusz mapy geologicznej Valeni de Munte 1:50000.

jej oznaczyłem tym razem w tej okolicy jako młodszą część oligocenu (dolna formacja solonośna)¹.

Cały półwysep Valeni de Munte podzielić można podług sfałdowania drugorzędowego, które miało miejsce po powstaniu płaszczowiny, na dwie wiązki fałdów. Północno-zachodnia czyli zewnętrzna wiązka składa się z kilku smug eocenu (warstwy hieroglifowe) i oligocenu (piaskowiec kliwski i łupki menilitowe, z warstwami szypoczekiemi zawsze na granicy względem warstw hieroglifowych). Zewnętrzna natomiast wiązka fałdów obejmuje wyłącznie smugi oligoceńskie, a mianowicie piaskowce kliwskie i łupki menilitowe (niższy oligocen) w synklinalach, dolną zaś formację solonośną (wyższy oligocen) w antyklinach.

Brak eocenu we wiązce fałdów południowej objaśnia się najprawdopodobniej wytłoczeniem.

Na obszarze wiązki południowej w jednym miejscu udało mi się wykryć gips pod kilkusetmetrowym płatem warstw piaskowca kliwskiego, wynurzający się w korycie Teleazenu (Valeni de Munte E). Gips ten należy do dolnej formacji solonośnej. Młodszych ogniw formacji solonośnej nigdzie na obszarze półwyspu Valeni de Munte nie widać, i w tem leży cała trudność, gdy chodzi o rozstrzygnięcie kwestyi co do podłoża, na którym ten półwysep pływa.

Rzecz osobliwsza, że piętro kliwskie łączy się właśnie w tej okolicy wszędzie powolnemi stratygraficznemi przejściami z dołującą pod niem naszą dolną formacją solonośną, która, przynajmniej o ile się odsłania, nie jest utworem tubylczym, ale bierze udział w prześladowaniu płaszczowiny. Te powolne przejścia stratygraficzne łącznie z tem następstwem warstw są dowodem, że zewnętrzna wiązka fałdów półwyspu Valeni de Munte przedstawia szereg warstw przewróconych. Jest to dolne skrzydło płaszczowiny, w którego drugorzędnych antyklinach nie wynurza się nigdzie podłoże, po którym ta płaszczowina się sunęła (średnie ogniwo formacji solonośnej?).

¹ Jestto dolna formacja solonośna w myśl mojego miejscowego podziału formacji solonośnej Karpat południowych na trzy piętra.

W tem też znaczeniu należy rozumieć wyrażenie »Saliferul inferior al lui Teisseyre« w pracy Mrazka pod tytułem »Industria petrolului în România 1908, Bucuresti 1909, str. 39. Odnosi się to wyrażenie do podziału formacji solonośnej, w owym czasie przedłożonego, należącego do pracy mojej jeszcze nieogłoszonej drukiem, z której wyjątki niniejszem podaję w tym artykule.

Mamy tu flisz przewrócony, podobnie jak fliszu przewróconego domyślał się na obwodzie Karpat północnych Limanowski. W rzeczywistości wszakże o analogii mowy być nie może, bo flisz obwodowy Karpat północnych (mikulczyński) wcale nie jest przewróconym. W zastosowaniu teorii płaszczowin zdarza się wprowadzić tu i ówdzie, że profile geologiczne poczynają rzucać nowe światło na stosunki miejscowe. Mimo to spostrzeżenia moje miejscowe nad Rybnicą i nad Oporem od razu zgadzają się z dawniejszymi pojęciami autorów, tak że flisz obwodowy Karpat północnych bynajmniej nie może być przewrócony.

Północną wiązkę fałdów półwyspu Valeni de Munte, składającą się, jak widzieliśmy, z naprzemianległych smug eocenu i piętra melinitowego, można przez porównanie szeregu profilów poprzecznych z łatwością sprowadzić do jednej wielkiej synklinali, która dopiero później rozszepiła się na pomniejsze fałdy.

Jądro tej synkliny, a zarazem grzbiet płaszczowiny przedstawia piaskowiec kliwski na szczycie Vf. Peri. Z pośród drugorzędnych fałdów na obszarze tej synkliny zasługuje na uwagę skrajne siodło, które towarzyszy brzegowi wewnętrznemu płaszczowiny (Arsenesele koło Valeni). Jest ono przewrócone i niejako nasunięte w kierunku ku północnemu zachodowi na formację solną t. zw. zatoki Slaniku (Ogretiuu-Chiojdu). Pomiędzy tą formacją solną a przewróconym piaskowcem kliwskim tego siodła nie ma ani śladu fliszu Zamury, ani też fliszu Jałomicy. Jeżeli jednak flisz kliwski zapada wzdłuż tej linii pod t. zw. zatoką Slaniku, a zatem i pod flisz Zamury (zamiast żeby miał odgałęziać się od fliszu Zamury lub Uzu w postaci dygityacji grzbietnej), to wytłoczenie fliszu Zamury (względnie Uzu oraz Jałomicy) wzdłuż północno zachodniego brzegu t. zw. półwyspu Valeni de Munte jest postulatem logiki w całej tej tektonice.

W kierunku ku południowemu zachodowi płaszczowina Valeni zdaje się podnosić coraz to wyżej na obszarze południowej wiązki fałdów półwyspu Valeni, to znaczy, że łęgi, które tworzy płaszczowina skutkiem fałdowania drugorzędnego ku tej stronie, stają się coraz to płytsze. Łęgi kliwskie południowej wiązki są to głowy pomniejsze płaszczowiny. Czoło jej wybiega prawdopodobnie w powietrze. Eocen mógłby być zatem na obszarze wiązki południowej nie wyłącznie wytłoczony, ale po części może i zdenudowany.

Niepodobna wątpić o tożsamości płaszczowiny z Valeni de Munte z płaszczowiną kliwską Karpat północnych.

Dotychczas w Karpatach północnych nie ma wprowadzie mowy o tej płaszczowinie, ale o magórskiej i mikulczyńskiej (beskidowej i podbeskidowej). Sądzę jednak, że tym pojęciom nadano sztucznie i przedwcześnie pewne ściśle określone znaczenie teoretyczne, w myśl poglądów i hipotez bądź to nieudowodnionych, bądź też mylnych.

Ściśle rzecz biorąc, mówić na razie możemy o płaszczowinie kliwskiej z Valeni de Munte (Karpaty południowe) z jednej, i o płaszczowinie kliwskiej Karpit półn.-wsch. z drugiej strony (Mołdawia-Bukowina). Dopiero po zbadaniu całego pasu kliwskiego będzie można dokładniej określić stosunek jego do pozostałego pasu fliszowego Karpat wschodnich. W każdym razie zbudana przezemnie okolica nad Teleaženem pozwala rozpoznać, że pas kliwski nie może należeć do płaszczowiny mikulczyńskiej czyli podbeskidowej. Tutaj niejako możemy sprawdzić, że nazwy stref beskidowej i podbeskidowej są, w uogólnieniu swem, znanem z literatury, stanowczo przedwczesne. Żałować tylko należy, że niektórzy autorowie bez żadnych zastrzeżeń lub uzasadnień poprzestają jeszcze i teraz na sztucznem dostosowywaniu swych własnych, mimo to przecież z natury zaczerpniętych profilów i map, do tych przedwcześnie ustalonych teoretycznych pojęć.

Problem t. zw. zatoki Sianiku oraz kwestya co do płaszczo- winy skałek nad Jałomicią.

Swego czasu wyróżniłem nad Jałomicią¹ osobną senońsko-palacogeńską strefę gór, w której panuje szereg warstw, towarzyszących marglom pstrym z Breza (senon). Margle tworzą przeważający żywiol wśród różnych facyj tamtejszej kredy i trzeciorzędu.

Od północnego zachodu graniczy ta strefa ze znaną strefą warstw, które oznaczyłem tamże nazwą warstw ze Sinaia, od południowego wschodu zaś ze strefą nadmienionych powyżej piaskowców z Vf. Fussaru, których w owym czasie nie odróżniałem od piaskowców z Cornu, przedstawiających spód formacji solonośnej

¹ Tektonische Verhältnisse Subkarp. am Jalomitzfluss, Bukareszt 1905. Por. referat, Kosmos, Lwów 1906, str. 25.

w t. zw. zatoce Słaniku, t. j. prawdopodobnie górny oligocen. Te trzy strefy górskie, odgraniczone wałami liniami nasunięć, stanowią po-niekąd chwilową zagadkę geologiczną wschodniej Muntenii. Cała trudność tkwi w pytaniu, jak się zachowują względem siebie te trzy strefy, ile że one niezawodnie po części przedstawiają płaszczowiny. Niedawno pokuszono się o tymczasowe objaśnienie tej zagadki kilku śmiałościami, a jednak zasługującymi na uwagę hipotezami i kilku szematycznymi profilami¹. Co do mnie, sądzę, że połączenie strefy senońsko-paleogeńskiej z płaszczowiną Uzu (jako jej spód) nie było trafne. Już z góry należało oczekiwać zwrotu, który w zapatrywaniach na tę kwestję dokonywuje się obecnie. W toku wycieczek miałem wprawdzie sposobność poznać zaledwie pewną część obszaru, o który się tutaj rozchodzi, ale zawsze miałem to wrażenie, że szereg warstw obszaru »senońsko-palacogeńskiego« jest równo-wiekowy, i tylko co do facji swej odrębny względem warstw towarzyszących piaskowcowi Uzu. Rozchodzi się tylko o to, jak pojmo-wać wzajemny stosunek płaszczowiny Jałomiczy i Uzu, oraz stosu-nek pierwszej do t. zw. zatoki Słaniku.

Po zachodniej stronie poprzecznej linii, której opis niebawem podam, a którą nazwać możnaby linią Kempinicy (Câmpinita), płaszczowina Jałomicza obejmuje jako właściwy sobie szereg warstw średnią i górną kredę, we facji zlepieńca i piaskowca Bucecs oraz marglu z Breaza (senon) i marglu cementowego, który sięga ku górze w paleogen i we warstwy nummulitowe, odpowiadające opisanym przez Mrazka pokładom w Sotriile i wreszcie w oligocen, który przypomina warstwy z Cernesti (flisz Zamury). Oligocen typu analogicznego do płaszczowiny Zamury tworzy nad rzeką Jałomicą szeroką, może na milę płaską synklinę, a na przedłużeniu jej w kierunku warstw w oddaleniu około mili przypada także płaskie synklinalne zagłębienie formacji solonośnej w Besdeadu, będące bezpośrednim odgałęzieniem t. zw. zatoki Słaniku i dalszym ciągiem północnej z obu wielkich synklin, na które półwysp fliszu Zamury dzieli zatokę Słaniku nad Teleaženem². Niekoniecznie formacja solonośna w Besdeadu leżeć musi na oligocenie. Istniejące odkrywki pozwalając jak sądzę, tak samo domyślać się, że formacja solna leży w tej synklinie pod oligocenem (względnie pod senonem i oligocenem). Oligocen ten

¹ Mrazec I. c. 1910, a także Mrazec w przytoczonej pracy p. Popescu-Voitești.

² Por. mapkę w przytoczonej mojej pracy stratygraficznej.

wraz z senonem i innymi składnikami płaszczowiny Jałomiczy półkolem obejmuje od północy, zachodu i południa zagłębienie solne w Besdeadu. Po południowej stronie synkliny Besdeadu wyklinia się paleogen i senon na wschód wzdłuż linii nasunięć biegnącej w poprzek doliny Prahowy u stóp Vf. Cornu (wieś Cornu)¹.

Po wschodniej stronie linii poprzecznej Kempinicy, a wzdłuż linii nasunięć Cornu, nie ma już ani śladu senonu.

Po przeciwnym północnym brzegu zatoki Slaniku mamy długi a wąski (kilka kilometrów) rąbek warstw płaszczowiny Jałomiczy, który wyziera, jak sądzę, z pod płaszczowiny Uzu, wzdłuż jej krawędzi zewnętrznej, piętrzącej się wysoko ponad zatoką Slaniku. Rąbek ten senoński wyklinia się ku wschodowi ostatecznie dopiero nad Teleażenem (Maneciu).

Postępując wreszcie odtąd wzdłuż rzeki Teleażenu na południe, wkracamy wkrótce w półwysep fliszu Zamury, i tutaj widzimy, że formacja solonośna zatoki Slaniku spoczywa bezpośrednio na fliszu Zamury.

Znany zlepieniec z Cornu, analogiczny względem zlepieńca ze Słobody Rungurskiej, przedstawia najniższą część formacji solonośnej w zatoce Slaniku, i należy, jak świadczą spostrzeżone raz przezemnie ślady drobnych nummuliów, prawdopodobnie do górnego oligocenu (Val. Praja dolna formacja solonośna podług mojego podziału miejscowego) koło Slaniku.

Oprócz zlepieńca tego wyjątkowo miejscami jawi się w zatoce Slaniku brekcya tektoniczna tego samego składu petrograficznego, o szybko w danym miejscu rosnącej olbrzymiej miąższości (n. p. Podu Ursului). Sądzę, że mamy tu do czynienia z brekcyą tektoniczną, powstałą w toku przefalldowania ze zlepieńca Bucecs, i to w tej okolicy jako składnika płaszczowiny Jałomiczy, która widocznie albo pływała na t. zw. zatoce Slaniku, albo ją podściela.

Mianowicie poza południowym brzegiem zatoki solnej Besdeadu i poza południową krawędzią fliszu Uzu dzisiaj nie ma już tej płaszczowiny w przyległej t. zw. zatoce Slaniku. Są jednak ślady jej, jako to porwaki, luźne głązy, skałki bez korzenia brekcyi wapiennej lub zlepieńca typu Bucecs, także ślady senonu wątpliwego, zaliczane dotąd do pstrej formacji solnej, a jednak wątpliwe i czekające

¹ Jest to znana linia Cornu, o której znaczeniu dla miejscowej tektoniki mowa jest zresztą w przytoczonej mojej pracy statygraficznej.

dopiero na zbadanie, jak n. p. na stoku zachodnim Vf. Puciosa koło stacyi tejże nazwy¹ i t. d.

Owoż przedstawiony na mapach moich ogólny obraz stosunków miejscowych możnaby na pozór jednakowo dobrze pogodzić z kilku wręcz odrębnymi przypuszczeniami.

Najłatwiejszy może sposób objaśnienia tych stosunków polegałby na tem, że formacya solonośna należy jako wierzch do płaszczowiny Jałomiczy, pod którą leżałby flisz Zamury, ale na znacznym obszarze, skutkiem wytlóczenia fliszu płaszczowiny Jałomiczy, formacya jej solna legła bezpośrednio na fliszu Zamury. Inny sposób pojmowania tej okolicy możnaby wysnuć z hipotezy, może niemniej zasługującej na uwagę, a mianowicie że t. zw. zatoka solonośna Besdeadu-Slaniku należy jako wierzch raczej do płaszczowiny Zamury (a nie do Jałomiczy), i że w okolicy Prahowy pływa na niej dzisiaj wysepkami, to senon, to cenoman. Ten wtóry sposób objaśnienia rzeczy zgadza się z tem, że ku zachodowi w kierunku warstw pochylają się tutejsze Karpaty (pas fliszu i neogenu) pod wielkie zapadlisko zachodniej Muntenii. Podług tego zatoka solonośna Besdeadu zapadałaby w tym kierunku pod płaszczowinę Jałomiczy.

Istotnie też, jeżeli się sprawdzą moje, dotychczas tylko dorywcze spostrzeżenia co do zwartego półkola, którem płaszczowina Jałomiczy otacza od zachodu (w kierunku warstw) t. zw. zatokę solną Besdeadu, to będzie tem samem udowodnione, że wszędzie tutaj cecoman, senon, względnie oligocen pływa na formacyi solnej.

Badania moje, przeprowadzone w tej okolicy przed kilku laty, nie liczyły się jeszcze krytycznie z temi różnemi możliwościami, i wymagają z tej przyczyny rewizyi stosunków miejscowych celem rozstrzygnięcia tych wątpliwości.

Ze swej strony rozpatrywał p. Mrazec hipotezę, że zatoka Slaniku jest oknem formacyi solnej, na której pływa płaszczowina Zamury-Uzu (dołączająca niby pod kliwską). Ja jednak sędzę, że tego objaśnienia nie można brać w rachubę bez różnych zastrzeżeń. Oto flisz Zamury wynurza się w postaci siodła z pod formacyi solnej zatoki Slaniku, formacya ta tworzy zaś dwa wielkie łęgi po obu stronach tego siodła, przyczem pod zewnętrzny łęg formacyi solnej zdaje się zapadać przyległa od południa płaszczowina fliszu Valeni.

¹ Niektóre szczegóły co do tego wątpliwego senonu i wątpliwej formacyi solnej w pracy mojej l. c. 1905.

Albo przeto formacja solna zatoki Slaniku, jako utwór młodszy, w ogóle wcale nie bierze udziału w przeładowaniu fliszu, albo też tworzy ona sam wierzch jednej z płaszczowin fliszu, po którym może sunęły się płaszczowiny wyższe, ale w każdym razie nie wзира ona z pod nich w postaci okna, jeno w postaci schodu w znaczeniu fałdowania drugorzędnego. Okno musiałoby być dokoła otoczone fliszem jednej płaszczowiny.

Analogiczny wierzch formacji solnej u innych płaszczowin fliszu nie jest znany (wytłoczenia, zmycia?). Jednak tutaj znowu wchodziłaby w rachubę nadmieniona dopiero co okoliczność, że południowe Karpaty fliszowe i neogenowe w kierunku warstw zapadają powoli¹ ku linii poprzecznej Dymbowicy pod neogen wielkiego zapadliska gockiego, i o tych zjawiskach najlepiej będą mogły pouczyć stosunki półwyspu Valeni de Munte¹.

Jeżeli pewna dolna część neogenu w Karpatach połud. ma udział w przeładowaniu płaszczowin fliszu, to na grzbiecie fliszu musiała ona ulec denudacyi wszędzie, z wyjątkiem okolic w pobliżu zapadliska gockiego położonych, gdzie flisz zapada zrazu pod neogen, a wreszcie pod pliocen w kierunku swych warstw². Podobnie też, jeżeli istotnie płaszczowina Jałomiczy zamyka półkołem zatokę solną Besdeadu w kierunku warstw od zachodu, to formacja solna zapada tutaj pod tę płaszczowinę.

Brzegi zewnętrzne płaszczowin fliszu.

Brzegi te występują w pojęciach dotychczasowych bez wyjątku jako linie denudacyjne. Nasamprzód wypowiedział to zapatrywanie Limanowski, któremu zawdzięczamy pierwszą próbkę profilu płaszczowin fliszu w Karpatach północnych (płaszczowina magórska i mikuliczewska). Później przyłączył się do tego zapatrywania Uhlig. W ogóle jednak nie zastanawiano się jeszcze nad tem, że brzegi zewnętrzne płaszczowin fliszowych niekoniecznie muszą być zawsze i wszędzie denudacyjne.

Kładę nacisk na to, że całokształt tektoniczny, który płaszczowina z Valeni de Munte przybiera skutkiem późniejszego fałdowania

¹ Por. pracę moją o Karpatach nad Jałomicą l. c. 1905.

² Mrazec i Teisseyre, Struktura geol. okolicy Câmpina-Busztanari (po rumuńsku). Acad. Româna Analele. Ser. II. t. XXVIII, Bukareszt 1906.

miejscowego, wyraża się w synklinali — że tak powiem — schodowej, t. j. płaszczowina zachowała się jako synklina, ograniczona dyslokacjami podłużnymi, a rozszczepiana miejscami nie dół późniejszego, na późniejsze pomniejszego fałdy.

Synklina płaszczowiny magórskiej należy także do typu synklin schodowych, t. j. obejmujących wszerek cały niemal jeden wielki próg schodowy gór. Linie podłużne, ograniczające taki schód, niekoniecznie muszą być uskokami. Przeważnie są to raczej schody, wynikłe z nasunięć, ale mogą one przechodzić tu i ówdzie w schody z uskoków i nasunięć powstałe, i przytem niekoniecznie skrzydło zapadłe danej linii schodowej musi leżeć po stronie jej zewnętrznej w stosunku do łuku pasma Karpat.

Różne mamy w Muntenii wschodniej przykłady, jak wielkie pierwszorzędne łęgi schodowe gubią się w kierunku biegu warstw przez rozszczepienie się na liczne pomniejsze antykliny i synkliny, i jak dalece skrzydło zewnętrzne synkliny pierwszorzędnej zdradza w toku fałdowania drugorzędne wszędzie stałą dążność do wytworzenia t. zw. struktury łuskowej. Tu należą wielki łęg pomiędzy kopalnią nafty Draganiasa a Vf. Sultanu i synklina Melicesci - Maces na północ od Busztenuar, następnie przekrój fliszu Valeni, przekrój fliszu Uzu i t. d.).

Drugorzędne, na południowym skrzydle pierwotnej synkliny powstałe siodła, nasuwają się wzajemnie na siebie skutkiem oporu od strony sąsiadującego w kierunku na zewnątrz następnego progu schodowego Karpat, który zwykle znowu ze swej strony, w wielu miejscach, zbliża się przekrojem swym najbardziej do typu synklin schodowej.

W ten sposób we wschodniej Muntenii, pomiędzy linią poprzeczną Dymbowicy a rzeką Buzen, brzegi przednie płaszczowin zazwyczaj przynadają na podłużne linie schodowe, po części już dawniej opisane (*»Staffellinien«*)¹, ale schody po sobie następujące nie zawsze wkraczają w różne płaszczowiny, bo jedna i ta sama płaszczowina — jak się zresztą rozumie — może rozczłaniać się na kilka schodów.

Zazwyczaj zewnętrzne skrzydła linii schodowych zapadają, we-

¹ Por. co do bliższych szczegółów referat pracy mojej, dotyczącej Karpat nad rzeką Jałomicą, w Kosmosie. I. c.

wewnętrzne zaś zostają na nie nasunięte, ale miejscami mamy, jak sądzę, zadziwiające wyjątki od tej reguły, i rozpoznanie ich jest poniekąd warunkiem zrozumienia przekroju płaszczowin.

Zasługuje na uwagę fakt, że po pierwsze: poszczególne strefy Karpat fliszowych i neogeńskich nad Jałomicą, Prahową i Teleaženem są zbudowane z coraz to młodszych warstw, w miarę jak postępujemy ku stronie zewnętrznej łuku gór karpaccich. Przyczyna tego porządku musi się jasno wyrażać zarówno w profilu płaszczowin, jak i w profilu samychże schodów, idących w parze z późniejszym fałdowaniem drugorzędem.

Powtórze widzieliśmy, że wszystkie te schody pochylają się łagodnie w kierunku biegu warstw na zachód ku linii poprzecznej Dymbowicy, i nurzają się ku tej stronie stopniowo coraz to głębiej pod transgresywny neogen. Wiadomo, że w ten sposób cały ten schodowy skrawek gór (Buzeu-Dymbowica) w kierunku biegu warstw na zachód powoli nurza się pod sąsiednie wielkie zapadlisko zachodniej Muntenii.

Poprzeczne rozczłonienie obszaru płaszczowin

jest, jak już z Alp wiadomo, zjawiskiem, którego rozpoznanie w wielu razach jest pierwszym krokiem na drodze do przekonania się o istnieniu płaszczowin.

W zbadanej przezemnie części wschodniej Muntenii uderza wprawdzie w pierwszym rzędzie rozczłonienie płaszczowin na schody podłużne, które są warunkiem zachowania się płaszczowin w danych granicach, i to płaszczowin coraz to niższych na obszarze schodów, następujących po sobie w kierunku ku stronie zewnętrznej Karpat. Ale oprócz tego spróbuję udowodnić, że panuje tutaj także fałdowanie poprzeczne. Jest to zjawisko w ogóle bardzo mało dotychczas w Karpatach znane. W Muntenii wschodniej wpływ tego czynnika jest tego rodzaju, że nieuwzględniając go, niepodobna trafnie pojąć poszczególnych profili, a tyczy się to przedewszystkiem profili płaszczowin (n. p. linia poprzeczna Kempinicy, linia poprzeczna Ocnita-Fieni, synklina poprzeczna Filipesci de padure — Colibasi i t. d.).

Niestety muszę tutaj poprzestać na tej ogólnikowej wzmiance, gdyż obawiam się, że niektóre moje spostrzeżenia miejscowe zbyt wiele

straciłyby na tem, że szkic ten nie jest zaopatrzony w objaśniające mapy i profile.

Niektóre spostrzeżenia o fałdach i dyslokacjach poprzecznych tymczasowo krótko podałem w przytoczonej pracy stratygraficznej, i na tem też i tutaj muszę z konieczności przestać.

Wnioski.

Możnaby przypuszczać, że w Karpatach południowych płaszczowina Uzu (magórska) spoczywa na płaszczowinie skałek Jałomicy, ta zaś na fliszu Zamury (mikulczyńskim), podścielonym ze swej strony płaszczowiną kliwską — od tego fliszu odrębną.

Słabą stroną dotychczasowych prób zestawienia przekroju poprzecznego płaszczowin fliszu jest, powtarzam, zapoznanie zarówno poprzecznej, jak i podłużnej schodowej¹ budowy gór, dzięki której w wielu okolicach brzegi zewnętrzne płaszczowin nie są erozyjne, jak to z góry przyjmują autorowie za regułę bez wyjątków.

Z pewnością nie wszędzie panują stosunki jednakowe. Wiadomo, jak dalece przeprowadzenie rewizji dotychczasowych profilów w toku badań do tego celu zastosowanych jest koniecznem. Nawet szybka dorywcza rewizya przekrojów przestarzałych prowadzi do wyników ważnych, jeżeli się opieramy na doświadczeniu już raz nabytem w okolicach pokrewnych, w których płaszczowiny udało się rozwikłać.

¹ Rozumie się, że nazwa schodów nie zawsze jest odpowiednią w dosłownem znaczeniu, ale to już jest właściwością wyrazów technicznych w ogólności.

O CZYNNOŚCIACH I WYTWORACH

KILKA UWAG Z POGRANICZA PSYCHOLOGII, GRAMATYKI I LOGIKI

napisał

KAZIMIERZ TWARDOWSKI



§ 1. Z dwu wyrazów, zestawionych w takich parach jak: chodzić — chód, biegać — bieg, skakać — skok, krzyczeć — krzyk, spiewać — spiew, mówić — mowa, myśleć — myśl, błądzić — błąd, sądzić — sąd, zwracać — zwrot — z dwu takich wyrazów pierwszy oznacza jakąś czynność; rozpatrzenie znaczenia drugiego wyrazu w stosunku do znaczenia wyrazu pierwszego jest zadaniem niniejszych wywodów.

§ 2. Możliwość zrazu przypuścić, że różność¹ takich dwu wyrazów jest tylko gramatyczna, a nie logiczna, t. j., że dotyczy jedynie ich formy, a nie ich znaczenia. Więc wyrazy bieg, skok i t. d. miałyby oznaczać tak samo czynność, jak oznaczają ją wyrazy biegać, skakać i t. d. I w samej rzeczy można bieg lub skok nazwać czynnością, ale zarazem niepodobna zaprzeczyć, że rzeczowniki te — właśnie dlatego, że są rzeczownikami — nie uwydatniają momentu czynnościowego tak wyraźnie, jak czasowniki biegać, skakać, że natomiast wysuwają moment inny, któryby można nazwać zjawiskowym, zdarzeniowym. Mówiąc o biegu, o skoku, mamy na myśli może nie tyle wykonywaną przez kogoś czynność, ile raczej jakiś fakt, jakieś zjawisko, coś, co się dzieje lub zdarza. Mówimy np., że się na wyścigach odbywa bieg koni chowu krajowego, a w zwrocie tym jasno występuje wspomniany moment zjawiskowy, zdarzeniowy; gdy natomiast chodzi nam o uwydatnienie momentu czynnościowego, używamy raczej rzeczowników słownych (substantiva verbalia); mówimy np., że chodzenie po górach sprawia nam przyjemność.

§ 3. Zaznaczony tutaj stosunek czasownika i odpowiedniego

¹ Używam wyrazu różność, a nie różnica, gdyż w ścisłym tego słowa znaczeniu różnica oznacza wielkość, o którą jedna wielkość jest większa lub mniejsza od drugiej, gdy tymczasem różność oznacza stosunek, zachodzący pomiędzy dwoma przedmiotami nierównymi właśnie dzięki temu, że nie są równe. Por. Höfler, Psychologie, 1897, str. 224 i nast.

rzeczownika występuje wyraźniej w przykładach innych, np. w parze: krzyczeć — krzyk. O ile krzyczenie nazwiemy bez wahania czynnością, o tyle trudno czynnością nazwać krzyk. Krzyk, to jakieś zjawisko akustyczne, o którym powiadamia nas słuch; a chociaż wiemy, że bez czynności, zwanej krzyczeniem, nie byłoby krzyku, przecież, mówiąc o krzyku, czynność ową pomijamy, traktując krzyk jako zjawisko akustyczne na równi z hukiem, szmerem i t. p.

§ 4. Podobnie ma się rzecz z resztą przytoczonych par wyrazów i w wszystkich tego rodzaju przypadkach. W niektórych mniej, w niektórych bardziej dobitnie występuje wspomniana różność znaczeń, polegająca na tem, że czasownik uwydatnia przedewszystkiem moment czynnościowy, rzeczownik moment zjawiskowy. Gdzie różność ta jest mniej wyraźna, oba wyrazy przedstawiają się niemal tylko jako dwa sposoby ujęcia tej samej rzeczy, raz bardziej z jednej, raz bardziej z drugiej strony. Taki stosunek zachodzi np. między czasownikiem walczyć a rzeczownikiem walka, albowiem rzeczownik walka obok momentu zjawiskowego zawiera w sobie jeszcze wiele z owego momentu czynnościowego, który wyczerpuje znaczenie czasownika walczyć. Jeżeli się natomiast porówna wyrazy takie jak błądzić — błąd, zwracać — zwrot, można zauważyć, że tutaj różność między znaczeniem czasownika a rzeczownika jest bardzo znaczna, gdyż rzeczowniki te są zupełnie wolne od momentu czynnościowego. Między tymi krańcowymi przypadkami, jakie zachodzić mogą w ustosunkowaniu znaczeń rzeczowników i czasowników jednej takiej pary, istnieją oczywiście liczne przypadki przejściowe.

§ 5. Gramatycy od dawien dawna zwrócili uwagę na stosunek wzajemny takich wyrazów, mówiąc o t. zw. figurze etymologicznej. Rozumieją przez nią konstrukcję, w której rzeczownik, utworzony z tego samego tematu, co czasownik, odgrywa względem niego rolę dopełnienia ¹ (przedmiotu), zwanego w takich razach dopełnieniem (przedmiotem) wewnętrznym. Dopełnienie to może występować w bierniku, np. tańczyć taniec, zadać zadanie, albo też w innym przypadku, np. żyć życiem (gorączkowem), krzyczeć krzykiem (wielkim) i t. p. Wiadomo też, że taki stosunek czasownika i rzeczownika nie

¹ Według terminologii, użytej w »Gramatyce języka polskiego« Steina i Zawilińskiego, Kraków-Warszawa, 1907. §§ 13, 14 i nast., którzy nazywają dopełnieniem to, co się zwykle w gramatyce nazywa przedmiotem.

jest ograniczony do figury etymologicznej, a wtedy stosunek między czasownikiem a rzeczownikiem, tworzącym jego dopełnienie wewnętrzne, może być dwojaki: Czasownik może wymieniać w sposób zupełnie ogólnikowy czynność, nie wskazując swem znaczeniem wcale rodzaju dopełnienia. Taki czasownik, jak np. wykonać, może się wskutek tego łączyć z dopełnieniami o znaczeniach bardzo różnych. Wykonać można śpiew, skok, zwrot i t. p. Inne czasowniki znaczeniem swem wskazują już pewien rodzaj dopełnienia. I tak czasownik popełnić wymaga dopełnienia, które oznacza coś ujemnego: popełnić błąd, kłamstwo i t. p.; czasownik wygłaszać wymaga dopełnienia, które oznacza jakieś zjawisko akustyczne: wygłaszać mowę, wiersz i t. p. Figurę etymologiczną można uważać za krańcowy przypadek tego stosunku, gdyż w tej konstrukcyi czasownik sam niejako wprost wyznacza sobie dopełnienie wewnętrzne ¹.

§ 6. »Wewnętrzność« takiego dopełnienia — jeżeli wolno tak powiedzieć — wyraża się między innemi bądź w figurze etymologicznej, polegającej na tożsamości tematu czasownika i jego dopełnienia, bądź też w tej okoliczności, że zamiast zwrotu, złożonego z czasownika i oznaczającego jego dopełnienie rzeczownika, można użyć wprost odpowiedniego czasownika, nie dodając mu dopełnienia. Więc zamiast wykonać skok: skoczyć; zamiast popełnić kłamstwo: skłamać, zamiast udzielić rady: radzić; zamiast wydawać sąd: sądzić.

§ 7. To, cośmy powiedzieli na wstępie o stosunku znaczeń czasowników i rzeczowników, zestawionych w przytoczonych i tym podobnych parach wyrazów, dotyczy zatem czasowników z dopełnieniem (przedmiotem) wewnętrznem. Na tej podstawie możemy sobie też zdać sprawę ze znaczenia dopełnienia wewnętrznego. Zauważyliśmy bowiem, że rzeczownik taki jak bieg uwydatnia bardziej zjawiskowy moment na niekorzyść czynnościowego momentu, uwydatnionego w czasowniku biegać; ale zjawisko, zwane biegiem, zjawia się właśnie dzięki czynności biegania, a może jest nawet z nią identyczne, tylko, że mówiąc o bieganiu, kładziemy nacisk na moment czynnościowy, a mówiąc o biegu, na moment zdarzeniowy. Jakkolwiek bądź rzecz się ma, można powiedzieć, że bieg jest zdarzeniem, zjawiskiem, które powstaje dzięki czynności biegania.

¹ Wiadomo też, że niektóre czasowniki mogą, wzięte w pewnym znaczeniu, łączyć się z dopełnieniem wewnętrznem, a wzięte w innym znaczeniu, z dopełnieniem zewnętrznem: wydawać rozkazy — wydawać obiady.

W miarę, jak moment czynnościowy i zjawiskowy bardziej się rozstępują, mniej też sztucznym przedstawia się zwrot, orzekający, że dzięki czynności, wymienionej w czasowniku, powstaje to, co wymienienia rzeczownik. Istotnie niema nic w tem sztucznego, gdy mówimy, że wskutek krzyczenia powstaje krzyk, dzięki błędzeniu powstają błędy i t. p.

§ 8. Ogólnie można tedy powiedzieć, że w stosunku czasownika do odpowiadającego mu jako dopełnienie wewnętrzne rzeczownika wyraża się stosunek jakiejś czynności do tego, co dzięki, wskutek tej czynności, przez tę czynność powstaje. Gdy walczymy, powstaje walka, gdy myślimy, powstają myśli, gdy rozkazujemy, powstaje rozkaz, gdy śpiewamy, powstaje śpiew i t. p.

§ 9. To, co dzięki, wskutek jakiejś czynności czyli przez tę czynność powstaje, nazwać można wytworem tej czynności. Można więc powiedzieć, że skok jest wytworem skakania, śpiew wytworem śpiewania, błąd wytworem błędzenia i t. p., przyczem zachodzi, jak wiemy, stopniowanie od przypadków, w których wytwór niemal się zlewa z wytwarzającą go czynnością, aż do przypadków, w których czynność i jej wytwór coraz wyraźniej się rozstępują¹.

§ 10. Przykłady, na których wyjaśnialiśmy pojęcie wytworu, dotyczyły czynności i wytworów różnych rodzajów, które można sprowadzić do dwóch zasadniczych, do czynności i wytworów fizycznych, i do czynności i wytworów psychicznych. Do pierwszego rodzaju należą chodzić — chód, biegać — bieg, skakać — skok; do drugiego należą myśleć — myśl, sądzić — sąd, zamierzać — zamiar². Wśród czynności i wytworów fizycznych należy wyróżnić

¹ Znaczenie wyrazów wytwarzać i wytwór, w powyższy sposób określonych, nie zawiera w sobie cechy twórczości w tem znaczeniu, w jakim przeciwstawiamy ją czynności odtwarzającej. To też zarówno to, co powstaje dzięki czynności odtwarzającej, jak też to, co powstaje dzięki czynności twórczej w zwykłym znaczeniu, więc dzięki twórczości oryginalnej, jest wytworem w znaczeniu tutaj określonym. O tem trzeba pamiętać ze względu na różność odtwarzającej czynności pamięci i wytwórczej czynności fantazji. (Zob. moją rozprawę p. t. Wyobrażenia i Pojęcia. Lwów, 1898, str. 25). Obie te czynności są czynnościami wytwarzającymi w znaczeniu tutaj przyjętem, czynnościami, dzięki którym powstają pewne wytwory.

² Ponieważ mowa ludzka posiada w wielu przypadkach osobne wyrazy na oznaczenie czynności i wytworów nie tylko fizycznych, lecz także psychicznych, przeto logicy zwłaszcza od dawien dawna operują wytworami psychicznymi jako czemś od czynności różnem, chociaż może nie zawsze zdawali so-

odrębny gatunek czynności i wytworów psychofizycznych. Psychofizyczną jest czynność fizyczna, jeżeli towarzyszy jej czynność psychiczna, wywierająca jakiś wpływ na przebieg czynności fizycznej a tem samem na powstający dzięki niej wytwór; powstający zaś w ten sposób wytwór nazywa się także psychofizycznym. Należą tu czynności i wytwory, oznaczone wyrazami krzyczeć — krzyk, spiewać — spiew, mówić — mowa; kłamać — kłamstwo i t. p.¹

§ 11. Granica między wyrazami, które wymieniają czynności i wytwory fizyczne a wyrazami, które wymieniają czynności i wytwory psychofizyczne, jest dość płynna, gdyż często te same wyrazy służą obu celom. Krzyczenie bywa na ogół czynnością psychofizyczną, gdyż towarzyszy mu zwykle czynność psychiczna, wywierająca wpływ na krzyczenie; można jednak także krzyczeć odruchowo, a wtedy czynność może być czysto fizyczna.

§ 12. Istnieją też przykłady wyrazów, które mogą oznaczać

bie jasno sprawę z tego rozróżnienia. Bolzano, który je sobie uświadamia (Bei den Worten: ein Urteil, ...eine Behauptung stellen wir uns sicher nichts anderes vor, als etwas, das durch Urteilen... und Behaupten hervorgebracht ist. Wissenschaftslehre, I. 1837, str. 82), przytacza cały szereg ustępów z dzieł dawniejszych i współczesnych, które dowodzą, że to rozróżnienie mniej lub więcej świadomie przeprowadzono. Po Bolzanie rozróżnia wytwór od czynności bardzo stanowczo Bergmann, nazywając myśl, pojęcie, sąd już wprost wytworem (Erzeugnis, Werk, Gebilde) dotyczących czynności. (Reine Logik, Berlin, 1879, str. 2—3, 10—12, 38—39). O wytworach psychicznych wogóle mówi Stumpf (Erscheinungen und psychische Funktionen, Abhandlungen der kgl. preuss. Akademie der Wissenschaften vom Jahre 1906, w odbitce Berlin, 1907, str. 28—33, oraz Zur Einteilung der Wissenschaften, tamże, w odbitce Berlin, 1907, str. 32 i nast.), posługując się wyrazem Gebilde psychischer Funktionen. Zdaje się jednak, że pojęcie wytworu psychicznego, którem operuje Stumpf, nie pod każdym względem schodzi się z pojęciem tutaj rozwiniętem, przynajmniej o ile chodzi o wytwór czynności sądzenia; sprawa ta wymaga jednak osobnego rozpatrzenia, gdyż łączy się m. i. ze stosunkiem pojęcia wytworu sądzenia do tego, co Meinong (Ueber Annahmen, 2. wyd. 1910) nazywa obiektywem. Najpełniej rozwinął pojęcie wytworów psychicznych i konsekwentnie przeprowadził w swej psychologii Witaszek (Grundlinien der Psychologie, Leipzig, 1908, zob. zwłaszcza I. Teil, 4. Kapitel). Przecistawia on psychiczne wytwory (do których zalicza np. Vorstellung, Empfindung, Urteil, Gedanke, Gefühl, Hoffnung, Sehnsucht, Begehrung) procesom psychicznym (Vorstellen, Empfinden, Urteilen, Denken, Fühlen, Hoffen, Sehnen, Begehren).

¹ W innym znaczeniu należałoby uważać za psychofizyczne wszystkie wogóle czynności psychiczne, o ile towarzyszą im czynności fizyczne w ustroju, wywierające na nie wpływ. Możemy jednak tutaj znaczenie to pominąć.

bądź czynności i wytwory psychofizyczne a nawet fizyczne, bądź czynności i wytwory psychiczne. Takie trojaki znaczenie ma wyraz ujęcie, dwojaki wyraz zdanie. Albowiem przez zdanie można rozumieć bądź wytwór psychiczny, który oznaczamy też wyrazami przekonanie, pogląd, zapatrywanie, albo też wytwór psychofizyczny, gdy używamy wyrazu zdanie w znaczeniu gramatycznym. Podobnie wyrazy twierdzić i przeczyć oznaczają bądź określoną co do jakości czynność psychiczną sądzenia, bądź też psychofizyczną czynność wygłaszania sądu twierdzącego lub przeczącego. Ale obok tych wyrazów istnieją liczne inne, które bądź należą wyłącznie do zakresu czynności i wytworów psychicznych (np. myśleć — myśl), bądź też zyskały sobie w tym zakresie pełne prawo obywatelskie, chociaż niekiedy dotyczą także czynności i wytworów psychofizycznych (np. sądzić — sąd, pojmować — pojęcie, zamierzać — zamiar, czuć — wrażenie, odczuwać — uczucie i t. p.)¹.

§ 13. Przytoczone przykłady dotyczą wieloznaczności, polegającej na tem, że te same wyrazy mogą oznaczać wytwory i czynności różnych rodzajów. Istnieje jednak jeszcze inna wieloznaczność, występująca w zakresie tego samego rodzaju czynności i wytworów, a wieloznaczność ta przez długi czas utrudniała i poniekąd jeszcze dzisiaj utrudnia uchwycenie różności, zachodzącej między czynnością a jej wytworem.

§ 14. Mówiąc o czynnościach i ich wytworach, przeciwstawialiśmy jedne drugim przy pomocy czasowników i odpowiednich rze-

¹ Mogłaby powstać wątpliwość, czy rozróżnienie czynności i wytworów psychicznych da się też stosować w ten sposób, by nazywać uczucie czyli doznawanie wrażeń czynnością, a wrażenie wytworem tej czynności, a dalej odczuwanie czyli doznawanie uczuć czynnością, a uczucie (więc i przyjemność i przykreść) wytworem tej czynności. Wątpliwość ta mogłaby wynikać stąd, że wszelkie doznawanie jest raczej jakimś stanem biernym, a nie czynnym, że więc trudno nazwać uczucie i odczuwanie czynnościami. Jeżeli się jednak zważy, że wyrazu czynność używa się bardzo często nie w przeciwstawieniu do stanów biernych, lecz w znaczeniu ogólniejszem, w którym można go też zastąpić wyrazem funkcyja, wątpliwość ustąpi. Na innych opierając się założeniach, Dr. Wł. Witwicki pod względem, o który tutaj chodzi, także stawia sąd i przekonanie zupełnie na równi z bolem i rozkoszą, mówiąc nawet nie tylko o doznawaniu bólu i rozkoszy, lecz także o doznawaniu przekonania. (Zob. rzecz p. t. »W sprawie przedmiotu i podziału psychologii« w niniejszej Księdze pamiątkowej str. 10). Witasek celem uwydatnienia różności funkcyj o charakterze bardziej czynnym od funkcyj o charakterze bardziej biernym dzieli procesy psychiczne (zob. pow. str. 7 uw.) na Tätigkeiten i Vorgänge (l. c. str. 84 i nast.).

czowników, przyjmując, że tak, jak czasownik oznacza zawsze czynność, odpowiedni rzeczownik oznacza zawsze wytwór tej czynności. Nie ulega jednak wątpliwości, że często posługujemy się także rzeczownikami, by oznaczyć czynność, dzięki czemu rzeczowniki te stają się dwuznacznymi, mogąc oznaczać na przemian czynności i ich wytwory. W zwrocie »udzielić komuś rady« wyraz rada oznacza wytwór czynności radzenia, ale gdy powiadamy: »tu trudna rada«, chcemy wyrazić przekonanie, że czynność znalezienia lub udzielenia rady natrafia na trudności. Podobna różność zachodzi w zwrotach »przedłożyć komuś prośbę« i »zacząć od prośby«. Gdy dalej mówimy: »tego błędu nigdy ci nie przebaczę«, chodzi o czynność błędzenia, więc grozimy, że nie przebaczymy popełnienia błędu; ale gdy o błędzie powiadamy, że jest łatwy do wykrycia, bynajmniej nie mamy na myśli czynności błędzenia, lecz jej wytwór. Taksamo ma się rzecz z rzeczownikiem sąd, który również po dziś dzień służy obu tym znaczeniom, raz dotycząc wytworu, raz czynności, dzięki której wytwór powstaje. W pierwszym znaczeniu mówi się np., że pewne sądy są następstwem logicznym sądów innych; w drugim znaczeniu mówi się o sądach jako funkcjach psychicznych, nazywając sąd np. czynnością poznawczą i t. p. Dla odróżnienia obu tych znaczeń wyrazu sąd używa się niekiedy określeń: sąd w znaczeniu psychologicznym t. j. czynność, i sąd w znaczeniu logicznym, t. j. wytwór. Lepiej jednak zastrzedz wyrazowi sąd tylko jedno z tych dwu znaczeń, mianowicie znaczenie wytworu, a tam, gdzie chodzi o czynność, mówić o sądzeniu czyli wydawaniu sądów¹.

§. 15. Lecz na tem się nie kończy wieloznaczność wyrazów takich jak sąd. Niekiedy bowiem nie używamy go ani w znaczeniu czynności wydawania sądów, ani w znaczeniu wytworów tej czynności czyli sądów, lecz w znaczeniu trzecim, mianowicie, w zna-

¹ Należy się mieć na baczności, by czasownika wydawać w tym zwrocie stosowanego nie brać w znaczeniu jakiejś czynności uzewnętrzniającej, tem bardziej, że czasownik wydawać w połączeniu z innymi dopełnieniami wewnętrznymi i zewnętrznymi (por. str. 5 uw.) może mieć takie znaczenie, np. w zwrocie wydawać komuś rozkazy. Otóż zwrot wydawać sądy nie znaczy bynajmniej tyle co wygłaszać sądy, wypowiadać sądy, oznajmiać sądy, wyrażać sądy, lecz znaczy poprostu tyle, co dokonywać w umyśle czynności sądzenia czyli sądzić (niemieckie Urteil fällen tyle co urteilen, francuskie porter un jugement tyle co juger). Wydawanie sądów tak samo nie ma nic wspólnego z ich uzewnętrznianiem, jak niesienie pomocy albo przytoczone właśnie francuskie porter un jugement nie ma nic wspólnego z noszeniem.

czeniu dyspozycyi¹ do wydawania sądów, czyli sądzenia. I tak np. mówimy »człowiek ten ma trafny sąd o rzeczach«. Tu rzeczywiście chodzi o zdolność wydawania trafnych sądów, a dyspozycyjny charakter sądu w tem znaczeniu wziętego występuje w tem, że ten »trafny sąd« o rzeczach jest względnie stałą właściwością danego osobnika, gdy tymczasem czynność trafnego sądzenia jest w każdym przypadku czemś chwilowem. W znaczeniu dyspozycyjnem bierzemy także wyraz sąd, mówiąc np. że nauka ma kształcić nie tylko pamięć, lecz także sąd². Podobnie ma się rzecz z wyrazem wiara. W zwrocie »wiara cię uzdrowiła« chodzi niewątpliwie o czynność wierzenia (»akt wiary«); gdy mowa o różnych wiarach, które ludzkość wyznaje, chodzi o wytwory, a gdy powiadamy o kimś, że wiarę stracił, stwierdzamy, że stracił zdolność do wierzenia w pewne rzeczy czyli do wzbudzania w sobie pewnych aktów wiary, więc czynności psychicznych. Analogiczne przykłady znajdujemy też w zakresie czynności i wytworów psychofizycznych. Jeżeli powiadamy, że mowa³ czyjaś trwała godzinę, mamy na myśli czynność mówienia, wygłaszania mowy; w zwrocie »mowa twoja niech będzie tak i nie« chodzi o wytwór mówienia, a gdy powiada się, że komuś przerazenie odjęło mowę, chodzi o zdolność mówienia. Tak samo dyspozycję do pewnej czynności a nie tylko jej wytwór może oznaczać wyraz dowcip (człowiek posiadający dowcip) a nawet wyraz chód (ten człowiek ma lekki chód).

§ 16. Z natury rzeczy niebezpieczeństwo pomieszania czynności i jej wytworu jest na ogół większe, aniżeli niebezpieczeństwo pomieszania wytworu lub czynności z odpowiednią dyspozycją. Dalszem zaś utrudnieniem odróżnienia czynności od wytworu jest częsty brak osobnego rzeczownika na oznaczanie wytworu i — wobec tego — ko-

¹ Wyrazu dyspozycją używam w znaczeniu, sformułowanem przez Höflera; Psychologie, 1897, § 12. który też (tamże § 6) zwraca uwagę na wyrazy, oznaczające promiscue czynności (wytwory) i dyspozycje.

² U niektórych pisarzy wyraz sąd występuje w czwartem jeszcze znaczeniu, oznaczając to, co się zwykle nazywa enuntiatio, propositio, Aussage a co po polsku zaproponowałem nazwać powiedzeniem (por. moją rozprawę O t. zw. prawdach względnych. odbitka z Księgi pamiątkowej, wydanej przez Uniwersytet lwowski ku uczczeniu 500-letniej rocznicy odnowienia Uniwersytetu krakowskiego, Lwów, 1900). W tem czwartem wiec znaczeniu wyraz sąd oznacza pewien wytwór psychofizyczny. Zob. o tem poniżej str. 28, uwaga.

³ W zwrotach tych mowa jest wzięta wszędzie w znaczeniu łacińskiego sermo, nie oratio.

nieczność posługiwania się rzeczownikiem słownym. Gdzie bowiem istnieje rzeczownik niesłowny na oznaczenie wytworu czynności, tam rzeczownik słowny zachowuje zwykle znaczenie czynnościowe: prosić — prośzenie — prośba, radzić — radzenie — rada, mówić — mówienie — mowa, rozkazać — rozkazanie — rozkaz, zakazać — zakazanie — zakaz¹. Tam zaś, gdzie brak innego aniżeli słownego rzeczownika, rzeczownik taki przybiera czasem obok swego znaczenia czynnościowego także znaczenie wytworu. Ponieważ np. nie używamy od czasownika przykazać rzeczownika »przykaz«, analogicznego do »rozkaz« i »zakaz«, przeto rzeczownik słowny przykazanie przybrał znaczenie wytworu, i to tak dalece, że to znaczenie właściwie przytłumia znaczenie czynnościowe. W innych jednak przypadkach oba znaczenia istnieją obok siebie, np. w wyrazie »pytanie«, który w zwrocie »mam dość tego pytania« oznaczać może czynność zapytywania lub wypytywania, a w zwrocie »pytanie to nie da się rozwiązać« oznacza widocznie nie czynność, lecz wytwór. Należą tu dalej wyrazy poznanie, przekonanie, zapatrywanie, wierzenie, mniemanie, postanowienie, pragnienie, przedstawienie, wyobrażenie, czucie, przeżycie, ujęcie, pojęcie, spostrzeżenie, przypomnienie, rozumowanie, porównanie, żądanie, doświadczenie, doznanie i t. p.

§ 17. Dwuznaczność tych wyrazów stwierdzono oddawna; wiadomo też, że podobnie jak w języku polskim te rzeczowniki słowne, okazują ją w łacińskim języku utworzone z czasowników wyrazy na *io*, w języku niemieckim utworzone w podobny sposób rzeczowniki na *ung*². O ile te rzeczowniki łacińskie stosujemy w języku polskim, zbliżamy je ich znaczeniem raczej do wytworów, zachowując dla oznaczania czynności zwykle słowną formę rzeczownika: abstrahowanie — abstrakcya, kombinowanie — kombinacya, konstruowanie — konstrukcya i t. p.

§ 18. Chcąc w tych przypadkach w języku polskim oznaczyć czynność w odróżnieniu od wytworu, uciekamy się zwykle — gdzie to możebne — do rzeczownika słownego, utworzonego od formy częstotliwej czasownika. Gdy więc mówimy o poznawaniu, postanawianiu, przedstawianiu, wyobrażaniu, przeżywaniu, ujmowaniu, poj-

¹ W niektórych przypadkach wyraźna dwuznaczność czasownika słownego istnieje, chociaż posiadamy osobny rzeczownik niesłowny do oznaczenia wytworu; np. opowiadać — opowiadanie — opowieść.

² Analogicznie polskie rzeczowniki na *unek* (ratunek) i na *itwa* (modlitwa).

mowaniu, spostrzeganiu, przypominaniu, porównywaniu, doświadczaniu, doznawaniu i t. p., każdy widzi, że mówimy o czynnościach, a nie o ich wytworach, których wobec tego naturalnym wyrazem staje się rzeczownik słowny, utworzony od nieczęstotliwej formy czasownika, więc w brzmieniu poprzednio w § 16 przytoczonem¹. Gdzie niepodobna użyć tego sposobu, rzeczownik słowny pozostaje dwuznacznym, jak to widać w przykładach wierzenie, mniemanie, zapatrywanie, pragnienie, rozumowanie, żądanie, o ile zwyczaj nie wysuwa naprzód bardziej jednego niż drugiego znaczenia, jak to zachodzi przy wyrazie przekonanie, oznaczającym raczej wytwór, aniżeli czynność, albo o ile nie posiadamy innego sposobu odróżnienia obu znaczeń, jak np. wtedy, gdy dla uwydatnienia momentu czynnościowego mówimy o zapatrywaniu się, rozumiejąc przez zapatrywanie raczej wytwór².

§ 19. Ale ograniczając znaczenie wyrazów takich jak zapatrywanie, pojęcie, przekonanie i t. p. do wytworów, nie usuwamy innej dwuznaczności, dzięki której mogą podobnie jak rzeczowniki sąd, wiara i t. p. obok wytworów oznaczać także dyspozycje do czynności, dzięki którym takie wytwory powstają. Gdy np. o kimś powiadamy, że posiada wyrobione przekonania, przypisujemy mu wyrobione dyspozycje do wydawania sądów. W dyspozycyjnym charakterze używamy także wyrazu przekonanie, gdy mówimy o przekonaniach niezłomnych, stałych i t. p. tak, jak w innych razach

¹ Nie jest więc tem samem teoria poznawania i teoria poznania, lecz zachodzi tu taka sama różność, jak między teorią sądenia a teorią sądu; pierwsza jest teorią psychologiczną pewnych czynności umysłowych, druga jest teorią powstających dzięki tym czynnościom wytworów.

² W języku niemieckim, posiadającym rodzajnik, rozgraniczeniu czynności i wytworu służyć może doskonale konsekwentne używanie bezokolicznika w znaczeniu czynności, a odpowiedniego rzeczownika w znaczeniu wytworu (np. Bolzano w zdaniu przytoczonem w uw. na str. 7 i w wielu innych miejscach swego dzieła). Więc Urteilen — Urteil, Vorstellen — Vorstellung, Behaupten — Behauptung, Aussagen — Aussage i t. p. W rozprawie swej *Zur Lehre vom Inhalt und Gegenstand der Vorstellungen* (Wien 1894) nazwałem czynność przedstawiania aktem, a wytwór przedstawiania treścią przedstawienia (Vorstellungs-akt, Vorstellungsinhalt). Terminologię tę m. i. przyjął i konsekwentnie przeprowadził Kreibitz w dziele *Die intellektuellen Funktionen*, Wien und Leipzig, 1909. To więc, co w owej rozprawie nazwałem treścią przedstawienia, najdokładniej odpowiada temu, co tutaj występuje jako wytwór przedstawiania. (Gramatycy nazywają niekiedy biernik dopełnienia wewnętrznego, odpowiadającego wytworowi, biernikiem treści).

przypisujemy niezłomność, stałość czyjejś woli, t. j. dyspozycji do postanawiania w pewien sposób¹. I znowu to dyspozycyjne znaczenie wyrazów przekonanie, zapatrywanie, pojęcie i t. p. występuje najjaśniej w zwrotach, w których o przekonaniu, o pojęciu i t. p. mówimy jako o czemś trwałem (por. § 15), więc w zwrotach takich jak żywić przekonanie, posiadać pojęcie i t. p.²

§ 20. I ażeby dopełnić wielorodności znaczeń, jakie mogą się łączyć z omawianymi wyrazami, używamy niekiedy zwrotów takich jak »energia jest jednym z zasadniczych pojęć współczesnej fizyki«. Oczywiście są to zwroty skrócone, gdyż energia nie jest pojęciem, lecz przedmiotem pojęcia. Ale zwroty takie dowodzą, że mieszamy też pojęcie z jego przedmiotem³. Czy Schopenhauer, pisząc o świetle jako woli i przedstawieniu, zdawał sobie sprawę z tego, w jakim znaczeniu używa wyrazu przedstawienie? Zdaje się, że ściśle rozgraniczenie tych różnych znaczeń, które mogą się z tego rodzaju wyrazami łączyć, wyszłoby bardzo na korzyść różnym teoryom epistemologicznym i metafizycznym.

§ 21. O tem, że należy odróżniać znaczenie, w którym tego rodzaju wyrazy dotyczą dyspozycji, od znaczenia, w którym dotyczą czynności, i od znaczenia, w którym dotyczą przedmiotów, nikt chyba nie wątpi. Natomiast mogą się zjawić wątpliwości, czy istotnie znaczenie, w którym tego rodzaju wyrazy dotyczą wytworów czynności, należy odróżniać od znaczenia, w którym dotyczą czynności. Mogłoby się nasunąć przypuszczenie, że różność jest tylko pozorna, że pochodzi z różnych sposobów, w jakie możemy wyrażać tę samą myśl, że się sprowadza do tego, co Marty nazwał kapryсами mowy. Wątpliwości te muszą jednak ustąpić wobec pewnego faktu, który świadczy o konieczności tego rozróżnienia. Dotknęliśmy go już w poprzednich rozważaniach.

§ 22. Fakt ten polega na tem, że o wytworach orzekamy nie-

¹ Por. Marty, Ueber Annahmen, Zeitschrift für Psychologie, 40 (1906) str. 11.

² O dyspozycyjnem znaczeniu wyrazu pojęcie zob. moją rozprawę Wyobrażenia i Pojęcia, Lwów, 1898, str. 144 i nast. oraz Ueber begriffliche Vorstellungen in Wissenschaftliche Beilage zum Jahresbericht der Philosophischen Gesellschaft an der k. k. Universität zu Wien, Leipzig, 1903, str. 25 i nast.

³ Ten przedmiot pojęcia, a więc wytworu, jest zarazem zewnętrznym przedmiotem czynności, której przedmiotem wewnętrznym jest wytwór. Por. uw. 2, str. 15.

jedno, czego nie powiadamy o dotyczących czynnościach. Mówimy np. o określaniu pojęć, przyczem nie chodzi nam wcale o określanie pojmwowania; pewne pytania nazywamy niezrozumiałemi, nie chcąc tem samem twierdzić, jakoby stawianie pytań było czynnością niezrozumiałą; charakteryzujemy niekiedy jakieś zadanie jako nierozwiązalne, co się oczywiście nie może tyczyć czynności zadawania; zarzucamy komuś, że przeoczył błąd, co wcale nie ma znaczyć, że przeoczył czynność błędzenia; mówimy o niespełnionych marzeniach, o postanowieniach, które nie zostały wprowadzone w czyn, a nie wyrażamy się w ten sposób o czynności marzenia albo o czynności postanawiania; mówimy o »złotych myślach« znakomitego pisarza, ale nie nazwiemy złotem jego myślenia¹. Widocznie więc chodzi nam o coś innego, gdy mówimy o wytworach, a o coś innego, gdy mówimy o dotyczących czynnościach, wobec czego rozróżnienie czynności i wytworów jest rzeczą zupełnie uzasadnioną.

§ 23. O ile jednak rozróżnienie czynności i wytworu wymaga osobnego uzasadnienia w przypadkach dotąd przytaczanych, w innych samo się ono narzuca. Dotąd przytaczane wytwory możnaby nazwać wytworami nietrwałymi, t. j. wytworami, które istnieją tylko tak długo, jak długo istnieje czynność, dzięki której powstają. Krzyk istnieje, póki trwa czynność krzyczenia, śpiew, póki trwa czynność śpiewania, myśl, jak długo ktoś myśli, sąd istnieje wtedy, gdy ktoś sądzi². Mówimy wprawdzie także o pewnych przekonaniach, że utrzymują się przez długie wieki, mówimy też o myślach mędrca, że go przetrwać mogą, ale nie chodzi tu o niezależne od czynności trwałe aktualne istnienie wytworów, lecz o powtarzanie się przez szereg pokoleń czynności i wytworów podobnych do tych, które zachodziły w pokoleniach poprzednich lub w owym mędrцу. Analogicznie mówimy, że są w nas pojęcia, przekonania, pragnienia, chociaż w da-

¹ Mogłoby się niekiedy wydawać, jakoby było rzeczą dowolną, czy cechę pewną przypisujemy za pomocą przymiotnika wytworowi, czy też za pomocą przysłówka czynności. Mówimy bowiem równie dobrze, że ktoś wydał przeraźliwy okrzyk, jak też, że przeraźliwie krzyknął. Widoczną jest jednak rzeczą, że ściśle mówiąc, cecha przeraźliwości przysługuje okrzykowi jako zjawisku akustycznemu, a nie czynności krzyczenia, gdyż nie wydanie okrzyku jest przeraźliwe, lecz sam okrzyk. Nie przeszkadza to oczywiście temu, że w innych przypadkach przypisujemy pewną cechę w właściwym znaczeniu samej czynności.

² Por. Bergmann l. c. str. 38: Das Urteil ist das mit dem Urteilen zugleich auftretende und wieder verschwindende Erzeugnis desselben.

nej chwili nie odbywają się w nas odpowiednie czynności. Znaczy to — jak wiadomo — tylko, że są w nas dyspozycje, dzięki którym w przyszłości mogą powstawać w nas wytwory takie same jak poprzednie. Gdy zatem mówimy o trwałem istnieniu wytworów tego rodzaju, chodzi bądź o powtarzanie się jednakowych czynności i wytworów, bądź o ich istnienie potencjalne¹. Dlatego też wytwory te można nazwać nietrwałymi, mianowicie w tem znaczeniu, że aktualnie nie trwają dłużej aniżeli czynność, dzięki której powstają.

§ 24. Ale obok nich istnieje rodzaj wytworów, które mogą trwać i zwykle trwają dłużej, aniżeli czynność, dzięki której powstają. Przykładami takich czynności i wytworów są: kreślić — kreska, spletać — splot, odciskać — odcisk, rysować — rysunek, pisać — pismo, drukować — druk, malować — malowidło, rzeźbić — rzeźba, budować — budynek i t. p. Rzeczownik, złożony w każdej parze wyrazów z odpowiednim czasownikiem, może pod względem gramatycznym spełniać względem niego rolę dopełnienia czyli przedmiotu wewnętrznego. Mówi się, stosując figurę etymologiczną, o kreśleniu kresek, rysowaniu rysunku, drukowaniu druków, o budowaniu budynków, a bez niej o modelowaniu rzeźby, o stawianiu budynków i t. p. I nie tylko możność stosowania figury etymologicznej dowodzi, że mamy tutaj do czynienia z przedmiotem wewnętrznym, lecz także fakt, że rzeczownik oznacza coś, co powstaje dopiero dzięki czyli skutek odpowiedniej czynności, przez tę czynność, tak jak w poprzednio przytoczonych przypadkach skakać — skok, pojmować — pojęcie, sądzić — sąd i t. p. Niepodobna też mówić tutaj o przedmiocie zewnętrznym, albowiem czynność, oznaczona czasownikiem, nie przechodzi na to, co oznacza rzeczownik, chociaż czasowniki te miewają przy sobie także przedmioty zewnętrzne, np. gdy powiadamy spletać włosy i t. p.².

¹ Potencjalność tę można pojmować w sposób chociażby najbardziej daleko idący, gdy np. mówi się o »istnieniu« prawd, których jeszcze nikt nie zna, t. j. o »istnieniu« prawdziwych sądów, których jeszcze nigdy nikt nie wydał. Chodzi tu oczywiście o możność wydania tych sądów, a tem, co istnieje, nie są sądy, lecz jest niem możność ich wydania.

² Tak samo ma się rzecz, jak wspomnieliśmy w uw. 3. str. 13, z czasownikami poprzednio omawianymi. Sąd jest przedmiotem wewnętrznym sądenia, ale to, o czem sądzę, jest zewnętrznym przedmiotem sądenia. Pojęcie jest wewnętrznym przedmiotem pojmowania, ale mówiąc »ja nie pojmuję jego postępowania«, przytaczam w wyrazie »jego postępowanie« przedmiot zewnętrzny czyn-

§ 25. Jest więc kreska, rysunek itd. przedmiotem wewnętrznym a tem samem wytworem kreślenia, rysowania i t. p. Ale między wymienionymi właśnie przedmiotami a poprzednio omawianymi zachodzi przecież ta ważna, powyżej zaznaczona różność, że przedmioty wewnętrzne czyli wytwory czynności takich jak kreślenie, rysowanie mogą trwać i zwykle trwają dłużej aniżeli same czynności, czyli że są trwałe. Gramatycy dlatego właśnie odróżniają je czasem od nietrwałych przedmiotów wewnętrznych i tworzą z nich odrębny rodzaj przedmiotów, także różny od przedmiotów zewnętrznych. A ponieważ wytwory trwałe tak samo jak nietrwałe są wytworami, t. j. czemś, co dopiero dzięki jakiejś czynności powstaje¹, przeto należy je na równi przeciwstawiać przedmiotom zewnętrznym, t. j. czemuś, co już istnieje, zanim przechodząca na nie czynność się rozpoczęła. Dlatego też koordynujemy przedmioty wewnętrzne i zewnętrzne, czyli przedmioty, które są wytworami pewnych czynności i przedmioty, które nie są ich wytworami, a przedmioty, które są wytworami, dzielimy na dwie współrzędne grupy, na przedmioty nietrwałe i trwałe².

§ 26. Możliwość trwania pewnych wytworów po dokonaniu czyn-

ności pojmowania. Rozróżnieniu wewnętrznego i zewnętrznego przedmiotu przedstawiania poświęcona jest moja rozprawa *Zur Lehre vom Inhalt und Gegenstand der Vorstellungen*, Wien 1894. Łączy się z tem kwestya, które z czynności muszą mieć przedmiot zewnętrzny obok wewnętrznego, a które mogą się ograniczać do przedmiotu wewnętrznego. Kwestya ta jest aktualna w psychologii, gdy np. stawia się pytanie, czy uczucie może występować tylko w połączeniu z przedstawieniem czy też bez przedstawienia. Sąd bowiem zawsze się musi łączyć z przedstawieniem, które uprzytomnia sądzącemu przedmiot (zewnętrzny) sądzenia; otóż, czy doznając uczucia, musimy też mieć zawsze przedstawienie (choćby wrazenie zmysłowe) przedmiotu (zewnętrznego), którego się to uczucie tyczy?

¹ W tem znaczeniu mówi Bruggmann o *Akkusativ des Inhalts* i *Akkusativ des Resultats*, które dopełniają czasowniki, oznaczające jakieś wytwarzanie (*Verba des Hervorbringens*). Por. jego *Griechische Grammatik* w Müllera *Handbuch der klassischen Altertumswissenschaft*, II. I. München, 1900, § 439, 2.

² Ze względu na to, że trwałość przedmiotów trwałych może przybierać różne rozmiary, między wytworami trwałymi i nietrwałymi niema ścisłej granicy. I tak krzyk, odbity echem, trwa dłużej aniżeli czynność krzyczenia, chociaż przecież na ogół wzięwszy należy go uważać za wytwór nietrwały; kreślenie natomiast, chociaż wytwór jego uważamy na ogół za wytwór trwały, może nie pozostawić po sobie żadnych chociażby chwilowych śladów, więc nie dać początku wytworowi trwałemu.

ności, dzięki której powstają, polega na tem, że czynności te przechodzą na coś czyli dokonywują się na czemś, co istnieje już przed rozpoczęciem czynności i istnieje też dalej po dokonaniu czynności, a co można najogólniej nazwać materiałem czynności. Splatając czyli robiąc splot, robimy splot z czegoś (splatamy coś), odciskając czyli robiąc odcisk, robimy go w czemś i t. p. Sama zaś czynność, dzięki której powstaje wytwór trwały, polega na przekształcaniu, przeobrażaniu materiału; czynność ta zmienia układ jego cząstek lub innej dokonywa w nim zmiany. Wytwarzając stopą odcisk w piasku, zmieniamy układ ziarenek piasku, a chociaż czynność wyciśnięcia odcisku już została dokonana i przestała istnieć, zmieniony układ ziarenek piasku trwa, będąc tym sposobem trwałym wytworem dokonanej czynności. Ściśle więc rzecz biorąc, wytworem czynności jest tylko nowy układ, przeobrażenie, przekształcenie¹ materiału, gdyż materiał istniał już przed czynnością; to też nazywając rysunek wytworem rysowania, nie chcemy przez to powiedzieć, jakoby cząstki grafitu i papier były wytworem rysowania, gdyż wytworem tym jest tylko ten właśnie układ cząstek grafitu na papierze. Tak samo nie farby i płótno są wytworem malowania (dziełem malarza), lecz wytworem jego jest pewne rozmieszczenie farb na płótnie; nie bryła gliny lub marmuru jest wytworem rzeźbienia, lecz pewna postać nadana bryle gliny lub marmuru. Ale ponieważ układ, rozmieszczenie, postać i t. p. istnieją tylko w pewnym materiale, przeto, wyrażając się nieściśle, nazywamy konkretną całość, więc ułożone w pewien sposób cząstki grafitu czyli kreski, rozmieszczone w pewien sposób na płótnie farby, posiadającą pewną postać bryłę gliny lub marmuru rysunkiem, malowidłem, rzeźbą.

§ 27. W zakresie czynności, dzięki którym powstają wytwory trwałe, rozróżnienie wytworów od czynności nie nasuwa żadnych wątpliwości. Wszak tutaj rozróżnienie samo się narzuca wobec tego, że wytwór trwa także po dokonanej już czynności. I jeżeli powiedzieliśmy, odróżniając wytwory nietrwałe od odpowiednich czynności, że wyrazy, oznaczające czynności, uwydatniają moment czynnościowy, a wyrazy oznaczające wytwory ich, moment bardziej zjawiskowy, zdarzeniowy, tutaj, gdzie chodzi o wytwory trwałe, po-

¹ Wyrazy te wzięte są tutaj, rzecz jasna, w znaczeniu wytworu, a nie w znaczeniu czynności przeobrażania, przekształcania.

wiedzieć można, że się one przedstawiają nietyle jako zjawiska lub zdarzenia, lecz jako rzeczy ¹.

§ 28. Czynności, dzięki którym powstają wytwory nietrwałe, jakoteż same wytwory nietrwałe podzieliłiśmy na fizyczne i psychiczne, wyróżniając wśród fizycznych jako osobny gatunek czynności i wytwory psychofizyczne. Otóż w zakresie wytworów trwałych niema miejsca na wytwory psychiczne. Wprawdzie mógłby się ktoś powołać na to, że pewne czynności psychiczne dokonywują się przecież na pewnym »materiał«. I tak tworząc fantastyczne wyobrażenia operujemy materiałem wyobrażeń, dostarczonych nam przez pamięć; tworząc łańcusznik, układamy w pewien sposób sądy, służące za »materiał« do niego. Ale ktoby w ten sposób chciał dowodzić trwałości pewnych przynajmniej wytworów psychicznych, zapomniaby, że musiałby też dowieść, iż owe inne wytwory psychiczne, które odgrywają rolę »materiału«, są wytworami trwałymi.

§ 29. W zakresie czynności i wytworów trwałych można tedy mówić tylko o wytworach fizycznych, wyróżniając wśród nich jako osobny gatunek wytwory psychofizyczne. Trwałym wytworem fizycznym takiejże czynności jest np. odcisk stopy w piasku, jeżeli odcisk ten powstał bez udziału świadomości kroczącego po piasku człowieka; trwałym wytworem psychofizycznym takiejże czynności będzie odcisk stopy, zrobiony w piasku świadomie i z zamiarem. Psychofizycznymi wytworami są malowidło, rzeźba i t. p., a to dlatego, że wytwory te powstają dzięki czynności psychofizycznej, t. j. dzięki takiej czynności fizycznej, której towarzyszy czynność psychiczna, wywierająca wpływ na przebieg czynności fizycznej i tem samem na powstający dzięki tej czynności wytwór.

§ 30. Ze względu na ten związek, zachodzący w takich razach między podpadającym pod zmysły wytworem psychofizycznym a nie podpadającym pod zmysły wytworem psychicznym, wytwór psychofizyczny staje się zewnętrznym wyrazem wytworu psychicznego. Stosunek ten zachodzi zarówno w nietrwałych, jak w trwałych wytworach psychofizycznych. I tak krzyk może być wyrazem bólu,

¹ Wytwory nietrwałe nie istnieją w znaczeniu aktualnem oddzielnie od odpowiednich czynności, lecz tylko w połączeniu z niemi; możemy je tylko oddzielnie od owych czynności rozważać. Wytwory trwałe natomiast mogą istnieć i istnieją w znaczeniu aktualnem oddzielnie od czynności, dzięki którym powstają.

pewien ruch głowy wyrazem sądu twierdzącego, pewien skok wyrazem przerażenia. Tak samo odcisk może być wyrazem chęci oparcia się, rysunek wyrazem pomysłu rysownika, cięcie komuś zadane wyrazem złości, którą odczuwał raniący do ranionego ¹. We wszystkich tych przypadkach wytwór psychiczny wyraża się na zewnątrz w odpowiednim wytworze psychofizycznym, a to dzięki temu, że wytwór psychofizyczny powstaje nie wskutek czysto fizycznej, lecz wskutek psychofizycznej czynności ². Twierdzenie zatem, że w jakimś wytworze psychofizycznym wyraża się jakiś wytwór psychiczny, czyli że jakiś wytwór psychiczny znajduje swój wyraz w wytworze psychofizycznym, sprowadza się do dwóch momentów: po pierwsze, że wytwór psychiczny (wraz z odpowiadającą mu czynnością psychiczną) jest częściową przyczyną powstania wytworu psychofizycznego, a po drugie, że ów wytwór psychiczny, tak jak odpowiadająca mu czynność psychiczna, pod zmysły nie podpada, gdy tymczasem wytwór psychofizyczny pod zmysły podpada ³.

§ 31. O wytworze psychicznym, który się wyraża w wytworze

¹ Analogiczny stosunek do tego, który zachodzi tutaj między wytworami, zachodzi też między czynnościami. W czynności psychofizycznej wyraża się odpowiednia czynność psychiczna: w krzyczeniu doznawanie bólu, w rysowaniu pomyślenie sobie pewnego rysunku i t. p.

² Ponieważ jakiś wytwór psychofizyczny może powstać wskutek nie jednej, lecz kilku czynności psychofizycznych, przeto mogą się w nim wyrażać różne wytwory psychiczne. I tak w rysunku wyrazić się może wyobrażenie rysunku, które rysownik ma, kreśląc rysunek, dalej pojęcie, które rysownik pragnie swym rysunkiem uzmysłwić, pragnienie uzmysłowienia pojęcia i t. p. W ten sposób wytwór psychofizyczny wyraża pewne wytwory psychiczne bezpośrednio, inne pośrednio w różnych stopniach pośredniości. Analogiczne ustosunkowanie zachodzi wtedy między odpowiedniami czynnościami, przychem jedne z nich służą niekiedy za środki do dokonywania czynności innych, których wytwory znajdują następnie pośredni wyraz w wytworze psychofizycznym. Te czynności i wytwory pomocnicze są tem, co się nazywa w ścisłym tego słowa znaczeniu »techniką«.

³ Fakt, że o wyrażaniu się częściowej przyczyny w wytworze dzięki niej powstającym mówimy także tam, gdzie brak drugiego powyżej przytoczonego momentu (np. powiększenie ciężaru wyraziło się w szybszym obrocie koła), nie wchodzi w grę tutaj, gdzie mowa o wytworach psychofizycznych. Tak samo możemy tu pominąć wspomniany pow. w uw. 1 fakt, że także czynność psychiczna, będąc wraz z swym wytworem częściową przyczyną powstania wytworu psychofizycznego, w nim się obok wytworu swego wyraża. Zajmujemy się tu bowiem przedewszystkiem wytworami, a czynnościami odpowiedniami tylko o tyle, o ile tego rozważanie wzajemnego stosunku różnych wytworów wymaga.

psychofizycznym czyli którego wyrazem jest wytwór psychofizyczny, mówimy niekiedy, że ten wytwór psychofizyczny go wyraża, czyli że wytwór psychiczny jest przez wytwór psychofizyczny wyrażony. Ale mówimy tak tylko pod pewnym warunkiem, mianowicie wtedy, jeżeli wytwór psychofizyczny, w którym się wyraża jakiś wytwór psychiczny, sam może się stać częściową przyczyną powstania takiego samego lub podobnego wytworu psychicznego¹, a to tym sposobem, że wywołuje czynność psychiczną taką samą jak ta, dzięki której sam powstał albo przynajmniej do niej podobną. Tak np. okrzyk, w którym się wyraża przerażenie, tylko wtedy sam będzie to przerażenie wyrażał, jeżeli w słyszającym go osobniku również powstanie przerażenie². Tak samo rysunek, w którym się wyraża myśl rysownika, tylko wtedy myśl tę naprawdę wyraża, jeżeli w oglądającym rysunek osobniku powstaje myśl, odpowiadająca tej, którą miał rysownik, kreśląc swój rysunek. Jeżeli rysunek jest tego rodzaju, że w oglądającym go osobniku innym a może nawet w samym rysowniku po jakimś czasie nie powstaje na jego widok myśl, odpowiadająca tej, którą rysownik miał, gdy go rysował, wtedy rysunek jest »niezrozumiały« i tej myśli nie wyraża, chociaż znalazła ona w nim swój — w tym przypadku bardzo nieudolny — wyraz³. Jakże zaś składają się na to okoliczności, że pewne wytwory psychofizyczne wyrażają jakieś wytwory psychiczne, gdy tymczasem inne są tylko ich wyrazem, jest rzeczą dla samego faktu

¹ Pozostałe części przyczyny leżą w oddziaływaniu wytworu psychofizycznego na obdarzonego odpowiednimi dyspozycjami osobnika.

² Zamiast samego przerażenia, więc wytworu podobnego do tego, który w krzyku się wyraża, może w osobniku, słyszającym krzyk, powstać też samo tylko przedstawienie przerażenia; wtedy przedstawienie przerażenia występuje niejako w zastępstwie samego przerażenia i ze względu na to jest wytworem zastępczym. O wytworach zastępczych będzie mowa poniżej w §§ 42—44.

³ Należy zatem ściśle odróżniać zwrot: »wytwór psychofizyczny (podmiot) wyraża wytwór psychiczny (przedmiot)« od następujących między sobą synonimicznych zwrotów: »wytwór psychiczny wyraża się czyli znajduje swój wyraz w wytworze psychofizycznym«, »wytwór psychofizyczny jest wyrazem wytworu psychicznego«. Rozróżnienie to pozwala usunąć różne nieporozumienia, i tak np. może się ono przyczynić do wyjaśnienia tak bardzo spornej kwestyi stosunku muzyki do uczuć. Jeżeli się bowiem wszyscy godzą na to, że w utworze muzycznym mogą się wyrażać uczucia (a także myśli), których doznaje kompozytor, utwór ten tworząc, nie wynika z tego bynajmniej, by utwór ten owe uczucia wyrażał. Por. Hanslick, *Vom Musikalisch-Schönen* i Haussegger, *Die Musik als Ausdruck* (Wien 1885).

wyrażania obojętną. Działa tu skojarzenie, bądź na podstawie podobieństwa, bądź na podstawie umowy i t. p.

§ 32. Wytwory psychofizyczne, które wyrażają jakieś wytwory psychiczne, nazywają się też znakami tych wytworów psychicznych, a same te wytwory psychiczne ich znaczeniem¹. Znaczeniem jest tedy każdy wytwór psychiczny, który pozostaje do wytworu psychofizycznego w tym stosunku, że go wytwór psychofizyczny wyraża. Mówimy tedy o znaczeniu krzyku, znaczeniu rysunku, znaczeniu ruchu, znaczeniu rumieńca i t. p. A »wyrazy« mowy są także wytworami psychofizycznymi, w których znajdują swój wyraz pewne wytwory psychiczne, myśli, sądy i t. p.; zarazem wyrazy mowy wyrażają na ogół dokładniej aniżeli inne wytwory psychofizyczne te wytwory psychiczne, które są ich znaczeniem, a których one same są znakami. Co zaś chcemy powiedzieć, jeżeli jakiś znak nazywamy wieloznacznym, wynika bezpośrednio z powyższych wywodów, przyczem jasną też jest rzeczą, że wieloznaczność, przekraczająca pewną granicę, staje się niezrozumiałością. Tak więc i tutaj *les extrêmes se touchent*, skoro wytwór psychofizyczny, obdarzony zbyt wielu znaczeniami, staje się właściwie wytworem psychofizycznym bez znaczenia².

¹ Szczegółową teorię znaków i znaczenia rozwija Martinak w pracy p. t. *Psychologische Untersuchungen zur Bedeutungslehre*, Leipzig 1901.

² Co do terminologii należy zauważyć, że wyraz »znaczyć« sam nie jest jednoznaczny. Jeżeli mówimy, że jakiś wyraz coś znaczy, chcemy przez to powiedzieć, że ma on jakieś znaczenie. Tak rozumiany wyraz znaczyć odpowiada łacińskiemu *significare*, niemieckiemu *bedeuten*. Zamiast powiedzieć, że jakiś wyraz lub wogóle jakiś wytwór psychofizyczny coś znaczy, możemy nie tylko powiedzieć, że on ma jakieś znaczenie, lecz także, że on zawiera jakieś znaczenie, że się z nim łączy jakieś znaczenie, że w nim tkwi jakieś znaczenie, że on wyraża jakieś znaczenie. Coś innego natomiast mamy na myśli, gdy używamy zwrotu: znaczyć drzewa, owce i t. p. Wyrazowi znaczyć tak użytemu odpowiada łacińskie *denotare*, niemieckie *bezeichnen*. Chodzi tu o zaopatrywanie przedmiotów cechami, odróżniającymi je od innych przedmiotów, a cechy te także nazywają się znakami. Rzeczownik słowny »znaczenie« może zgodnie z tem, cośmy powiedzieli o rzeczownikach słownych wogóle, dotyczyć bądź wytworu psychicznego, wyrażonego przez pewien wytwór psychofizyczny, bądź czynności zaopatrywania czegoś znakami. Czynność zaopatrywania czegoś znakami nazywamy też oznaczaniem. Przenośnie mówimy także, że same wytwory psychofizyczne coś oznaczają, mianowicie oznaczają one zewnętrzne przedmioty czynności, dzięki którym powstają owe wytwory psychofizyczne. Tak więc mówimy o wyrazach mowy, że one nie tylko coś znaczą, lecz że także coś ozna-

§ 33. W chwili, gdy się dokonywa czynność psychofizyczna, dzięki której jakiś wytwór psychiczny wyraża się czyli znajduje swój wyraz w odpowiednim wytworze psychofizycznym (np. przeżenie w okrzyku w chwili krzyczenia, myśl w rysunku w chwili rysowania), istnieją aktualnie równocześnie i wytwór psychiczny i wytwór psychofizyczny. Można bowiem bez popełnienia zbyt jaszkrawej niedokładności powiedzieć, że krzyczący z przeżenia doznaje przeżenia równocześnie z wydawaniem krzyku, albo że rysujący uprzytomnia sobie myśl pewną równocześnie z rysowaniem rysunku, w którym chce ją wyrazić. Tam, gdzie wytwory psychofizyczne są nietrwałe, wraz z wytworem psychicznym mniej więcej równocześnie znika wytwór psychofizyczny, a nawet wytwór psychiczny może przetrwać odpowiedni wytwór psychofizyczny, ale nie naodwrot. W chwili więc, w której wytwór psychofizyczny przestaje istnieć, wytwór psychiczny przestaje też się wyrażać. Gdy ustaje jęk, już się cierpienie nie wyraża, chociaż może istnieć dalej. Tam zaś, gdzie wytwór psychofizyczny jest trwały, sprawa ma się odwrotnie: chociaż już rozwiązała się myśl w głowie rysownika, istnieje przecież rysunek, w której ją wyraził, i w której ona znajduje swój wyraz tak długo, jak długo rysunek istnieje. Zatem w aktualnie istniejącym wytworze psychofizycznym znajduje swój wyraz wytwór psychiczny, który już nie istnieje. Znajdując zaś wyraz swój w wytworze trwałym, wytwór nietrwały >żyjąc w nim dalej< sam nabiera pozoru jakiejś trwałości, non omnis mortuus est, skoro istnieje nadal wytwór psychofizyczny, do którego powstania wytwór psychiczny się przyczynił.

§ 34. Coś podobnego dzieje się też wtedy, gdy wytwór psychiczny jest znaczeniem wytworu psychofizycznego, gdy więc ten wytwór psychofizyczny go wyraża, jest jego znakiem. Wytwór psychofizyczny nazywamy znakiem wytworu psychicznego, a wytwór psychi-

czają. Pewne wyrazy mowy bowiem powstają przez nadawanie przedmiotom nazw. Więc wytworem psychofizycznym tej czynności jest nazwa, imię, t. j. wyraz mowy, którego znaczeniem jest przedstawienie danego przedmiotu. A zarazem imię, nazwa, wyraz mowy oznacza, czyli — jak się też mówi — wymienia ów przedmiot. I tak wyraz Syn Sofroniska wyraża pewne pojęcie, które jest jego znaczeniem, a zarazem wymienia pewną osobę. Podobnie wyraz trójkąt wyraża pewne pojęcie, które jest jego znaczeniem, a oznacza czyli wymienia wszystkie przedmioty, które pod to pojęcie podpadają. Por. moją rozprawę *Zur Lehre vom Inhalt und Gegenstand der Vorstellungen*, § 3.

czny znaczeniem wytworu psychofizycznego, jeżeli, jak powiedzieliśmy, wytwór psychofizyczny, w którym się wyraża wytwór psychiczny, może się stać częściową przyczyną powstania takiego samego lub podobnego wytworu psychicznego. Otóż, o ile znak jest wytworem trwałym, istnieje — jak długo znak istnieje — trwałą częściową przyczyną powstania wytworu psychicznego nietrwałego. Tak więc w naszym przykładzie rysunek jest tą trwałą częściową przyczyną myśli, która, gdy przyczyna będzie dopełniona, powstanie jako wytwór psychiczny w oglądającym rysunek osobniku. Ten wytwór psychiczny sam nie jest trwały; istnieje tylko tak długo, jak długo istnieje wytwarzająca go czynność psychiczna; może taki wytwór psychiczny powstawać kilkakrotnie, ale zawsze będzie on wytworem nietrwałym. Ale i w tym czasie, gdy wytwór psychiczny nie istnieje, t. j. wtedy, gdy w nikim nie odbywa się czynność psychiczna, dająca początek wytworowi psychicznemu, istnieje przecież jedna z częściowych przyczyn, dzięki którym w danej chwili może powstać ów wytwór nietrwały, mianowicie trwały wytwór psychofizyczny, będący znakiem wytworu psychicznego. Otóż podobnie, jak o przyczynie mówimy, że »istnieje« dalej w skutku, tak też mówimy o skutku, że istnieje potencjalnie już w przyczynie chociażby częściowej. Mówimy więc także, że wytwór psychiczny, będący znaczeniem odpowiedniego wytworu psychofizycznego czyli odpowiedniego znaku, istnieje potencjalnie w owym wytworze psychofizycznym, w owym znaku. Ów wytwór psychiczny, owo znaczenie, owa treść i t. p., pozostająca w określonym tutaj stosunku do wytworu psychofizycznego, przybiera pozory, jakoby w tym wytworze psychofizycznym tkwiła, w nim była zawarta, jakoby była weń zaklęta lub wcielona, a wszystkie te wyrażenia nie znaczą oczywiście nic innego, jak to, że ów wytwór psychofizyczny jest jedną z częściowych przyczyn powstania wytworu psychicznego, że więc wytwór psychiczny istnieje potencjalnie (a bynajmniej naprawdę i aktualnie) w wytworze psychofizycznym¹. Wiadomo jednak, jak dalece w mowie poto-

¹ Wskutek takiego stanu rzeczy wyraz »znaczenie« przybiera jeszcze trzecie (okok przytoczonych na str. 21) znaczenie, mianowicie znaczenie zdolności wywoływania (oczywiście przy pomocy jeszcze innych częściowych przyczyn) wytworu psychicznego w osobniku, na który wytwór psychofizyczny jako znak owego wytworu psychicznego oddziaływa, czyli, krócej, zdolności uprzytomnienia odpowiedniego wytworu psychicznego. Jest to przesunięcie znaczenia analogiczne do tego, o którym już była mowa, a na mocy którego »sąd« oznaczać

cznej a niekiedy nawet w terminologii naukowej potencyalne i aktualne znaczenie wyrazu »istnieć« nie bywa dość skrupulatnie rozróżniane, wskutek czego zatracą się świadomość potencyalności istnienia, jakie przypisujemy wytworowi psychicznemu w wytworze psychofizycznym, a dalszem tego następstwem jest to, że wytwór psychiczny, »istniejąc« w ten sposób w trwałym wytworze psychofizycznym, także z tej strony przybiera pozory wytworu trwałego, chociaż z natury swej jest przecież wytworem nietrwałym.

§ 35. Tak więc trwałe wytwory psychofizyczne nadają nietrwałym wytworom psychicznym pozory trwałości jako ich trwałe skutki i jako ich trwałe częściowe przyczyny. To też wytwory psychiczne, związane powyżej określonym stosunkiem z trwałymi wytworami psychofizycznymi, można nazwać wytworami utrwalonymi, i zgodnie z tem można mówić o utrwalaniu wytworów nietrwałych. Utrwalanie to nie jest ograniczone do wytworów psychicznych, lecz może też dotyczyć nietrwałych wytworów fizycznych i psychofizycznych. Zawsze będzie ono polegało na takim ustosunkowaniu nietrwałego wytworu do wytworu trwałego, by wytwór trwały, będąc skutkiem wytworu nietrwałego, stał się częściową przyczyną, która w połączeniu z resztą częściowych przyczyn da początek powstaniu takiego samego lub podobnego wytworu nietrwałego. Utrwalając np. okrzyk na płycie fonograficznej, każemy czynności krzyczenia, wytwarzającej okrzyk, więc wytwór nietrwały, równocześnie pośrednio wytwarzać wyżłobienia na płycie, więc wytwory trwałe. Te wytwory trwałe stają się tem samem przyczyną częściową, dzięki której może powstać wytwór nietrwały, podobny do poprzedniego, t. j. okrzyk oddany gramofonem, a tym sposobem okrzyków utrwalają.

§ 36. W przytoczonym przykładzie ta sama czynność, która wytwarza wytwór nietrwały (okrzyk), wytwarza też pośrednio wytwory trwałe (wyżłobienia na płycie). Ale celem utrwalenia wytworów nietrwałych można się posługiwać wytworami trwałymi, do wytworzenia których trzeba czynności odrębnej. Czynność koncykowa-

~~~~~  
może obok wytworu sądenia także zdolność sądenia. Przy tej sposobności należy może zwrócić uwagę na to, że istnieje jeszcze czwarte znaczenie wyrazu znaczenie, w którym mówimy np. że wypadek jakiś jest bez znaczenia. Że to czwarte znaczenie nie jest bez związku ze znaczeniem wyrazu znaczenie, w którym dotyczy on wytworu psychicznego, na to wskazuje chociażby zwrot łaciński: idem significare et tantumdem valere.

nia pewnego układu kresek czyli wyobrażania sobie tego układu, więc czynność wytwarzająca wyobrażenie tego układu, sama z siebie nie jest zdolna tego wyobrażenia utrwalić. Trzeba na to czynności odrębnej, mianowicie kreślenia rysunku, więc czynności »technicznej«, i dopiero ona wytworzy wytwór trwały, mianowicie pewien układ kresek na papierze, w którym się wyobrażenie rysownika wyrazi.

§ 37. Jeszcze bardziej złożony jest proces utrwalania wytworów psychicznych, myśli, uczuć, pragnień, postanowień i t. p. w piśmie, druku i t. p. Albowiem tutaj nie utrwalamy wprost nietrwałego wytworu psychicznego przy pomocy trwałego wytworu psychofizycznego, jak to ma miejsce w powyższym przykładzie z rysunkiem, lecz utrwalamy nietrwałe wytwory psychofizyczne, które wyrażają nietrwałe wytwory psychiczne. Obok jednego szeregu wytworów nietrwałych psychicznych mamy tutaj dwa szeregi wytworów psychofizycznych, z których jeden obejmuje wytwory nietrwałe, drugi wytwory trwałe. Myśląc, dokonywamy czynności psychicznych, których wytworami są nasze myśli. Są to nietrwałe wytwory psychiczne. Równocześnie dokonywamy czynności mówienia, dzięki której powstają nietrwałe wytwory psychofizyczne, wygłaszane przez nas wyrazy mowy, zdania i t. p. I dopiero te wytwory nietrwałe psychofizyczne utrwalamy za pomocą czynności, przez którą powstają trwałe wytwory psychofizyczne, znaki pisarskie w najogólniejszym tego słowa znaczeniu <sup>1</sup>.

§ 38. Dzięki utrwaleniu wytwory nietrwałe nabierają nie tylko pozoru wytworów trwałych, lecz także pozoru wytworów poniekąd od wytwarzających je czynności niezależnych, upodabniając się i pod tym względem w naszej nie zawsze zupełnie jasnej świadomości do wytworów trwałych, w których zostają utrwalone. Wszak wytwory trwałe istnieją istotnie niezależnie od wytwarzających je czynności o tyle, że istnieją dalej, chociaż owe czynności już istnieć przestały. A tę pozorną niezależność wytworu nietrwałego od wytwarzającej go czynności potęgują jeszcze dwie inne okoliczności.

§ 39. Jeżeli wytwór trwały psychofizyczny wywołuje kolejno w tym samym osobniku albo kolejno lub równocześnie w różnych osobnikach wyrażony w nim wytwór psychiczny, wywołuje on oczy-

---

<sup>1</sup> Wskutek zmechanizowania czynności może z biegiem czasu środkowy szereg czynności i wytworów odpaść, ale nie zmienia to faktu, że w ten właśnie sposób powstają znaki pisarskie.

wiecie nie jeden tylko wytwór, lecz tyle wytworów, ile jest czynności, wytwarzających wytwory. A te wytwory nie będą sobie zupełnie równe, lecz będą się między sobą mniej lub więcej różnić. Wystarczy przypomnieć sobie, jak różne wytwory psychiczne powstają w różnych osobnikach, na które działa np. ten sam obraz, to samo zdanie<sup>1</sup>. Jak długo jednak mamy ów wytwór psychofizyczny uważać za wytwór, wyrażający jakiś wytwór psychiczny, różność pomiędzy wytworami psychicznymi, przezeń wywołanymi, nie śmie iść za daleko, musi istnieć w tych poszczególnych wytworach psychicznych szereg cech wspólnych<sup>2</sup>. I właśnie te cechy wspólne, to, w czym się owe poszczególne wytwory psychiczne zgadzają, uważamy zwykle za znaczenie wytworu psychofizycznego, za zawartą w nim treść, pod warunkiem oczywiście, że odpowiadają one zamiarowi, w którym ów wytwór psychofizyczny został jako znak użyty. Dlatego mówimy też, że jakieś zdanie budzi w różnych osobach myśl »tę samą«, gdy tymczasem, ściśle rzecz biorąc, budzi ono tyle myśli, ile jest osobników, przyczem myśli te nie są sobie nawet równe. Ale abstrahujemy od tego, czym się te myśli różnią, i za myśli, która jest znaczeniem zdania, uważamy tylko te jej składniki, które się zgadzają ze sobą i z odpowiednimi składnikami myśli osobnika, posługującego się owym zdaniem. Mówimy więc tylko o jednym znaczeniu znaku — pominąwszy przypadki wieloznaczności — a nie o tylu znaczeniach, ile wytworów psychicznych ów znak budzi lub może budzić w osobnikach, na które działa. W ten zaś sposób pojęte znaczenie nie jest już konkretnym wytworem psychicznym, lecz czemś, do czego dochodzimy drogą abstrahowania, dokonanego na konkretnych wytworach<sup>3</sup>. Jest to sprawa analogiczna zupełnie do postępowania naszego, gdy mówimy, że pewnej osobie zdarzyło się to samo, co osobie innej. Wszak »to samo« nie mogło się zda-

---

<sup>1</sup> Ta różność wytworów psychicznych zaznacza się oczywiście także wobec nietrwałych wytworów psychofizycznych: uczucia, które budzi ten sam okrzyk, słyszany przez kilka osób, z pewnością nie jest jednakowe w każdej z nich. Pomijam tu kwestyę, czy wogóle okrzyk jest dla każdej osoby, która go słyszy, »ten sam« albo przynajmniej »taki sam«; jeżeli ktoś woli przyjąć, że nie, wyjdzie to tylko na korzyść naszych wywodów.

<sup>2</sup> W tem znaczeniu mówi Stumpf o »inwariantach« wytworów. Por. *Erscheinungen und psychische Funktionen*, str. 33. Uwaga.

<sup>3</sup> Sprawą tą zajmuje się szczegółowo Husserl w swych *Logische Untersuchungen*, tom II. (Halle, 1901), str. 97 i następne, mówiąc o »ideale Bedeutungen«.

rzyć dwa razy, ale mówimy tak, gdyż w danym przypadku chodzi nam o cechy wspólne obu zdarzeń.

§ 40. Otóż ponieważ w używaniu wytworów psychofizycznych celem wzbudzania w innych osobnikach odpowiednich wytworów psychicznych chodzi nam właśnie o to, by te różne wytwory psychiczne, w różnych osobnikach powstające, posiadały pewne cechy wspólne, ponieważ wskutek tego pomijamy zupełnie ile możliwości osobnicze cechy tych wytworów psychicznych. a pomijając je, wyrażamy się tak, jak gdyby tylko te wspólne cechy wytworów istniały, jak gdyby więc we wszystkich osobnikach istniał jeden i ten sam wytwór, przeto, tracąc znowu świadomość właściwego znaczenia takiego sposobu wyrażania się, odnosimy wrażenie, jakoby szereg różnych czynności psychicznych wytwarzał jeden i ten sam wytwór psychiczny. A działa przytem i tutaj pewne upodobnienie wytworu psychicznego do psychofizycznego, skoro przecież tem, co na różne osobniki działa, jest często jeden i ten sam wytwór psychofizyczny. Dzięki tym okolicznościom wytwór psychiczny, powtarzający się niejako w sposób identyczny w osobnikach różnych, nabiera wybitnego charakteru czegoś od owych czynności niezależnego.

§ 41. Druga, wspomniana powyżej okoliczność, potęgująca pozory niezależności wytworów psychicznych od wytwarzających je czynności psychicznych, polega na tem, że stosujemy bardzo często wyrazy, oznaczające wytwory, do czegoś, co nie jest wytworem czynności. Mówimy np. o rysunku, »utworzonym« przez pewien układ żyłek na powierzchni liścia, mówimy o »plotcie włókien, mówimy o kreskach, występujących na powierzchni szlifowanej kamienia, chociaż wiemy, że nie było tu żadnej czynności rysowania, splatania, kreślenia. Więc mamy tu pewne »niby-wytwory«, które powstały nie dzięki czynnościom wytwarzającym je, lecz w inny sposób. Traktujemy zaś te »niby-wytwory« — przynajmniej pod względem językowym — tak, jak gdyby były istotnie wytworami, nazywamy je rysunkiem, spletem, kreskami; więc i tym sposobem uczymy się istotne wytwory bez trudności wszelkiej rozważać całkiem niezależnie od czynności, dzięki którym jedynie mogą powstać.

§ 42. Łączy się z tem pewien fakt, godny uwagi. Obok »niby-wytworów«, powstających nie dzięki jakiejś czynności, lecz w sposób inny, istnieją wytwory, które powstają wprawdzie dzięki jakiejś czynności, ale tak, że naśladują lub zastępują wytwory inne, powstające dzięki czynnościom innym. Można je nazwać wytworami

sztucznymi albo zastępczymi. Odcisk stopy w glinie może być zrobiony sztucznie, więc może powstać nie wskutek odcisnięcia stopy w glinie, lecz wskutek odpowiedniego wyłobienia gliny ręką. Nie będzie to więc rzeczywisty odcisk stopy, lecz wytwór, powstały wskutek czynności odmiennej, co nie przeszkadza, że dla pewnych celów ten sztuczny wytwór będzie mógł oddawać takie same usługi jak rzeczywisty odcisk stopy. Jeżeli możnaby wytwory nietrwałe, utrwalone przy pomocy wytworów trwałych, nazwać petrefaktami, to takim wytworom zastępczym, sztucznym, możnaby nadać nazwę artefaktów.

§ 43. Takie artefakty zdarzają się często w zakresie wytworów psychofizycznych. Obfity z nich użytek czyni np. aktor, przyjmując postawę, w której ma się wyrażać jakieś uczucie. W istocie jednak aktor uczucie to zwykle sobie tylko przedstawia, tak iż postawa owa, ów wytwór psychofizyczny, nie powstaje dzięki rzeczywistemu uczuciu, które się w takiej postawie zwykle wyraża, lecz dzięki przedstawieniu uczucia czyli uczuciu przedstawionemu. Więc tak, jak owo uczucie tylko przedstawione jest wytworem, zastępującym uczucie rzeczywiste, tak też i owa postawa jest wytworem sztucznym, gdyż nie jest ona rzeczywistym wyrazem uczucia, lecz tylko jego wyrazem udanym, przybranym.

§ 44. Innego przykładu stosowania artefaktów dostarcza logika. Sąd jako wytwór czynności sądzenia czyli wydawania sądów wyraża się w powiedzeniach, t. j. w wytworach psychofizycznych, które powstają dzięki czynności psychofizycznej wypowiadania czyli wygłaszania powiedzeń. Takie powiedzenia wyrażają tedy sądy czyli znaczeniem takich powiedzeń są sądy<sup>1</sup>. Można jednak tworzyć po-

---

<sup>1</sup> Powyżej wspomnieliśmy, że niektórzy nazywają sądem właśnie to, co tutaj występuje pod nazwą powiedzenia. Czini tak m. i. Prof. Dr. Łukasiewicz, określając sąd jako »szereg słów albo innych znaków, orzekających, że jakiś przedmiot posiada pewną cechę albo jej nie posiada« (O zasadzie sprzeczności u Arystotelesa, Kraków, 1910, str. 12). Traktując jednak sąd jako szereg słów albo innych znaków, musi Dr. Łukasiewicz od tego szeregu słów albo innych znaków odróżniać to, co jest jego znaczeniem. W samej rzeczy mówi też Dr. Łukasiewicz o »sądach równoznacznych«, określając je jako takie, które »wyrażają w różnych słowach myśl tę samą« (tamże str. 15). Otóż ta myśl, wyrażona w słowach, nie jest oczywiście niczem innym, jak sądem w znaczeniu wytworu czynności sądzenia; gdyby więc wyraz sąd miał służyć do oznaczania »szeregu słów albo innych znaków«, które tego rodzaju myśl wyrażają, zabrakłoby wyrazu na oznaczanie takiej myśli.



wiedzenia sztuczne, zastępcze, które nie będą wyrazem sądów wydanych, lecz wyrazem wytworów sztucznych, zastępujących sądy wydane, mianowicie sądów tylko przedstawionych. Więc i znaczeniem tych sztucznych powiedzeń nie będą sądy wydane czyli sądy rzeczywiste, lecz sądy tylko przedstawione czyli przedstawienia sądów<sup>1</sup>. Takimi sztucznymi powiedzeniami są nie tylko owe symbole, których logika używa, jak np.  $SaP$ ,  $a < b$ , lecz także stosowane w niej powiedzenia, złożone z wyrazów mowy. Albowiem logik (a podobnie gramatyk i t. p.), który wygłasza lub wypisuje powiedzenia dla przykładu, zwykle nie wydaje wcale sądów, które są znaczeniem tych powiedzeń. Często nawet nie mógłby ich wcale wydawać, gdyby nawet chciał<sup>2</sup>. Jeżeli np. celem przytoczenia przykładu wnioskowania pod względem formalnym prawidłowego, chociaż operującego samymi materialnie fałszywymi sądami, wygłasza lub wypisuje powiedzenia:

Wszystkie trójkąty są kwadratami,

Wszystkie kwadraty są kołami,

---

Wszystkie trójkąty są kołami,

powiedzenia jego nie są wytworami psychofizycznymi, któreby wyrażały sądy rzeczywiste czyli wydane. Wyrażają one sądy przedstawione tylko<sup>3</sup>, a te sądy przedstawione tylko zastępują sądy wydane

---

<sup>1</sup> Doniosłość, jaką posiadają w naszym życiu psychicznem sądy przedstawione tylko, wynika m. i. z faktu, że wchodzą one w skład wszystkich naszych pojęć (Por. moją rozprawę p. t. Wyobrażenia i pojęcia, Lwów, 1898, zwłaszcza § 11).

<sup>2</sup> Używamy niekiedy zwrotu: istnieją sądy, których nikt nigdy wydać nie może. Znaczy to, że można sobie pomyśleć czyli przedstawić takie sądy; nadajemy więc tutaj wyrazowi »istnieć« znowu znaczenie niewłaściwe. Por. powyżej str. 15 uw. 1.

<sup>3</sup> Powiedzeniami, które nie wyrażają sądów rzeczywistych, lecz sądy przedstawione tylko, zajmuje się m. i. A. Marty (Untersuchungen zur Grundlegung der allgemeinen Grammatik und Sprachphilosophie, Halle 1908, § 115). Nazywa on takie powiedzenia fikcyjnymi i zalicza je konsekwentnie wraz z nazwami (imionami), które są oddawna znanymi znakami słownymi przedstawień, do jednej grupy znaków słownych, mianowicie do tak przez niego zwanych *Vorstellungssuggestive*. Tym powiedzeniom fikcyjnym, należącym do *Vorstellungssuggestive*, przeciwstawia powiedzenia rzeczywiste czyli t. zw. *Urteilssuggestive*. Powiedzenia, należące do *Vorstellungssuggestive* (czyli do — jak możnaby ten wyraz przetłumaczyć — przedstawników), możnaby nazwać powiedzeniami w zna-

czyli rzeczywiste tak samo, jak owe powiedzenia zastępują powiedzenia rzeczywiste, t. j. wyrażające sądy rzeczywiste. Artefakt psychofizyczny wyraża tu artefakt psychiczny<sup>1</sup>.

§ 45. Tego rodzaju utrwalone wytwory zastępcze przedstawiają najskrajniejszy przypadek uniezależnienia wytworów psychicznych od czynności, dzięki którym jedynie istnieć mogą naprawdę czyli aktualnie. Operując takimi wytworami zastępczymi i w nauce i w życiu potocznym, nie odczuwamy też żadnej trudności w operowaniu niezastępczymi wytworami niezależnie od wytwarzających je czynności, tem bardziej, że niezmiennie często wytwory rzeczywiste i zastępcze zjawiają się naprzemian, np. gdy wydajemy sąd, który przyjęliśmy zrazu z niedowierzaniem<sup>2</sup>. To też nie można się temu dziwić, że utrwalone w wytworach psychofizycznych wytwory psychiczne traktujemy niemal jako coś obiektywnego, czyniąc z nich przedmiot naszych dociekań życiowych i naukowych. Nasuwa się możność wyróżnienia w całokształcie badań naukowych pewnej grupy nauk w ten właśnie sposób, że się za ich wyłączny lub główny przedmiot uzna wytwory psychiczne. Pojęciu tych nauk odpowiadałaby może

---

czeniu szerszem. zaś powiedzenia, należące do Urteilssuggestive, powiedzeniami w znaczeniu ściślejszem.

<sup>1</sup> Pierwszym, który taki pogląd na przedmiot logiki szczegółowo uzasadnił, był Bernard Bolzano. Sądy w powyżej określony sposób uniezależnione od czynności sążenia nazwał »Sätze an sich«. Obok »Sätze an sich« zna Bolzano także »Vorstellungen an sich«, t. j. przedstawienia w takiż sposób uniezależnione od czynności przedstawiania (Wissenschaftslehre 1837, tom I. §§ 19—23 oraz 48—53, gdzie też przytoczone są liczne cytaty z dzieł autorów dawniejszych, którzy już mniej lub więcej zbliżali się do uchwycenia tych pojęć). (Dla uniknięcia nieporozumień zauważyć trzeba, że czynnością zastępczą, dzięki której powstają przedstawienia zastępcze, jest także przedstawianie, ale przedstawianie inne, aniżeli to, którego wytworem byłoby odpowiednie przedstawienie rzeczywiste). Wyłuszczeniem i zastosowaniem pojęć »Sätze an sich« i »Vorstellungen an sich« wyprzedził Bolzano znacznie współczesnych mu logików, podobnie jak wprowadzeniem pojęcia zmiennych logicznych i (pod nazwą Gültigkeit) pojęcia wartości logicznych, odgrywających tak wielką rolę w dzisiejszej logice symbolicznej. Bolzano posługuje się m. i. temi pojęciami w celach systematyki stosunków logicznych i dla określenia pojęcia prawdopodobieństwa (l. c. tom. II. §§ 147, 154—161).

<sup>2</sup> Ilekrotnie uprzątniamy sobie wytwór psychiczny, nie istniejący w danej chwili aktualnie w naszym umyśle, czynimy to przy pomocy wytworu zastępczego, t. j. przy pomocy przedstawienia owego wytworu, które to przedstawienie odbywa się nadto zwykle drogą symbolicznego myślenia (Por. moją rozprawę p. t. Wyobrażenia i Pojęcia, str. 89—95).

najlepiej nazwa nauk humanistycznych<sup>1</sup>. Idąc w tym kierunku dalej, możnaby usiłować znaleźć określenie psychologii, nauki bądź co bądź w zakresie wszystkich nauk humanistycznych podstawowej. W określeniu tem rozróżnienie wytworów i czynności psychicznych jako też rozróżnienie różnych rodzajów wytworów psychicznych może oddać niemałą usługę. Podobne względy mogą się przyczynić do wyjaśnienia wzajemnego stosunku poszczególnych nauk humanistycznych wogóle. I tak ściśle odgraniczenie wytworów od czynności przyczyniło się już w sposób decydujący do uwolnienia logiki od naleciałości psychologicznych. Może taki sam sposób postępowania, okazawszy się tak płodnym dla logiki, dałby się zastosować do nauk, zajmujących się innymi wytworami psychicznymi? Po rozpatrzeniu różnych rodzajów wytworów psychicznych i psychofizycznych oraz stosunku jednych do drugich możnaby się też spodziewać niejednego wyjaśnienia w sprawie zadań i przedmiotu każdej nauki humanistycznej z osobna. Wszak charakter danej nauki humanistycznej w znacznej mierze zależy też od tego, czy operuje tylko zastępczymi, czy też rzeczywistymi wytworami psychicznymi, oraz od tego, jak dalece w rozważaniu wytworów psychicznych abstrahuje od ich cech osobniczych (por. powyżej § 39—40). Niemniej ważną rolę odgrywa взгляд na znaczenie, jakie dla pewnej nauki posiada sposób utrwalania wytworów psychicznych, więc взгляд na rodzaj dotyczących wytworów psychofizycznych i na ich stosunek do wytworów psychicznych. Tak więc odróżnienie wytworów od czynności psychicznych nie tylko rodzi szereg zagadnień, lecz może się także przyczynić do ich wyświeatlenia. Dlatego systematyczne badanie wytworów, rozważanych dotąd, stosownie do po-

---

<sup>1</sup> Stumpf, który dla nauk, zajmujących się wytworami psychicznymi, proponuje nazwę eidologii, ogranicza te nauki do trzech, mianowicie do logiki, etyki i estetyki, uważając za przedmiot nauk humanistycznych (nauki o państwie i społeczeństwie, językoznawstwa, teorii religii, teorii sztuki i t. p.) złożone funkcje psychiczne, gdy tymczasem psychologia zajmuje się według niego elementarnymi funkcjami psychicznymi (por. Zur Einteilung der Wissenschaften, Berlin 1907, str. 21, 32, 37). Sądzę, że naturalniejsze jest pojęcie nauk humanistycznych, upatrujące wspólną ich cechę w tem, że się zajmują wytworami psychicznymi; w ten sposób logika, etyka i estetyka nie znajdują się poza obrębem nauk humanistycznych, lecz należą do nich razem z innymi naukami, zajmującymi się wytworami psychicznymi. Trudno bowiem zgodzić się ze Stumpfem, gdy twierdzi, że nauki humanistyczne zajmują się funkcjami psychicznymi.

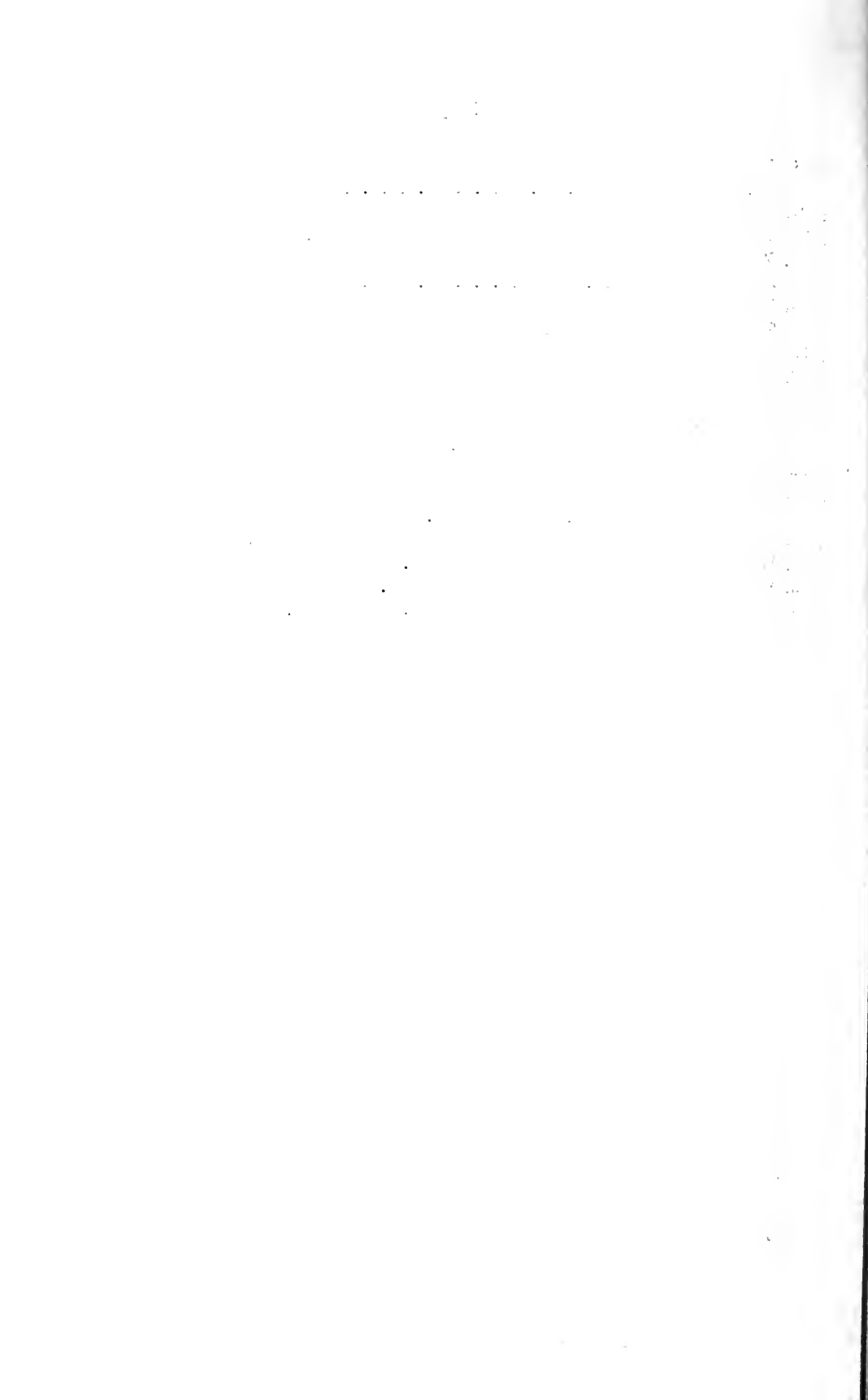
trzeb różnych nauk, tylko z pewnych szczegółowych punktów widzenia, nie jest może rzeczą bezużyteczną; przeprowadzone zaś w odpowiedni sposób, tworzyłoby teorię wytworów.

## T R E Ś Ć.

|                                                                                            | Str. |
|--------------------------------------------------------------------------------------------|------|
| § 1. Zadanie rozprawy . . . . .                                                            | 3    |
| § 2. Moment czynnościowy i zjawiskowy . . . . .                                            | 3    |
| § 3. Przykład . . . . .                                                                    | 3    |
| § 4. Rozmaite stopnie różności znaczeń czasownika i odpowiedniego rzeczownika . . . . .    | 4    |
| § 5. Figura etymologiczna. Dopełnienie wewnętrzne (przedmiot wewnętrzny)                   | 4    |
| § 6. Kryterium wewnętrzności dopełnienia (przedmiotu) . . . . .                            | 5    |
| § 7. Zjawiska, powstające dzięki czynnościom . . . . .                                     | 5    |
| § 8. Stosunek tych zjawisk do dopełnienia (przedmiotu) wewnętrznego . .                    | 6    |
| § 9. Pojęcie wytworu . . . . .                                                             | 6    |
| § 10. Rodzaje czynności i wytworów . . . . .                                               | 6    |
| § 11. Wyrazy, dotyczące czynności i wytworów fizycznych i psychofizycznych . . . . .       | 7    |
| § 12. Wyrazy, dotyczące czynności i wytworów psychofizycznych i psychicznych . . . . .     | 7    |
| § 13. Dwojaka wieloznaczność tych wyrazów . . . . .                                        | 8    |
| § 14. Rzeczowniki, oznaczające obok wytworów także czynności . . . . .                     | 8    |
| § 15. Rzeczowniki, oznaczające obok wytworów i czynności także dyspozycje                  | 9    |
| § 16. Rola rzeczowników słownych . . . . .                                                 | 10   |
| § 17. Analogie w innych językach . . . . .                                                 | 11   |
| § 18. Sposób uzyskania osobnych wyrazów na oznaczanie czynności i wytworów . . . . .       | 11   |
| § 19. Sposób ten nie dotyczy znaczenia dyspozycyjnego tych wyrazów . .                     | 12   |
| § 20. Wytwór czynności a przedmiot wytworu . . . . .                                       | 13   |
| § 21. Czy rozróżnienie czynności i wytworu jest usasadnione? . . . . .                     | 13   |
| § 22. Fakt, który za tem przemawia . . . . .                                               | 13   |
| § 23. Wytwory, znikające wraz z czynnością; ich istnienie aktualne i potencyalne . . . . . | 14   |
| § 24. Wytwory, trwające aktualnie dłużej od czynności . . . . .                            | 15   |
| § 25. Podział wytworów na nietrwałe i trwałe . . . . .                                     | 16   |
| § 26. Co umożliwia trwałość wytworów? . . . . .                                            | 16   |
| § 27. Charakter rzeczowy wytworów trwałych . . . . .                                       | 17   |
| § 28. Wytwory psychiczne nie są wytworami trwałymi . . . . .                               | 18   |
| § 29. Wytworami trwałymi mogą być zarówno wytwory fizyczne jak psychofizyczne . . . . .    | 18   |

|                                                                                                    |    |
|----------------------------------------------------------------------------------------------------|----|
| § 30. W wytworach psychofizycznych wyrażają się (znajdują swój wyraz) wytwory psychiczne . . . . . | 18 |
| § 31. Niekiedy nadto wytwory psychofizyczne wyrażają wytwory psychiczne . . . . .                  | 19 |
| § 32. Wytwór psychiczny jako znaczenie . . . . .                                                   | 21 |
| § 33. Wytwory psychiczne, wyrażające się w trwałych wytworach psychofizycznych . . . . .           | 22 |
| § 34. Potencjalne istnienie wytworów psychicznych w wytworach psychofizycznych . . . . .           | 22 |
| § 35. Utrwalanie wytworów nietrwałych . . . . .                                                    | 24 |
| § 36. Różne sposoby utrwalania wytworów nietrwałych . . . . .                                      | 24 |
| § 37. Pismo jako sposób utrwalania wytworów psychicznych . . . . .                                 | 25 |
| § 38. Pozorna niezależność wytworów utrwalonych od wytwarzających je czynności . . . . .           | 25 |
| § 39. Identyfikacja wytworów . . . . .                                                             | 25 |
| § 40. Jest ona także jedną z przyczyn pozornej niezależności wytworów nietrwałych . . . . .        | 27 |
| § 41. Dalszej takiej przyczyny dostarczają »niby-wytwory« . . . . .                                | 27 |
| § 42. Wytwory zastępcze . . . . .                                                                  | 27 |
| § 43. Psychofizyczne wytwory zastępcze . . . . .                                                   | 28 |
| § 44. Rola wytworów zastępczych w logice . . . . .                                                 | 28 |
| § 45. Zakończenie . . . . .                                                                        | 30 |





# POCZĄTEK ŻYCIA

napisał

Ks. KAZIMIERZ WAIS





Z wielką ciekawością śledzi dzisiejszy filozof przyrody budzącą się i rozpowszechniającą coraz bardziej reakcyę w dziedzinie biologii. Biolog z przed trzydziestu lat, jeśli nie chciał stawać pod sztandarem Du Bois Reymonda i wołać razem z nim: *Ignoramus et ignorabimus*, upatrywał za Lotzem i Moleschottem jedyny klucz do rozwiązania zagadki życia w siłach fizycznych i chemicznych. Nie ma — powtarzano wówczas w kołach uczonych, należących do tego kierunku, zwanego mechanizmem — nie ma przepaści między światem nieorganicznym a organicznym, nie ma istotnej różnicy między czynnością jestestw żyjących a działaniem materji martwej. Wszystko, co istnieje, należy uważać za ruch materji, ułożonej w pewien sposób. Ustrój jest machiną, utworzoną przez stosowne połączenie cząsteczek chemicznych w komórki; z komórek powstają tkanki, z tkanek narządy, z narządów ciało żywe.

Zdawało się, że mechanizm, popierany gorliwie z jednej strony przez darwinizm, a z drugiej przez materialistyczno-monistyczną filozofię Büchnera, Vogta i Haeckla, zawładnie na zawsze biologią, że natomiast pogląd przeciwny, czyli witalizm którego w pierwszej połowie XIX. wieku bronili J. Müller i Liebig, jest pogrzebany na zawsze. »Okolo 70-go i 80-go roku — pisze witalista E. von Hartmann<sup>1</sup> — uchodził oparty o darwinizm mechaniczny pogląd na świat za niewzruszony dogmat, a wszelka teleologiczna i witalistyczna myśl za kacerstwo«. Jedna tylko, rzecz można, filozofia scholastyczna nie wyparła się witalizmu, uważając go, zgodnie z swą przeszłością i tradycją, za jeden z najcenniejszych klejnotów, otrzymanych w spuściznie po genialnym myślicielu Hellady, Arystotelesie<sup>2</sup>.

Tymczasem w dwóch ostatnich dziesięcioleciach zjawił się niespodzianie, prawie nagle, silny prąd, skierowany przeciw rozpano-

---

<sup>1</sup> Das Problem des Lebens, Bad Sachsa 1906, str. 99.

<sup>2</sup> Zob. F. Bouillier, Le principe vitale, wyd. 2, Paryż 1873.

szonemu mechanizmowi. Samodzielniejsi i odważniejsi uczeni, widząc doskonale słabe strony systemu, w którym się wychowali, zaczęli tu i ówdzie, niekiedy nieśmiało i ostrożnie, zrywać jego kajdany i nawracać się do zarzuconego witalizmu. Przykład dał w r. 1886 G. von Bunge, za którym poszło wielu badaczy, najpierw w Niemczech, a potem w innych krajach. Dziś poczet poważnych neowitalistów jest dość długi; należą do niego: O. Hamann, Rindfleisch, H. Driesch, Gurwitsch, Fr. Ehrhardt, G. Wolff, Jan i Fryderyk Reinke, K. C. Schneider, R. Neumeister, Dennert, Herbst, G. Jäger, Pauly, Francé, Vignon, Grégoir, lord Kelvin (Thomson), Haldane, Wilson, B. Moore, Windle, Grassi, Wasmann, Muckermann, Gemelli i wielu innych<sup>1</sup>. Są między nimi znaczne różnice w szczegółach, ale wszyscy zgadzają się na to, że objawy życiowe nie dają się wytłumaczyć mechanicznie. Niektórzy, jak Driesch, wyłuszczając swe myśli, przemawiają niemal językiem Stagiryty i scholastyków. Wszystko najlepsze i najcenniejsze — uczy od r. 1896 embryolog heidelberski<sup>2</sup> — co wiemy o życiu, przeczuł wielki Grek w książce: »O duszy«. Życie polega na współdziałaniu czynnika celowego, entelechii arystotelesowskiej, z siłami nieorganicznymi. Entelechia (ὁ ἐν ἐν ἐν τῷ τὸ τέλος) nie posiada żadnych części rozciągłych, ale jest jakościową zasadą czynności i indywidualności ustrojów.

Nowa szkoła ściągnęła na siebie, co łatwo można było przewidzieć, oburzenie i gromy ze strony mechanistów. Do dnia dzisiejszego stara się wielu zwolenników starego kierunku ośmieszyć, a przez to stłumić i zabić witalizm. W tym celu zarzuca się neowitalistom mistycyzm, albo piętnuje się ich naukę jako »zaśniedziały przesąd«, będący objawem »owej słusznie znieawidzonej metody

<sup>1</sup> Do tego kierunku zbliża się znakomity biolog berliński, O. Hertwig, *Der Kampf um Kernfragen der Entwicklungs- und Vererbungslehre*, Jena 1909, str. 55—81.

<sup>2</sup> *Die Maschinentheorie des Lebens* (Biol. Zentralblatt, 1896); *Studien über das Regulationsvermögen der Organismen* (Archiv für Entwicklungsmechanik, 1899—1902); *Die Lokalisation morphogenetischer Vorgänge*, Lipsk 1899; *Die organischen Regulationen*, tamże 1901; *Kritisches und Polemisches* (Biol. Zentralbl., 1902); *Zwei Beweise für die Autonomie von Lebensvorgängen*, Jena 1902; *Die »Seele« als elementarer Naturfaktor*, Lipsk 1903; *Naturbegriffe und Naturteile*, tamże 1904; *Der Vitalismus als Geschichte und als Lehre*, tamże 1905; *Philosophie des Organischen*, tamże 1909.

ogłupiania, która w mroku średniowiecznym nosiła otwartą nazwę scholastyki<sup>1</sup>.

Umysł nieuprzedzony przyzna, że taka taktyka, acz bardzo łatwa i wygodna, zaostreży chyba spory, lecz nie prowadzi do rozwiązania zagadki życiowej. Tylko spokojna i rozważna analiza faktów, poznanych drogą już to pospolitego doświadczenia, już to ściśle naukowego badania, może rozstrzygać, po czyjej stronie jest słuszność: mechanizmu, czy witalizmu.

Sądzę, że fakta przemawiają stanowczo na korzyść tego drugiego systemu. Nie mam zamiaru, jak świadczy napis niniejszej rozprawki, dowodzić szczegółowo słuszności witalizmu. Nie mogę jednak pominąć najgłówniejszych powodów, dla których przyjmuję tę teorię, a odrzucam mechanizm; inaczej rozpatrywanie rozmaitych poglądów na początek życia byłoby pozbawione należytej podstawy. W rzeczy samej, kto chce znaleźć zadowalniającą odpowiedź na pytanie, skąd się wzięło życie, musi wpierw poznać stosunek, zachodzący między jestestwami żyjącymi a nieżyjącymi.

Mechanizm biologiczny daje się należycie zrozumieć i ocenić w związku z innym systemem, z mechanizmem atomicznym, noszącym zwyczajnie nazwę atomizmu mechanicznego. Oba te systemy tłumaczą świat, jak wskazuje ich nazwa, mechanicznie, z tą tylko różnicą, że pierwszy zajmuje się światem organicznym, a drugi nieorganicznym; stąd pierwszy jest dalszym ciągiem drugiego. Mechanizm atomiczny widzi w świecie nieorganicznym tylko masę i przenoszący się z ciała na ciało ruch, a odmawia mu wszelkich sił i wszelkich w ogóle jakości, albo sprowadza je do ruchu. Materya jest według niego wszędzie jednorodna; różnorodność ciał powstaje dzięki rozmaitym ruchom atomów.

Wszakże tezy te nie dają się pogodzić z wielu faktami. Jeżeli materya wszystkich ciał jest jednorodna, to jak wytłumaczyć n. p. zjawisko, że każdy pierwiastek chemiczny zachowuje zawsze, choć wchodzi w skład najrozmaitszych związków, właściwy sobie ciężar atomowy, albo że okazuje stale dążność do łączenia się tylko z pewnymi pierwiastkami? Ten drugi fakt chcą mechanisiści wyjaśnić dodatkową hipotezą, według której dwa ciała pozostają do siebie w stosunku powinowactwa chemicznego wówczas, gdy ruchy ich

---

<sup>1</sup> Wł. M. Kozłowski, *Przyrodznawstwo i filozofia*, Warszawa 1909, str. 109 i nn.

atomów są do tego stopnia zgodne, iż mogą w końcu przejść w stan równowagi stałej. Niestety, nasuwają się tutaj niepokonalne trudności. Wszak w myśl teorii ruch pochodzi tylko z zewnątrz: każdy mianowicie atom o tyle jest w ruchu, o ile go pcha w pewnym kierunku inny atom. Lecz łatwo zrozumieć, że pod wpływem ciepła, elektryczności lub innych czynników pchnięcia i kierunki ruchów mogą się u atomów zmieniać w nieskończoność. Gdyby tedy dodatkowa hipoteza była prawdziwa, musiałyby się także zmieniać powinowactwa chemiczne. Tymczasem pewne pierwiastki łączą się wyłącznie z pewnymi pierwiastkami. Dodajmy, że z filozoficznego punktu widzenia przenoszenie się ruchu z jednego atomu na drugi jest bezwarunkowo wykluczone, gdyż ruch, jak każda inna przypadłość, tkwi z istoty swej tylko w jakiejś rzeczy jako w swym podmiocie, i dla tego nie może ani od niej oderwać się, ani z niej na inną rzecz przenieść.

Dla tych i podobnych powodów wielu filozofów słusznie twierdzi, że, chcąc wytłómaczyć wszystkie zjawiska, spotykane w ciele, należy za przykładem Arystotelesa przyjąć w niem dwie ostateczne zasady: jedną z siebie nieoznaczoną i wspólną wszystkim ciałom, drugą zaś rozstrzygającą o tem, że pewne ciało jest tem, a nie innym ciałem, że posiada te, a nie inne przymioty, siły, dążności i sposoby działania, że podlega tym, a nie innym prawom. Tamta zasada, z istoty swej bierna, zowie się *pramateria*; ta, czynna i celowa, *entelechią* albo — jak zwyczajnie mówią scholastycy — *formą substancjalną*<sup>1</sup>.

Według tego systemu ciała żyjące składają się również z *pramaterii* i *formy substancjalnej*, a są odgraniczone od ciał martwych tem, że posiadają *entelechię* istotnie różną, wyższą i doskonalszą, która, dając bytom życie, zowie się ich *duszą*. Owszem, *entelechia* ta stanowi trzy istotnie różne stopnie życia: roślinnego, zwierzęcego i ludzkiego; stąd rozróżniamy *duszę roślinną*, *zwierzęcą* i *ludzką*.

Z tego wynika, że *animizm*, czyli *witalizm* Arystotelesa, zwany *umiarkowanym*, różni się zasadniczo od skrajnego *witalizmu* n. p.

<sup>1</sup> Zob. Dr. A. Michelitsch, *Atomismus, Hylemorphismus und Naturwissenschaft*, Grac 1897; P. Mielle, *De substantiae corporalis vi et ratione*, Lingonis 1894; F. Million, *La clef de la philosophie scolastique*, Paryż 1896; A. Farges, *Matière et forme*, wyd. 5, Paryż 1900; D. Nys, *Cosmologie ou Étude philosophique du monde inorganique*, wyd. 2, Lowanium 1906.

Paracelsusa (1493—1541), van Helmonta (1577—1644), Stahla (1660—1734), sławnej szkoły medycznej z Montpellier (wiek XVIII), tudzież niektórych pozornych przeciwników mechanizmu biologicznego, żyjących w naszych czasach. Paracelsus tłumaczył celowe czynności ustrojów częstką ducha bożego, a van Helmont odwoływał się do rządzącego organizmem archeusza, któremu podlegają archeusze niższe, kierujące czynnościami narządów. Stahl sądził, że podstawą każdego życia roślinnego jest dusza rozumna, gdyż tylko od takiej duszy może pochodzić celowość ustrojów. Lekarze z Montpellier przyjmowali w człowieku obok duszy rozumnej niezależną od niej siłę życiową, która kształtuje ciało. Pozorni witaliści dzisiejsi, mówiąc o sile życiowej, rozumieją przez nią jakąś nieznaną siłę materyalną<sup>1</sup>.

Według Stagiryty i jego zwolenników entelechia ciał żyjących, czyli dusza, nie stanowi siły w zwyczajnem tego słowa znaczeniu; jest ona zasadą życiową *sui generis*, skojarzoną z pramaterią w jedną substancję organizmu, dającą mu ściśle oznaczoną naturę, tworzącą podstawę wszystkich jego uzdolnień i czynności. W ten sposób należy rozumieć arystotelesowską definicję duszy: *Διὸ ἡ ψυχὴ ἐστὶν ἐντέλεια ἢ πρώτη σὺντατος φυσικοῦ δυνάμει ζωὴν ἔχοντος. Τοιοῦτο δέ, ὃ ἐν τῷ ὁργανικόν*<sup>2</sup>. W ten też sposób trzeba tłumaczyć znaczenie wyrazów, którymi posługują się umiarkowani witaliści, zowiąc zasadę życiową pierwiastkiem życiowym, siłą lub energią życiową.

Już to, co się rzekło wyżej o wadach atomizmu mechanicznego, przemawia przeciw mechanizmowi biologicznemu. Jeżeli objawów materii nieorganicznej nie można wytłumaczyć czysto mechanicznym sposobem, to tem bardziej należy to powiedzieć o zjawiskach, spotykanych w jestestwach żyjących. Co więcej, te ostatnie zjawiska domagają się koniecznie entelechii nie tylko wyższej, ale istotnie różnej od entelechii utworów martwych. Między światem bowiem nieorganicznym, czyli mineralnym, a organicznym, t. j. żyjącym, zachodzi różnica istotna.

Łatwo ją zauważyć już na pierwszy rzut oka.

Jestestwo żyjące jest substancją, złożoną z części różnorodnych, czyli narządów o rozmaitym kształcie zewnętrznym i rozmaitej

<sup>1</sup> Zob. Farges, La vie et l'évolution des espèces, wyd. 2, Paryż 1892, str. 61 i nn.

<sup>2</sup> De anima, II, 1.

budowie wewnętrznej, stosownie do rozmaitych celów, które mają spełnić narządy. W roślinie n. p. inaczej wygląda korzeń, inaczej pień, inaczej liść, inaczej kwiat lub owoc. Podobnie części składowe narządów różnią się, jak uczy histologia, między sobą pod względem morfologicznym. Najniższe organizmy jednokomórkowe przedstawiają się wprawdzie jako bryłki materii niezorganizowanej, ale tylko pozornie. W rzeczywistości bowiem każda komórka posiada bardzo bogatą organizację. Natomiast minerał nie ma żadnych narządów; wszystkie jego części są jednakowe, morfologicznie jednorodne.

Ustroje odżywiają się i rosną. Odżywianie się polega na tem, że jestestwo żywe przyjmuje w siebie materię, znajdującą się w środowisku, przetrawia je, i odrzuciwszy niepotrzebne resztki, przyswaja, t. j. przemienia w swą własną substancję. Każdy narząd i każda jego część odbierają stosowną ilość pokarmu, który się w nie wciela i ustawicznie je odświeża, zastępując dawne składniki nowymi. Stąd dopełnieniem odżywiania się jest wydzielanie, czyli rozkład zorganizowanych składników na różne utwory; utwory te albo bywają wydalone na zewnątrz, albo, łącząc się z pokarmem, służą dalej do odnawiania komórek. Żaden zaś narząd, żadna jego część nie przyjmuje pożywienia w sposób samoistny; przeciwnie, wszystkie biorą go od całości, działając razem podług jednego planu organizacji i zmierzając do jednego wspólnego celu. Tymczasem minerał ani nie przerabia innego ciała, ani go nie przyswaja wewnętrznie, ani nie rośnie w ścisłym znaczeniu; może się powiększać tylko przez to, że na jego powierzchni osiadają nowe cząsteczki materii, przylegając szczelnie do dawnych. Nadto, gdy organizm rośnie dopóty, dopóki nie osiągnie właściwej swej naturze wielkości, to powiększanie się ciał nieorganicznych może się odbywać bez końca.

Ustroje rozmnażają się, czyli rodzą inne podobne do siebie ustroje. Wprawdzie ta czynność rozrodcza odbywa się w rozmaity sposób, bo albo przez prosty podział jestestwa żyjącego, albo przez tworzenie pączków, które po oderwaniu się od organizmu macierzystego prowadzą później życie samodzielne, albo przez rozwój jaja niezapłodnionego, albo wreszcie przez piciowe połączenie rodziców: zawsze atoli początek jednego ustroju należy odnieść do ustroju innego, przyczem oba posiadają jednakową naturę, czyli należą do tego samego gatunku. Substancje świata nieorganicznego nie rodzą się w ścisłym znaczeniu, lecz zawdzięczają swe powstanie przyczynom gatunkowo od siebie różnym. Co innego n. p. woda, a co

innego tlen i wodór, które się na nią składają w związku chemicznym.

Procesy odżywiania i rozmnażania się tworzą t. zw. cykle życiowe. Życie osobnika i gatunku toczy się istotnie kołem. Przyswajanie, które pod względem chemicznym jest syntezą, i wydzielanie, będące naodwrot analizą, następują po sobie w odżywianiu na przemiany. Podobnie gdy ustrój dojdzie do należytego rozwoju, natenczas pewna jego część oddziela się i daje początek nowemu osobnikowi, który w swoim czasie znowu rodzi inny osobnik, poczem ten sam proces powtarza się dalej. Takich cykliów szukalibyśmy napróżno w królestwie nieorganicznym.

Tak więc życie jest ruchem. *Vita est in motu* — mówili starzy. Ale ten ruch życiowy posiada własności, wyróżniające go zasadniczo od ruchu, spotykanego w materii martwej. Ruch życiowy jest ciągły i immanentny, czyli wsobny.

O jego ciągłości świadczą dostatecznie wspomniane przed chwilą cykle życiowe. W przeciwieństwie do rzeczy nieżywych, które zmierzają zawsze do stałej równowagi, substancja żyjąca zmienia się bez przerwy; koniec zmian jest końcem życia, czyli śmiercią.

Wsobność znowu ruchu życiowego polega na tem, że n. p. komórka porusza siebie, działa na siebie, odżywia siebie, rozwija siebie. Jeżeli dwa pierwiastki, n. p. wodór i chlor, połączą się w związek chemiczny, powstaje trzecie ciało, zwane zwyczajnie solą kuchenną (chlorek sodowy), która nie jest ani chlorem, ani wodorem. W komórce dzieje się inaczej. Służące jej za pokarm materiały nie tworzą z nią trzeciego ciała, ale, jak widzieliśmy, zamieniają się w jej własną substancję. Nie chcemy przez to powiedzieć, jakoby żywa komórka nie spełniała żadnych czynności, zwanych przechodniami; może ona działać również poza siebie, i działa rzeczywiście tak samo, jak to czynią rzeczy martwe. Nie twierdzimy nawet, żeby wszystkie zjawiska mechaniczne lub fizyczno-chemiczne, odbywające się w jej wnętrzu, a rozpatrywane z osobna, należały do immanentnych. Czynność w ścisłym słowa znaczeniu wsobna jest właściwie jedna: przyswajanie, czyli wewnętrzne wstawianie różnorodnych substancji przerobionego pokarmu w ustrój komórkowy. »Ale ponieważ — zauważył trafnie Mercier<sup>1</sup> — oddziaływania chemiczne, przygotowujące przyswajanie i kończące się w niem naturalnie, tworzą

---

<sup>1</sup> Psychologia (tłóm. pol. Krasnowolskiego), Warszawa 1902, str. 53.

z samem przyswajaniem ruch ciągły, jedną całość, byłoby więc sprzecznem z naturą rzeczy wyosabniać je od ostatecznego ich celu; zatem słusznie można powiedzieć sposobem ogólnym, że ruch odżywiania, a przeto i ruch wzrostu i rozwoju jestestwa żyjącego, stanowi ruch immanentny«. Dobrze tedy mówią scholastycy: *Vivum est, quod se ipsum movet*.

Czy więc organizm jest, jak utrzymują mechanisci, tylko sztucznie zbudowaną machiną? Machina — woła Max Verworn<sup>1</sup> — posiada tak samo organy, jak ustrój. Choćbyśmy — odpowiemy na to — rozmaite części składowe maszyny nazwali w przenośnem znaczeniu organami, każdy widzi przepaść między żywym ustrojem a machiną. Żadna na świecie maszyna nie odżywia się, nie rośnie, nie rodzi innych maszyn; żadna też nie porusza siebie samej.

Jeszcze lepiej, jeśli być może, uwydatniają tę zasadniczą różnicę między ustrojem a machiną zjawiska regeneracyi i t. zw. regulacyjnej zdolności, które spotykamy w niektórych organizmach.

Driesch<sup>2</sup> dzieli ciało zwierzątka, znanego pod nazwą *Clavelina lepadiformis*, na dwie połowy, a już po trzech lub czterech dniach uzupełnia się każda połowa w ten sposób, że zamiast jednego, mamy dwa dobrze rozwinięte ustroje. Często odcięta część traci z początku organizację i przedstawia się przez parę miesięcy jako kulista masa jednorodna, lecz potem zaczyna się kształtować, tworząc po paru dniach nowy, choć mniejszy od dawnego, ustrój. Zjawiska regeneracyi zdarzają się nawet u organizmów doskonałszych. Wiadomo, że n. p. rakom odrastają odcięte nożycy i nogi. G. Wolff, powtarzając dawniejsze doświadczenia Bonnet'a i Colucci'ego, wycina soczewki oczne traszkom (*Triton taeniatus*). Po upływie jednego lub dwóch dni zjawia się na wewnętrznym brzegu tęczęwki mnóstwo leukocytów (białe ciała krwi), które pożerają jej czarny barwik. Później w pewnym punkcie tęczęwki, wybranym tak praktycznie, że rozum ludzki nie mógłby wybrać lepszego, zaczynają się rozmnażać komórki, skutkiem czego po wewnętrznej stronie oka powstaje woreczek, przybierający z czasem postać soczewki. Soczewka tworzy się tutaj w ogólności tak samo, jak w zarodku, z tą tylko różnicą, że soczewka zarodka rychło się odrywa od punktu,

---

<sup>1</sup> Allgemeine Physiologie, wyd. 5, Jena 1909, str. 143.

<sup>2</sup> Studien über das Regulationsvermögen der Organismen (Archiv für Entwicklungsmechanik, 1902, str. 247 i nn.).



z którego wyrasta, gdy odradzająca się soczewka trąszki dorosłej odrywa się bardzo późno. Lecz właśnie ta różnica — zauważa Wolff — świadczy o niezwyklej celowości. Pierwsza bowiem soczewka powstaje pośród tkanek stałych, a druga pośród tkanek wodnistych; gdyby tedy odrastająca soczewka oderwała się w tym samym czasie, co soczewka zarodkowa, natenczas wpadłaby niezawodnie w jamę oczną.

Czy te fakty nie są dowodami, że ustrój jest czemś więcej, aniżeli machiną? Czy w machinach spotykamy kiedy zjawiska, podobne do przytoczonych? Czy istnieje gdzie machina, która naprawia sama swe uszkodzone części lub daje się dzielić na części, zamieniające się znowu w całe maszyny?

Z kolei przytoczę podobne zjawiska, dotyczące rozwijających się komórek. Komórka jajowa dzieli się po zapłodnieniu według postępu geometrycznego na coraz mniejsze komórki, zwane przewężniami lub blastomerami. Dwie pierwsze blastomery jaja żabiego tworzą z czasem dwie symetryczne połowy żaby; gdy jednak blastomery rozłączymy, natenczas każda z nich rozwija się w cały zarodek żabi. Ta — jak ją nazwano — regulacyjna zdolność komórek przewężnych występuje u niektórych gatunków w bardzo wysokim stopniu. Jaja jeźowców okazują ją jeszcze w postaci blastuli, która według dokładnych obliczeń Driescha składa się z 808 komórek. Można pokrajać blastulę na wiele części, a każda wyrasta w całą blastulę. Czy ten fakt da się wytłómaczyć w hipotezie mechanistów? »Wyobraźmy sobie machinę — pisze Wasmann<sup>1</sup> — która składa się z 808 części; rozbijmy tę machinę na kawałki i patrzymy, czy każdy kawałek potrafi się znowu rozwinąć w całą machinę przez czynniki fizyczno-chemiczne! Lecz bezwarunkowo nie można sobie przedstawić maszyny, któraby temu sprostała«.

Czy więc najnowsze badania przyrodnicze zacierają różnicę między światem nieorganicznym a organicznym, jak twierdził w r. 1872 Spencer, i jak dziś jeszcze powtarzają niektórzy? »Mnie się wydaje — odpowiada na to Bunge<sup>2</sup> — że historia fizjologii uczy wręcz przeciwnie. Ja twierdzę odwrotnie! Im lepiej, wszechstronniej gruntowniej silimy się poznać objawy życiowe, tem bardziej przycho-

---

<sup>1</sup> Die moderne Biologie und die Entwicklungstheorie, wyd. 3, Fryburg 1906, str. 249.

<sup>2</sup> Lehrbuch der Physiologie des Menschen, Lipsk 1901, t. II, str. 3.

dzimy do przekonania, że zjawiska, które uważaliśmy już za wyjaśnione fizycznie i chemicznie, mają naturę więcej zawikłaną i urągają wszelkiemu mechanicznemu tłumaczeniu». »Badanie komórki — twierdzi stanowczo jeden z najlepszych biologów, Amerykanin E. B. Wilson<sup>1</sup> — raczej rozszerzyło, aniżeli zmniejszyło niezmierny przedział, który odgranicza od świata nieorganicznego nawet najniższe postaci życia«. Hartog nie waha się utrzymywać, że gdyby około r. 1870 znana była rola, którą w komórkach zarodkowych odgrywają ciała, zwane chromosomami, nie byłoby wcale szkoły antywitalistycznej w drugiej połowie XIX wieku<sup>2</sup>.

Sądę, że przedstawione powyżej uwagi, jakkolwiek dotyczą tylko części faktów, na które się powołują witaliści, wystarczą do stwierdzenia istotnej różnicy pomiędzy jestestwem żyjącem a wszelką materią martwą, choćby ona tworzyła nawet najsztuczniej złożoną maszynę. Z różnicy zaś tej wynika, że ustroje spełniają właściwe sobie czynności dzięki zasadzie życiowej, różnej od sił mechanicznych, fizycznych i chemicznych. Istotnie bowiem różne skutki każą koniecznie wnosić o istotnie różnych przyczynach. Jeśli tedy objawy, spotykane w żyjącej materii, różnią się istotnie od objawów materii martwej, jasną jest rzeczą, iż pierwsze nie mogą pochodzić od tej samej przyczyny, od której pochodzą drugie. Innemi słowy, życie nie daje się zrozumieć bez zasady życiowej, która razem z materią tworzy jedną substancjalną całość, jedno działające celowo jestestwo żywe.

Wieńc nie wystarczy powiedzieć, że życie tkwi w misternej budowie zarodki, albo w pewnych właściwych jestestwom żyjącym już to urządzeniach wewnętrznych, już to procesach fizyczno-chemicznych, już to skupieniach atomów. Zaraz bowiem nasuwają się logicznie pytania dalsze: skąd powstaje ta misterna budowa protoplazmy, co jest przyczyną owych urządzeń, procesów i skupień, właściwych żyjącym ustrojom? Czemu misterna budowa, swoiste skupienia, procesy i urządzenia nie przysługują wszystkim bytom materialnym? Słusznie tedy powiedziano, że mechanizm uważa za przyczynę życia to, co jest jego skutkiem.

»Czterdzieści lat temu — tak pisał w r. 1903 lord Kelvin<sup>3</sup> — pytałem Liebiga, przechadzając się z nim na polu, czyby sądził, że

<sup>1</sup> The cell in development and inheritance, Nowy Jork 1897, str. 330.

<sup>2</sup> Gemelli, Darwinisme et vitalisme (Revue de philosophie, 1910, str. 233).

<sup>3</sup> Nineteenth Century, t. I, str. 1069.

zioła i kwiaty, które widzieliśmy około siebie, rosną mocą samych sił chemicznych. Odpowiedział mi: Nie, tak samo, jak nie mogę uwierzyć, żeby jakiś traktat botaniczny, który je opisuje, mógł być uczyniony przez te siły«. Godne zaiste słowa wielkiego chemika. Tak jest, niesłychanie złożona budowa każdego ustroju i budząca najwyższy podziw zgodność funkcji, spełnianych przez najrozmaitsze jego narządy w tym celu, aby go zachować, nie mogą być dziełem ślepych sił materialnych, ale muszą pochodzić od substancjalnej zasady celowej, która rzeczonym siłom przewodniczy i nad nimi panuje. Tylko takie tłumaczenie życia uważam za zgodne z rozumem.

Czy jednak zasada życiowa nie sprzeciwia się przyjętej powszechnie w nauce zasadzie zachowania energii? Ktoby ją o to podejrzewał, dowiódłby zarazem, iż nie rozumiał witalizmu umiarkowanego. Zasada bowiem życiowa nie wnosi w ustrój żadnej nowej siły, żadnej nowej energii materialnej. Jestestwo żyjące czerpie wszelką energię ze środowiska, które je otacza, w postaci energii bądź kinetycznej, czyli aktualnej (ruch, ciepło, elektryczność), bądź potencjalnej, t. j. utajonej w powietrzu i pokarmie. Zjawiska życiowe są tylko przemianami energii, odbywającymi się pod kierownictwem zasady życiowej.

Zająwszy w sprawie istoty życia takie stanowisko, możemy bezpiecznie przystąpić do rozpatrzenia i ocenienia rozmaitych teorii o początku życia. Teorie te są koniecznymi następstwami dwóch różnych filozoficznych poglądów na życie: z jednej strony mechanizmu, z drugiej witalizmu.

Mechanizm uczy, że życie powstało na świecie samorzutnie, przez samorodztwo (*generatio aequivoca, spontanea*), zwane także heterogenezą, autogenezą lub abiogenezą. Niegdyś, gdy ziemia znajdowała się w stanie ognisto-płynnym, nie było na niej żadnego życia, żadnych ustrojów; skoro wszakże nastały korzystne warunki fizyczno-chemiczne, wówczas materia nieorganiczna wydała pierwszą plazmę. Oto zasadnicza teza wszystkich niemał materialistów i monistów. »Był czas — czytamy u Büchnera<sup>1</sup> — w którym ziemia, jako rozpalona kula ognista, nie tylko nie posiadała zdolności do wydawania żywych jestestw, lecz nawet musiała być wprost wrogią dla wszelkiego istnienia roślinnych lub zwierzęcych ustrojów w najbliższym otoczeniu swej powierzchni... Skoro zjawiła się woda, i skoro

---

<sup>1</sup> Kraft und Stoff, wyd. 10, Lipsk 1869, str. 66.

tylko pozwoliła ciepłota, rozwinęło się życie organiczne«. Haeckel<sup>1</sup> woła do swych słuchaczy: »Jeśli nie przyjmiecie hipotezy samorodztwa, musicie w tym jednym punkcie teorii rozwoju uciec się do cudu nadprzyrodzonego stworzenia«. »Nie znamy wprawdzie — są znowu słowa Virchowa<sup>2</sup>, wyjęte z jego sławnej mowy na zjeździe przyrodników w Monachium 1877 r. — ani jednego faktu pozytywnego, któryby świadczył, że kiedykolwiek odbyła się jakaś *generatio aequivoca*, że kiedykolwiek nastąpiło jakieś samorodztwo w ten sposób, iż nieorganiczne masy, więc może Towarzystwo węgla i spółki, rozwinęły się dowolnie w masy organiczne. Przyznaję jednak, że jeżeli chcemy sobie przedstawić, jak mogło powstać z siebie takie pierwsze jestestwo, nie pozostaje nam nic innego, jak uciec się do samorodztwa. To jest jasne! Jeśli nie chcę przyjąć teorii stworzenia, jeśli nie chcę wierzyć, iż był jakiś osobny Stwórca, który wziął grudek ziemi i tchnął w nią dech żywota, jeśli chcę sobie zrobić jeden wiersz na swój sposób, to muszę go zrobić w myśl samorodztwa — *tertium non datur*. Nie pozostaje nic innego; jeśli się raz powie: nie przyjmuję stworzenia, ale chcę mieć jakieś wyjaśnienie — jeśli taka jest pierwsza teza, tedy muszę przystąpić do tezy drugiej i powiedzieć: zatem przyjmuję samorodztwo. Lecz nie mamy na to żadnego faktycznego dowodu. Żaden człowiek nie widział, żeby się gdzieś rzeczywiście odbyła *generatio aequivoca*, każdego zaś, który twierdził, iż ją widział, zbili przyrodnicy, a nie teologowie«. Nie inne było zapatrywanie Virchowa na tę sprawę w dziesięć lat później. »Ludzie — pisał sławny antropolog<sup>3</sup> w r. 1887 — wierzą nie bez dobrej podstawy, że był czas, w którym jeszcze nie istniało żadne jestestwo żyjące, a chcą wiedzieć, gdzie należy szukać początku życia, i jak się zaczęło życie w świecie martwym. Kto się nie może oprzeć tej pokusie, dla tego pozostaje ostatecznie tylko wybór między dogmatem stworzenia a dogmatem samorodztwa... *Generatio aequivoca* przedstawia się jako postulat filozofii przyrody«. »Nie widzę żadnej możliwości — przytaczam jeszcze znanego darwinistę Weismanna<sup>4</sup> — żeby się uwolnić od przyjęcia samorodztwa; jest ono dla nas logiczną koniecznością«.

<sup>1</sup> Natürliche Schöpfungsgeschichte, wyd. 2, Berlin 1870, str. 309 i n.

<sup>2</sup> Die Freiheit der Wissenschaft im modernen Staat, Berlin 1877, str. 20.

<sup>3</sup> Biolog. Centralblatt, 1887, str. 553 i n.

<sup>4</sup> Vorträge über Deszendenztheorie, 2 t., Jena 1904, t. II, str. 306.

Podobnym językiem, choć niezawsze tak szczerze, jak Virchow, przemawia długi szereg przyrodników, stojących mniej lub więcej otwarcie na gruncie materializmu i monizmu. Tutaj należą np. Pflüger, Zöllner, M. Verworn, Kölliker, von Nägeli, R. Hertwig, Allen, K. Günther, Huxley, Tyndall, Soury, Cattaneo.

Przystępując do krytyki powyższej hipotezy, rozpoczniemy od pytania, czy *generatio aequivoca* istnieje w obecnych warunkach. Pytanie mogłoby się wydawać zgoła zbytecznem wobec wyraźnego oświadczenia Virchowa, że sami przyrodnicy nie uznają samorodztwa. Ogólnie rzecz biorąc, oświadczenie to jest i dzisiaj zgodne z rzeczywistością, atoli należy pamiętać, że między przyrodnikami znajdowali się nie tak dawno temu, a nawet znajdują się dotychczas tacy, którzy inaczej zapatrują się na sprawę. Wyjątki zaś te mogą nasycać podejrzenie, jakoby nauka nie wydała dotychczas rozstrzygającego i stanowczego wyroku o samorodztwie.

W starożytności panowało powszechnie przekonanie, że niektóre mniejsze ustroje mogą powstawać i powstają rzeczywiście bez rodziców, t. j. z materji martwej. Nawet Arystoteles, acz przyznaje, iż ustroje doskonalsze, a mianowicie mające krew ciepłą, rodzą się z nasienia, rozprawia jednak o samorodztwie owadów, mięczaków i ryb, zwłaszcza węgorzów: owady wywodzą się z materji gnijącej, niektóre ryby z piasku, mięczaki i węgorze z błota<sup>1</sup>. Przekonania te podzielają późniejsi filozofowie, przyrodnicy i poeci, tak greccy, jak rzymscy. Georgica<sup>2</sup> Wergilego pouczają n. p., jak z wnętrza zabitych wołów wychodzą roje pszczół, a Metamorfozy<sup>3</sup> Owidyusza opiewają samorodne powstanie pszczół, szerszeni, skorpionów, żab i węzów. Diodor Sycylijski<sup>4</sup> pisze, że w żyznej dolinie Nilu rodzi się mnóstwo zwierząt z mułu, ogrzanego życiodajnymi promieniami słońca. Plinius<sup>5</sup> opowiada o znalezionym w Tebaidzie szczurze, który miał przednią część ciała doskonale rozwiniętą, a tylną jeszcze kamienną. Lukrecyusz<sup>6</sup> zauważa, że ziemia zowie się słusznie matką, bo dała niegdyś początek wszystkim jestestwom; owszem, nawet dzisiaj rodzi się z niej wiele zwierząt dzięki deszczom i ciepłu słonecznemu.

<sup>1</sup> Περὶ ζῴων ἰστορίας, ks. V, rr. 1, 19 i 22; ks. VI, rr. 15 i 16.

<sup>2</sup> L. IV, v. 280 et seqq.

<sup>3</sup> L. XVI, v. 361 et seqq.

<sup>4</sup> Bibliotheca, V, 10.

<sup>5</sup> Histor. mundi, l. XI, § 23.

<sup>6</sup> De rerum natura, l. V, v. 793 et seqq.

Uczni średniowiecza przyjmowali także w pewnym zakresie abio-genezę; mniemali jednakowoż zwyczajnie, że jeśli materya wytwarza życie, to nie czyni tego o własnych siłach, lecz pod wpływem ciał niebieskich. Pośród późniejszych przytoczony już lekarz belgijski, van Helmont, pisał nawet recepty, z pomocą których można bez rodziców otrzymać niedźwiadki, myszy, żaby i pijawki. »Zrób dziurę w cegle — oto jedna z takich recept — włóż w nią ziela bazyli-szkowego, przykryj tę cegłę drugą cegłą, wystaw obie cegły na słońce, a po upływie kilku dni ziele zamieni się w prawdziwe niedźwiadki«. Podobne przepisy podawał młodszy nieco od van Helmonta O. Atanazy Kircher<sup>1</sup>. Kto chce otrzymać — uczył sławny Jezuita — żywe węże, niech posieje w żyznej ziemi posiekane na drobne kawałeczki ciało upieczonych węzów, a potem zlewa ją codziennie wodą; po ośmiu dniach zjawia się robaki, które należy odżywiać rozwodnionem mlekiem, póki nie osiągną wielkości doskonałych węzów.

Atoli już w drugiej połowie XVII stulecia zaczęto tu i ówdzie występować przeciw istnieniu heterogenezy. Franciszek Redi (1626—1698), nadworny lekarz wielkich książąt tokańskich, choć wierzył w samorodztwo pasożytów<sup>2</sup>, wykazywał<sup>3</sup>, że tworzące się w gnijącym mięsie robaki są gąsienicami pewnych much, które w mięsie złożyły jaja, że jeśli muchom uniemożliwimy przystęp do mięsa, wówczas napróżno szukalibyśmy w niem robaków. Zrazu nikt nie chciał dać wiary temu twierdzeniu uczonego Włocha: wyszukiwano najrozmaitsze zarzuty, a nawet powoływano się na Pismo św., z którego przytaczano miejsca, przemawiające rzekomo za samorodztwem. Później poszli za Redim Vallisneri, Swammerdam, Leeuwenhoek, Malpighi i Réaumur<sup>4</sup>. Kiedy jednak poznano bliżej drobnoustrojowe

<sup>1</sup> *Mundus subterraneus*, Amsterdam 1665, lib. XII.

<sup>2</sup> Mowa tu o pasożytach, zwanych wewnętrznymi, t. j. przebywających w trzewiach zwierząt i człowieka. Przekonanie o samorodztwie pasożytów przetrwało aż do XIX. wieku.

<sup>3</sup> *Experimenta circa generationem insectorum*, Leyda 1739, str. 32 i nast.

<sup>4</sup> Ze względów filozoficznych występował wówczas przeciw samorodztwu w ogóle scholastyk Ludwik Lossada (*Cursus philosophicus*, Salmanticae 1724-1735, t. III, *Tractatus: De gener. et corrupt.*, c. 2, n. 26, 27). »Mihi quidem — czytamy tamże — *necessaria videtur virtus seminis pro cuiuslibet generatione viventis; non quod improbem recursum ad causas universales, etiam ad primam, pro influxu principali praestando; sed quia universalis causa supponit exigentiam causae particularis materiam disponentis aut determinantis, et haec nequit esse alia quam virtus seminalis*«.

żyjątką, zwane wymoczkami, które odkrył Leeuwenhoek, a których rozmnażanie się było z początku tajemnicą, zaczęto znowu mówić o samorodztwie. Najgłośniejszym jego obrońcą był w połowie XVIII wieku ksiądz irlandzki, Needham, który miał się przekonać naocznie, że w wywarze materii organicznych okazały się później wymoczki, choć zawierające wywar naczynie było szczelnie zamknięte. Natomiast *l'abbé* Spallanzani<sup>1</sup>, ponawiając doświadczenia Needhama, doszedł w r. 1765 do wprost przeciwnego wyniku, przyczem twierdził, że jeżeli Needham odkrył po pewnym czasie w nalewce wymoczki, to pochodziło to z niedostatecznego jej przygotowania; według Spallanzanego należy gotować nalewkę przynajmniej przez trzy kwadransy. Ta sprzeczność wyników wywołała między Needhamem a Spallanzanem spór, który jednak za ich życia nie został rozstrzygnięty. Przez długie lata najznakomitsi przedstawiciele nauk przyrodniczych, a mianowicie Buffon, Oken, Treviranus, Wrisberg, stali po stronie Needhama; za Spallanzanem poszło zaledwie kilku uczonych, jak np. K. Bonnet i M. Terechowsky. Z czasem wszakże, dzięki ustawicznym pracom długiego szeregu badaczy, obóz drugi wzmógł się kosztem pierwszego: w połowie XIX stulecia hipoteza samorodztwa prawie nie miała obrońców. Przyczynili się do tego przedewszystkiem M. Schultze, Schwann, Milne-Edwards, Kl. Bernard, Balbiani, Küchenmeister, Schroeder, Dusch, von Siebold, Leuckart, van Beneden, Ehrenberg i de Bary. Jedni z nich badali wymoczki, drudzy pasożyty, inni najnniejsze z wszystkich ustroje jednokomórkowe tj. bakterye. Nasz Libelt<sup>2</sup>, śledząc pilnie wyniki ich prac, pisał: »Z tego wszystkiego pokazuje się, że tak nazwana *generatio aequivoca*, czyli rozwijanie się gatunków bez poprzedniego zapłodu, jako taka nigdzie miejsca nie ma,... ale że wszystko, co żyje i wegetuje, z rodziców bierze początek«.

Niestety, eksperymenty przeciwników samorodztwa niezawsze się udawały. Pewne substancye, jak n. p. mleko, chociaż były dobrze przygotowane i przystępne tylko dla wyjąłowanego powietrza, zaludniały się z czasem mikrobami. To ośmieliło akademika paryskiego, F. Poucheta<sup>3</sup> do podjęcia w r. 1858 na nowo obrony heterogenii. Pouchet napełniał wrzącą nalewką naczynie, a potem, za-

<sup>1</sup> Saggio di osservazioni microscopiche concernenti il sistema della generazione de'signori Needham e Buffon, Modena 1765.

<sup>2</sup> Filozofia i krytyka, Poznań 1845—1850, t. IV, str. 118 i n.

<sup>3</sup> L'hétérogenie, Traité de la génération spontanée, Paryż 1859.

tkawszy je szczelnie i odwróciwszy, zanurzał jego szyję w rtęci. Kiedy nalewka ostygła, otwierał naczynie i wprowadzał do niego tlen albo powietrze, wyjąłowane za pomocą gorąca. Po kilku dniach spostrzegał w naczyniu liczne drobnoustroje, z czego wnosił, że mogły one powstać wyłącznie przez samorodztwo.

Wnet wystąpił przeciw niemu, obok innych uczonych, znakomity fizyk i fizyolog, L. Pasteur<sup>1</sup>. Silnie przekonany, dzięki swym badaniom nad fermentacją, o istnieniu rozmaitych zarodków, żyjących w atmosferze, Pasteur spostrzegł od razu, że mikroby, przypisywane przez Poucheta samorodztwu, pochodziły z rtęci, przez którą przepuszczano tlen lub powietrze wyjąłowane. Następnie udowodnił za pomocą własnych doświadczeń dwa następujące fakty: 1) pozbawione zarodków powietrze nie wywołuje fermentu w płynie, podlegającym wprawdzie zepsuciu, lecz wyjąłowanym; 2) powietrze naturalne nie sprawia koniecznie gnicia płynu wyjąłowanego, albowiem ilość znajdujących się w niem zarodków niezawsze jest dostateczna do wywołania fermentu. Dla objaśnienia pierwszego faktu dodamy, że wyjąłowania płynów, n. p. różnego rodzaju nalewek. krwi i mleka, dokonywał Pasteur za pomocą gotowania, często przy 100°, oraz że, chcąc oczyścić z wszelkich zarodków powietrze, przepuszczał je przez platynową rurkę, rozgrzaną do czerwoności, lub przez wyjąłowaną watę. Przy drugim fakcie warto nadmienić, iż w naczyniach, napełnionych płynem, zdolnym do fermentacji, a stykającym się z czystym powietrzem Gór Jurajskich lub góry Mont Blanc, nie było często żadnej zmiany nawet po paru latach; skoro wszakże w jednym z naczyń uczyniono otwór, przez który weszło do jego wnętrza powietrze pracowni, wnet okazała się pleśń na powierzchni płynu.

Doświadczenia Pasteura, choć nie przekonały Poucheta i jego zwolenników (Joly i Musset), przekonały paryską Akademię nauk, której walczące strony powierzyły rozstrzygnięcie sporu. Wybrana przez Akademię komisya, sprawdziwszy doświadczenia Pasteura, przyznała mu w r. 1862 słuszność wraz z nagrodą 2500 franków.

---

<sup>1</sup> Expériences relatives aux générations dites spontanées (Comptes rendus de l'Acad. des sciences, 1860, t. 50, str. 303 i nn.); De l'origine des ferments, Nouvelles expériences relatives aux générations dites spontanées (tamże, str. 849 i nast.); Mémoire sur les corpuscules organisés qui existent dans l'atmosphère, et examen de la doctrine des générations spontanées (Ann. des sciences nat., 4-e série, 1861, t. 16. str. 5 i nast.); Note en réponse des observations critiques (Compt. r. de l'Acad. d. sc., 1863, t. 57, str. 724 i nn.).



Mimo zwycięstwa Pasteura, w dziesięć lat później, chemik paryski, Frémy, wskrzesił hipotezę samorodztwa pod inną postacią. Sposobność do tego nastreczyła teoria fermentacji, którą Pasteur przedstawił Akademii w r. 1872. Pasteur wykazał, że ferment, jak już około r. 1835 uczyli Cagniard, Latour i Schwann, pochodzi od mikroskopijnych komórek atmosferycznych, a mianowicie od grzybków drożdżowych. Grzybki osiadają w lecie n. p. na winogronach, a w jesieni dostają się do wyciśniętego z jagód soku, gdzie, rozmnażając się szybko przez pączkowanie, sprawiają fermentację. Istota jej polega na tem, że grzybki, zabierając cukrowi gronowemu tlen, rozkładają go na alkohol i dwutlenek węgla. Otóż przeciw tej teorii wystąpił Frémy, a za nim inni, twierdząc, że żyjące komórki, które widać podczas fermentacji wina, pochodzą od napół zorganizowanej materii soku winogronowego. Uogólniając to zdanie, powiedzieli ci uczeni, że między przyrodą organiczną a nieorganiczną istnieją ciała w części zorganizowane, które organizują się całkowicie same z siebie.

Nowym przeciwnikom odpowiedział Pasteur nowymi dowodami; przytoczymy z nich jeden. W winnicy swej kazał zbudować szklarnię, w której rośło kilka winnych szczepów. Wiedząc, że komórki drożdżowe nie osiadają na szczepach przed lipcem, poobwijał pod koniec czerwca wszystkie grona watą. Jagody mimo to dojrzały, a grzybki drożdżowe zatrzymały się na wacie. Z nadejściem jesieni przewieziono winogrona do Paryża i zdjęto z nich zasłony wobec osobnej komisji; w wyciśniętym z winogron soku nie powstała fermentacja. Wniosek z tego oczywisty, że moszcz nie może sam przez się fermentować, że grzybki drożdżowe, umożliwiające fermentację, nie pochodzą z moszczu, lecz dostają się do niego z powietrza.

Jeszcze z jednym zwolennikiem samorodztwa musiał się rozprawić Pasteur, z poważanym profesorem wydziału lekarskiego w Londynie, dr. Charltonem Bastianem, który wystąpił z oświadczeniem, że odkrył fizyczno-chemiczne warunki powstającego samorodutnie życia. Po długiej polemice, która się toczyła do r. 1877, Bastian zamilkł, a postawiona przez Pasteura »teoria zarodków« nabrała tem większego znaczenia w świecie naukowym, że jego doświadczenia sprawdzili Tyndall<sup>1</sup>, P. Bert, Berthelot, Schützenberger i wielu innych. Owszem, cały świat przyrodniczy oświadczył się za t. zw.

---

<sup>1</sup> Fragmente aus den Naturwissenschaften, 2 t. (tóm. niem. Helmholtza i Du Bois-Reymonda), Brunświk 1899, t. II, str. 340—388.

panspermizmem, twierdząc, że atmosfera jest przepełniona jajkami i zarodkami. pochodzącymi od jestestw żyjących. Wprowadzone przez Pasteura pojęcia dały początek nowożytnej bakteriologii, a nadto wywołały przewrót w medycynie, chirurgii, higienie, przemyśle i agronomii.

Dopiero po blisko trzydziestu latach milczenia Bastian zabrał ponownie głos w obronie samorodztwa, popierając swą ulubioną tezę doświadczeniami, zebranymi przez ten długi przeciąg czasu. Mam tu na myśli dwa jego dzieła: *The nature and origin of living matter*, i *The evolution of life*; obie książki wyszły w Londynie, pierwsza w r. 1905<sup>1</sup>, druga w 1907. Bastian przypomina swoje dawniejsze doświadczenia, znane z czasów sporu, który prowadził z Pasteurem i Tyndallem, a potem przytacza nowe, czynione na rozmaitych płynach organicznych.

Pierwsze doświadczenia osądził już w swoim czasie Pasteur. Gdy Bastian wrzucił do przegotowanej uryny pewną ilość potasu, uryna zaroiła się od nasion; mniemał tedy, że przez dodanie potasu wywołał fizyczno-chemiczne warunki samorodztwa. Pasteur odpowiedział, że jeżeli w przegotowanej urynie pokazały się później nasiona, to albo pozostały jeszcze w niedostatecznie przegotowanej urynie, albo weszły do niej wraz z potasem, albo znajdowały się na ścianach naczynia w stanie połowicznego wyschnięcia i dlatego oparły się ciepłocie wrzenia. Czynione próby wykazały, że słuszność była po stronie genialnego Francuza.

Podobne błędy widać także w nowych doświadczeniach Bastiana. Niezawsze n. p. — o czym zdaje się zapominać Bastian — ogrzanie płynów organicznych przez kilka lub kilkadziesiąt minut do 110° zabija istniejące w nich zarodki. Dziś wiadomo, że t. zw. śmiertelna temperatura jest dla rozmaitych drobnoustrojów rozmaita.

---

<sup>1</sup> Trzydziestego czerwca tegoż roku rozeszła się po świecie budząca podziw wiadomość, że dr. John Butler Burke odkrył samorodne powstanie życia pod wpływem radu. Młody ten uczony angielski przyrządził odwar mięsny (speptonizowany bulion wołowy z żelatyną), i wyjąłowiwszy go należyście, dodał do niego pewną ilość sproszkowanego bromku radowego. Po upływie kilku dni żelatyna przybrała wygląd, przypominający zwyczajne hodowle bakterii. Sztucznie te hodowle nazwał Burke radiobami. Wnet jednak uśmiercił radioby W. Ramsay, znany z swoich prac nad radem. Ramsay wykazał, że radioby były bańkami, utworzonymi ze skrzepłego białka, a wypełnionymi gazem. Zob. Gaea, 1906, str. 34 i nn.

Christen wykazał, że, aby zniszczyć na pewno niektóre bakterye, potrzeba gotować nalewki przeszło szesnaście godzin, a nadto podnieść ich ciepłotę na kilka minut do 130°. Według H. Muckermanna<sup>1</sup> »zarodniki bakteryi znoszą gorąco aż do 150°C.«

Jeszcze inne doświadczenia badacza angielskiego mają niezbić wykazywać samorodztwo. Oto Bastian stwarza życie nie tylko w środowisku organicznem, lecz także nieorganicznem! Wystarczy roztwór solny (krzemian sodowy, fosforan amonowy, kwas fosforowy, woda destylowana) wlać do gorącej próbówki, zatkać go podczas wrzenia, ogrzać przez 10 lub 20 minut do 115 albo 130 stopni, a potem umieścić w zwyczajnej ciepłocie; po pewnym czasie okaże się na dnie próbówki osad, w którym pod mikroskopem można zobaczyć bakterye. Wszakże krytycy Bastiana zaręczają, że albo roztwór nie był należycie wyjałowiony, albo zarodki dostały się do niego później, albo wreszcie zauważone drobnoustroje, choć pod względem formy przypominały drobnoustroje, nie były nimi w istocie<sup>2</sup>. Laboratoria bowiem bakteryologiczne nie znają takich faktów, o jakich opowiada Bastian.

Nadto Bastian zdradza się ustawicznie z swem zapatrywaniem apriorycznem: musi istnieć dzisiaj *generatio aequivoca*, bo według powszechnego zdania przyrodników pierwsze ustroje zjawily się na ziemi samorodnie, skoro tylko ostygła do pewnego stopnia jej powierzchnia. Zobaczymy poniżej, co należy sądzić o takim rozumowaniu.

Tymczasem wspomniemy o zarzucie, podniesionym przeciw doświadczeniom Pasteura przez T. Newesta. W książce, wydanej p. t.: *Vom Zweck zum Ursprung des organischen Lebens* (Wiedeń 1908), Newest (właściwie Hans Goldzier) twierdzi, że choć eksperymenty Pasteura są niewątpliwe, to jednak wysnuwane z nich zwyczajnie wnioski mogą być mylne. Jeżeli bowiem w wyjałowionych i dobrze przed wpływem powietrza zabezpieczonych nalewkach nie widać żyjątek, nie wynika z tego na pewno, że powietrze zawiera w sobie zarodki, które czekają tylko na korzystne warunki, aby się rozwinąć; można także przypuścić, że nalewki stały się skutkiem gotowania niezdołnemi do wydawania jestestw żyjących.

---

<sup>1</sup> Grundriss der Biologie, cz. I, Fryburg 1909, str. 44.

<sup>2</sup> »J'ai cherché en vain — powiada fizyolog paryski, A. Briot (Le problème de la vie, Revue de philosophie, 1910, str. 266) — dans l'exposé de Bastian une preuve de leur vitalité«.

Doświadczenia Pasteura — oto nasza odpowiedź — wykazują przede wszystkim, iż wyjałowione płyny pozostają wolne od wszelkich żyjatek, jeżeli nie dopuścimy do nich zarodków z powietrza; że zaś w powietrzu zarodki istnieją, świadczy fakt, który łatwo można sprawdzić. Gdy przez watę przepuścimy zwyczajne powietrze, mikroskop pokaże nam w osiadłym na niej pyłe niezliczone ciała zorganizowane, które nie różnią się niczem od zarodków najniższych ustrojów. Skoro tedy w wyjałowionym płynie tworzą się potem żyjotka, wnosimy słusznie, że nie powstają one samorodnie, lecz rozwijają się z zarodków pyłu powietrznego. Przypuszczenie, że wyjałowienie zniszczyło w nalewkach jakąś wewnętrzną ich siłę czy zdolność rodzenia, jest zgoła bezpodstawne; trzeba by wpierw udowodnić, że taka zdolność samorodcza przed wyjałowieniem w nich istniała. Gdyby zresztą sterylizacja zabijała dzisiaj w płynach siłę samorodztwa, uczyniłaby to samo wówczas, gdy ziemia znajdowała się w stanie ognisto-płynnym. Jeżeli zaś ziemia nie miała tej siły w owym czasie, zachodzi pytanie, skąd się na niej wzięło życie — pytanie, na które Newest nie potrafi dać odpowiedzi. Wszak na to widocznie wymyślił swą hipotezę, by przez samorodztwo wytłómaczyć pierwsze powstanie życia.

Sądzę, że to wszystko, co powiedziałem o badaniach nad samorodztwem, wykazuje dostatecznie, iż ono nie istnieje. Słusznie tedy ogół biologów przyjmuje bez zastrzeżeń zasadę W. Harveya (1578—1657): *Omne vivum ex ovo*<sup>1</sup>, nadając jej poprawniejsze i dokładniejsze znaczenie w formułach: *omnis cellula ex cellula* (Virchow), *omnis nucleus ex nucleo* (Walter Flemming), *omne chromosoma e chromosomate* (Boveri). Zasada ta wyraża prawo przyrody. Prawom zaś przyrody przysługuje, jak świadczy nauka, stałość. Przyrodnicy są o tej stałości tak przekonani, że niektórzy z nich wiążą ją, jakkolwiek niesłusznie, z bezwzględną koniecznością. »Prawa — powiada n. p. Büchner<sup>2</sup> — kierujące dziełami przyrody, ... są wieczne i nieodwołalne... Tutaj nie ma ani wyjątku, ani ograniczenia, i żadna potęga, którą można pomyśleć, nie potrafi przełamać tej konieczności«.

<sup>1</sup> Według Huxleya (Revue scientifique, 1 lipca 1871. str. 3) Harvey uchodzi mylnie za twórcę tej zasady. W każdym razie uznawał on samorodztwo pewnych zarodków (primordia oviformia). Zob. Bellyneck, Cours de zoologie, Namur 1864, str. 73 i n.; por. W. Preyer, Biologische Zeitfragen, wyd. 2, Berlin 1889, str. 225 i nn.

<sup>2</sup> Dz. przyt., str. 36.

Zdawałoby się tedy, że jeżeli kto na podstawie faktów odrzuca heterogenezę w dzisiejszym świecie, to, uznając stałość praw przyrody, odrzuci ją także w każdym okresie geologicznym. W istocie zdrowy rozsądek tylko na to następstwo może się zgodzić. Tymczasem, jak widzieliśmy wyżej, mechanisci, chociaż przyznają, iż obecnienie samorodztwo nie istnieje, przyjmują je na początku. Czy to nie jest wywrócenie doszczętnie najgłówniejszych zasad myślenia? Jak można z tych dwóch przesłanek: prawa przyrody są stałe, dziś samorodztwa nie ma — wysnuć wniosek: zatem samorodztwo istniało niegdyś? Czy rzeczzone przesłanki nie prowadzą koniecznie do wprost przeciwnego wyniku, który leży jak na dłoni?

Jakkolwiek jednak postawiona przez mechanizm hipoteza samorodztwa urąga zasadniczym prawidłom logicznym, ma ona za sobą pewną filozofię, która się jej domaga. W rzeczy samej zagadnienie o początku życia jest przedewszystkiem filozoficzne, czyli — choć mechanisci nie lubią tego wyrazu — metafizyczne. Wszak nikt z ludzi nie był obecny przy powstaniu pierwszych ustrojów; sprawę tę można rozstrzygnąć tylko przy pomocy pewnego rozumowania, opartego na faktach. Wie o tem dobrze Virchow i dla tego nazywa heterogenezę »postulatem filozofii przyrody«. Z czegoż wynika ten postulat?

Przeciwnicy, chcąc dojść do niego, rozpoczynają zwyczajnie od dylematu. Albo hipoteza samorodztwa — słyszeliśmy z ust Haeckla — albo cud nadprzyrodzony. Albo teoria stworzenia — mówił nam Virchow — albo samorodztwo; *tertium non datur*.

Rozważmy pierwszy dylemat! Osobny wpływ Stwórcy przy pierwszym powstaniu życia nie jest właściwie cudem, a chociażby nim był, to Haeckel miałby prawo do wyboru pierwszego członu dylematu jedynie wtedy, gdyby wykazał, że cud jest niemożliwy. Atoli możliwość cudu uznaje nie tylko ludzkość w ogóle, nie tylko teolog lub filozof chrześcijański, lecz także wielu przyrodników nowożytnych, którzy przyjmują Boga osobowego<sup>1</sup>. W każdym razie żądamy od Haeckla dowodu na to, że drugi człon jego dylematu jest wykluczony<sup>2</sup>.

Podobna uwaga dotyczy dylematu Virchowa. Sławny antro-

<sup>1</sup> Zob. moją Kosmologię, cz. I, Warszawa 1907, str. 241 i nn.

<sup>2</sup> A. Dippe (Naturphilosophie, Monachium 1907, str. 188) zwraca słusznie uwagę na to, że *generatio aequivoce*, której nie można poprzec ani jednym faktem, byłaby również cudem.

polog odrzuca teorię stworzenia, ale dla czego? »Jeśli nie chcę — przypominam jego słowa — przyjąć teorii stworzenia, jeśli nie chcę wierzyć, iż był jakiś osobny Stwórca,... to muszę« przyjąć samorodztwo. Więc wszystko, gdy chodzi o Boga, zależy od chcenia: ani czyn stwórczy, ani istnienie Stwórcy nie dadzą się uzasadnić; można je uznać lub nie uznać według upodobania. Przypuśćmy na chwilę, że te twierdzenia są słuszne. Co się stanie z całym rozumowaniem, gdy ktoś, w przeciwieństwie do Virchowa, zechce przyjąć Stwórcę? Nie podlega wątpliwości, że cały wywód zwróci się przeciw Virchowowi. Więc inaczej powinien był autor rozwinąć swój dylemat. Należało powiedzieć: Albo czyn stwórczy Boga albo samorodztwo. Ponieważ jednak nie ma Boga, a tem samem nie ma także czynu stwórczego, przeto pozostaje jedynie *generatio aequivoca*. Tak też w istocie rozumują konsekwentni zwolennicy mechanicznego monizmu. Nie z powodu faktów, ale dzięki systemowi filozoficznemu, postawionemu *a priori*, tłumaczą początek życia przez samorodztwo. Życie musiało powstać tą drogą, bo tego domaga się koniecznie monizm, według którego istnieje tylko odwieczna materya i ruch odwieczny. Z materyi jednorodnej wyłoniły się osobne pierwiastki chemiczne, a później wyszły wszystkie ustroje od najprostszego żyjątko jednokomórkowego aż do człowieka.

Zrozumiemy teraz, dla czego sam Virchow nazwał później samorodztwo postulatem filozofii przyrody, albo dla czego dziś Weismann widzi w niem »logiczną konieczność«. Bez samorodztwa nie ostałby się system monistycznej filozofii, nie ostałby się wykluczający Boga darwinizm. »Sprzeciwia się — woła Tyndall — duchowi i metodzie przyrodoznictwa przyjmować antropomorficznego Stwórcę<sup>1</sup>. Pierwotna mgławica i układ słoneczny wraz z życiem mają się tak do siebie, jak się ma zarodek do gotowego ustroju<sup>2</sup>. Nauka o samorodztwie — wyznaje bez ogródek Huxley<sup>3</sup> — »jest koniecznem następstwem, wysnutem w sposób prawidłowy z idei Darwina«. To samo powtarza od lat kilkudziesięciu, we wszystkich swych książkach, główny twórca monizmu ewolucyjnego, Haeckel.

Łatwo się domyśleć, pod jakimi warunkami moglibyśmy uznać

<sup>1</sup> Fragmente aus den Naturwissenschaften (tłóm. niem. Helmholtza i Du Bois-Reymonda), 2 t., wyd. 2, Brunświk 1899, t. II, str. 479.

<sup>2</sup> Tamże, str. 250.

<sup>3</sup> Cytat według Gerarda, L'antico enigma, tłóm. wł. A. Gemellego, Florencya 1906, str. 52.

samorodztwo za konieczność logiczną lub postulat filozoficzny. Przeciwnicy musieliby przedtem wykazać, że rzeczywiście nie ma Stwórcy, że materya i ruch istnieją nie tylko odwiecznie, ale także z siebie, że ślepy rozwój mechaniczny dał początek wszystkim pierwiastkom ustrojom, że panujący w przyrodzie ład jest dziełem przypadku. Są to jednak tezy, których nikt nie potrafi uzasadnić. Im większe są wysiłki monistów, im dłużej pracują nad budową swego systemu, tem bardziej rozpadają się jego ściany i fundamenty, tem jaskrawiej uwydatniają się jego sprzeczności. Na odwrót zwalczane przez monizm prawdy, jak istnienie Najwyższej Przyczyny, która powołała do bytu materję i dała jej ruch, która przez swe prawa kierowała rozwojem świata nieorganicznego i organicznego, są wobec nieuprzedzonego umysłu wyższe ponad wszelką wątpliwość.

Zresztą sami moniści nie tylko czują dobrze, że ich hipoteza samorodnego powstania ustrojów opiera się na kruchych podstawach, lecz także wypowiadają to nieraz bez dwuznaczników. Huxley<sup>1</sup> n. p. zowie swe przekonanie o ewolucyi żywej protoplazmy z materji martwej »aktem wiary filozoficznej«. Jest to, sędzę, mimowolne uznanie bankructwa monistycznego systemu. W rzeczy samej, co może on wartać, jeśli zamiast oprzeć swe twierdzenia na faktach, odwołuje się do jakiejś filozoficznej wiary, która prócz szumnej nazwy nie ma żadnego znaczenia? Dodajmy, że do wiary ucieka się tutaj ten sam Huxley, który w innem miejscu<sup>2</sup> uważa akt wiary za błąd nie do darowania.

Inni przyrodnicy, jakkolwiek nie przyznają się do monizmu, mówią, iż »musimy« przyjąć w dalekiej przeszłości samorodztwo, »jeżeli chcemy w sposób przyrodniczy wytłómaczyć początek życia«.

Nie rozumiem tego rozumowania. Jak może przyrodniczy sposób tłómaczenia życia domagać się samorodztwa, skoro samorodztwo sprzeciwia się właśnie faktom przyrodniczym? Czy tedy przyjęcie samorodztwa nie jest tłómaczeniem, że tak powiem, antyprzyrodniczem? Dziwna, doprawdy, metoda. Przyrodnicy powtarzają ustawicznie z dumą, że opierają się tylko na faktach; lecz gdy chodzi o początek życia, natenczas wielu z nich ucieka się, wbrew wszelkim faktom, do samorodztwa. Powiesz, że wolno im sięgać poza fakty przy pomocy hipotezy. Prawda, atoli dodać należy, że hipoteza,

---

<sup>1</sup> Critiques and addresses, 1873, str. 238 i n.

<sup>2</sup> Lay sermons, 1870, str. 18.

która się sprzeciwia faktom, jest czystą fikcją. *Hypotheses non fingo* — powiedział wielki Newton. Z drugiej strony przypominam, że nauka przyrodnicza nie jest jedyną umiejętnością, która ma prawo zająć się zagadnieniem o początku życia. Owszem, zagadnienie to, jak zaznaczyłem przed chwilą, należy głównie do umiejętności wyższej, a mianowicie do filozofii. »Przyrodnik — powiada słusznie J. Ude<sup>1</sup> — ma w swych badaniach przedmiot gotowy. Są nim rzeczy natury, świat i jego zjawiska, o ile stanowią przedmiot zmysłowego doświadczenia, oraz podlegają eksperymentowi i obserwacji. Opisać przedmioty przyrody, wykryć ich przyczynowy związek, sprawdzić prawidłowość rozwoju świata, tudzież przedstawić formuły tej rządzącej kosmosem prawidłowości i celowości — to, nie mniej i nie więcej, jest zadaniem nauki przyrodniczej... Gdzie zaś badacz natury odkłada na bok sonde, retortę, mikroskop i t. d., tam rozpoczyna się praca filozofa«. Czy więc przyrodnik nie może rozprawiać o początku życia? Nikt mu tego prawa nie odmawia. Problem, o którym mowa, nasuwa się nie tylko badaczowi natury, ale każdemu w ogóle należycie rozwiniętemu człowiekowi, bo tego rodzaju zagadnienia wynikają z przyrodzonych potrzeb naszego umysłu. Stąd nikt nie może być obojętny na pytanie, skąd się wzięło życie, tak samo, jak każdy z nas pyta, skąd świat, skąd różnorodność jego martwych i żyjących tworów, skąd człowiek? Przy tem wszystkim jednak należy zawsze pamiętać, że, zajmując się takimi kwestyami, wkraczamy w dziedzinę metafizyczną. Więc nie wszystko daje się tłumaczyć sposobem przyrodniczym; nauka przyrodnicza, jak każda specjalna, ma ściśle oznaczony zakres, poza którym kończy się jej panowanie. Jak tedy w błędzie byłby historyk, który zagadnienia matematyki lub fizyki chciałby rozwiązywać sposobem historycznym, tak samo myli się przyrodnik, jeżeli patrzy na wszystko przez pryzmat nauk przyrodniczych.

Nie ma więc żadnej podstawy do przypuszczenia, jakoby pierwsze życie powstało przez heterogenezę. Przeciwnie, skoro ona dziś nie istnieje, należy wnosić, że nie było jej nigdy, bo prawa przyrody są stałe. Ale tutaj zbiegają mi drogę mechanisci, powołując się na to, że dawniej istniały na ziemi korzystniejsze warunki do samorzutnego powstania życia, tudzież że pierwsze ustroje posiadały budowę znacznie prostszą, aniżeli dziś nam znane ustroje o najniższej orga-

---

<sup>1</sup> *Materie und Leben*, Monachium 1909, str. 84 i n.



nizacyi. »Biologowie — pisze H. Spencer<sup>1</sup> — zgadzają się w ogóle w twierdzeniu, iż w obecnym stanie świata z materii nieżyjącej nie powstają nigdy jestestwa żyjące. Nie przeczą jednak, że w pewnym okresie odległego czasu, kiedy ciepłota powierzchni ziemi znacznie przewyższała dzisiejszą, i kiedy fizyczne warunki były różne od tych, które znamy, materia nieorganiczna dała początek materii organicznej za pomocą następujących po sobie kombinacji«. »Należałoby mniemać — są znowu słowa K. Günthera<sup>2</sup> — że, im mniejsze są zwierzęta, tem prostszą posiadają również budowę; jak już bakterye okazują znacznie prostsze stosunki w komórkach, aniżeli właściwe zwierzęta komórkowe. Ostatecznie możemy sobie pomyśleć także takie niewidzialne zwierzęta, których małość nie przypuszcza już żadnego różnicowania. W każdym razie jest usprawiedliwione przypuszczenie, że w czasie powstania życia na ziemi istniały takie jestestwa, i że dopiero z wolna rozwinęły się z nich ustroje komórkowe. Według bowiem teorii descendencji złożone rozwinęło się z prostego. Najprostsze zaś, co jest w organizmach, to grudka równobarwnej substancji żywej; należałoby tedy sądzić, że zrazu powstała żywa substancja, zanim mogło się rozpocząć jej różnicowanie«.

Czy warunki powstania życia były w najdawniejszych okresach korzystniejsze, aniżeli są dzisiaj? Nie mamy, sądzę, najmniejszej podstawy do twierdzenia, żeby tak było. Doświadczenie uczy nas raczej, że zmiana warunków obecnych osłabia czynności życiowe, a jeżeli jest wielka, sprowadza nawet śmierć ustrojów<sup>3</sup>. Zresztą fizyk i chemik potrafią w naszych czasach zmieniać przypuszczalne

<sup>1</sup> Nineteenth Century, 1886, marzec, str. 769.

<sup>2</sup> Vom Urtier zum Menschen, 2 t., Stuttgart 1909, t. I, str. 42.

<sup>3</sup> »Znamy — powiada znakomity badacz przyrody, J. Henle (Anthropologische Vorträge, 2 zes., Brunświk 1880, zes. II, str. 73) — zachowanie się organicznej materii wobec temperatury, ciśnienia, elektryczności i t. d. Za pomocą stopni zimna i ciepła, zgęszczenia i rozrzedzenia powietrza, które mamy pod ręką, sprawiamy skrzepnięcie białka, oraz niszczymy roślinną i zwierzęcą budowę. Ale nikt nie będzie chciał mówić, że siły, które dzisiaj zabijają życie, dawniej, gdy były potężniejsze, służyły do tego, aby je budzić. Gdyby zaś wolno było botanikowi lub zoologowi przyjąć jakiś okres, w którym chemiczne powinowactwa pierwiastków różniły się od dzisiejszych, to kto zabroni wówczas geologowi wymyśleć okres całkiem innych ciężarów gatunkowych, w którym granitowe bryły unosiły się na wodzie?«

warunki życiowe w nieskończoność, a jednak żaden z nich nie uważał nigdy śladów samorodztwa. Odwoływanie się znowu Günthera do niewidzialnych żyjątek, które tak są małe, iż nie posiadają żadnej organizacyi, stoi w rażącej sprzeczności z nauką. Nowożytna biologia nie zna żadnego jestestwa żyjącego, które posiadałoby budowę prostszą od komórki. Nadto, skoro owe niewidzialne żyjątka istotnie żyją i dają początek zróżniczkowanym ustrojom, to muszą posiadać pewną organizację. Bez organizacyi bowiem nie ma w przyrodzie ani odżywiania się, ani rozmnażania: wszelka komórka powstaje tylko przez podział komórki już istniejącej; podobnie każde jądro komórkowe i każdy chromosom zawdzięczają swój początek w obrębie komórki innemu jądro i innemu chromosomowi. Rozprawianie przeto o zwierzętach, będących tylko grudką równobarwnej substancji, jest czystą spekulacją, godną bujającego w obłokach fantasty, ale nie trzeźwego przyrodnika. Co więcej, gdyby nawet taka substancja istniała, należałoby dać odpowiedź na najważniejsze pytanie, skąd się wzięło jej życie. To jest *nervus rei*, o który chodzi przede wszystkim. Czy hipoteza Günthera wyjaśnia tę tajemnicę? Powołuje się jedynie na teorię descendencyi, według której »złożone rozwinęło się z prostego«. Jednakowoż każdy widzi, że to tłumaczenie samorzutnego powstawania pierwszych jestestw żyjących jest znowu wplecione w teorię descendencyi nieograniczonej, która nie da się poprzeć żadnymi faktami. Jakkolwiek bowiem w pewnym zakresie rozwój jednych gatunków systematycznych z drugich jest prawdopodobny, to jednak powszechna ewolucja królestwa zwierzęcego z roślinnego, a roślinnego z mineralnego jest tylko pobożnem życzeniem skrajnego darwinizmu.

Ale hipotezie pierwotnego samorodztwa nie tylko brakuje wszelkiej podstawy naukowej; jest ona jeszcze wprost niedopuszczalna z innych, a mianowicie pozytywnych względów. Jeżeli, jak się okazało wyżej, istnieje różnica istotna między materią żyjącą a martwą, to samorzutnie powstanie pierwszej z drugiej jest bezwarunkowo niemożliwe. Bo niepodobna przyjąć, żeby większe rozwinęło się samo z mniejszego, złożone z prostego, doskonalsze z mniej doskonałego, chyba że się odrzuci zasadę przyczynowości, która żąda dla każdego skutku nie tylko jakiegokolwiek przyczyny, ale przyczyny, odpowiadającej skutkowi. Choćby tedy istniały najkorzystniejsze warunki zewnętrzne dla zjawisk życiowych, nigdy rzecz martwa nie zdołałaby się ożywić o własnych siłach; w przeciwnym razie dawa-

łaby sobie to, czego zgoła nie posiada. Słusznie tedy pyta E. Vacherot<sup>1</sup>: »Jak mogła ewolucya uczynić, żeby z materji powstały jestestwa, mające przymioty zupełnie różne od przymiotów materji? Jak mogła zdziałać te cuda skutków bez przyczyn? Jak, żeby mówić językiem Arystotelesa, może lepsze wyjść z gorszego?«

Zarzuci kto, że dawna filozofia scholastyczna, chociaż przestrzegała pilnie zasady przyczynowości, nie uważała heterogenezy za rzecz niemożliwą. Wszak nawet najślawniejszy scholastyk, św. Tomasz z Akwinu, utrzymywał, iż najniższe zwierzęta rodzą się z ciał gnijących.

To wszystko jest prawdą. Ale nie wolno przemilczeć, że starzy scholastycy pojmowali heterogenezę zupełnie inaczej, aniżeli dzisiejsi moniści. Tomasz z Akwinu wręcz odrzuca zdanie arabskiego filozofa, Avicenny, jakoby zwierzęta mogły powstać bez nasienia przez samo »pomieszanie pierwiastków«. Jestestwa, rodzące się, jak zwyczajnie bywa, z nasienia, rodzą się dla tego, że w nasieniu tkwi siła kształtująca (*virtus formativa*); »zamiast tej siły istnieje w bytach, rodzących się ze zgnilizny, siła ciała niebieskiego«<sup>2</sup>. Tak więc niższe ustroje powstają z gnijącej materji pod wpływem ciał niebieskich, którym ówczesna fizyka przypisywała naturę szlachetniejszą, niż substancjom ziemskim. Owszem, ciała niebieskie odgrywały w tym wypadku tylko rolę narzędzi, działających pod wpływem duchów, które poruszały gwiazdy<sup>3</sup>. Były to niewątpliwie domysły, które dzisiejszy uczony nazwie słusznie naiwnymi<sup>4</sup>, ale każdy mus przyznać, że pojęta w ten sposób heterogeneza nie zawierała w sobie wewnętrznej sprzeczności, bo tłumaczyła powstanie życia tam gdzie ono było nieznane, działaniem jestestw wyższych. Innemi słowy, *generatio aequivoca* średniowiecznych scholastyków różniła się zasadniczo od samorodztwa właściwego, w którym, jak nazwa wskazuje, życie ma powstawać samorzutnie w materji martwej.

<sup>1</sup> Revue des deux mondes, 1878, t. 30, str. 834.

<sup>2</sup> Summa theologica, I, q. 71, a. unicus, ad 1.

<sup>3</sup> Tamże, q. 70, a. 3, ad 3.

<sup>4</sup> Że co do tych domysłów nasuwały się św. Tomaszowi poważne wątpliwości, pokazują następujące jego słowa: «Licet enim talibus suppositionibus factis apparentia salvarentur, non tamen oportet dicere has suppositiones esse veras, quia forte secundum aliquem alium modum nondum ab hominibus comprehensum apparentia circa stellas salvantur (In lib. II de coelo et mundo, lect. 17).

Jest tedy pewne, że taka *generatio aequivoca*, jaką przypuszczają nasi przeciwnicy, nie daje się pogodzić z zasadą przyczynowości.

Znany nam profesor botaniki w Kielu, J. Reinke<sup>1</sup>, wykazuje fizyczną niemożliwość samorodztwa w następujący sposób:

Sprawa samorodztwa obejmuje dwa zagadnienia, a mianowicie pochodzenie materyałów, wchodzących w skład komórki, tudzież utworzenie z nich komórki.

Każda komórka składa się z wielu związków organicznych, do których należą ciała białkowe, węglowodany i tłuszcze. Oto najważniejsze materyały komórki. Aby uprościć zagadnienie, zajmmy się tylko białkiem i węglowodanami. W skład białka wchodzi przede wszystkim węgiel, wodór, tlen, azot i siarka. W chwili, kiedy kula ziemską oziębiła się do tego stopnia, że mogła nastąpić synteza wymienionych pierwiastków, węgiel istniał tylko jako bezwodnik węglowy, wodór w wodzie, tlen w wodzie i powietrzu, azot jako kwas azotowy i składnik powietrza, wreszcie siarka jako siarczany. Są to te same substancje lub związki, które i dziś służą za pokarm roślinom. Nie ma bowiem żadnej podstawy do przypuszczenia, jakoby po oziębieniu się ziemi wymienione pierwiastki występowały w innych związkach. Aby jednak mogło się utworzyć pierwsze białko, musiały bezwodnik węgla, kwas azotowy i siarkowy ulec wpraw redukcji, t. j. musiały stracić pewną część tlenu. Takiej redukcji dokonują codziennie dzisiejsze rośliny przy pomocy swego chlorofilu i promieniującej energii słońca. Prócz roślin przeprowadza podobny proces tylko chemik, wystawiając rzeczne związki na działanie ciał, które posiadają większe powinowactwo z tlenem, aniżeli węgiel, azot i siarka. Samorzutna tedy redukcja związków jest przy początku życia wykluczona. Lecz przypuśćmy nawet, że nastąpiła ona przypadkiem wskutek jakiejś niepojętej katastrofy chemicznej. Jeszcze dziwniejsza katastrofa byłaby potrzebna, aby z ułożenia atomów, sprawionego redukcją, utworzył się najprostszy węglowodan. Aby uzyskać atomy węgla, nieodzowne do powstania jednej cząsteczki najniższego węglowodanu, potrzeba rozbić sześć cząsteczek bezwodnika węglowego. Otóż do tego nie było sił w przyrodzie martwej; według prawa chemicznego wszystkie postaci energii muszą

---

<sup>1</sup> Die Welt als Tat, wyd. 2, Berlin 1901, str. 312 i nn; zob. także jego Philosophie der Botanik, Lipsk 1905 (rozdz. 12).

przechodzić z układów o wyższym napięciu do układów o napięciu niższym. Tem mniej mogły powstać bardzo złożone substancje białkowe. Innemi słowy, mielibyśmy przed sobą niepojęty przypadek, tak nieprawdopodobny, że z pewnością każdy chemik nazwie go niemożliwym.

Chociażby jednak składające się na komórkę materiały powstały same przez się, sprawa samorodztwa nie wieleby na tem zyskała. »Wtenczas bowiem — ciągnie dalej sławny botanik — stoimy przed nierównie trudniejszym pytaniem, jak z tych materiałów budulcowych powstała komórka żywa... Zadanie to, mniemam, należy uważać za trudniejsze dla tego, że ludziom udało się wprowadzić syntezę organicznych związków, ale nie udało się budowa komórki z tychże związków. Pierwsza komórka musiała od początku swego istnienia być wykończoną i celowo działającą maszyną, nakręconym automatem; jako taka musiała się wznieść ponad mieszaninę i nieład związków chemicznych. Życie jej polegało wówczas, jak proces życiowy każdego ustroju, głównie na wydawaniu energii. Dla pokrycia tej straty, musiała pierwsza komórka nabyć jak najrychlej prawdziwą zdolność zamieniania promienistej energii słońca w energię chemiczną, t. j. w odnawiający się zapas związków węglowych, które jako materiał palny równoważyłyby jej oddychanie. Do tego potrzeba było wytworzenia chlorofilu. I chociażbyśmy przyznali, iż w pierwszych komórkach jądro i barwik nie mogły jeszcze być wyróżniczkowane w plazmie tak doskonale, jak to dziś widzimy w prawidłowej komórce, jednakowoż w każdym razie musiał w pierwszej komórce powstać razem z nią narząd do przemiany energii promieniującej w chemiczną, narząd, który okazał się wrażliwym na wpływy zewnętrzne i posiadał zdolność rozmnażania się przez podział.

»Do utworzenia takiego narządu nie wystarczy nawet chemiczna katastrofa, którą przypuściliśmy poprzednio w charakterze pomocniczej hipotezy. Bo chociażbyśmy przyjęli materiał chemiczny już jako gotowy, to przecie nie można z niego wyprowadzić komórki, która byłaby wynikiem chemicznych energii... Przypuśćmy, że chemiczny materiał budulcowy istniał w całości na miejscu, i że na zewnątrz panowały korzystne warunki fizyczne, zawsze jednak prócz tego trzeba było przedziwnie celowego kierunku energii, aby komórkę powołać do bytu. Ten zaś kierunek musiał być niesłychanie złożony, albo raczej był wielkim szeregiem harmonijnych kie-

runków. Do spełnienia takich zadań pozostaje w hipotezie samorodztwa znowu tylko przypadek jako przyczyna.

»Wyobraźmy sobie, iż starto na proch zegarek kieszonkowy! Czy znajdzie się śniadek, któryby przypuścił jako rzecz bodaj tylko możliwą, że te części pod wpływem energii mechanicznej złączą się znowu w zegarek szczęśliwym trafem? Jeżeli zaś materyały, z których się składał zegarek, nie posiadają żadnej skłonności do tego, aby go utworzyć, to to samo stosuje się do komórki i do tworzących ją materyałów. W białku jako takim nie ma wcale przyczyny do utworzenia komórki...

»Mieszanie związków, n. p. soli kuchennej i asparaginy, mogą rozetrzeć i rozpuścić w wodzie: składniki mieszaniny krystalizują zawsze w postaci znamiennej. Materye białkowe i węglowodany przybierają także, skoro okoliczności są korzystne, formę kryształów. Ale materye, będące podścieliskiem życia, nie są nigdy skryształizowane; krystalizacya oznacza zawsze stan martwy, nawet w białku. To też siły chemiczne, działające w najkorzystniejszej mieszaninie materyi, nie utworzą tego, coby można uważać choćby za pierwszy krok w kierunku utworzenia komórki. Zgodnie z doświadczeniem znamy tylko jedno pochodzenie komórki, t. j. jej powstanie przez czynność rozrodczą«.

Na podstawie takich rozważań dochodzi Reinke do wyniku, wyrażonego w innem dziele<sup>1</sup> słowami, »że przyjęcie samorodztwa przed dawnemi laty odpowiada tak mało naszym pojęciom o przyczynowości, jak gdyby kto chciał postawić hipotezę, iż przed milionem lat woda sama przez się płynęła do góry«.

Chociaż jednak samorodztwo sprzeciwia się i doświadczeniu i rozumowi, obrońcy jego używają różnych wybiegów, aby dowieść, że ono musiało istnieć na progu ewolucyi. Przypatrzmy się bliżej tym pomysłom.

Najpierw spotykamy tu i ówdzie usiłowania, zmierzające do tego, aby wykazać w przyrodzie jakieś najprostsze podścieliska życiowe. Sądono bowiem, że w ten sposób łatwo można pojąć samorzutne powstanie życia w materyi nieorganicznej.

Nieźrównanym mistrzem jest tutaj Haeckel. Już Oken, jego poprzednik na katedrze w Jenie, przypuszczał galaretowaty praszlam,

---

<sup>1</sup> Einleitung in die theoretische Biologie, Berlin 1901, str. 558.

t. j. pierwotną materię organiczną, która, powstawszy samodzielnie w oceanie, wydała »pęcherzyki«, będące składnikami ustrojów. Ta »wielka myśl« podobała się Haecklowi. Według niemieckiego Darwina pierwszym jestestwem żyjącem był archiplasson, czyli pierwotna zarodź, utworzona przez wewnętrzne siły materii; archiplasson dał początek bioplassonowi, z którego powstała wszelka materia zorganizowana. W ten sposób zjawilo się na świecie pierwsze żyjątko o postaci określonej, czyli monera, która, choć spełniała zasadnicze funkcje życiowe, była bryłką zarodzi bez wewnętrznej struktury i narządów. Dopiero później w jednorodnej plazmie moner wyróżniczkowało się jądro, wskutek czego przyszła na świat pierwsza komórka<sup>1</sup>. Nadto twierdził Haeckel, że takie ogniwo pośrednie między światem martwym a żywym musi dzisiaj jeszcze istnieć. Był też czas, choć krótki, w którym sądzono, że odkryto praszlam organiczny, przedstawiający życie w najprostszej postaci. Oto w r. 1868 znaleziono (Thomson i Carpenter) na dnie morskiem masę galaretowatą, mającą być owym długo poszukiwanym praszlamem. Kilka przechowanych w alkoholu próbek tejże masy zbadał później Huxley; przekonawszy się, że ona zawiera w sobie zarodź, ochrzcił ją na cześć proroka jenajskiego *Bathybius Haeckelii*. Przez jakiś czas uchodził *Bathybius* za »jeden — jak się wyraził uradowany odkryciem Haeckel — z głównych filarów nowożytnej teorii rozwoju«, za samorodne przejście z królestwa nieorganicznego do organicznego. Niestety, okazało się niebawem, że sławny *Bathybius* jest tylko osadem gipsowym, albo, jak twierdzi Milne-Edwards, »klejowatą masą, którą wydają z siebie gąbki i pewne zwierzokrzewy, gdy narzędzia rybaków przyniosą ich tkanki«. Stąd Huxley i Haeckel odwołali po kilku latach swe twierdzenia<sup>2</sup>. Nie lepsze były losy *Protobathybiusa*,

---

<sup>1</sup> Haeckel, *Generelle Morphologie der Organismen*, 2 t., Berlin 1866, t. I, str. 167—190. To samo powtarzają dotychczas uczniowie Haeckla. H. Schmidt n. p. opisuje historyczny rozwój moner. Najpierw z prostych związków nieorganicznych utworzyły się bogate w azot związki węglowe, które przybrały później postać ciał białkowych (albuminy). Potem cząsteczki albuminów związały się w grupy, zwane micellami; dalej powstały plasonelle, a w końcu monery. Schmidt, *Die Urzeugung und Professor Reinke*, Jena (*Gemeinverständl. Darwinistische Vorträge u. Abhandlungen*, zes. 8).

<sup>2</sup> Tylko profesor padewski, Maggi, wierzył — jak poświadcza Ballerini, *Il principio di causalità*, wyd. 2, Florencja 1908, str. 198 — aż do końca swego życia (1906 r.), że *Bathybius Haeckelii* jest dowodem samorodztwa.

odkrytego w czasie wyprawy do bieguna północnego przez E. Bessela. Pouczony smutnem doświadczeniem Haeckel nie przyznał się do tego noworodka, o którym Wasmann<sup>1</sup> pisze, że w najlepszym razie jest on osadem, powstałym na dnie morskiem z resztek pewnych ustrojów<sup>2</sup>.

Mimo to wszystko, Haeckel utrzymuje do dnia dzisiejszego, że tak wolno żyjące monery (najniższe żyjątka typu pierwotniaków i bakterye), jak wchodzące w skład tkanek cytody, zawierają tylko zarodek pierwotną bez jądra<sup>3</sup>.

Atoli nauka obecna nie zna żyjątek, o których możnaby powiedzieć na pewno, iż nie mają jądra. Owszem, im bardziej doskonałą się przyrządy i metody badania, tem więcej rozpowszechnia się wprost przeciwne zapatrywanie. »Stąd — jak powiada R. Hertwig<sup>4</sup> — jest rzeczą prawdopodobną, że u niewielu postaci, które jeszcze uchodzą za monery, dotychczas tylko przeoczono jądra«. Stosuje się to także do najmniejszych przedstawicieli świata roślinnego, do bakteryi, zaliczonych przez Haeckla do moner; mają one — jak świadczą najnowsze prace R. Raymanna i R. Kruisa, F. Vejdowskiego i A. Meyera<sup>5</sup> — przynajmniej substancję jądrową, rozdzieloną na małe ziarna chromatyny. Nic też nie wiadomo dzisiejszej biologii o haecklowskich cytodach w wielokomórkowych ustrojach. Wprawdzie ciała czerwone, znajdujące się w krwi niektórych zwierząt, są pozbawione jądra, atoli młode komórki tychże ciałek mają je niewątpliwie; nadto ciała czerwone rozmnażają się przez podział jąder. Stąd stare ciała czerwone bez jąder uchodzą za komórki zużyte i zmarniałe; jako resztki dawniejszych komórek żywych stają się one niebawem łupem białych ciałek krwi, czyli leukocytów<sup>6</sup>.

»Zdaje się — przytaczam słowa Verworna<sup>7</sup> — według obecnego stanu naszych wiadomości, że pośród żyjących dzisiaj na ziemi ustrojów nie ma w ogóle komórek, w których nie byłoby rozdziału

---

<sup>1</sup> Die moderne Biologie und die Entwicklungstheorie, wyd. 3, Fryburg 1906, str. 184.

<sup>2</sup> Zob. M. Gander, Der erste Organismus, Einsiedeln 1904, str. 6 i n.

<sup>3</sup> Die Welträthsel, wyd. 7, Bonn 1901, str. 427.

<sup>4</sup> Lehrbuch der Zoologie, wyd. 8, 1907, str. 164.

<sup>5</sup> Der Zellkern der Bakterien, Flora, t. 98, zes. 3.

<sup>6</sup> Wasmann, dz. przyt., str. 188.

<sup>7</sup> Allgemeine Physiologie, wyd. 5, str. 78.



między dwiema różnymi substancjami. że tedy każda komórka prócz protoplazmy posiada także jądro». W każdym razie zwoleńnicy samorodztwa nie mają żadnego prawa powoływać się na monery i cytody, jako najprostsze jestestwa żyjące o jednorodnej zarodki bez jąder.

Jeśli monery i cytody nie podpierają samorodztwa, to tem mniej mogą to czynić jeszcze prostsze składniki komórki, podawane przez wielu za samodzielne jednostki biologiczne. Jak mianowicie fizycy i chemicy, dla wytłomaczenia zjawisk fizycznych i chemicznych, uciekają się do atomizmu, tak wielu biologów, chcąc wyjaśnić pewne zjawiska życiowe, zwłaszcza dziedziczność, przypuszcza, że zarodek składa się z elementarnych osobników zorganizowanych, których nie można zobaczyć przez najlepszy mikroskop. Tak powstał cały szereg hipotez, rozpoczęty przez fizyologa wiedeńskiego, Ernesta Brücke, i Herberta Spencera, według którego każda komórka jest zrzeszeniem niewidzialnych jednostek fizyologicznych (*physiological units*). Za nimi poszli inni. Darwin przyjął w swej słynnej teorii pangenezy t. zw. *gemmule* (*gemmules*), Eriksberg, Haeckel, Maggi i Cope plastydule, Naegeli micelle, de Vries pangeny, Verworn biogeny, W. Roux cząstki metastrukturalne (*Metastrukturteilchen*), Wiesner plasomy, W. Haacke gemmy, L. Zehnder fistelle, Simroth biokryształy, O. Hertwig idioblasty, Weismann biofory. Co więcej, niektórzy mniemają, że jednostki życiowe tworzą coraz bardziej złożone jednostki wyższego rzędu. Tak n. p. według Weismanna przez skupienie bioforów powstają determinanty; determinanty składają się znowu na idy, a idy na idanty. Idy i idanty są widzialne pod mikroskopem; jako te ostatnie chromosomy, zawarte w jądrze komórek, tamtejsze jako wchodzące w skład chromosomów mikrosomy. Wreszcie Altmann upatruje ostateczne elementy życiowe w granulach lub bioblastach. Nazywa je granulami, o ile dadzą się widzieć pod mikroskopem w postaci drobnutkich ziarenek, a bioblastami, o ile tworzą przypuszczalne osobniki drugiego rzędu, czyli wchodzące w skład komórki ustroje elementarne.

Yves Delage<sup>1</sup> sądzi, że teoria Altmanna jest znacznie mniej hipotetyczna, aniżeli wszystkie poprzednie». W rzeczy samej bioplasty istnieją jako ziarenka w cytoplazmie komórki. Atoli bezpodstawne

---

<sup>1</sup> L'hérédité et les grands problèmes de la biologie générale, wyd. 2, Paryż 1903, str. 532.

jest zgoła twierdzenie, jakoby były niezależnymi ustrojami; należałoby wpierw wykazać, że one mogą poza komórką spełniać jakiekolwiek czynności życiowe. To samo stosuje się do *id* i *idant* Weismanna, jeżeli te wyrazy znaczą to samo, co mikrosumy i chromosomy. Nawet te ostatnie nie posiadają indywidualności życiowej, bo żaden chromosom nie może istnieć bez protoplazmy. Co do determinant, bioforów, idioblastów i t.d., to nawet nie wiemy, czy one istnieją; zbyt teczna tedy rozprawiać o nich jako jednostkach życiowych. Według dzisiejszych badań biologicznych należy uważać za taką jednostkę komórkę, a nie żadną z jej części. Jakoż tylko komórka jest tą częścią złożonego morfologicznie ustroju, która może, przynajmniej w pewnych warunkach, samoistnie żyć, czyli spełniać czynności życiowe, wspólne wszystkim ustrojom<sup>1</sup>. Jeżeli zaś komórka jest najniższą jednostką życiową, to z biologicznego punktu widzenia nie ulega wątpliwości, że i pierwszy ustrój, w którym zabłysło życie, był przynajmniej komórką. Zresztą, choćby w komórce istniały jakieś niesłychanie małe osobniki żyjące, nic na tem nie zyskaliby obrońcy samorodztwa. Zagadnienie życia nie byłoby jeszcze przez to rozwiązane, ale tylko przesunięte do owych tajemniczych jednostek. »W tych niewidzialnych czynnikach życia — powiada za Raffaelem Gemelli<sup>2</sup> — czy one się nazywają bioforami, bioblastami, micellami, gemmulami lub inaczej, czy one są utworzone w ten lub inny sposób, czy mają te lub owe cechy, które im przypisuje wyobrażenia, albo których się domagają potrzeby tej lub innej hipotezy, możemy znaleźć tylko to, co w nie wkładamy; znajdujemy tedy niezmiennione zagadnienie życia tak samo, jak je znajdujemy w wielkiem lub małym zwierzęciu, w roślinie lub nasieniu, w człowieku lub amebie, w układzie wielu komórek lub w każdej komórce z osobna«. Co więcej, im mniejsze będą przypuszczalne jednostki życiowe, tem trudniej rozwiązać zagadkę życia, jeśli się zważy, że z takiej jednostki ma się z czasem rozwinąć sztucznie zbudowany ustrój.

Przejdźmy do innej próby genezy życia z pomocą samorodztwa. Dotyczy ona pewnych sztucznych utworów, mających stać na granicy świata nieorganicznego i organicznego, a tem samem pośredniczyć między nimi.

---

<sup>1</sup> Zob. Verworn, *Allgemeine Physiologie*, str. 69 i n.

<sup>2</sup> *L'enigma della vita*, str. 265.

Mniemano niegdyś, że związki organiczne, czyli węglowe mogą się tworzyć tylko w żywym ustroju. Tymczasem w r. 1828 Wöhler i Liebig dokonali syntezy chemicznej mocznika, ciała, tworzącego się w organizmie zwierząt i ludzi, a wchodzącego w skład ich moczu. Za tą syntezą przyszły niebawem inne; dzisiaj znamy długi szereg takich związków, otrzymanych w laboratoryach, jak n. p. kwas moczowy, ksantynę, hipoksantynę, adeninę, guaninę, kafeinę, teobrominę i t. d. Biochemicy żywią nadzieję, że prędzej czy później uda im się dokonać także tych syntez organicznych, które dotychczas nie dały się osiągnąć; chodzi tu przede wszystkim o utworzenie białka. Nie ma żadnej podstawy do twierdzenia, jakoby te nadzieje chemików były płonne; przeciwnie jest rzeczą bardzo prawdopodobną, iż one się ziszczą.

Niespodziewane wyniki chemii organicznej nasunęły myśl, że jakieś początkowe życie można wytworzyć sztucznie. Powstała nawet osobna nanka, zwana plazmogenią lub plazmologią, która bada fizyczne warunki powstawania objawów życiowych w substancjach nieorganicznych, a od czasu do czasu dają się słyszeć głosy, że te warunki, przynajmniej w części, są już znane. »Liczni badacze — pisze Fabian<sup>1</sup> — między nimi Hanstein w Bonn, Traube we Wrocławiu i Hartig w Utrechcie, doszli nie tylko do wytworzenia sztucznych krystaloidów, lecz do powstania sztucznych komórek... Traubemu wreszcie udało się wywołać nawet wzrost sztucznych komórek, sporządzonych z mieszaniny kleju i garbnika, wskutek wessania materiału odżywczego przez dziurkowatą ściankę, zupełnie tak samo, jak się to dzieje w komórce żywej«. Po Traubem (r. 1865) zajmowało się sztucznymi komórkami wielu innych badaczy; z najnowszych godni są wspomnienia przede wszystkim profesor meksykański, A. L. Herrera, i profesor z Nantes, S. Leduc, których prace, podjęte w ostatnim dziesięcioleciu, zaciekały nie tylko zawodowych uczonych, lecz także szerszą publiczność.

Herrera,<sup>2</sup> przypuściwszy, że krzem, pierwiastek najbardziej po tlenie rozpowszechniony, tworzy istotny składnik żywej protoplazmy, próbował za pomocą pewnych roztworów kwasów krzemowych wytworzyć sztuczne komórki. W rzeczy samej otrzymał on tą drogą

---

<sup>1</sup> Z nauki o życiu, Warszawa 1901, str. 85.

<sup>2</sup> Notions générales de biologie et de plasmogénie comparées, tóm. franc. Renaudet'a, Berlin 1906.

bardzo wiele najrozmaitszych (przeszło 500) postaci, przypominających komórki tkanek. Leduc<sup>1</sup> wyrabia obok tego sztuczne rośliny. W tym celu przygotowuje z mieszaniny cukru i siarczanu miedzi t. zw. nasienie i kładzie je do ciepłego (40° C) roztworu żelatyny, soli kuchennej i żółtego żelazosinku potasowego. Wnet tworzy się na powierzchni nasienia półprzenikliwa błona z żelazosinku miedziowego, przepuszczająca wodę, a nie przepuszczająca cukru. W nasieniu powstaje skutkiem tego silne ciśnienie osmotyczne, które rozrywa błonę w pewnym miejscu; w miejscu tem tworzy się nowa błona z żelazosinku miedziowego. Ponieważ ten proces (przepuszczanie wody, rozrywanie i naprawa błony) powtarza się raz po raz, póki starczy roztworu, przeto w przeciągu niewielu godzin wyrastają rośliny o licznych gałązkach. Nasienie o średnicy jednego milimetra wypuszcza niekiedy 15 do 20 gałązek, których wysokość wynosi czasem 30 cm. Bywa, że gałązki mają z boku liście lub kolce, a na końcach górnych narządy w postaci pałeczek, kapeluszy i t. p. Leduc mniema, że jego sztuczne rośliny rozwiązują zagadkę życia czysto fizycznym sposobem; spełniają bowiem czynności, w których upatrywano zawsze istotę życia: odżywiają się i organizują, tudzież goją swe rany i — co jest jedną z najbardziej charakterystycznych znamion życiowych — rosną przez t. zw. intus-suscepcję.

Cóż powiemy o tych faktach? Zaczniemy od krystaloidów, o których wspomina Fabian. Nazwę tę nadał Nägeli mikroskopijnie małym kryształom białka, odkrytym w wielu komórkach roślinnych i zwierzęcych przed r. 1850; później zaczęli je fizyologowie wyrabiać sztucznie. Tak naturalne, jak sztuczne krystaloidy posiadają w wysokim stopniu zdolność do chłonięcia otaczającej ich cieczy. Zanurzone w niej pęcznieją, wyginają swą powierzchnię i dzielą się wewnątrz na dość liczne warstwy; gdy krystaloid wyschnie, uwarstwienie znika. Z tych wszakże faktów nie można jeszcze wnosić, jakoby krystaloid białka był równocześnie kryształem i organizmem lub jakoby organizm nie różnił się od kryształu. Owszem, między krystalizacją a organizacją zachodzi przeciwieństwo, wskutek którego jedna wyklucza drugą. Nadto krystalizacja białka nie jest wcale nadzwyczajną rzeczą; skoro krystalizują inne związki organiczne, jak n. p. cukier, dla czego nie mogłoby krystalizować białko?

---

<sup>1</sup> Les lois de biogénèse (Revue scientifique, 1906, t. I, str. 225 i nn.).

Pęcznienie znowu krystaloidu świadczy jedynie o tem, że cząsteczki układają się w nim nie tylko według zasad krystalizacji, lecz także w inny sposób, tudzież że ten swoisty sposób ułożenia cząsteczek nie stanowi wyłącznego przywileju ustrojów.

Co do sztucznych komórek, to trzeba być bardzo naiwnym lub zaślepionym, żeby je stawiać na równi z żywymi. Jakkolwiek mają one rodzaj błonki i jądra, jednak naśladują prawdziwe komórki tylko zewnętrznym wyglądem, i to bardzo powierzchownie. Jądro n. p. komórek żywych posiada nie tylko strukturę, lecz także właściwy sobie skład chemiczny i właściwe funkcje; tworzące jądro ciała białkowate różnią się od ciał białkowatych zarodki. Tego wszystkiego nie znajdziemy w komórkach Herrery lub Leduc'a. Prace tych badaczy mają znaczenie chyba o tyle, o ile rzucają pewne światło na działanie sił fizyczno-chemicznych w komórkach żywych. W każdym razie między komórkami sztucznymi a żywymi istnieje tylko bardzo daleka analogia.

To samo trzeba powiedzieć o sztucznych roślinach. Wbrew temu, co twierdzi Leduc, hodowle jego ani nie mają organizacyi, ani się nie odżywiają, ani nie rosną we właściwym znaczeniu.

Najpierw nie mają organizacyi. W komórkach ustrojów prawdziwych widać rozmaite ukształtowanie stosownie do tkanek, w skład których wchodzi komórki, i do czynności, które one spełniają. Tymczasem w roślinach Leduc'a spostrzegamy wprawdzie utwory, przypominające łodygę, korzenie i liście roślin prawdziwych, atoli wszystkie te utwory cechuje budowa jednostajna; nie ma w nich żadnych komórek, żadnych zróżniczkowanych tkanek, ani narządów, przeznaczonych do rozmaitych funkcji.

Nie można też mówić, żeby się sztuczne rośliny odżywiały. Istota bowiem odżywiania się polega, jak zauważyliśmy w innym miejscu, na tem, że najprostsza jednostka życiowa, t. j. komórka, wchłania w siebie ze środowiska, w którym się znajduje, pewne substancje, przerabia je, bierze z nich pewne części i zamienia we własne ciało (assymilacja), a inne dzięki dyssymilacji odrzuca. Natomiast rośliny Leduc'a, lubo wchłaniają wodę, nie dokonywują ani assymilacji, ani dyssymilacji. Stąd jeżeli je zważymy w chwili, gdy rósć przestały, przekonamy się, że ich ciężar równa się, jak wykazali Charrin i Goupil, najdokładniej ciężarowi nasienia i roztworu; nie ma tutaj żadnego ubytku miedzi, sodu, chloru, żelazosinku miedziowego, cukru, żelatyny, a nawet wody, jeśli się przeszkodziło jej parowaniu. Dodajmy,

że gdy u roślin prawdziwych odżywianie się jest połączone z oddychaniem i krążeniem materii, to roślinom sztucznym brak jednego i drugiego. Wprawdzie profesor z Nantes, chcąc dowieść odbywającego się w nich krążenia, powołuje się na to, że cukier i ciecz, z której powstaje błonka, przesuwają się w wąziutkich kanalikach jego roślin, ale taka cyrkulacja odbywa się w każdym osmometrze.

Czy jednak sztuczne rośliny nie rosną? Rosną albo raczej powiększają swą objętość przez dodawanie nowych cząsteczek do dawnych, ale nie przez intussuscepcję, która cechuje ustroje żyjące, a polega na tem, że cząsteczki nowe wchodzą w cząsteczki już istniejące. »Badając rozwój roślin chemicznych — powiada za d'Alluinem Gemelli<sup>1</sup> — widzi się z całą pewnością, iż przyczyną wzrostu jest tutaj zewnętrzne ułożenie nowych części błon, powstające około kropki, wychodzących kolejno z powiększającego się ziarna«.

Inni uczeni chcą widzieć początki życia w tworzących się kryształach. Naczelne miejsce należy się tutaj profesorowi uniwersytetu neapolitańskiego, von Schrönowi. Rozpoczął on badania na tem polu w r. 1883, gdy zauważył, że w wydzielinach bakterii znajdują się ciała białkowate w postaci maleńkich kryształów. Sprawdziwszy rzekomo, iż te kryształy posiadają cechy jestestw żyjących, zajął się uczony neapolitański badaniem kryształów nieorganicznych i doszedł do następujących wyników: Na samym początku krystalizacyi oddzielają się od roztworu kuleczki, które we wnętrzu przedstawiają siatkę »petroplazmatyczną«, podobną do siatki komórek roślinnych. Potem zjawiają się w siatce punkciki, czyli petroblasty, utworzone wewnątrz z materii ciemnej (deuterolitol plazma), a po stronie zewnętrznej z materii jaśniejszej (protolitol plazma). Pomiędzy temi dwiema materiami, nadającemi kształt kryształowi, wywiązuje się walka, wskutek której każda kuleczka zmienia postać. Wnet tworzy się naroże główne, nadające kierunek przyszłemu kryształowi, poczem naprzeciw tego naroża powstaje drugie; przecięcie się krawędzi daje początek narożom drugorzędnym. Oś kryształu, uważana dotychczas za idealną, istnieje rzeczywiście; tworzy ją nieznaną dotąd substancja. Wobec tego wszystkiego młody kryształ odżywia się, rośnie, a nawet wykonywa ruchy; można też wykazać za pomocą stosownych doświadczeń, iż się rozmnaża. Tylko stare kryształy są

---

<sup>1</sup> L'enigma della vita, Florencia 1910, str. 294.

martwe. Tak tedy towarzyszące krystalizacji zjawiska są według Schröna dowodem samorodztwa<sup>1</sup>.

Jeszcze inni moniści, choć nie przyznają żadnego życia kryształom zwyczajnym, sądzą, że za formy pośrednie między tymi kryształami a żywą protoplazmą należy uważać t. zw. płynne kryształy. Pierwszy przykład tych kryształów podał w r. 1877 O. Lehmann, wykazując, że jodek srebra, przedstawiający się przy 146° jako lepka ciecz, składa się z bardzo miękkich kryształów. Dziś znamy wiele takich okazów. Według Lehmana<sup>2</sup>, za którym poszedł docent uniwersytetu wiedeńskiego, Hans Przibram, widać w kryształach płynnych mnóstwo zjawisk, które każą im przyznać najniższy stopień życia. Jeżeli się ściśnie taki kryształ, traci on swoją postać, lecz wnet ją odzyskuje sam z siebie, skoro tylko działanie mechaniczne ustanie. Gdy kryształ przetniemy, zaraz zaczynają się zmieniać obie ściany przecięcia w ten sposób, iż każda część przybiera postać pierwotnego kryształu; otrzymujemy tedy dwa kryształy, które tem tylko się różnią od dawnego, że są krótsze. Tak więc kryształy płynne posiadają według Lehmana i Przibrama taką samą zdolność regeneracyjną, jaka przysługuje jestestwom żyjącym. Co więcej, obaj uczeni sądzą, że kryształy te mogą się łączyć płciowo; jeżeli należą do dwóch różnych gatunków, natenczas dają istnienie prawdziwym bastardom czyli mieszańcom.

Jak osadzić te fakty, przytoczone na poparcie samorodztwa przez Schröna, Lehmana i Przibrama?

Cokolwiek krystalografowie powiedzą o realnej osi kryształów i utworach, którym Schrön nadał nazwy siatki petroplazmatycznej, protolitol plazmy, deuterolitol plazmy i petroblastów, pewne jest, że kryształy, młode, czy stare, nie żyją. I tak jedynie w przenośnem znaczeniu można powiększanie się kryształów nazwać odżywianiem się i wzrostem. Kryształy powiększają się w ten sposób, że naokoło t. zw. zarodkowego kryształu osadzają się skutkiem siły spójności coraz nowsze cząsteczki jednorodne, które jednak ani nie wchodzą do wnętrza, ani nie usuwają cząsteczek dawniejszych. Kryształ jest tylko skupieniem jednorodnych cząsteczek krystalicznych, pozostają-

---

<sup>1</sup> Secolo XX, czerwiec 1903, str. 492.

<sup>2</sup> Flüssige Kristalle sowie Plastizität von Kristallen im Allgemeinen, Lipsk 1904; Flüssige Kristalle, ihre Entstehung, Bedeutung und Aehnlichkeit mit Lebewesen, Frankfurt 1908.

cych w stanie równowagi stałej. Stąd też nie ma w kryształach żadnego ruchu, pochodzącego z jego wnętrza. Rozmnażanie się zaś kryształów, o którym mówi profesor neapolitański, polega na tem, iż z części kryształu tworzy się przez zewnętrzne dodawanie nowych cząsteczek cały kryształ. Że nie jest to rozmnażanie się w ścisłym znaczeniu, pokazuje się nadto stąd, iż kryształ powstaje także wtedy, gdy roztwór nie zawiera wcale krystalicznego zarodka; natomiast w świecie jestestw żyjących żaden ustrój nie rodzi się bez zarodkowej komórki<sup>1</sup>.

Podobne uwagi stosują się również do płynnych kryształów. Kryształy te, tak samo, jak zwyczajne, okazują w każdej swej części budowę jednorodną i zmierzają do stałej równowagi. To, co Lehmann i Przibram opowiadają o ich zdolności odradzania się i kopulacji, jest tylko daleką analogią zjawisk, spotykanych w organizmach. Kryształ nie tylko płynny, ale i zwyczajny »odradza« uszkodzoną krawędź lub odbite naroże, atoli to odradzanie przedstawia się w kryształach zupełnie inaczej, aniżeli w ustrojach. Regeneracja odciętych narządów u roślin lub zwierząt jest owocem odżywiania się, asymilacji i wzrostu w ścisłym słowa znaczeniu; stąd proces regeneracyjny odbywa się z wewnątrz na zewnątrz przy współudziale wszystkich komórek organizmu. Natomiast kryształ odnawia straconą część przez zewnętrzne dokładanie nowych cząsteczek czysto mechanicznym sposobem. Każda cząsteczka kryształu posiada ściśle oznaczony kształt, gdyż atomy jej, dążąc do równowagi, układają się symetrycznie; symetria zaś jest nieodzownym warunkiem stałości. Dla tego jeśli równowaga cząsteczki została gdzieś naruszona, natenczas naruszenie to musi być usunięte przez stosowne dodanie lub ujęcie materii po przeciwnej stronie; inaczej rozpadłaby się cząsteczka. To samo należy powiedzieć o całym kryształ, który jest tylko symetrycznem zrzeszeniem cząsteczek. Skoro tedy uszkodzenie krawędzi czy naroża psuje w nim równowagę, przeto, dzięki sile przyciągania, cząsteczki roztworu skupiają się i osadzają w uszkodzonym miejscu.

Słusznie więc ogół przyrodników odrzuca mniemanie Lehmana i Przibrama, jakoby płynne kryształy były pomostem między przyrodą nieorganiczną a organiczną. »Jeżeli płynne kryształy Lehmana—

---

<sup>1</sup> Zob. Ortolan, *Vie et matière en présence de la cristalllogénie*, wyd. 3, Paryż 1900.



pisze Max Verworn<sup>1</sup> — wykazują nam pewne momenty, których dotychczas u kryształów nie znaliśmy..., nie wolno nam jeszcze z tej racji twierdzić, żeśmy już wykazali przejście między martwym a żywym światem, i że tem samem obaliliśmy istniejący między nimi mur graniczny... Wszystkie te sztuczne naśladownictwa objawów życia są tylko analogiami poszczególnych częściowych procesów ogólnego procesu życia. Lecz gdybyśmy nawet za pomocą materiału martwego mogli doskonale naśladować owe procesy częściowe oddzielnie, byłibyśmy przecież dalecy od wytworzenia tą drogą żywych lub choćby tylko napół żywych ciał. Moment charakterystyczny życia nie na tem polega, że żywy organizm wykazuje ten lub inny szczególny proces życiowy, ale istota jego polega zawsze i tylko na specyficznej kombinacji wszystkich procesów oddzielnych<sup>2</sup>.

Gutberlet<sup>3</sup> dodaje, że jeżeli jakie utwory mogłyby uchodzić za pomost między światem nieorganicznym a organicznym, to »raczej galaretowate koloidy, których przedstawicielem jest klej«. Takie też zapatrywanie wyrazili rzeczywiście Zsigmondy i Pauli na 78. zjeździe niemieckich przyrodników i lekarzy, odbytym w Stuttgarcie 1906 r., powołując się na to, że koloidy są istotnymi składnikami każdego ustroju i każdej żywej substancji, tudzież że spotykane w koloidach zjawiska przypominają życiowe objawy komórek. Lecz to wszystko — odpowiadamy — świadczy tylko o tem, że do życia potrzeba czegoś więcej, aniżeli bardzo skomplikowanego układu cząsteczek materji. Choćby biochemikom udało się kiedyś, jak ufa Zsigmondy, otrzymać drogą syntetyczną wszystkie koloidy organiczne, a mianowicie proteinę, która dotychczas powstaje tylko w ustrojach, to i w tym razie pozostałaby nadal przepaść między światem nieorganicznym a organicznym, bo ta proteina różniłaby się od komórki czy zarodki żyjącej tak, jak się różni śmierć od życia.

Pozostaje jeszcze jedna deska ratunku, której się chwytają zwolennicy pierwotnego samorodztwa. Deską tą jest hylozoizm albo

<sup>1</sup> Zbadanie życia (tłóm. polsk.). Wszechświat, 1908, str. 458.

<sup>2</sup> Zresztą sam Lehmann wyznaje, że płynne kryształy nie żyją. »Man hat meine Ausführungen häufig dahin missverstanden, ich wäre der Meinung, es handle sich bei den scheinbar lebenden Kristallen um wirkliche Lebewesen, obschon ich bereits früher ausdrücklich bemerkt hatte: Selbstverständlich sind dieselben nicht als wirkliche Lebewesen aufzufassen« (Scheinbar lebende Kristalle, Biolog. Centralblatt, 1908, str. 485).

<sup>3</sup> Der Kosmos, Paderborn 1908, str. 364.

panpsychizm, przyznający duszę nie tylko ustrojom, ale wszystkim w ogóle ciałom; według tej nauki każdy kamień, każdy nawet atom żyje. Stąd przejście z materii nieorganicznej do organicznej jest zupełnie zrozumiałe. »Skąd przyszło — pyta zmarły przed kilku laty filozof berliński, Fr. Paulsen<sup>1</sup> — pierwsze życie w ogóle?... Czy pierwsze poruszenie uczucia (sic) w pierwszej bryłce protoplazmy jest czemś bezwzględnie nowem, co dotąd w żaden sposób nie istniało rzeczywiście, czego nie zdala nie zapowiadało? Byłaby to naprawdę absolutna zagadka świata; byłoby jakieś powstanie z nicości, mogące istotnie wprowadzić badacza przyrody w najwyższe zdumienie, nie mniejsze od tego, którego doznawałby, gdyby był zmuszony myśleć, że sama grudka zarodzi powstała także z niczego«. Należy tedy przyjąć żyjące atomy, które w świecie nieorganicznym nie posiadają jeszcze świadomości; zajmwszy takie stanowisko, można należycie zrozumieć tak dzisiejsze rozmnażanie się ustrojów, jak początek życia w ogóle drogą samorodztwa. »W rzeczy samej, hylozoizm jest pojęciem, któremu prawie nie może się oprzeć nowa biologia«. Po tem wszystkiem wylicza Paulsen cały szereg hylozoistów: Spinozę, Leibniza, Fechnera, Lotzego, Büchnera, Haeckla, von Nägela, Fr. Zöllnera. Moglibyśmy znacznie rozszerzyć tę listę. Niektórzy, zwłaszcza pośród nowszych przyrodników, przypisują wszelkiej materii nie tylko życie niższe, lecz także rozum<sup>2</sup>.

Nie mam zamiaru rozprawiać się długo z hylozoizmem; byłoby to zresztą zbyteczne. Niedorzeczność tej hipotezy wynika w sposób oczywisty już z tego, co się powiedziało wyżej o różnicy między światem organicznym a nieorganicznym. Skoro życie jest zdolnością do spełniania czynności wsobnych, a w ciałach nieorganicznych nie widać żadnych oznak tychże czynności, to jasne jest, iż nie ma żadnej podstawy do twierdzenia, jakoby w przyrodzie wszystko żyło. Jakoż nikt z nas nie poznaje bezpośrednio cudzych czynności życiowych; o życiu innych istot możemy wnosić jedynie wtedy, gdy spostrzegamy w nich zjawiska, podobne do tych, przez które się ujawniają zewnętrznie nasze własne czynności psychiczne. Na tej i tylko na tej podstawie przyznajemy innym ludziom rozum,

---

<sup>1</sup> Einleitung in die Philosophie, wyd. 7, Berlin 1901, str. 114 i n.

<sup>2</sup> Zob. H. Spitzer, Über Ursprung und Bedeutung des Hylozoismus, Grädec 1884; zob. także F. Klimke, Der Monismus und seine philosophischen Grundlagen, Fryburg 1911, str. 108 i nn.

zwierzętom czucie, a roślinom najniższy stopień życia. Skoro jednak przejdziemy do królestwa nieorganicznego, natenczas ustaje wszelka analogia między objawami życia naszego a zjawiskami, spotykanymi w temże królestwie. Toż prości ludzie rozróżniają między ciałami żyjącymi i nieżyjącymi, a to samo czynią wykształceni wraz z przyrodnikami i filozofami, którzy nie wzięli rozbratu ze zdrowym rozsądkiem. Max Kassowitz<sup>1</sup> wypowiada o hylozoizmie następujące zdanie: »Owa filozoficzna nauka, która... chciałaby przyznać życie całemu światu i wszystkim jego częściom składowym, nie da się żadną miarą pogodzić z naszymi obecnymi wiadomościami o życiu i dla tego należałoby ją już raz zarzucić«. W. Wundt<sup>2</sup> zowie hylozoizm »snem fantastycznym«.

Atoli Paulsen umieszcza nazwisko Wundta na liście hylozoistów. I nie bez powodu. Znakomity filozof lipski, jakkolwiek na wielu miejscach gromi hylozoizm, przyjmuje go sam w nieco zmienionej postaci. Podobnie jak Paulsen, uważa on samorództwo za jedyną hipotezę, która może wytłómaczyć pierwsze zjawienie się życia na ziemi: zjawilo się ono z wolna w pewnym okresie przejściowym i wyjątkowym. Ponieważ jednak życie nie daje się wytłómaczyć za pomocą fizyczno-chemicznych własności materji, przeto należy zdaniem Wundta przypuścić, że już w pierwotnych jej składnikach istniało jakieś usposobienie do czynności psychicznych, chociaż nie istniało, jak chcą hylozości, związane z ustrojem życia aktualne; »nie życie duchowe jest płodem fizycznej organizacyi, ale ta organizacya jest we wszystkim... płodem duchowym«<sup>3</sup>.

Tak więc według Wundta życie kryło się pod jakąś najprostszą postacią w pierwiastkach materji od początku, gdyż inaczej nie mogłoby powstać. Czy jednak to przypuszczenie nie jest w swej istocie hipotezą hylozoizmu, przeciw której profesor lipski energicznie występuje? Przyznaje on nieraz razem z nami, że rzeczom należy przypisywać tylko te zdolności, bez których nie można wytłómaczyć istniejących faktów; dla czego tedy przypisuje wszelkiej materji życie? Jakież fakty dowodzą, że wszystkie cząsteczki, wszystkie atomy posiadają usposobienie do czynności psychicznych? Dla czego te uspo-

---

<sup>1</sup> Welt, Leben, Seele, Ein System der Naturphilosophie, Wiedeń 1908, str. 30.

<sup>2</sup> System der Philosophie, wyd. 2, Lipsk 1897, str. 505.

<sup>3</sup> Logik, wyd. 2, Stuttgart 1894—1895, t. II, cz. I, str. 580.

sobienia zmierzają w materii nieorganicznej do stałej równowagi, a w organicznej starają się zachować równowagę jak najbardziej chwiejną? W rzeczy samej nie badanie, oparte na faktach, ale wystawiony *a priori* system filozoficzny popycha Wundta do paradoksalnej doktryny o początku życia. Ten zaś system streszcza się w tezie, że ciało i duch nie są różnymi bytami, ale dwiema stronami tej samej rzeczy. Owszem, zdaniem Wundta wszechświat jest całością, złożoną z jednostek woli; najpierw istniał czynnik duchowy, i dopiero przez jego »zmechanizowanie« powstała materya. Czy jednak ten system, którego nieчем nie można usprawiedliwić, nie zasługuje na nazwę snu fantastycznego, daną słusznie przez myśliciela lipskiego hylozoizmowi? Wundt powołuje się wprawdzie na to, iż czynności psychiczne, spełniane z początku pod wpływem woli, stają się z czasem wskutek ćwiczenia automatycznymi i mechanicznymi. Ale doświadczenie codzienne poucza, że ćwiczenie nie zmienia istoty rzeczonych czynności, że nie naruszając ich natury, raczej je udoskonala, aniżeli zniża do zjawisk materyalnych.

Co chwila tedy dochodzimy do wniosku: życie nie powstało samorodnie. Lecz skąd się wzięło? Posłuchajmy jeszcze paru ciekawych hipotez.

W. Preyer i G. T. Fechner, wskrzeszając myśl Schellinga, utrzymują, że najpierw istniała materya żyjąca, a potem dopiero wyłoniły się z niej ciała nieorganiczne, martwe. Preyer<sup>1</sup>, odrzuwszy samorodztwo, wystąpił po raz pierwszy z tą hipotezą na zjeździe niemieckich przyrodników w Lipsku 1872 r. Odbywający się we wszechświecie ruch — powiada Preyer — jest życiem; jak zaś świat nie miał początku, i końca mieć nie będzie, tak i życie. Ognista niegdyś kula ziemską była jednym olbrzymim ustrojem, który ruchem dawał znać o swem życiu. Jej oddechem była może świecąca para żelazna, jej krwią metal płynny, jej pokarmem meteoryty. Kiedy niektóre części kuli, n. p. ciężkie metale, skutkiem jej ostygnięcia na powierzchni, nie mogły już uczestniczyć w ruchu, wtedy straciły życie i zamieniły się w ciała martwe, zwane dziś nieorganicznymi. Dzięki coraz większemu oziębianiu się ziemi, pierwiastki, znajdujące się dotąd w stanie gazowym i płynnym, utworzyły zwolna zarodź, będącą warunkiem i podstawą życia za naszych czasów; w ogólności wszakże jest rzeczą nieuzasadnioną przy-

---

<sup>1</sup> Naturwissenschaftliche Thatsachen und Probleme, Berlin 1880.

wiązywać życie do protoplazmy, albowiem między ruchami organicznymi a nieorganicznymi zachodzi jedynie stopniowa różnica. W miarę obniżania się ciepłoty powstawały coraz bardziej złożone związki chemiczne, a tem samem coraz doskonalsze ustroje roślinne i zwierzęce. Fechner<sup>1</sup> uczy, że wszechświat stanowi jeden ożywiony świadomością bożą organizm, z którego wyłoniły się jako drugorzędne osobniki słońce i ziemia, a w końcu ludzie i zwierzęta; w ich świadomości zróżniczkowała się praświadomość kosmiczna. Zresztą utwory organiczne różnią się od nieorganicznych jedynie formą swych ruchów. W ruchach nieorganicznych znieniąją masy lub ich cząstki tylko miejsce, w organicznych prócz miejsca — porządek.

Z Preyerem i Fechnerem godzą się co do przewodniej myśli Kerner von Marilaun, O. Schmitz-Dumont i W. H. Preuss. »Moje wyznanie wiary — powiada Kerner<sup>2</sup> — streszcza się w tem, że materya i siła są wieczne, i że także ta siła, która się okazuje w materji jako życie, jest wieczna«. »Budowa materji — pisze Schmitz<sup>3</sup> — która dziś istnieje i przedstawia się jako żyjąca, domaga się według zasady przyczynowości szeregu takich samych ustrojów dla całego czasu przeszłego... Na rozpalonej ziemi życie było zawsze«. Pierwotny świat — utrzymuje Preuss<sup>4</sup> — składał się z bardzo drobniotkich ustrojów kosmicznych, które, łącząc się razem, dały nasamprzód początek człowiekowi. Królestwo zwierzęce zjawiało się wtedy, gdy kosmiczna płodność nie mogła się już zdobyć na zarodki ludzkie. Skoro znowu organiczna materya wydzieliła z siebie różne zarodki zwierzęce, wówczas ukazały się na świecie rośliny. Wreszcie ciała nieorganiczne powstały z materji organicznej skutkiem zupełnego wyczerpania się energii życiodajnej; ruchy ich można sprowadzić do ciężenia i kosmicznego biegu gwiazd.

Dr. H. E. Richter<sup>5</sup>, lekarz drezdeński, odnawiając naukę de Maillet'a z r. 1748, przyjął, że wszędzie w przestrzeni krążą cząstki substancji stałych, odrywające się ustawicznie od ciał niebieskich skutkiem ich szybkich ruchów. Do tych cząstek przyczepiają się

<sup>1</sup> Einige Ideen zur Schöpfungs- und Entwicklungsgeschichte der Organismen, Lipsk 1873.

<sup>2</sup> Pflanzenleben, 2 t., Lipsk 1888—1891, t. II, str. 584 i n.

<sup>3</sup> Naturphilosophie als exakte Wissenschaft, Lipsk 1895, str. 311.

<sup>4</sup> Geist und Stoff, Oedenburg 1873.

<sup>5</sup> Zur Darwin'schen Lehre (Schmidt's Jahrb. für die gesam. Medizin, 1865 i 1870).

nasionka, pochodzące z ciał, na których jest życie, i przenoszą się z niemi na inne ciała, a w szczególności na ziemię. Gdy na ziemi zjawily się warunki korzystne, natenczas nasionka, które w ten sposób dostały się na nią z innych światów, zaczęły się rozwijać. Stąd zdaniem Richtera życie jest pod postacią komórek równie wieczne, jak materya nieorganiczna. *Omne vivum ab aeternitate e cellula* — powiada Richter. Niezależnie od niego hipotezę tę głosili parę lat później dwaj wielcy fizycy, W. Thomson i Helmholtz: zarodki pierwszych ustrojów mogły się dostać na ziemię za pośrednictwem spadających meteorytów. »Kto umie powiedzieć — pyta Helmholtz<sup>1</sup> — czy te ciała, od których roi się wszędzie w przestrzeni, nie rozsiewają także zarodków życiowych, ilekroć jakieś ciało niebieskie stało się zdolnem do tego, by dać mieszkanie stworzeniom organicznym?« Dr. O. Hahn wykazywał nawet za pomocą rysunków i fotografii, że badane przezeń meteoryty zawierają istotnie resztki ustrojów<sup>2</sup>, a Weinland widział pośród tychże resztek wyraźne utwory koralowe o niezwykle małej wielkości, które na cześć Hahna otrzymały nazwę *Hahnia meteoritica*.

Hipoteza Richtera, zwana hipotezą panspermii lub kosmozoów (*Kosmozoentheorie*), znalazła wielu zwolenników między tymi, którzy uznają niemożliwość samorodztwa. Do niej uciekł się w końcu du Bois Reymond, a w ostatnich latach znany uczony szwedzki, Svante Arrhenius<sup>3</sup>. Według Arrheniusa przenoszenie zarodków przez meteoryty jest wykluczone. Istniejące odwiecznie w świecie zarodki odbywają wędrówki z jednych ciał do drugich w ten sposób, że najpierw wznoszą się dzięki prądom powietrza do górnej atmosfery, potem oddalają się coraz bardziej skutkiem jej sił elektrycznych, a w końcu dostają się do sfery, w której działa ciśnienie promieni świetlnych. Ciśnienie to jest dla ciałek o średnicy 0.00016 mm. znacznie większe, aniżeli grawitacya, i dla tego takie ciało może być uniesione w kierunku, przeciwnym sile ciężenia. Lecz na świe-

<sup>1</sup> Populäre wissenschaftliche Vorträge, t. 3, Brunświk 1865—1876, t. III, str. 135.

<sup>2</sup> Opowiada Gander, dz. przyt., str. 74, że Hahn jeździł z swem odkryciem do Darwina; Darwin, zobaczywszy oryginalne okazy roślinne i zwierzęce, zerwał się pełen zachwytu na równe nogi i zawołał: »Wszechmocny Boże! Jakież cudowne odkrycie! Teraz życie jest zrozumiałe«.

<sup>3</sup> Das Werden der Welten, tłóm. z szwedzk. Bamberg, Lipsk 1908, rozdz. VIII.

cie istnieją żyjątka, dorównyujące owym ciałkom. Wprawdzie nie są one przystępne dla ludzkiego oka, ale dają nam znać o sobie przez rozmaite choroby, n. p. żółtą febrę, wodowstręt i t. p. »Dla tego według wielkiego prawdopodobieństwa... ciśnienie promieni słonecznych mogłoby je wyrzucić w przestrzeń, gdzie na planetach, któreby im dały korzystne miejsce do rozwoju, zdołałyby wzniecić życie«<sup>1</sup>.

Oto cały szereg kłócących się z sobą hipotez. Szkoda tylko, że żadna z nich nie może zadowolić krytyka. Pomijam wiele twierdzeń niedorzecznych lub bezpodstawnych, jak n. p. powtarzające się często zdanie o wieczności materii; poprzestaję na uwagach, odnoszących się wprost do naszego zagadnienia.

Hipoteza Preyera przypuszcza życie, wbrew zdrowemu rozsądkowi, w ognisto-płynnej kuli ziemskiej. Czyżby jednak ta kula żyła dla tego, że ją trawił ogień? Lecz w takim razie musielibyśmy powiedzieć to samo o każdej ognistej masie<sup>2</sup>. Tak tedy Preyer obala przyjęte powszechnie pojęcie życia<sup>3</sup>. Nadto, jeżeli ustroje wyszły ongi z ognia, czemu wydobywająca się z wnętrza ziemi lawa nie wydaje ich dzisiaj, lecz przeciwnie niesie śmierć wszelkiemu życiu?

Przy Fechnerze przypominam, że należy on do głównych wodzów hylozoizmu o którym mówiliśmy wyżej. Tu wystarczy zaznaczyć, że ani żadne ciało niebieskie, ani nawet wszechświat nie może uchodzić za żywy organizm. W tę bajkę platońską uwierzą chyba małe dzieci. Wszechświat składa się wprawdzie z wielu części, działających na siebie, atoli to samo należy powiedzieć o każdej maszynie, w której jedno koło porusza drugie. Skoro zaś nikt nie przypisuje życia maszynie, przeto nie można go także przypisywać światu.

Kernerowi i Schmitzowi odpowiemy, że życie ustrojów, jak poucza codzienne doświadczenie, nie idzie w parze z ogniem. Toż według powszechnego przekonania żaden organizm nie mógł istnieć na ziemi wówczas, gdy ona znajdowała się w stanie rozżarzonym<sup>4</sup>.

<sup>1</sup> Dz. przyt., str. 199.

<sup>2</sup> W rzeczy samej Preyer sili się na uzasadnienie twierdzenia, że płomień świecy jest jestestwem żyjącem, które się odżywia, oddycha i wydaje z siebie przez podział nowe osobniki żyjące.

<sup>3</sup> Por. Verworn, Allgemeine Physiologie, str. 371 i n.

<sup>4</sup> Stąd pomijam milczeniem hipotezę fizyologa z Bonn, Edw. Pflügera, który upatruje początek życia w pewnych związkach cyanu (CN), tworzących się tylko w temperaturze białości.

Odwoływanie się Schmitza do zasady przyczynowości chyba tutaj celu. Zasada ta nie domaga się koniecznie dla całego czasu przeszłego takich samych ustrojów, jakie dzisiaj istnieją; wystarczy przyjąć przyczynę, która miała dość mocy, by w stosownej chwili powołać do bytu pierwsze organizmy. Co do wywodów Preussa, to urągają one zasadniczym wiadomościom geologii i paleontologii. Nauki te wskazują, że człowiek ukazał się na ziemi dopiero po roślinach i zwierzętach.

Pogląd Richtera jest błędny nasamprzód dla tego, że przyjmuje odwiecznie żyjące zarodki: skoro każde ciało niebieskie przechodziło lub przechodzi przez stan ognisty, jasne jest, że zarodki musiały powstać w czasie. Po drugie doświadczenie nie popiera wcale twierdzenia, jakoby dziś jeszcze zarodki spadały na ziemię z przestrzeni kosmicznej. W powietrzu, otaczającym wysokie góry, nie ma żadnych nasion; tak samo zupełnie czyste jest powietrze na morzu w miejscach, bardzo odległych od lądu. Hartmann<sup>1</sup> dodaje słusznie, że spadające na ziemię zarodki spaliłyby się skutkiem tarcia już w górnych warstwach atmosfery ziemskiej. Wreszcie niepodobna przypuścić, żeby zarodki mogły przez długi czas przebywać w bardzo zimnej przestrzeni, nie tracąc życia.

Podobne uwagi stosują się również do teorii Thomsona i Helmholtza. Wszak zimno kosmicznej przestrzeni, wśród której błędzą meteoryty, wynosi  $-273^{\circ}\text{C.}$ ; otóż nie ulega chyba wątpliwości, iż w tak niskiej temperaturze, zwanej jej zerem bezwzględnem, musi zginąć wszelki ustrój. Wprawdzie według doświadczeń Picteta i Younga niektóre bakterye znoszą zimno do  $-130^{\circ}\text{C.}$ , wprawdzie Brown i Escombe przekonali się, że pewne nasiona nie giną, chociaż przez sto godzin pozostają w atmosferze o  $190^{\circ}$  poniżej zera<sup>2</sup>, wprawdzie nie brak autorów, którzy opowiadają, że można ciepłotę zarodników bakteryi obniżyć, bez nadwężenia ich życia, nawet do  $-254^{\circ}\text{C.}$ ; atoli najpierw liczby te, jeśli są prawdziwe, różnią się o kilkadziesiąt stopni od bezwzględnego stopnia zimna ( $-273$ ), a powtórze bakterye, nasiona i zarodniki, o których mowa, były wystawione na zimno zaledwie przez kilka godzin, dni lub miesięcy, gdy meteoryty błakają się długo w przestrzeni światowej. Z drugiej

---

<sup>1</sup> Dz. przyt., str. 186.

<sup>2</sup> H. De Varigny, *La nature et la vie*, Paryż 1905, str. 10.

<sup>3</sup> Arrhenius, dz. przyt., str. 201.



strony przyczepione do meteorytów zarodki musiałyby zginąć z powodu gorąca, powstającego na powierzchni meteorytów w chwili, gdy one, biegnąc z szybkością 40 do 60 klm. na sekundę, wkraczają w obręb gęstej atmosfery ziemskiej. W istocie ciepłotę rozpalonego w ten sposób meteorytu podają na 4.000, a nawet 6.000 stopni. Tymczasem wszelkie nasiona giną niezawodnie już przy 150° lub 200°<sup>1</sup>. Nie koniec na tem. Chociażby kiedyś wykazano, że ani zimno, ani gorąco, o których była mowa, nie potrafią zabić zarodków, hipoteza nie wiele zyskałaby na tem, gdyż każdy widzi, że ona nie rozwiązuje zagadnienia, ale je tylko przesuwają. Jeśli ustroje przedostałyby się na ziemię za pośrednictwem meteorów z innych ciał niebieskich, zachodzi pytanie, kiedy i w jaki sposób powstały na owych ciałach? Bo jeżeli wszystkie ciała niebieskie podlegają tym samym prawom, jeżeli każde z nich przechodziło lub przechodzi przez stan ognisty, to — powtarzamy raz jeszcze — zarodki nie mogą być wieczne.

Powyższa krytyka zwalnia nas od osobnej oceny teorii Arrheniusa, tem bardziej, że składa się na nią wiele pomocniczych hipotez, które nie mają za sobą prócz możliwości.

Przeszliśmy tedy przez długi labirynt rozmaitych poglądów o początku życia. Poddając je bezstronnej ocenie, poznaliśmy, że życie nie mogło powstać samorzutnie, albowiem samorodztwo w ogóle nie istnieje, a pojęte w znaczeniu mechanicznego monizmu mieści w sobie sprzeczność, tudzież że próby przeciwników, chcących za wszelką cenę zatrzeć różnicę między światem żywym a martwym, aby w ten sposób usprawiedliwić samorodztwo na początku, są płodem poronionym. Przekonaliśmy się nadto, że hipotezy, przyjmujące pierwszeństwo materji żyjącej przed martwą, lub wieczność jednej i drugiej, są niedorzeczne albo przynajmniej zgoła bezpodstawne i pozbawione celu.

Wobec tego łatwo nam wyzyskać dylemat Virchowa: albo samorodztwo albo czyn Stwórcy; *tertium non datur*. Po wykluczeniu członów pierwszego, pozostaje tylko drugi. W rzeczy samej przyjęcie wpływu bożego przy kolebce życia jest jedynie rozumnym rozwiązaniem naszego zagadnienia. Ten wpływ, a nie samorodztwo, jak sądzi Virchow, jest postulatem filozoficznym, do którego nas pro-

---

<sup>1</sup> Por. Koken, Die Vorwelt und ihre Entwicklungsgeschichte, Lipsk 1893, str. 74.

wadzą same nauki przyrodnicze. Skoro fakty biologiczne wykazują niemożliwość autogenezy, przeto zasada przyczynowości każe nam przypisać początek życia wyższej przyczynie. Toż tylko wtedy wyrzeklibyśmy się rzeczzonego postulatu, gdyby ktoś wykazał istnienie samorodztwa.

Takie też jest przekonanie wielu filozofów i przyrodników. »Jesteśmy zmuszeni — wyznaje Dippe<sup>1</sup> — przyjąć nie tylko stworzenie fizycznego atomu, lecz także stworzenie jakiegoś elementarnego ustroju lub stworzenie samej komórki«. Lord Kelvin, mimo swej hipotezy o przeniesieniu życia na ziemię przez meteoryty, powiedział przed kilku laty po konferencji Henslowa: »Jestem zupełnie w zgodzie z prof. Henslowem co do głównych części jego konferencji, ale nie mogę przyjąć, jakoby w sprawie początku życia nauka ani nie stwierdzała mocy Stwórcy, ani jej nie przeczyła. Nauka stwierdza w sposób pozytywny moc Stwórcy«. »Wszelkie doświadczenie — powiada J. Reinke<sup>2</sup> — uczy zgodnie, że z wilgotnej ziemi nigdy nie powstaje żyjąca komórka sama, t. j. przez istniejące w glinie siły. Tak samo było przed milionami lat, bo niezmiennosc praw przyrody jest niewzruszonym pewnikiem nauki. Jeśli tedy przed bardzo długim czasem pierwotne komórki wyłoniły się ze składników ziemi, to można to tylko przypisać niezbadanej sile, która stoi za przyrodą... Tą niezbadaną siłą twórczą zowie i nowożytny przyrodnik Bóstwem«. »Pierwszy praustrój — są wreszcie słowa zoologa wiedeńskiego. K. C. Schneidra<sup>3</sup> — mógł być powołany do bytu jedynie przez stwórczą siłę Boga«.

Wszakże ten osobny wpływ Boży przy powstaniu pierwszego życia nie był czynem stwórczym we właściwym słowa znaczeniu, bo Bóg powołał do bytu jestestwa żyjące nie z nicości, lecz ze stworzonej zedtem materji nieorganicznej. W jaki jednak sposób Stwórca działał na tę materję, aby się stała żywym ustrojem, bezpośrednio, czy pośrednio, o tem oczywiście nic na pewno nie wiemy. Można przypuścić z św. Augustynem<sup>4</sup>, że Bóg, stwarzając na początku materję, włożył w pewne jej cząstki zdolność czyli za-

<sup>1</sup> Naturphilosophie, Monachium 1907, str. 398.

<sup>2</sup> Naturwissenschaft und Religion, Monachium 1907, str. 11.

<sup>3</sup> Die Grundgesetze der Deszendenztheorie, Fryburg 1910, str. 48; zob. także str. 169 i n.

<sup>4</sup> De Genesi ad litteram, l. 4, c. 23.

sadę życiową, która ujawniła się dopiero wtedy, gdy w środowisku nastały potrzebne do tego warunki. Hipoteza ta nie narusza wcale zasady przyczynowości: życie nie powstałoby samo przez się z materii martwej, bo rzeczona jej cząstki zawierałyby je *in potentia* tak samo, jak w duszy ludzkiej tkwią potencjalnie od pierwszej chwili jej istnienia zdolności umysłowe, chociaż okazują się znacznie później.

---



W SPRAWIE PRZEDMIOTU I PODZIAŁU  
PSYCHOLOGII

napisał

WŁADYSŁAW WITWICKI

Rzecz czytana na posiedzeniu sekcji filozoficznej XI-go Zjazdu lekarzy i przyrodników polskich w Krakowie w r. 1911.

## I. Przedmiot psychologii.

1. Co innego psychologowie obiecują, a co innego robią.

W poglądach na przedmiot psychologii nie spotykamy zasadniczej sprzeczności u różnych badaczy; owszem, zgadzają się psychologowie na to, że przedmiot ich badań stanowią zjawiska lub procesy duchowe, fakty psychiczne, lub fakty świadomości, podczas gdy zjawiska fizyczne stanowią same przez się przedmiot wszelkich innych nauk poza psychologią. Jednakże, kiedy porównujemy określenie zjawisk duchowych, jakie spotykamy u niektórych psychologów na początku książki, z treścią książki samej, widzimy, że określenie przedmiotu psychologii, podane na początku podręcznika, nie zgadza się z rzeczywistym przedmiotem pracy.

Tak n. p. Höfler zapowiada z góry, że mówić będzie o zjawiskach duchowych, a zjawiska duchowe określa jako przedmioty bezprzestrzenne; w toku książki mówi jednak szeroko, podobnie jak i wszyscy inni psychologowie, o barwach, które przecież posiadają cechy przestrzenne. We wstępie twierdzi, że dźwięki są zjawiskami fizycznymi, w toku książki mówi o ich cechach, rodzajach, stosunkach, i nie może o nich nie mówić, bo robi to każda inna psychologia podobnie, mimo, że i inni psychologowie gotowi się zgodzić, że dźwięki są zjawiskami fizycznymi; zaczęło nie powinny stanowić przedmiotu psychologii.

Jeżeli taki zachodzi rozdział między tem, czem się psychologia zajmuje naprawdę, a tem, co za jej przedmiot uważa wielu psychologów, widocznie, określenie jej przedmiotu jest pod jakimś względem niedostateczne, i należy je skontrolować. Należy się zastanowić nad tem, co nazywać mamy zjawiskiem psychicznym, a co fizycznym, które zjawiska zaliczyć do grupy pierwszej, a które do drugiej, i w ten sposób ustalić pogląd na przedmiot psychologii. Roz-

ważania te wymagają wiele czasu i miejsca. Tutaj ograniczymy się tylko do zaznaczenia najważniejszych punktów.

2. Jedna z charakterystyk zjawisk duchowych i jej geneza.

W zwyczajnym podziale zjawisk na fizyczne i psychiczne przebija się dualizm kartezjuszowski, przedział świata na dwie równorzędne połowy, to genere różne: świat rzeczy rozciągłych i świat myśli, czyli świat zjawisk duchowych. Do zjawisk duchowych liczy się takie zjawiska, jak radość, smutek, pragnienie, postanowienie, wiarę, wątpliwość; do drugiego szeregu, do zjawisk fizycznych, należą takie, jak barwa, ton, skurcz mięśnia i t. d. Różnice pomiędzy członami jednego z tych szeregów mają być mniejsze, niż różnice między którymkolwiek członem jednego szeregu, a którymkolwiek członem drugiego. Prócz tego, wszystkie człony jednego szeregu mają mieć cechy wspólne, których brak jakimkolwiek członowi szeregu drugiego. Zjawiska psychiczne mają mieć takich pięć cech wspólnych, których nie posiada żadne zjawisko niepsychiczne. Te cechy wspólne stanowią istotę zjawisk duchowych. Takimi zjawiskami zajmuje się psychologia. Cechy te są następujące:

- 1) zjawiska duchowe są bezprzestrzenne;
- 2) zjawiska duchowe są albo przedstawieniami, albo są na nich oparte;
- 3) zjawiska duchowe są dane w doświadczeniu wewnętrznym;
- 4) zjawiska duchowe są związane w każdym momencie w jedność jakiejś poszczegółnej świadomości: mojej, twojej, jego i t. d.;
- 5) w każdym zjawisku duchowym rozróżnić można akt, przedmiot i treść natury psychicznej lub fizycznej.

Tak n. p. kto jest świadkiem wybuchu wulkanu, ten posiada zjawiska psychiczne: widzenia światła, słyszenia huk, afektu strachu i t. d., przyczem światło i huk są fizycznymi przedmiotami, a równocześnie treściami psychicznych aktów widzenia, słyszenia i t. d. Psychologia zajmuje się bezpośrednio aktami zjawisk duchowych, a nie ich przedmiotami, zatem w tym wypadku i w wypadkach jakichkolwiek świadomych przeżyć człowieka, zajmuje się psychologia widzeniem, słyszeniem, czuciem, afektem, sądzieniem, postanawianiem i t. d., podczas gdy barwy, dźwięki i inne przedmioty doznawane stanowią przedmiot innych nauk. Psychologii przedmiot stanowi doznawanie samo, czyli akt zjawiska duchowego.



### 3. Wady tej charakterystyki.

a) Przeciwno temu określeniu zjawisk psychicznych i odróżnieniu ich od innych nasuwają się pewne zarzuty. I tak, co się tyczy bezprzestrzenności. Są rzeczy bezprzestrzenne, których wyznawcy takiego podziału zjawisk nie nazwą psychicznymi zjawiskami, i są z drugiej strony niewątpliwie zjawiska duchowe, którym nawet i zwolennicy tej tezy przyznać muszą pewne cechy przestrzenne. A więc n. p. podobieństwo, równość, sprzeczność, albo liczba urojona, to stanowczo rzeczy nierozciąglę, a mimo to nie są to zjawiska psychiczne. Z drugiej strony ból, rozkosz, to niewątpliwie zjawiska psychiczne i niewątpliwie przedmioty psychologii, a mimo to każdy potrafi sobie przypomnieć niejedną i niejedną rozkosz, która najwyraźniej była zlokalizowana, miała niewątpliwie i wyraźne cechy przestrzenne. Jeżeli tak, to nie można cechy bezprzestrzenności uważać za istotne znamię zjawisk duchowych. Uzyskane z pomocą tego znamienia określenie pierwiastka psychicznego nie będzie bowiem żadną miarą odwracalne.

b) Drugie określenie zjawisk duchowych mało rzecz wyjaśnia. Mówi bowiem, że zjawiska duchowe są albo przedstawieniami, albo są na przedstawieniach oparte. Otóż przedstawienia są same pewnymi zjawiskami duchowymi, i niepodobna ich inaczej określić, jak tylko z pomocą pojęcia »zjawiska duchowego«. Nie można się więc w określeniu »zjawiska duchowego« posługiwać pojęciem »przedstawienia«, bo wówczas określamy idem per idem: zjawisko duchowe w ogóle przez pewne zjawisko duchowe. Podobnie, jak gdybyśmy mówili, że jarzyna jest to albo marchew, albo coś innego. Albo, jak gdybyśmy mówili, że tkankowce są to zawsze albo jamochłony, albo coś, co od jamochłonów pochodzi.

4. Dodatnie strony tej charakterystyki, oraz ich interpretacja.

#### a) Zjawiska duchowe.

Trzecie i czwarte znamię słusznie określa zjawiska duchowe, to znaczy, wedle tych znamion należy dzielić przedmioty składające wszechświat, bo tak przeprowadzony podział jest nam konieczny potrzebny w nauce i w życiu. A mianowicie: Zjawiska duchowe dane są w doświadczeniu wewnętrznym i związane w każdym momencie w jakąś jedność świadomości mojej lub cudzej. Znaczy to innymi słowy: Są pewne zjawiska, które dane są tylko mnie samemu, lub jakimkolwiek innemu podmiotowi poznającemu, zja-

wiska, które powstają, zmieniają się, giną i istnieją o tyle tylko, o ile są komuś dane; inaczej: Są pewne zjawiska o charakterze subiektywnym, i te zjawiska, czy przedmioty subiektywne, są powiązane w grupy poszczególnych świadomości ludzkich i zwierzęcych. Poza niemi przyjmujemy w nauce i w życiu zjawiska dane nie tylko mnie, lub komuś tylko jednemu, ale zjawiska, które dane być mogą wielkiej ilości podmiotów poznających równocześnie, które istnieć, ginąć, zmieniać się mogą, choćby nawet nikt nie stwierdzał, nie doznawał ich istnienia, zguby, zmiany, czyli przedmioty i procesy o charakterze obiektywnym. Tak więc subiektywny charakter, czyli duchowy, posiada ogół barw, z których zbudowany jest świat wzrokowy, jaki przeżywam naprawdę, ogół dźwięków, woni, temperatur, a nawet oporów cech przestrzennych i czasowych, których doznaję, a tak samo przyjemności i przykrości, które czuję, przekonañ, które żywię, słowem ten świat cały, który mi jest bezpośrednio dany. Cały ten świat dany jest tylko mnie w mojem własnem poznaniu, i nie jest dostępny nikomu pozatem, a nawet mnie samemu w następnej chwili życia.

Ani tego samego widoku sali wykładowej, który ja mam w tej chwili wraz z jego barwami, wymiarami, formami, które zależą od mego punktu widzenia i mojej indywidualnej wprawy w ocenianiu barw, wymiarów i form, nie może mieć, nie ma i nie będzie miał nikt inny poza mną, ani ja sam tego samego widoku nigdy już nie odzyskam, skoro raz istnieć przestanie po skończeniu wykładu, ani tego mego ogółu dźwiękowego, w którym obecnie własny mój głos dominuje na tle innych, dalszych szmerów, ani ogółu sądów, które w tej chwili mniej lub więcej świadomie ja przeżywam, nikt inny prócz mnie nie ma i mieć nie może, ani ja sam nawet nie odzyskam tego samego momentu z upływającego wciąż strumienia mego świata wewnętrznego. Świat ten istnieje, o ile ja istnieję i czuwam, ginie w nocy, kiedy śpię, i powstaje znowu, kiedy oczy otwieram. Każdy z nas, każdy podmiot poznający świat taki w sobie i swoje ciało empiryczne w nim nosi i tyle takich światów jest, ile jest podmiotów poznających. W tem znaczeniu nie dusza nasza mieszka w ciele, a ciało w świecie zewnętrznym, ale na odwrót: subiektywny nasz świat zewnętrzny i nasze ciało empiryczne z nim razem istnieje w świadomości, czyli w duszy naszej.

Jako wielką grupę składową tego świata subiektywnego wyróżnić możemy jakości zmysłowe, więc to wszystko, co przeżywamy

oczyma, uszami, nosem, skórą, ruchem członków, oraz cechy cząsteczne zjawisk. Wszystko to ma charakter subiektywny, dane jest w doświadczeniu wewnętrznym, stanowi część świata duchowego. Zatem zjawiskami duchowymi są nie tylko nasze uczucia, przekonania i postanowienia, ale równie dobrze bezpośrednio doznawane chwile, rozmiary, opory, barwy, dźwięki, wonie, temperatury.

*b) Zjawiska fizyczne.*

Dla zorientowania się we własnych i cudzych, minionych i przyszłych momentach świata psychicznego, dla porozumienia się z drugimi potrzebna nam jest jakaś wspólna podziałka, jakiś miernik obiektywny. Jako taką wspólną podziałkę przyjmujemy, poza światem psychicznym, który każdy z nas zna bezpośrednio, i z którego wyskoczyć, jak ze skóry własnej, nie może, jeszcze i świat inny, świat obiektywny, świat przedmiotów, procesów i stosunków, niezależnych od podmiotu poznającego, świat t. zw. rzeczywisty, mimo, że go nikt bezpośrednio nie przeżywa, tylko każdy istnienie jego instynktownie przyjmuje. A więc przyjmujemy, obok i poza subiektywną przestrzenią i czasem, obiektywny, rzeczywisty czas i obiektywną rzeczywistą przestrzeń, przyjmujemy nawet, że mur jest biały, a trawa zielona, mimo noc lub zmrok, że niebo jest błękitne, choć je chmury, lub powieki nasze zakryją, gmach na tyle i tyle metrów wysoki, mimo że się cały zmieści wzrokowo w ramach okna lub w otworze lornetki, dzień i godzina ta, którą kalendarz i zegar wskazuje, temperatura, którą termometr określa, a nie ręka rozgrzana lub wyziębiona i t. d., przyjmujemy przedmioty rzeczywiste, wyposażone na stałe pewnymi cechami, które obowiązują w postępowaniu wszystkich i każdego z osobna, cechami obiektywnymi. Skłania nas do tego widoczna prawidłowość naszych światów subiektywnych, fakt, że w podobnych warunkach dotykowomięśniowych zwykliśmy podobne przeżywać zjawiska wzrokowe, fakt, że się w pewnych warunkach zwykliśmy niejako powtarzać nasze części świata wewnętrznego, fakt, że nie możemy dowoli rządzić elementami naszego świata wewnętrznego, zależnie od pragnień lub niechęci, fakt, że się nam pewne przedmioty narzucają jako istniejące, i zaprzeczyć ich istnienia nie możemy, choćbyśmy chcieli.

Ogół tych przedmiotów, procesów i stosunków stanowi świat obiektywny. Od szeregu wieków fizyka buduje część tego świata obiektywnego z cech geometryczno-mechanicznych, znanych nam jednak również tylko z doświadczenia wewnętrznego, z cech, które

mają pierwotnie charakter tak samo subiektywny, jak cechy wzrokowe, słuchowe, rokosze i bóle. W ostatnich czasach i fizyka pozwala te przedmioty obiektywne pojmować ogólniej, jako dające się ilościowo porównać, i oznaczyć warunki powstawania takich lub innych ewentualnych przedstawień, traktuje cechy i zjawiska geometryczno-mechaniczne, z pomocą których wyobrażać nam sobie pozwala świat obiektywny tylko jako środek, który ułatwia obliczenia, wiąże fakty z pozoru niepodobne, ułatwia pracę rozumowi i wyobraźni, ale nie jako realne, rzeczywiste składniki świata. Łańcuchy benzolowe i figurki stereochemiczne są tylko środkiem pomocniczym dla przewidywania nowych zjawisk i pomocą dla grupowania zjawisk znanych, ale nie muszą istnieć na prawdę, nie mają niezwalczonej pretensji do realnego bytu obiektywnego.

Jakkolwiek jest, znamy bezpośrednio świat przedmiotów i zjawisk subiektywnych, i ten stanowi przedmiot psychologii. Odróżniamy od niego jako konstrukcję pomocniczą świat przedmiotów i zjawisk obiektywnych; ten jest polem wszelkich innych nauk poza psychologią. Przez zjawiska i przedmioty subiektywne czyli duchowe rozumiemy zjawiska i przedmioty dane nam bezpośrednio, przeżywane na prawdę, dane w doświadczeniu wewnętrznym, istniejące zależnie, powiązane w grupy poszczególnych świadomości: mojej, twojej, jego i t. d.

#### c) Dwuznaczność niektórych zwrotów.

Jeżeli tak, to może psychologia mówić o przedmiotach, wyposażonych cechami przestrzennymi. bo cechy przestrzenne. a nawet cała przestrzeń, którą znamy poza geometryą, to składnik naszego świata subiektywnego; może mówić o barwach i dźwiękach, bo barwy i dźwięki, to przedmioty subiektywne, czyli zjawiska duchowe. Wyraz »czerwień« jest dwuznaczny. Raz oznacza to coś jaskrawego, co tylko oczyma własnymi każdy z osobna przeżyć może, to, co widzę, kiedy patrzę na rozżarzone żelazo, i to jest zjawisko duchowe; drugi raz wyraz »czerwień« oznacza pewną ilość fal eteru w sekundzie, czyli barwę obiektywną w znaczeniu fizycznym — ta »czerwień« jest czemś obiektywnym, a nie tylko nikt jej nigdy nie widział, ani jej nigdy zobaczyć nie potrafi, ale, prócz tego, ta obiektywna, fizyczna »czerwień« nie jest zgoła czerwona. Podobnie zwrot »widzę kolor czerwony« jest dwuznaczny. Albo znaczy: »doznaję barwy czerwonej« (przedmiotu subiektywnego), albo też znaczy: »działają na mnie, na moją świadomość, fale eteru o długości tylu

i tyłu mikronów (przedmioty obiektywne). Podobnie dwuznaczne są zwroty: »to, co widzę«, »to, co słyszę« i t. p. Zawsze w nich wyraz »to« oznacza albo przedmiot subiektywny, znany bezpośrednio i przeżywany naprawdę, albo przedmiot obiektywny, którego się pod zmysłową powierzchnią domyślam, ale go bezpośrednio nie znam. Wraz z barwami i dźwiękami stanowi wobec tego przedmiot psychologii cały świat zewnętrzny, o ile mamy na myśli świat zewnętrzny subiektywny, znany bezpośrednio, o ile nie bierzemy słowa »zewnętrzny« w znaczeniu »obiektywny«. Te dwa znaczenia posiada wyraz »zewnętrzny«, podobnie jak wyraz »przestrzeń«, albo wyraz »czas«. Nie jest więc paradoksem, że cały widnokrąg, jaki w danej chwili obejmuję, cały doznawany w jakiejś chwili świat zewnętrzny, jest we mnie, stanowi coś wewnętrznego, subiektywnego, podczas gdy nawet lewa komora mego serca lub wodociąg mego mózgu stanowi coś zewnętrznego, coś fizycznego, o ile mam na myśli nie widoki, więc barwy, formy, opory lub wonie, któreby mógł mieć w świadomości, roztworzywszy sobie samemu serce lub mózg, albo któreby raczej mieć mógł badacz, dokonywujący sekcji na mojem ciele, ale jeśli mam na myśli rzeczywiste, nikomu bezpośrednio nie dane przedmioty, któreby mogły być domyślnymi warunkami tych anatomicznych widoków, oporów, form i zapachów.

5. Czy psychologia może i powinna zajmować się »aktami« zjawisk duchowych?

Wobec tego, że za przedmiot psychologii, czyli za zjawiska duchowe, uważamy przedmioty o charakterze subiektywnym, nie możemy się zgodzić na tezę, zawartą w piątym z przytoczonych na początku określeń, a mianowicie na to, żeby się psychologia zajmowała samymi tylko »aktami« zjawisk duchowych, samem widzeniem, słyszeniem, czuciem, sądzeniem, postanawianiem i t. d., podczas gdy przedmioty odnośnych aktów miałyby stanowić przedmiot nauk innych. Widzenie, słyszenie, czucie i t. d. czyli akty psychiczne, są to abstrakcje, dokonane na przeżywanych naprawdę stanach wewnętrznych; dadzą się zastąpić jednym wspólnym wyrazem »doznawanie«, a nie oznaczają nic więcej, jak tylko to, że pewne przedmioty są komuś dane, są czyjeś, należą do kogoś, są moje, twoje, jego, mają być zależny. Takie tylko znaczenie można przywiązywać do wyrazu »widzenie«, »słyszenie«, a ogólnie do terminu »akt« zjawiska duchowego. Ta cecha, którą w pojęciu »aktu« psychicznego ujmujemy, wspólna jest wszystkim przedmiotom subiektywnym; równie dobrze

doznajemy barwy, jak doznajemy bólu, rozkoszy, lub przekonania, że coś nastąpi, albo coś innego istnieć przestało. Nie możemy powiedzieć, czy sam »akt« słyszenia różni się czemkolwiek od »aktu« widzenia, mimo, że barwy różnią się od dźwięków bardzo; nie możemy powiedzieć, czy, kiedy widzę więcej przedmiotów, mam wtedy aktów widzenia więcej, a kiedy się przedmiot widziany na części rozpada, nie umiemy powiedzieć, czy się wtedy i akt widzenia rozpada; nie możemy więc mówić w psychologii o »aktach« zjawisk duchowych, i nie mówimy też o nich poza jej pierwszym rozdziałem, który omawia wspólne cechy wszystkich zjawisk duchowych; mówimy natomiast o przedmiotach subiektywnych. Akt, to ens rationis, to cecha wspólna wszystkim zjawiskom psychicznym, oderwana od konkretnych stanów wewnętrznych, przeżywanych na prawdę.

Zbierając razem to, cośmy dotychczas powiedzieli, powtarzamy krótko: Przedmioty psychologii nie stanowią akty zjawisk duchowych, które byłyby równorzędnym ze zjawiskami fizycznymi materiałem doświadczenia, tylko przedmiot psychologii stanowi ogół przedmiotów, procesów i stosunków subiektywnych, które są materiałem doświadczenia bezpośredniego. Świat obiektywny obchodzi psychologa pośrednio, jako ogół warunków, od których zależy przebieg świata subiektywnego.

6. Czy świat subiektywny jest dany bezpośrednio?

Mógłby ktoś jako zarzut przeciwko temu pogładowi podnieść, że dziecko i człowiek naiwny nie wie nic o subiektywnym charakterze świata, który przeżywa. Człowiek naiwny wierzy, że czerwień, którą w danej chwili widzi, istnieje niezależnie poza nim, że ona jest czemś, na co on tylko oczy obraca, to znaczy: patrzy i widzi. Gdyby nawet oczy zamknął, i gdyby żadne w ogóle oczy nie patrzyły, czerwień, zdaniem jego, żarzyćby się nie przestała, podobnie jak n. p. woda w kotle ciepło swoje posiada, mimo, że niczyjej skóry w danej chwili nie parzy. I to ciepło nie jako formę energii, ale ciepło znane z chwil oparzenia, ciepło gorące, żywe, znane bezpośrednio.

Na to jednak odpowiedzieć należy najpierw, że i naiwny człowiek odróżnia przedmioty obiektywne i subiektywne, mimo, że się tymi wyrazami nie posługuje. Robi to zawsze, ile razy stwierdza fakt jakiegokolwiek złudzenia, mylnej oceny za pomocą zmysłów, ile razy się przekonywa, że jemu samemu lub komuś innemu coś wydaje się tylko takiem, co jest na prawdę inne, ile razy spotyka

między ludźmi przeciwne lub sprzeczne, a równie szczerze sądy o jednej i tej samej rzeczy.

Po drugie, człowiek naiwny może się mało zastanawiać nad subiektywnym lub obiektywnym charakterem składników świata i mało o tem wiedzieć. Z tego jednak, że on nie wie lub nie pamięta o subiektywnym charakterze tego, co bezpośrednio przeżywa, nie wynika, żeby to, co on bezpośrednio przeżywa, tego charakteru nie posiadało. Podobnie jak z tego, że naiwny człowiek nic nie wie o swych władzach międzykręgowych, nie wynika, żeby on tych władzeł nie posiadał.

Przypisujemy przedmiotom bezpośrednio danym charakter subiektywny nie dla tego, żeby ten charakter spostrzegał człowiek naiwny, tylko dla tego, że nam doświadczenie pokazuje zależność między jakością przedmiotów danych bezpośrednio, a stanem naszego systemu nerwowego, i dla tego, że chcąc przypisywać obiektywny byt przedmiotom danym bezpośrednio, nie potrafimy uniknąć sprzeczności.

A mianowicie, kto wierzy, że istnieje obiektywnie wszystko, co poznają zmysły, musi wierzyć, że ta sama góra jest równocześnie wielka i mała, jeżeli ją dwóch ludzi z różnych punktów ogląda, że ta sama woda jest równocześnie gorąca i niegorąca, jeżeli jej ciepła doznają z pomocą dwóch różnie przygotowanych rąk i t. d.

Umysł naiwny często takich sprzeczności nie napotyka, albo je popełnia bez wyrzutu. Umysł, który pragnie świat widzieć bez sprzeczności, musi przyjąć rozróżnienie, któreśmy przyjęli: świata subiektywnego i świata obiektywnego.

Z tego stanowiska sprzeczności nie ma. Świat obiektywny jest jeden i jest określony jednoznacznie. Do niego odnoszą się jednak niezliczone, bardzo różne, często niepodobne do siebie światy subiektywne. Sprzeczność nie zachodzi, bo wyrazy mowy oznaczają raz przedmioty subiektywne, a raz obiektywne. Dwa różne przedmioty subiektywne mogą doskonale posiadać cechy, które wzajem się wykluczają i mogą nosić tę samą nazwę, ale nie może takich cech żadną miarą posiadać przedmiot obiektywny jeden i ten sam, który również tą samą nazwą oznaczamy.

## II. Podział psychologii.

1. Ile jest różnych rodzajów zjawisk psychicznych?

Kiedy mówię o podziale psychologii, nie mam na myśli dokładnego spisu rzeczy, jaki powinien na końcu zawierać, i wedle któ-

rego powinien być ułożony podręcznik tej umiejętności — chodzi mi tylko o podział przedmiotu psychologii, t. zn. o podział zjawisk duchowych na wielkie, zgoła różne grupy. W paru słowach radbym zastanowić się nad tem, czy skłonni będziemy uznawać cztery rodzaje zjawisk zgoła różnych od siebie, z których żaden nie da się sprowadzić do drugiego, a mianowicie przedstawienia, sądy, uczucia i objawy woli, czy też znajdziemy pomiędzy zjawiskami, zaliczanymi do tych czterech grup, podobieństwa tak wielkie, że wystarczy przyjąć mniej tych zgoła różnych rodzajów zjawisk duchowych. Taka redukcja w klasyfikacji psychologicznej nie przeszkadza zupełnie posługiwaniu się odnośniami nazwami w razie potrzeby w mowie potocznej, lub w nauce, podobnie jak nie przeszkadza przyrodnikowi jego nauka odróżniać siwków, gniadoszów i bułanków, mimo że je wszystkie sprowadza do jednego rodzaju zwierząt, jednego gatunku, a nawet nieraz jednej rasy.

2. Postanowienia a sądy; pragnienia a kompleksy uczuć.

W pracy pod tyt. »Analiza psychologiczna objawów woli« starałem się wykazać, że nie zachodzi zasadnicza różnica między postanowieniami i pragnieniami z jednej strony, a zjawiskami duchowymi, które noszą inne nazwy, z drugiej, że pragnienia, to stany złożone, w których wyróżnić można przedstawione sądy i uczucia różnej jakości, i że obserwacja nie pokazuje w nich żadnego elementu poza tymi, które są znane i ponazywane już poza sferą pragnień.

Starałem się również wykazać, że to, co nazywamy w nauce i w życiu postanowieniem, nie różni się niczem od tych momentów, w których jakikolwiek przedmiot staje się dla mojej świadomości rzeczywistym, lub nierzeczywistym w przyszłości, a że te momenty liczenia się z bytem lub niebytem przedmiotów nazywamy w psychologii sądami (zaznaczam, że nie mam tu na myśli tych abstrakcyj, którymi się posługujemy w logice, i także je tam nazywamy sądami, tylko mówię o sądach w wyżej podanem znaczeniu psychologicznem), przeto postanowienia są tylko sądami o naszym własnem przyszłem działaniu; nie stanowią osobnej, zgoła różnej od innych grupy zjawisk duchowych, tylko dadzą się sprowadzić do sądów. Jeżeli je od nich psychologowie odróżniają zasadniczo — to odróżnienie to wynika z pobudek praktycznych, wynika ze znaczenia życiowego tych sądów, które odnoszą się do naszych własnych przy-



szłych działań, ale nie jest wyrazem danych doświadczenia wewnętrznego, które w tej mierze przedewszystkiem rozstrzygać powinny.

Jeżeli tak, to w psychologii powinienby wystarczyć podział zjawisk duchowych na trzy tylko, zgola różne grupy, a mianowicie: przedstawienia, sądy i uczucia. To zupełnie nie przeszkadza badaniu pragnień i postanowień, i nie wyklucza tych pojęć ze słownika nauki, tylko wskazuje na ich rdzenne pokrewieństwo z innymi stanami naszej świadomości.

### 3. Jak odróżniają uczucia od przedstawień?

Uczucia uważa się często za stany, zgola różne od przedstawień i przekonań, stany, które łączą się tylko z przedstawieniami i przekonaniami, ale do nich sprowadzić się nie dają. Uczucia stanowią subiektywną grupę zjawisk duchowych, podczas gdy przedstawienia stanowią ich grupę obiektywną. To ostatnie twierdzenie ilustrują takie zwroty mowy naszej, w których przedmiotom zewnętrznym przypisujemy cechy, dane nam w przedstawieniach, podczas gdy cechy z dziedziny życia uczuciowego przypisujemy sobie samym, a nie przedmiotom poza nami. Mówimy więc, że zielone jest drzewo, a wesoły jestem ja; ciemny jest krajobraz, a smutny jest człowiek, który na krajobraz patrzy. Stąd przedstawienie jest obiektywnym składnikiem życia duchowego, a uczucie subiektywnym. Przypominam odnośne ustępy n. p. u Wundta i u Lippsa.

### 4. Uczucia a przedstawienia.

Ten przedział między przedstawieniami i przekonaniami z jednej strony, a uczuciami z drugiej, staje się mniej wyraźny przy bliższej analizie doświadczenia wewnętrznego.

Bo uczucia są albo proste, albo złożone. Przez uczucia proste rozumiem to, co się po niemiecku nazywa: der Gefühlston einer Vorstellung, tę przyjemność lub przykrość, której doznajemy n. p. przy wrażeniach zmysłowych, zabarwionych dodatnio lub ujemnie; przez uczucia złożone zaś to, co przeżywamy w przystępie gniewu, na tle zazdrości lub przyjaźni, w żywym obcowaniu z dziełami sztuki, w chwili radości lub w godzinie smutku, słowem, przyjemność lub przykrość, związaną nie z prostym, ale z bogatszym stanem intelektualnym, w którym wyróżnić potrafimy liczne i rozmaite przedstawienia i przekonania.

Otóż co do uczuć prostych, to trudno jest pojąć, co je ma różnić od przedstawień tak zasadniczo, co właściwie cechuje ból lub rozkosz tak wybitnie, żeby nie można było ich zestawić w je-

den szereg z naciskiem lub temperaturą, barwą lub tonem. Rozpatrując przyjemności i przykrości proste o małym stopniu, znajdujemy zawsze jakieś wrażenie zmysłowe, zabarwione dodatnio lub ujemnie; rozpatrując przykrości i przyjemności silniejsze, znajdujemy wrażenia ustrojowe, zabarwione przyjemnie lub przykro. W obu razach przyjemność lub przykrość jest tak samo cechą wrażeń, t. j. stanów intelektualnych, jak jest nią nasycenie lub jasność u barw, wysokość lub barwa u dźwięków.

I podobnie obiektywizujemy uczucia, jak obiektywizujemy przedstawienia, t. zn. przypisujemy przedmiotom, a nie nam samym znamiona, dane nam w stanach uczuciowych. Mówimy n. p., że letni dzień jest jasny i miły, a jesienna noc ciemna, przykra i straszna, że widmo słoneczne jest bardzo miłe i przyjemna jest woń goździków, przyjemny jest głos fletu, a przykry jest amoniak, wstrętny siarkowódór, przykry głos rozbitego dzwonu.

W tych zwrotach tak samo przedmioty zyskują cechy, dane nam w uczuciach, jak zawsze otrzymują cechy, dane nam w przedstawieniach.

Nie widzę, dlaczego miałbym uważać uczucia w przeciwstawieniu do innych jakości przedmiotów za szczególnie subiektywny składnik mego życia duchowego, skoro 1) istnienie ich jest równie mojem istnieniem i czuwaniem uwarunkowane, jak istnienie wszelkich w ogóle jakości zmysłowych, skoro 2) równie dobrze lokalizuję uczucia proste, jak lokalizuję wrażenia inne, i równie trudno mi je w innych wypadkach lokalizować, jak mi trudno lokalizować niektóre wrażenia inne, skoro 3) nie mnie w obserwacji psychologicznej nie powinien obchodzić przyjęty sposób mówienia, który każe przedmiotom mieć cechy zmysłowe, a mnie każe doznawać uczuć.

Ja bowiem równie dobrze doznaję jakości zmysłowych, jak doznaję uczuć, a z drugiej strony żelazo rozpalone, w zetknięciu ze skórą, równie dobrze jest czerwone i piekące, jak jest przykre. Czerwień, którą to żelazo wywołuje w mojej świadomości za pośrednictwem oczu, nie jest ani o włos bardziej obiektywna, niż ból, który to samo żelazo we mnie wywołuje za pośrednictwem skóry.

Jak dla czerwieni dotwarza mi teoria pewne obiektywne stosunki i zależności między ilością fal eteru a stanem mojej substancji wzrokowej w organizmie, tak i dla uczucia przykrego stara się szereg teorii teleologicznych dotworzyć pewne obiektywne warunki, w których ono powstawać zwykło.

Różnica więc między uczuciem prostym a wrażeniem przestaje być zasadniczą. Pewną prostą jakość przedmiotów, inaczej: pewną prostą cechę naszych przedstawień, nazywamy przykrością i przyjemnością.

Podobnie jak nasycenie nie dołącza się do barwy jakiejś lub do zestawienia barwnego, kiedy je powoli wyprowadzamy z neutralnego tonu, tylko nieznacznie powstaje wraz z tworzącą się jakością barwy w znaczeniu ściślejszem, podobnie barwa ta lub zestawienie barwne nie zaczyna się łączyć, w miarę większej jasności i nasycenia, z przyjemnością, niby z elementem sobie równorzędnym, a zgoła różnym, tylko po prostu zaczyna być to wrażenie barwne coraz bardziej przyjemne, zyskuje cechę, która się modyfikować może w obrębie dwóch kontrastów, może schodzić do zera, może towarzyszyć stanom najrozmaitszym, zarówno prostym, jak i złożonym. Jeżeli psychologia cechy uczuciowe uważa za szczególnie subiektywne składniki naszego życia psychicznego, i dla tego je przeciwstawia jako współrzedną grupę wyobrażeniom, to uwzględnia tylko ten fakt, że w naszej naukowej konstrukcyi świata obiektywnego nie mają przedmioty tych znamion, które my znamy z naszego życia uczuciowego; ale podobnie przecież przedmioty, z pomocą których fizyk konstruuje świat obiektywny, pozbawione są barw i dźwięków. Świat subiektywny ma równie dobrze znamiona przestrzenne, wzrokowe, słuchowe, smakowe, jak ma i znamiona uczuciowe.

Zatem uczucia proste nie są to zjawiska równorzedne z przedstawieniami, a zgoła od nich różne, tylko są to proste cechy wrażeń, a w szczególności cechy wrażeń ustrojowych. W mowie potocznej i w nauce używany wyraz »uczucie« oznacza zazwyczaj nie samą cechę przedstawienia w oderwaniu, tylko przedstawienie dane wraz z tą cechą.

### 5. Uczucia złożone.

Jeszcze trudniej jest pojąć samodzielne, równorzedne z przedstawieniami stanowisko uczuć złożonych. Analiza pokazuje w nich zawsze kompleksy licznych, mniej lub więcej uświadomionych przedstawień i przekonań, zabarwionych przyjemnie lub przykro. Uczucia te, mówimy, zwykły się łączyć z przedstawieniami lub przekonaniami; analiza ich wykazuje, że stosunek ich do przedstawień i przekonań, które stanowią ich podstawę psychologiczną, jest taki sam, jak stosunek grupy tonów górnych do tonu zasadniczego w dźwięku. Podobnie jak w dźwięku, dołącza się do tonu zasadniczego, który wy-

rażnie występuje w świadomości, kompleks tonów górnych, które nie występują wyraźnie w świadomości z osobna, ale uświadamiają się jako całość i stanowią to, co nazywamy barwą dźwięku, podobnie z przedstawieniami i przekonaniami, które wyraźnie w świadomości występują, łączą się grupy mało uświadomionych, niejasnych, zatar-tych, trudnych na pierwszy rzut oka do wyróżnienia skojarzeń, t. zn. grupy przedstawień i przekonań przygasłych, a zabarwionych przyjemnie lub przykro; do tego dołączają się wrażenia ustrojowe przyjemne lub przykre, i stanowią wraz z poprzednimi elementami jako całość to, co nazywamy uczuciem złożonym.

Zatem uczucia złożone, to również nie innego, tylko pewne kompleksy intelektualne; zaczem i one nie muszą stanowić osobnej, zgoła różnej klasy zjawisk duchowych. Mogą ją stanowić ze względów metodycznych, jako zjawiska ważne ze względu na swą niejasność i doniosłe ze względu na swój stosunek do postanowień, a przez to wpływ na postępowanie nasze, ale nie mogą ze względu na rzekomo istotną różność od przedstawień.

Zostają zatem w psychologii dwie grupy różne: przedstawienia i przekonania. Uczucia, pragnienia i postanowienia okazują się tylko ich modyfikacjami. Przedstawieniem nazywamy stan wewnętrzny, o ile w nim nie uwzględniamy rzeczywistości lub nierzeczywistości danego nam przedmiotu, przekonaniem nazywamy stan wewnętrzny, o ile się w nim liczymy z istnieniem danego przedmiotu. Nie chcę przesądzać, czy nie uda się dokonać redukcji i w obrębie tych dwóch grup zjawisk duchowych, t. zn. czy nie uda się wykazać, że i t. zw. sądy są pewną modyfikacją przedstawień w myśl pomysłów Hume'a, i czy wtedy nie urzeczywistni się myśl Herbarta, a mianowicie: sprowadzenia do jedności różnych rodzajów zjawisk psychicznych.

Nie chodzi na razie o rozwinięcie tej myśli; chodzi tylko o wskazanie kierunku.

---

BUDOWA  
PIERWSZYCH POWIEŚCI POLSKICH

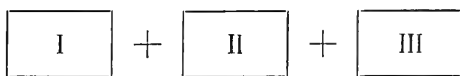
napisał

KONSTANTY WOJCIECHOWSKI.



W szkicu niniejszym daję fragment badań, które przedsięwzię-  
łem nad budową powieści polskiej. Uwzględniam jedynie powieści  
oryginalne, a wychodzę od Krasickiego »Mikołaja Doświadczyńskiego  
Przypadków« (1776). Przez powieści oryginalne rozumiem dzieła nie  
tłumaczone z obcych języków, bo o oryginalności w ściślejszem zna-  
czeniu tego wyrazu w owych czasach niema mowy. Wyrazem »bu-  
dowa« określam jedynie układ części wątku i stosunek wątku głów-  
nego do epizodów. W szczegóły kompozycji tu nie wchodzę.

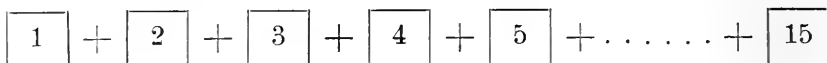
Budową najzupełniej mechaniczną odznaczają się wspomniane  
»Przypadki«. Wypływa to z ich genezy. Ksiądz biskup, pisząc Do-  
świadczyńskiego, pragnął przeszczepić i przeszczepił istotnie trzy  
typy romansu zachodniego: romans obyczajowo-domowy, utopię  
i »przygody« (aventures), ale trzech tych typów nie zlał w jednolitą  
kompozycję artystyczną, przeciwnie, ustawił księgi obok siebie, przy-  
czem każda zachowała odrębny charakter. Związek między nimi polega  
na tem, że druga jest dalszym ciągiem pierwszej, a trzecia drugiej,  
każda z nich jednak tworzy dla siebie całość. Mamy więc schemat  
bardzo prosty:



Wzoru autor mieć nie mógł, bo taką a nie inną kompozycję  
należy przypisać faktowi, że autor wpatrywał się w różne wzory,  
tworząc każdą z poszczególnych części. Natomiast sam wywo-  
łał naśladownictwo. Ks. Michał Krajewski w romansie p. t. »Woj-  
ciech Zdarzyński życie i przypadki swoje opisujący« (1785) przejął  
od Krasickiego nietylko pomysł, ale i schemat, część pierwsza bo-  
wiem powieści to romans obyczajowy (wadliwe wychowanie, długi,  
ucieczka), część druga — to utopia (idealny lud Sielan), część trze-  
cia: przygody i powrót. Kopia zatem zupełnie wierna, jakkolwiek  
kopista w szczegółach zasilał się u obcych.

Typ ten, powołany do życia potrzebami nie artystycznymi, zamiera.

Nie wywoła również naśladownictw kompozycyja »Polaka w Paryżu« (»Polak w Paryżu, albo dwutygodniowa w temże mieście bytność hrabiego \*\*\*«, 1787). Autor romansu tego nieznany, nie znamy też dotychczas wzoru, w który się nasz anonim wpatrywał. Dzieło samo jest unikatem u nas w XVIII wieku i przez fabułę i dzięki sposobowi przedstawienia rzeczy, natomiast kompozycyja utworu jest zupełnie luźna. Piętnaście dni pobytu w Paryżu przedstawia autor w piętnastu rozdziałach, przygody tedy każdego dnia są treścią każdego z rozdziałów. Treść podana w nagłówkach. Graficznie:



Rozdział na dwa tomy spowodowany nie względami kompozycyjnymi, lecz poprostu troską o wygodę czytelnika. Chodziło o to, by nie musiał trzymać w ręku książki zbyt grubej.

Nie dbał o kompozycję Krasicki w »Panu Podstolim«. Problem ten dla autora nie istniał. Zapewne dlatego, że nie chodziło mu o stworzenie dzieła sztuki. To samo da się powiedzieć o ks. biskupie Kossakowskim, autorze »Księdza Plebana« i »Obywatela«.

Natomiast naśladowca Krasickiego, ks. Krajewski, autor Zdarzyńskiego, pokusiwszy się o stworzenie pendant do Podstolego, dał się unieść ambicyi i postanowił ująć materyał, z natury rzeczy niepoetyczny, w ramy kompozycyi artystycznej. Plan ów powziął dopiero po wydaniu »Przypadków«, zrazu bowiem, jak poucza nas przedmowa, zamiarem autora było opisać jedynie »dom, gospodarstwo i zabawy Pani Podczaszyny«. Porzuciwszy pomysł pierwotny, postanowił opis »domu, gospodarstwa« i t. d. wpleść w osnowę fabuły powieściowej. Dodajmy, że fabułę przejął dość niewolniczo z Nowej Heloizy.

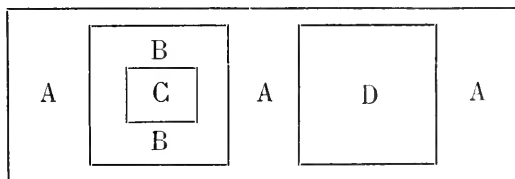
Rozsnuwa tedy ks. Krajewski w »Pani Podczaszynie« (1786) wątek powieściowy: młodość i cierpienia miłosne bohaterki aż do śmierci Podczaszego i powrotu brata wdowy, Wojciecha Zdarzyńskiego, poczem umieszcza nad miarę obszerną część dydaktyczną (z okazji oprowadzania brata przez siostrę po gospodarstwie), poczem dosnuwa wątku (powrót kochanka młodości, ślub kochanka z córką ukochanej zmarłej). Nietrudno poznać, że autor przejął od Rousseau'a nie tylko osnowę, ale i plan budowy powieści. Podzielił



romans, jak Rousseau, na część erotyczną i dydaktyczną: część pierwsza to miłość, rozpacz i łzy, druga — to wzory godne naśladowania i moralizujące dysputy. (Na logiczną kompozycję Nowej Heloizy zwrócił uwagę Erich Schmidt w znanej pracy »Richardson, Rousseau u. Goethe, Jena 1875). Uzmysłowić da się kompozycję »Pani Podczaszyny« w sposób następujący:

|        |                      |        |
|--------|----------------------|--------|
| Romans | Część<br>dydaktyczna | Romans |
|--------|----------------------|--------|

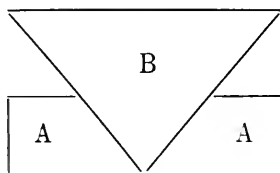
Pomijam broszury polityczne ks. Jezierskiego (»Goworek«, »Rzepicha«), a przechodzę do powieści Cypryana Godebkiego »Grenadyer-filozof« (1805). Autor nazwał ją »powieścią prawdziwą, wyjętą z dziennika podróży roku 1799«. Treść ujął w 8 rozdziałów. Są to losy legionisty polskiego od klęski Francuzów nad Trebią aż do przybycia jego do Lugdunu i opowieść o pewnym dziwnym grenadyerze, z którym legionista zawarł znajomość. W on »dziennik legionisty« wplecione, oprócz dziejów Henrygo (grenadyera), opowiadanie oberżysty o swoich losach, a w to »powieść« Sadego o królu perskim i jego ministrze. Jeśli dziennik legionisty nazwiemy A, opowieść oberżysty B, powieść Sadego C, a dzieje Henrygo D, w takim razie schemat budowy przedstawi nam się tak:



Wstawki B i C nie dadzą się uzasadnić motywami kompozycyjnymi, natomiast wplecenie D w wątek A jest wynikiem rozmyśłu i pierwszą próbą utrzymywania ciekawości czytelnika przez zakrycie przed nim pewnych antecendencji i osnowy i pewnych faktów, które zdarzyły się już podczas rozwoju wątku.

Metodą przejętą z »Schauerromane« posługuje się Mostowska w romansie swym »Matylda i Danił« (1806). Snuje wątek powieściowy aż do chwili, kiedy Klara słyszy tajemniczy szept »uciekaj, Klaro, jeśli zginać nie chcesz«, poczem przerywa wątek, by rozwinąć ob-

szerne opowiadanie Gryzaldy, wyjaśniające genezę tajemniczego szeptu. Z tą tajemnicą łączy się tragedia rodu, klątwa, ciężąca na rodzie. Opowiadanie Gryzaldy słyszy Daniło, ale na nie nie zważa, czego następstwem jest katastrofa. Opowieść Gryzaldy rozsadziła wątek osnowy i wybiła się na plan pierwszy. Wynikało to z intencji autorki, która w tej właśnie opowieści chciała skupić wszystkie motywy, zdolne wstrząsnąć czytelnikami. Wątek główny (A) znika niemal przy wstawce (B), wyjaśniającej pewne momenty wątku. Więc budowa:

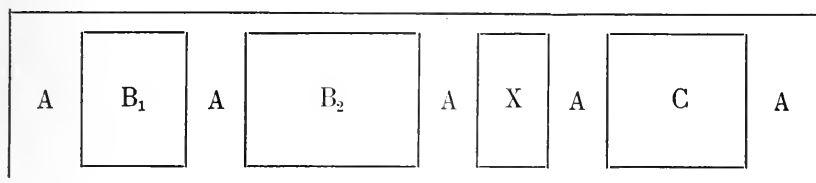


O wiele bardziej skomplikowaną budowę posiada romans tej samej autorki p. t. »Zamek Koniecpolskich« (1806). Przyznać jednak trzeba, że to skomplikowanie jest wynikiem dobrze obmyślanego planu całości, z wyjątkiem jednego epizodu.

Rozpoczyna się wątek powieści: Zeliśława czeka na męża swego Bretysława, burza, jęk ducha. Ostatni fakt tajemniczy spowodowuje opowiadanie Kasyldy, które jednak urywa się na wyjeździe Bohdana (ojca Bretysława) do Palestyny. Powraca bowiem Bretysław. Radość Zeliśławy, turnieje, uczty. Ale ciekawość Zeliśławy niezaspokojona, więc Kasylda podejmuje swą opowieść i doprowadza ją do chwili znalezienia szabli (pozostawionej przez ducha) przez Bretysława. Poczem wątek snuje się w dalszym ciągu: jesteśmy świadkami wędrówki Bretysława do Włoch, śmierci Zeliśławy, wyjazdu do Palestyny, miłości Adelajdy i Adolfa. Tu przerywa wątek niewiążące się ściśle z całością opowiadanie Meynharda. Nawiązanie do przerwanej tym epizodem osnowy: przybycie do Palestyny i dalsze wypadki aż do odkrycia tajemnicy, że raniony przez Bretysława starzec jest jego ojcem. Teraz wprowadza autorka opowiadanie Bohdana o tem, co się stało od chwili spełnienia przez niego zbrodni aż do czasu, w którym otrzymał ranę od własnego syna. Następuje epilog powieści.

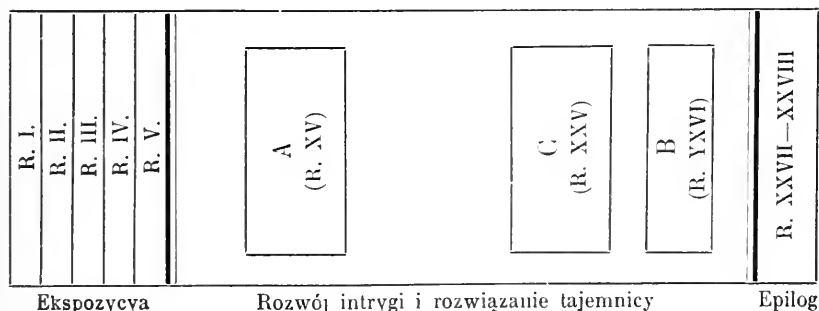
Jeśli wątek oznaczmy za pomocą A, opowieść Kasyldy za pomocą B, wyznania Bohdana nazwiemy C, a opowiadanie Meyn-

harda X, w takim razie schemat budowy romansu zarysuje się przed nami w sposób następujący:



Antecedencje rozłamane bardzo zręcznie na trzy części. Autorka osiąga tem silne napięcie uwagi czytelnika.

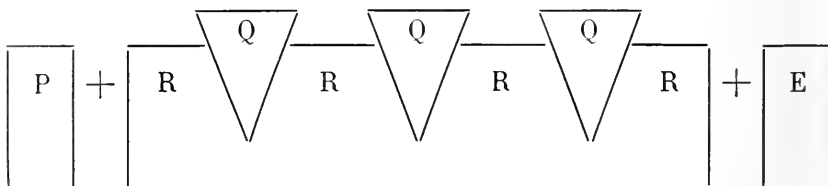
O artyzm w kompozycji troszczy się pierwsza Marya ks. Wirtemberska i osiąga wyniki niepoślednie. Jej »Malwina czyli domysłność serca« jest nie tylko pierwszą polską powieścią psychologiczną, ale i pierwszym romansem o misternej budowie. Znakomicie przeprowadzona ekspozycja: w rozdziale pierwszym wprowadzenie bohatera i bohaterki, w rozdziale drugim wskazana najbliższa przeszłość bohatera, w trzecim — bohaterki, rozdział czwarty charakteryzuje bohatera, piąty — bohaterkę, oboje na tle ich wzajemnych uczuć. Rozdziały IV—XXVI zawierają rozwój intrygi zewnętrznej i wewnętrznej i rozwiązanie tajemnicy. W to wplecione trzy wstawki z antecedencjami: w rozdz. XV historia matki Ludomira, w r. XXV dzieje Ludomira od dzieciństwa do wstąpienia do wojska, w rozdz. XXVI dzieje Ludomira od jego urodzin do zamieszkania w Karpatach. Rozdziały XXVII—XXVIII tworzą epilog: dwie pary małżeńskie. Kompozycja obmyślana doskonale w najdrobniejszych szczegółach, przejrzysta, symetryczna, zgodna z rozwojem akcji, a służąca wybornie efektem, które autorka pragnęła wywołać. Graficznie:



przyczem za pomocą A C B oznaczamy wstawki: A historia matki Ludomira, B dzieje Ludomira od jego urodzin, C dzieje L. do wstąpienia w szeregi wojskowe.

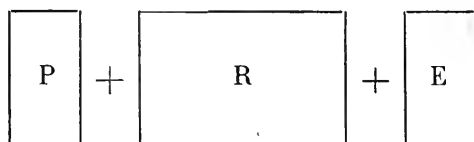
Wzoru bezpośredniego dla tej kompozycji nie miała autorka.

Wraz z »Nierozsądnymi Ślubami« Bernatowicza (1820) rozpoczyna się nowy rodzaj romansu w Polsce, t. zw. romans sentymentalny, jakkolwiek początki jego są już w »Pani Podczaszynie« Krajewskiego i w »Malwinie«. Romans Bernatowicza wyrósł jednak — odmiennie niż tamte — z zespolenia się wpływów lektury Wertera i Nowej Heloizy i dzięki temu przybrał specjalny kształt. Niezależnie od formy listowej, przeprowadzonej konsekwentnie, co jest refleksem »Lettres de deux amours«, z Wertera wzięty jest prolog: sielanka i epilog: śmierć. W tych ramach romans russowski. Owo zespolenie mechaniczne zaznacza się arcywyrażenie przy analizie utworu. Ale Bernatowicz nie poprzestał na tych pierwiastkach składowych — przeciwnie, do romansu wprowadził szereg epizodów, które na jasności i przejrzystości akcji wewnętrznej odbiły się najfatalniej. Epizody te gmatwają ośnowę i odrywają uwagę od zasadniczego problemu (jak epizod ze Smorogiem i Hanką). Oznaczmy prolog przez P, romans przez R, epilog przez E, a epizody przez Q, a schemat budowy przedstawi nam się tak:



Wprowadzenie epizodów jest własnością Bernatowicza.

Podobny typ, ale znacznie prostszy, znajdujemy w Kropińskiego »Julii i Adolfie« (1824) i we wcześniejszym romansie Rautenstrauchowej »Emmelina i Arnolf« (1821). U p. Rautenstrauchowej w prologu poznajemy bohatera jako Lowelasa, poczem po przełomie snuje się romans, a kończy powieść epilog od autorki (bo cała powieść w listach). W »Julii i Adolfie« również jądrem jest romans russowski; poprzedza go wstęp od autora, a zamyka całość epilog w guście Wertera, jako dodatek. Więc:



bez psujących kompozycję epizodów.

Jest to budowa najprostsza i najbardziej nadająca się do snucia problemów psychologicznych.

Wniosków z nawiedzionych uwag nie wysnuwam, ponieważ przedstawiłem tu materiał stosunkowo niewielki. Wszelako na pierwszy rzut oka widoczny jest fakt jeden: wiek XVIII o kompozycję się nie troszczy, bo względy artystyczne przytłacza utylitaryzm; w wieku XIX, na samym progu, wita nas romans operujący tajemniczością i do tego naginający budowę (»Zamek Koniecpolskich«, »Malwina«) — nawet sztuczną; natomiast romans sentymentalny uderza czytelnika prostotą kompozycji. Wpływ to arcydzieła Goethego.





# O SĘDZIACH POLUBOWNYCH W PRAWIE KOŚCIELNEM

napisał

Ks. STANISŁAW WYSOCKI





### Źródła:

C. I. Civ.: D. IV 8. — C. II. 56<sup>1</sup>. — C. I. Can.: c. 35, 36, 37. C. 11 q. 1 (pomieszczone też w c. 13 x. II 1). — Tit. XLIII, X, I. — Tit. XXII, I in 6. — Conc. Trid. Sess. 14 c. 5 de Ref. — Acta SS. t. VII (r. 1872) str. 393—398.

### Literatura:

Wszyscy komentatorowie C. I. Can. omawiają także sprawę sądów polubownych. Wymieniamy najważniejszych: Fagnani in c. 2, 5, 8, 10, tit. XLIII, X, 1. — Pirhing — Reiffenstuel — Schmalzgrueber.

Z nowszych porównaj: Praelectiones iuris canonici ad methodum decretalium Gregorii IX exactae, quas in scholis pontificiis seminarii Romani tradebat Philippus canonicus de Angelis. T. I, P. II. Romae-Parisiis 1877 (od str. 411—427). — Praelectiones in textum iuris canonici: De iudiciis ecclesiasticis in scholis pont. sem. Rom. habitae a Michaële Lega Sac. De iudiciis ecclesiasticis civilibus. Lib. I Vol. I. Romae 1896 (str. 44—63).

### Wstęp.

Prowadzenie procesów połączone zawsze (nawet w sądach kościelnych) i z kosztami i ze stratą czasu, przyczem roznamiętnia i zaognia wzajemne niechęci. Stąd też Kościół od samego początku swojego istnienia zachęcał wiernych, by spory swe załatwiali polubownie, oddając je pod rozsądzenie ludzi godnych zaufania i wiary<sup>2</sup>. W czasach prześladowań do powodów wyżej wymienionych przyczyniał się i ten, że niegodnem było chrześcijanina prawować się przed sędzią niewiernym. Chrześcijańscy cesarze rzymscy zatwier-

---

<sup>1</sup> Prawo rzymskie stanowi także źródło prawa kanonicznego, nie tylko wtedy, kiedy to ostatnie ustawę jakąś kodeksu świeckiego wyraźnie pomieszcza między kanonami (kanonizacya), ale i w sprawach — przez Kościół nieokreślonych, niesprzecznych z jego duchem — a zajmujących się rzeczami, podległymi z natury swej jurysdykcji duchownej. (Por. ks. Michała Legi Praelectiones de iudiciis ecclesiasticis: de iudiciis ecclesiasticis civilibus. Lib. I, Vol. I, str. 14—15).

<sup>2</sup> Ep. I. ad Cor. cap. VI.

dzili stary zwyczaj kościelny załatwiania polubownie sporów między wiernymi, jak tego dowodzi n. p. konstytucja Konstantyna W., pomieszczona w kodeksie Teodozjusza<sup>1</sup>, lub dekret z kodeksu cesarza Justyniana<sup>2</sup>. Kościół korzystał z tej wolności, a biskupi niemało czasu poświęcać musieli sądom rozjemczym<sup>3</sup>.

Wprawdzie sprawy cywilne można załatwiać także prywatnym układem (*transactio*), ale bardziej odpowiada naturze ludzkiej oddanie sporu pod sąd osoby nieinteresowanej, a cieszącej się zaufaniem obydwóch przeciwników, stąd i instytut sądów polubownych częściej bywał w praktyce. Przepisy prawne, normujące tę instytucję, przejął Kościół z prawa rzymskiego, rozszerzając je w miarę potrzeby, zmieniając i stosując do swych potrzeb.

### §. 1. Sędziowie polubowni przez prawo wymagani (*arbitri necessarii*).

Sędzia polubowny — w ścisłym tego słowa znaczeniu — jest to osoba godna zaufania, wybrana czy to z nakazu prawa, czy też z umowy stron, spór wiodących, dla rozstrzygnięcia i zakończenia tegoż. Z tej definicji wynika, że niekiedy samo prawo nakazuje sprawy niektóre załatwiać polubownie. I w tym wypadku rozjemców z zasady wybierają sami przeciwnicy, a nie sędzia zwyczajny, chyba że on sam zaplątany w spór, kiedy n. p. prawujący się zarzucają mu stronniczość<sup>4</sup>. Atoli zwyczajnie w sprawach, wymagających rozjemców już z ustawy samej, sędzia publiczny wybrać ich musi, jeżeli obydwaj przeciwnicy zaniedbają się w tym obowiązku, albo jeden ociaga się z jego spełnieniem, drugi zaś nastaje na przyspieszenie sprawy.

Rozjemcy ci zajmują pośrednie miejsce między właściwymi sędziami a sędziami polubownymi w ścisłym znaczeniu tego słowa.

Owi quasi-arbitrzy mają rzeczywistą (*quasi ordinaria*) jurysdykcję, stąd też mogą urzędownie powoływać przed się strony, badać świadków, nakładać nawet kary, słowem robić wszystko, co konieczne i potrzebne do wyświeetlenia i rozsądzenia sporu<sup>5</sup>. W czyn-

<sup>1</sup> Przepisana w dekrete Gracyana c. 35, 36, 37. C. XI q. 1 i w c. 13 x. II, 1.

<sup>2</sup> L. 8, C. I, 4.

<sup>3</sup> Por. Lega: Op. cit. str. 23—24.

<sup>4</sup> c. 39 x. I, 29.

<sup>5</sup> c. 39 x. I XXIX i Glossa ad V. ad quos omnia.

nościach swych trzymać się muszą przepisów prawa procesowego, gdyż zastępują sędziów rzeczywistych, i dlatego też, nawet wbrew woli, przyjmować muszą ten obowiązek<sup>1</sup>. Ponieważ zaś w tych wypadkach, w których prawo żąda rozjemców, spierający się odwołują się do nich z konieczności (bo w razie zaniedbania tego wyznaczyć rozjemców sędzia), przeto słuszną, że od wyroku quasi-arbitra dozwolone jest odwołanie się do wyższej instancji<sup>2</sup>.

Prawo dokładnie określa, kiedy spór iść musi pod sąd rozjemców. Nie wszystkie wypadki, wymieniane w kodeksach, mają i obecnie jeszcze praktyczne zastosowanie, ale nie można twierdzić, że wszystkie straciły już znaczenie. W następujących razach musi się wzywać quasi-arbitrów: 1) jeżeli chodzi o zbadanie, czy sądzeni słusznie oskarżają sędziego o stronniczość<sup>3</sup>; 2) z analogicznych powodów nakazują kanony rozstrzygać sędziom polubownym spory między biskupem a podwładnymi mu klerykami<sup>4</sup>; 3) niemniej z prawa rozsądzać winni arbitrzy pytanie, kto jest sędzią właściwym w sprawie powierzanej kolejno różnym osobom, a nie jest widoczna, czy reskrypt późniejszy jest zarazem odwołaniem pierwszego<sup>5</sup>; 4) sobór trydencki wreszcie stanowi<sup>6</sup>, że w sporach, w których oskarżony wybiera konserwatora, a strona skarżąca odrzuca go jako podejrzanego sobie, jakoteż i w razie, kiedy sprawa toczy się o kompetencję między sędzią delegowanym (konserwatorem) a ordynaryuszem, osądzić wpierw muszą sędziowie polubowni słusność skargi o stronniczość, względnie ocenić, kto ma prawo spór przeprowadzić, a dopiero wtedy można prowadzić dalej dochodzenia procesowe.

Spory o kompetencję między trybunałami rzymskimi rozstrzyga obecnie kongregacja konsystoryalna<sup>7</sup>.

Rozjemcy ci — z prawa wymagani — różnią się przecież od sędziów rzeczywistych, gdyż wybór ich z zasady należy do samych stron; ponieważ jednak posiadają istotnie jurysdykcję, mogą więc

---

<sup>1</sup> Por. Schmalzgrueber in h. t. n. 3 (1).

<sup>2</sup> c. 11 l. tit. XIV in VI

<sup>3</sup> c. 39 x. I XXIX. c. 4 i 11 l. 14 in VI. Acta Apostolicae Sedis annus II Vol. II n. 19 (10 Oct. 1910) str. 751.

<sup>4</sup> c. 46 C. XI q. 1; por. Lega op. cit. str. 50, uwaga.

<sup>5</sup> c. 14 x. I tit. III. O dwóch innych wypadkach, w których prawo domagało się koniecznie sędziów polubownych, obecnie niepraktycznych, por. Schmalzgrueber in h. t. n. 5 (4 i 5).

<sup>6</sup> Cap. 5 sess. XIV de Ref.

<sup>7</sup> Acta Apost. Sedis annus I Vol. I. (15 Januar 1909) n. 1 str. 10.

sądzić nie tylko o sprawie głównej, ale i o wszystkich innych z nią połączonych.

## §. 2. Właściwi sędziowie polubowni.

Poza wypadkami wymienionymi prawo nie zmusza nikogo do zawierania kompromisu na sędziów polubownych (aczkolwiek — jak nadmieniliśmy — sprzyja bardzo załatwianiu sporów w ten sposób)<sup>1</sup>, zmuszenie zaś kogoś do wyboru arbitrów robi ten wybór nieważnym.

Mogą takie układy zawierać wszyscy, którzy mogą zupełnie swobodnie rozrządzać rzeczami, czy to swojemi, czy też cudzemi, którzy mogą zawierać układy o nie, pozbywać się ich nawet<sup>2</sup>. Jeżeli bowiem ktoś niema prawa wyzbywać się jakiejś rzeczy (chyba z zachowaniem prawnych formalności), nie może też układać się o nią, ani oddawać rozjemcom do rozstrzygnięcia sporów, jej się dotyczących, ponieważ układy takie prowadzić mogą do niedozwolonego zrzeczenia się jakiegoś prawa, czy rzeczy<sup>3</sup>. Dozwolony natomiast kompromis, jeżeli samej rzeczy nie grozi niebezpieczeństwo, bo w układzie zastrzeżono, że przegrywający zatrzyma ją w każdym razie, wynagradzając tylko wygrywającego<sup>4</sup>.

Nie mogą więc godzić się na sędziów polubownych prałaci kościelni, proboszczowie i inni beneficjaci, kiedy w grę wchodzić rzeczy i prawa kościelne, których nie można pozbywać się bez przepisanych formalności prawnych. Prócz tego nie wolno zawierać kompromisu szaleńcom (z prawa naturalnego), rozrzutnikom, zostającym pod kuratelą<sup>5</sup>, pupilom bez upoważnienia opiekuna, ponieważ ci ostatni — w razie przegranej — nie mogą uiścić kary, chyba że dali poręczyciela, od którego zażądać można jej zapłacenia<sup>6</sup>; ani małoletnim, mającym opiekuna bez jego zezwolenia i dekretu sędziego<sup>7</sup>, kiedy chodzi o posiadłości ziemskie, lub przedmioty wielkiej

<sup>1</sup> Wyjątki od tej zasady, podyktowane niekiedy koniecznością, zob. u Schmalzgruebera in h. t. n. 10 v. Excipitur.

<sup>2</sup> c. 3, 5, x. I, tit. XLIII.

<sup>3</sup> Reg. Jur. 84 in VI zob. Reiffenstuel in h. t. n. 32 sqq. Schmalzgrueber n. 6 sqq. Lega str. 50 i 51.

<sup>4</sup> Schmalzgrueber cit. n. 6. Reiffenstuel n. 35.

<sup>5</sup> D. I. 27 §. coram IV, 8.

<sup>6</sup> D. I. 35 IV 8.

<sup>7</sup> D. I. 3, IV 8 cum glossa ad v. Commissae.

wartości; synom za życia ojca w sprawach dochodów, wydzielanych im przez tegoż, czy dziedzicznych<sup>1</sup>, nie zaś, kiedy idzie o majątek osobiście zarobiony<sup>2</sup>. Z drugiej strony nie wolno zdawać sprawy na arbitrów opiekunom, bez zezwolenia sędziego, w rzeczach nieruchomości, lub ruchomych wartościowych<sup>3</sup>, jako też prokuratorom — chyba, że mają na to osobne upoważnienie<sup>4</sup>. A wreszcie nie może obierać rozjemców zakonnik, któremu zlecono nawet administrację, jedynie za zgodą przełożonego; kobiety w cudzem imieniu<sup>5</sup> i niewolnicy<sup>6</sup>. Wszystkie wymienione przepisy obowiązują — oczywiście — o ile pochodzą z prawa kościelnego. Rozporządzenia prawa rzymskiego, oparte na stosunkach owoczesnych, nawet w trybunałach kościelnych nie mogą być stosowane bezwzględnie.

Dotychczas mówiliśmy o osobistej niejako niezdolności układania się w sprawach wątpliwych a spornych za pomocą sędziów polubownych. Zachodzi pytanie, czy osoby, którym wolno zawierać kompromisy, mogą to robić w każdym razie. Ogólna odpowiedź brzmi, że w myśl ustaw kościelnych wszelkie sprawy można załatwiać w ten sposób, o ile prawo wyraźnie tego nie broni, żądając sędziów i sądów formalnych. Takie zastrzeżone sprawy są większej wagi, i dlatego to Kościół usuwa je z pod roztrząsania prywatnego, tem bardziej, że, jak zobaczymy, od wyroku sędziów polubownych apelacyi niema, a i być nie może.

Kompromisowo nie można załatwić: 1) spraw karnych, kiedy chodzi o ukaranie występku (*actio criminaliter prosecuta*)<sup>7</sup>, gdyż zbrodnie winno państwo samo karać, a nie może pozwolić, iżby je sobie prywatnie przebaczano; 2) niedopuszczalny też kompromis w sprawach małżeńskich, o ile chodzi o ważność, względnie nieważność związku, lub też o separację<sup>8</sup>; 3) zakazane też jest odwoły-

---

<sup>1</sup> *Peculium profectitium, adventitium.*

<sup>2</sup> *Peculium castrense, quasi-castrense*; por. Schmalzgrueber in h. t. n. 7 (6).

<sup>3</sup> Schmalzgrueber *ibid.*

<sup>4</sup> c. 9 x. XLIII, I.

<sup>5</sup> D. l. 32, IV, 8.

<sup>6</sup> D. l. 32, §. Si servus IV, 8.

<sup>7</sup> c. 9, x. XLI, I. — D. l. 32, §. Julianus IV, 8. W sprawach tego rodzaju dozwolony kompromis, jeżeli chodzi o skutki zbrodni natury czysto prywatnej, n. p. o naprawienie szkody, które można i polubownie usuwać (por. Lega op. cit. str. 36).

<sup>8</sup> c. 9 x. XLI I. — c. 12 x. XXXI, V. (Rezerwuje biskupom sprawy małżeńskie). Instrukcja Rauschera §. 200. — Tu należą t. zw. *causae liberales*

wać się do arbitrów w sprawach beneficjalnych (o nadanie beneficjum), chyba że godzi się na to władza kościelna, albo że na sędziego polubownego wybrano samego ordynariusza<sup>1</sup>, a to z powodu, ażeby nie otwierać drogi do beneficjów wbrew przepisom prawa, domagającym się instytucji kanonicznej<sup>2</sup>. Sądy polubowne wyłączone są też, jeżeli z tego może wyniknąć uszczerbek jaki dla stolicy apostolskiej. Dlatego więc nie można powoływać arbitrów w wątpliwości, czy ktoś podlega władzy ordynariusza, czy też nie (*causae exemptionis*)<sup>3</sup>. Jeżeli też sprawa toczy się o t. zw. »*restitutio in integrum*«, sędzić musi trybunał zwyczajny, a nie rozjemczy, gdyż rzecz ta należy do ważniejszych. Wyjątkowo tylko, kiedy arbitrzy rozpatrują już jakąś sprawę, a wyłoni się przytem i kwestya o »*restitutio in integrum*«, mogą ją załatwić, ażeby nie przerywać toku głównej rozprawy<sup>4</sup>. Od wyroku wydanego prawnie i mającego już moc prawną (*res iudicata*) niema także rekursu do sędziów polubownych, oni bowiem winni rozstrzygać sprawy wątpliwe, czego nie masz w danym wypadku<sup>5</sup>.

W ogóle wszystkich rzeczy, o które nie wolno układać się prywatnie (*transigere*), nie wolno też poddawać pod rozpatrzenie arbitrów<sup>6</sup>.

Sędzią polubownym może być każdy (czy to człowiek prywatny, czy też piastujący urząd jaki publiczny), jeżeli prawo nie wyklucza wyrażnie kogoś od przyjmowania tego obowiązku.

A więc może być n. p. powołany na rozjemcę i sędzią (tak zwyczajny, jak i delegowany), do którego z urzędu należało proces przeprowadzić, byle sam nie narzucił się stronom jako arbiter<sup>7</sup>.

---

(c. 9 x. XLI, I i D. l. 32 h. t. §. De liberali), w których rozstrzygano o stanie wolnym, czy niewolnym danej jednostki. Obecnie bez znaczenia.

<sup>1</sup> c. 10, x. XLIII, I.

<sup>2</sup> Reg. iur. I, in VI.

<sup>3</sup> c. 5, x. XLIII, I.

<sup>4</sup> c. 9, x. XLI, I.

<sup>5</sup> c. 11 x. XLIII, I i glossa ad v. cum parte altera compromisit; — por. Reifenstuel in h. t. n. 79, 80, 81.

<sup>6</sup> Schmalzgrueber in tit. cit. n. 16 (9). Lega op. cit. str. 32 sqq.

<sup>7</sup> c. 8, x. VI, I, c. 5 (iuncta glossa ad v. Magdeburgensis), c. 7 (kompromis na sędziów delegowanych), c. 10, x. XLIII, I. Byłoby to poprawienie czy rozszerzenie prawa rzymskiego, jeśli rzeczywiście myśl D. l. 9 § 2 IV 8 jest ta, że sędziom nie wolno przyjmować obowiązku rozjemców. Prawo to usiłuje pogodzić z postanowieniami kanonów, Reifenstuel in h. t. n. 48 i Schmalzgrueber in h. t. n. 15; por. też D. l. 3 § fin. 4, IV, 8.

I syn może być sędzią polubownym w sprawie spornej ojca<sup>1</sup>, jakoteż i ojciec w sprawie syna.

Nie mogą natomiast przyjmować na się urzędu rozjemców dzieci, niemi, głusi, szaleńcy, czego im zresztą broni samo prawo naturalne<sup>2</sup>. Z tegoż powodu nie może nikt być arbitrem we własnej swej sprawie<sup>3</sup>.

Z prawa nadanego nie mogą być sędziami polubownymi ludzie świeccy w sprawach duchownych (choćby tylko rozstrzygać mieli w kwestyi ubocznej, związanej ze sprawą główną), ponieważ nie wypada, ażeby sąd swój wypowiadali w tego rodzaju rzeczach<sup>4</sup>, chyba, że taki świecki arbiter wykaże się osobnym przywilejem apostolskim, lub też razem ze świeckim powołano do sądu rozjemczego i kleryka, za zgodą — oczywiście — władzy duchownej. Ważny jest nawet kompromis, jeżeli strony wybrały jednego kleryka, a więcej ludzi świeckich<sup>5</sup>. Świecki natomiast może być arbitrem w rzeczach Kościoła czysto doczesnych i bez współudziału kleryka, gdyż można przypuszczać, że w tego rodzaju sprawach jest dostatecznie biegły i doświadczony<sup>6</sup>.

Prawo rzymskie bez wyjątku nie pozwalało kobietom przyjmować obowiązku sędziów polubownych, a ich wyrokom odmawiało zgoda ważności<sup>7</sup>. Względniejsze okazuje się dla nich prawo kościelne, bo zezwala na takie rozjemstwo, jeżeli sprawują jurysdykcyę, czy to z prawa lub przywileju, czy też ze zwyczaju, albo wreszcie na podstawie zajmowanego przez nie stanowiska<sup>8</sup>.

Zakonnik nie może zostać arbitrem, chociażby nawet rozchodziło się o korzyść jego klasztoru, jeśli nie otrzyma pozwolenia przełożonych<sup>9</sup>. Nie może być rozjemcą niemający lat dwudziestu<sup>10</sup>, a wreszcie wyklęty i wyłączony zupełnie ze społeczności wiernych

---

<sup>1</sup> D. l. 5 i 6, IV, 8.

<sup>2</sup> D. l. 9, h. t. W prawie rzymskiem niewolnik nie mógł być sędzią polubownym. D. l. 7, h. t.

<sup>3</sup> D. l. 51, h. t. z glossą ad v. »imperare«.

<sup>4</sup> c. 8 x. XLIII, I.

<sup>5</sup> c. 9 h. t.

<sup>6</sup> Por. Fagnani in c. 8, h. t. n. 1—12.

<sup>7</sup> C. l. 6, II, 56.

<sup>8</sup> c. 4 x. XLIII, I.

<sup>9</sup> Zob. Schmalzgrueber in h. t. n. 12 (6), Reifenstuel in h. t. n. 40.

<sup>10</sup> D. l. 41, IV 8, por. jednak Reifenstuel in h. t. n. 39 i Lega op. cit.

(*excommunicatus vitandus*)<sup>1</sup>, aczkolwiek jeżeli podjął się tego obowiązku i rozsądził spór, wyrok prawdopodobnie jest ważny, gdyż arbiter nie spełnia aktu jurysdykcji, a jedynie dla jej braku wyrok sędziego wyklętego niema znaczenia<sup>2</sup>.

Od stron układających się o rozjemców zależy, ilu ich wybrać. Mogą więc sprawę powierzyć do rozstrzygnięcia jednemu<sup>3</sup>, ten zaś albo sam spór załatwi, albo przyzwie sobie kogoś do pomocy, lub zastąpi się kim innym, jeżeli — jak jasna jest — otrzymał na to osobne upoważnienie<sup>4</sup>. Gdy atoli przeciwnicy wybierają więcej sędziów polubownych, to lepiej jeśli zgodzą się na liczbę nieparzystą, bo łatwiej wtedy uzyskać większość potrzebną do zakończenia sprawy, aczkolwiek i kompromis na parzystą liczbę rozjemców jest ważny<sup>5</sup>.

Nieważny natomiast jest układ na arbitrów, zrobiony z tem zastrzeżeniem, że jeżeli nie będą mogli się zgodzić, a nie będzie większości, mają dobrać sobie kogoś przez się upatrzonego, gdyż możliwa, że i w tem byliby niezgodni i spór przeciągałby się bez końca. Rzecz inna, jeżeli już z góry określono w kompromisie osobę tego, kogo mają w razie braku większości powołać do pomocy sędziowie polubowni<sup>6</sup>.

O sądach i sędziach polubownych nie może być mowy, gdy w tym kierunku nie zawarto formalnego układu, chociażby i jedna ze stron wyraziła chęć poddania sprawy pod sąd rozjemczy danej osoby, i druga na tej podstawie wytoczyła przed nią swą skargę<sup>7</sup>. Poza tem jednak sama forma układu jest obojętna. Można więc układać się ustnie czy listownie, lub przez trzecią osobę; można nie dołączać żadnych zastrzeżeń (*stipulatio*), albo też obwarować niemi kompromis; można postanowić karę konwencyonalną na nie-

<sup>1</sup> c. 59, x. XXXIX, V.

<sup>2</sup> Zob. Schmalzgrueber in tit. XLIII, I, n. 12 (4).

<sup>3</sup> c. 1, XLIII, I.

<sup>4</sup> c. 13, h. t.

<sup>5</sup> Cit. c. 1 h. t. O dwóch kompromisarzach mowa n. p. w c. 2 h. t.

<sup>6</sup> D. I. 17 § »Si in duos« IV, 8. — c. 12 h. t. Temu zdaniu nie sprzeciwia się c. 61, x. XXVIII, II, ani też c. 2 II, 15 in VI, bo tam niema mowy o kompromisie zawartym z klauzulą, jaką widzieliśmy w c. 12 X, XLIII, I, a jedynie zastrzeżono, że kompromisarze bezwzględnie obrani, mogą w czasie rozpatrywania sprawy, kiedy ich zdania są niezgodne, wezwać jeszcze kogoś do pomocy, jeżeli na to godzą się strony, albo tak nakaże władza. D. I. 17 § »principaliter« IV, 8 i glossa ad cit. cap. 61, x. XXVIII, II v. »tertium«. Por. też Reifenstuel in h. t. n. 54—58 i Lega op. cit. str. 54, n. 26 i nota.

<sup>7</sup> Acta S. Sedis t. VII, str. 394, 396, 398 n. III.



poddających się bez słusznej przyczyny wyrokowi rozjemców, a także wolno zawarty układ zaprzysiąc i karę wyznaczyć, albo tylko samą przysięgą stwierdzić dobrą swą wolę dotrzymania ugody.

Ponieważ atoli strony mogą w układzie kompromisowym robić rozmaite zastrzeżenia i stawiać różne warunki (byle te nie niszczyły samej istoty kompromisu), bezpieczniej jest całą umowę spisać, ażeby później nie powstały wątpliwości, czy rozjemcy nie przekroczyli granic władzy sobie powierzonych<sup>1</sup>.

Jak nikogo nie można zmuszać, by spór swój oddawał do rozstrzygnięcia sądowi polubownemu, tak też z zasady prawo nikogo nie niewoli do przyjmowania tego obowiązku. Skoro jednak ktoś raz już przyjął ten urząd, spełnić go musi, chyba że tłumaczy go słuszną przyczyną<sup>2</sup>. Ponieważ sędziów polubownych wybierają same strony, ażeby spór ich rozstrzygnęli, oni to zrobić mogą i powinni, ale z powodu braku jurysdykcji (której nadać im nie mogą osoby prywatne)<sup>3</sup>, nie są w możności zmuszenia ani przeciwników, ani świadków do stawienia się przed nimi, winni ich jedynie wezwać na podstawie zawartego kompromisu.

Słowem, rozjemcy wyrokować mogą jedynie o tych rzeczach, które im w kompromisie powierzono do rozwiązania, jeżeli zaś przekroczą granice sobie nakreślone, wyrok ich jest nieważny<sup>4</sup>. Prócz sprawy głównej mogą więc rozpatrywać li tylko te sprawy uboczne, które są z nią nierozdzielnie związane, i bez których uprzedniego załatwienia nie można dalej sądu prowadzić<sup>5</sup>.

Sędziowie polubowni muszą zachować (o ile możliwa) formy procesu cywilnego (choćby o tem nie było wzmianki w kompromisie)<sup>6</sup>, przestrzegając przytem warunków postawionych w układzie.

---

<sup>1</sup> Cf. Lega op. cit. str. 55—56 nota 1.

<sup>2</sup> D. I. 3 §. Tametsi IV, 8. Przyczyny zwalniające kogoś od przeprowadzenia przyjętego na się sądu rozjemczego zob. u Schmalzgruebera in h. t. n. 33.

<sup>3</sup> C. I. 3, III, 13.

<sup>4</sup> Id venit in compromissum, de quo actum est, ut veniret. D. I. 21 §. Plenum IV, 8, c. 6, x, XLIII, I cum glossa ad v. »nisi de his«.

<sup>5</sup> Zob. notę uprzednią i Schmalzgruebera in h. t. n. 18, gdzie wyliczone takie causae incidentes, ze sprawą główną konieczne związane. O takich tylko może wyrokować sędzia polubowny. Por. też Fagnani in c. 5 h. t. n. 16—18, gdzie mówi o układach, zajmujących się kilku naraz sprawami, i zastanawia się, o ile i kiedy wyrok rozjemców może być ważny w jednej z nich, a nieważny w drugiej.

<sup>6</sup> D. I. 1, IV, 8. Różnice niejaki muszą zachodzić z samej natury rzeczy,

Rozjemca trzymać się musi ściśle wyznaczonego sobie terminu wydania wyroku (jeżeli w kompromisie nie otrzymał władzy do przełożenia dnia),<sup>1</sup> inaczej bowiem orzeczenie jego jest nieważne<sup>2</sup>. Jeżeli dnia nie oznaczono, rozjemca w porozumieniu ze stronami winien to uczynić, w przeciwnym bowiem razie można go prawnie zmusić, by w dogodnym czasie sprawę przeprowadził<sup>3</sup>. Nie wolno atoli sprawować sądów rozjemczych w dni świąteczne (*tempus feriatum*), i to pod nieważnością rozjemstwa, z wyjątkiem, jeżeli zachodzi konieczna potrzeba, albo wymaga tego n. p. miłosierdzie chrześcijańskie<sup>4</sup>. W dniach jednakowóż, w których nie odprawia się sądów jedynie dla wygody ludności (*feriae legales*), n. p. w czasie żniw, aczkolwiek z zasady jest wolny, może rozjemca na prośbę stron spełnić przyjęty obowiązek: zmusić go nawet do tego może sędzia zwyczajny w razie słusznej przyczyny, n. p. ponieważ upływa już termin kompromisu, a spór nie dałby się zakończyć, gdyby do rozpatrzenia sprawy nie użyto także dni wolnych<sup>5</sup>.

Spór rozpatrywać należy w miejscu umówionem w układzie. Jeżeli jednakowóż nie określono tej okoliczności, przypuszcza się, że wyrok ma być wydany w miejscu zawartego kompromisu, byle ono było przyzwoite ze względu na obie strony<sup>6</sup>.

---

jak n. p. w sposobie wzywania stron i świadków, w niemożności egzekwowania wyroku, w wykluczeniu apelacji. W sądach tych niema t. z. rekonwencji (c. 6 h. t.), prokurator nie potrzebuje zaręczać przed arbitrem za przyjęcie wyroku, gdyż dozwolone jest uiszczenie kary w razie niepoddania się orzeczeniu rozjemcy (D. l. 32 §. Arbitri IV, 8). Niejakie zamięszanie panuje u autorów omawiających naszą kwestyę, gdyż nie rozróżniając dokładnie między arbitrem a arbitratorem, raz twierdzą, że w sądach polubownych należy zachowywać formy procesowe, raz znowu utrzymują, iż zależy to od uznania i woli przeciwników.

<sup>1</sup> D. l. 25, IV, 8.

<sup>2</sup> D. l. 33, h. t. C. l. 1, II, 56.

<sup>3</sup> D. l. 14, h. t.

<sup>4</sup> D. l. 13 §. Ult. h. t. C. l. 3. III, 12, c. 5 X, II, 9 cum glossa ad v. »necessitas-pietas«.

<sup>5</sup> Cit. c. 5, X, II, 9. Por. też Schmalzgrueber in h. t. n. 28. Mimo, że arbitrzy nie są sędziami, nie mogą naruszać feryj, gdyż w nich w ogóle zakazane sprawy sądowe, a nie tylko akty jurysdykcyjne.

<sup>6</sup> D. l. 21 §. Si arbiter iussit IV, 8. W wypadku nieokreślenia miejsca sądu, kiedy arbiter wezwał strony nie tam, gdzie zawarto układ, ale gdzieś w okolicę na pytanie »quid tamen, si eo loco, qui sit circa urbem adesse iusserit (arbiter)? Pegasus admittit valere iussum, quod puto ita verum esse, si et eius auctoritatis sit arbiter, ut in secessibus (cf. glossam) soleat agere et litigatores facile eo loco convenire possint«.

Kościół nie wolno wybierać za teren sądów rozjemczych<sup>1</sup>.

Jeżeli jest kilku rozjemców, przeważa zdanie większości, jeżeli nie zaznaczono w umowie, że wymagana jest ich jednomyślność<sup>2</sup>. W razie równej liczby głosów po obu stronach sędzia zwyczajny winien skłonić arbitrów, ażeby dobrali sobie jeszcze kogoś, względnie, iżby przyjęli tego, kogo wybiorą przeciwnicy, a ten spór rozstrzyga<sup>3</sup>. Na wypadek zupełnej rozbieżności głosów mogą strony dobrać jeszcze jednego rozjemcę, albo oddać sprawę sądowi zwyczajnemu, lub też powołać nowych arbitrów.

Jeżeli wprawdzie niema zgody między rozjemcami, ale zdanie jednego mieści się w zdaniu drugiego, jeżeli n. p. jeden skazuje stronę na 15 k., drugi na 10, trzeci na 5 — utrzymać należy wyrok na sumę najmniejszą, co do której wszyscy są zgodni, w naszym przykładzie na 5<sup>4</sup>, z tem jednakowoż zastrzeżeniem, że suma ta jest jeszcze w granicach słuszności i sprawiedliwości, i że głosujący za większą kwotą przypuszczalnie nie ma dostatecznego powodu do sprzeciwu tej ocenie<sup>5</sup>.

Prawo kościelne stanowi, że w razie wyboru kilku rozjemców, jeżeli większość ich stawiała się na sąd, reszta zaś, mimo wezwania bez uzasadnionej przyczyny nie przybyła, obecni mogą i bez nich ważnie sprawę zakończyć<sup>6</sup>. Oczywiście, postanowienie to nie ma zastosowania, jeżeli wybrano tylko dwóch arbitrów, bo w razie nieobecności jednego nie może być mowy o większości obecnych, ani też wtedy, kiedy nieobecni dostatecznie wytłómaczyli powód swego niestawienia się<sup>7</sup>.

Zadanie sędziego polubownego polega na rozpatrzeniu przedłożonego sobie sporu i wydaniu o nim wyroku. Kiedy więc już to spełnił i rozstrzygnął stanowczo, uczynił całkowicie zadość swemu obowiązкови. Nie może zatem wyroku swego zmieniać czy poprawiać, chociażby i zbłądził; nie może go odwoływać, ponieważ prze-

---

<sup>1</sup> c. 2, XXIII, III in VI.

<sup>2</sup> D. I. 17 §. fin. IV, 8. D. I. 27 §. Si plures h. t. c. 1, XXII, I in VI.

<sup>3</sup> D. I. 17 §. Principaliter IV, 8.

<sup>4</sup> D. I. 27 §. »si plures« cit. c. 1, XXII, I in VI.

<sup>5</sup> Por. Schmalzgrueber in h. t. n. 30.

<sup>6</sup> c. 2, XXII, I in VI. I. civ. D. I. 17 §. fin. IV, 8 i I. 18 ibid. przeciwnie żądają do ważności wyroku obecności wszystkich wybranych arbitrów. Wyjątek zachodzi, jeżeli w kompromisie zastrzeżono, że niekonieczna obecność wszystkich rozjemców przy rozpatrywaniu sprawy. D. I. 32 §. »cum in plures« IV, 8.

<sup>7</sup> De Angelis op. cit. str. 419.

stał być arbitrem<sup>1</sup>. Musi jednakowoż wyrok być stanowczy, i o całej sprawie spornej, orzeczenia bowiem w kwestyach ubocznych, aczkolwiek związanych nierozdzielnie ze sprawą główną (*sententia interlocutoria*), można zmieniać i poprawiać<sup>2</sup>. Wykonanie wyroku polubownego (*arbitrium laudum*) nie należy do arbitra, gdyż on nie ma jurysdykcji, ale do sędziego zwyczajnego strony obżalowanej<sup>3</sup>.

Z samej natury sądów rozjemczych wynika, że od ich wyroku nie może być apelacji. Tu bowiem strony dobrowolnie sprawę poddają do rozstrzygnięcia rozjemcom, a nie sądom zwyczajnym, przez co wyrażają pierwszym pełne swe zaufanie, same więc przypisać sobie muszą winę w razie doznania jakiejś szkody czy niesprawiedliwości. Prawo wyklucza również wyraźnie apelację od orzeczenia sędziów polubownych<sup>4</sup>, nie pozostawia jednakowoż spierających się przed arbitrami bez środków zaradczych przeciwko możliwej krzywdzie, chociaż na nią dobrowolnie się narazili, a robi to tem skwapliwiej, że żarliwie popiera prywatne załatwianie sporów, jako prędzsze i łatwiejsze.

Zasada jest, że strony poddać się winny wyrokowi sędziego polubownego, czy słusznemu, czy też nawet niezupełnie słusznemu<sup>5</sup>, jeżeli nie zachodzą przyczyny zwalniające je od tego<sup>6</sup>. Dlatego też zostawiono przeciwnikom dziesięć dni, w ciągu których mogą się zastanowić, czy obowiązuje ich wyrok polubowny, czy też nie<sup>7</sup>. Po upływie tego terminu, chociażby wyraźnie się za tem nie opowiedzieli, wyrok uchodzi za przyjęty<sup>8</sup>.

Jeżeli jedna strona, bez słusznej przyczyny, nie chce poddać się orzeczeniu arbitra, może to na nią ściągnąć skutki rozmaite, stosownie do formy układu na sąd rozjemczy. Kiedy w pakcie przyrzeczono jedynie trzymanie się zdania obranego sędziego, a nie zawarowano kary za niespełnienie tej obietnicy, strona łamiąca umowę

<sup>1</sup> D. l. 19 IV, 8 cum glossa ad v. »a tota« i l. 20 ibid.

<sup>2</sup> Cit. D. l. 19 h. t. confer Reiffenstuel in h. t. n. 100—102. — O innych sposobach ustania władzy rozjemców por. Lega op. cit. str. 61—62 n. 34.

<sup>3</sup> C. l. 5 II, 56.

<sup>4</sup> C. l. 1 II, 56. D. l. 32 §. »cum quidam« IV, 8 can. 33. C. II, q. 6 glossa ad v. »appellandum« in c. 11, XIV, I in VI.

<sup>5</sup> D. l. 27 §. »stari autem« IV, 8.

<sup>6</sup> Por. niżej.

<sup>7</sup> C. l. 5, II 56.

<sup>8</sup> *Laudum homologatum*; wyrok odrzucony = *laudum non homologatum*. C. l. 4 §. fin. II, 56.

powinna drugiej wynagrodzić szkody przez to dla niej wynikłe<sup>1</sup>. W kompromisie może być jednakowoż wyznaczona także kara na nieposłusznego sądowi rozjemców. W tym wypadku uchylający się od dopełnienia wyroku, po zapłaceniu kary, do niczego więcej nie obowiązany<sup>2</sup>, chyba że w umowie zastrzeżono, iż orzeczenie sędziego polubownego utrzymać się winno mimo złożenia kary, gdyż wtedy niezachowujący bez powodu wyroku, nie tylko ma ponieść karę, ale nadto pokryć szkodę, poniesioną przez stronę drugą<sup>3</sup>.

Dla dodania większej siły paktowi kompromisowemu można doń dołączyć nie tylko karę na nieposłusznych, ale nadto stwierdzić go przysięgą. Ponieważ atoli przysięgę rozumieć należy stosownie do natury aktu, dla którego wzmocnienia ją złożono, a widzieliśmy, iż kompromis obostrzony grzywną obowiązuje albo do poniesienia tejże, albo do poddania się wyrokowi rozjemców, śmiało możemy wnioskować, że wolny jest od dopełnienia arbitrium ten, kto karę wypłacił, chyba że przeciwnicy chcieli się inaczej zobowiązać, co przecież musi być zupełnie pewne i wyraźne<sup>4</sup>. Jeżeli wreszcie (bez nakładania kary na niezachowujących wyroku polubownego) zaprzysięgły strony, że zastosują się do orzeczenia rozjemcy, przysięga ta sama przez się wiąże ich i obowiązuje tak, iż można ich zmusić do poddania się wydanemu wyrokowi<sup>5</sup>.

Zaznaczyliśmy powyżej, że strona nieprzyjmująca orzeczenia rozjemcy winna wynagrodzić przeciwnikowi stratę, wynikłą z jej oporu, a w razie zastrzeżenia poddać się karze określonej, jeżeli do tego postąpienia nie skłoniła jej żadna słuszna i prawnie uznana przyczyna.

Przedewszystkiem zastrzec należy, że jeśli *laudum* wydane

---

<sup>1</sup> »Interesse« c. 9 x. XLIII, I i glossa ad v. »ratum haberi debet«, por. też Reiffenstuel in h. t. n. 82—85.

<sup>2</sup> Cit. c. 9 h. t. i cit. glossa.

<sup>3</sup> Zob. De Angelis str. 421, gdzie słusznie podnosi, że łamiący *laudum*, obostrzone karą i klauzulą: »rato manente pacto«, ma uiścić karę i »interesse« (inaczej Schmalzgrueber in h. t. n. 23 v. »excipitur« 2), gdyż klauzula powyższa nie może strony, żądającej dotrzymania wyroku, upoważnić do niczego więcej (prócz podjęcia umówionej kary), jak *laudum* nieobwarowane grzywną, o którym wyżej.

<sup>4</sup> Tak Schmalzgrueber in h. t. n. 24 i inni. Przeciwnie n. p. Reiffenstuel in h. t. n. 89 i 90 twierdzi, że przysięga dodana do kompromisu, zaostrego karą, ma znaczenie klauzuli »rato manente pacto«.

<sup>5</sup> c. 2 x. XLIII, I i glossa ad v. *sacramentum*.

w dobrej wierze wyrządziło jednej stronie krzywdę, nawet i ciężką, nie można go przecież zrywać<sup>1</sup>, ale wolno odwołać się — przed upływem dni dziesięciu — do właściwego sędziego, ażeby wyrównał wyrządzoną niesprawiedliwość. Za sędziego właściwego uważa się tego, który miałby prawo spór rozstrzygać, gdyby strony nie wybrały rozjemców<sup>2</sup>. Od wyroku poprawiającego arbitrium wolno już formalnie apelować do instancji wyższej<sup>3</sup>. Staranie się zaś to o poprawienie orzeczenia rozjemców nie jest właściwą apelacją, bo ta przypuszcza uprzedni wyrok sądowy.

Są przecież przyczyny, zwalniające od przyjęcia orzeczenia arbitrów. I tak, jeżeli rozjemcy nie zachowali formy kompromisu, przekraczając jego granice, wyrok ich jest z prawa samego nieważny<sup>4</sup>.

Niemniej nieważne jest orzeczenie sądu polubownego, jeżeli jest sprzeczne z prawem bożem, naturalnem czy kościelnem<sup>5</sup>. Od przyjęcia wyroku rozjemców uwalnia także podstęp strony przeciwnej, n. p. przekupienie kompromisarzy albo wymuszenie, jako też wyraźna ich stronniczość<sup>6</sup>. Kiedy wyrok arbitrów notorycznie jest niesłuszny, można go odrzucić, gdyż w takich razach na dobrej podstawie wolno przypuszczać, że działali oni w złej wierze i podstępnie. Z tejże przyczyny uwalnia od uznania laudum fakt, że przez nie jedna strona doznała krzywdy nadzwyczaj wielkiej (*laesio enormissima*)<sup>7</sup>.

W tych wszystkich wypadkach strona pokrzywdzona, kiedy przeciwna nastaje na dopełnienie wyroku, odwołać się winna do właściwego sędziego, żądając odeń czy to deklaracji, że orzeczenie rozjemców jest z istoty swej nieważne, czy też unieważnienia rozjemstwa z tytułu podstępu, przekupstwa i t. p. powodów.

Jeżeli obiedwie strony przyjęły już wyrok arbitrów, a nastę-

<sup>1</sup> D. I. 27 §. »stari« IV, 8 cum glossa ad v. »sive iniqua«.

<sup>2</sup> Confer Schmalzgrueber in h. t. n. 35—38. De Angelis str 424.

<sup>3</sup> Schmalzgrueber n. 39 in h. t.

<sup>4</sup> c. 6 x. XLIII, I.

<sup>5</sup> c. 2 x. h. t. zob. Fagnani in c. 2 h. t. n. 1—8. c. 11 x. h. t.

<sup>6</sup> D. I. 31, IV 8. D. I. 32 §. »Cum quidam« IV, 8. C. I. 3, II 56. W tych wypadkach strona pokrzywdzona może się zasłonić przed żądaniem przeciwnika o wypełnienie układu przez t. zw. »exceptio doli«, i to nawet po upływie dni dziesięciu, t. j. zawsze, ilekroć strona działająca podstępnie zażąda przeprowadzenia laudum; por. Reiffenstuel in h. t. n. 98.

<sup>7</sup> Zob. Schmalzgrueber in h. t. 34 (4 i 5).

pnie pokrzywdzona ucieka się do sędziego o pomoc i wykaże, że laudum z samej swej istoty nieważne (n. p. z powodu symonii)<sup>1</sup>, sędzia winien tylko stwierdzić autentycznie, że jest ono rzeczywiście żądne; nie może zaś unieważniać przyjętego arbitrium, chociaż skarżący udowodni, że zachodziła jaka przyczyna, dopuszczająca jego nieprzyjęcia i że doznał wskutek tego ciężkiej szkody. Rzecz inna, jeżeli krzywda, wskutek wyroku polubownego doznana, jest nadzwyczaj wielka (enormissima), wtedy bowiem należy go znieść i unieważnić<sup>2</sup>.

### §. 3. Pośrednicy (arbitratores).

Na zakończenie słów parę dorzucić musimy o t. zw. arbitratorach, czyli pośrednikach. Pośrednikiem nazywamy tutaj człowieka uczciwego i rozumnego, którego strony wybrały nie dla rozstrzygnięcia jakiegoś sporu na sposób sądowy, ale jedynie w tym celu, żeby bez zachowywania formy procesowej, po przyjacielsku rozwiązał jakąś wątpliwość, n. p. co do przeprowadzenia kontraktu, ocenienia wartości rzeczy jakiejś i t. d. Jeżeli nawet chodzi o załatwienie sporu, arbitrator wypowiada li tylko prywatnie, co uważa w danej sprawie za słuszne i sprawiedliwe. To jego orzeczenie nazywa się arbitramentum. Ponieważ przy wyborze pośrednika chodzi spierającym się o rozwikłanie jakiejś wątpliwości, stąd też, jeżeli jego orzeczenie krzywdzi ciężko jedną stronę (co ta gotowa jest udowodnić), a zatem wątpliwości nie rozwiązuje, można zawsze w takich razach odwołać się o sprostowanie i naprawienie niesłusznego zawyrokowania<sup>3</sup>.

Na pośredników można obierać także osoby, którym prawa bronią przyjmowania urzędu sędziów polubownych, skrępowanych formą postępowania procesowego. A więc arbitratorami mogą być też ludzie świeccy w rzeczach nawet ściśle duchownych (o ile się na nich znają)<sup>4</sup> i kobiety. Co więcej, można być arbitratorem we własnej

<sup>1</sup> »Nullum est arbitrium continens peccatum per partes non remissibile« (rubryka c. 2 x. h. t.).

<sup>2</sup> Por. Lega op. cit. str. 60—61 n. 33 i uwagi.

<sup>3</sup> D. I. 76 §. »arbitrorum« 17, 2. c. 16 x. XXIV, II glossa ad v. »mandato«.

<sup>4</sup> Tak słusznie z wielu innymi twierdzi Schmalzgrueber in h. t. n. 13 i 14.

Przeciwnie utrzymuje De Angelis op. cit. str. 414—415 n. 3.

sprawie, co zakazane sędziom właściwym i polubownym<sup>1</sup>. Pośrednik może wywiązać się ze swego zadania także w kościele<sup>2</sup>, i nie wiąza go dni, w których odbywanie sądów wzbronione, jakkolwiek nie wypadła, ażeby bez słusznej przyczyny pośredniczył w takich właśnie dniach<sup>3</sup>. Powód jasny, gdyż pośrednik nie wykonywuje żadnego aktu sądowego, takie zaś tylko czynności zakazane w święta i w kościołach.

Tak w najogólniejszych zarysach przedstawia się instytut sądów polubownych, jak go określa prawo kościelne. Nie można zaprzeczyć, że ma on wielkie znaczenie, i powinien znaleźć szerokie zastosowanie w kuryach biskupich, tam zwłaszcza, gdzie z jakiegobądź powodu nie da się prowadzić sądów formalnych, a przeprowadzany rozumnie i ściśle, odda napewno nieocenione usługi dyciezyom.

---

<sup>1</sup> C. l. 3, 5, 11; zob. Reiffenstuel in h. t. n. 11 i Schmalzgrueber in h. t. n. 4 (5).

<sup>2</sup> Schmalzgrueber in h. t. n. 27 (2).

<sup>3</sup> Ibid. n. 28.



# BOLESŁAW SZCZODRY

Próba portretu

napisał

STANISŁAW ZAKRZEWSKI.



Próbą tylko może pozostać wizerunek królewskiej postaci z odległych wieków; pozostało po niej źródłowe wspomnienie zaledwie kilku rysów i kilkudziesięciu wydarzeń. A i ten szczupły zasób wiadomości przeważnie nie został spisany przez współczesnych świadków. Trochę suchych i krótkich wzmianek w niemieckich rocznikach, wśród których na pierwszy plan wybija się notatka Lamberta Hersfeldzkiego, pośrednia wzmianka w *Fundatio* klasztoru brunwilerskiego; przede wszystkim zaś list Grzegorza VII do Bolesława.

Główny i jedyny prawie zrąb tradycyi został spisany z górą trzydzieści lat po wypadkach — przez pierwszego kronikarza Marcina Galla; nieco faktów przydaje współczesny mu najdawniejszy ruski latopis. Pobieżny rzut oka na opowiadanie Galla poucza, że mamy do czynienia nie z systematyczną, choćby bardzo skróconą opowieścią o przebiegu wydarzeń za panowania Bolesława, lecz właśnie z charakterystyką króla. Kronika Galla jest więc dla naszego tematu źródłem klasycznym, niewyzyskanem dotąd w tem pojęciu systematycznie przez polską naukę.

Kronika Mistrza Wincentego, czyli poprostu biskupa Kadłubka — to świadectwo znacznie późniejsze, najprawdopodobniej z początku XIII w. Pogląd na króla został ujęty w obraz już pod silnym wpływem kultu, jaki się utworzył z biegiem czasu dookoła osoby niekanonizowanego jeszcze biskupa Stanisława. Fakty, zestawione przez Galla, zostały przez niego w całości przejęte, nawet pochlebne sądy o królu: cechuje Kadłubka tendencya do przesady; w zakresie faktów, wziętych z Galla, nie dadzą się zauważyć u Kadłubka szczególne bezwzględnie zmyślane. Trzeba nawet przyznać, że Kadłubek przekazał parę nowych i ciekawych faktów i przydał kilka rysów, częściowo już przyjętych przez naukę, a częściowo oczekujących opracowania.

Nie można także pogardzać Żywotami św. Stanisława, ale przede wszystkim należy raz jeszcze zastanowić się nad Długoszem, przynoszącym podania, których poprzednie nie zapisywały wieki, a i poza Długoszem znajdzie się coś niecoś z XV a nawet XVI w., co zresztą w niniejszym szkicu przeważnie zostaje pominięte. Widzimy więc, że kształtowanie się piśmiennej tradycji o Bolesławie trwało od XI aż do XVI w., a więc blisko przez sześć stuleci. Ileż to wiadomości mogło zaginać, ile uległo przemianie, a nawet wypaczeniu.

Czasy Bolesława pociągały i nie przestają pociągać badaczy. Główną tego przyczyną jest dramat pomiędzy królem a biskupem, ale niemniej ważną także brak źródeł, pozwalające na snucie w nieskończoność coraz to nowych kombinacji, których głównem poparciem fantazya.

Trudno także ustrzec się przed wrażeniem przy rozpatrywaniu mnogości pomysłów i poświęconego na to czasu i wysiłku, że czasy Bolesława są przecenione, właśnie przede wszystkim dla tej półtajemnicy, która je osłania. Odkrycie nowych źródeł odsłoniłoby zapewne powszednie karty wieków średnich, ciekawe niewątpliwie, jako wpływ i przyczyna pewnego łańcucha wydarzeń, ale niemniej przeto, nie mogące oderwać się zupełnie od tego, co przedtem i potem działo się w Polsce, a także zagranicą.

Nie łudzimy się jednak, by zainteresowanie czasami Bolesława przemineło. Ze stanowiska metodycznego jest ono dość pożądane: Na przykładzie literatury Bolesławowskiej można doskonale obserwować przemiany naszej metody i krytyki historycznej i, co najbardziej pożądane, postęp duży środków badania.

Ale nie tylko ten interes ściśle badawczy rzuca się w oczy. Problematy czasów Bolesławowskich są zasadniczym składnikiem nie tylko dalekiej przeszłości, ale i kultury polskiej w ogólności. Jako takie zaciekawiają i pobudzają do twórczości nie tylko historyków, ale i poetów, i pobudzać będą.

W ostatnich latach nauka może poszczycić się pięknymi zdobyczami w oświeclaniu mroków czasów Bolesławowskich. Na czele stoi dzieło prof. Wojciechowskiego, t. j. »Szkice historyczne« z XI w., których lwiał część wypełnia badanie tradycji Bolesława<sup>1</sup>. Bardzo

---

<sup>1</sup> W »Szkicach« prof. Wojciechowskiego jest podana ogólna charakterystyka, ustalająca harmonijnie światła i cienie, a oparta na Gallu (str. 284-285). Wnioski nasze, oparte na Gallu, są po części rozwinięciem tej charakterystyki.

poważną i informacyjną jest praca dyrektora Krotoskiego, stanowiąca próbę ciągłego przedstawienia wydarzeń. Z badań tych wynika niezbicie, że czasy Bolesława to nie tylko sprawa z biskupem, ale szereg bardzo ważnych wydarzeń. Z powodu tych dwóch dzieł na szpaltach »Przeglądu powszechnego« rozwinęła się ciekawa polemika, ogniskująca się w kwestyi pojmowania św. Stanisława z nader cennymi heurystycznymi przyczynkami. Różnice poglądów w lwiej mierze sprowadzają się do odmiennego pojmowania stosunku, jaki zachodzi pomiędzy kronikarzem Gallem, a jego następcą, Kadłubkiem.

Naszem zdaniem mowa być może o różnicy pomiędzy subiektywnym stanowiskiem Kadłubka, a takimże Galla, co najwyżej. W grubszym i zasadniczym zarysie nawet i takiej różnicy nie widać. Co zaś do strony obiektywnej można wyrazić twierdzenie, że strona faktyczna Galla została cała przejęta przez Kadłubka z paru pomniejszych zmianami i szeregiem uzupełnień.

Na oświetlenie tych kwestyj nie może nie wywrzeć wpływu próba wizerunku króla, tem bardziej, że stosunkowo obfity zapas informacji każe z góry trzymać się litery źródeł, i nie dając zbyt dotkliwych luk, nie pozwala wypełniać ich wyłącznie hipotezą.

---

Zanim przejdziemy do postaci Bolesława, poznajmy z grubsza warunki, wśród których żyje rodzina pierwszych Piastów. Luki materiału są olbrzymie, w każdym jednak wypadku próba skupienia tych cech w jednym obrazie może służyć do zrozumienia oddzielnych rysów. Zdajemy zaś sobie w pełni sprawę, że zebranie cech rodzinnych na przestrzeni stu lat samo dla siebie nie wiele znaczy i nie ma absolutnej wagi. Otóż, pierwsze wrażenie, wynikające z rozglądu w Piastach, jest, że zużywają się szybko.

Ogrom zadań, streszczający się w męczącej walce o byt, o utrzymanie się przy władzy i stanowisku, wyczerpuje szybko siły potomków Chrobrego. Trzej, względnie czterej, kolejno po nim panujący, odchodzą w przeszłość w sile wieku, lub młodzieńcami. Mieszek II zaledwie przekracza czterdziestkę<sup>1</sup>, to samo i syn<sup>2</sup> i wnuk,

---

<sup>1</sup> Według »Genealogii Piastów« liczyłby, umierając, lat 44. Data urodzin prawdopodobnie r. 990.

<sup>2</sup> Data urodzin Kazimierza jest zupełnie pewną; ur. się w r. 1016, umarł w 1058 (Szczegóły w »Genealogii«).

t. j. Szczodry, żył lat najwyżej czterdzieści<sup>1</sup>. »Zapomniany« Bolesław<sup>2</sup> żył lat dwadzieścia kilka. Herman wprawdzie żyje dłużej, dociąga sześćdziesiątki, ale przez szereg lat był niedołężny. Piastowie XII w. żyją dłużej, ale z wyjątkiem Mieszka Starego i potomków Władysława II nie przekraczają lat sześćdziesięciu. Tu i ówdzie zdarzają się wyjątki, nie mogą one jednak zmienić ogólnego obrazu. Podobne rzecz się ma z większością potomków Karola Wielkiego, a zwłaszcza Ottona I. Warunki życia były twarde, w znaczeniu nawet czysto technicznym, coś dopiero nerwowem! Lada rycerz mógł sobie pozwolić na dłuższy wypoczynek, książę nie mógł. Z za węgła prawie czyhał wróg, rywal; lada chwila groziło wygnanie, osłepienie lub śmierć.

Ale nawet we względnie spokojnych warunkach, gdy książę trzymał się na stanowisku, wyczerpywał się szybko: zawiązki państwa jeszcze bardzo słabe, elementy ich spojone bardzo mechanicznie, i zakres środków władzy bardzo prosty i pierwotny, więcej fizyczny niż moralny; obracamy się w czasach rzekomo ślepego posłuszeństwa wobec władzy książęcej, tego posłuszeństwa, tyle chwalonego przez historyków, patrzących na X—XI w. wyłącznie przez pryzmat późniejszych czasów, a nie zdających sobie sprawy z tego, że krok tylko jeden był od ślepego posłuszeństwa — do buntu. Mamy do czynienia z posłuszeństwem poddanych prawie zwierzęcem, z ludźmi, którzy się prawie nie ośmielają szeptać w obecności książąt, ale równocześnie gotowi są rzucić się na nich każdej chwili, zamordować jawnie czy podstępnie. W takich warunkach posłuszeństwo osiągnąć można było tylko niesłychanem napięciem woli, ciąglem natężaniem siły rozkazu. Nic więc dziwnego, że psyche tych rozkazodawców nie dała się utrzymać w spokojnej i wyrozumiałej na przekroczenia równowadze. To ciągle napięcie nerwów, w razie najmniejszych uchybień, nieposłuszeństwa, lub nawet błahych podejrzeń, przechodziło w gniew. Tomy całe można spisać

<sup>1</sup> Data urodzin Bolesława da się jedynie wykombinować. Prof. Balzer przyjmuje przekaz Rocznika Małopolskiego i Krasińskich i ustala ją na r. 1039, datę zaś zgonu na r. 1081. Powyższe oznaczenie dnia urodzin Bolesława Szczodrego wzbudza pewne wątpliwości, głównie ze względu na daty, zawarte w Początkowym ruskim latopisie, choć te nie są zupełnie pewne. Prawdopodobniejszem wydaje się nam, że data urodzin jest późniejszą i przypada na rok 1041 lub 1042. Prof. Wojciechowski ustala ją na r. 1044 (Szkice histor. str. 158. nota 1).

<sup>2</sup> Balzer, Genealogia Piastów.

o przejawach gniewu, gniewu władców, przechodzącego miarę dzisiejszych wyobrażeń.

Stan duchowy królów i książąt był zatem nieustanną gorączką czynu i życia, niszczącą organizm i duszę tych ludzi. Nie można bowiem dostać się za darmo na wyżyny drabiny społecznej, niedostępne dla świata rycerzy i poddanych. Budowniczości państwa polskiego okupywali wiekopomne dzieło podatkiem własnej krwi i własnego jestestwa. Inaczej zresztą nic wielkiego nie daje się przeprowadzić w dziejach.

Stąd już wynika, że miara tych ludzi nie może być, i rzeczywiście nie była ani codzienna, ani powszednia. Stanowili oni typ społeczny odrębny, w przeciwstawieniu do reszty społeczeństwa; natomiast w jednostkach tego typu pewne cechy dość często się pojawiają. Władca zatem w okresie formacji państwa polskiego ma odrębną fizyonomię psychiczną. Ujemne nawet cechy, w znaczeniu czy osobistem, czy potocznem, mogą być ze stanowiska budowanej potęgi pożyteczne, a nawet konieczne. Często bardzo okrutnicy, ludzie siejący postrach — mieli długie lata panowania i spokojnie umierali. Z drugiej strony, władca w działaniu publicznem mógł być bezwzględny i surowy, jako człowiek w życiu domowem mógł być nawet łagodny. Pod tym ostatnim względem nie znamy prawie zupełnie naszych pierwotnych Piastów.

Jednego zatem zawsze musimy wystrzegać się błędu. Jeśli przypadkowo, dzięki dochowanym źródłom, poznajemy kogoś dokładniej, nie wolno nam bez krytyki kłaść wszystkich poznanych rysów na karb danej indywidualności. Bolesław Szczodry, jako człowiek, jest znany ze źródeł, których nie mają w tej obfitości dawniejsi polscy monarchowie, pomimo to nie jest on tylko indywiduum, ale jest i typem długiego szeregu ludzi, dla których może najodpowiedniejszą nazwą byłyby króle-duchy, według słów poety

Najwyżej stoją książęta, o których typie jesteśmy najmniej poinformowani: Mieszek I i Chrobry. Cechę rysów tego ostatniego zwłaszcza stanowi pełnia sił życiowych i talentu prawie w każdym kierunku, oparte na silnej, bezwzględnej woli i równowadze ducha. Namietności umieją, a zwłaszcza znowu Chrobry, trzymać na wodzy, nienawiść głęboko ukryć. Dytmar merseburski znakomicie ujął ten zasadniczy rys talentu Chrobrego, gdy napisał, że dla Niemców przyjaźń z władcami polskimi więcej przynosi złego, niż otwarta walka. Był to więc prawdziwy talent polityczny. Skąpe wiadomości

o Kazimierzu każą przypuszczać, że i jemu nie zbywało na wytrwałości, choć warunki działania były cięższe, ale rezultat pracy ogromny. Łatwiej bowiem w pomyślnych okolicznościach coś z wielkim rozmachem postawić, niż w trudnych warunkach to samo wyrwać z toni i ocalić na przyszłość. Do ich rzędu można zaliczyć Krzywoustego. Wielkie były charaktery i talenty niektórych księży polskich z tego okresu. Na pochwały kronikarzy zasługują Dąbrówka<sup>1</sup>, Emnilda. Pracom restauracyjnym Kazimierza niewątpliwie wiele pomogła matka, Rycheza, o której mówimy jeszcze niżej.

Moglibyśmy powiedzieć, że Piastowie w porównaniu z wieloma innymi dynastycznymi rodzinami — byli na ogół dzielni i pełni energii. Mieszek I i Bolesław Chrobry, Mieszek II i Bolesław Śmiały, byli fizycznie zupełnie zdrowymi. Mieszek I w późniejszym wieku żeni się po raz drugi, i z tego małżeństwa, nie mówiąc o córkach, zostawia trzech synów. Energia fizyczna Chrobrego mogła przejść w przysłówie. Obydwaj książęta obdarzeni byli wielką przenikliwością, sprytem i przebiegłością.

O Chrobrym wiemy nadto, że był niezmiernie wylanym dla rycerstwa i prawdziwie szczodrym, będąc, nie tylko zresztą pod tym względem, bardzo podobnym do Włodzimierza Wielkiego. Chrobry, to jedyny wśród całego szeregu pierwotnych Piastów, znany jako człowiek zmysłowy. Dytmar nie pozostawia na tym punkcie żadnej wątpliwości. O innych tego nie wiemy; możemy tylko mieć pewne wątpliwości co do Mieszka II, ale odnośne fakty można także inaczej wytłómaczyć.

Z natury rzeczy wszyscy książęta byli usposobienia wojowniczego, ale są różnice; jedni byli z urodzenia rycerzami, stworzonymi do wojaczki, takimi byli i Mieszek i Chrobry, ale już nie Mieszek II: ten był wprawdzie dzielnym rycerzem, nie był jednak naturą agresywną — i jego wojowanie jest przeważnie wywołane zewnętrzną koniecznością<sup>2</sup>; podobnym do ojca był prawdopodobnie Kazimierz Odnowiciel, a rys ten odradza się we Władysławie Hermanie i później we Władysławie II. Łączy się bezpośrednio z rysem dzielności rycerskiej kwestya zdolności do ruchów, ćwiczeń i pracy fizycznej

---

<sup>1</sup> Świadeztwo Dytmara o Odzie, drugiej żonie Mieszka, jest pochlebne, ale odnosi się tylko do zasług koło rozszerzania chrześcijaństwa.

<sup>2</sup> Idę za charakterystyką Wincentego, która dość przystaje do przebiegu wydarzeń za panowania Mieszka.



w ogóle. Gdybyśmy chcieli korzystać z wnioskovania wstecznego i użyć stosunkowo bogatego materiału o Bolesławie Krzywoustym, mógłby wypaść obraz dość żywy. Nie uczynimy tego, gdyż łatwo bardzo o błędy. Należy się przeto zadowolnić stwierdzeniem faktu, że mamy dwa typy książąt, jeden z góry przeznaczonych do panowania, a więc rozwijanych przedewszystkiem fizycznie; drugi bardziej książkowy, książąt, niemających widoków na tron i przeznaczonych do stanu duchownego: takim był Kazimierz Odnowiciel, Zbigniew, typ zupełnie nierycerski. Mieszek II przedstawia typ pośredni.

Z drugiej jednak strony należy zauważyć, że książęta, nieprzeznaczeni do panowania, pod wielu względami przewyższają swych szczęśliwszych krewnych. Nie będąc zbyt troskliwie chowani, nie będąc zanadto odcięci od świata — stanowią często typy dzielniejsze i zdrowsze zarówno fizycznie, jak psychicznie.

O dwóch jeszcze szczegółach, uwierzytelnionych przez źródła, należy wspomnieć. Z hojnością Chrobrego łączy się wystawność dworu; jest ona wprawdzie w tradycyi ubraną w ramy czysto legendarne, ale jest. Jest to duży zbytek, pierwotny, barbarzyński. Zaznaczyć przytem trzeba, że w gwarnej i hucznej życiu Chrobrego kobieta odgrywała dużą rolę, czysto towarzyską; do uczt zasiadano wspólnie <sup>1</sup>.

Obok wojaczki, polowania, uczta wypełnia znaczną część życia tych ludzi. Rozumie się, że trunek odgrywał podczas uczt główną rolę, a więcej niż prawdopodobne, że go sobie nie żałowano. Wiele wypadków i szczegółów średniowiecznej dworskiej polityki staje się jasnymi, gdy unaocznimy sobie, że dzieją się one podczas rozgwaru uczt, wśród ludzi, choć siedzących na ławie, lecz zmorzonych trunkiem, a po uczcie śpiących zapamiętale, jak kamień. Ileż to nieobliczonych i niezrozumiałych na pierwszy rzut oka wydarzeń, nieskoordynowanych czynów, zwłaszcza w zakresie stosunków osobistych, z tej przyczyny mogło wypłynąć i wypływało <sup>2</sup>.

---

<sup>1</sup> Galli Chronicon in us. schol. Liber I, capita 12 i 13.

<sup>2</sup> Mieszek, syn Szczodrego, został otruty podczas uczt. Galli Chr. caput 29, p. 38: »quosdam vero, qui cum eo biberunt, vix mortis periculum evasisse. W podobnych okolicznościach zmarł Kazimierz Sprawiedliwy (Mon. Pol. Hist. II, p. 424, podczas uczt: ...permodico hausto poculo, humi prolabitur et exspirat; morbo, incertum est, extinctus an veneno.

Te polityczne cechy krzyżują się jednak z całym szeregiem innych osobistych rysów, które, zależnie od okoliczności, czasem mogły być dodatnimi, przeważnie jednak były ujemne.

Zapalczywość, gwałtowność usposobienia cechują znakomitą większość pierwszych Piastów. N. p. siostra Mieszka I, Adelajda, »Piękna księżna«, wydana za Gejzę I, słynęła z temperamentu nacechowanego dzikością. Lubi zaglądać do czaszy ponad miarę, a w porywie gniewu, z konia porwie się, by uśmiercić rycerza<sup>1</sup>. Zmienne losy jej siostrzenicy, dumnej Sygrydy, żony kolejno trzech mężów, trzech królów, tworzą doskonałe pendant do życia jej rycerskiej ciotki. Obydwie wykraczały daleko poza miarę nawet ówczesnych stosunków.

Nawet książęta wielkiego umysłu i talentu, osiągnący ze względną łatwością polityczne cele, bywali, a nawet musieli być okrutni, zarówno dla swoich, jak obcych,

Okrucieństwa znaczyły tryumfalną drogę życia Chrobrego, gdy ślepił bez litości najbliższych krewnych<sup>2</sup>, z pogwałceniem praw gościaności, a nawet prawa nietykalności, pod którego gwarancją odbywały się zjazdy książęce. Bezlitośnie ten sam Chrobry obchodzi się z córką Włodzimierza Wielkiego, prawdopodobnie z zemsty za los córki własnej, więzionej przez Jarosława Mądrygo<sup>3</sup>. Czujnym niezwykle musiał być sam Chrobry, by ująć tysiąca zasadzek, które nań zastawiali wrogowie, nawet sam Henryk II<sup>4</sup>, i nic dziwnego, że

O Władysławie II cf. Latopis hypacki, wyd. petersburskie z r. 1871, pod r. 1143.

<sup>1</sup> Thietmari Chronicon, in usum schol. Ed. II. Te gwałtowne rysy były w niewątpliwej zgodzie z pochwałą, jaką ją darzy kronika węgiersko-polska (Mon. Pol. Hist. I p. 498—499).

<sup>2</sup> Jednym z pierwszych czynów Chrobrego było według Dytmara oślepienie Przybywoja i Odylena, których kronikarz nazywa »familiares« Bolesława. Prof. Balzer nie jest skłonny uważać ich za Piastów, z czem jednak trudno się zgodzić. Sam Czcigodny Autor przytacza przykład, że Dytmar w innym, jednym wprawdzie określonym wypadku używa tego wyrazu w znaczeniu krewny.

Imię zaś Odylen, niewątpliwie chrześcijańskie, małą daje szansę przypuszczenia, by można je uważać za osobę nieksiążęcą.

Drugi przykład oślepienia stanowi wypadek z Bolesławem III czeskim.

<sup>3</sup> Faktem jest bowiem, że Bolesław żądał przedtem od Jarosława wydania mu własnej córki, zamężnej za Świętopełkiem, ale bezskutecznie.

<sup>4</sup> Mówimy o zjeździe w Merseburgu w r. 1002. Prawda, że Dytmar stara się usprawiedliwić Henryka II z takiego zarzutu.

ta czujność oparła się na przebiegłości i chytrłości, zdumiewającej nawet saskich prałatów, mających także nienajgorszą szkołę.

Okrutnym był Krzywousty, gdy oślepić kazał przyrodniego brata. Ten sam Krzywousty nie waha się buntować przeciw rodzonemu ojcu i nagradza zdradzieckie postępowanie Piotra Własta, niewahającego się nadużyć prawa gościnności obcego księcia, czyn. którego mu kościół nie wybaczył<sup>1</sup>.

Z umysłu nie przytaczamy szczegółów postępowania wobec poddanych, rysy obyczajowe najlepiej bowiem śledzić na wzajemnych stosunkach członków rodziny książęcej, która przecie znajdowała się pod najsilniejszym, łagodzącym promieniowaniem nauki kościelnej.

Tamte rysy tyczyły się książąt wyjątkowo silnych, jako jednostki, książąt, którym z reguły prawie towarzyszy powodzenie. Cóż mówić o tych książętach, których stanowisko stawało się trudnem i śliskiem: tylko morzem krwi i pożóg, wzbudzaniem bezgranicznego strachu mogli się utrzymać przy władzy — stąd już krok do tyranii. A gdy i to zawodziło, sytuacja stawała się trudną — wtedy wyglądała rozpacz i zwątpienie, prowadzące razem do szaleństwa. Przedstawicielem tych książąt jest przyrodni dziad Bolesława, Bezprym, koronę ojca odsyłający Niemcom<sup>2</sup>. Tyranem okrutnym był stryj naszego Bolesława, ów zapomniany przez źródła Bolesław, uratowany dla historii przez kronikę Wielkopolską<sup>3</sup>.

Ale popatrzmy się na chwilę na rodzzonego dziadka Bolesława, na Mieszka II. Miara obyczaju nie dorasta do Chrobrego, a gwałtowne przejścia z żoną ciężko zawisły nad jego całą karierą. Ten ukochany syn Chrobrego, chwalony za wiedzę i pobożność przez dalekie niemieckie księżniczki — w źródłach niemieckich wyrasta na straszliwego boga wojny<sup>4</sup>. I on umie pozbywać się niedogodnych

<sup>1</sup> Bartoszewicz w swej Historii daje najpełniejszą w naszej literaturze próbę portretu Krzywoustego; zdaniem naszym za surową.

<sup>2</sup> Mon. Pol. Hist. II. sub a 1032: Hoc anno Bezprym ob immanissimam tyrannidis suae sevitiā a suis, et etiam non sine fratrum suorum machinatione, interfectus est.

<sup>3</sup> Mon. Pol. Hist. II. p. 484. Boleslaus autem propter saevitiā et immanitatem scelerum.... vitam male terminavit. Kętrzyński Stanisław w rozprawie o Kazimierzu Odnowicielu odrzuca fakt egzystencji tego Bolesława, twierdząc, że powyższa charakterystyka jest wziętą ze słów Annales Hildesheimenses o Bezprymie. W zdaniu naszym idziemy za wywodami prof. Balzera w Genealogii.

<sup>4</sup> Według Annales Hildesheimenses.

braci<sup>1</sup>. A gdy niepowodzenia doprowadzają go do rozpacz, dzielny, mądry zresztą księżę przedwcześnie kończy.

W tej gorącej zatem krwi, którą Bolesław odziedziczył po przodkach po mieczu, tkwił niejeden rys, który musiał przechodzić na potomków; mógł, rozumie się, występować słabiej, ale mógł także być zabarwiony silniej. W warunkach normalnych był często miarkowany innymi wpływami, n. p. porywczosć Chrobrego i jego skłonność do natychmiastowego karania winnych pod wpływem pierwszego wrażenia była łagodzoną przez dobroć i słodycz jego żony Emnildy; w warunkach jednak podatnych podkreślony rys rozwijał się, potęgował i mógł ulegać zwyrodnieniu.

Na urabianie się typu fizycznego i psychicznego Piastów w ciągu pierwszych ośmdziesięciu lat naszej historii wpłynęły niewątpliwie dwa fakty odrębnej kategorii. Znani przodkowie Bolesława żenili się mianowicie dwa razy z osobami od siebie starszemi. Fakt ten dotyczy przede wszystkim Mieszka I. Żona jego, czeska Dąbrówka, według zupełnie w tym wypadku wiarygodnej tradycji Kosmasy, w chwili zamążpójścia była już w wieku podeszłym. Historycy nasi nie są skłonni przyjmować tego przekazu czeskiego kronikarza; gdy jednak przekaz ten jest poparty pośrednio przez inne wiadomości o rodzeństwie Bolesława Chrobrego, przyjąć go trzeba<sup>2</sup>.

Małżeństwo Mieszka z Rychezą pod tym względem było zupełnie normalne<sup>3</sup>, nie można jednak tego samego powiedzieć o ro-

<sup>1</sup> Vide powyższy cytat o Bezprymie.

<sup>2</sup> *Fontes Rerum Bohemicarum*, II. p. 40: Obiit Dubrauca, quae quia nimis improba fuit, iam mulier propectae aetatis, cum nupsisset Poloniensi duci, peplum capitis sui deposuit, et puellarum coronam sibi imposuit: quod erat magna dementia mulieris.

Z opowiadania Kosmasy wynika, że Dąbrówka już przedtem była zamężną, że za Mieszka wyszła w wieku późnym. Prawda, że charakterystyka Dytmara jest korzystną dla Dąbrówki, daje się jednak zupełnie pogodzić z rysami, przekazanymi przez Kosmasa. Dytmar bowiem nazywa ją rzeczywiście dobrą i podnosi starania i przykrości, jakie musiała znosić, by męża skłonić do przyjęcia chrześcijaństwa.

<sup>3</sup> Według »Genealogii Piastów« Rycheza prawdopodobnie była najstarszą córką swych rodziców. Przypuszczalna data urodzin Rychęzy, podana w Genealogii za historykiem niemieckim z XVII w., r. 989, jest stanowczo za wczesną. Druga córka Ottona II i Teofano, Zofia, urodziła się prawdopodobnie w r. 978, a Matylda, żona Ezzona, matka Rychęzy, była przypuszczalnie od Zofii młodszą. W każdym razie data urodzin Rychęzy musi być o dobrych kilka lat posuniętą naprzód. Cf. Uhlirz: *Jahrbücher d. deutschen Reiches unter Otto II u. Otto III*,

dzicach Bolesława Szczodrego. Wprawdzie nie znamy ich bliżej pod względem fizycznym. O Dobrogniewie można tylko z dużym prawdopodobieństwem przypuszczać, że była zupełnie zdrową: miała dość liczne potomstwo i żyła długo, umarła bowiem dopiero w r. 1087. Od Kazimierza była przecież starszą. Małżeństwo było zawarte z rachuby politycznej, w ciężkiej chwili, w jakiej znajdowała się ówczesna Polska. Tem tylko można wytłómaczyć, że Kazimierz, urodzony w r. 1016, zdecydował się na ożenek z córką Włodzimierza Wielkiego, zmarłego jeszcze w r. 1015. Nie wiemy jednak dokładnie, jak znaczną była ta różnica. Dytmar, mówiąc o uprowadzeniu do Polski dziewięciu córek Włodzimierza w r. 1018, milczy o ich wieku. Ponieważ matka Dobrogniewy, Anna, urodziła się w r. 963, umarła już w r. 1011, przeto Dobrogniewa prawdopodobnie była starszą od Kazimierza conajmniej kilka lat, koło dziesięciu mniej więcej. Takie małżeństwa, czysto polityczne, były zawierane i później. Judyta, siostra Henryka IV, wychodząc za mąż za Władysława Hermana, znajdowała się w pełni lat czterdziestu<sup>1</sup>.

---

Zastanówmy się nad dziadkami Szczodrego. Jest między Mieszkem II a wnukiem niejedna analogia. Dzielność rycerska wyraźnie zaświadczona zarówno przez współczesne źródła niemieckie, jak przez Galla, a nadto honorowe i rycerskie usposobienie, połączone ze zdolnością do przyjaźni. Duże zasługi około podniesienia kościoła, na tle dość wysokiej kultury umysłowej, obcej czy Mieszkowi I, czy Chrobremu. Skronie tego monarchy wieńczy korona królewska, a u jego boku wnuczka Ottona II. Wszystko to razem zapewnia Mieszkowi wysokie stanowisko w hierarchii Piastów. Od tego krok tylko do katastrofy, wywołanej nie tyle przez groźne niebezpieczeństwa ze strony Niemiec, ile przez kryzys nieznany, jaki przeszedł sam Mieszek: nieumiejętność opanowania stosunków rodzinnych, zatargi z żoną, okropny wypadek, jakiemu z zemsty uległ w Czechach. Przepaść, dzieląca pierwsze lata od późniejszych doświadczeń, wstrząsnęła całym organizmem Mieszka.

---

I, str. 111—112, uwaga 21, a także Hirsch: Heinrich II, I Band Exkurs IV. Pfalzgraf Ezzo, str. 446, n. 2.

<sup>1</sup> Ibidem: data urodzin r. 1047, zaślubin 1088. Z małżeństwa tego były trzy córki według kroniki Galla.

Jak matka Mieszka Emnilda, była dobrym duchem Chrobrego, tak Rycheza na życie męża wywarła wpływ może jeszcze silniejszy, ale fatalny. Wpływ ten wart jest osobnej wzmianki, tem bardziej, że chodzi o osoby i wydarzenia przeważnie obce, mało znane w polskiej historiografii.

Z miłości małżeństwo to nie było zawarte. Przyjście jego do skutku było następstwem pokoju w Merseburgu w r. 1013, a Henryk II sam był dziewczosłem. Wzmianki źródłowe są nieco mętne, ale wolno przypuszczać, że ze strony Henryka był pewien nacisk<sup>1</sup>. Nie dla tego nacisk ten był potrzebny, by małżeństwo córki z Mieszkim rodzice uważali za mezalians; przecież dumny Dytmars nie wahał się podnieść, mimo nienawiści do Chrobrego, że jego czwarta żona, Oda, nie warta była tak wielkiej karyery<sup>2</sup>. Rodzice wydawali Rychezę niechętnie, o Słowianach kursowały nad Renem wiadomości takie, jak o Węgrach, lub później o Tatarach, — a i wzgląd na odległość miał pewne znaczenie.

O samej Rychezie polskie podania są sprzeczne — tak, że trudno o jej jednolity portret. Chwali ją nasz najstarszy kronikarz<sup>3</sup>, ale już Wincenty wyczytał w jakimś nieznanem źródle wersję, według której miała być gwałtownego usposobienia<sup>4</sup>. Atmosfera panująca na dworze męża, fakt, że Mieszek przed małżeństwem z nią miał już inny stosunek, czy żonę, którą mu dla Rychęzy kazano opuścić, a której Mieszko zachował wierną pamięć, rozwinęły w Rychezie surowe usposobienie i bezwzględność w stosunku do męża, bezwzględność, która doszła do nienawiści.

Obok tych cech należy postawić duszę. Była ona zarozumiała ze względu na wysokie pochodzenie, jak na stanowisko. Do tytułu królowej przywiązywała wagę, do końca życia stale go używając.

<sup>1</sup> Pertz SS. XIV, p. 132, c. 12 Fundatio monasterii Brunwilarensis: »Nam eodem tempore Poliniorum rex nomine Misecho, etc.... per prefati regnatoris interventum, filiae eius... Richezae petit consortium.

<sup>2</sup> Thietmari Chr. in us. schol. ed. II, VII c. 1.... admodum digna tanto foedere.

<sup>3</sup> Galli Chr. in us. schol. Lib. I, c. 18. Quae... pro modo femineo regnum honorifice gubernaret, traditores eam de regno propter invidiam eiecerunt...

<sup>4</sup> Wincenty, Mon. Pol. Hist. II, p. 283: Quae quia aequo violentior visa est, immo quia patriae indigentibus, quamlibet primis, quoslibet inquilinos et suorum lixas Teutonum praeponere coepit, a civibus profligata in exsilio consenuit.

Nie można wątpić, że duma jej przeszła w spadku na syna, pozwalając późniejszym Piastom ze stanowiska towarzyskiego patrzeć co najmniej z poczuciem równości na monarchów zachodnio-europejskich.

Rycheza żyła długo i przepędziła resztę życia po śmierci męża i wygnaniu z kraju — w Niemczech. Była bardzo przywiązana do swej rodziny, wśród której miała ukochanego brata Ottona. Gdy ten umarł w r. 1047, Rycheza odsunęła się od świata i pozostałe lata przepędziła na dewocyi.

Ta jej bezwzględność i gwałtowność usposobienia w każdym razie zasługują na baczną uwagę. Prócz warunków życiowych rysy te znajdują uzasadnienie w atmosferze rodziny, z której Rycheza wyszła.

Znana to i świetna rodzina t. zw. Ezzonidów. Rycheza była rodzoną siostrzenicą Ottona III, córką niezmiernie stanowczej Matyldy, a więc wnuczką Ottona II. Matylda była w swoim czasie pierwszą partią w Europie zachodniej; umiała jednak kochać silnie i namiętnie, gdy nie zawahała się popełnić grubego mezaliansu, wychodząc za trzeciorzędnego grafa z Lotaryngii, Ezzona, inaczej zwanego Ehrenfried. Ezzo miał brata imieniem Ezzelina — obydwaj są właśnie założycielami rodu Ezzonidów, przetrwałego po mieczu tylko do trzeciej generacji. W Matyldzie, niewątpliwie tak samo, jak w jej bracie Ottonie III, grały rozmaite niezestrojone kierunki i prądy. Może się nie omylimy, twierdząc, że na obojgu ciążyło dziedzictwo rodziców różnych ras i kultur: czystej krwi germańsko-anglosaskiej Ottona II i greckiej Teofano. Małżeństwo Matyldy z Ezzonem było bardzo szczęśliwe, pobłogosławione dziewięciorgiem potomstwa.

Sióstr było sześć, z których najstarszą nasza właśnie Rycheza. Nie śmiemy przesądzać; wydaje nam się jednak, iż fakt, że wszystkie pięć sióstr Rychezy wstąpiły do klasztoru, nie był przypadkowym, i nie wypłynął jedynie z wyrachowania, by braciom przysporzyć majątku i samym znaleźć sówite uposażenie. Wnuczki Ottona II mogły łatwo znaleźć mężów. Przypuszczamy zatem, że w pewnej mierze należy liczyć się z inną ewentualnością, a mianowicie, że w większości wypadków zachodziła niezdolność do zamążpójścia.

Braci Rycheza miała trzech czy czterech, a to Hermana, arcybiskupa Kolonii, Ludolfa i Ottona, zmarłego bezpotomnie w r. 1049. Ludolf umarł bardzo młodo, w r. 1031<sup>1</sup> i zostawił dwóch synów —

---

<sup>1</sup> Fundatio mnrri Brunvilarensis (Pertz, Scriptores XIV p. 129) nazywa go:

Henryka zmarłego przedwcześnie i Konrada księcia Bawaryi. Ten zatem Konrad był siostrzeńcem babki Bolesława. Konrad miał życie burzliwe; bezwzględny wobec poddanych, zbuntował się przeciw Henrykowi III. Kilka ostatnich lat życia spędził na najazdach na Niemcy do spółki z Węgrami i skończył w tajemniczych okolicznościach nagłą śmiercią, czy to wskutek trucizny, czy zarazy. Ostatni to potomek po mieczu Ezzona, z charakteru zewnętrźnie przypomina nieco naszego Bolesława.

Galerya krewnych Rychczy jest jednak bogatsza. Konrad bowiem bawarski nie był odosobnionym.

Jeśli pokolenie Ezzona w tak krótkim czasie zupełnie wymiera, to w znacznej mierze fakt ten należy przypisać nie przypadkowym okolicznościom, lecz słabości rodu — czego barwny przykład stanowią synowie stryja Rychczy, młodszego brata Ezzona, Henryk i Konrad.

Henryk odziedziczył po krewnych wysokie dostojeństwo Ezzona, palatynat lotaryński; w r. 1045, gdy Henryk III był złożony ciężką chorobą, była o nim mowa, jako o kandydacie do korony. Gdy umarł Herman Ezzonida, arcybiskup koloński, Henryk został opiekunem Rychczy<sup>1</sup>, rozpoczęły się ciągle niesnaski, wynikające ze wzajemnych pretensyj majątkowych pomiędzy Henrykiem a następcą Hermana, Annonem. Henryk nie znał umiarkowania i srodze dawał się we znaki arcybiskupowi. Równowagi jednak w tym człowieku nie było. Niespodziewanie obudziła się w nim gwałtowna skrucha z powodu szeregu popełnionych występków. Żonaty był z piękną Matyldą, córką księcia Lotaryngii, i miał dzieci. Mimo tego, pod wpływem szybkiego postanowienia, gdy arcybiskup obłożył go klątwą, Henryk upokorzył się tak dalece, że nie tylko hojnie wynagrodził kościół koloński za wyrządzone mu krzywdy, ale pod wpływem skruchy... opuścił rodzinę i wstąpił do klasztoru, składając nawet śluby zakonne.

Krok ten Henryka był jednak czysto odruchowym, i takim samym szybkim odruchem było niespodziewane opuszczenie klasztoru, złamanie złożonych ślubów, powrót do żony i do zajmowanego

---

Ludolphus autem maior natu, quod erat animo acerrimus et corpore robustissimus militarique prorsus virtuti aptissimus....

<sup>1</sup> Fundatio mnrii Brunvilarensis SS. XIV. p. 138 i 140: Quod sentiens Richeza regina.... per manum mundiburdís sui Henrici comitis palatini... dedit traditione (w r. 1056).



przedtem stanowiska. Legenda klasztorna powiada, że stało się to na tle zmysłowego pociągu. Z powrotem Henryka rozpoczęły się znowu wojny z arcybiskupem. Kolonia i Hanno byli w niebezpieczeństwie. Zwłaszcza jedna grożąca wyprawa była na dużą skalę przez Henryka przygotowaną. Kolonia cała była na murach: oczekiwano napadu.

W niedaleko położonym zamku palatyna Henryk w pełnem uzbrojeniu żegnał się z żoną, a orszak zbrojnych czekał nań na zamkowym dziedzińcu... Palatyn podczas pożegnania dobył topora i zniehacka odciął żonie głowę, poczem wybuchnął śmiechem, zeszedł do oczekującego go rycerstwa i tu śmiejąc się i klaszcząc w ręce, opowiedział o spełnionym fakcie. Dopiero po dłuższej chwili ludzie się zorientowali, że mają do czynienia z szaleńcem. Teraz go zamknięto w klasztorze i tam skończył, żyjąc jeszcze dość długo, człowiek, który o mało co nie został cesarzem<sup>1</sup>. A więc obląkanym był Henryk, a zarodki obląkania przejawiały się oddawna, rozumie się, niezrozumiały i należyte nieoceniane.

Jak mało je rozumiano, możnaby przytoczyć przykłady z historii rodu Karolingów, gdzie objawy epilepsji lub szaleństwa brano za opętanie przez złego ducha, a dotkniętych niemi często zamykano w klasztorze.

Rodzony brat tegoż Henryka został księciem Karyntyi w pierwszych latach Henryka IV. Był to jednak człowiek nieudolny, który nie umiał opanować własnego księstwa. Skończył podobnie jak brat, w szaleństwie, bezpotomnie<sup>2</sup>.

Kiedy w r. 1063 umierała dumna Rycheza, z całego świetnego rodu Ezzonidów, spadkobierców rodzinnych tradycji Ottona II i III, żyły tylko jej własne wnuki, Kazimierzowicze; zresztą ród wygasł

<sup>1</sup> Meyer v. Knonau, Jahrbücher d. deutschen Reiches unter Heinrich IV u. Heinrich V. I, str. 163—164 i 199—200.

Szczegółowy opis wypadku, wzmiankowanego także i przez inne źródła, daje »Vita Annonis« (Pertz SS).

Henryk opuścił żonę w r. 1059, wybuch szaleństwa zaś nastąpił w roku następnym.

<sup>2</sup> Zmarł w r. 1060 czy 1061. O nim Thiofridus abbas z Epternachu (Pertz SS. XXIII, p. 26): Deteriori (od Henryka) frater eius Cuono usus fortuna, propria diffamatus est laniasse membra per amentiam et sic opimam orci victimam exhalasse animam. Cf. Meyer v. Knonau, op. cit. str. 198—199 i 208—209. Nie jest zrozumiałem, dlaczego Meyer sądzi, że powyższy przekaz Thiofrieda polega na pomieszaniu losów Konrada z losami Henryka. Rozróżnienie jest bardzo wyraźne.

doszczętnie, zarówno po mieczu, jak kądzieli. Bardzo zaś jest problematycznym, choć niektórzy uczeni przyjmują to za pewnik, że szaleniec Henryk zostawił potomków, z których wyszedł jeden znany ród lotaryński.

O Ezzonidach można powiedzieć z całą słuszością, że kto raz otarł się z bliska o blask koron cesarskich, ten nie mógł być bezkarnie włączony z powrotem w ramy powszednich stosunków, za ciasno mu było na stanowisku książęcem.

Może tych rysów dziedzicznych przy głębszem badaniu dałoby się zgromadzić więcej, ale sądzimy, że i tych dosyć, zwłaszcza, że większa ich część jest dostatecznie uwierzytelnioną — by wyjaśnić i wytłómaczyć sprzeczności w cechach charakteru króla, któremu z kolei mamy się przypatrzeć.

O rodzicach Bolesława Śmiałego wiemy bardzo mało. O różnicy wieku mówiliśmy wyżej. Tu pragniemy zwrócić uwagę na nieznaną fakt pokrewieństwa i te same wpływy greckie, które działały już przez Rychezę. Przyczyny wczesnej śmierci Kazimierza nie są znane. Ojciec Dobrogniewy, Włodzimierz Wielki, był typem wszechstronnie rozwiniętego mężczyzny. Kiedy jednak na świat miała przyjść Dobrogniewa, Włodzimierz był już w wieku podeszłym, do Nowogrodu poszedł bowiem na księcia jeszcze w r. 970. Nie znamy niestety dokładnie matki Dobrogniewy. Jest tylko duże prawdopodobieństwo<sup>1</sup>, że matką jej była cesarzówna Anna, urodzona w r. 963, która była siostrzenicą żony Ottona II, Teofano. Teofano zatem, prababka Kazimierza, byłaby ciotką Dobrogniewy, a pokrewieństwo mię-

<sup>1</sup> Prof. Balzer w Genealogii, popierając przypuszczenie, że Dobrogniewa była córką cesarzówny Anny, twierdzi, że Anna była ostatnią żoną Włodzimierza. Przeczy temu wyraźne świadectwo Dytmara, opowiadającego, że w r. 918 Bolesław Chrobry uprowadził do Polski macochę Jarosława z dziewięcioma córkami.

Oświadczając się mimo to za tem, że Anna rzeczywiście była matką Dobrogniewy, czynimy to na podstawie cytowanego przez prof. Balzera przekazu Kroniki Wielkopolski, mianowicie, że Dobrogniewa była córką Romana Odowicza księcia Rusi, z tą poprawką, że chodzi tu nie o ojca, lecz o dziadka. Ojcem bowiem cesarzówny Anny był Roman II, cesarz bizantyński, syn Konstantyna Porfirogenety.

Teofano była starsza o kilka lat od Anny i już w r. 972 wyszła za mąż za Ottona II. Najstarsze dziecko miała dopiero w r. 977. Cf. Schlumberger, *Un empereur byzantin*: str. 256; i Uhlirz w *Jahrbücher d. deutschen Reiches* str. 24, nota 40; obydwaj przyjmują, że Teofano i Anna były rodzonemi siostrami.

dzy nuni zachodziłoby w trzecim, względnie czwartym stopniu; byłoby więc bardzo bliskie, tak dalece, że zachodziłaby przeszkoda według prawa kanonicznego. Z takich małżeństw nie rodzi się zbyt silne potomstwo, tembardziej że Dobrogniewa była starszą od Kazimierza. Nie można tego powiedzieć o Bolesławie Szczodrym, ale trzej bracia jego potwierdzają słusność wypowiedzianego zdania. Odo zmarł bardzo wcześnie, Mieszek w r. 1065, Władysław zaś Herman notorycznie był upośledzonym, i to nie tylko fizycznie, ale i duchowo.

Podnieść warto, że i Władysław II w niejednym wypadku przypomina Hermana, a i on pochodzi z małżeństwa, do którego zawarcia należało usunąć przeszkody kanoniczne, co się stało za zezwoleniem Rzymu. Natomiast przyrodni bracia Władysława II, z matki Salomei, wszyscy przedstawiają tęgie i zdrowe fizycznie i duchowo typy. Małżeństwo zatem Kazimierza z Dobrogniewą, prócz różnicy wieku na niekorzyść Kazimierza, było oparte na dość bliskim pokrewieństwie. Korzystne politycznie, a może i materyalnie, nie rokowało dobrych wyników dla ewentualnego potomstwa. Wypowiadamy to w formie ewentualności, jakie mogły zajść w przyszłości.

---

Zanim w porządku szcharakteryzujemy Bolesława Szczodrego, naprzód na podstawie Galla, a potem Kadłubka, zastanowimy się nad kilku jego osobistymi rysami, znanymi z postronnych źródeł.

Tron po ojcu dostał się Bolesławowi wraz z braćmi w bardzo młodym wieku. Wśród pięciu pokoleń przychodzących do władzy Piastów, Bolesław był najmłodszym<sup>1</sup> i najwyżej mógł liczyć lat osiemnaście; chociaż trafniejszym wydaje nam się przypuszczenie, że w rzeczywistości był nieco młodszym. Rządy przeto sprawowała przez parę lat matka, Dobrogniewa. Nie miał on zatem tej szkoły, jaką Chrobry przeszedł za Mieszka I, czy Mieszek II zwłaszcza za

---

<sup>1</sup> Chrobry doszedł do rządów w wieku lat 24; Mieszko II koło trzydziestu pięciu; Bolesław hypotetyczny koło 20; Kazimierz Odnowiciel w latach 22—24. Z późniejszych Krzywousty miał lat siedemnaście, należy jednak zauważyć, że nie był zwierzchnikiem całej Polski, względnie swego brata; byli sobie równi. Jedynie Bolesław Szczodry w tym wieku był zwierzchnikiem braci. Nie da się jednak zaprzeczyć, że Krzywousty talentem politycznym przewyższa Szczodrego.

Chrobrego, a nadewszystko tej twardej szkoły wygnania, jaka była udziałem Kazimierza Odnowiciela.

Ku stopom młodziutkiego księcia-władcy chylili się wszyscy, na kogo spojrzal, czy byli to rodzeni jego bracia, drżący o życie, czy poddani. A szczęście w dodatku gęsto sprzyjało młodemu panu i oddawało w jego ręce losy królewskich wygnańców z Węgier, książąt z Rusi i czeskich. W tych warunkach mógł rość w ambicję, a nawet zarozumiałość i pychę.

Uderza fakt, że Bolesław pozostawił braci całych na majątku i zdrowiu, może na podstawie rozporządzeń podziałowych Kazimierza, opartych na senioracie <sup>1</sup>. Brat jego Mieszko umiera w r. 1065, prawdopodobnie w kraju, Herman przetrwał rządy i doczekał się swoich czasów. Jest to niezaprzeczenie pewien rys humanitarny, jasno oświetlający postać Bolesława. Wpływ matki był tym zapewne, który łagodził i nie dopuścił, by książę tak się rozprawił z braćmi, jak Mieszek, czy jego bratanek Krzywousty <sup>2</sup>. Zresztą nie należy wpływu kobiet przece-  
niać. Córka Dobrogniewy, czeska Swatawa, t. j. Świętosława, w słabym tylko stopniu była w stanie zapobiec krwawym rozprawom wśród swych własnych synów. Tem większa była więc zasługa samego Bolesława. Zastrzec się przecie trzeba, że tylko prawdopodobieństwo tego rysu zachodzi, nie więcej.

Obok tego rysu są drugie, twarde i bezwzględne — jak ten, gdy Izasław, szwagier Bolesława, szuka w Polsce gościnności, tułacz na wygnaniu — i traci tutaj w Polsce skarby, wywiezione z Kijowa; a między wierszami źródeł czytać można zarzut, wyraźną wskazówkę, że sprawcą grabieży, czy jej protektorem był Bolesław we własnej osobie <sup>3</sup>.

<sup>1</sup> Idę za przypuszczeniem prof. Wojciechowskiego, wypowiedzianem w Szkicach Historycznych (str. 157).

<sup>2</sup> Przypuszczenie o regencji Dobrogniewy zostało *passim* wypowiedziane przez prof. Wojciechowskiego w Szkicach. Jest ono popartem przez Kronikę Węgiersko-polską, która zna postać Dobrogniewy pod imieniem Dąbrówki. Samodzielnosc jej roli można sobie wytłómaczyć tylko faktem, że przez pewien czas sprawowała regencję.

<sup>3</sup> Latopis hypacki w cytowanym wydaniu, pod r. 1073: »Iziasław że idie w Liachy so imieniem mnogim i s żenoju, upowaja bogatstwom mnogim, gła-gola: »jako sim naliezu woja«; »jeże wiasza u niego Liachowie, poka-zasza jemu put' ot siebie«.

Grzegorz zaś VII w znanym liście do Bolesława powiada: »...inter omnia servanda vobis est caritas. quam, quod inviti dicimus, in pecunia quam regi Russorum abstulistis, violasse videmini« (Kod. Wielkopolski. I nr. 4).

Tą dziwną mieszaninę złych i dobrych pierwiastków spotkamy w portretach, jakie zostawili o królu dwaj kronikarze, Gall i Kadłubek. Przyczem należy podkreślić, że obydwaj wizerunki są an logiczne, a zwłaszcza, że obydwaj są dla króla na ogół niekorzystne, zarówno wizerunek Galla, jak w wyższym jeszcze stopniu, Kadłubka.

Są jednak i zasadnicze różnice między portretami. Gall zestawia kilka epizodów o charakterze mniej więcej anegdotycznym, które to anegdoty mają mniej więcej w jego przedstawieniu równe znaczenie — jako źródło do charakterystyki króla. Kadłubek natomiast patrzy na Bolesława wyłącznie prawie przez pryzmat krwawego dramatu, obracającego się koło osoby św. Stanisława.

Natomiast niezupełnie uzasadnionym wydaje nam się pogląd, jakoby Gall był na tyle wyłącznie dworakiem, że te dworskie względy i oglądanie się na łaskę książęcą mogły go hamować w opisie zajścia króla z biskupem. Od tego zarzutu mógłby Gall być wolnym. On poprostu nie chciał się zanadto rozpisywać o Bolesławie Szczodrym, bo mu było spieszo do czasów Krzywoustego. Już o Mieszku II Gall pisze aż zanadto zwięźle. Czasy Kazimierza także są traktowane, wprowadzcie szerzej, ale często epizodycznie. Przecież Gall umie podawać bez zbyt wielkich obsłonek rzeczy daleko drażliwsze nie tylko dla Krzywoustego, ale nawet dla możnych panów, którzy jeszcze bardziej od księcia mogli być dla obcego niebezpieczni i niewygodni.

Gall nie waha się przytaczać wieści, jakie kursowały o zgonie Mieszka Bolesławowica, zgładzonego trucizną, i wskazać prawie palcem sprawców zbrodni, sprawców także wygnania ojca <sup>1</sup>. A co zwłaszcza wysoko każe stawiać zamiłowanie prawdy w Kronice Galla, to sposób, w jaki mówi o losach Zbigniewa, a więc wypadkach tych czasów, kiedy był zajęty redakcją Kroniki. To przecież były sprawy najdrażliwsze, w których kamaryla dworska, że użyjemy tego wyrażenia, cała była zainteresowana, a wśród niej żył i obracał się Gall. Tymczasem stanowisko Galla jest zupełnie bezstronne. W jednym miejscu, mówiąc o sprawie Zbigniewa, używa po prostu prawie tych samych wyrazów, które wyżej przytoczył o Bolesławie i św.

---

<sup>1</sup> Galli Chr. Lib. I, c. 29: Aiunt enim, quosdam aemulos timentes, ne patris iniuriam vindicaret, veneno puerum bonae indolis premississe.

Stanisławie<sup>1</sup>. Nawet dobre rysy Zbigniewa umie przytoczyć w ujęciu, że był to człowiek prostoduszny i w gruncie rzeczy dobry. Winę Krzywoustego Gall stwierdza wyraźnie, stara się tylko wytłómaczyć, w jaki sposób mogło dojść do tego, że Krzywousty mógł kazać oslepić Zbigniewa — i wskazuje znowu wyraźnie na interesowane podszepty dworaków.

A zatem kronikarz, taką surową miarą mierzący czyny opiewanego przez się władcy, nie może być poświadczony o to, by wywyższał lub poniżał innych z myślą o przypodobaniu się swemu bohaterowi. Bardzo jest prawdopodobnem, że Krzywousty nie był przywiązany do pamięci stryja. Salomea, żona jego, miała przecie wyrzuty, że on nie nie zdziałał dla opactwa w Mogilnie, założonego przez Bolesława. Z drugiej jednak strony Krzywousty sam nie miał żadnego realnego interesu w zwalczaniu tradycyi o Bolesławie Szczodrym. Z tej strony nie mu już nie groziło — a o to tylko dbali i zabiegali średniowieczni władcy.

Jeśli więc mamy mówić o wizerunku Szczodrego według Galla, musimy pamiętać, że to właśnie tradycya dworska, a prawdopodobnie tradycya rodzinna Piastów mówi przez jego usta, oddana możliwie obiektywnie. Podnieśliśmy zaś już wyżej, że wizerunek Galla nie jest dla Bolesława pochlebny. Rysy dodatnie krzyżują się z ujemnymi, i te właśnie przeważają.

Nie tyle Śmiałym, ile Szczodrym za prof. Balzerem powinien być stale zwany Bolesław, taki bowiem przydomek daje mu Gall, a tak samo Kadłubek. Prawda, że Gall już nazywa go także wojowniczym, rys ten nie ma jednak w jego kronice charakteru przydomka. Przewisko Śmiały nie ma zatem należytego źródłowego uzasadnienia, ponieważ występuje w źródłach podrzędnych, w późnem dopiero średniowieczu<sup>2</sup>.

<sup>1</sup> Znany ustęp o św.

Stanisławie:

neque enim traditorem episcopum excusamus, neque regem vindicantem sic se turpiter commendamus (Liber I, c. 27).

Ustęp o Zbigniewie:

Quid ergo? Accusamus Zbignevum et excusamus Boleslavum? Nequaquam. (Cytowane wydanie, Lib. III. c. 25).

<sup>2</sup> Gall in us. schol. p. 32 c. 22: vir largus et bellicosus; ibidem c. 23 audax fuit miles et strenuus hospitum susceptor benignus datorque largorum largissimus, cztery razy wprost daje mu ten przydomek: Boleslavus Largus (capita 23 i 26);

Kadłubek. M. Pol. Hist. II. str. 289: cui largitatis cognomen an-

Natomiast przydomek Szczodry należy uważać za dość znamienity. Kronikarz wyraźnie podnosi gościnność i upodobanie w hojnym rozdawnictwie darów. Wprawdzie Gall przytacza epizod tej szczodrości dość ograniczony i banalny. Musimy sobie jednak uzmysłwić, że tego rodzaju szczodrość nie wykształciłaby tytułu do utworzenia przydomka. Natomiast uwzględnić należy, że hojność monarsza miała w wiekach średnich o wiele szerszy teren, niż później, obok bowiem darów w potocznym znaczeniu obejmowała ziemię — i to w rozległości ogromnej. Wolno więc wyrazić przypuszczenie, że Szczodry hojnie ziemią szafował, a w takim razie panowanie jego mogło wiele znaczyć w historii tworzenia się naszej rycerskiej własności. Poza gołe przypuszczenie wyjść przecie niepodobna. Jego poparciem jest jedynie nadanie grodu rycerzowi, który uratował życie Kazimierza. Nadanie grodu przytem, co należy podkreślić, nie było równoznaczne z nadaniem godności; co rozróżnia Gall, a zatem było działaniem z mocą dziedziczenia przez spadkobierców obdarowanego.

Szczodrość króla była w całej pełni uzasadniona. Przecież i Chrobry tą drogą skarbił sobie wierną i oddaną służbę rycerstwa. Inaczej nie można było utrzymać rycerstwa przy sobie i prowadzić je na nieskończone wyprawy. Poza przykładem Chrobrego i Szczodrego istnieją wyraźne świadectwa najstarszego latopisu ruskiego, stwierdzające taki właśnie stosunek księcia do drużyny. Także w ruskich źródłach znajdujemy ślady od najwcześniejszych czasów, że książę zasłużonym drużynnikom nadaje ziemię. Jeśli zaś książę choć na chwilę ustaje w rozdawnictwie łask i darów — drużyna zaczyna szemrać. To samo było u nas.

Jakkolwiek zatem rys szczodrości był usprawiedliwiony konie-

*tonomasica privilegium est excellencia; str. 294: fuit hic belligerendi tam studiosus;*

Żywot św. Stanisława Mniejszego (M. Pol. Hist. IV, str 272): *Hic est Boleslaus, qui propter excellenciam largitatis anthonomasice dictus est largus, ob insignem audaciam virtutis appellatus est bellicosus;* określenie to przejmuje żywot większy;

Kronika Polska (Mon. Pol. III. p. 623): *vivente adhuc patre probus ac liberalis,* powtórzone przez Kronikę Książąt polskich, która nadto dodaje str. 450: *Quamvis enim iste rex in armis fuit strenuus, munificencia largus, hospitum susceptor benignus, militibus et nobilibus propicius;*

Kronika Wielkopolska (Mon. Pol. II.) tytułik: *De Boleslao Efferō;* w tekście: *Boleslaus largus et efferus; liberalissimus.*

cznością — to mimo to trudno zaprzeczyć, że u Galla występuje ona z pewną cechą lekkomyślności, a także pewnego lekceważenia przez króla osoby obdarowanego. Może to tylko nasze przypuszczenie. Gall bowiem odnośny postępek Bolesława poleca jako wzór do naśladowania. Pod ciężarem srebra i złota, którem kleryk napełnił swój płaszcz — ten rwie się i wtedy król ze swych ramion zrzuca własny płaszcz i dotąd napełnia go kruszczem, że aż kleryk wykrzyknął, że nie dźwignie więcej ciężaru. Opowieść ta prawdopodobnie jest stylizowaną na innych wzorach literackich — na tyle jednak musi być prawdziwą, żeby uznać, że Bolesław cel osiągnął, a kleryk rzetelnie wywdzięczył się za dobrodziejstwo i chwałę króla rozgłaszał.

To szukanie chwały i sławy jest niewątpliwie drugim źródłem, skąd płynie hojność monarchów średniowiecznych. W parze z wrodzoną dzielnością osobistą kierowała ona kroki Bolesława ku naśladowaniu czynów sławnych przodków. Rys ten trafnie podchwytuje *Żywot św. Stanisława*<sup>1</sup> i niewątpliwie był on jednym z głównych rysów postaci króla. Trudno jednak orzec, co w tej dążności było własną pracą Bolesława, a co dziełem doradców i otoczenia, których mieć musiał. W każdym razie z tego źródła wypłynęła wielkość wybitnych czynów politycznych króla, a wśród nich koronacja. Za mało jednak w ogóle o niej wiemy, by można na niej opierać i gruntować zanadto dodatnie wyobrażenie o charakterze króla. Nie wiemy, w jakim stopniu była ona analogiczną do koronacji Chrobrego, zresztą i tę ostatnią mniej znamy, tylko się jej charakteru domyślamy. Koronacja jest dziełem olśniewającym, ile zaś w niej było śmiałego porywu, a ile politycznej rachuby — powiedziałyby źródła, gdyby istniały. Tych nie ma.

Charakterystyka Galla mówi nam, że ambicya króla nie była podporządkowana logicznemu łańcuchowi politycznych wskazań; przeciwnie nawet, ambicya kierowała jego polityką. Był w nim nadmiar ambicyi i próżności<sup>2</sup>.

<sup>1</sup> Mniejszy (M. Pol. Hist. IV str. 274—275): *Iste Boleslaus proavi sui magni regis Boleslai audaciam emulatus, prout erat vir belligerendi studiosus, terminos, quos amiserant patres sui, volens recuperare et ad suum dominium reducere; Rys ten przejmuję Kronika Wielkopolska.*

<sup>2</sup> Galli Chr. in us. schol. I. c. 22: *Qui sua satis gesta gestis praedecessorum coaequavit, nisi quod quaedam eum ambitionis vel vanitatis su-*



Próżność Bolesława przechodziła w uczucie niesłychanej dumy i pychy; były one dość ugruntowane na szeregu powodzeń — ale na tyle silne i szczere, że objawiały się nawet wśród niepowodzeń — mogły przeto graniczyć z uporem, poświęcającym dla pozorów żywotne polityczne interesy. Cechy te posiadają doskonałą ilustrację w dwóch ustępach Gallowej opowieści: jednym o spotkaniu ze szwagrem Izasławem, drugim o zjeździe z Władysławem węgierskim.

Po wprowadzeniu Izasława na Kijów, przyszło do spotkania książąt i do uświęcenia zawartego przymierza pocałunkiem pokoju. Bolesław nie chciał zsiąść z konia, Izasław podszedł pieszo. Bolesław, całując go, pozwolił sobie na gruby żart i wytargał szwagra za brodę<sup>1</sup>. Był to żart obraźliwy, z którego tchnęła pogarda, gdyż broda była rzeczą, otoczoną poszanowaniem, zaszczytnym przywilejem, który nie był udziałem każdego; na brodę się przysięgano, tkwił w niej pewien symbol.

Drugi epizod jest jeszcze bardziej charakterystyczny. W pierwszym bowiem wypadku Bolesław stał u szczytu świetności, w drugim — na wygnaniu. W roli wygnanica, na węgierskiej ziemi, szukając przytułku i pomocy, nie chciał znowu zsiąść z konia, by powitać pospieszającego doń pieszo z powitaniem króla Władysława<sup>2</sup>. Wychował go bowiem Bolesław w Polsce, gdzie Władysław siedział przedtem na łaskawym chlebie, uważał go więc Bolesław ciągle za swego pupila. Tak przynajmniej tłumaczy rzecz kronikarz.

Obydwa zajścia mają niejedno w ceremoniale spotkań monarchów, co można przytoczyć na usprawiedliwienie Bolesława. Formalistyka tych spotkań do najmniejszego szczegółu przywiązywała wielkie znaczenie, a każdy szczegół ceremoniału miał odpowiadać ściśle realnym stosunkom, jakie zachodziły pomiędzy zjeżdżającymi się władcami. Mimo to forma wystąpienia Bolesława była tak silna

*perfluitas agitavit. Zarzut próżności powraca w c. 28: In Boleslavo tamen unum ascribendum est vanitati, quod eius pristinae multum obfuit probitati.*

<sup>1</sup> Galli etc. I, c. 23: *Nec tamen equo descendens sed barbam eius subridendo divellens, osculum ei satis pretiosum exhibuit.*

<sup>2</sup> Ibidem c. 28: *...obviam ire Boleslavo Wladislavus, ut vir humilis, properabat, eoque propinquantem eminus equo descendens ob reverentiam expectabat. At contra Boleslavus humilitatem regis mansueti non respexit, sed in pestiferæ fastum superbiae cor erexit. »Hunc« inquit, »alumnum in Polonia educavi, hunc regem in Ungaria collocavi. Non decet eum me ut aequalem venerari, sed equo sedentem ut quemlibet de principibus osculari«.*

i niezwykła, że wzbudzała sensację, szkodziła mu, i w takim właśnie ujemnem oświeceniu przeszła do tradycji.

Wolno przeto wątpić, czy scharakteryzowane przed chwilą zachowanie się Bolesława płynęło z uporu, opartego na chłodnem rozumowaniu. Na podstawie źródeł można stwierdzić, że czyny królewskie często wynikały z porywczosci, nieznającej wędzidła. Gall nazywa go gorącą głową<sup>1</sup>. Rys ten pokrewny podkreślonej wyżej lekkomyślności prowadził króla na manowce. Zaraz w początkach panowania zaledwie uniknął zasadzki Czechów, a nawet stracił panowanie nad Pomorzanami tylko z powodu zaniedbania<sup>2</sup>. A i później, choć przybyło doświadczenia, nie przybyło statku. Na każdą wyprawę rzucał się nagle, na oślep, bez należytego przygotowania. Przymiot taki był dobry dla rycerza, mógł jeszcze magnatowi wystarczyć, od książąt wymagano więcej.

Przytoczona już raz przez nas scena obdarowania ubogiego kleryka zawiera parę szczegółów odrębnej kategorii.

Kleryk, widząc zebrane skarby, zwiezione na gród krakowski z Rusi i skądinąd — westchnął głośno, co rozniewało Bolesława. W tym ustępie lakoniczny kronikarz wtrąca dwa wyrazy, które znakomicie uzupełniają charakterystykę króla. Napomyka bowiem jako o rzeczy potocznej, że król był dziki<sup>3</sup>. Więcej szczegółów nie podaje, łagodzi nawet ich wrażenie, gdyż opowiadanie o danym fakcie nie tylko słów tych nie usprawiedliwia, ale wprost im zaprzecza. Przerazenie kleryka było zupełnie nie na miejscu, król go

<sup>1</sup> Ibidem c. 25: Qui cupiens animo ferventi de manu gentilium patriam liberare, collecto nondum exercitu, debuit antecedens inconsulte nimium properare.

<sup>2</sup> Ibidem c. 22: suae contumaciae negligentia non solum castrum non habuit, verum etiam Bohemorum insidias vix evasit, ac Pomoranorum dominium sic amisit.

Gall dodaje do tych słów następujące: »Sed non est mirum aliquantulum per ignorantiam oberrare, si contigerit postea per sapientiam, quae neglecta fuerint, emendare«. Nie daje jednak Gall następnie przykładu i nie przytacza epizodu, z któregooby wynikało, że Bolesław później wyzbył się lekkomyślności.

<sup>3</sup> Na słowa te za mało dotąd zwracano uwagi; Gall c. c. 26: Boleslavus autem rex, ut erat ferus, audiens hominem miserabiliter gemuisse, et existimans aliquem camerarios percussisse, iratus sciscitatur, qui fuerit ausus sic gemere, vel quis praesumpserit ibi quempiam verberare. Tunc ille miser clericus tremefactus, maluisset nunquam pecuniam se vidisse, quam ea de causa regis curiam introisse.

bowiem hojnie obdarzył. Jako przypuszczalny powód gniewu podaje nawet Gall, że król mógł sądzić, że komornicy kogoś obijają. Mimo to waga tego jednego wyrażenia o dzikości króla jest wielką i bezwzględną. Bolesław był dziki. Musiał zatem istnieć szereg nieznanych na podstawie Galla faktów, które usprawiedliwiały ten epitet. Domyślać się tylko można, że kronikarz do tej kategorii jego czynów odnosił postępek ze św. Stanisławem, inaczej nie nazwałby czynu króla hańbiącym, stwierdzając ponadto, że Bolesław dopuścił się grzechu.

Na zaznaczonych momentach urywa się materyał Galla. Obraz króla jest skreślony z pewną sympatją; treść jednak jest niekorzystna: król był porywczy i dziki, cechował go nadmiar pychy i próżności. W ramach tych doskonale mogą się zmieścić zalety Bolesława: szczodrość, odwaga, dzielność rycerska i ambicja.

Sam Gall podkreślił, że długo byłoby opowiadać o przyczynach wygnania króla<sup>1</sup>. Tem samem kronikarz stwierdza, że był jeszcze szereg wydarzeń, o których pamięć, choć może niejasna, jeszcze za jego czasów się przechowała. Ślady tej tradycji, nieuwzględnionej przez Galla, dadzą się odnaleźć po kolei w Kadłubku, Żywocie św. Stanisława, Kronice Wielkopolskiej i jeszcze w Długoszu. W tradycji tej, choć z trudnością i hypotetycznie, dadzą się odnaleźć rysy, wchodzące w ramy wizerunku Gallowego.

W ramy te wchodzi przede wszystkim surowość, z jaką Bolesław karał najwybitniejszych panów, którzy go na wyprawie opuścili, a także przeniewierstwa małżeńskie tych pań rycerskich, dla których zbyt długiem było czekanie na powrót mężów, towarzyszących królowi w dalekich wyprawach.

Koloryt tych wydarzeń, przekazanych przez Wincentego, opuszciliśmy już bowiem pewny grunt Gallowy — przystaje do czasów Bolesława Szczodrego. Wiemy o tem, że rycerstwo polskie skłonne było wcześniej znacznie opuszczać wyprawę, bez wiedzy króla czy księcia. Działo się to już za Bolesława Chrobrego. Wprawdzie, jak słusznie zwrócił uwagę Lelewel, miało to miejsce podczas powrotu z pomyślnej wyprawy<sup>2</sup>. Tem może tłumaczy się fakt, że Bolesław Chrobry faktu opuszczenia nie ukarał. Mógł się jednak ślad kary

---

<sup>1</sup> Ibidem c. 27: Qualiter autem rex Boleslavus de Polonia sit eiectus, longum exsistit enarrare...

<sup>2</sup> Polska wieków średnich II. str. 251.

nie przechować w tradycji, która pozatem wie, że Chrobry karać umiał. Bez względu jednak na łagodzące okoliczności, opuszczanie króla podczas wyprawy było zbrodnią i mogło być traktowane jako zdrada. Krzywousty karze śmiercią za opuszczenie pola bitwy: mianowicie posyła winowajcy stryczek. Gdy Głogowianie własne dzieci dali Henrykowi w zakład, ten sam Krzywousty pod karą krzyża zabrania im wydać miasto cesarzowi<sup>1</sup> — chociaż bezwzględnie, nawet w ówczesnem pojęciu, Głogowianie, nie słuchając rozkazu, mieliby na swe usprawiedliwienie łagodzące okoliczności.

Bezwzględność przeto, z jaką w tym wypadku postępuje Bolesław Szczodry, odpowiada zupełnie charakterystyce Galla; więcej nawet, ze stanowiska formalnego prawa i wyobrażeń, które panowały nawet w Polsce za czasów Kadłubkowych, król był w prawie tak postąpić. A jednak zwyczaj późniejszy, wchodzący w życie już od XII w., że rycerstwo do wojny zagranicznej było obowiązane w zamian za specjalne świadczenia ze strony władcy, stwierdza, że takie konflikty istniały wcześniej, i takim był konflikt za Szczodrego.

Drugi fakt, prowadzący do konfliktu, to kary, które spadły na kobiety i przystawianie im do piersi szczeniąt. Geneza konfliktu o tyle interesująca, że król występuje u Kadłubka jako stróż sprawiedliwości i czystości, natomiast biskup ujmuje się za kobietami, występując przeciw zbyt surowemu wymiarowi kary, prawda, że także przeciw bezwzględnemu postąpieniu z dziećmi. Ten ostatni szczegół jest bardzo ważny. Nie można bowiem przypuszczać, żeby zdrada i wiarołomstwo miały masowe objawy. Podnieść jednak trzeba, że mogło się obejść bez wiarołomstwa żon, a kary podobne spaść mogły. Za winy wybitnych członków rodu odpowiadał cały ród: kobiety i dzieci. Przykładów cała masa: los Sławnikowiców, Werszowców, jeszcze na początku XII w., lub rodu Felicyana na Węgrzech w XIV w., co jest związane z pobytem Kazimierza Wielkiego na dworze węgierskim.

A więc i w tym wypadku, nawet na podstawie opowieści Kadłubka, król mógł być w prawie.

Nie tylko jednak treść wydarzenia, ale forma, w jakiej ją nam przekazał Kadłubek, jest wiarygodną. Szczegół o szczeniętach jest bowiem niezmiernie charakterystyczny, i dodajmy, historyczny. Stopień zaś kary, wymierzonej przez króla, świadczy niewątpliwie o ła-

---

<sup>1</sup> Galli Chr. in us. sch., str. 90—91, capita 6, 7 i 8.

godnieniu w Polsce obyczajów, świadczy więc na korzyść króla, jak trafnie zauważył już Lelewel, a mimo to dał powód do konfliktu.

Symbolika średniowieczna lubowała się we wzmacnianiu wrżenia kar zapomocą zmuszania winnych do ukazywania się publicznego w poniżającej formie ze zwierzętami. W Rzymie, jeszcze w końcu X w, podobne kary były w pospolitem użyciu, spotykały nawet strącanych z tronu papieży, a w Niemczech znacznie później jeszcze buntowniczy książęta musieli po obozie cesarskim lub w danem mieście paradować, obnosząc psy. To samo miało miejsce w Czechach, czego klasyczny przykład podaje Kosmas<sup>1</sup>. Jeśli więc Kadłubek taki rys przytacza, to nie możemy wątpić, że pod tem kryje się fakt historyczny.

Lelewel zwrócił uwagę na to, że wiarołomstwo żon było karane w Polsce za czasów Chrobrego niezwykle surowo, okaleczano winne<sup>2</sup>. W Czechach milkła nawet jurysdykcyja męża wobec wiarołomnej żony, gdyż hańba spadała na cały ród. Typowym jest przykład konfliktu, w jakim znalazł się nikt inny, jak św. Wojciech, udzielający azylu winnej, czem sciągnął na siebie zarzut popierania przewierstw małżeńskich. Sądzymy, że coś podobnego miało miejsce w wypadku św. Stanisława. I on sciągnął później na siebie zarzut ze strony Bolesława, że popierał przekroczenia ze strony niewiast.

Obyczaje zatem i wymiar kar w Polsce łagodnieją na przestrzeni czasu od Chrobrego, do Szczodrego. Kościół konsekwentnie stoi na stanowisku, że za takie winy on jest przede wszystkim powołany do wykonywania jurysdykcyi. Król tymczasem strzeże prawa swojego... w czem tkwi jedna z przyczyn konfliktu.

Czy konflikty mogły mieć jeszcze inne źródło? Czy prawdą jest, że król w ostatnich latach życia nurzał się w rozkoszach zmy-

<sup>1</sup> Rzecz dzieje się za czasów Władysława I, koło roku 1110: *Privitan quoque similiter in eadem comprehensus seditione, qui videbatur senior esse in urbe Praga, cuius super humeros alligato maximo cane scabioso et hesterno iure crapulato, raptus per barbam ter circa forum ductus est, cane reboante et suum demordante baiulum, et praecone acclamante: Talem honorem portat, qui Wladislaw duci promissam fidem derogat. Atque omni foro spectante praecisa super tabulam eius barba relegatus est versus Poloniam in exilium. Fontes Rerum Bohem. II, str. 169.*

<sup>2</sup> Polska w. średnich II. str. 252.

słowych, jak chce Żywot św. Stanisława Mniejszy. Wprawdzie za tego rodzaju przewinienia królowie nie bywali strącani z tronu, a i kościół po większej części patrzył przez palce. Przekaz jednak Żywotu św. Stanisława nie da się poprzeć innemi źródłami i musi być uważany za niedostatecznie uwierzytelniony. Nie wyklucza to prawdopodobieństwa, że Bolesław poza małżeństwem umiał sobie także urządzać życie.

Nie mówiąc o Chrobrym, Mieszek II miał miłośnicę, miał ją Władysław Herman. Zresztą w ogóle warunki życia były swobodne. W tych warunkach przekaz Długosza, którego nie ma we wcześniejszych źródłach, zasługuje na baczną uwagę. Długosz wyraźnie mówi, że król wziął siłą na dwór żonę rycerza Mściława, Krystynę. Nie wiem, czy są jakieś ustępy w Długoszu, gdzieby były wprost zmyślane osoby. Trzeba więc przyjąć, iż zaczerpnął je z nieznanego źródła, tak samo, jak opowieść o Małgorzacie z Zębocina. Wiadomości tego źródła są poparte przez przekaz Rocznika kapitulnego<sup>1</sup>, zapisującego pod r. 1076 urodziny nieznanego bliżej Krystyna, którym nie może być żaden ze znanych książąt. Należy mu się więc osobne miejsce w Genealogii Piastów, którego dotąd nie ma. Jest więc prawdopodobieństwem, że Krystyn wziął imię po matce, że był synem Bolesława Smiałego.

Urodziny Krystyna przypadają na r. 1076, a więc i pod tym względem popierają legendę, że przypadają na końcowe lata rządów Bolesława.

Wątpliwem wydaje się, by miłość do Krystyny sama przez się wywołała konflikt. Natomiast mogły zachodzić specyalne okoliczności, w których gorliwszy prałat mógł mieć powód do interwencji, jeżeli prawowita żona była odtrącona i sama szukała pomocy kościoła, bądź też mąż królewskiej kochanki, a zwłaszcza jeżeli stosunek miał miejsce w sferze książęcej, na którą przedewszystkiem kościół miał wpływ w XI w.

Imiona Mściława i Krystyny są jedynym materiałem; nie są to imiona rycerskie, przynajmniej na pierwszy rzut oka, a raczej książęce i to znane na Rusi. Czy na tem można coś budować, jak to próbowaliśmy przed dziesięciu laty? Zapewne, że można, ale do pe-

---

<sup>1</sup> M. Pol. Hist. II, sub a 1076: *Cristinus natus est. Kronika Wielkopolska także powiada (M. P. H. II, str. 489), że Bolesław »iura quoque thori violari«. Jest to bardzo poważne poparcie przekazu Długosza.*

wnych wniosków dojść trudno. Zanotować tylko z obowiązku kronikarskiego należy, że książę Mściśław, najstarszy syn Izasława, zmarły po r. 1069 na księstwie połockim, bywał w Polsce, a wdowa po nim mogła tu zostać podczas powtórnego wygnania Izasława, które właśnie przypada na lata 1074—1076.

Kimkolwiek była Krystyna i Mściśław, należy przypuszczać, że i w tym wypadku Bolesław postępował w sposób wyzywający i drażniący.

Trudno orzec, na jakim tle źródłowym rozwinęła się legenda o wykroczeniach zmysłowych Bolesława. Faktem jest, że już Żywot św. Stanisława formułuje ciężkie oskarżenie, że działał przeciw naturze, co jeszcze dosadniej wyraża Kronika Polska<sup>1</sup>. Gdybyśmy mieli tylko te teksty, moglibyśmy przypuszczać, że rozwinęły się one na tle niezrozumienia lub amplifikacji tekstu Kadłubka. Zdaje nam się jednak, że fundament tych zarzutów nie przedstawia się tak strasznie, w tej formie, jak tradycja jest podana w Kronice Wielkopolskiej.

Według tej kroniki Bolesław wiódł ze sobą, gdziekolwiek się udawał, konia (tak tłumaczymy iumentum), nakrytego purpurą i kosztowną tkaniną. To jest rdzeń faktu, do którego przyrosły różne plotki i opowieści<sup>2</sup>. Obowiązkiem historyka jest postawić zapytanie, czy nie mamy przed sobą faktu historycznego; sądzimy, że tak jest,

<sup>1</sup> Żywot św. Stanisława (M. P. H. IV. str. 278): *Bolezlaus etenim intermisso studio virtutum sentina factus est omnium viciorum et carnis sue sequens luxuriam, gloriam suam in ignominiam et naturalem usum mutavit in eum usum, qui est contra naturam.*

Kronika Polska (M. P. H. III. str. 624): *et flagiciosus cum equa contra naturam effectus...*

Kadłubek mówi tylko: (M. P. H. II. p. 296): *versus in arcum pravum...*, str. 298: *flagitiosissimus in utroque*, str. 299: *Nam quod strenuitatis in illo fuit, profundo flagitiorum involvitur*, ale zupełnie przy innej sposobności. Być może, że jest to odwrócenie znanego zarzutu, stawianego przez Bolesława św. Stanisławowi, że był *»renum scortator«*.

<sup>2</sup> Oto tekst kroniki Wielkopolskiej (M. P. H. II. str. 488): *In tantumque cultum detestabatur faemineum, quod, loco uxoris, iumentum purpura et bysso decoratum, ad omne iter quo ibat, secum duci faciebat. Aiunt quoque quidam, quod versus in sensum reprobum abutebatur eodem.*

*Quaedam autem scripturae, quibus standum est, verius asserunt, quod non; sed in detestationem sceleris, per mulieres nobiles, in suorum maritorum absentia, perpetrati, hoc se facere demonstrabat.*

tylko należy rzucić go na tło historii ceremoniału. W tem świetle nie ma on nic niewiarygodnego; wiadomo, że zwyczaj ten, występujący zresztą w różnych formach — należał do symbolów władzy, i to w znaczeniu podwójnem. Bądź był to koń, stanowiący bezpośrednią własność tryumfatora, i był prowadzony w pochodzie tryumfalnym; bądź też należał do zwykłych momentów ceremoniału. Nie tylko konie były w takim użyciu, do dziś dnia jeszcze w podobnej formie są używane słonie.

Mógł być to zwyczaj, i był takim według wszelkiego prawdopodobieństwa — obcy; zapożyczony z Zachodu, czy z Węgier, Rusi, lub Byzancyum<sup>1</sup>. Był obcym, bo raził i wywoływał plotki, i do dziś dnia służyć może jako jeden dowód więcej, że Bolesław, podobnie jak jego naddziady, nie liczył się z głosem opinii i łamał obyczaje.

Łamał zatem obyczaje, a wprowadzał obce. Kościołowi zaś obyczaj taki wydać się mógł podejrzanym, gdyż zalaatywał pogaństwem. Nie dla tego żeby kościół nie odróżniał symbolu władzy od przedmiotu kultu, ale dla tego, że lud szerszy tak mógł rozumieć i pojmować. Jeśli więc Bolesław taki zwyczaj wprowadzał, to mógł w kościele wywoływać zgorszenie, gdyż konie były przedmiotem kultu pogańskich Słowian, z którymi Polska wówczas pozostawała jeszcze w żywym kontakcie.

Nie ulega wątpliwości, że śmierć Bolesława w pełni sił, w wieku 37—42 lat najwyżej, była przedwczesna. To jasno daje się wyczytać w Gallu<sup>2</sup>, i na tym przekazie można oprzeć przypuszczenie, dość uzasadnione, że śmierć była gwałtowna. Gall niedwuznacznie wskazuje na Węgrów, jako na sprawców śmierci.

Kadłubek zapisuje wersję, że pod wpływem ciężkiej choroby

*Iumentum*, według Forcelliniego: *Interdum iumentum sic usurpatur ut equos, asinos, mulosve significat, boves non significat*. Co też wynika z cytatów zestawionych w poprzednim przypisku.

*Byssus*, według Forcelliniego: *Genus lini subtilissimi et delicatissimi... adeoque pretiosi, ut auro contra aestimatum est, habitumque in deliciis feininarum*.

<sup>1</sup> Szereg ciekawych przykładów zestawia Ducange. Z tych najciekawsze pod *equi albi i vestiti*. Pod *albi* bardzo ciekawy przykład francuski z XIV w., z którego wynika, że i koń był symbolem władzy.

<sup>2</sup> Gallus in us. sch. c. 28, str. 37: *unde magnam sibi Ungarorum invdiam cumulavit, indeque citius extrema dies eum, ut aiunt, occupavit*.



sam targnął się na swe życie <sup>1</sup>. Na tej tradycyi, a zwłaszcza Galla, musi coś być.

Nie ma zasadniczej sprzeczności pomiędzy tą tradycją, a tradycją benedyktyńską o pokucie Bolesława. Faktem niezbitym pozostaje, że Bolesław od wczesnych czasów miał kommemoracyę w klasztorach benedyktyńskich w Polsce i to jako »*conversus*«. Tego rodzaju kommemoracyę nie dostawały się do *Libri Fraternitatis* czy *Libri mortuorum* drogą literacką, a tylko z tych źródeł wzmianka o »królu Bolesławie konwersie« mogła się dostać do kalendarza benedyktyńskiego.

Hojny fundator opactwa w Mogilnie, zapomnianego przez Krzywoustego, co przyczyniało zgryzot Salomei po śmierci męża, do tej kommemoracyi miał prawo.

Od początku XV w. jest już w Polsce, w szeregu rękopisów, a więc u Jana Dąbrowki <sup>2</sup>, a nadto w rozmaitych rękopisach tak zwanego Rocznika świętokrzyskiego nowszego <sup>3</sup>, wzmianka o tem, że Bolesław przebywał w klasztorze. Są to źródła lokalne, niezależne od zagranicznych, dotyczących się już miejsca pokuty.

Potwierdzają się one wzajemnie i upoważniają do wniosku, że Bolesław zmarł nagłą śmiercią, podczas pobytu w klasztorze. Do rysów jego charakteru, podkreślonych przeciwieństw postaci i losu, przybywa zatem rys ostatni.

W ramy niniejszego odczytu nie wchodzi badanie dramatu pomiędzy królem a św. Stanisławem. Nie zużytkowujemy więc tu tych śladów odmiennej tradycyi i podań, które przechował Kadłubek, przytaczając cały szereg oskarżeń króla, skierowanych przeciw

<sup>1</sup> *Inaudito correptus languore, Boleslaus sibi mortem conscivit; Kronika zaś Wielkopolska: tactus pessimo ulcere in amentiam cecidit.*

<sup>2</sup> Na co zwrócił uwagę prof. Balzer w *Genealogii*. Trudno jednak zgodzić się z przypuszczeniem, jakoby wiadomość Jana Dąbrowki o pobycie króla w klasztorze była w ogóle najwcześniejszą. Cf. przypisek następny.

<sup>3</sup> Tradycja tego rocznika robi wrażenie bardzo poważne; jest ona zawartą w ośmiu jego rękopisach: *ipse vero periculum mortis timens fugam dedit ad Hungariam, et ibi circa quoddam claustrum mansit, tanquam conversus et penitenciam strictam peragens, vitam post decem annos finivit, et ibidem sepultus est.*

Jest to wiadomość, bardziej nieokreślona, niż Dąbrowki. Tradycja zaś ossyacka piśmienna powstała nie w XVI w. ale jeszcze na początku XV w., jeśli nie w końcu XIV w. (jak starałem się wykazać w rozprawie: *Analecta Cisterciensia*, R. W. Hist. Fil. Ak. Um. tom 49, str. 48).

pamięci biskupa, w których król występuje jako »sacerrimus sacri-legiorum ultor«.

W tradycji tej niestety brak materiału do osobistej charakterystyki króla, tak, że to, co się przechowało, i na czem oparliśmy powyższy portret, nosi na sobie charakter relacyj nieprzyjaznych pamięci króla; tyczy się to zarówno Galla, jak Kadłubka.

Na tem zamykamy niniejsze uwagi, w nadziei, że garść tych szczegółów może służyć jako przyczynek do interpretacji podań Galla i Kadłubka <sup>1</sup>.

---

<sup>1</sup> Fragmentaryczny sposób traktowania tego szkicu wyjaśnia okoliczność, że powstał on z racyi odczytu, wygłoszonego w październiku r. 1911 w Związku Naukowo Literackim we Lwowie.

---

# SPOSTRZEŻENIA GEOLOGICZNE Z ZACHODNIEJ AFRYKI

(z 6 ilustracjami)

napisał

RUDOLF ZUBER.



Wezwany przez kompanię angielską odbyłem w ciągu lata r. 1910 podróż do zachodniej Afryki.

Wyjechałem z Liverpoolu w połowie czerwca, wróciłem zaś do Plymouth we wrześniu. W ciągu lipca i sierpnia zwiedziłem znaczniejsze partye kolonij angielskich Nigeryi i Złotego Wybrzeża (Southern Nigeria, Gold Coast Colony) oraz kolonii francuskiej Wybrzeża Kości Słoniowej (Côte d'Ivoire), przyczem głównymi punktami wyjścia były miasta i miejscowości wybrzeżne Lagos, Accra, Secondi, Axim i Bonnyere.

W głąb lądu dotarłem tylko niedaleko (około 100 kilometrów), ograniczając swe badania głównie tylko do utworów występujących przy wybrzeżu, a głównem mem zadaniem było zbadanie pojawiających się tam w kilku miejscach pokładów naftonośnych i bitumicznych.

Badania geologiczne i w ogóle podróżowanie w tamtych stronach są bardzo utrudnione. Okolica przeważnie pokryta gęstym lasem lub moczarami, klimat w najwyższym stopniu niezdrowy (malarja, żółta febra, śpiączka, elephantiasis, robak gwinejski i t. p.), komunikacja tylko na większych rzekach i lagunach łatwiejsza za pomocą łodzi i małych parowców, zresztą tylko pieszo lub w hamaku noszonym przez krajowców. Podczas mego pobytu właśnie była pora deszczowa, która wprawdzie nieco łagodziła nadmiar gorąca, ale z drugiej strony przez częste ulewy i powodzie niezmiernie utrudniała dalsze wycieczki, a czasem je zupełnie uniemożliwiała.

Rozleglejszych badań geologicznych w tych okolicach dotąd nie przedsięwzięto. Tylko nieliczne drobniejsze spostrzeżenia różnych podróźników o charakterze przeważnie bardzo lokalnym rozrzucone są tu i owdzie w literaturze geologicznej. I moje badania miały taki charakter lokalny, bez możności ogólniejszego opracowania kartograficznego. W następstwie podam ważniejsze z tych spostrzeżeń.

## I. Pokłady bitumiczne w południowej Nigeryi.

Około 90 kilometrów na wschód od miasta Lagos wpada do obszernej i płytkiej laguny Leckie z północy rzeka Oni, nad której dopływem Sasa około 15 klm. dalej w górę (ku północy) pojawiają się na powierzchni warstwy piasku i piaskowca, przesiąknięte czarną masą smołowatą (asfaltem). Wystąpienia takie same okazują się jeszcze dalej ku wschodowi w kilku innych dolinach równoległych na długości około 75 klm.

Te wystąpienia bitumiczne dały powód do wykonania szeregu wierceń w celu poszukiwania nafty, dotąd bez pomyślnych rezultatów.

Posuwając się od bardzo prostego i równego wybrzeża morskiego ku północy, widzimy tu najpierw płaskie piaszczyste wybrzeże, przerywane tylko nielicznymi ujściami rzek i potoków, ustawicznie tamowanymi przez wały piasku, wyrzucanego fatami morskimi, potem rozległe moczary gęsto zarośnięte mangrowami, pandanami i palmami, poczem ciągnie się długi łańcuch płytkich lagun, w znacznej części już wysłodzonych, energicznie zamulanych przez wpadające do nich rzeki i zarastanych przez nader bujną roślinność podzwrotnikową.

Za temi lagunami kraj staje się bardziej pagórkowatym i jest wszędzie gęsto zalesiony (najcenniejszem jest tam drzewo mahoniowe).

Dopiero około 80—100 klm. na północ od wybrzeża wznoszą się wyższe łańcuchy górskie, złożone z najstarszych skał tej części kontynentu afrykańskiego, to jest głównie z gneisu poprzecinanego przez liczne żyły kwarcytu. Najlepiej występuje ten gneis koło miasta Abeokuta i zaznacza swój południowy brzeg także dalej ku wschodowi we wszystkich z północy na południe spływających rzekach, tworząc na nich progi i wodospady.

Ten brzeg gneisowy jest niewątpliwie dawniejszym brzegiem morskim, do którego przypiera od południa bezpośrednio owa formacja bitumiczna, złożona z potężnej seryi warstw piasków, piaskowców, zlepieńców naprzemian z iłami.

Wszystko zaś pokryte jest niezgodnie przez silnie rozwiniętą formację laterytową (czerwona piaszczysta glina dyluwialna), albo przez nowoczesne piaski i moczary.

Zupełny prawie brak odkrywek powierzchniowych nie pozwala na dokładniejsze zbadanie formacji bitumicznej. Możliwem było to tylko na podstawie wykonanych w tym obszarze wierceń.

Ze starannego porównania rezultatów tych wierceń okazało się, że warstwy tej formacji ułożone są bardzo płasko, z kierunkiem zachodnio-wschodnim, i nachylają się słabo ku południowi, t. j. od owego starego brzegu gneisowego ku dzisiejszemu wybrzeżu morskemu.

Od góry do dołu można tam wyróżnić następujące kompleksy warstw:

1. Piaski morskie naprzemian z pstrymi (czerwone, szare, czarne etc.) iłami.

2. Pokład czarnego, szarego i brunatnego iłu (40—60 mtr.) z bryłami skał starszych, z licznymi konkrecjami pirytu, zwęglonymi kawałkami drzewa, rzadkimi drobnymi skorupkami, zębami i łuskami ryb i t. p.

3. Gruby piasek i piaskowiec z bituminem. Występuje na powierzchni, jak wyżej wspomniano, niedaleko brzegu gneisowego, a w wierceniach natrafiany ku południowi coraz głębiej. Bitumen ten nie jest zgęstniałym olejem skalnym, lecz albo zupełnie stałym asfaltem (bardzo podobnym do asfaltu z Trinidad), albo nader gęstym, na pół stałym bituminem, o słabym zapachu i w towarzystwie bardzo tylko słabych gazów.

4. Bardzo grube pokłady piasków, piaskowców i zlepieńców, tylko rzadko przerywane wąskimi warstewkami iłu i zawierające ku dołowi coraz częstsze i większe bryły skał starszych, między którymi bardzo przeważa gneis, tworzący niewątpliwie podkład tej całej formacji. Te piaski zawierają bardzo wiele wody, często ciepłej i dochodzącej do temperatury 40° C, z palnymi, lecz bezwonnymi gazami. Woda ta nie jest słona, lecz nieco siarczana, i wynosi z sobą płyty na pół stałego bituminu.

Wiek geologiczny tej formacji bitumicznej zdołał określić w przybliżeniu już przedemną p. Parkinson<sup>1</sup>, który badał te utwory dalej na wschód od Agbabu nad rzeką Oluwa i zebrał tam liczne i dobrze zachowane skamieniałości. Przytaczam w następstwie dosłownie uwagi tego autora w tej sprawie:

»Mr. R. Bullen Newton, of the Natural History Museum, kindly looked through the specimens and found that *Pholas*, the well known boring mollusk, and *Cardium*, the cockle, were the commonest forms. He identified besides examples of *Arca*, (?) *Scrobicularia*, *Pteria* (?)

---

<sup>1</sup> The Age of the bitumen bearing beds of Southern Nigeria. By John Parkinson, M. A., F. G. S. — The Petroleum World. London. June 1910. str. 322.

*Gari*, a *Cuspidaria*, and a *Dentalium*. The only gasteropod mentioned was a small fusoid looking shell; lamellibranches, therefore, greatly predominated, the fauna being rich in individuals, and on the whole rather poor in species, though it should be remembered that but a limited area was examined. Mr. Newton thinks the beds are probably of Pliocene Age.

There can be but little doubt of the essential identity of these deposits — clays and sandy clays — with those to the westward in the country now being worked under the license of the Nigeria Bitumen Corporation; the great extent of the beds indicating that the coast line of this part of Southern Nigeria, viz., the Lagos Province, lay, at a period which, geologically speaking, is comparatively recent, some fifty miles to the north of the present position.

These Pliocene beds were doubtless deposited in shallow water. The discovery of shales, containing many impressions of leaves, not far of Epe, some sixty miles to the west of Aghabu, the rapid alternation of arenaceous and argillaceous beds of lenticular character, and also the types of fossils found, strongly suggest that land was not far off.

Sam tych warstw ze skamieniałościami na powierzchni nie znalazłem. Tylko z kilku wierceń posiadam nieliczne skorupki o bardzo młodem wejrzeniu. Zresztą mogę tylko potwierdzić wszystkie powyższe uwagi Parkinsona.

Mamy tu więc na podkładzie gneisowym bardzo młodą (prawdopodobnie plioceńską) formację wybrzeżną o charakterze wybitnie fliszowym, jeszcze tektonicznie nie zaburzoną, tylko słabo ku południowi nachyloną. Formacja ta zawiera w pewnych partyach znaczniejsze ilości smołowatego bituminu.

Dawniejsze moje badania, wykonane głównie w środkowej i południowej Ameryce, doprowadzają mnie do wniosku (który przy innej sposobności bliżej uzasadnię), że takie młode pokłady asfaltu i bituminu, jak powyżej opisane, i w takich warunkach występujące, nie są wyparowanym olejem skalnym (naftą), od którego zresztą wybitnie się różnią, lecz raczej jeszcze niezupełnie przeobrażonym materiałem organicznym, który dopiero pod górotwórczym i fałdującym ciśnieniem mógłby się rozszczepić na prawdziwą płynną naftę i na gazy naftowe. Przez dalej postępujące fałdowanie warstw większe ilości tak utworzonej nafty i gazów mogą być nagromadzone



głównie na grzbietach antyklinal, co potwierdzają prawie wszystkie ważniejsze dotąd poznane obszary naftonośne.

Z drugiej strony olej, nagromadzony w takich warstwach, może być w znacznej mierze lub zupełnie wypartym przez wkraczającą tam wodę, jeżeli temu nie przeszkodzi odpowiednie fałdowanie warstw lub izolacja za pomocą znaczniejszych pokładów nieprzepuszczalnych.

Z powyższych rozważań wynika, że nawet znaczne powierzchnowe występowania asfaltu i bituminu jeszcze wcale nie są dowodem, że w pobliżu, albo głębiej, muszą się znajdować większe ilości oleju skalnego.

Powyżej przedstawione stosunki w południowej Nigeryi zdają się potwierdzać te poglądy.

Dodać tu należy, że najgłębsze, dotąd tam wykonane wiercenia Nr. 6 w Abuliyagba do 650 mtr. i Nr. 9 w Idakun do 725 mtr. jeszcze tej formacji w całości nie przebiły. Wnosząc jednak z coraz większej ilości egzotycznych brył gneisu, napotykanych w tych wierceniach, przypuścić należy, że podstawa, złożona z gneisu, już nie będzie bardzo głęboko.

## II. Secondi, Axim, Beyin.

Proste, równe i płaskie wybrzeże, ciągnące się od Nigeryi ku zachodowi przez Dahomey i Togo do Wybrzeża Złotego, występujące ku południowi wybitniej tylko przy delcie rzeki Volta, urozmaica się nieco i staje skalistem w okolicach przylądka Cape Three Points między Secondi a Axim.

Strome i urwiste ściany, pojawiające się koło Secondi (takie same utwory występują także koło Accra i Cape Coast), składają się przeważnie z charakterystycznej formacji piaskowcowej.

Najlepsze odsłonięcia, rozszerzone wkopem kolejowym (z Secondi prowadzi kolej żelazna na północ do Tarquah i Kumasi, razem około 200 klm.), znajdują się na zachodnim stoku wzgórza, na którym wznosi się fort w Secondi.

Są to prawie poziomo ułożone grube ławice piaskowca czerwonego z partiami i warstewkami szaremi, zielonawymi, żółtawymi, z wtrąceniami ilastymi, z partiami, przechodzącymi w grube zlepieńce. Po części są one kruche, po części zwięźlejsze. W swej masie okazują często warstwowanie transwersalne, a na powierzchni warstw rozmaite nierówności. Jednym słowem jest to typowy utwór

pustyniowy, i nie różni się nawet w najdrobniejszych szczegółach od naszego dewońskiego Old Redu. Czy jednak można mu przypisać wiek dewoński, czy też inny, tego oczywiście rozstrzygać nie można, dopóki nie znajdą się w tym utworze charakterystyczne skamieniałości. W każdym razie nie jest to formacja młoda, i najprawdopodobniej trzeba ją będzie uważać za paleozoiczną.

W kilku miejscach na wschód od Secondi leżą na tym piaskowcu transgresywnie czerwone i szare iły łupkowe i margle z warstewkami jasnych piasków i żwirów. Są to utwory niezawodnie młode, może trzeciorzędne.

Wszystko pokrywa znów silnie rozwinięta dyluwialna formacja laterytowa.

Dalej ku zachodowi coraz więcej występuje skalistych przyłądków, wysepek i raf podwodnych, bardzo niebezpiecznych dla żeglugi, spowodowanych przez występowanie od lądu ku morzu licznych i znacznych intruzji (dykes) starych skał wybuchowych.

O skałach tych z okolicy Axim podali już kilka wiadomości Gumbel<sup>1</sup> i Gürich<sup>2</sup>.

Przeważa między temi skałami ciemna, zbita, brylasto dzieląca się skała typu diabazowego.

Starożytny fort w Axim zbudowany jest na takiej skale diabazowej.

W innej skale na wschodniej stronie tej miejscowości występują wąskie żyły białego kwarcytu, czerwonej skały granitowej oraz liczne wydzielienia piritu.

Przywiezione stamtąd okazy wymagają jeszcze dokładniejszego zbadania petrograficznego.

Zachodnie wzgórze Aximu urywa się stromo po stronie morza i okazuje, podobnie jak w Secondi, na samym dole czerwone, zapewne stare piaskowce, wyżej młodsze pstre iły łupkowe, bardzo tylko słabo odsłonięte, lecz widocznie zaburzone, a wszystko pokryte bardzo silnie rozwiniętym laterytem.

Mała zatoka, która się tu wcina dość głęboko, jest prawie zawsze mocno czerwono zabarwiona mętem, pochodzącym z rozmycia

---

<sup>1</sup> C. W. Gumbel, Beiträge zur Geologie der Goldküste in Afrika. Sitzungsber. math.-physik. Cl. d. k. b. Akad. d. Wiss. München. XII, 1882, S. 190.

<sup>2</sup> G. Gürich, Beiträge zur Geologie von Westafrika. Ztschr. deut. geol. Ges. XXXIX, 1887, S. 112—116.

tej gliny laterytowej, i fale morskie jeszcze dość daleko od brzegu unoszą i osadzają potem ten czerwony osad.

Na zachód od Axim prowadzi dość dobra droga aż do rzeki Ankobra, przekraczając jeszcze kilka pagórków, zakończonych w morzu skalistymi przylądkami, złożonymi ze skał typu diabazowego. Nad Ankobrá w pobliżu jej ujścia do morza (około 5 klm. na zachód od Axim) kończą się te i inne skały krystaliczne, między którymi zwracają uwagę mocno powyżerane, popękane żelaziste kwarce, po części złotożółte. Alluvia rzeki Ankobry, zwłaszcza wyżej, mają zawierać dość znaczną ilość złota.

Od ujścia Ankobry ku zachodowi ciągnie się płaskie wybrzeże, przeważnie piaszczyste, bez jakichkolwiek starszych wypiętrzeń skalnych. Dopiero o 40 klm. dalej w miejscowości Beyin wpada w oczy, że ruiny tamtejszego starożytnego fortu złożone są prawie wyłącznie z szarego wapienia, przepełnionego skorupami małży.

Ponieważ materyał, użyty do budowy tego fortu, nie mógł pochodzić z wielkiej odległości, więc usiłowałem dowiedzieć się, gdzie w tych okolicach takie wapienie występują. Dowiedziałem się tylko, że kamieniołomy, z których ten materyał pochodził, znajdowały się jeszcze o kilka kilometrów dalej ku zachodowi koło miejscowości Kangan, ale mimo licznych starań o protekcję czarnego »króla« z Beyin, nie dopuszczono nas do tych miejsc, ukrytych w gęstych lasach i moczarach.

Szczęściem jednak, nad samym morzem koło Kangan udało mi się przy pomocy zaufanego murzyna odgrzebać z piasku małą odkrywkę, gdzie wapien ten pojawia się na powierzchni, i stąd zebrałem nieco materyału do dalszych badań. Nadto występuje ten sam wapien jako materyał egzotyczny miejscami bardzo obficie i dalej ku zachodowi w młodszych piaskach i ilach, skąd, jak również i z ruin zamku w Beyin, jeszcze więcej tego materyału wydobyłem.

P. dr. Wojciech Rogala zajął się na moją prośbę bliższem opracowaniem tego zbioru. Główne dotychczasowe wyniki tych badań podane będą na końcu tej rozprawy.

### III. Występowanie nafty na Złotem Wybrzeżu.

W zachodniej części Złotego Wybrzeża, na przestrzeni między Half Assinee, Beyin i rzeką Tano, znanych jest kilka punktów, gdzie występują wycieki nafty oraz gazy palne. Najważniejsze z tych wystąpień są następujące:

1. Między Stoepville (Topo) i Takinta kilka naturalnych dołków z olejem skalnym i słabymi gazami. Dawniejsze wiercenia znalazły tu także i głębiej naftę (koło Takinta stare wiercenie Nr. 1 kilkakrotnie natrafiało na ślady nafty aż do głębokości około 250 mtr.).

2. Między Takinta i rzeką Tano.

3. Dokoła laguny Domini między Bokakreh i Bonyere znajdują się rozległe liczne wycieki nafty w towarzystwie gazów. W studni Nr. 1 w Bokakreh natrafiono w głębokości około 20 mtr. na znacznie większą ilość płynnego, dość gęstego, słabo fluoryzującego oleju skalnego o charakterystycznym zapachu z gazami.

4. Na północny wschód od Tikwabo wycieki gęstego oleju z gazami.

Formacja naftonośna, o ile ją można rozpoznać z nielicznych odkrywek naturalnych i sztucznych, oraz z wykonanych dotychczas wierceń, pokryta jest w wyższych częściach terenu (lasem pokryte pagórki wznoszą się tu do 60—80 mtr. nad poziom morza) grubą powłoką formacji laterytovej, pod którą zdołałem wyróżnić od góry do dołu następujące serie warstw:

1. Pstre iły (czerwone, sine, szare, czarne i białe) 8—10 mtr.

2. Przeważnie piaski i kruche piaskowce miejscami z ropą naftową, zwykle zalane słodką wodą, około 30 mtr.

3. Ciemny (czarny lub szary) ił z partiami piaszczystymi, z bardzo licznymi małymi i dużymi bryłami twardego szarego wapienia, przepelnionego skorupami (jest to ten sam wapień kredowy, który widzieliśmy koło Beyin), z konkretyami piryty, szczątkami zwęglonych roślin i t. p. Razem około 25—30 mtr.

4. Naprzemianległe znaczne pokłady piasku, piaskowca i ciemnych iłów, dotychczas nie przebito.

Charakterystycznych skamieniałości, pozwalających na dokładniejsze określenie wieku tej formacji, niestety nigdzie nie znalazłem. Musi ona jednak być znacznie młodszą od najwyższej kredy, do której należą wyżej wspomniane wapienie, występujące w tej formacji naftonośnej pod postacią licznych brył egzotycznych, a nadto całe wejrzenie tych utworów przemawia za ich wiekiem, prawdopodobnie młodo trzeciorzędnym, t. j. miocenijskim, albo nawet pliocenijskim.

Warstwy tej formacji są w ogóle bardzo płasko ułożone, lecz okazują przecież wyraźne słabe nachylenie ku południowemu zachodowi, a nadto nie jest wykluczonem, że istnieją w niej także po-

czątki fałdowań, ponieważ cała ta formacja wydaje się jakoby wgnieciona pomiędzy skały znacznie starsze. I tak znajdujemy nad rzeką Tano około 6 klm. na północ od przystani Alenda Wharf mocno zaburzone i stromo wzniesione łupki krystaliczne (fyllity) i kwarcyty, tworzące niewątpliwie północny brzeg formacji naftonośnej; koło Kangan (na wschód od Bonyere, a na zachód od Beyin), na samym brzegu morskim, a więc po południowej stronie formacji naftonośnej, owe wyżej omówione zbite wapienie kredowe, dalej zaś na wschodzie koło Ankobry i Axim również już wspomniane stare skały krystaliczne i jakoby przyciśnięte do nich młode, pstre ily.

Jest więc bardzo prawdopodobnem, że warstwy formacji naftonośnej, ułożone nad i pomiędzy temi starymi skałami, jak gdyby pomiędzy klinami, uległy już częściowo fałdowaniom, i wskutek tego mogą zawierać jeszcze partye, w których zebrały się znaczniejsze ilości oleju skalnego i gazów, ochronione przeciw wyparciu przez wodę.

Dalsze racjonalnie założone i prowadzone wiercenia w obrębie tego obszaru zdołają zapewne rozstrzygnąć tę tak dla nauki, jak i dla praktyki doniosłą kwestyę.

#### IV. Pokłady bitumiczne koło Eboindy.

Także w kolonii francuskiej Wybrzeża Kości Słoniowej (Côte d'Ivoire) występują w pobliżu miejscowości Eboinda na północnej stronie laguny Tendo w kilku miejscach skały bitumiczne, na których podstawie wykonano i tutaj kilka szybów i wierceń w celu poszukiwania nafty, dotychczas jednak bez pomyślnego rezultatu.

Nieco ku wschodowi od wsi Eboinda, tuż przy brzegu laguny, pojawia się bezpośrednio pod grubą powłoką dyluwialnego laterytu piaskowiec zupełnie przepojony brunatnym bituminem. Piaskowiec ten okazuje niewyraźne warstwowanie ze słabem nachyleniem ku połudn.-zachodowi.

Dalej ku północy, w kopanych szybach próbnych Nr. 5 i 7, taki sam piasek i piaskowiec, przesiąknięty bituminem, został przebity w głębokości między 15 i 27 mtr., pod czem nastąpił pokład twardego, gruzłowatego wapienia żelazistego, margłowatego lub krzemienistego, oraz twarde ily piaszczyste z nader licznymi skorupkami i innymi szczątkami organicznymi. I ten pokład przepojony jest smołowatym bituminem. Dotychczasowe badania, wykonane przez Dra Rogalę, wykazały wiek górnokredowy tego utworu. Nigdzie indziej

w okolicy tych warstw nie znaleziono. Przebite w innych szybach piaski, iły i piaskowce są różne i wyglądają młodziej (może miocen lub jeszcze młodsze). Kreda zdaje się tworzyć tu małą wysepkę, otoczoną młodszym trzeciorzędem.

Także na zachód od szybu Nr. 5 w sąsiednim wąwozie pojawia się zwięzły piaskowiec, przesiąknięty stałym bituminem.

Wiercenia Nr. I, IV i VIII przebijały naprzemian pokłady jasných piasków i piaskowców z szarymi, niebieskimi, czerwonymi i białymi ilami, najczęściej z wielkimi przypływami wody, i tylko w wierceniu Nr. IV (na pagórku na zachód od wsi) natrafiono rzekomo w głębokości 395 mtr. na ślad nafty (»oil show«).

Nigdzie tu nie znalazłem prawdziwego płynnego oleju skalnego, i nie sędzę, ażeby występujący tu asfaltowaty bitumen był wyparowaną naftą, lecz, podobnie jak w Nigeryi, uważam tę smołowatą masę raczej za młodą materię bitumiczną, która jeszcze nie zdołała się przeobrazić w węglowodory lżejsze, płynne i gazowe.

## V. Sedymentacya na wybrzeżach.

W r. 1900 miałem sposobność studyowania warunków sedymentacyi na płaskich wybrzeżach okolic podzwrotnikowych, głównie w delcie rzeki Orinoco i na wyspie Trinidad (południowa Ameryka). Rezultatem tych badań była rozprawa »o pochodzeniu fliszu«<sup>1</sup>.

Usiłowałem wówczas wykazać, że różnowiekowe formacye faciesu fliszowego są utworami właśnie takiej sedymentacyi przy płaskich wybrzeżach morskich w wilgotnym klimacie podzwrotnikowym, przy współdziałaniu wpadających tam rzek o zmiennym stanie wody i bujnej wegetacyi wybrzeżnej. Takimi dawniejszemi formacyami fliszowemi są, jak wiadomo, między innemi, flisz alpejski, piaskowiec wiedeński, piaskowiec karpacki, macigno apeniński i t. p.

Obecnie zdołałem znacznie rozszerzyć zakres analogicznych obserwacyj na wybrzeżu gwinejskiem w Afryce, i w dalszym ciągu pozwolę sobie zauważone tam objawy bliżej opisać.

Prawie całe wybrzeże gwinejskie od Sierra Leone, przez Liberyę, Wybrz. Kości Słoniowej, Złote, Togo, Dahomey, Nigeryę do Kamerunu,

---

<sup>1</sup> Kosmos XXVI, Lwów 1901, str. 232 i nast. Także po niemiecku: »Ueber die Entstehung des FLYSCH« w Ztschr. f. prakt. Geol. Berlin 1901, August — i późniejszy dodatek »Zur FLYSCHENTSTEHUNGSFRAGE« w Verh. geol. Reichs-Anst. Wien 1904, Nr. 8.

t. j. na długości około 2500 klm., jest bardzo równe i płaskie. Z tego prawie prostoliniowego wybrzeża występuje ku morzu tylko wielka i płaska delta rzeki Niger, potem bardzo jeszcze nieznaczna delta rzeki Volta, kilka skalistych przylądków, złożonych ze skał krystalicznych, jak Cape Three Points, Cape Palmas i koło Sierra Leone, a wreszcie kilka małych partyj piaskowcowych (Accra, Cape, Coast, Secondi). Poza tymi nielicznymi punktami widzimy tu wszędzie tylko zupełnie płasko ułożone piaski wybrzeżne, z domieszkami namułu, przerywane od czasu do czasu większemi i mniejszemi rzekami i potokami, odprowadzającemi wody lądowe do morza (Ancobra, Twin river i inne).

Tylko w pobliżu owych skalistych partyj gromadzą się, pod wpływem fal morskich, znaczniejsze masy grubszych i drobniejszych żwirowisk litoralnych, a poza tem mamy wszędzie i na olbrzymich przestrzeniach tylko piaski i namuły.

Na całym tem długim wybrzeżu gwinejskiem niema ani jednego, dobrego, naturalnego i odpowiednio głębokiego oraz chronionego portu.

Wszędzie błotne i piaszczyste mielizny sięgają daleko w morze, i okręty muszą stawać na przystaniach na kilka do kilkunastu kilometrów daleko od brzegu, znajdując dopiero w tej odległości głębie około 20—30 metrów.

Te stosunki litoralne są tylko wynikiem skombinowanej czynności akumulacyjnej morza i wpadających do niego rzek, w związku z budową geologiczną i stosunkami klimatycznymi.

Objawy te zasługują na bliższe rozpatrzenie.

Jak wiadomo z prac dawniejszych, i jak zauważono już po części powyżej, główną podstawę tej części kontynentu afrykańskiego tworzą skały starokrystaliczne, jak fyllity, kwarcyty, gnejsy, oraz stare skały wybuchowe (diabazy i t. p.).

Południowy brzeg tej starej masy kontynentalnej pojawia się na zachodzie nad morzem koło Freetown (Sierra Leone) i daje się śledzić ku wschodowi aż do Kamerunu<sup>1</sup> w zmiennej odległości 30—100 klm. na północ od dzisiejszego wybrzeża morskiego, wysyłając jednak miejscami skaliste wypustki aż do samego morza, jak to widzieliśmy w ujściu Ankobry, koło Axim i t. d.

---

<sup>1</sup> Por. Guillemain, Beiträge zur Geologie von Kamerun. Abh. preuss. Geol. Landesanst. Berlin, 1909.

Na południe od tej, także orograficznie wyraźnie występującej krawędzi, mamy tylko jeszcze kilka pomniejszych starszych wystąpień, jak wspomniane poprzednio czerwone piaskowce (dewon?) koło Accra i Sekondi, oraz wapienie kredowe koło Beyin.

Całą resztę wybrzeża zajmują od owej krawędzi skał krystalicznych na południe płasko ułożone i przeważnie słabo ku południowi nachylone, do kilkuset metrów miąższości dochodzące młode pokłady piasków, piaskowców, zlepieńców i pstrych ilów, po części z zawartością nafty i bituminu, wieku zapewne miocenkiego i młodszego.

Wszystko to pokrywa w partyach wyżej położonych i pagórkowatych potężna formacja laterytowa (dyluwium), w niskich zaś częściach przybrzeżnych sedimentacja rzeczna, lagunowa i morska dzisiejsza.

Klimat tego wybrzeża (między 4 i 6 stopniem półn. szerokości) jest typowo podzwrotnikowym. Pora deszczowa trwa tam średnio od kwietnia do listopada, z małą zwykle przerwą w sierpniu. W tym czasie panują tam obok nader gwałtownych ulew i nawałnic także długotrwałe mgły i deszcze, powodujące bardzo znaczne wezbrania i wylewy rzek. Od grudnia do marca trwa pora względnie sucha, ale i wtedy deszcze i mgły nie są bardzo rzadkie, a atmosfera jest zawsze przesycona wilgocią.

Pierwszym skutkiem takiego klimatu jest niezmiernie bujna wegetacja, oraz nader intensywnie wietrzenie i rozluźnianie skał. Tak n. p. nad rzeką Tano w dość znacznych urwiskach brzeżnych, złożonych z fyllitów tak były te skały zwietrzałe i »zgniłe«, że zaledwie z trudnością udało mi się wydobyć kilka okazów możliwych do przechowania.

Z owej wyżyny centralnej poprzednio wspomnianej spływa ku morzu, t. j. ku południowi, gęsta sieć większych i mniejszych rzek i potoków. Łatwo sobie wyobrazić, jak wygląda woda tych rzek wśród takich stosunków klimatycznych. Jest ona zawsze mętna i unosi wprost olbrzymie masy namułu mineralnego oraz substancyj organicznych, przeważnie pochodzenia roślinnego. Kolor mętu i wody jest zwykle brunatny z powodu znacznej domieszki rozkładających się substancyj organicznych. Po nagłych jednak i obfitych ulewach występuje lokalnie często zabarwienie intensywnie czerwone, pochodzące od rozmytego i spłukanego laterytu, tego specjalnie podzwrotnikowego produktu wietrzenia.



Całą tę olbrzymią masę osadów wnoszą te rzeki i potoki do morza, i tu rozpoczyna się ich akumulacja znów w warunkach osobliwych.

Fale morskie, stale bijące ku lądowi, a więc w naszym wypadku ku północy, zatrzymują w najwyższym pasie wybrzeżnym materiały skalne grubsze i cięższe, jak żwiry i piaski wnoszone przez rzeki i odbijane od skał litoralnych, i tworzą z nich znane i równe wały wybrzeżne. Te wały wybrzeżne tamują coraz bardziej odpływ rzek do morza i powodują albo powstawanie u większych rzek często bardzo skomplikowanych delt, albo też tworzenie rozległych i płytkich lagun litoralnych, mających tylko utrudnioną komunikację z morzem.

Jeden taki łańcuch lagun ciągnie się od delty Nigru ku zachodowi aż poza miasto Lagos na długości przeszło 200 kilometrów.

Inny szereg lagun towarzyszy tworzącej się delcie Volty i rozciąga się wzdłuż wybrzeża na długości prawie 100 klm.

Obok wielu mniejszych występuje wreszcie największa na tem wybrzeżu serya lagun, zaczynająca się przy zachodniej granicy Wybrzeża Złotego i sięgająca wzdłuż Wybrzeża Kości Słoniowej na długości prawie 300 klm. Laguny te obejmują ujścia rzek Tano, Bia, Komoe, Bandama i wielu innych pomniejszych.

Woda tych lagun jest już w znacznej mierze wysłodzona. Tylko tam jeszcze, dokąd dochodzi przypływ morza (różnica stanu wody między przypływem i odpływem morza dochodzi w tych stroinach mniej więcej do 2 metrów) i podczas pory suchej, gdy rzeki nieco mniej wody słodkiej do morza przynoszą, zawartość soli w lagunach nieco się podnosi i dalej w górę sięga.

Brzegi tych lagun zdobywa zaraz nader bujna roślinność, a jej dno akumulacja rzeczna. Najbliżej morza, i tam, dokąd dochodzi jeszcze wpływ wody słonej, rozrastają się nader szybko na piaskach palmy kokosowe, a w namule mangrowy i pandany, poza granicą zaś wody morskiej niezmiernie urozmaicona roślinność słodkowodna i lądowa.

Rzeki, jak już wyżej wspomniano, wnoszą tu mnóstwo osadu mineralnego, tworząc najpierw bezpośrednio przy ujściu, a potem i dalej rozległe mielizny piaszczyste lub błotniste, których najpierw czepiają się bujne trawy i szuwary, później małe krzaki, wreszcie wielkie drzewa, zamieniając mieliznę w moczarową wyspę lub przylądek, a wreszcie w ląd gęstym lasem pokryty.

Laguna, początkowo stale wodą wypełniona, z czasem staje się zarośniętym moczarem podczas suchej pory roku i napełnia się wodą tylko podczas wylewów pory deszczowej, a wreszcie, gdy nie zmienia się stosunki linii wybrzeżnej, zupełnie zniknie i zamieni się w stały ląd. Rzeki, które ją w powyższy sposób zamuliły, muszą sobie znaleźć nowy odpływ do morza i rozpoczynają nowy cykl czynności, zdążających do ponownego zdobycia dalszego obszaru na rzecz lądu.

Są to wprawdzie zjawiska znane i już nieraz opisywane, lecz mało gdzie występują one tak wybitnie we wszystkich stadiach rozwoju i na tak rozległym obszarze, jak na wybrzeżu gwinejskiem. Trzeba je na miejscu widzieć i badać, ażeby należycie ocenić ich wielką doniosłość geologiczną.

Dłuższy czas przebywałem w pobliżu małej, ale charakterystycznej laguny Domini w zachodniej części Wybrzeża Złotego między wioskami murzyńskimi Bonnyere i Bokakreh. Od północy otaczają ją pagórki do 60 mtr. wysokie, złożone w głębszej części z ilów, piaskowców i piasków zapewne młodo trzeciorzędnych (formacja naftonośna), a w wyższej z grubej pokrywy laterytowej, porośnięte gęstym lasem.

Od strony morza (południe) zamyka ją piaszczysty wał wybrzeżny.

Do laguny tej wpada kilka mniejszych rzeczek i potoków, wnoszących tam zwłaszcza podczas ulewnych deszczów znaczną ilość namułu, oraz zawsze bardzo wiele rozkładającej się substancji organicznej. Odpływ wody do morza jest bardzo utrudniony przez ów wał wybrzeżny, a czasem nawet zupełnie zamknięty. Za czasu mego pobytu ułatwiono po części komunikację laguny z morzem przez przekopanie wału. Każdy przyptyw morza wrzuca do laguny nieco słonej wody, która się podczas następnego odpływu znów po części wysładza. Obecnie woda laguny jest jeszcze wyraźnie słona, ale wysłodzenie jej przez dopływające potoki postępuje.

Głębokość wody w lagunie jest nader mała i chyba nigdzie nie przekracza 1 metra. W wielu miejscach jest tak płytka, że nawet bardzo lekkie i płaskie małe łodzie murzyńskie ocierają się o dno lub osiadają na mieliznach.

W stronie bliższej morza i wału brzeżnego na dnie przeważa piasek, podczas gdy dalej od morza osadza się tylko gęsty czarny namuł, wydzielający obficie siarkowodor, gniją tam bowiem liczne resztki organizmów tak zwierzęcych, jak roślinnych. Ławice pia-

szczyste bliżej morza pokrywają jeszcze liczne kolonie dużych ostryg ale już tylko skorup, ponieważ same zwierzęta już tam żyć nie mogą.

W namule znajdują się także dość licznie małe skorupy ślimaków morskich (*Turritelle* i inne), ale zwierzęcia w nich nie znalazłem. Są to zabytki fauny morskiej z czasu, gdy tu jeszcze była lepsza komunikacja z otwartym morzem.

Brzegi oraz liczne kępy i wysepki zarastają obficie mangrowy oraz pandany, i one to niewątpliwie dostarczają osadom największej ilości rozkładającej się substancji organicznej.

Woda odpływająca do morza jest ciemno brunatna i cuchnąca, i jeszcze daleko na morzu widzieć można to brunatne zabarwienie, oraz gęstą żółtą pianę, roznoszoną od ujść tej i innych lagun na falach morskich i wyrzucaną znów w innych miejscach na płaskim wybrzeżu.

Oczywiście, w innych większych lagunach, pokrywających setki i tysiące kilometrów kwadratowych, okazują się te same stosunki sedymentacyjne w znacznie większych rozmiarach.

Przypatrmy się teraz samemu brzegowi morskemu.

Jak wynika z przedstawienia poprzedniego, morze przy całym tem wybrzeżu jest aż do znacznej odległości bardzo płytkie. Izobata stumetrowa oddalona jest od dzisiejszego brzegu wszędzie na 50 do 100, a nawet więcej kilometrów, co daje średnie nachylenie dna morskiego przy brzegu 1—2 mtr. na kilometr. Z tego też wynika, że sama różnica poziomu wody między przypływem i odpływem morza, która, jak wyżej wspomniałem, wynosi tu około dwa metry, sprawia, że podczas odpływu morze cofa się od brzegu o kilkaset, a miejscami prawie o 2000 mtr.

Tylko w pobliżu skalistych przylądków, których jest bardzo mało, istnieją zatoki nieco głębsze, zasypywane zwolna przez grubsze żwiry i otoczyska, odbijane od skał wybrzeżnych i obrabiane przez fale morskie. Na żwirach tych porastają w niektórych miejscach (n. p. koło Axim) dość obficie gronkowate różnobarwne algi wapienne, głównie *Lithotamnia*.

Bardzo przeważającą część tych wybrzeży, często na 100 klm. i więcej bez zmiany, tworzą grubsze i drobniejsze piaski morskie. Te partie piaszczyste wybrzeża tworzą podczas odpływu morza najwygodniejszy szlak komunikacyjny tych okolic.

Stosownie do bliższego lub dalszego otoczenia (n. p. skał wy-

brzeżnych, ujścia rzek i t. p.) okazuje się i tutaj pewne urozmaicenie w sedymentacji.

I tak znajdujemy n. p. w pobliżu skał piaskowcowych koło Accra i Secondi prawie tylko czysty, dość gruby piasek. Fale morskie wyrzucają tu stosunkowo tylko niezbyt wiele skorup małży i ślimaków, czasem tarcze sepii i nieco wodorostów. Skorupy w innych miejscach liczniej nagromadzone ulegają szybko rozdrobnieniu i roztarciu, tak, że lokalnie tworzy się lumachela, z okruchów tych skorup i piasku złożona.

Nieco odmiennie przedstawia się sedymentacja na wybrzeżu od ujścia Ankobry ku zachodowi do Beyin, t. j. na długości około 40 klm.

Na całej tej przestrzeni mamy brzeg bardzo płaski i bardzo prosty. Odpływ morza odsłania pas litoralny szerokości 1 klm., a miejscami i szerszy. Rzeki Ankobra, Twin river i liczne potoki pomniejszych wnoszą tu dość wiele mętu i bardzo wiele substancji organicznej, zabarwiającej brunatno fale morskie i roznoszonej potem i wyrzucanej wraz z piaskiem i namułem wzdłuż wybrzeża.

W najwyższej części wybrzeża osadza się tu prawie czysty, drobny piasek, niżej jednak coraz więcej jest ciemnej lub prawie czarnej roztartej masy mulistej oraz mnóstwo drobnego miału roślinnego, powodujących w piasku wąskie warstewkowanie lub wstęgowanie. Podczas odpływu widzieć tu można powierzchnię na wielkich przestrzeniach pokrytą szerszemi i węższymi pręgami falistemi (ripple marks), śladami robaków, krabów i innych ryjących i pełzających organizmów. Wyrzucanych skorup ślimaków, ostryg, sercówek, przegrzebków i innych małży jest tu stosunkowo niewiele. Rzadko znajdują się tu wyrzucone gwiazdy morskie i płaskie jeżowce, częściej wielkie meduzy i holoturye, które niebawem giną i zasychają, pozostawiając na powierzchni namułu i piasku jakieś problematyczne odciski przy ponownym pokryciu przez osady, przeniesione na tę nieco obeschłą powierzchnię przez powracającą falę przypływu morskiego.

Jeszcze na jeden szczegół należy tu zwrócić uwagę.

Ujścia niektórych rzeczek do morza okazują bardzo wyraźne cechy odmładzania się, t. j. wcinają się pionowo w bardzo młode osady morskie na metr i więcej głębokości. Powstają tak małe terasy, leżące dziś ponad najwyższym poziomem morza, a jednak złożone z zupełnie poziomo warstwowanych i zupełnie świeżych

osadów (przeważnie piasków) tego samego morza i z takimi samymi szczątkami organizmów, jak dziś osadzane w najbliższym sąsiedztwie, tylko nieco niżej. Są to niewątpliwe cechy powolnego podnoszenia się wybrzeża.

Bardzo młode (czwartorzędne) podniesione terasy wybrzeżne zauważył także Chautard<sup>1</sup> dalej na półn. zachodzie w okolicach przylądka Zielonego (Senegal). Terasy te znajdują się tam na wysokościach około 5, 15, 25, a nawet 45 metrów nad dzisiejszym poziomem morza.

Z drugiej strony widzieliśmy poprzednio, że wiercenia, wykonane w Nigeryi i na wybrzeżach Złotem i Kości Słoniowej, przebiegały do kilkuset metrów pokłady także stosunkowo młode (nie starsze od miocenu), złożone z piasków, piaskowców, zlepieńców i ilów, osadzonych niewątpliwie w takich samych warunkach, jak sedymentacja dzisiejsza tych samych wybrzeży.

Wszystko to razem dowodzi niezbicie, że już w najmłodszych okresach geologicznych, t. j. od młodszego trzeciorzędu począwszy, odbywają się w tych stronach bardzo znaczne oscylacje linii wybrzeżnej, i to tak w kierunku dodatnim, jak i ujemnym.

## VI. Historia geologiczna zachodniej Gwinei.

Stara masa kontynentalna Indoafryki czyli Gondwany Suessa niewątpliwie rozciągała się bardzo daleko na zachód i południe od dzisiejszej Gwinei, tak, że występujące tam dziś skały starokrystaliczne są tylko małą, jeszcze nie zapadniętą resztą tego rozległego kontynentu.

Najbliższą wiekiem formacją są na wybrzeżu wapienie górno-kredowe z okolic Beyin oraz z Eboindy. Są to, jak widzieliśmy wyżej, wapienie oraz margle i iły z fauną czysto morską o charakterze wyraźnym kredy indyjskiej.

Obecność tych utworów kredowych dowodzi, że zapadnięcie zatoki gwinejskiej musiało nastąpić albo w czasie przedkredowym, albo z początkiem tego okresu, charakter zaś indyjski znalezionej tu fauny kredowej wskazuje na związek morza górno-kredowego Gwinei z wielką i rozległą transgresją kredową indo-medyterrańską.

---

<sup>1</sup> Jean Chautard, La faune de quelques plages soulevées des côtes du Sénégal et de la Mauritanie. Bull. Soc. géol. de France, IV, Sér. T. IX, 1909, p. 392—394.

W okresie trzeciorzędnym, i to prawdopodobnie dopiero w jego późniejszej części (miocen-pliocen) rozpoczyna się przy tem wybrzeżu sedymentacja płaskiego wybrzeża z częstymi oscylacjami, z tworzeniem delt i lagun, i prawdopodobnie ponownymi zalewami morskimi.

Sedymentacja ta o charakterze wybitnie fliszowym trwa do chwili obecnej.

Powstawanie lokalne bituminów i oleju skalnego jest niewątpliwie w związku z tymi utworami fliszowymi, i jest prawdopodobnie produktem przeobrażania się powolnego i stopniowego substancji organicznej przeważnie pochodzenia roślinnego, gromadzącej się w tych sedymentach.

Obecnie wybrzeże gwinejskie zdaje się być w stadium stopniowego dalszego podnoszenia się.

Nie mogę się oprzeć wrażeniu, że takie same warunki klimatyczne i sedymentacyjne, jakie dziś panują na wybrzeżu gwinejskiem, musiały panować w czasie epok kredowej i dolno trzeciorzędnej wzdłuż północnego brzegu geosynklinali alpejsko-karpackiej, gdzie powstały wtedy potężne pokłady fliszowe, z lokalnymi nagromadzeniami oleju skalnego.

Dokładniejsze opracowanie zebranych materiałów oraz niektórych poruszonych powyżej problemów zachowuję sobie do prac późniejszych.

### Dodatek.

P. dr. Wojciech Rogala podaje następujące wyniki badań, wykonanych nad moim materiałem paleontologicznym, zebrany koło Beyin, Kangan, Bonyere i Bokakreh na Wybrzeżu Żółtem i koło Eboindy na Wybrzeżu Kości Słoniowej:

»Poruczone mi do bliższego rozpatrzenia materiały paleontologiczne nie mogły być jeszcze wyczerpująco opracowane. Jednak kilka form, które poniżej podaję, dzięki dobremu ich zachowaniu, mogłem ściśle oznaczyć, i te świadczą dowodnie, że skały zawierające je są górnokredowego wieku — Maestrichtien.

Zbite, jasno- lub ciemno-szare, niekiedy brunatne wapienie z Kangan i Beyin, zawierające tu i ówdzie drobne wrostki pirytu lub limonitu, przepełnione są skorupami małży:

*Plicatula instabilis* Stol.,

*Roudairia auressensis* Coq.,

*Cytherea Rohlfsi* Quaas.,

*Cardita Beaumonti* d'Arch. (= *C. libyca* Zitt.).

Dwie ostatnie występują masowo, aczkolwiek i dwie pierwsze nie są wcale rzadkie.

Skały w Bokakreh i Bonyere różnią się od poprzednich, są to bowiem wapienste piaskowce lub iły, przepełnione również skamielinami, ale już gorzej zachowanymi. Ze skał tych, poddając je rozmarzaniu i kilkakrotnemu wygotowaniu w zwykłej wodzie, otrzymałem między innymi

*Roudairia auressensis* Coq.,

*Cytherea Rohlfsi* Quaas., ta ostatnia tworzy główną masę skamieniałości.

Z Bokakreh pochodzi również okaz takiego samego kamienia jak w Kangan i w nim znajduje się:

*Plicatula instabilis* Stol., obok innych, na razie nieoznaczonych gatunków.

Występujące w Eboinda utwory ze skamielinami przedstawiają piaszczyste iły, żelaziste i przepojone asfaltem. Niektóre partie są wapienne, a wtedy są zbite. Z powodu zawartości asfaltu nastroczają one wiele trudności w wydobywaniu ich skamielin, zachowanych przeważnie jako ośrodki jednego tylko gatunku: *Cardita Beaumonti* d'Arch.

Nie można już obecnie zużytkować pod każdym względem znalezienia się tych form, ale świadczą one w każdym razie o analogii zawierających je utworów z równowiekowymi utworami północnej Afryki.

Szczegółowy opis paleontologiczny znalezionych przez prof. Zuberę materyałów, jak i stratygraficzne wnioski z nich wysnute, będą w osobnej rozprawie pomieszczone\*.

---

#### Objaśnienie ilustracji.

- I. Sposób podróżowania w Gwinei za pomocą hamaku, niesionego przez czterech murzynów.
- II. Część wybrzeża i fort w Axim na przylądku, złożonym ze skały diabazowej. W dali widać jeszcze kilka podobnych skalistych przylądków i raf przybrzeżnych.

- III. Mangrowy (*Rhizophora*) zarastające lagunę Domini koło Bokakreh (Wybrzeże Złote).
  - IV. Pandany na brzegu laguny Domini koło Bokakreh (Wybrzeże Złote).
  - V. Skały czerwonego piaskowca i piaszczyste wybrzeże na zachód od Secondi (Wybrzeże Złote).
  - VI. Bardzo płaskie wybrzeże piaszczysto-muliste (typ fliszowy) na wschód od Beyin (Wybrzeże Złote).
-



Tabl. I



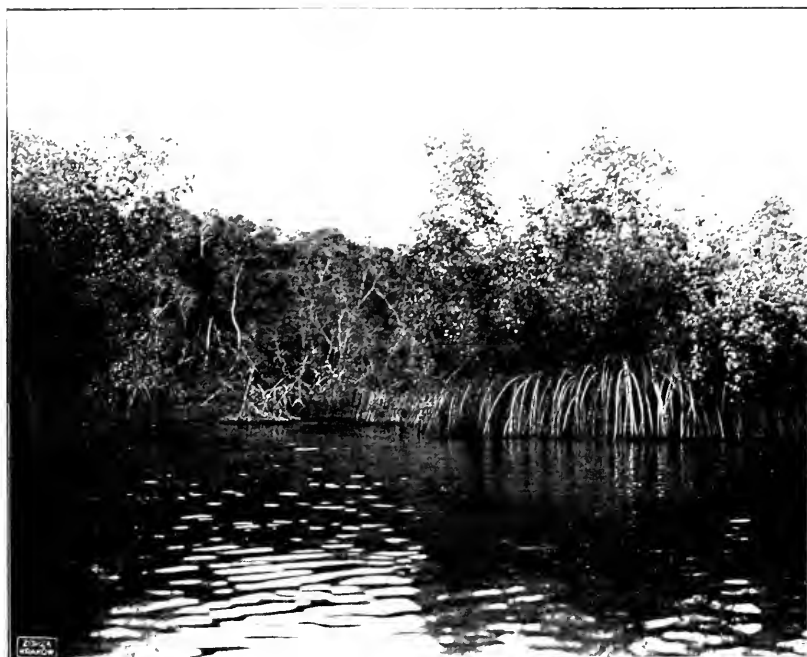
Rys. 1.



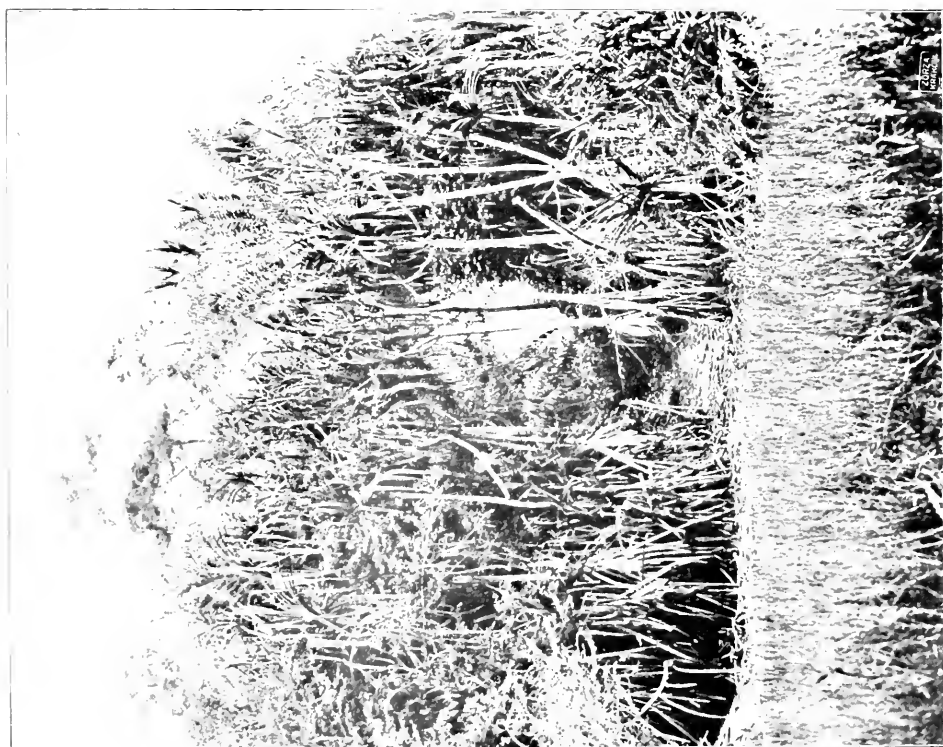
Rys. 2.



Tabl. II.



Rys. 3.



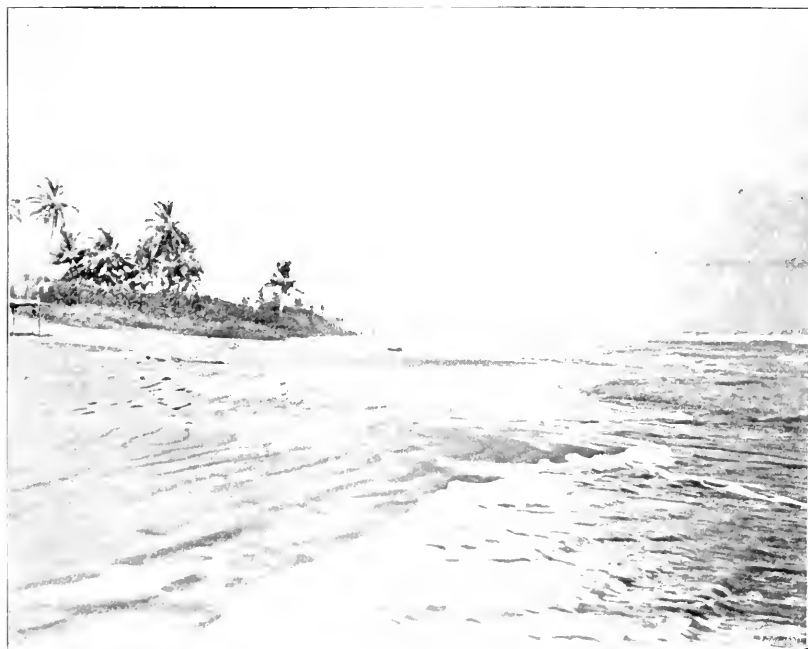
Rys. 4 w pozycji leżącej.



Tabl. III.



Rys. 5.



Rys. 6.



# OBJAWIENIE JAKO JEDNOLITY SYSTEM

napisał

Ks. JAN ŻUKOWSKI

Niniejszą pracę, wręczoną Komitetowi redakcyjnemu przez autora na krótko przed zgonem, z wyraźnie odjawionem życzeniem, żeby się ukazała w »Księdze pamiątkowej«, zamieszczamy tu, stosując się do woli Zmarłego, w całości i bez zmiany.

*Komitet redakcyjny.*



## I.

Objawienie boże nadprzyrodzone, czyli wiara w znaczeniu przedmiotowym i służąca tejże wierze umiejętność teologii, nie są nagromadzeniem, lub zlepkiem luźnych wiadomości, ale stanowią silnie spójną, organiczną całość, przedstawiającą jednolity system. Cóż to oznacza ten wyraz? Systemem nazywamy zestawienie większej ilości środków w ten sposób, by przez nie jakiś cel mógł być osiągnięty. Tak n. p. maszyna parowa, strzelba, zegar tworzą całość systematyczną. W porządku logicznym, czyli w dziedzinie prawdy, a zwłaszcza w umiejętności, gdzie chodzi o doskonałe poznanie jakiegoś przedmiotu, nazwiemy systemem ugrupowanie czyli układ wiadomości szczegółowych, który daje doskonałe poznanie przedmiotu. Umiejętność to nie zbiór luźnych twierdzeń, ale złączenie zewsząd zebranego materiału, dotyczącego wspólnego jakiegoś przedmiotu, w jednolitą budowę, w jeden system.

Taką jednolitą budowę tworzy Objawienie, a jeszcze bardziej służąca jego uprawie teologia. Kto zwrócił baczną uwagę na poszczególne składniki tej budowy, kto zrozumiał wzajemny ich związek i rację ich ugrupowania, kto dopatrzył się natury ich konstrukcyi, ten z łatwością zrozumie i przyzna, że poszczególne części tak się tu splatają ze sobą, tak są powiązane, iż ani jednej odrzucić nie można, nie obalając temsamem całości. Pozycye pierwsze kryją jakoby w zarodku następne, są ich źródłem, podstawą, zasadą; konkluzye dalsze aż do ostatnich opierają się na założeniach pierwszych i poprzednich, jako na swoich przesłankach. Jeżeli gdzie, to tu przede wszystkim należy zastosować wyrażenie przysłowiowe, że kto powiedział *a*, musi powiedzieć także *b*, kto uznał jedną prawdę, powinien się logiki dać się pobudzić do uznania następnych, z nią jako ze swoją przyczyną związanych. I jak w łańcuchu nie wolno naruszyć żadnego ogniwa, nie naruszając tem samem dalszego ich

szeregu, tak też i we wierze, oraz służącej jej umiejętności żadnemu twierdzeniu przeczyć nie wolno bez narażenia się na niepożądane zapewne posuwanie coraz dalsze na drodze przeczenia.

W całokształcie prawd objawionych jedne przedstawiają się jako źródło i założenie drugih; stąd rozróżnienie teologii ogólnej czyli podstawowej, fundamentalnej, i teologii szczegółowej. Pierwsza zakłada fundament, na którym wznosi się gmach drugiej. Albo: przy pomocy pierwszej — jeżeli użyjemy trafnego porównania z gmachem wspaniałym — przechodzień spotyka gmach przed sobą, ona wskazuje mu wejście i poucza, jak się doń dostać; specjalna zaś teologia oprowadza po wnętrzu i pokazuje poszczególne apartamenty.

Dobrze powiedział gdzieś Kraszewski, że »wiarą jest jak sklepienie, które, jeżeli zeń cegielkę wyjmiesz, runie wszystko«. Wiara jest jak dzwon, który choć w jednym punkcie zarysowany, głos ma rozbity; jak system planetarny, w którego prawach, normujących odległości, kierunek i chyżość, nic zmienić nie można.

Wyrazem zewnętrznym tej jedności, to ów formularz wiary, zwany symbolem czyli składem apostolskim, składający się z dwunastu części czyli artykułów. Wyraz symbol już etymologicznie oznacza coś zebranego, zestawionego, złożonego; artykuł zaś oznacza częśćkę, wchodzącą w skład całości organicznej, n. p. części palca, mowy zwiemy artykułami, a według św. Tomasza oznacza ten wyraz »cooptationem partium distinctarum« (Summa theol. 2, 2 q. 1, a. 6). Dwanaście części składu apostolskiego tworzy całość, zjednoczoną w wyznaniu Boga, Ojca wszechmogącego i Syna Jego jedyne, i Ducha świętego. Każda częśćka jest jak nasienie, kryjące w zarodku wielokształtny organizm, jest jak kłos pełny ziarna karmiącego duszę, jest ogniskiem, w którym się schodzą promienie oświecających umysł prawd szczegółowych. Skład wiary, to najkrótsze jej kompendyum, to wiara skondenzowana, i dla tego to do dziś dnia stanowi on tło wykładu nauki chrześcijańskiej, substrat komentarzy katechizmowych.

Zapewne, że każda umiejętność jest, a przynajmniej powinna być systemem, bo bez przymiotu systematyczności nie mogłaby mieć pretensyi do nazwy prawdziwej umiejętności; ale z wyjątkiem matematyki i filozofii nie posiadają inne umiejętności tego przymiotu w takim stopniu, jak nauka Objawienia, systematyczność nie rozciąga się tam na wszystkie szczegóły, w objawieniu zaś wszystkie elementy przenikają się wzajemnie, zlewają się ze sobą

i tworzą budowę, która w konsekwencji, sile, jedności, przewyższa wszystko, cokolwiek było przedmiotem uprawy ze strony ducha. Jeżeli zresztą i inne umiejętności w tym punkcie do wiary są podobne, to wynika stąd tylko, że także w ich obrębie naruszenie części grozi całości, że niekonsekwencja mści się srodze i wiedzie umysł tam, dokąd on z początku wcale nie zmierzał. Nad tem właśnie chcemy w niniejszym szkicu odnośnie do objawienia się zastanowić.

Mając mianowicie przed oczyma wymieniony charakter wiary — później będziemy mówili o umiejętności wiary czyli o teologii — otrzymujemy ogólny, zwięzły dowód jej prawdziwości, rozciągający się na wszystkie części, któremu to dowodowi możemy nadać następującą formę: Chrystyanizm (łącznie z prawdami religii naturalnej, czyli przez sam rozum poznanej, która w części logicznie go poprzedza, w części w skład jego wchodzi), tworzy jednolitą całość, tak silnie spójną, że zaprzeczenie choć jednej istotnej części tej całości wiedzie z nieubłaganą konsekwencją do negacyi wszelkiej religii, wszelkiej etyki, porządku i prawa. Na taki atoli wynik nikt się zgodzić nie może, chyba najskrajniejszy wywrotowiec. A zatem należy ową całość bez jakichkolwiek zastrzeżeń przyjąć za prawdę.

Celem uzasadnienia przesłanki pierwszej tego syllogizmu weźmy najpierw ogólnie na uwagę jakikolwiek dziś zwalczany szczegół wiary. Oto n. p. ktoś nie uznaje konieczności spowiedzi. Chcąc być konsekwentnym, powinien on zaprzeczyć po kolei następującym twierdzeniom: nieomyślności nauki Kościoła i Chrystusa, boskiemu pochodzeniu chrystyanizmu, Opatrzności bożej, istnieniu Boga, istnieniu prawa i obowiązku. Albo inny przeczy możliwości cudu; konsekwentnie musi zwątpić o możliwości pewnego poznania Objawienia bożego, musi zwątpić o całej jego treści i t. d. Między możliwością znów proroctwa, a istnieniem Boga, zachodzi taka łączność, że Augustyn nie waha się twierdzić: »Confiteri esse Deum et negare praescium futurorum, apertissima insania est«. (De Civ. Dei I. 5 c. 9), a już Cicero mówił: »Ista reciprocantur, ut si divinitis sit et dii sint, si Dei sint, sit et divinitis«. (De divinat. I, 5). Inny znowu wzbrania się uznać boskie ustanowienie hierarchii kościelnej, albo nieomyślność papieską; będzie to punktem wyjścia całego szeregu coraz dalszych, coraz ogólniejszych przeczeń. Inny, zgorszony, i to słusznie, jakimś niecnym postępkim członka zgromadzenia zakonnego, nastaje na stan zakonnej doskonałości w ogóle, popełniając oczywiście w tem

uogólnianiu przeskok sofistyczny; chcąc być konsekwentnym, nie może on uznać nieomyślności Kościoła, potwierdzającego zakony jako środek do osiągnięcia doskonałości, ani nie może uznać nieomyślności Chrystusa, który sam podał to, co stanowi istotną treść życia zakonnego, to jest tak zwane trzy rady ewangeliczne, upada zatem w dalszym ciągu i prawdziwość chrystyanizmu, upada przekonanie o świętości bożej, z którą się nie zgadza dopuszczenie tak szeroko rozgałęzionego błędu, jakim w tem przypuszczeniu byłaby wiara; upada Opatrzność, pozbawiająca ludzi możliwości poznania prawdy i woli bożej; stąd krok tylko do zwątpienia o istnieniu Boga, o istnieniu autorytetu czy to bożego, czy ludzkiego, o istnieniu obowiązku i prawa.

Przypatrzmy się jednak rzeczy dokładniej. Uwydatniając wewnętrzną łączność między częściami, z jakich się budowa wiary składa, nie mamy na myśli tak zwanych opinii teologicznych, czyli zapatrywań teologów na kwestye, z Objawieniem w bliższym lub dalszym związku będących, więcej lub mniej prawdopodobnych; chodzi nam raczej o prawdy objawione, lub z objawieniem w ścisłym i niewątpliwym związku pozostające, o prawdy, w których katolikowi wątpić nie wolno. Otóż prawdy te dadzą się zestawić w szeregu, który nazywa się łańcusznikiem, »wnioskiem łańcuchowym« (Kremer, Początki logiki, Kraków 1876 str. 175), po łacinie »sorites«, gdzie zawarty jest szereg zdań tak ze sobą powiązanych, iż jedno pojęcie pierwszego staje się materią wszystkiego, tak że przez cały szereg pojęć pośrednich dochodzi się do ostatecznej konkluzji. Łańcusznik da się też rozwinąć na cały szereg syllogizmów, tak że wniosek poprzedzającego staje się przesłanką następnego; złożone w ten sposób z kilku syllogizmów wnioskowanie nazywa Kremer »łańcuchem wniosków«, ogólnie zowią je polisyllogizmem; sorites zatem jest tylko jego formą skróconą. Przykłady rzecz tę zaraz objaśnią.

Otóż zgodnie z warunkami logiki można celem unaocznienia konsekwencyi prawd wiary, oraz ich antytezy, sporządzić z nich szeregi niedługie, przejrzyste, a dla umysłu bardzo cenne. Można przytem użyć formy kategorycznej, czyli orzekającej, albo warunkującej, albo też tak zwanego epicherematu, gdzie się do przesłanek dołącza dowód w formie skróconej. Objaśnimy rzecz przykładem. Forma łańcusznika będzie kategoryczna, gdy powiem: ułomność człowieka sprawia mu trudności w poznaniu prawdy religijnej, w dążeniu woli; ułomny potrzebuje pomocy, pomocy zaś tu wymaganej

człowiek nie znajduje w obrębie natury; potrzeba zatem człowiekowi pomocy bożej, a że tą pomocą w obecnym porządku jest łaska, więc potrzeba człowiekowi łaski oświecającej rozum, pobudzającej wolę; środkiem do nabycia łaski są sakramenty, modlitwa i t. d. Użyję formy warunkowej, jeżeli powiem: gdyby kary piekła nie były wieczne, nie miałyby prawo moralne dostatecznej sankcyi; w takim jednak razie nie byłoby skutecznego hamulca przeciw występkom, więc i t. d. Jeżeli wreszcie wnioskuję: rzecz, posiadająca wewnętrzną od ciała niezależność, nie ginie razem z ciałem, bo w swem bytowaniu i działaniu od materji nie zawisła; dusza zaś ludzka jest niezależną od ciała, bo w czynnościach swych wznosi się ponad materję, a z natury czynności wnosić należy o naturze samego ich pierwiastka; a zatem dusza nie niszczeje i t. d. Nie chcąc jednak nużyć czytelnika, niesympatyzującego może z ścisłą formą syllogistyczną, chociaż posiada ona cenne zalety, gdyż uczy zachowania w myśleniu i mówieniu ładu, jasności, zwięzłości, pozostaniemy przy formie swobodniejszej.

a) Nieuznając którejś z prawd wiary, zaprzecza się przedewszystkiem nieomyślności Kościoła, który jest normą czyli prawidłem wierzenia, on nas bowiem upewnia o tem, co się zawiera w treści Objawienia. Tem samem jednak otwiera się drogę do zwątpienia o fakcie objawienia każdego szczegółu tej treści. Nie można nieomyślności Kościoła bezkarnie naruszyć, trzeba albo całą przyjąć, albo całą odrzucić, własnowolnych zastrzeżeń tu nie ma, bo jeżeli się nam podoba coś odrzucić rzekomo dla tego, że się Kościół w tym wypadku pomylił, to gdzież znajdziemy nieomylną normę, według której możliwem byłoby odróżnić to, w czym się Kościół nie myli, od tego, co może być przezeń błędnie podane. Ma się tu rzecz podobnie, jak z powagą prawa. »Ktobykolwiek zachował wszystek zakon, a w jednymby upadł, stał się winien wszystkiego. Bo który rzekł: Nie cudzołóż, rzekłci też: Nie zabijaj«. (Jak. 2, 10, 11). Za każdym przykazaniem stoi powaga tego samego prawodawcy, gwałcąc więc choćby jedno tylko, tem samem lekceważy się powagę prawodawcy odnośnie do wszystkich innych. Podobnie jak na przykazaniu miłości »wszystek zakon zawisł« (Mat. 22, 40), jak »wszystek zakon w jednej się mowie wypełnia: Będziesz miłował« (Gal. 5, 14), »miłość bliźniego złego nie czyni. Wypełnienie tedy zakonu jest miłość« (Rzym 13, 10), tak na nieomyślności cały zawisł przedmiot Objawienia. Dowodem faktycznym: rozkład w obecnym protestan-

tyzmie, zrodzonym z subiektywizmu, odrzucającego nauczycielski autorytet Kościoła.

b) Ma jednak błąd swoją konsekwencję, jak ją ma prawda. Nie uznając nieomyślności w Kościele, nie można równocześnie uznawać bezbłędności i natchnienia Pisma św., ono bowiem najwyraźniej podaje, że wierna straż całego Objawienia i wykład jego powierzono Kościołowi, »filarowi i utwierdzeniu prawdy« (1 Tym. 3, 15). I nie tylko narusza się przez to te lub owe miejsca Pisma św., ale podkopuje się jego powagę w całej rozciągłości; na dowolny wybór (*xiłéssai*) nie ma tu miejsca choćby z tego względu, że wobec braku normy, któraby pozwoliła na pewno odróżnić teksty błędne od bezbłędnych, natchnione od nienatchnionych, powaga całego Pisma świętego byłaby naruszona. Ponadto jeżeli nie ma w Kościele nieomyślnej straży Objawienia, zwątpić należałoby o mądrości, przezorności i mocy Chrystusa Pana, którego dzieło byłoby wtedy czemś niezupełnem, celu by nie osiągnęło. Bo jak stworzenie świata byłoby dziełem niezupełnem i nie ostałoby się, gdyby Bóg świata także nie utrzymywał i nim nie rządził, tak i Objawienie domaga się koniecznie jakiegoś środka, któryby je dla wszystkich pokoleń zachował, jego jedności ustrzegł, trwałość mu zapewnił; na to bowiem było dane. Tym środkiem nie jest, względnie nie może być nic innego, jak tylko urząd nauczycielski nieomylny.

c) Stąd posuńmy się o krok dalej. Powagę i natchnienie Pisma św. uznaje sam Chrystus. Zwątpiwszy w Pismo św., czy można konsekwentnie uznać nadludzką mądrość, wszechwiedzę, bóstwo Chrystusa? A także czy można, odrzuciwszy Pismo św., uznać jakiegokolwiek inne dokumenty historyczne i na nich się opierającą historię? Tak zapytuje św. Augustyn: »Quae umquam litterae ullum habebunt pondus auctoritatis, si evangelicae, si apostolicae non habebunt? De quo libro certum erit, cuius sit, si litterae, quas apostolorum dicit et tenet Ecclesia ab ipsis apostolis propagata et per omnes gentes tanta eminentia declarata, utrum apostolorum sint, incertum est?« (Contra Faustum l. 33 c. 6.), a gdzieindziej (De morib. Eccl. l. 1 c. 29 n. 60) tenże z oburzeniem woła: »Consequetur namque omnium litterarum summa perversis et omnium, qui memoriae mandati sunt, librorum abolitio, si quod tanta populorum religione roboratum est, tanta hominum et temporum consensione firmatum, in hanc dubitationem adducitur«.

d) Z bóstwem Chrystusa upada naturalne boskie pochodzenie

i prawdziwość objawienia chrześcijańskiego; a jeżeli nie ma Objawienia, to

e) nie ma i Opatrzności bożej. Tyle bowiem wieków wiara chrześcijańska istnieje, tyle pokoleń uważało ją za skarb najdroższy, w niej pokładało swoje nadzieje i do jej wymagań stosowało swe życie, sześćset milionów chrześcijan obecnie ją wyznaje; jeżeli ta wiara jest błędem, to czyż można mówić jeszcze o czuwającej nad ludzkością Opatrzności? Nie troszczy się chyba Bóg o losy ludzkości, jeżeli na tak zwycięski pochód błędni zezwala. Gdyby religia chrześcijańska nie była od Boga objawioną, to wynikałoby stąd dalej, że Bóg pozostawił ludzi bez pomocy w sprawie najważniejszej. Bo taka już jest nędza ludzkości, że bez pomocy Bożej na dostateczne, bezbłędne i pewne poznanie prawdy religijnej, o własnych siłach zdobyć się nie mogła. Jakaś zatem pomoc boża pod tym względem była moralnie konieczną; stwarzając człowieka z ową stworzoną mu nieudolnością, zobowiązał się Bóg niejako do wspierania go swoją ingerencją i tego wsparcia nie mógł mu odmówić, jak nie mógł stworzyć go bez dostarczenia mu powietrza i pożywienia. Pomoc ta i ingerencja boża mogła być rozmaita, badania zaś historyczno-krytyczne ukazują nam ją konkretnie w Objawieniu. Jeśli jednak kto Objawienia nie uznaje, musi zgodzić się na stwierdzenie, że Opatrzność odmówiła człowiekowi środków niezbędnych do osiągnięcia jego celu, czyli że Opatrzność nie istnieje.

f) Na tym punkcie jednak zatrzymać się nie wolno, stanowisko to byłoby połowiczne i niekonsekwentne. Jeżeli Bóg istnieje i jeżeli On człowieka stworzył, to musiał mu umożliwić i ułatwić poznanie siebie jako celu człowieka. Bo kto pożąda celu, ten musi użyć środków doń prowadzących; jeżeli więc Bóg istnieje, to musiał dać się poznać, kto zatem utrzymuje, że w poznaniu Boga jesteśmy w błędzie, a utrzymuje to ten, kto nie uznaje Objawienia Chrystusowego, ten musi jednocześnie zaprzeczyć istnieniu Stwórcy i Boga. Wniosek ten wyprowadza Laktancjusz, mówiąc: »Qui providentiam sustulit, etiam Deum negavit esse« (L. de ira D. c. 9). Gdyby bowiem Bóg istniał, dobroć Jego musiałaby Go skłonić do zajęcia się człowiekiem, mądrość poddałaby sposoby, wszechmoc przezwyciężyłaby wszelkie trudności. Z zaprzeczenia Opatrzności wynika konieczność nieuznania choć jednego z tych przymiotów bożych, a więc Boga samego.

g) Sam ateizm jest jeszcze stanowiskiem połowicznym i tylko

umysł powierzchowny nie potrafi wyciągnąć stąd wszystkich konsekwencji. Pomijamy już to, że, jeżeli nie istnieje Bóg, dobro nieskończone, wtedy życie nie ma żadnego sensu wobec braku widoków szczęścia prawdziwego i trwałego. Niemniej zgubną konsekwencją będzie usunięcie różnicy między dobrem i złem moralnem, cnotą i występkiem, prawem i obowiązkiem. Porządek etyczny, na tych pojęciach oparty, domaga się bowiem koniecznie normy moralności, a ponieważ jest absolutnym, niezmiennym, koniecznym, więc i norma jego taką być musi; poza Bogiem zaś jej nie ma. Wszelkie prawo natury nie ostoї się w swej niezaprzeczonej niezmienności, odwieczności, absolutnej konieczności, jeżeli usuniemy takiegoż prawodawcę jako jego przyczynę sprawczą. Porządek etyczny domaga się sankcyi; tylko Bóg, który wie o wszystkich dobrych i złych czynach, sprawiedliwie zdoła je ocenić i ma możność zapłaty za nie, on jeden może być dostateczną sankcją.

h) Bądźmy jednak nadal konsekwentni. Oto widzimy, że istnieje porządek prawny w rodzinie, w różnych związkach ludzkich, w społeczeństwie i państwie. Na każdy porządek prawny składają się wzajemne obowiązki i prawa. Bez obowiązku zaś nie ma prawa, bo tylko wtedy mam prawo do własności, czci, zdrowia, życia, jeżeli wszyscy inni mają obowiązek nienaruszenia tego swego prawa. Widzieliśmy jednak, że bez Boga nie ma mowy o prawdziwym obowiązku; a zatem ustaje i wszelkie prawo.

Jeżeli więc przekonanie o istnieniu Boga jest urojeniem, ustaje wszelka władza boska i ludzka; zrzucić ją, to będzie tylko wyciągnięciem koniecznego wniosku z owego założenia, bo bez Boga nie może być mowy o jakiegokolwiek władzy, czyli o prawie rozkazowania, któremu to prawu odpowiada ścisły obowiązek posłuszeństwa. Nie można uważać państwa za ostateczne i najwyższe źródło prawa. Przypuśćmy bowiem, że sprytne jednostki, przeprowadziwszy, przy pomocy korupcyi, wybory, lub też w inny sposób zdobywszy większość w ciałach prawodawczych, uchwaliły prawa przeciwne przekonaniom, woli i dobru ogółu. Nikt przecież nie uzna takiego prawa za sprawiedliwe i słuszne. Więc nie jest wola państwa jedynem, właściwem źródłem prawa. Czy może ucieknijemy się, celem rozstrzygnięcia sporu o słusność prawa, do ogólnego poczucia słusności, jako do normy wyższej, do ostatniego źródła prawa? Ależ i tu ta sama kolizya interesów jest możliwą i zdziwić się może absurd, że coś będzie sprawiedliwem, bo odpowiada



przeświadczeniu jednych, a równocześnie będzie niesprawiedliwym, bo uważane za krzyczącą niesprawiedliwość przez drugich.

Kto przypuszcza, że jestem obowiązany stosować się do woli państwa lub do ogólnego przeświadczenia ludu, powinien wytłómaczyć, kto zobowiązuje mnie do tego posłuszeństwa. Czy może państwo? Ależ i państwo musi wylegitymować swoją kompetencję do rozkazywania mi; sam nakaz tego nie skuteczni, bo zanim państwo wydaje pierwszy nakaz, już poddani mają obowiązek słuchania go i muszą być z góry przeświadczeni o tym swym obowiązku. Może wybrniemy z trudności, odwołując się do zdrowego rozsądku, nakazującego postępować rozumnie? Wtedy wraca pytanie, dla czego muszę postępować rozumnie, i dla czego nie mógłbym czasem postąpić nierozumnie, skoro mi się tak podoba? Może dla tego, że rozum człowieka jest sam dla siebie prawem, sam siebie zobowiązuje, i to w sposób kategoriyczny, nakazujący? Ale jakim prawem mój rozum może mnie ściśle zobowiązać, dla czego muszę się wbrew woli stosować do jakiegoś, od rozumu pochodzącego, niewytłómaczonego przymusu, to będzie zagadką nierozwiązaną.

Nie można też za ostatnie źródło prawa uważać jakiejs umowy, na mocy której tworzono niegdyś państwo, przy której to umowie każdy członek przelał swą część władzy na państwo. Bo wychodząc z ateistycznego punktu, pierwsi założyciele państwa nie mogli oddać władzy nad sobą, to znaczy zobowiązać się do posłuszeństwa, bo takim samem prawem, jakim posłuszeństwo obiecali, mogą obietnicę cofnąć, skoro tego zechcą. Tem mniej mogli drugimi, czyli przyszłemi pokoleniami rozporządzać, narzucając im obowiązek względem utworzonego przez siebie państwa; bo jeżeli stoimy na stanowisku ateistycznym, musimy uznać, że każdy jest panem dla siebie, może więc robić, co mu się podoba; względ na dobro państwa lub ogółu może mną powodować, ale nie zobowiąże mnie do przedkładania go nad dobro własne. A zatem »nie masz zwierzchności, jedno od Boga« (Rzym 13, 1), nie jest więc konsekwentnym, kto przeczy istnieniu Boga, a mówi jeszcze o władzy i obowiązku sumienia.

i) Konsekwentnym będzie raczej skrajny socjalizm, który przez usta swych wodzów odrzuca wszelką władzę zarówno boską i ludzką.

k) Ale i ideał socjalistyczny nie może być jeszcze ostatnią przystanią konsekwentnie przeczącego umysłu. I tu bowiem powstaje pytanie o władzy w przyszłym państwie, bez której przecież ideał socjalistyczny, a więc celowa organizacya produkcji i sprawiedliwy

podział zysków, urzeczywistnić się nie da. Nie dokona tego powaga dobrowolnie obrana, bo w razie różnicy zdań nikt nie jest w stanie przekonać mniejszości o obowiązku poddania się większości. Przyznają też socjaliści, że przynajmniej z początku będzie potrzebna dla zmuszenia opornych do nowego porządku bezwzględna dyktatura. Ale wtedy mielibyśmy znowu władzę, i to w najostrzejszej formie. Pokazuje się więc, że daleko logiczniejszym będzie anarchizm, w którym absolutna autonomia jednostki jest aż do ostatnich konsekwencji przeprowadzona: człowiek jest sam sobie panem, nikt nie ma prawa pociągać go do odpowiedzialności, dobro i zło nie ma dlań żadnego znaczenia, może on iść za swymi popędami, jak mu się podoba.

Pochód ten umysłu, co zwątpił o istnieniu Boga, przedstawił jasno w szkicu, wziętym z życia, W. Cathrein: »Durch Atheismus zum Anarchismus, Ein lehrreiches Bild aus dem Universitätsleben der Gegenwart« (Freiburg, Herder; w tłóm. polsk. »Dlaczego stałem się anarchistą?« Warszawa 1909, Szczepkowski). W historii zaś znaleźć można niejednen przykład skrajnej anarchii, w której znalazło się społeczeństwo, jeśli w niem poczęła zanikać religia; historia stwierdza, że tam, gdzie burzą ołtarze i krzyże, traci koronę władza. Bo wpływ bezbożności podobny do najsroźszej zarazy, co niczem nie powstrzymywana, coraz dalej posuwa dzieło zniszczenia.

Możnaby jeszcze ten destrukcyjny wpływ śledzić w kierunku poznania, uwydatniając związek, jaki zachodzi między prawdą w ogóle, a Bogiem. Istnieją prawdy konieczne, odwieczne, niezienne, prawdy, których twórcą i źródłem nie jest nasze poznanie, lecz tylko ich narzędziem, prawdy, które wywierają wpływ bezwzględny na nasz umysł, są mu normą myślenia, do której stosować się bezwarunkowo musi. Źródłem więc prawdy może być tylko umysł, równie jak ona odwieczny, i takiż byt, co jej jest pierwowzorem. Odrzucając więc Boga, nie jesteśmy w stanie wytłómaczyć istnienia prawdy obiektywnej, o wszystkim zwątpić wolno, sceptycyzm będzie ostatniem ogniwem w tym szeregu negacyj.

Oto burzenie gruntowne, przeprowadzone konsekwentnie aż do samych najgłębszych podstaw myślenia i bytu!

Jeżeli zechcemy posuwać się drogą odwrotną, otrzymamy inny szereg, równie przejrzyste ujawniający ową systematyczność, o której tu mówimy. Wybierając niektóre tylko, ważniejsze człony z tego szeregu, możemy wnioskować w następujący sposób: Życie

ludzkie byłoby nieznośnem i wręcz niemożliwem bez prawnego porządku, a nie miałoby sensu bez możliwości szczęścia trwałego. Istnieje zatem Bóg, najwyższy prawodawca i dobro nieskończone. Jeżeli Bóg istnieje, to musiał nadać możliwość poznania prawdy, bo bez tej możliwości stworzyć nas nie mógł. Możliwość ta musi odnosić się w pierwszym rzędzie do prawdy religijnej, jako tej, od której osiągnięcie celu ostatecznego zależy; tu przede wszystkim Bóg nie mógł pozostawić człowieka bez pomocy. A że w przyrodzonych siłach swego umysłu człowiek nie posiada możliwości łatwego, pewnego i bezbłędnego poznania prawd religijnych i obyczajowych, więc z góry przypuścić należy, że Bóg mu inny na to środek przygotował. Takiego środka nie widać poza Objawieniem, które w wieloraki sposób znamionuje swe boskie pochodzenie. Mogło Objawienie być dane stopniowo, i rzeczywiście »rozmaicie i wielą sposobów mówiący dawno Bóg ojcom przez proroki, na ostatek mówił do nas przez Syna« (Żyd 1, 1, 2), ale jedno tylko prawdziwe Objawienie jest możliwe, bo twierdzenie przeciwne i sprzeczne, n. p. monoteizm i politeizm, nie mogą od jednego i tego samego Boga pochodzić. Punktem kulminacyjnym tego Objawienia jest wcielenie Syna Bożego i Jego dzieło. Doświadczenie dalej uczy, że nie dostaje się nauka Chrystusa do wiadomości każdej jednostki przez bezpośrednio jej dane Objawienie, a zatem musiał je Chrystus złożyć w jakichś źródłach. Nie jest takim źródłem samo Pismo św., choćby dla tego tylko, że, będąc księgą martwą, domaga się tłumacza, tak jak w państwie obok kodeksu praw istnieją trybunały sędziowskie. Takim tłumaczem jest Kościół katolicki, względnie nadany mu obok szafarstwa środków zbawienia i rządów nad wiernymi urząd nauczycielski. W wykonywaniu tego urzędu Kościół mylić się nie może, bo w takim razie Chrystus nie osiągnąłby przezeń tego celu, który zamierzał, to jest ustrzeżenia depozytu swej prawdy dla jak najdalejszych pokoleń. Z tego powodu musi też nieomylnie rozciągać się na straż i wykład wszelkich prawd objawionych i z niemi w związku zozostających, bez żadnego wyjątku. Tak dochodzimy do afirmacyi wszystkich prawd wiary i obyczajów, życia religijnego i kościelnego.

Powyższe szeregi można było tu tylko z lekka naszkicować, bo wszechstronne ich rozpatrywanie i ujęcie wszystkich wiążących je nici wymagałoby tomów, i jest właśnie przedmiotem rozmaitych gałęzi umiejętności teologicznych i filozoficznych. Teolog powinien w tem poznaniu być biegłym, ale i nie-teolog może się w niem wpra-

wieć, a w miarę swej inteligencji oraz narażenia na wątpliwości przeciwko wierze ma także obowiązek starania się o to.

Z łańcucha, który rozwinęliśmy, widać naocznie, że wszystkie formy pośrednie między wiarą zupełną a najskrajniejszym wątpliwnością są niekonsekwentne, bo zatrzymują się w połowie drogi, tak w kierunku twierdzenia, jakoteż i w kierunku przeczenia, co może być wygodnem, ale nie jest logicznem; są więc wszystkie fałszywe. Prawdą może być tylko albo całość, albo konsekwentnie aż do najdalszych granic posunięte odrzucenie. Widzimy też stąd, że ma się tu rzecz podobnie, jak we filozofii odnośnie do pierwszych pewników, gdzie błąd popełniony (πρωτων ψευδης) podobny jest do zatrutego źródła, z którego jad rozszerza się na wszystkie odpływy; słusznie też powiada Arystoteles: τὸ ἐν ἀρχῇ μικρὸν ἐν τῇ τελευτῇ γίνεται παμμέγεθες (Περὶ οὐρανοῦ I, 5), czyli że błąd na pozór nieznaczny, popełniony w założeniu badania, rośnie stopniowo do coraz większych rozmiarów.

Stąd dalej widać, że aby dowód, który tu rozwijamy, całą swą siłę na umysł wywarł i do niego potężnie przemówił, trzeba by koniecznie »intus legere« czyli »intelligere«, trzeba by rozumieć dobrze całą tę spójnię, zachodzącą między poszczególnymi prawdami, wznosząc się albo od ostatecznych podstaw do najdalszych konkluzyj (synteza), albo też lepiej, idąc drogą odwrotną od jakiegokolwiek twierdzenia względnie przeczenia symbolu katolickiego aż do ostatecznych zasad (analiza). Pierwszą drogę przebyli na dłuższą lub krótszą przestrzeń konwertyci, drugą drogę unaoczniają apostazy. Znając zaś upór, z jakim umysł trwa przy raz powziętych mniemaniach, można wobec braku widoków na wiarę zupełną za szczęście to uważać, że w odstępstwie od wiary przeważnie nie śledzi się tych konsekwencji, bo tak staje się rzeczą możliwą, że ktoś w dobrej wierze trwa w błędzie, nie przedstawiającym mu się tak bardzo rażąco, oraz że choć w części uratuje okrucy prawdy, tak potrzebne dla spełnienia zadań życiowych.

Nasuwa się tu przecież zarzut, że takie liczne masy ludzi nie widzą niekonsekwencji swego błędu, więc chyba te niekonsekwencje nie istnieją? Tyle herezyi, wieloraka schizma, czyż to wszystko ślepotą dotknięte? Najlepszą na ten zarzut odpowiedź daje czas i dokonywująca się w nim ewolucya wierzeń ludzkich. Czas to bowiem powoli wiedzie do konsekwencji: widzimy, że w takich pośrednich błędach idą najpierw jednostki przez nawrócenia ku wyżynom wiary, a przez coraz dalszą apostazyę do nihilizmu; to samo zaś

dokonuje się powoli ze społecznościami religijnymi, już dziś bowiem dość widoczną jest rzeczą, że w przyszłości staną do walki ze sobą tylko dwa obozy: katolicyzm i zupełne bankructwo, anarchia.

W drugiej przesłance dowodu, postawionego na czele tego przedstawienia rzeczy twierdziliśmy, że na wynik, do którego wykazana konsekwencya przeczenia prawd religijnych dochodzi, nikt się zgodzić nie może, chyba najsłabszy wywrotowiec. Twierdzenie to tak oczywiste, że się bez dowodu obyć może. Bo też istotnie zgodzenie się na taki wynik wiedzie do niesłychanych konsekwencji: nie mam żadnych obowiązków względem kogokolwiek, względem ojczyzny, państwa, rodziny, bliźnich; ale też nie mam żadnych praw, nie mam prawa własności, zdrowia, dobrego imienia, życia, bo pojęcie prawa i obowiązku, to pojęcie współwzględne, czyli skojarzone parą jako członki tej samej religii, tak że jedno bez drugiego nie da się pomyśleć. Wszystko wobec tego mnie wolno, wszystkim też wszystko wolno względem mnie!

Zmuszeni do cofnięcia się od przepastnej otchłani błędu, zwracamy się ku pogodnym wyżynom prawdy i dochodzimy do następującego wniosku: całość religii Chrystusowej, tak jak ją podaje Kościół katolicki, jest prawdziwy. »I będzie w ostateczne dni przygotowana góra domu Pańskiego na wierzchu gór i wywyższy się nad pagórki, a popłyną do niej wszyscy narodowie. Pójdą też wiele ludzi i rzekną: Chodźcie, a wstąpmy na górę Pańską i do domu Boga Jakubowego, a nauczy nas dróg swoich i będziemy chodzić ścieżkami jego, bo z Syonu wynijdzie zakon, a słowo Pańskie z Jeruzalem«. (Izaj. 2, 2, 3: por. rozdz. 60). Religia Chrystusowa, o ile jest inkorporowaną w Kościele katolickim, stanowi całość silnie spójną, organizm logiczny. Dlatego określano zawsze, jak to już czyni Pismo św., Objawienie jako jedną i niepodzielną całość, jako prawdę, ἡ ἀλήθεια, τὸ εὐαγγέλιον. I poznać prawdę, a prawda was wyswobodzi«. (Jan. 8, 32). Bóg chce, »aby wszyscy ludzie byli zbawieni i przyszedli ku uznaniu prawdy« (1 Tym. 2, 4), Kościół zaś »Boga żywego, filar i utwierdzenie prawdy« (ib. 3, 15).

Pogląd, ukazujący Objawienie jako jednolity system, zawiera w sobie doniosłe korzyści. Tak n. p. w walkach wewnętrznych, kiedy to rozum, powodowany namiętnością, żąda wyswobodzenia od krępujących swawolę więzów etycznych, i jak dziki zwierzę w klatce szuka rozmaitych możliwych dróg, by zrzucić z siebie znienawidzone pęta, zagłuszyć sumienie, obronić się przed jego forum od dotkli-

wego zarzutu winy, wtedy zwrócenie uwagi na to, dokąd poddanie się wątpliwościom zaprowadzić może, będzie zbawczym hamulcem. W wątpliwościach i dysputach, czy to z samym sobą, czy z drugimi, przedstawia naszkicowany przez nas dowód broń pośrednią wprawdzie, lecz bardzo silną, bo jest na każdy zarzut odpowiedzie przynajmniej uboczną.

Ale na jedno głównie nacisk kładziemy. Oto ze spoistości i systematyczności wiary chrześcijańskiej wynika, że do obalenia chrystyanizmu wystarczyłoby wykazać fałszywość choćby jednego tylko istotnego punktu w jego systemie. Każdy taki dowód byłby podobny do miny założonej w miejscu trafnie obranem, której wybuch położyłby cały gmach w gruzach. Mimo to jednak, że od tylu wieków takiego dowodu szukano, mimo to, że piętrzące się stosy dzieł pełnych zarzutów spisano, nie odkryto takiej słabej strony, nie odkryto pięty Achillesowej, nie wynaleziono na ciele bohaterskiego Zygryda takiego miejsca, w któremby mu śmiertelna rana zadana być mogła. Systemowi prawd wiary przeciwstawiono co najwyżej hipotezy, ale takie, których logika nie dopuszcza, warunkiem bowiem prawidłowej i prawdopodobnej hipotezy jest pewna łatwość w wytłómaczeniu faktów, o które chodzi, analogia z prawdami już znanymi, a przede wszystkim możliwość: hipoteza nie powinna zawierać wewnętrznej sprzeczności, ani też sprzeciwiać się faktom najpewniejszym. Tym warunkom nie czynią zadość hipotezy o przypadkowym powstaniu świata i jego twórców z niestworzonych atomów, o naturalnym porządku chrystyanizmu i t. p. Do dziś dnia nie uniemożliwiono wierze jej obrony; wszystkie owe długotrwałe i namiętne napaści nie usunęły żadnego dowodu, nie obaliły choćby jednej pozycji, pole walki pozostaje ciągle takie same, olbrzym ani na krok nie ustąpił, budowy nie zachwiano. Tak zwycięską może być tylko prawda, błąd takim powodzeniem się nie szczyci.

## II.

Dotąd mówiliśmy w pierwszym rzędzie o wierze. Od wiary różni się umiejętność, zwana teologią. Już Augustyn (De Trinit. l. 14 c. 1) określił teologię jako umiejętność wiary; i słusznie, bo jej przedmiotem jest wiara czyli Objawienie boże nadprzyrodzone. Między wiarą a teologią taki zachodzi stosunek, że to, w co wierni wierzą, teologia poddaje procesowi umiejętnego badania. Czyni zaś

to w ten sposób, że dowodzi samych podstaw wiary, ustala prawdy wiary na podstawie źródeł Objawienia, pogłębia ich zrozumienie, broni od zarzutów, wyprowadza konkluzje, systematycznie porządkuje.

Jeżeli w zakres teologii wchodzi całe Objawienie, a ono, jak to poznaliśmy, jest jednolitym systemem, to i o teologii to samo powiedzieć należy. Systematyczność jednak przysługuje teologii w daleko wyższym stopniu jeszcze z wielu innych względów. Znane jest porównanie teologii, zwłaszcza jak ją uprawiała scholastyka XIII-go wieku, z gotyką; ma teologia rzeczywiście uderzające podobieństwo do wspaniałych katedr gotyckich, gdzie nad wszystkim góruje jedna myśl, rozwijająca się systematycznie w bogatą różnorodność.

Jedność teologii wynika z jej głównego przedmiotu, czyli z jej podmiotu, którym, jak już sama nazwa wskazuje, jest Bóg. Wskazuje na to i treść teologii, bo chociaż w zakres jej badań wchodzi i człowiek i świat cały, nie rozprawia ona o tych przedmiotach tak, jak antropologia lub kosmologia, ale z uwzględnieniem ich stosunku do Boga jako ich początku i końca. Ma także teologia jeden przedmiot formalny, czyli jeden kąt widzenia, bo bada swój przedmiot materialny w świetle Objawienia, to jest o ile on z Objawienia poznany być może. I tak, jak różni się logika formalna od teorii poznania tem, że jedna bada prawidłowość, druga prawdziwość myślenia, jak różni się fizjologia od patologii w tem, że pierwsza rozważa funkcje życiowe w ich stanie normalnym, druga w stanie chorobliwym, tak różni się teologia swym przedmiotem formalnym od każdej innej umiejętności, zwłaszcza od najbardziej do niej zbliżonej gałęzi nauk filozoficznych, zwanej teologią naturalną, czyli teodyceą.

Organiczna jedność uwydatnia się głównie w systemie nauk teologicznych. Jak każda umiejętność, tak i teologia, opiera się na pewnikach, to jest prawdach nie ulegających wątpliwości. Są nimi prawdy objawione, one bowiem stanowią albo punkt wyjścia, albo normę przewodnią dla badań teologicznych. Nie przyjmuje ich teologia na ślepo, bo fakt Objawienia, z którym są dane, stanowi przedmiot skrzętnego badania; także istnienie Boga i nieomyślność powagi Jego, prawdy, o których wiedzieć muszę, bym mógł wierzyć, podlegają ściśłemu badaniu. Na tej podstawie wnoszą się poszczególne działy teologii. Jedne z nich są umiejętnościami pomocniczymi, inne zajmują się samem Objawieniem, tak jego częścią teoretyczną, jak praktyczną, śledzą je aż do najdalszych wyników, stosują do

praktyki życiowej. Wszystkimi kieruje jedno dążenie: wszechstronne poznanie Boga w sobie i w wszechświecie; i jak w budowie gotyckiej wszystko strzela w górę, tak też jedna myśl przenika teologię, Bóg, który będąc jej początkiem i przedmiotem, jest także jej celem.

Mówi się nieraz o zasadzie materialnej w różnych umiejętnościach. Należy przez to rozumieć ideę centralną, albo jakieś twierdzenie fundamentalne, które zawiera i streszcza w sobie liczne albo i wszystkie konkluzje danej umiejętności. Za przykład niech służy zasada ewolucji, umiejętnie w różnych naukach stosowana. Nie każda umiejętność da się w jednej skoncentrować idei; gdzie to jednak możliwe, tam uskutecznia się to z wielką dla poznania korzyścią. umysł bowiem nasz, żądny jedności, która mu ułatwia poznanie, chętnie taką syntezę przyjmuje. I teologia posiada taką ideę centralną, skąd znów się ukazuje jej systematyczna jedność. Tą ideą jest pojęcie Boga, nie w ten sposób, jak to rozumie panteizm, który z idei Boga a priori wszystko wyprowadza, lecz raczej dla tego, bo z idei Bożej, nabytej z Objawienia, nabywa się lepszego poznania całego przedmiotu materialnego teologii, poznaje go bowiem w stosunku do Boga jako początku i końca.

Zwiąże da się to wszystko, cośmy o systematycznej jedności teologii powiedzieli, wypowiedzieć w zdaniu: teologia jest to umiejętność: *de Deo, a Deo, ad Deum*.

Jakież wnioski nasuwa to rozpatrywanie? Podobne do tych, jakie wysnuliśmy z rozważania systematyczności wiary. W szczególności wpływa stąd poważne memento dla teologa: skoro porzuci prosta drogę, którą kroczyć nakazuje mu drogowskaz Kościoła, a zstąpi na pochyłą ścieżkę zwątpienia, nieubłagana konsekwencja sprawi, że zacznie mu się coraz bardziej usuwać grunt pod nogami, i on, który z początku wcale nie zamyslał może stanąć w opozycji do Kościoła, łatwo znajdzie się w jednym szeregu z otwartymi jego wrogami. Historia dogmatów, herezy i Kościoła w ogóle stwierdziła ten smutny fakt niejednym przykładem. Najnowszym zaś, to przykład modernizmu, o którego zwolennikach pisze Pius X, że »*securim non ad ramos surculosque ponunt, se ad radicem ipsam, fidem nimirum fideique fibras ultissimas. Ista autem radice hac immortalitatis, virus per omnem arborem sic propagare pergunt, ut catholicae veritatis nulla sit pars, unde manus abstineant, nulla quam corrumpere non elaborent*«. Zgubny ten wpływ pochodzi głównie od źle stosowanej zasady ewolucji, która jest »*in eorum doctrinis fere ca-*



put«. System ten wskutek tego jest »omnium haereseon collectus«. i wiedzie do zagłady wszelkiej religii, bo widocznem jest, »quam multiplices itinere doctrina modernistarum ad atheismum trahet et ad omnem religionem abolendam. Equidem protestantium error primus hac via gradum iecit; sequitur modernistarum error; proxime atheismus ingreditur«. (Encycl. »Pascendi« 7 Sept. 1907, §. 2, 9, 17, 27).

Jeśli teologia stanowi systematyczną całość, to wynika stąd także, że jest ona prawdziwą umiejętnością. Czegożby jej bowiem do tej nazwy miało niedostawać? Umiejętność powstaje, jeżeli się materiał zewsząd zebrany układa w jednolitą budowę; wszyscy rozumieją przez umiejętność zbiór wiadomości, dotyczących wspólnego przedmiotu, należycie uzasadnionych, w system ułożonych. Tym warunkom odpowiada teologia w zupełności, jest ona bowiem systematycznym kompleksem prawd, z stwierdzonych źródeł Objawienia należycie udowodnionych. W szczególności posiada teologia wykazaną poprzednio systematyczność.

Temu nie stoi na przeszkodzie, że teologia jest »umiejętnością wiary«, a wiara od wiedzy się różni. Bo aczkolwiek teologia opiera się na wierze, posuwa się ona dalej, poddając wiarę metodycznym operacyom, jak dowodzeniu, dedukcyi, systemizacyi.

Ani nie stanowi przeszkody to, że głównym przedmiotem teologii są tajemnice, bo i w innych umiejętnościach nie ma się do czynienia z samemi tylko oczywistemi prawdami, prócz tego i tajemnice mogą być przedmiotem umiejętnego badania przez to, że się ich istnienia dowodzi, wedle możności wyjaśnia, związek ich wzajemny i z prawdami naturalnemi odkrywa i t. p.

Nie można także odmawiać teologii prawa do nazwy prawdziwej umiejętności dla tego, że nie opiera się na pewnikach oczywistych. Prawda, że każda umiejętność wymaga niezaprzeczonych założeń, na których się buduje, tak jak budynek wymaga fundamentów, drabina oparcia, wiszący łańcuch pierwszego gdzieś przymocowanego ogniwa. Konieczność takich pewnych założeń stąd pochodzi, że wiedza nie jest bezpodstawnem, ślepem uznaniem czegoś za prawdę. Ten cel może być jednak osiągnięty w inny sposób, mianowicie przez pewniki skądinąd przyjęte, i to właśnie ma miejsce w teologii, której założenia wzięte są z nieomyślnej wiedzy Boga samego. Pod tym względem zresztą nie jest teologia odosobnioną, bo i inne umiejętności nie zawsze dowodzą swych założeń wprost i bezpośrednio, ale przyjmują je, oczywiście nie bez racyi, skądinąd.

I tak posługuje się astronomia zasadami mechaniki, etyka przyjmuje swe założenia z filozofii, historia z krytyki, muzyka z akustyki, każda zaś bez wyjątku wiedza supponuje logikę. Czyż wobec tego weźmiemy za złe teologii, że opiera się na Objawieniu, nie bezpodstawnie, ani drogą ślepego uczucia, ale za pomocą ścisłego historyczno-krytycznego badania za prawdziwe uznanem? Św. Tomasz powiada, że istnieją umiejętności, które wychodzą z założeń poznanych skądinąd; »sicut perspectiva procedit ex principiis notificatis per geometriam et musica ex principiis per arithmetica notis. Et hoc modo sacra doctrina (= theologia) est scientia, quia procedit ex principiis notis lumine superioris scientiae, quae scilicet est scientia Dei et beatorum, unde sicut musica credit principia tradita sibi ab arithmetica, ita doctrina sacra credit principia revelata sibi a Deo« (Summa theol. 1, q. 1. a. 2).

Żadnego zresztą innego poważnego i szczerego zarzutu przeciw uważaniu teologii za umiejętność podnieść nie można, jak to obszerniej wykazali: Donat (*Die Freiheit der Wissenschaft*, Innsbruck, Rauch, 1910, S. 455—472), Schanz (*Ist die Theologie eine Wissenschaft?* Stuttgart und Wien 1900), Haring (*Einführung in das Studium der Theologie* Graz, Moser), Kihn (*Encyklopädie und Methodologie der Theologie*, Freiburg, Herder, 1892, § 6), Krieg (*Encyklopädie der theol. Wissenschaften*, Freiburg, Herder 1899, S. 42, ff.) i wielu innych.

W szczególności niesłusznym jest zarzut, jakoby teologia dla tego, że jest »zakutą w okowy dogmatyzmu« i skrępowaną coraz to nowemi orzeczeniami Kościoła, nie posiadała uprawnionej wolności badania. I o tem pisali Niedziałkowski (Snopek kąkolu str. 50—67: »Okowy dogmatyzmu — wolność czystej nauki«, Warszawa 1903 Gebethner), Sieniatycki (»Wolność badania i nauczania« *Gaz. kośc.* 1910 str. 502 ss. »Czy teologia jest umiejętnością?« *Przegl. powsz.* 1910, grudzień) i inni.

Wobec tego nic naturalniejszego nad wniosek, na który każdy nieuprzedzony się zgodzi, że teologia godna jest tego zaszczytu, by stała obok innych umiejętności w instytucyi, zwanej universitas scientiarum, w uniwersytecie (por. Schindler, *Die Stellung der theologischen Facultät im Organismus der Universität*, Wien 1904. Donat, l. c. S. 472 ff.). Jej przedewszystkiem tam miejsce przysługuje nie tylko z prawa historycznego, ale ze względów zasadniczych. Można pierwszeństwo jakiejś umiejętności z rozmaitego punktu widzenia osądzać, można wziąć na uwagę przedmiot,

albo cel, albo pewność. Pod względem przedmiotu wyżej stoi n. p. historia od archeologii, pod względem celu wyżej farmaceutyka od medycyny, pod względem pewności i formy każda umiejętność podporządkowaną jest logice. Teologia ma za przedmiot nie szczyby wykopalisk, skamieliny skorup ziemskich, zwierzę lub człowieka, ale Boga samego; jej celem nie zdrowie człowieka lub służba państwowa, ale sam Bóg; jej źródłem zaś nie poznanie omylnego rozumu, ale wiedza Boga nieomylnego. Dla tego już Arystoteles zauważył: *»Nec aliam quam huiusmodi decet honorabiliorum putare«* (Metaph. I. 1 c. 2), nazywając ją najczcigodniejszą i najbardziej boską, θειωτάτη καὶ τιμωτάτη.

---













PLEASE DO NOT REMOVE  
CARDS OR SLIPS FROM THIS POCKET

---

UNIVERSITY OF TORONTO LIBRARY

---

|      |                                |
|------|--------------------------------|
| LF   | Księga pamiątkowa ku uczczeniu |
| 1449 | 250-tej rocznicy założenia     |
| .5   | Uniwersytetu Lwowskiego        |
| K75  | przez Króla Jana Kazimierza    |
| t.2  | r. 1661                        |

UTL AT DOWNSVIEW



D RANGE BAY SHLF POS ITEM C  
39 12 10 14 11 018 2